

**POLECAMY:**

**JEFFERY DEEVER** Tańczący Trumniarz

Paniński grób

Kamienna małpa

Ogród bestii Mag

Dwunasta karta

Zegarmistrz Śpiąca

Laleczka Błękitna

Pustka Spirale

strachu Dar języków

Kolekcjoner Kości

Puste krzesło

Konflikt interesów

Wkrótce Manuskrypt

Chopina

**MICHAEL CONNELLY** Cmentarzysko

Zagubiony blask

Kanał

Wydział spraw zamkniętych

Adwokat Muzyka z kufra

Kroniki kryminalne Echo Park

Ciemność mroczniej sza niż noc

**Wkrótce**

Punkt widokowy

**COLIN FORBES** Burza krwi

Bez litości

Śmierć w banku Main Chance

Śmiertelne ostrze

**GEORGE PELECANOS** Nocny Ogródnik

Zawrócić

# JEFFERY DEAVER

Przełożyła Anna Dobrzańska

Pruszyński i S-ka

Tytuł oryginału MORE TWISTED.  
COLLECTED STORIES VOL. II

Copyright © 2006 by Jeffery Deaver  
All rights reserved.

Projekt okładki  
Ewa Wójcik

Ilustracja na okładce  
Jacek Kopalski

Redaktor prowadzący  
Renata Smolińska

Redakcja  
Wiesława Karaczewska

Redakcja techniczna  
Elżbieta Urbańska

Korekta Grażyna  
Nawrocka

Łamanie  
Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7469-885-6

Warszawa 2008

Wydawca  
 Prószyński i S-ka SA  
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Druk i oprawa  
ABEDIK S.A.  
61-811 Poznań, ul. Ługańska 11

*Johnowi Gilstrapowi*



# Wstęp

Od czasu do czasu robię coś znacznie bardziej przerażającego niż pisanie chorych i pokreconych powieści i opowiadań; chwytam za mikrofon i staję przed pomieszczeniem pełnym ludzi.

Nie, nie mówię tu o programach typu „Idol”, lecz o wykładaniu literatury.

Jedno z najczęściej zadawanych pytań, kiedy bawię się w profesora, brzmi: Czy zanim zabiorę się do pisania powieści, powinienem pisać opowiadania? Moja odpowiedź brzmi: nie. To nie to samo co rozpoczęcie nauki jazdy na rowerze od trzykołowego trycykla i przesiadanie się na rower. Wybaczcie, proszę, niezdarność, z jaką łączę porównania, ale opowiadania i powieści to nawet nie to samo co jabłka i pomarańcze; to jabłka i ziemniaki.

Powieści są jak czyhające na czytelnika emocjonalne pułapki. Aby je uaktywnić, autor musi stworzyć realne postaci, wymyślić realistyczne tło, poczynić niezbędne przygotowania i wyznaczyć odpowiednie tempo i granicę pomiędzy spokojem i zadumą a całkowitym szaleństwem.

Inaczej jest z opowiadaniem. Jak napisałem we wstępie do pierwszego zbioru opowiadań: Autor opowiadania nie odpłaca się czytelnikom fabułą pełną efektownych zwrotów akcji, rozgrywającą się w konkretnych, sugestywnie opisanych miejscach, z udziałem bohaterów, których długo poznawali, których zdążyli pokochać lub zniechęcić. Opowiadanie przypomina pocisk wystrzelony przez snajpera. Szybki i porażający. W opowiadaniu mogę uczynić zło z dobra, ze zła jeszcze większe zło, największą przyjemność sprawia mi sytuacja, gdy coś naprawdę dobrego okazuje się naprawdę złe.

Tytuł zbiorów opowiadań (pierwszy brzmiał „Spirale strachu”) nie jest przypadkowy. Dla mnie opowiadania polegają na zaskakującym, zapierającym dech w piersi zaskoczeniu. Kilka lat temu napisałem książkę o psychotycznym iluzjonście i dotarło do mnie, że powieść ta - na

swój sposób - traktowała również o mnie (dodam szybko, że jako autorze; nie psychopacie czy magiku). Zbierając materiały do tej właśnie powieści, dowiedziałem się wiele na temat rozmaitych sztuczek, niewłaściwego wykorzystania talentu, umiejętności odwracania uwagi i iluzji. Zrozumiałem też, że tym właśnie zajmuję się od lat, wywołując w czytelnikach uczucie samozadowolenia, a kiedy najmniej się tego spodziewają, atakując ich ze zdwojoną siłą.

Podczas gdy oni w skupieniu patrzą na moją lewą dłoń, prawa szykuje się do zadania ciosu.

Jako że pierwszy zbiór opowiadań ukazał się w 2003 roku, postanowiłem wziąć krótki urlop i napisać kolejne opowiadania; wszystkie one pozostają wierne filozofii, o której już wspominałem: Wyrzucie przez okno moralność i sentymenty i sięgnijcie po ściskające trzewia, nieoczekiwane zwroty akcji.

W tym zbiorze, podobnie jak w poprzednim, znajdziecie szeroką gamę opowiadań na moje ulubione tematy. To zemsta, pożądanie, psychoza, zdrada, chciwość oraz zdrowe (że się tak wyrażę) relacje w dysfunkcyjnej rodzinie. Jest tu opowiadanie osadzone we Włoszech oraz takie, którego akcja rozgrywa się w wiktoriańskiej Anglii. Jest tu sprytny prawnik w małym mieście oraz naiwni turyści w wielkim mieście. Zobaczycie podglądaczy, pozbawionych skrupułów morderców, moją własną wersję „Kodu Leonarda da Vinci”, a nawet historię o - kto by pomyślał? - pisarzu, który pisze powieści grozy.

Dla tych, którzy chcieliby zgłębić tajniki tego zawodu, dołączyłem krótkie posłowie do opowiadania „Lęk”, ilustrujące, w jaki sposób wplatam w fikcję literacką pojęcie strachu. Umieściłem je na końcu książki, aby nie uprzedzać faktów.

W końcu chciałbym podziękować osobom, które zachęcały mnie do napisania tych opowiadań; w szczególności Janet Hutchins i jej nieoczekiwane „Ellery Queen's Mystery Magazine”, Marty'emu Greenburgo-wi, Ottonowi Penzlerowi, Deborah Schneider, Davidowi Rosenthalowi, Marysue Rucci i -jak zawsze - Madelyn Warcholik.

Tak więc usiądźcie wygodnie, delektujcie się lekturą i sprawdźcie, czy potraficie odgadnąć moje zamiary. Miejcie też oko na moją prawą dłoń.

A może powinienem powiedzieć: lewą?

J.W.D.

## Rozdział i wers

Wielebny... mogę zwracać się do pana „wielebny“?  
Pulchny mężczyzna w koloratce uśmiechnął się.

- Mnie to nie przeszkadza.

- Detektyw Mikę Silverman z powiatowego biura szeryfa. Wielebny Stanley Lansing pokiwał głową i spojrzął na identyfikator i odznakę, które podsunął mu szczupły, siwiejący detektyw.

- Czy coś się stało?

- Nic, co dotyczyłoby pana. To znaczy, nie bezpośrednio. Miałem tylko nadzieję, że pomoże nam pan rozwiązać pewną sprawę.

- Sprawę. Hm. Cóż, zapraszam więc do środka.

Mężczyźni weszli do biura przylegającego do Pierwszego Kościoła Prezbiteriańskiego w Bedford - uroczej białej świątyni, którą Silverman mijał tysiące razy w drodze do pracy, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi.

To znaczy, aż do dzisiejszego poranka, kiedy wydarzyło się morderstwo.

Biuro wielebnego Lansinga pachniało stęchlizną, a większość mebli pokrywał delikatny meszek kurzu. Widać było, że mężczyzna jest zakłopotany.

- Muszę pana przeprosić. Przez ostatni tydzień byliśmy z żoną na wakacjach. Ona została jeszcze nad jeziorem; ja wróciłem, żeby napisać kazanie i wygłosić je w niedzielę przed moją trzódką. - Mówiąc to, zaśmiał się drwiąco. - Jeśli w ogóle ktokolwiek się pojawi. Zabawne, jak ludzie przypominają sobie o kościele w okresie świąt Bożego Narodzenia i zapominają o nim w czasie wakacji. - Duchowny rozejrzał się po pomieszczeniu i zmarszczył brwi. - Obawiam się, że nie mogę pana nawet niczym poczęstować. Sekretarka również ma wolne. Choć jeśli mam być szczery, wolałbym, żeby nie kosztował pan jej kawy.

- Nie szkodzi - odparł Silverman.



- A zatem co mogę dla pana zrobić?
- Nie zabiorę panu wiele czasu. Potrzebuję fachowej porady kogoś, kto zna się na religii. Poszedłbym do rabina mojego ojca, ale kwestia dotyczy Nowego Testamentu. To chyba pana działka, prawda? W każdym razie bardziej niż nasza.
- Cóż - odparł duchowny, wycierając okulary o klapę marynarki i wkładając je na nos -jestem tylko pastorem z prowincji; żaden ze mnie ekspert. Myślę jednak, że znam Mateusza, Marka, Łukasza i Jana lepiej niż przeciętny rabin. Proszę więc pytać.
- Słyszał pan o programie ochrony świadków, prawda?
- Co, jak w „Rodzinie Soprano”?
- Mniej więcej tak to wygląda. Programem federalnym zajmują się komendanci policji. My mamy własne, stanowe systemy ochrony świadków.
- Naprawdę? Nie wiedziałem. W każdym razie brzmi to sensownie.
- Jestem odpowiedzialny za tutejszy program, a jeden z chronionych przez nas ludzi ma zeznawać jako świadek w procesie w Hamilton. Naszym zadaniem jest chronić go w trakcie procesu, a po uzyskaniu wyroku skazującego zdobyć dla niego nową tożsamość i wywieźć go poza granice stanu.
- To jakiś proces w sprawie mafii?
- Coś w tym stylu.

Silverman nie mógł zdradzać szczegółów sprawy, niczym świadek Randall Pease - ochroniarz dealera narkotyków Tommy'ego Doyle'a -który widział, jak jego szef wpakował kulkę w głowę swego konkurenta. Mimo iż Doyle słynął z tego, że bez skrupułów mordował każdego, kto stanowił dla niego choćby najmniejsze zagrożenie, Pease zgodził się zeznawać w zamian za złagodzenie wyroku za napaść, narkotyki i napad z bronią w ręku. W trosce o bezpieczeństwo Pease'a prokurator stanowy nakazał przewieźć go sto mil od Hamilton i oddać pod jurysdykcję Silvermana. Chodziły bowiem plotki, że Doyle zrobi wszystko; zapłaci każde pieniądze, by pozbyć się niewygodnego świadka, którego zeznania mogłyby oznaczać dla niego karę śmierci lub dożywocie. Silverman ukrył Pease'a w bezpiecznym domu nieopodal biura szeryfa i zapewnił mu całodobową ochronę. Unikając nazwisk, detektyw pokrótce przedstawił wielebnemu całą sytuację, po czym dodał:

- Niestety, pojawiły się problemy. Mieliśmy Zł - zaufanego informatora...
  - Chodzi o donosiciela, tak?
- Silverman roześmiał się.

- Nauczyłem się tego z „Prawa i porządku”. Kiedy tylko mogę, oglądam go. „CSI. Zagadki kryminalne...” też. Uwielbiam seriale o gliniarzach.

- Na chwilę zmarszczył czoło. - Mogę mówić „gliniarze”?

- Mnie to nie przeszkadza... W każdym razie nasz informator zdobył informacje, że wynajęto profesjonalnego zabójcę, który ma zamordować naszego świadka przed przyszlotygodniowym procesem.

- Płatny morderca?

- Właśnie.

- A niech mnie. - Wielebny zmarszczył brwi i potarł dłonią szyję nad szytwną, białą koloratką.

- To jeszcze nie wszystko. Żli faceci dowiedzieli się o informatorze, znaleźli go i zabili, zanim ten zdążył powiedzieć nam, kim jest zabójca i w jaki sposób zamierza zabić świadka.

- Och, tak mi przykro - rzekł duchowny ze współczuciem. - Pomodłę się za jego duszę.

Silverman mruknął anemiczne podziękowanie, choć w głębi duszy wierzył, że mała donosielska gnida zasługiwała na ekspresową podróż do piekła; nie tylko za to, że była uzależnionym od narkotyków, życiowym śmieciem, lecz przede wszystkim dlatego, że przed śmiercią nie zdążyła poinformować detektywa o szczegółach planowanego zamachu. Detektyw Mikę Silverman nie zwierzył się duchownemu, że ostatnio sam miał w biurze szeryfa poważne kłopoty, a ochrona świadka była karą za to, że od jakiegoś czasu nie zamknął żadnej istotnej sprawy. Musiał mieć pewność, że tym razem wszystko pójdzie gładko, i pod żadnym pozorem nie mógł dopuścić do zamordowania Pease'a.

- I tu właśnie liczę na pańską pomoc - ciągnął Silverman. - Kiedy zdążano naszego informatora, ten nie umarł od razu. Zdążył jeszcze na pisać liścik z cytatem z Biblii. Przypuszczamy, że jest to wskazówka z informacją o tym, w jaki sposób płatny zabójca zamierza wykończyć świadka. Niestety, całość stanowi zagadkę, której nie możemy rozgryźć.

Wielebny zdawał się zaintrygowany.

- Mówi pan, że to coś z Nowego Testamentu?

- Tak - odparł Silverman, otwierając notes. - W notatce napisano: „Oto nadchodzi. Miejcie się na baczności”. Później podano rozdział i werset z Biblii. Sądzymy, że autor chciał napisać coś jeszcze, ale nie zdążył. Nasz informator był katolikiem, więc całkiem dobrze znał Pismo Święte. Wiedział, że jest w tym cytacie coś szczególnego. Coś, co podpowie nam, w jaki sposób morderca zamierza uderzyć.

Wielebny odwrócił się i przejrzał półkę w poszukiwaniu Biblii. Chwilę później znalazł ją i otworzył.

- Który werset?
- Łukasz, dwanaście, piętnaście.

Duchowny odszukał fragment i odczytał go na głos:

- „Powiedział też do nich: Uważajcie i strzeżcie się wszelkiej chciwości, bo nawet gdy ktoś ma wszystkiego w nadmiarze, to życie jego nie zależy od jego mienia”\*.

- Mój partner przyniósł z domu Biblię. Jest chrześcijaninem, ale nie dewotem... To znaczy, nie chciałem nikogo urazić.

- Nie ma o czym mówić. Jesteśmy prezbiterianami, nie dewotami.

Silverman uśmiechnął się.

- Nie miał pojęcia, o co mogło tu chodzić. Pomyślałem więc o pańskim kościele; jest najbliżej posterunku i przyszło mi do głowy, że wpadnę i zobaczę, co wielebny o tym sądzi. Jest w tym cytacie coś, co mogłoby sugerować, w jaki sposób oskarżony zamierza pozbyć się świadka?

Wielebny przeczytał kilka kolejnych stron, cienkich niczym bibułka.

- Ten fragment pochodzi z jednej z Ewangelii, gdzie różni uczniowie opowiadają historię Jezusa. W rozdziale dwunastym Ewangelii według świętego Łukasza Jezus ostrzega ludzi przed faryzeuszami i nakłania ich, aby porzucili grzeszne życie.

- Kim dokładnie byli faryzeusze?

- Sektą religijną. Najprościej mówiąc, wierzyli, że Bóg istnieje po to, by służyć im, a nie odwrotnie. Uważali się za lepszych od innych i ponizali ich. Przynajmniej wówczas tak to wyglądało. Nie wiadomo jednak, czy historie te są prawdziwe. Ludzie zajmujący się polityką już wtedy manipulowali słowem, tak jak robią to teraz. - Wielebny Lansing spróbował zapalić stojącą na biurku lampkę, jednak ta nie działała. Przez chwilę majstrował przy zasłonach, aż w końcu rozsunał je, wpuszczając do biura odrobinę światła. Kilkakrotnie przeczytał fragment, mrużąc w skupieniu oczy i kiwając głową.

Silverman rozejrzał się po ciemnym pomieszczeniu. Jego znaczną część zajmowały książki, sprawiając, że bardziej niż kancelarię parafialną przypominało ono gabinet profesorski. Żadnych zdjęć ani osobistych rzeczy. Można by się spodziewać, że nawet duchowny powinien mieć na ścianach czy biurku zdjęcia swojej rodziny.

W końcu mężczyzna podniósł wzrok.

- Jak na razie nic mi nie przychodzi do głowy. - Wydawał się poirytowany.

\* Łukasz 12:15, Biblia Tysiąclecia (rok wydania 2000).

SiWerman czuł się podobnie. Odkąd rankiem znaleziono zwłoki informatora, detektyw zmagał się ze słowami z Ewangelii, starając się rozszyfrować.

Uważajcie!...

Tymczasem wielbny Lansing kontynuował:

- Muszę jednak przyznać, że zafascynował mnie ten pomysł. To tak jak w „Kodzie Leonarda da Vinci”. Czytał pan?

-Nie.

- To świetna zabawa. Wszystko opiera się na sekretnych kodach i ukrytych wiadomościach. Jeśli to panu nie przeszkadza, chciałbym trochę nad tym posiedzieć i pogłównować. Uwielbiam zagadki.

- Byłbym wdzięczny.

- Zrobię, co w mojej mocy. Rozumiem, że mężczyzna jest pilnie strzeżony.

- Jasne, choć przewiezienie go do sądu będzie dość ryzykowne. Musimy się dowiedzieć, co dokładnie planuje zabójca.

- Rozumiem, że im wcześniej się o tym dowiedzie, tym lepiej.

- Tak, proszę pana.

- Zaraz się do tego zabiorę.

Silverman, wdzięczny za oferowaną pomoc, choć zniechęcony faktem, że nie uzyskał gotowej odpowiedzi, szedł przez pogrążony w ciszy, pusty kościół. Chwilę później wsiadł do samochodu i pojechał do bezpiecznego lokum, by sprawdzić, co słychać u Raya Pease'a. Świadek był w typowym dla siebie podłym humorze i bez przerwy narzekał, jednak nianczący go funkcjonariusz zgłosił, że do tej pory nie zauważył wokół domu niczego niezwykłego. Uspokojony tym faktem detektyw wrócił na posterunek.

W biurze Silverman wykonał kilka telefonów, wypytując, czy którykolwiek z pozostałych informatorów nie słyszał o wynajętym mordercy. Nie słyszeli. Jego wzrok wciąż powracał do przypiętego na ścianie przed biurkiem fragmentu.

„Powiedział też do nich: Uważajcie i strzeżcie się wszelkiej chciwości, bo nawet gdy ktoś ma wszystkiego w nadmiarze, to życie jego nie zależy od jego mienia”.

- Masz ochotę na lunch? - Te słowa wyrwały go z zamyślenia.

Silverman podniósł wzrok i spojrzął na stojącego w drzwiach swego partnera, Steve'a Noveskiego. Młodszy detektyw o przyjemnej, okrągłej twarzy dziecka ostentacyjnie spoglądał na zegarek.

Silverman, wciąż pochłonięty biblijnym cytatem, patrzył na niego w milczeniu.

- Lunch, człowieku - powtórzył Noveski. - Umieram z głodu.
- Nie, muszę to rozgryźć. - Mówiąc to, poklepał okładkę Biblii. - Chyba mam obsesję na tym punkcie.
- Jak sobie chcesz. - Głos młodszego detektywa wręcz ociekał sarkazmem.

Tego wieczoru Silverman wrócił do domu i nieobecny duchem zasiadł z rodziną do kolacji. Towarzyszył im jego owdowiały ojciec, który nie starał się nawet ukryć niezadowolenia z zachowania syna.

- Co tam ciekawego czytasz? Nowy Testament? - Mężczyzna skinął głową w kierunku Biblii, którą Silverman studiował przed kolacją. Potrząsnął głową i zwrócił się do synowej: - Chłopak od lat nie był w synagodze. Nie umiałby znaleźć Pięcioksięgu, który ja i jego matka mu podarowaliśmy, nawet gdyby od tego zależało jego życie. A teraz spójrz, czyta o Jezusie Chrystusie. Co za syn.

- To dla dobra śledztwa, tato - odparł Silverman. - Słuchajcie, mam jeszcze trochę pracy. Zobaczmy się później. Przepraszam.

- Zobaczmy się później, przepraszam? - mruknął staruszek. - Jak ty się zwracasz do żony? Nie masz za grosz szacunku...

Silverman zamknął za sobą drzwi do przyległego pokoju, usiadł przy biurku i sprawdził wiadomości. Lekarz sądowy, badający zostawioną przez informatora notatkę, dzwonił, by poinformować, że na kartce nie znaleziono żadnych istotnych dowodów. Co gorsza, nie można było ustalić, z jakiego źródła pochodzi papier i atrament. Analiza porównawcza pisma wykazała, że notatka została napisana przez ofiarę, choć badanie nie dawało stuprocentowej gwarancji.

Mijały kolejne godziny i wciąż nie było wieści od wielbnego Lansinga. Silverman przeciągnął się z westchnieniem i po raz kolejny spojrzął na cytat.

„Powiedział też do nich: Uważajcie i strzeżcie się wszelkiej chciwości, bo nawet gdy ktoś ma wszystkiego w nadmiarze, to życie jego nie zależy od jego mienia”.

Poczuł gniew. Zginął człowiek, pozostawiając słowa, które miały być dla nich ostrzeżeniem. Co chciał powiedzieć?

Silverman właściwie zignorował ojca, który rzucił od stołu w jego stronę pełne gorczy „do widzenia”, oraz żonę, która przysłała życzyć mu „dobrej nocy” i ostentacyjnie trzasnęła drzwiami. Była wściekła, jednak Michael nie dbał o to. Pragnął jedynie odnaleźć zapisane w wiadomości sekretne przesłanie.

Nagle przypomniał sobie słowa wielbnego. „Kod Leonarda da Vinci”. Kod... Silverman pomyślał o donosicielu. Facet nie ukończył może

colle'u, ale na swój sposób był inteligentny. Może chodziło mu o coś więcej niż dosłowne znaczenie fragmentu. Może zaszyfrował istotne szczegóły w poszczególnych literach?

Dochodziła czwarta nad ranem, jednak Silverman nie poddał się zmęczeniu i wszedł do sieci. Znalazł stronę dotyczącą zagadek i zabawy w słowa. W jednej z gier należało ułożyć jak największą liczbę wyrazów, używając wyłącznie pierwszych liter słów pochodzących z powiedzenia bądź cytatu. Dobra, to może być to, pomyślał Silverman. Spisał na kartce pierwsze litery każdego słowa i zaczął je przedstawiać.

W rezultacie otrzymał kilka imion: Tom, Jim... i dziesiątki innych słów: sto, żuk, bidon, wino...

Cóż, Tom mógł oznaczać Tommy'ego Doyle'a, pozostałe słowa jednak nie miały ze sobą żadnego związku.

Jakich jeszcze kodów mógłby spróbować?

Zdecydował się na najprostszy, przypisując poszczególnym literom kolejne liczby. A równało się 1, B - 2 i tak dalej. Kiedy jednak zastosował tę regułę, otrzymał stosy kartek zapisanych setkami przypadkowych cyfr. Beznadzieja, pomyślał. To jak próba odgadnięcia hasła, które chroni dostęp do komputera.

Wtedy przypomniał sobie o anagramach - słowach tworzonych z po-przestawianych liter danego wyrazu lub wyrażenia. Po chwili poszukiwań znalazł stronę z generatorem anagramów, programem komputerowym, który pozwalał na wprowadzenie wyrazu, a chwilę później wypływał wszystkie możliwe anagramy, powstałe w wyniku przestawiania liter.

Przez kolejne godziny Silverman wpisywał pochodzące z cytatu poszczególne słowa i kombinacje słów, a następnie sprawdzał wyniki. O szóstej, kompletnie wyczerpany, zamierzał dać za wygraną i położyć się spać. Kiedy jednak układał wydruki ściągniętych anagramów, przypadkiem zerknął na kartkę z anagramami utworzone ze słów „powiedział” i „wszystkiego”: „szpieg”, „wiedzie”, „złap”, „sepsa”...

Coś wywołało jego niepokój.

- Sepsa? powiedział na głos. Brzmiało znajomo. Sprawdził słowo w Internecie. Oznaczało infekcję. Zatrucie krwi.

Był prawie pewien, że wpadł na właściwy trop, i podekscytowany zaczął przeglądać kolejne kartki. Słowo „nadmiarze” utworzyło anagram „dr”.

Tak!

Ze słowa „wszelkiej” powstał anagram „lek”.

Dobra, pomyślał tryumfalnie. Mam cię.

Detektyw Mikę Silverman uczcił swój sukces, zasypiając w fotelu.

Obudził się godzinę później, wściekły na terkot pobliskiego silnika, dopóki nie dotarło do niego, że to jego własne chrapanie.

Detektyw zamknął wyschnięte usta, krzywiąc się z bólu, wyprostował obolałe plecy i usiadł w fotelu. Chwilę później rozmasował sztywny kark i oślepiiony słońcem wlewającym się do domu przez oszklone drzwi, chwiejnym krokiem powlókł się na górę do sypialni.

- Już wstałeś? - spytała nieprzytomnym głosem żona, która z łóżka rzuciła okiem na jego spodnie i koszulę. - Jest wczesnie.

- Śpij jeszcze.

Po szybkim prysznicu ubrał się i pognął do biura. O ósmej Silver-man i jego partner Steve Noveski byli w gabinecie kapitana.

- Rozgryzłem to.

- Co? - spytał przełożony, łysiejący mężczyzna z obwisłymi policzkami.

Zaskoczony Noveski zerknął na swego partnera; dopiero przyjechał do biura i nie miał jeszcze okazji usłyszeć teorii Silvermana.

- Wiadomość, którą zostawił informator. W jaki sposób Doyle zamierza zabić Pease'a.

Kapitan słyszał o biblijnym fragmencie, nie przykładał jednak do niego większej wagi. - A więc w jaki? - spytał sceptycznie.

- Lekarze - ogłosił Silverman.

-Co?

- Myślę, że zamierza wykorzystać lekarza, żeby dostać się do Pease'a.

- Mów dalej.

Silverman opowiedział o anagramach.

- To coś jak krzyżówki?

- Mniej więcej.

Noveski milczał, jednak sądząc po jego minie, on również nie dawał wiary rewelacjom Silvermana.

Pociągła twarz kapitana skrzywiła się.

- Chwileczkę. Chcesz powiedzieć, że nasz informator, leżąc z pode-rżniętym gardłem, bawił się z nami w gierki słowne?

- To zabawne, jak pracuje ludzki umysł, co widzi i co potrafi odczytać.

- Zabawne - mruknął kapitan. - Mnie cała ta teoria wydaje się trochę... Zaraz, zaraz, jak brzmiało to słowo... Naciągana. Wiesz, co to znaczy?

- Chciał przekazać nam wiadomość i upewnić się, że Doyle nie odkryje wskazówki. Musiał napisać coś tak subtelnego, żeby chłopcy Doyle'a nie dowiedzieli się tego, co wiemy, ale nie tak subtelnego, byśmy nie mogli odgadnąć znaczenia.

- No, nie wiem.

Silverman potrząsnął głową.

- Myślę, że o to tu chodzi. - Wyjaśnił, że Tommy Doyle często płacił ogromne sumy genialnym, bezwzględny mordercom, którzy udając gościa innego, podkradali się do niczego nieświadomych ofiar. Silverman przypuszczał, że morderca kupi albo ukradnie fartuch lekarski, zdobędzie fałszywy identyfikator i stetoskop albo inny sprzęt, który zwykle mają przy sobie lekarze. Następnie kilku koleśków Doyle'a przeprowadzi prowizoryczny zamach na życie Pease'a - wprowadzi go w bezpiecznym do domu nie mogli go zabić, istniała jednak szansa, że uda im się go zranić. - Może zatrucie pokarmowe - zgadywał Silverman, mając w pamięci wyraz „sepsa”. - A może zaplanują pożar, poinformują o ulatniającym się gazie albo coś w tym rodzaju. Przebrany za lekarza morderca zostanie wpuszczony do domu i zabije Pease'a. Albo świadka przewiezie się do szpitala, a wówczas dopadną go na oddziale urazowym.

Kapitan wzruszył ramionami.

- Dobra, możesz to sprawdzić, pod warunkiem że nie zawalisz ruty nowych procedur. Tym razem nie wolno nam spieprzyć sprawy. Jeśli stracimy Pease'a, dostaniemy w dupę.

Choć mówił w pierwszej osobie liczby mnogiej, Silverman wiedział, że w praktyce oznacza to „stracisz” i „dostaniesz”.

- W porządku.

Idąc korytarzem do biura, spytał swego partnera:

- Który z lekarzy dyżuruje pod telefonem na wypadek, gdyby coś stało się w bezpiecznym domu?

- Nie wiemy, chyba zespół z Forest Hill Hospital.

- Jak to „nie wiemy”? - warknął Silverman.

- Ja nie wiem.

- To dowiedz się, do cholery! Potem zadzwoń do bezpiecznego domu i powiedz niańce, że jeśli Pease poczuje się źle, będzie potrzebował lekarstwa albo pieprzonego bandaża, ma natychmiast do mnie dzwonić. Niech nie ogląda go żaden lekarz, dopóki nie potwierdzimy jego tożsamości, a ja osobiście nie wyrażę zgody na wizytę.

- Dobra.

- Zadzwoń też do kierownika Forest Hill i powiedz mu, że jeśli jakiś lekarz, ratownik czy pielęgniarka, ktokolwiek, nie pojawił się dziś w pracy albo zadzwonił, że jest chory, ma mnie o tym poinformować. To samo dotyczy lekarzy, których nie jest w stanie rozpoznać.

Noveski pośpieszył do swego biura, by wykonać polecenia, Silverman zaś wrócił do biurka. Chwilę później zadzwonił do swego odpo-



wiednika w biurze szeryfa stanowego w Hamilton, poinformował go o swoich przypuszczeniach i dodał, że powinni uważać na kręcących się obok Pease'a pracowników służby zdrowia.

Skończywszy rozmowę, detektyw usiadł w fotelu, przetarł oczy i rozmasował obolały kark. Był coraz bardziej przekonany o swojej racji i o tym, że wiadomość pozostawiona przez umierającego informatora wskazywała, że morderca podszyje się pod któregoś z pracowników służby zdrowia. Po raz kolejny podniósł słuchawkę i przez kolejne godziny nękał telefonami szpitale i stacje pogotowia ratunkowego, pytając, czy nie zaginął któryś z pracowników lub ambulansów.

Zbliżała się pora lunchu, kiedy zadzwonił telefon.

- Halo?

- Silverman! - Opryskliwy ton kapitana natychmiast wyrwał detektywa ze stanu odrętwienia i postawił go na równe nogi. - Właśnie mieliśmy próbę zamachu na życie Pease'a.

Serce Silvermana waliło jak młotem. Detektyw pochylił się w fotelu.

- Nic mu nie jest?

- Nic. Ktoś w suwie oddał trzydzieści, czterdzieści strzałów w kierunku frontowych okien bezpiecznego domu. Pociski miały stalowe płaszcze, więc przebiły się przez szkło zbrojone. Pease i jego ochroniarz oberwali odłamkami, ale to nic poważnego. W normalnej sytuacji wysłalibyśmy ich do szpitala, ale pomyślałem o tym, co mówiłeś; że morderca prawdopodobnie podszyje się pod lekarza albo ratownika, więc pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli przywieziemy Pease'a prosto do aresztu. Dopilnuję, żeby zajęli się nim i ochroniarzem nasi lekarze.

- Dobra.

- Potrzymamy go tu przez dzień lub dwa i wyślemy do Ronanka Falls, gdzie zajmą się gościami federalni.

- Wyślijcie też kogoś na urazówkę w Forest Hill i sprawdźcie lekarzy. Zabójca może myśleć, że przywiozą tam Pease'a, i będzie na niego czekał.

- Już o tym pomyślałem - odparł kapitan.

- Kiedy spodziewacie się Pease'a?

- Może tu być w każdej chwili.

- Opróżnię areszt. - Rozłączył się i po raz kolejny przetarł oczy. Jak, do diabła, Doyle dowiedział się o bezpiecznym domu? Był to najlepiej strzeżony sekret w całym wydziale. Skoro jednak nikt nie został ranny, Silverman po raz kolejny pogratulował sobie w duchu. Jego teoria potwierdziła się. Morderca wcale nie zamierzał zabić Pease'a. Chciał tylko wstrząsnąć nim i wywołać taką jatkę, by świadek padł na podłogę i skaleczył

łokieć albo został zraniony odłamkiem. Przewiezienie go na oddział urazowy oznaczało, że Pease trafiłby wprost w ramiona płatnego zabójcy.

Zadzwoił do kierownika więziennego aresztu i nakazał, aby przebywający w celach więźniowie zostali tymczasowo przewiezieni na posterunek miejski. Polecił też poinformować o wszystkim strażników, którzy mieli bezwzględnie zidentyfikować towarzyszących Pease'owi lekarza i ochroniarza.

- Już to zrobiłem. Wie pan, słyszałem, co mówił kapitan.

Silverman miał się rozłączyć, kiedy przypadkiem zerknął na wiszący na ścianie zegar. Było południe, początek drugiej zmiany.

- Poinformował pan popołudniową zmianę o całej sytuacji?

- Och. Zapomniałem. Zaraz to zrobię.

Wściekły Silverman odłożył słuchawkę. Czy o wszystkim musiał myśleć sam?

Właśnie zamierzał udać się do izby zatrzymań i osobiście powitać Pease'a i jego ochroniarza, gdy po raz kolejny zadzwonił telefon. Oficer dyżurny poinformował detektywa, że ma gościa.

- To wielbny Lansing. Powiedział, że pilnie musi się z panem zobaczyć. Mówi, że rozszyfrował wiadomość i że będzie pan wiedział, o co chodzi.

- Zaraz tam będę.

Silverman skrzywił się. Rankiem, kiedy udało mu się rozgryźć wiadomość, zamierzał zadzwonić do duchownego i poinformować, że jego pomoc nie jest już potrzebna. O wszystkim jednak zapomniał. Cholera... Zrobił dla tego faceta coś miłego. Może przekaże jakieś pieniądze na kościół albo zaprosi wielbego na lunch, żeby mu podziękować. Tak, lunch będzie dobry. Mogliby porozmawiać o serialach policyjnych.

Detektyw zastał wielbego Lansinga przy frontowym biurku. Widząc, jak mizernie wygląda duchowny, Silverman skrzywił się.

- Spał pan w ogóle ubiegłej nocy?

Duchowny się roześmiał.

- Nie. Pan chyba zresztą też.

- Proszę za mną, wielbny. Proszę powiedzieć, co pan znalazł. - Mówiąc to, prowadził mężczyznę korytarzem w kierunku wyjścia. Uznał, że nie zaszkodzi wysłuchać teorii księdza.

- Chyba mam rozwiązanie zagadki.

- Proszę mówić.

- Cóż, pomyślałem, że nie powinniśmy ograniczać się wyłącznie do wersetu piętnastego, który jest tylko wstępem do przypowieści. To tu, moim zdaniem, należy szukać odpowiedzi.

Silverman pokiwał głową, przypominając sobie to, co wyczytał w Biblii Noveskiego.

- Przypowieść o rolniku?

- Właśnie. Jezus opowiada w niej o zamożnym rolniku, któremu obrodziły plony. Mężczyzna nie wie, co począć z nadmiarem zboża. W końcu wpada na pomysł, że zbuduje większe spichlerze, a resztę życia spędzi, ciesząc się tym, czego dokonał. Jednak Bóg karze go za ową chciwość, sprawiając, że człowiek opływa w dobra materialne, jednak jest zubożały duchowo.

- W porządku - odparł Silverman. Jak do tej pory nie widział żadnego związku z wiadomością.

Wielebny najwyraźniej wyczuł jego powątpiewanie.

- Motywem przewodnim fragmentu jest chciwość. Sądzę więc, że to właśnie może być klucz do tego, co chciał powiedzieć panu ten biedny człowiek.

Dotarli do wyjścia i dołączyli do uzbrojonego strażnika, oczekującego na przybycie opancerzonego vana, którym transportowano Pease'a. Silverman zauważył, że nie wszyscy więźniowie są w autobusie mającym przewieźć ich na posterunek.

- Powiedz im, żeby wsiedli - rozkazał strażnikowi i odwrócił się do duchownego, który ciągnął:

- Zadałem więc sobie pytanie, czym w dzisiejszych czasach jest chciwość, i doszedłem do wniosku, że to Enron, Tyco, CEO, magnaci inter-netowi i... Cahill Industries.

Silverman powoli skinął głową. Robert Cahill był niegdyś szefem potężnej firmy, zajmującej się przemysłem rolnym. Kiedy ją sprzedał, zajął się nieruchomościami i wznosił w hrabstwie dziesiątki budynków. Niedawno został oskarżony o uchylanie się od płacenia podatków i wykorzystywanie w transakcjach poufnych informacji.

- Zamożny rolnik - zastanawiał się głośno Silverman. - Doświadcza nieoczekiwanego przyływu gotówki i pakuje się w kłopoty. Jasne. Dokładnie jak w przypowieści.

- To jeszcze nie wszystko - dodał podekscytowany duchowny. - Kilka tygodni temu w gazecie pojawił się artykuł wstępny o Cahillu. Próbowałem go znaleźć, ale nie udało się. Jeśli dobrze pamiętam, redaktor cytował w nim kilka biblijnych fragmentów, dotyczących chciwości. Nie pamiętam, które to były, ale jestem pewien, że jeden z nich pochodził z Ewangelii świętego Łukasza, rozdział dwunasty, wersety piętnasty.

Stojący przy strefie załadunku Silverman patrzył na zbliżającą się furgonetkę, w której przewożono Randy'ego Pease'a. Kiedy opancerzo-

ny van podjechał tyłem w kierunku wejścia, detektyw i strażnik rozejrzeli się dookoła. Czysto. Silverman uderzył pięścią w tylne drzwi, zza których wyskoczyli świadek i towarzyszący mu strażnik. Furgonetka odjechała.

Pease natychmiast zaczął narzekać. Atak na bezpieczny dom kosztował go niewielkie rozcięcie na czole i siniaka na szyi, mężczyzna jednak jęczał, jak gdyby wypadł z drugiego piętra. - Chcę lekarza. Popatrzcie na to rozcięcie. Już wdała się infekcja. Do tego cholernie boli mnie ramię. Co trzeba zrobić, żeby traktowali tu człowieka po ludzku?

Gliniarze mają niezwykle dar ignorowania trudnych podejrzanych i świadków, tak więc Silverman puszczał mimo uszu utyskiwania Pease'a.

- Cahill - rzekł, odwracając się do duchownego. - Jak pan myśli, co to może dla nas oznaczać?

- Cahill jest właścicielem wielu wieżowców w mieście. Zastanawiałem się, czy przewożąc świadka do sądu, nie będziecie mijać któregoś z nich.

- Możliwe.

- Niewykluczone, że na szczycie będzie snajper. - Wielebny uśmiechnął się. - Właściwie nie wymyśliłem tego sam. Widziałem podobną sytuację w telewizji.

Silverman poczuł na plecach zimny dreszcz.

Snajper?

Podniósł wzrok znad przejścia. Sto metrów dalej znajdował się wieżowiec, z którego snajper miałby doskonały widok na miejsce, w którym stali teraz Silverman, duchowny, Pease i dwóch strażników. Niewykluczone, że budynek należał do Cahilla.

- Do środka! - wrzasnął. - Natychmiast!

Mężczyźni rzucili się w kierunku korytarza, a towarzyszący Pease'owi strażnik zatrzasnął drzwi do aresztu. Przerażony tym, co mogło się wydarzyć, Silverman podniósł słuchawkę i zadzwonił do kapitana. Chwilę później opowiedział przełożonemu o teorii wielebnego Lansinga.

- Rozumiem - usłyszał. - Ostrzelali bezpieczny dom, by wykurzyć Pease'a, sprowadzić go tutaj i umieścić snajpera na dachu wieżowca. Wysłałam tam grupę taktyczną, żeby przeczesała teren. Hej, kiedy już zamkniecie Pease'a, wpadnij do mnie z tym księdzem. Nieważne, czy ma rację; chcę mu podziękować.

- Zrobione. - Detektyw był wściekły, że pomysł wielebnego spotkał się z większym zainteresowaniem niż jego własny, w tym momencie jednak zaakceptowałby każdą teorię, byle tylko oznaczała utrzymanie Pease'a przy życiu.

Kiedy stali w mrocznym korytarzu, czekając, aż ostatni więźniowie opuszczą areszt, Pease - chudzielec o strąkowatych włosach - zaczął znowu marudzić, cedząc przez zęby kolejne słowa:

- To znaczy, że gdzieś tam był snajper, a wy, kurwa, nie mieliście o tym pojęcia? Na litość boską, co z was, kurwa, za policjanci... proszę wybaczyć mój język, ojcze. Posłuchajcie, dupki, nie jestem podejrzanym, jestem gwiazdą tego przedstawienia, beze mnie...

- Zamknij się, do cholery - warknął Silverman.

- Nie możesz tak do mnie...

Nim zdążył dokończyć, zadzwonił telefon Silvermana i detektyw odszedł na bok, by odebrać połączenie.

- Halo?

- Dzięki Bogu, że jesteś - jęknął zdyszczonym głosem Noveski. - Gdzie Pease?

- Tuż przede mną - odparł Silverman. - Nic mu nie jest. Jednostka taktyczna przeczesuje pobliskie budynki w poszukiwaniu snajperów. O co chodzi?

- Gdzie wielebny? - spytał Noveski. - W księdze wejść i wyjść nie ma jego podpisu.

- Jest tutaj, ze mną.

- Posłuchaj, Mike, tak sobie myślałem... a jeśli to nie informator zostawił wiadomość?

- W takim razie kto?

- Może zabójca. Ten, którego wynajął Doyle.

- Zabójca? Po co miałby zostawiać wskazówkę?

- To nie jest wskazówka. Pomyśl tylko. Facet napisał cytat z Biblii i zostawił go przy ciele, żeby wyglądało, że to robota informatora. Zabójca wiedział, że będziemy szukać pomocy u księdza, ale nie było jakiego księdza, tylko tego, którego kościół znajduje się najbliżej posterunku.

Silverman instynktownie wiedział, jaki będzie finał tej opowieści. Wynajęty przez Doyle'a morderca zabija nad jeziorem duchownego i jego żonę, a sam przebiera się za wielebnego. Nagle uprzytomnił sobie, że w kościelnej kancelarii nie było nic, co mogłoby zdradzić tożsamość księdza. Co więcej, człowiek ten miał problemy ze znalezieniem Biblii i nie miał pojęcia, że żarówka w stojącej na biurku lampce była spalona. Silverman pamiętał też, że cały kościół był pusty i pokryty kurzem.

Chwilę później w głowie detektywa pojawiły się kolejne fragmenty układanki. Chłopcy Doyle'a ostrzeliwiają bezpieczny dom, my przywozimy Pease'a do aresztu, w którym niespodziewanie pojawia się duchow-

ny z bajeczką o chciwości, firmie deweloperskiej i snajperze - tylko po to, by dostać się do Silvermana... i Pease'a.

Nagle zrozumiał. Nie było żadnej sekretnej wiadomości. Oto nadchodzi. Miejcie się na baczności - Łukasz 12:15. Ot, nic nieznaczące słowa. Równie dobrze morderca mógł napisać jakikolwiek biblijny werset. Chodziło wyłącznie o to, by policja skontaktowała się z fałszywym kapłanem i pozwoliła mu dostać się do aresztu w tym samym czasie, gdy przebywał tam Pease.

To ja doprowadziłem go wprost do ofiary!

Silverman cisnął słuchawką, wyciągnął broń z kabury, pognął korytarzem i rzucił się na wielebnego. Mężczyzna wrzasnął z bólu i jęknął, kiedy upadek pozbawił go tchu. Detektyw przycisnął broń do szyi zabójcy.

- Nie ruszaj się.
- Co pan wyprawia?
- Co jest? - spytał ochroniarz Pease'a.
- To on jest mordercą! To jeden z ludzi Doyle'a!
- Nie jestem nim. To szaleństwo!

Silverman brutalnie zakuł duchownego w kajdanki i schował broń do kabury. Chwilę później przeszukał go, a kiedy nie znalazł żadnej broni, przyszło mu do głowy, że zabójca zamierzał zabić Pease'a i pozostałych bronią wyrwaną jednemu z policjantów.

Detektyw szarpnięciem postawił duchownego na nogi i przekazał go jednemu ze strażników.

- Zabierz go do pokoju przesłuchań. Będę tam za dziesięć minut. I upewnij się, że jest skutny.

- Tak jest.
- Nie możecie tego robić! - wrzasnął wielebny, kiedy idący za nim strażnik brutalnie pchnął go do przodu. - Popelniacie wielki błąd.

- Zabierz go stąd - warknął Silverman.

Pease zmierzył detektywa pogardliwym wzrokiem.

- On mógł mnie zabić, ty dupku.

Na korytarz wybiegł kolejny strażnik.

- Jakieś problemy, detektywie?

- Wszystko pod kontrolą, ale sprawdź, czy areszt jest już pusty. Chcę widzieć tego mężczyznę za kratkami tak szybko, jak to możliwe! - Mówiąc to, Silverman skinął głową w kierunku Pease'a.

- Tak jest - rzucił strażnik i pognął do wiszącego przy drzwiach zabezpieczających interkomu.

Silverman zerknął w głąb korytarza, gdzie duchowny i towarzyszący mu strażnik znikali właśnie za drzwiami. Czuł, jak drżą mu dłonie. Chryste, niewiele brakowało. Ale przynajmniej świadek był bezpieczny.

Podobnie jak jego praca.

Wciąż nie znalazł odpowiedzi na dręczące go pytania, ale...

- Nie! - usłyszał z tyłu stłumiony krzyk.

Korytarz wypełnił przenikliwy dźwięk, jak gdyby ktoś wbijał siekiere w pień drzewa. Chwilę później rozległ się kolejny trzask, któremu tym razem towarzyszyła woń palonego prochu.

Detektyw odwrócił się, gwałtownie chwytając powietrze, i z przerażeniem stwierdził, że patrzy na strażnika, który przed chwilą dołączył do pozostałych. Młody mężczyzna trzymał w dłoni automatyczny pistolet z tłumikiem. U jego stóp leżały ciała dwóch mężczyzn: Raya Pease'a i chroniącego go funkcjonariusza.

Silverman sięgnął do kabury, jednak zabójca w mundurze strażnika skierował broń w jego stronę i lekko potrząsnął głową. Zrozpaczony detektyw uświadomił sobie, że przynajmniej w części miał rację. Ludzie Doyle'a faktycznie ostrzelali bezpieczny dom, by wykurzyć z niego Pease'a - nie mieli jednak zamiaru wysłać go do szpitala. Wiedzieli, że aby zapewnić facetowi ochronę, gliniarze zabiorą go do aresztu.

Zabójca zerknął w głąb korytarza, jak gdyby chciał się upewnić, że żaden ze strażników nie słyszał ani nie widział tego, co przed chwilą się wydarzyło. Chwilę później lewą ręką wyciągnął z kieszeni nadajnik, nacisnął guzik i rzekł: - Zrobione. Czeka na furgonetkę.

- Dobra - rozległ się w głośniku brzękliwy głos. - Wszystko zgodnie z planem. Spotkamy się na zewnątrz.

- Zrozumiałem. - Mężczyzna schował nadajnik.

Silverman otworzył usta, by błagać mordercę o litość.

Zamilkł jednak i spoglądając na przypięty do munduru mordercy identyfikator, wybuchnął cichym, pełnym rozpaczny śmiechem. A więc wiadomość nie była wcale taka tajemnicza. Umierający informator ostrzegł ich przed płatnym mordercą w przebraniu strażnika, którego imię krzyczało do Silvermana z kawałka plastiku: „Luke”.

Co do rozdziału i wersu, sprawa była równie prosta. Notatka mówiła jedynie, że zabójca zamierza zaatakować na początku drugiej zmiany, by dać sobie piętnaście minut na rozpoznanie terenu i dowiedzieć się, gdzie dokładnie przebywa Pease.

Zgodnie z planem...

Zegar ścienny wskazywał punktualnie 12:15.

## Zabójca z South Shore

Poniedziałek zaczął się fatalnie. Charles Monroe jak zwykle siedział w pociągu 8:11 z Greenwich. Nerwowo przekładał z ręki do ręki teczkę i kawę - która dziś była wyjątkowo chłodna i przypalona - wyjmując z kieszeni telefon i szykując się na kolejną porcję porannych rozmów. Dźwięk dzwonka był nie do zniesienia. Zaskoczył go, przez co na jasnobrązowych spodniach od garnituru pojawił się duży kawowy przecinek.

- Niech to szlag - szepnął, otwierając klapkę telefonu. - Halo?

- Skarbie.

Żona. Ile razy mówił jej, żeby dzwoniła na komórkę tylko w razie nagłych wypadków?

- O co chodzi? - spytał, trąc wściekle płamę, jak gdyby liczył, że już sama złość sprawi, że przecinek zniknie.

- Dzięki Bogu, że cię złapałam, Charlie.

Jasna cholera, czy w biurze ma zapasową parę spodni? Nie. Ale wiedział, skąd może je wytrzasnąć. Zapomniał o plamie, kiedy dotarło do niego, że żona płacze.

- Hej, Cath, uspokój się. Co się stało? - Irytowała go na wiele sposobów - nieustannie oferowała swą pomoc instytucjom charytatywnym i szkołom, ubierała się w sklepach z towarami przecenionymi, zrządziła, że powinien wracać do domu na kolację -jednak nieczęsto zdarzało jej się płakać.

- Znaleźli kolejne - jęknęła Cath, pociągając nosem.

Inaczej niż przy płaczu, często zaczynała rozmowę, jak gdyby oczekiwała, że on instynktownie wie, o co chodzi.

- Kto znalazł kolejne co?

- Kolejne ciało.

A więc o to chodziło. W ciągu kilku ostatnich miesięcy zamordowano dwóch okolicznych mieszkańców. Zabójca z South Shore - jak na-



zwał mordercę jeden z lokalnych brukowców - zadźgał ofiary na śmierć i wypatroszył je, używając do tego myśliwskiego noża. W obu przypadkach mężczyźni zginęli bez konkretnego powodu. Pierwszego zgubiła drobna uliczna sprzeczka. Drugiego - jak przypuszczała policja - zamordowano, ponieważ jego pies nie chciał przestać szczekać.

- I? - spytał Monroe.

- Skarbie -jęknęła Cathy, spazmatycznie łapiąc oddech - znaleźli je w Loudon.

- To daleko od nas.

Jego ton był lekceważący, Monroe jednak czuł lekki dreszcz niepokoju. Jadąc na dworzec kolejowy w Greenwich, każdego ranka przejeżdżał przez Loudon. Może nawet obok ciała.

- Ale to już trzecie!

Też umiem liczyć, pomyślał. Na głos jednak powiedział:

- Cath, kochanie, prawdopodobieństwo, że coś ci zrobi, jest jak jeden do miliona. Nie myśl o tym. Nie rozumiem, czym się tak przejmujesz.

- Nie rozumiesz, czym się przejmuję? - spytała.

Najwyraźniej nie rozumiał. Kiedy było oczywiste, że nie usłyszy odpowiedzi, Cath ciągnęła dalej:

- Tobą. A jak myślisz?

-Mną?

- Wszystkie ofiary to mężczyźni po trzydziestce. I wszyscy mieszkali w okolicach Greenwich.

Potrafię o siebie zadbać - odparł z roztargnieniem, spoglądając przez okno na grupkę dzieci czekających na peronie na nadjeżdżający pociąg. Ich twarze wydały mu się posępne i przez chwilę zastanawiał się, dlaczego nie cieszy ich szkolna wycieczka do miasta.

- Ostatnio tak późno wracasz do domu, kochanie. Martwi mnie, że musisz iść z dworca do samochodu. Ja...

- Cath, jestem naprawdę zajęty. Popatrz na to w ten sposób: Morderca wybiera jedną ofiarę na miesiąc, tak?

- Co takiego?

Monroe ciągnął dalej:

- I właśnie kogoś zabił. Tak więc na jakiś czas możemy o nim zapomnieć.

- Czy to... Żartujesz sobie, Charlie? Tym

razem podniósł głos:

- Cathy, naprawdę muszę już kończyć. Nie mam czasu.

Siedząca naprzeciwko bizneswoman zmierzyła go wściekłym spojrzeniem.

O co jej chodziło?

Chwilę później usłyszał głos.

- Przepraszam pana.

Mężczyzna obok - najpewniej księgowy lub prawnik, zgadywał Monroe - uśmiechnął się do niego kwaśno.

- Tak? - spytał Monroe.

- Przepraszam, ale rozmawia pan dość głośno. Niektórzy z nas próbują czytać.

Monroe zerknął na pozostałych pasażerów. Ich poirytowane twarze mówiły, że facet ma rację.

Nie był w nastroju do wykładów. Wszyscy w pociągu używali komórek. Kiedy któraś dzwoniła, wszyscy natychmiast sięgali do kieszeni.

- No cóż - mruknął - byłem tu pierwszy. Widział pan, że rozmawiam, a mimo to usiadł pan obok. Teraz, jeśli pan wybaczy...

Zaskoczony mężczyzna zamrugał oczami.

- Nie miałem nic złego na myśli. Zastanawiałem się tylko, czy nie mógłby pan mówić trochę ciszej.

Monroe westchnął poirytowany, po czym powrócił do rozmowy z żoną:

- Po prostu nie przejmuj się tym, Cath. Dobrze? A teraz posłuchaj, jutro będę potrzebował tej koszuli z monogramem.

Mężczyzna obdarzył go urażonym spojrzeniem. Chwilę później zabrał gazetę, teczkę i przeniósł się dalej od niego. Krzyż na drogę!

- Jutro? - spytała Cathy.

Monroe właściwie nie potrzebował koszuli, był jednak wściekły na żonę za to, że zadzwoniła, i na mężczyznę, który okazał się kompletnym gburem. Dlatego właśnie kolejne słowa wypowiedział znacznie głośniej, niż to było konieczne:

- Przecież powiedziałem, że będzie mi potrzebna na jutro.

- Chodzi o to, że dziś jestem dość zajęta. Gdybyś wspomniał coś wczoraj wieczorem...

Cisza.

- Dobrze - ciągnęła. - Zrobię to. Ale proszę, obiecuj, że wracając do domu, będziesz na siebie uważał.

- Tak. Obiecuję. Muszę kończyć.

-Pa...

Monroe wcisnął „rozłącz”.

Świetny początek dnia, pomyślał, i chwilę później wybrał numer.

- Poproszę z Carmen Foret - zwrócił się do młodej kobiety, która odebrała telefon.

Do pociągu wsiadali kolejni pasażerowie. Monroe cisnął aktówkę na sąsiednie siedzenie, jak gdyby chciał się upewnić, że żaden z nich nie wpadnie na pomysł, by usiąść obok niego.

Po chwili usłyszał w słuchawce znajomy kobiecy głos.

- Halo?

- Cześć, skarbie, to ja.

Chwila ciszy.

- Miałaś zadzwonić wczoraj wieczorem - odezwała się chłodno kobieta.

Znał Carmen od ośmiu miesięcy. Z tego, co słyszał, była utalentowaną pośredniczką w handlu nieruchomościami i -jak przypuszczał - cudowną, hojną kobietą. Jednak tym, co naprawdę o niej wiedział - i co rzeczywiście go interesowało - był fakt, że miała delikatne, piękne ciało i długie cyrkonowe włosy, które układały się na poduszkach niczym ciepły, lśniący atłas.

- Przepraszam, skarbie, zebranie trwało dłużej, niż przypuszczałem.

- Twoja sekretarka nie uważała, żeby trwało aż tak długo.

Cholera. A więc dzwoniła do biura. Prawie nigdy tego nie robiła.

Dlaczego właśnie wczoraj?

- Skorygowaliśmy umowę i wyskoczyliśmy na drinka. W rezultacie skończyliśmy w Four Seasons. Wiesz, jak to jest.

- Wiem - odparła kwaśno.

- Co robisz w porze lunchu? - spytał.

- Kanapkę z sałatką z tuńczyka, Charlie. A ty?

- Spotkajmy się u ciebie.

- Nie, Charlie. Nie dziś. Jestem na ciebie wściekła.

- Wściekła? Na mnie? Dlatego, że raz nie zadzwoniłem?

- Nie. Dlatego, że odkąd się spotykamy, zapomniałeś o prawie trzyestu telefonach.

Spotykamy? Skąd ona to wytrzasnęła? Była jego kochanką. Sypiali ze sobą. Nie spotykali się, nie chodzili na randki i nie zalecali się do siebie.

- Wiesz, ile mogę zarobić na tej umowie. Nie mogłem zawalić, kochanie.

Cholera. Błąd.

Carmen wiedziała, że tak właśnie zwracał się do Cathy. Kochanie. Nie lubiła, kiedy wobec niej używał tych samych czułości.

- Cóż - odparła lodowatym tonem. - W porze lunchu jestem zajęta. Możliwe, że będę zajęta przez bardzo długi czas. Może nawet do końca życia.

- Daj spokój, dziecinko.

Jej śmiech mówił: Wszystko pięknie, ale nie wybaczyłam ci wpadki z „kochaniem”.

- Nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli wpadnę i coś zabiorę?
- Coś zabierzesz? - powtórzyła.
- Parę spodni.
- Chcesz powiedzieć, że dzwonisz tylko dlatego, że chciałeś odebrać pranie?

- Nie, nie, skarbie. Chciałem cię zobaczyć. Naprawdę. W trakcie rozmowy wylałem na siebie kawę.

- Muszę lecieć, Charlie.
- Dziecinko...

Trzask.

Niech to szlag.

Poniedziałki, myślał Monroe. Nienawidzę poniedziałków.

Zadzwoił do informacji i spytał o numer sklepu jubilerskiego nieopodal biura Carmen. Kupił za pięćset dolarów parę brylantowych kolczyków i polecił, by możliwie najszybciej dostarczono je do adresata. Dołączony do prezentu bilecik miał głosić: „Dla pierwszorzędnej kochanki. Mały dodatek do sałatki z tuńczyka. Charlie”.

Spojrzał za okno. Pociąg zbliżał się do miasta. Wielkie rezydencje i ich miniaturowe kopie ustąpiły miejsca szeregowcom i przysadzistym bungalowom, pomalowanym na beznadziejne, pastelowe kolory. Na opustoszałych podwórkach walały się czerwone i niebieskie zabawki. Wieszająca pranie tęga kobieta na chwilę zamarła w bezruchu i marszcząc brwi, patrzyła na pociąg, jak gdyby oglądała pokazywaną w CNN katastrofę lotniczą.

Wybrał kolejny numer.

- Poproszę z Hankiem Shapiro.

Chwilę później w słuchawce dał się słyszeć szorstki głos:

-Taa?

- Cześć, Hank. Tu Charlie. Monroe.

- Charlie, do cholery, jak tam projekt?

Monroe nie oczekiwał, że pytanie padnie na samym początku rozmowy.

- Świetnie - odparł po chwili. - Doskonale sobie radzimy.

- Ale?

- Ale co?

- Wygląda na to, że chcesz mi coś powiedzieć - odparł Shapiro.

- Nie. Chodzi o to, że wszystko idzie naprzód trochę wolniej, niż się spodziewałem. Chciałem...

- Wolniej? - powtórzył Shapiro.

- Niektóre informacje są wprowadzane do nowego systemu komputerowego. Dlatego trochę ciężko je znaleźć. - Spróbował zażartować. - Pamiętasz jeszcze te stare dyskietki? Nazywali je folderami plików?

- Słyszę „trochę wolniej”. Słyszę „trochę ciężko”. To nie mój problem. Potrzebuję tych informacji, i to już niedługo - warknął Shapiro.

Wróciła poranna irytacja i Monroe szepnął z wściekłością:

- Posłuchaj, Hank. Od lat pracuję w Johnson & Levine. Nikt poza mną nie ma dostępu do poufnych informacji; no, może z wyjątkiem samego Foxwortha. Dlatego daruj sobie, dobra? Załatwię ci to, co obiecałem.

Shapiro westchnął, a chwilę później spytał:

- Jesteś pewien, że nie ma o niczym pojęcia?

- Kto? Foxworth? Facet o niczym nie wie.

Na chwilę przed oczami stanął mu irytujący obraz szefa. Todd Foxworth był potężnym, ekscentrycznym mężczyzną. Z niewielkiej firmy graficznej w SoHo stworzył potężną agencję reklamową. Monroe był głównym księgowym i wiceprezesem. Zajmując się księgowością, zaszedł tak daleko, jak to było możliwe, jednak Foxworth nie chciał nawet słyszeć, by firma stworzyła dla niego nowe specjalne stanowisko. Napięcie między mężczyznami przypominało gnijącą śliwkę i w ciągu ostatnich kilku lat Monroe zaczął podejrzewać, że Foxworth najwyczejniej w świecie pastwi się nad nim. Potwierdzały to ciągłe skargi, dotyczące funduszu reprezentacyjnego, nieudolnego prowadzenia rejestrów i niewyjaśnionej nieobecności w biurze. W końcu - gdy po rocznym sprawozdaniu dostał zaledwie siedmioprocentową podwyżkę - Monroe zdecydował się na odwet. Poszedł do Hunter, Shapiro, Stein & Arthur, proponując sprzedaż poufnych informacji. Początkowo targały nim wyrzuty sumienia, kiedy jednak zrozumiał, że stanął oto przed szansą zarobienia równowartości dwudziestoprocentowej podwyżki, uznał, że te pieniądze mu się należą.

- Nie mogę dłużej czekać, Charlie - ciągnął Shapiro. - Jeśli wkrótce nie zobaczę konkretów, niewykluczone, że będę zmuszony zerwać umowę.

Szalone żony, chamscy pasażerowie... A teraz jeszcze to. Chryste. Co za ranek.

- To będą informacje z pierwszej półki, Hank.

- Obyś się nie mylił. W końcu płacę ci niezłą kasę.

- Jeszcze w tym tygodniu zdobędę dla ciebie coś wyjątkowego. Może wpadniesz do mnie na wieś i osobiście wszystko przejrzysz? Będzie miło i dyskretnie.

- Masz dom na wsi?

- Nie rozgłaszam tego. Prawda jest taka, że Cathy o niczym nie wie. Czasami spotykam się tam z przyjaciółką...

- Przyjaciółką.  
- Tak. Przyjaciółką. Jeśli chciałbyś wpaść, mogłaby zaprosić koleżankę albo dwie.

- Albo dwie?

Albo trzy, pomyślał Monroe, jednak przezornie ugryzł się w język. Na długą chwilę w słuchawce zapanowała cisza. W końcu Shapiro zachichotał.

- Myślę, że powinna przyprowadzić tylko jedną koleżankę, Charlie. Nie jestem już młody. Gdzie masz ten dom?

Monroe udzielił mu niezbędnych wskazówek i spytał:

- Co powiesz na kolację dziś wieczorem? Zapraszam do Chez Antibes.

Znowu usłyszał chichot.

- Chyba się skuszę.

- Dobra. Zatem widzimy się koło ósmej.

Monroe miał ochotę poprosić Hanka, by wziął ze sobą Jill, młodą referentkę, prowadzącą rachunki klientów, która pracowała w agencji i przypadkiem była tą samą kobietą, z którą spędził wczorajszy wieczór w Holiday Inn, kiedy to Carmen próbowała go wytropić. Uznał jednak, że nie należy przeciągać struny.

Rozmowa dobiegła końca.

Monroe zamknął oczy i zaczął przysypiać, licząc na kilkuminutowy sen. Ale pociąg kołysał się na boki, a pasażerowie bez ustanku tręcali go łokciami. Zerknął przez okno. Domy zniknęły, zastąpione czarnymi od sadzy, ceglanyimi budynkami. Monroe skrzyżował ramiona. Resztę drogi do Grand Station przejechali w absolutnej ciszy.

Wraz z upływem dnia sprawy miały się coraz lepiej.

Carmen była zachwycona kolczykami i gotowa mu wybaczyć (choć Monroe wiedział, że pełna sielanka będzie kosztować go drogi obiad i noc w Sherry-Netherland).

W biurze Foxworth był w zadziwiająco dobrym humorze. Monroe obawiał się, że staruszek będzie wypytywał o ostatni, pokaźnie wywindowany fundusz reprezentacyjny. O dziwo, Foxworth nie tylko zatwierdził projekt, ale pochwalił dobrą robotę, jaką Monroe wykonał w rejestrze Brady Pharmaceutical. Zapytał nawet, czy w kolejny weekend nie miałby ochoty na popołudniową partyjkę golfa w ekskluzywnym ośrodku rekreacyjno-sportowym na Long Island. Monroe gardził golfem, a zwłaszcza ośrodkami rekreacyjno-sportowymi w North Shore. Pomyślał wszakże, że miło byłoby zaprosić do klubu Hanka Shapiro i rozegrać partyjkę na koszt Foxworth. Pomysł był jednak zbyt ryzykowny i choć musiał

z niego zrezygnować, na resztę popołudnia wprowadził go on w doskonały nastrój.

O siódmej - tuż przed spotkaniem z Hankiem - przypomniał sobie o Cathy. Zadzwoił do domu. Nikt nie odbierał. Wybrał numer do szkoły, w której ostatnio udzielała się jako wolontariuszka, i dowiedział się, że żona nie pojawiła się dziś w pracy. Po raz kolejny zadzwonił do domu. Cathy wciąż nie odbierała telefonu.

Przez chwilę czuł się zaniepokojony. Nie to, żeby obawiał się zabójcy z South Shore. Nie. Po prostu instynktownie denerwował się, kiedy żony nie było w domu, jak gdyby się obawiał, że mogła nakryć go z Carmen albo kimkolwiek innym. Nie chciał też, żeby dowiedziała się o jego interesach z Hankiem Shapiro. Wiedział, że im więcej pieniędzy przyniesie do domu, tym więcej będzie ich chciała. Zadzwoił jeszcze raz i zostawił wiadomość.

Musiał jechać na kolację, a ponieważ Foxworth opuścił już biuro, zamówił limuzynę, obciążając kosztami firmowe konto. Sącząc wino, pojechał do centrum i zjadł dobrą kolację w towarzystwie Hanka Shapiro. O jedenastej podrzucił go na Penn Station i zjechał limuzyną pod Grand Central. Zdażył na 23:30 do Greenwich, dotarł bezpiecznie do samochodu, unikając uzbrojonych w noże szaleńców, i wrócił do domu. Cathy, która wypila dwie szklanki martini, spała głębokim snem. Monroe oglądał telewizję i zasnął na kanapie. Obudził się późno i dotarł na dworzec zaledwie trzydzieści sekund przed przyjazdem pociągu.

O dziewiątej trzydzieści Charlie Monroe wszedł do biura, myśląc: Do diabła z poniedziałkiem; dziś jest nowy dzień. Trzeba zacząć żyć.

Postanowił spędzić rano przy komputerze i wydrukować dla Hanka listy potencjalnych klientów. Później zje romantyczny lunch w towarzystwie Carmen. Zadzwoi też do Jill i umówi się z nią na drinka.

Zdażył wejść do swojego biura, kiedy Todd Foxworth - jeszcze bardziej radosny niż poprzedniego dnia - pomachał do niego i zapytał, czy mogliby pogadać. W głowie Charliego pojawiła się ironiczna myśl, że może jednak Foxworth zmienił zdanie i zamierza dać mu solidną podwyżkę. Czy wówczas sprzedałby poufne informacje? Oto prawdziwy dylemat. Zdecydował jednak, że tak, do cholery, sprzedałby je. To wynagrodziłoby mu ubiegłoroczne upokarzające siedem procent.

Monroe usiadł w zagraconym gabinecie.

W agencji krążyły opowieści o tym, jak nieudolnie Foxworth rozpoczyna każdą rozmowę. Rozwodzi się, robi dygresje, czasem nawet wymyśla nowe słowa. Klienci uważali, że to czarujące. Monroe zazwyczaj nie

miał tyle cierpliwości. Dziś jednak był w wyjątkowo wielkodusznym nastroju i z uśmiechem słuchał paplaniny starca w wymiętym garniturze.

- Kilka rzeczy, Charlie. Obawiam się, że coś mi wypadło i nici z weekendowej partyjki golfa. Wiem, że miałeś ochotę zagrać, jednak wygląda na to, że tym razem nie dotrzymam umowy. Przepraszam. Przepraszam.

- Nic się nie stało. Ja...

- Hunter to dobry klub. Grałeś u nich kiedyś? Nie? Nie mają basenu ani kortów tenisowych. Człowiek jedzie tam, żeby pograć w golfa. Kropka. Koniec tematu. Jeśli nie grasz w golfa, nie masz po co tam jechać. Oczywiście, na siedemnastej jest ostry łuk... to okropne, okropne, okropne. Nigdy blisko normy. Niewykonalne. Jak długo grasz?

- Od czasów college'u. Naprawdę doceniam...

- Jest jeszcze coś, Charlie. Patty Kline i Sam Eggleston z wydziału prawa - znasz ich, byli ubiegłej nocy w Chez Antibes. Na kolacji. Pracowali do późna i poszli na kolację.

Monroe zamarł w bezruchu.

- Osobiście nigdy tam nie byłem, ale słyszałem, że miejsce ma zabawy wystrój. Mają tam te przepierzenia, podobne do parawanów, jakie widać się w japońskich restauracjach; tyle że te nie pochodzą z Japonii, bo to przecież francuska restauracja, ale wyglądają jak japońskie. W każdym razie powiem tylko, że słyszeli dokładnie twoją rozmowę z Hankiem Shapiro. No. Teraz już wiesz. Ochrona opróżnia właśnie twoje biurko; czeka my też na strażników, którzy wyprowadzą cię z budynku. I lepiej załatw sobie dobrego adwokata, ponieważ chodzi o kradzież tajemnic handlowych - powiedzieli mi o tym Patty i Sam. Cóż ja mogę o tym wiedzieć? Przecież nie umiem nawet dobierać słów - to cholernie poważna rzecz. Tak więc pozwolisz, że nie będę życzył ci szczęścia, Charlie. Powiem jednak, żebyś wynosił się z mojej agencji. A tak przy okazji, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś już nigdy nie pracował na Madison Avenue. Do widzenia.

Pięć minut później Monroe stał na ulicy, z teczką w jednej ręce i telefonem w drugiej. Oślepiałym wzrokiem patrzył, jak jego osobiste rzeczy trafiają do samochodu dostawczego do Connecticut.

Nie umiał pojąć, jak to się stało. Nikt z agencji nie chodził do Chez Antibes. Restauracja należała do korporacji rywalizującej z jednym z klientów Foxwortha i stanowiła strefę zakazaną. Patty i Sam nie poszliby tam, jeśli sam Foxworth by ich o to nie poprosił. Ktoś musiał na niego donieść. Jego sekretarka? Monroe postanowił, że jeśli faktycznie to sprawka Eileen, policzy się z nią.

Przeszedł kilka przecznic, zastanawiając się, dokąd pójść, a kiedy nic nie przyszło mu do głowy, pojechał taksówką na Grand Central.



Siedząc w pociągu, który z kłopotem ruszył na północ z dala od szarego miasta, Monroe sączył dzin z maleńkiej buteleczki, kupionej w wagonie pierwszej klasy. Odrętwiałym wzrokiem gapił się na usmolone budynki, blade bungalowy, miniaturowe posiadłości i wielkie rezydencje, podczas gdy pociąg nieubłaganie zmierzał na północny wschód. Cóż, wyciągnie z tej sytuacji coś dla siebie. Był w tym dobry. Najlepszy. Był kanciarzem, sprzedawcą... Był niezrównany.

Odkręcił kolejną buteleczkę i pomyślał, że Cathy będzie musiała wrócić do pracy. Nie chciała tego, ale przekonają, że tak właśnie trzeba. Im więcej o tym myślał, tym bardziej podobał mu się pomysł. Do cholery, od lat objęła się w domu. Teraz jego kolej. Niech dla odmiany ona przypomni sobie, co to znaczy pracować pod presją od dziewiątej do piątej. Niby czemu to on miałby zajmować się tym całym gównem?

Ach, już zaparkował na podjeździe, przystanął, wziął kilka głębokich oddechów i wszedł do domu.

Cath była w pokoju gościnnym, siedziała w bujanym fotelu, trzymając w dłoni filiżankę herbaty.

- Wcześniej wróciłeś.

- Cóż, muszę ci coś powiedzieć - zaczął, opierając się o gzyms kominka. Przerwał na chwilę, jak gdyby chciał wzbudzić w niej niepokój i współczucie. - W agencji nastąpiły zwolnienia. Foxworth chciał, żebym został, ale firma nie ma pieniędzy. Odchodzi większość wykwalifikowanych ludzi. Nie chcę, żebyś się bała, skarbie. Razem sobie z tym poradzimy. To naprawdę wspaniała okazja dla nas obojga. Pomyśl sama, znów będziesz mogła uczyć. Tylko przez jakiś czas. Tak sobie myślałem...

- Usiądź, Charles.

Charles? Jego matka mówiła do niego Charles.

- Chciałem powiedzieć, że...

- Usiądź. I bądź cicho.

Usiadł.

Popijała herbatę, pewną ręką unosząc filiżankę do ust, podczas gdy jej oczy błędziły po jego twarzy niczym reflektory.

- Dziś rano rozmawiałam z Carmen.

Włosy zjeżyły mu się na karku. Mimo to uśmiechnął się przebiegle i spytał:

- Z Carmen?

- Z twoją dziewczyną.

-Ja...

- Co ty? - warknęła Cathy.

-Nic.

- Wydaje się miła. Szkoda, że musiałam ją zdenerwować.

Monroe zacisnął dłoń na podłokietniku fotela Naugahyde.

- Nie chciałam tego. To znaczy, nie chciałam jej zdenerwować. Rzecz w tym, że ubzduriała sobie, że jesteśmy w trakcie rozwodu. - Roześmiała się.

- Podobno się rozwodzimy, ponieważ zakochałam się w facecie od czyszczenia basenów. Zastanawiam się tylko, skąd przyszły jej do głowy podobne bzdury.

- Mogę wszystko wytłumaczyć...

- Nie mamy basenu, Charles. Nie wydaje ci się, że to wyjątkowo głupie kłamstwo?

Monroe splótł dłonie i zaczął się bawić paznokciem. Prawie powiedział Carmen, że Cathy ma romans z sąsiadem, przedsiębiorcą budowlanym. Chłopak od czyszczenia basenów był pierwszą rzeczą, jaka przyszła mu do głowy. I owszem, istotnie uważał, że był to głupi pomysł.

- Aha, jeśli cię to interesuje - ciągnęła Cathy - dzwonili do mnie ze sklepu jubilerskiego. Chcieli wiedzieć, czy przesłać pokwitowanie tutaj, czy do mieszkania Carmen. Tak przy okazji powiedziała, że kolczyki są naprawdę tandetne. Mimo to postanowiła je zachować. Uważam, że dobrze zrobiła.

Dlaczego cholerny sprzedawca zadzwonił do domu? Kiedy Monroe składał zamówienie, wyraźnie powiedział, żeby przesłano pokwitowanie do biura.

- Nie jest tak, jak myślisz - oznajmił.

- Masz rację, Charlie. Myślę, że jest znacznie gorzej.

Monroe podszedł do barku i nalał sobie kolejną szklaneczkę dżinu. Bolała go głowa, a nadmiar alkoholu sprawił, że zrobiło mu się duszno. Pociągnął łyk i odstawił szklanekę. Pamiętał, kiedy kupili ten kryształowy komplet. Na wyprzedaży u Saksa. Chciał poprosić sprzedawczynię o numer telefonu, jednak Cathy stała wtedy tuż obok.

Chwilę później wzięła głęboki oddech.

- Trzy godziny rozmawiałam przez telefon z prawnikiem. Oświadczył, że mniej więcej tyle czasu potrzeba będzie, by uczynić cię naprawdę biednym człowiekiem. Cóż, Charlie, chyba nie mamy już o czym rozmawiać. Myślę, że powinienes spakować walizkę i wyprowadzić się.

- Cath... Jest mi naprawdę ciężko.

- Nie, Charles, dopiero będzie ci ciężko. Na razie jeszcze tak nie jest. Żegnaj.

Pół godziny później był już spakowany. Kiedy włożył się po schodach z ogromną walizką, Cathy mierzyła go uważnym wzrokiem. Tak samo przyglądała się mszycom, kiedy spryskiwała je środkiem owadobójczym, obserwując, jak zmieniają się w maleńkie martwe kulki.

-Ja...

- Do widzenia, Charles.

Monroe był w połowie drogi do przedpokoju, kiedy zadzwonił dzwonek. Postawił walizkę i otworzył drzwi. Przed domem stało dwóch potężnych mężczyzn z biura szeryfa. Na podjeździe zauważył dwa wozy patrolowe, a na trawniku kolejnych funkcjonariuszy. Ich dłonie znajdowały się niebezpiecznie blisko broni.

No nie. Foxworth wniósł oskarżenie! Chryste. Co za koszmar.

- Pan Monroe? - spytał najwyższy mężczyzna, zerkając na bagaż.

-Charles Monroe?

- Tak. O co chodzi?

- Możemy chwilę porozmawiać?

- Oczywiście. Ja... O co chodzi?

- Możemy wejść?

- Ja... Tak, proszę.

- Dokąd się pan wybiera?

Nagle dotarło do niego, że nie ma pojęcia, dokąd pójść.

- Ja... janie wiem.

- Wyjeżdża pan i nie wie pan dokąd?

- Małe problemy rodzinne. Wie pan, jak to jest.

Funkcjonariusze mierzyli go kamiennym wzrokiem.

Monroe ciągnął:

- Myślę, że pojedę do miasta. Na Manhattan. Dlaczego nie? Miejsce równie dobre jak każde inne.

- Rozumiem - odparł niższy zastępca szeryfa, zerkając na swego towarzysza. - Opuszcza pan stan - dodał znacząco.

O co mu chodzi?

- Panie Monroe, czy to numer pańskiej karty kredytowej? - spytał drugi zastępca.

Monroe zerknął na świstek papieru.

- Hm, tak. I co z tego?

- Czy wczoraj złożył pan zamówienie w Great Northern Outdoor Supplies w Vermontie?

Great Northern? Monroe nigdy wcześniej nie słyszał o tej firmie i to właśnie powiedział funkcjonariuszom.

- Rozumiem - odparł wyższy z gliniarzy, ani trochę mu nie wierząc.

- Jest pan właścicielem domu nad jeziorem Harguson, nieopodal Hartford, prawda?

Po raz kolejny poczuł pełznący wzdłuż kręgosłupa lodowaty chłód. Spojrzenie Cathy mówiło, że nic już nie jest w stanie jej zaskoczyć.

-Ja...

- Łatwo to sprawdzić, proszę pana. Dlatego może pan być z nami zupełnie szczerzy.

- Tak, to mój dom.

- Kiedy go kupiłeś, Charles? - spytała Cath znużonym głosem.

To miała być niespodzianka... Na naszą rocznicę... Właśnie miałem ci powiedzieć...

- Trzy lata temu - odparł.

Niższy funkcjonariusz nie dawał za wygraną.

- I nie zamówił pan w Great Northern przesyłki z doręczeniem następnego dnia, właśnie pod ten adres?

- Przesyłki? Nie. Co niby miałem zamówić?

- Nóż myśliwski.

- Nóż? Nie, oczywiście, że nie.

- Panie Monroe, nóż, który pan zamówił...

- Nie zamawiałem żadnych noży.

- .. który został zamówiony przez kogoś, kto podawał się za Charle-sa Monroe i używał pańskiej karty kredytowej, został wysłany na adres pańskiego domu. Ma takie samo ostrze jak narzędzie, którego użyto w okolicznych morderstwach.

Morderca z South Shore...

- Charlie! -jęknęła Cathy.

- Nie wiem nic o żadnych nożach! - ryknął Monroe. - Rozumie pan? Nic nie wiem!

- Policja stanowa otrzymała anonimową wiadomość o zakrwawionych ubraniach nad brzegiem jeziora Harguson. Okazało się, że znaleziono je na terenie pańskiej posesji. Była tam koszulka należąca do ofiary, którą zamordowano dwa dni temu. Nieopodal niej ukryto kolejny nóż. Krew na ostrzu pasuje do krwi ofiary zamordowanej dwa miesiące temu w pobliżu drogi numer piętnaście.

Boże, o co tu chodzi?

- Nie! To jakaś pomyłka! Nigdy nikogo nie zabiłem!

- Boże, Charlie. Jak mogłeś?

- Panie Monroe, ma pan prawo milczeć. - Wyższy funkcjonariusz wyrecytował resztę formułki, informując Monroe o przysługujących mu prawach, podczas gdy jego towarzysz zakuł podejrzanego w kajdanki.

Wyjęli z kieszeni jego portfel i telefon.

- Nie, nie, proszę zostawić mój telefon! Muszę zadzwonić. Wiem, że mam do tego prawo.

- Tak, ale musi pan użyć naszego telefonu. Nie pańskiego.

Wyprowadzili go na zewnątrz, miażdżąc mu bicepsy w żelaznym uścisku. Spanikowany Charles Monroe kilkakrotnie próbował wyrwać się funkcjonariuszom. Kiedy podeszli do radiowozu, na chwilę podniósł wzrok. Po drugiej stronie ulicy stał mężczyzna drobnej budowy, z włosami koloru piasku. Opierał się o drzewo i z przyjaznym uśmiechem obserwował całe zamieszanie.

Było w nim coś znajomego.

- Czekać! - wrzasnął Monroe. - Zaczekać!

Jednak zastępcy szeryfa nie zamierzali czekać. Brutalnie wepchnęli go na tył samochodu i zjechali z podjazdu.

Dopiero kiedy mijali mężczyznę, Monroe zerknął na niego i niemal natychmiast rozpoznał twarz. To był facet z pociągu - ten sam, który jeszcze wczoraj siedział obok niego. Ten sam, który poprosił go, by zachowywał się ciszej.

Chwileczkę... O nie, nie. Nie!

Dopiero teraz zrozumiał. Mężczyzna słyszał wszystkie jego rozmowy - z Hankiem, Carmen i sklepem jubilerskim.

Zapisał imiona osób, z którymi Monroe rozmawiał, numer jego karty kredytowej, imię i nazwisko kochanki, szczegóły spotkania z Hankiem Shapiro... i adres wiejskiego domu! Zadzwoił do Foxwortha, do Cathy i zamówił nóż myśliwski...

Na samym końcu zadzwonił na policję.

Ponieważ to on był mordercą z South Shore...

Człowiekiem, który mordował ludzi za choćby najmniejszą zniewagę - niewielką stłuczkę, ujadającego psa.

Monroe, szarpiąc się, odwrócił głowę i spojrzał na mężczyznę, który pogodnie wpatrywał się w odjeżdżający radiowóz.

- Musimy zawrócić! - wrzasnął Monroe. - Musimy! On tam jest! Morderca tam jest!

- Tak, proszę pana. Teraz jednak bylibyśmy wdzięczni, gdyby raczył się pan zamknąć. Niebawem dojedziemy na posterunek.

- Nie! - zawodził Monroe. - Nie, nie, nie!

Kiedy po raz ostatni obejrzał się za siebie, zobaczył, że mężczyzna zbliża dłoń do głowy. Co on wyprawia? Macha? Monroe zmrużył oczy. Nie, facet... udawał, że rozmawia przez telefon.

- Zatrzymajcie się! On tam jest! On tam jest!

- Proszę pana, tego już za wiele - zwrócił się do niego wyższy funkcjonariusz.

Dwie przecznice dalej mężczyzna w końcu opuścił dłoń, odwrócił się i rażnym, zamaszystym krokiem ruszył w dół ulicy.

# Westfalski pierścień

Włamanie do Charing Cross było najdoskonalszym w jego karierze. I -jak właśnie się dowiedział - prawdopodobnie tym, które definitywnie ją zakończy.

Jak również zapewni mu wycieczkę do cuchnącej celi w więzieniu Newgate.

Siedząc w swym zagraconym sklepie przy Great Portland Street, żyłasty Peter Goodcastle szarpał kępkę rzadkich włosów tuż nad uchem łysej głowy i posepnie nią kiwając, słuchał słów swojego gościa, ledwie słyszalnych pośród zgielku, jaki czynili robotnicy Jej Królewskiej Mości i ich parowy młot, który bezlitośnie rozdzierał ulicę, by dostać się do zepsutej magistrali wodociągowej.

- Człowiek, którego okradłeś - ciągnął z niepokojem gość - był do broczyńcą hrabiego Devon. Ma również osobiste powiązania z parlamentem i Whitehall Street. Królowa wyraża się o nim z wielkim uznaniem.

Czterdziestoczteroletni Goodcastle wiedział o lordzie Robercie May-hew to i dużo, dużo więcej; tak wiele jak o ofiarach wszystkich swoich przestępstw. Zawsze dowiadywał się o nich istotnych szczegółów; inteligencja była zaledwie kolejnym atutem, który trzymał go z dala od podejrzeń Scotland Yardu od dobrych dwunastu lat, kiedy to wrócił z wojny i zaczął zarabiać na życie jako złodziej. Zdobył możliwie jak najwięcej szczegółów na temat Roberta Mayhew, wiedział więc, że istotnie jest on człowiekiem poważanym w wyższych kręgach londyńskiej socjety i członków rodziny królewskiej, łącznie z królową Wiktoria, a zarazem niezwykle zamożnym, wręcz opętanym żądzą kolekcjonowania i gromadzenia rzadkiej biżuterii i kosztowności; dlatego Goodcastle zdecydował, że czekająca go nagroda warta jest każdego ryzyka.

Jakże się pomylił.

- Chodzi o ten pierścień. Nie o suwereny czy pozostałe błyskotki.

Nie. Tu chodzi o pierścień. Mayhew wykorzystuje wszelkie możliwe środki, by go odnaleźć. Najwyraźniej otrzymał go od swego ojca, który -z kolei - dostał go od swojego. Pamiątka ma dla niego niezwykle, osobiste znaczenie.

Oczywiście, rozsądniej było kraść przedmioty, do których posiadacze nie przywiązywali większej wagi. Goodcastle uznał, że pierścień należał do tej właśnie kategorii, jako że znalazł go w stojącym na toalecie tanim pudełeczku, pośród dziesiątków bezwartościowych błyskotek i spinek do mankietów.

Teraz wiedział jednak, że był to sprytnie przemyślany podstęp, mający na celu jak najlepszą ochronę cennego przedmiotu przed wytrawnymi złodziejami pokroju Goodcastle'a, który odziedziczył rodzinny interes z antykami i z konieczności stał się ekspertem w wycenianiu takich przedmiotów, jak pozytywki, srebro, meble... i stara biżuteria. Stojąc w ukryciu w garderobie lorda Mayhew, na widok skarbu dosłownie zamarł w bezruchu.

Stworzony na początku wieku przez sławnego złotnika Wilhelma Schroedera z Westfalii pierścień tworzyły przeplatające się wzajemnie, delikatne złote i srebrne obrączki. Złoto wysadzono brylantami, srebro zaś najprzedniejszymi granatowymi i szafirami. Goodcastle był tak zaskoczony i uradowany swym odkryciem, że wyniósł z domu lorda wyłącznie pierścień, skromną broszę i pięćdziesiąt złotych gwinei, wyrzekając się tym samym pozostałych dzieł sztuki, biżuterii, złotych i srebrnych monet, których pełno było w apartamencie lorda (kolejna złodziejska zasada: im skromniejsze łupy, tym bardziej prawdopodobne, że miną tygodnie, a nawet miesiące, zanim właściciel zauważy ich brak; jeśli w ogóle go zauważy).

Na to właśnie liczył, włamując się do Charing Cross. Wydarzenie miało miejsce w ubiegły czwartek, jednak Goodcastle wciąż nie widział doniesień o kradzieży w „Daily Telegraph”, „Timesie” czy innych gazetach.

Jak się jednak dowiedział od swego informatora - człowieka znającego Scotland Yard od podszewki - wszystko wyglądało zgoła inaczej.

- Co więcej - szepnął mężczyzna, bawiąc się rondem hamburskiego kapelusza i zerkając w wiszące nad Londynem szare, kwietniowe niebo - słyszałem, że śledczy mają powody, by przypuszczać, że złodziej zajmuje się handlem meblami lub antykami.

Zaniepokojony tym faktem, Goodcastle szepnął:

- Skąd, na Boga, się o tym dowiedzieli? Ktoś im doniósł?

- Nie, gliniarze odnaleźli w apartamencie lorda Mayhew pewne wskazówki, które naprowadziły ich na ten ślad.

- Wskazówki? Jakie wskazówki? - Goodcastle jak zwykle zadbał o to, by nie zostawić po sobie choćby najdrobniejszych śladów. Zabrał wszystkie narzędzia i ubrania. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów czy innych drobiazgów, które mogłyby zaprowadzić policję do niego lub do Goodcastle Antiquities.

Mężczyzna jednak zmroził krew w jego żyłach kolejnymi rewelacjami:

- Inspektorzy znaleźli na drabinie, w sypialni i garderobie drobinę rozmaitych substancji. Z tego, co wiem, jedną z nich był odcięty i wysuszony fragment końskiego włosa, używany zwykle do wypychania tapicerowanych otomanek, sof i kanap. Żadnych takich mebli nie ma jednak w domu uszkodzonego. Znaleźli także wyjątkowy rodzaj wosku do polerowania mebli, kupowany hurtowo przez rzemieślników, którzy je naprawiają, odnawiają i sprzedają... A, no i oczywiście pył z czerwonej cegły. Odkryli go na szczelkach drabiny. Posterunkowi nie znaleźli podobnego pyłu nigdzie w okolicy. Przypuszczają, że przestępca przyniósł go ze sobą na podeszwach butów. - Mówiąc to, mężczyzna wyjrzał przez szybę na pokrywający chodnik czerwony pył ze sproszkowanej cegły.

Goodcastle westchnął, wściekły na swoją własną głupotę. Odstawił drabinę dokładnie tam, gdzie ją znalazł - do powozowni lorda Mayhew; nie pomyślał jednak, by zetrzeć ze szczelki jakiegokolwiek śladu.

Był rok 1892; w dobie, gdy cały świat gnał na spotkanie nowego tysiąclecia, wszędzie dookoła widać było zadziwiające zdobycze nauki. Elektryczne oświetlenie, napędzane benzyną pojazdy, zastępujące konne landa i powozy, magiczną latarnię z ruchomymi obrazkami... Było oczywiste, że w swej pogoni za przestępcami Scotland Yard również sięgnie po najnowsze cuda techniki i nauki.

Gdyby Goodcastle wiedział o tym przed dokonaniem włamania, przedsięwziąłby wszelkie możliwe środki ostrożności; na przykład, umyłby ręce i oskrobał podeszwy butów.

- Wiesz coś więcej? - spytał swego informatora.

- Nie, proszę pana. Wciąż jeszcze pracuję w wydziale przestępstw podatkowych. Wszystko, co wiem na temat tej sprawy, usłyszałem w przypadkowej rozmowie. Obawiam się, że nie mogę zadawać dalszych pytań, nie budząc przy tym podejrzeń.

- Naturalnie, rozumiem. Dziękuję za wszystko.

- Był pan dla mnie wyjątkowo hojny. Co zamierza pan zrobić?

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, przyjacielu. Być może będę musiał wyjechać z kraju, prawdopodobnie do Francji. - Spojrzał na informatora i zmarszczył brwi. - Wydaje mi się, że powinieneś już iść. Z tego, co powiedziałeś, wnioskuję, że policja może być już w drodze.



- Ale przecież Londyn jest ogromnym miastem. Nie sądzi pan, że to mało prawdopodobne, aby Scotland Yard zapukał akurat do pańskich drzwi?

- Nie wierzyłbym w to, gdyby nie staranność, z jaką przeszukali mieszkanie lorda Mayhew. Gdybym był inspektorem Scotland Yardu, wiedząc to, co oni, zdobyłbym wykaz miejsc, w których przeprowadzane są roboty publiczne, lub ustalił punkty, gdzie wyburza się ceglane budynki, i sprawdził, czy w okolicy nie ma sklepów z meblami i antykami. To w istocie doprowadziłoby ich wprost do moich drzwi.

- Tak, brzmi sensownie... Przeróżające zajęcie. - Mężczyzna dźwignął się i włożył kapelusz. - Co się z panem stanie, jeśli faktycznie się tu pojawią?

To oczywiście, aresztują mnie i wsadzą do więzienia, pomyślał Goodcastle.

Na głos jednak powiedział:

- Jestem dobrej myśli. Teraz powinieneś już iść. Myślę też, że rozsądnie będzie, jeśli się już nie spotkamy. Nie ma powodu, abyś ty również zasiadł na ławie oskarżonych.

Mężczyzna wdrygnął się. Chwilę później uściśnił sobie dłonie.

- Jeśli istotnie wyjedzie pan z kraju, życzę panu wszystkiego najlepszego.

Złodziej wręczył informatorowi garść błyskotek, hojny dodatek do tego, co już mu zapłacił.

- Niech Bóg pana błogosławi.

- Chętnie skorzystałbym w tej sprawie z jego pomocy.

Mężczyzna w pośpiechu opuścił sklep. Goodcastle patrzył za nim, jak gdyby oczekiwał, że niebawem wokół jego domu zaroi się od inspektorów i posterunkowych, zobaczył jednak tylko robotników w usmolonych ogrodniczkach, pchających wózki pełne skruszonej cegły, oraz kilku przechodniów, którzy umykali przed pierwszym wiosennym deszczem, chroniąc się pod czarnymi niczym skrzydła kruków parasolami.

Sklep opustoszał. Wiedząc, że główny majster, Markham, wciąż pracuje w warsztacie na tyłach budynku, Goodcastle wślizgnął się do biura i otworzył sejf ukryty za wiszącym na ścianie tureckim gobelinem i dębowym panelem, skonstruowanym tak, by przypominał fragment ściany.

Chwilę później trzymał w dłoniach płócienną sakiewkę, w której przechowywał skradzione kosztowności: szpilkę do krawata, broszkę, gwineę oraz kunsztowny westfalski pierścień z mieszkania lorda Mayhew.

W porównaniu z nim inne przedmioty przypominały tanie, jarmarczne świece. Wystarczyło, by blask lampy gazowej pieszczotliwie do-

tknął klejnotów, a te wypełniły pokój niebieskimi i białymi refleksami. Francuz, któremu Goodcastle obiecał sprzedać to cacko, płacił za nie trzy tysiące funtów, co oznaczało, że w rzeczywistości pierścień wart jest znacznie więcej. Zadziwiające było to, że mimo niezwykle kunsztownej roboty i niezwyklej urody, pierścień nie robił na Peterze Goodcastle'u większego wrażenia.

Prawdę powiedziawszy, Peter Goodcastle należał do tego typu ludzi, którzy po udanym włamaniu do domu, muzeum albo sklepu nie przywiązywali się do swoich łupów i traktowali je wyłącznie jako źródło dochodu, dzięki któremu mogli kontynuować przestępczą karierę. Peter Goodcastle nie był chciwy. Nie dbał o to, czy dostanie za pierścień garść koron, trzy tysiące suwerenów czy może jego prawdziwą równowartość - trzydzieści tysięcy. Nie. Najbardziej kuszący był sam akt kradzieży i perfekcja jego dokonania.

Ktoś mógłby się zastanawiać, co sprawiło, że Goodcastle wybrał dla siebie tak nietypowe zajęcie. W przeszłości odebrał solidną edukację i cieszył się także pewnymi przywilejami. Życie oszczędzało mu spotkań z wyjątkowo nieprzyjemnymi typami z niższych klas. Jego rodzice - oboje dawno już nie żyli - bardzo go kochali, a brat - o dziwo - piastował stanowisko proboszcza w Yorkshire. Sam Goodcastle przypuszczał, że tym, co pchnęło go do kradzieży, były potworne doświadczenia z drugiej wojny afgańskiej. Goodcastle był artylerzystą w osławionej Królewskiej Artylerii Konnej; służył w jednym z oddziałów, którym nakazano powstrzymać wrogie siły muzułmanów, planujących atak na brytyjski garnizon w Kandaharze. W upalny dzień 27 lipca 1880 roku dwuipółtysięczny oddział Brytyjczyków i Hindusów, w którego skład wchodziły piechota, lekka kawaleria i artyleria, spotkał się z wojskami wroga pod Maiwand. To, z czego Brytyjczycy nie zdawali sobie sprawy, stanowił fakt, że siły afgańskie są dziesięciokrotnie większe. Od samego początku bitwa przebiegała fatalnie. Nie tylko liczebność fanatycznych wojsk przytłaczała Brytyjczyków, ale i to, że były one uzbrojone w broń bez gwintów oraz pistolety Kruppa. Muzułmanie określali swój cel z zabójczą precyzją, a tnące powietrze łuski, kule muszkietów i pistoletów wielostrzałowych siały wśród sił brytyjskich prawdziwe spustoszenie.

Zaopatrzony w działo oddział Goodcastle'a doświadczył ogromnych strat, choć udało im się wystrzelić tego dnia przeszło sto pocisków. Rozgrzały one lufę do tego stopnia, że można było na niej piec mięso - czego dowodem były poważne oparzenia na dłoniach i ramionach żołnierzy. W końcu jednak oddziały wroga wzięły górę i niczym potężne szczęki zamknęły się na brytyjskiej armii. Afganczycy przejęli angielskie działo,

którego nie udało się zniszczyć, jak również sztandary jednostki - coś tak potwornego wydarzyło się w brytyjskiej armii po raz pierwszy.

Podczas gdy Goodcastle i jego towarzysze uciekali przed pogromem, muzułmanie chwycili za broń i dopełnili masakry, wpychając flagi królestwa w lufę działa!

To było potworne doświadczenie, tak - tamtego dnia stracili dwadzieścia procent artylerii i sześćdziesiąt procent sześćdziesiątego szóstego pułku piechoty - najgorsze jednak czekało ocalałych żołnierzy po powrocie do Anglii, gdzie potraktowano Goodcastle'a i jego towarzyszy jak pariasów i okrzyknięto ich tchórzami. Pogarda była tak wielka, że uczyniła w duszach mężczyzn kompletne spustoszenie. Jednak Goodcastle odkrył wkrótce jej przyczynę.

Oto ówczesny premier, Disraeli, wspierany przez grupę lordów i zamozną klasę wyższą, odpowiadał za interwencję zbrojną w Afganistanie, której celem było zagrożenie Rosji i wtargnięcie na jej ziemie. Klęska pod Maiwand skłoniła wielu ludzi do zastanowienia się nad sensownością decyzji o tej interwencji i wywołała natychmiastową burzę polityczną. Potrzebowano kozłów ofiarnych; a któż byłby lepszy od żołnierzy, którzy swą obecnością na froncie przyczynili się do jednej z największych klęsk w historii Wielkiej Brytanii?

Wyjątkowo rozwścieczył Goodcastle'a jeden ze szlacheiców, lamentujący w prasie nad wstydem, jaki przyniosły monarchii jej wojska, nie wspomniawszy dobrym słowem nawet tych, którzy stracili pod Maiwand zdrowie lub życie. Jego wywody tak bardzo dotknęły późniejszego handlarza antyków, że poprzysiągł zemstę. Miał jednak dość śmierci i przemocy i po tym, czego doświadczył pod Maiwand, nigdy nie skrzywdziłby bezbronного przeciwnika, postanowił zatem, że odegra się na krzykaczu w subtelniejszy sposób. Odnalazł jego rezydencję i miesiąc po swych oszczerczych słowach ów gentleman zauważył, że ktoś znacznie uszczuplił jego tajny skład suwerenów, mieszczący się (co za brak przezorności) w wazonie.

Niedługo potem pewien właściciel fabryki nie dotrzymał obietnicy zatrudnienia weteranów kampanii afgańskiej.

Cena, jaką zapłacił za swe kłamstwa, była równie słona - obraz, który Goodcastle ukradł z letniego domu w Kent i sprzedał, dzieląc dochód między tych, którym odmówiono pracy w fabryce. (W tym wypadku nieocenione okazały się doświadczenia z ojcowskiego sklepiku z antykami. Mimo swych obaw co do jakości płótna, pędzla niejakiego Claude'a Moneta, złodziej przekonał amerykańskiego klienta, by kupił rozmazany krajobraz za niezwykle przyzwoitą cenę).

Oczyszczenie, jakie niosły ze sobą kolejne kradzieże, ogromnie poprawiało Goodcastle'owi nastrój, jednak w końcu musiał przyznać, że to nie zemsta działa na niego niczym afrodyzjak, lecz towarzyszące włamaniom podniecenie... Dlaczego? Cóż, misterny plan i precyzyjnie przeprowadzona złodziejska akcja były niczym najdoskonalsze dzieła sztuki: ręcznie wykonana zbroja, obraz Fragonarda czy złota brosza Williama Tesslera. Wkrótce Goodcastle oswoił się z poczuciem winy i oddał się swemu powołaniu z taką samą pasją, jaką obserwował u ludzi sukcesu.

Kiedy odziedziczył rodzinny sklepik przy Great Portland Street, zorientował się, że odbierając i dostarczając meble, on i jego pracownicy mają wyjątkowo łatwy dostęp do najwytworniejszych domów w Londynie - doskonałym terenie łowieckim dla wytrawnego złodzieja. Naturalnie był zbyt bystry, by okradać własnych klientów, słuchał jednak i obserwował, gromadząc istotne informacje na temat ich sąsiadów i znajomych, nabytych przez nich kosztowności, odziedziczonych sum pieniędzy, miejsc, w których przechowywali precjoza, planowanych wyjazdów z Londynu oraz liczby stajennych, służących i psów.

Stąd cudowne plany, które Goodcastle często wprowadzał w życie z finezją prawdziwego mistrza. Jak choćby w ubiegły czwartek, w mieszkaniu sir Roberta Mayhew.

Bywało jednak i tak, że jakiś plan nie powiódł się; nie ze względu na złą organizację, lecz nieprzewidziane okoliczności, które obracały wszystko w ruinę. W tym wypadku stanęła na przeszkodzie niespodziewana przebiegłość inspektorów Scotland Yardu.

Goodcastle odłożył westfalski pierścień i inne kosztowności z powrotem do sejfów i przeliczył zgromadzoną gotówkę. Pięćset funtów. W swym domu w Londynie miał kolejne trzy tysiące suwerenów plus precjoza, na które wciąż jeszcze nie znalazł kupca. W wiejskiej rezydencji znajdowało się jeszcze pięć tysięcy funtów. To wystarczyło, by wieść spokojne życie na południu Francji, u boku Lydii, piękności o kruczoczarnych włosach, z którą Goodcastle często podróżował. Kobieta mogłaby dołączyć do niego, gdy tylko on uporządkuje własne interesy.

Ale zamieszkać na stałe we Francji? Myśl o tym sprawiła, że stracił zapal. Peter Goodcastle był Brytyjczykiem z krwi i kości. Pomimo smolistego powietrza, snobistycznych elit, wiktoriańskiego imperializmu i przykrości, jakich doznał po bitwie pod Maiwand, wciąż kochał Anglię.

Wiedział jednak, że nie pokocha ani jednego roku z dziesięciu lat, spędzonych w więzieniu Newgate.

Myśląc o tym, zatrzasnął drzwi do sejfów i zamknął sekretne panele, przykrywając go gobelinem. Zastanawiając się nad innymi możliwościami-

mi, wrócił do sklepu, gdzie -jak zwykle - odnalazł spokój pośród wystawionych na sprzedaż przedmiotów.

Godzinę później, nie podjąwszy żadnej decyzji, zastanawiał się, czy przypadkiem nie popełnił błędu, obawiając się policji. Może inspektorzy Scotland Yardu faktycznie znaleźli coś na miejscu zbrodni, śledztwo jednak utknęło w martwym punkcie i jemu, Goodcastle'owi, nic nie groziło.

Wówczas do sklepu wszedł kolejny klient, który niemal natychmiast zaczął oglądać zgromadzone przedmioty. Sprzedawca powitał go uśmiechem i udając, że pochyla się nad księgą rachunkową, zerkał na mężczyznę - wysokiego, szczupłego człowieka w czarnym płaszczu, ciemnym garniturze i białej koszuli. Mężczyzna oglądał zegary, pozytywki i laski okiem kogoś, kto zamierza coś kupić, jednakże chce mieć pewność, że towar okaże się wart swej ceny.

Jako złodziej Peter Goodcastle nauczył się dostrzegać szczegóły; jako sprzedawca potrafił rozpoznać klientów. Teraz zaniepokoił go pewien fakt: mężczyzna oglądał wyłącznie przedmioty drewniane, podczas gdy sklep miał w swej ofercie porcelanę, kość słoniową, masę perłową, cynę, mosiądz i srebro. Goodcastle wiedział z doświadczenia, że klient zainteresowany kupnem - na przykład - drewnianej pozytywki ogląda zwykle rozmaite egzemplarze tego przedmiotu, oceniając ich wartość i jakość.

Zauważył też jeszcze coś. Mężczyzna, teraz niby to zainteresowany pozytywką, delikatnie muskał palcami szczeliny na jej drewnianych łączeniach. A więc interesowało go nie drewno, ale pokrywający je wosk, którego próbkę ukrył pod paznokciem.

Przerażony Goodcastle zrozumiał niebawem, że ów człowiek wcale nie jest klientem, lecz jednym z policjantów, o których mówił informator.

Cóż, nie wszystko jeszcze stracone, pomyślał. Wosk, którego używał, był dość rzadki ze względu na cenę i dostępność w większych ilościach, nie był jednak też czymś wyjątkowym; używało go wielu wytwórców mebli i handlarzy antykami. W każdym razie nie stanowił dowodu świadczącego jednoznacznie o jego winie.

Wówczas jednak policjant zwrócił uwagę na czerwone wyściełane krzesło. Usiadł na nim i poklepał boki, jak gdyby wypróbowywał konstrukcję mebla. Odchylił się i zamknął oczy. Ku swemu przerażeniu Goodcastle zauważył, że prawa dłoń mężczyzny na moment zniknęła z pola widzenia i zwinnym ruchem wyciągnęła spod obicia niewielki kłaczek.

Był to wysuszony kawałek końskiego włosia, który z pewnością będzie pasował do dowodu znalezionej w pokoju Roberta Mayhew.

Chwilę później inspektor dźwignął się z krzesła i przez moment krążył między rzędami mebli. W końcu zerknął w kierunku lady.

- Pan Goodcastle?

- Tak, to ja - odparł sprzedawca, świadom, że zaprzeczając, wzbudziłby tylko większe podejrzenia. Zastanawiał się, czy aresztują go na miejscu. Serce waliło mu jak młotem.

- Uroczy sklep. - Mężczyzna silił się na życzliwość, Goodcastle jednak dostrzegł w jego oczach chłód.

- Dziękuję panu. Chętnie pana oprowadzę. - Dłonie mu się pocily i czuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

- Nie, dziękuję. Właściwie muszę już iść.

- W takim razie życzę panu miłego dnia. Mam nadzieję, że jeszcze nas pan odwiedzi.

- Z pewnością - odparł mężczyzna, wychodząc na rześkie wiosenne powietrze.

Goodcastle ukrył się w cieniu pomiędzy dwoma zbrojami i ukradkiem zerknął przez szybę.

Nie!

Oto spełniały się jego najgorsze przeczucia. Mężczyzna przeszedł przez ulicę, po raz kolejny odwrócił głowę w kierunku sklepu i nie widząc właściciela, przykłęknął, by zawiązać sznurowadło. Tyle tylko, że było ono zawiązane, a inspektorowi chodziło wyłącznie o pobranie próbki czerwonego proszku, który mógłby porównać ze znalezionym na szczeblach drabiny i w mieszkaniu przy Charing Cross pyłem ze skruszonej cegły. Policjant wsypał proszek do małej koperty i ruszył dalej żwawym krokiem człowieka, który właśnie znalazł na ulicy plik banknotów.

Goodcastle poczuł narastającą panikę. Wiedział, że aresztowanie jest już tylko kwestią czasu. Jeśli chciał umknąć przed wymiarem sprawiedliwości, musiał podjąć wyścig z czasem. Liczyła się każda sekunda.

Chwilę później ruszył do pomieszczenia na tyłach sklepu i otworzył drzwi.

- Markham! - zawołał, spoglądając na okrągłego, brodatego rzeźmię, który pokrywał warstwą lakieru komodę w stylu chińskim. - Popilnuj sklepu przez godzinę albo dwie. Mam do załatwienia pilną sprawę.

Bill Sloat pochylał się nad niesprzątniętym, zalanym piwem stolikiem w Green Man Pub. Otaczała go grupka koleżków, brudnych i tępych nieudaczników, którzy pojawili się w pubie wyłącznie dlatego, że szybko i bezwzględnie wykonywali polecenia Sloata.

Odziany w stary, brudny garnitur gangster podniósł wzrok i spojrzał na Goodcastle'a. Chwilę później nabił na nóż kawałek jabłka, włożył go do ust i zaczął powoli przeżuwać soczysty owoc. Niewiele wiedział o Goodcastle^ poza tym, że był on jednym z kilku handlarzy przy Great Port--land Street, którzy co tydzień płacili mu dziesięć funtów - Sloat nazywał je „opłatą za interesy” - i nie potrzebował kopa w tyłek ani brzytwy, by o tym pamiętać.

Handlarz zatrzymał się przy stole i powitał tłuściocha skinieniem głowy.

- Co cię tu sprowadza, panie? - mruknął Sloat.

Naturalnie tytułowanie Goodcastle'a „panem” było czystą ironią. W jego zwiotczonych żyłach nie płynęła kropla szlacheckiej krwi. Jednak w mieście, w którym miarą człowieka nie tyle był pieniądź, ile klasa, do której on sam należał, Goodcastle i Sloat należeli do dwóch różnych światów. Wychowany w ponurej rzeczywistości East Endu gangster nie miał tyle szczęścia co Goodcastle, którego rodzice pochodzili z przyjemnych okolic Surrey. To wystarczyło, by Sloat nienawidził mężczyzny; nawet jeśli ten regularnie płacił haracz.

- Muszę z panem porozmawiać.

- Przecież rozmawiamy. Mów, przyjacielu. Słucham.

- Na osobności.

Sloat złowił nożem kolejny kawałek jabłka, przeżuł go, po czym zwrócił się do swych towarzyszy:

- Zostawcie nas, chłopcy. - Chwilę później warknął coś jeszcze do zbirów, którzy mrużąc i pokpiwając, podnosili kufle i posłusznie wsta wali od stołu.

Dopiero wówczas spojrzał z uwagą na Goodcastle'a. Ten silił się na swobodę, wyglądał jednak na zrozpaczonego. To dopiero był widok! Desperacja i jej kuzyn - lęk, pobudzały do działania dużo skuteczniej niż chciwość. Sloat wymierzył w Goodcastle'a krótki palec. Jego paznokcie były poczerniały od sadzy, która nieustannie spadała na tę część miasta niczym czarny śnieg.

- Będzie kiepsko, jeśli przyszedłeś tu oznajmić, że w tym tygodniu nie dostanę swoich pieniędzy.

- Nie, nie, nie. Pieniądze są. Nie o to chodzi. - Chwilę później zniżył głos i szepnął: - Posłuchaj, Sloat. Mam kłopoty. Muszę jak najszybciej wyjechać z kraju, tak aby nikt o niczym nie wiedział. Dobrze zapłacę, jeśli mi pomożesz.

- Ależ, drogi przyjacielu, cokolwiek bym dla ciebie zrobił, ty zawsze dobrze płacisz. - Powiedziawszy to, roześmiał się. - Możesz być spokoj-

ny. Co takiego przeszkobałeś, że chcesz opuścić kraj w tak wielkim pośpiechu?

- Nie mogę powiedzieć.

- No coś ty; chyba nie jesteś zbyt nieśmiały, by wyjawić prawdę swojemu przyjacielowi Billy'emu? Przyprawileś kogoś rogi? Wiesz jakimus hazardziście worek kasy...? - Sloat zmrużył oczy i wybuchnął śmiechem. - Ależ skąd. Jesteś zbyt zdiadziały i chudy, żeby rznąć śliczne mężatki. No i masz za małe jaja, żeby zakładać się o coś więcej niż o cholernego pensa. O co więc chodzi, przyjacielu?

- Nie mogę powiedzieć - powtórzył szeptem Goodcastle.

Sloat pociągnął łyk piwa.

- Nieważne. Mów dalej. Jest pora obiadowa, a ja jestem głodny.

Goodcastle rozejrzał się dokoła i jeszcze bardziej zniżył głos:

- Jeszcze dziś wieczorem muszę wyjechać do Francji.

- Wieczorem? - Zbir potrząsnął głową. - Oszalałeś.

- Słyszałem, że masz kontakty w dokach.

- Dobrze słyszałeś. Bill wszędzie ma kontakty.

- Mógłbyś załatwić mi miejsce na statku towarowym do Marsylii?

- To cholernie ciężka sprawa, przyjacielu.

- Nie mam wyboru.

- No cóż, może uda mi się coś załatwić. - Zastanawiał się chwilę. - Ale to cię będzie kosztowało tysiąc funciaków.

- Co takiego?

- Jest pieprzone południe. Spójrz na zegarek. Niełatwo będzie zrobić to, o co mnie prosisz. Będę latał przez cały dzień jak kurczak bez głowy. Cholera. Nie wspomnę nawet o ryzyku. W dokach aż roi się od strażników, celników i funkcjonariuszy - są jak pchły... Sam więc widzisz, szefie. Tysiąc. - Nadział na nóż kawałek zbrązowiałego jabłka i włożył go do ust.

- W porządku - odparł Goodcastle, marszcząc brwi.

Mężczyźni wymienili uścisk dłoni.

- Będę potrzebował zaliczki. Sam rozumiesz, trzeba dać niektórym w łapę.

Goodcastle wyciągnął sakiewkę i policzył monety.

- Rany, szefie! - Bill roześmiał się. Chwilę później wyciągnął potężną dłoń i chwycił woreczek z pieniędzmi. - Dzięki... To jak, kiedy dostanę resztę?

Goodcastle zerknął na zegarek kieszonkowy.

- Zdobędę pieniądze przed czwartą. Załatwisz wszystko do dziesiątej?

- Jasne - odparł Sloat, kiwając ręką na barmankę.



- Przyjdź do sklepu.  
Sloat zmrugał oczy i nieufnie spojrzął na sklepikarza.  
- Możesz nie mówić, co takiego zrobiłeś, ale powiedz, szefie, czy spotykając się z tobą, nie wdępnę w jakieś gówno?  
Sprzedawca roześmiał się ponuro.  
- Słyszałeś powiedzenie „odpłacić komuś pięknym za nadobne”?  
- Pewnie.  
- Właśnie to zamierzam zrobić. Nie przejmuj się. Wiem, jak dopilnować, abyśmy byli sami. - Goodcastle westchnął raz jeszcze i opuścił pub.  
Patrząc za nim, Sloat pomyślał: Tysiąc funciaków za kilka godzin pracy. Desperacja to coś naprawdę wspaniałego.

Tego samego popołudnia, o czwartej pięćdziesiąt pięć, Peter Goodcastle z niepokojem oczekiwał przybycia Billa Sloata.

Mimo iż skrupulatnie przygotowywał się do ucieczki przed wymiarem sprawiedliwości, starał się zachować pozory i udawał, że pochłania go praca. Wciąż wszakże zerkał na ulicę. Naturalnie zauważył detektywów, którzy ubrani po cywilnemu chowali się w cieniu pobliskiej uliczki. Udawali, że przyglądają się przeprowadzanym na zewnątrz pracom remontowym, podczas gdy tak naprawdę interesował ich wyłącznie Goodcastle i jego sklep.

On zdecydował zatem, że oto nadszedł czas, aby wprowadzić w życie swój plan. Przywołał do siebie Markhama i jednego z posłańców, którzy regularnie dostarczali meble do i z domów klientów. Zachowując się podejrzanie niczym artysta w tanim melodramacie, Goodcastle wręczył mu opakowaną w papier pozytywkę i nakazał zanieść ją do swego domu tak szybko, jak to możliwe. Kiedy tylko posłaniec opuścił sklep, jeden z detektywów ruszył jego śladem. Najwyraźniej uznał, że chłopakowi powierzono sekretną misję, a pozytywka pełna jest łupów lub dowodów obciążających.

Dopiero wówczas Goodcastle odesłał Markhama na resztę dnia, dał mu podobną paczkę i nakazał, aby wziął ją do siebie do domu i upewnił się, że mechanizm działa bez zarzutu. Drugi detektyw obserwował, jak mężczyzna opuszcza sklep, przyciskając do piersi drugi pakunek, i po chwili wahania zdecydował, że lepiej będzie iść tropem potencjalnych dowodów, niż stać beczynnie na posterunku.

Goodcastle ostrożnie zerknął na ulicę, jednak nie zauważył więcej detektywów. Pracownicy rozeszli się do domów i ulica była pusta, nie licząc pary, która przystanęła przed wystawą, a chwilę później weszła do sklepu. Widząc, że klienci podziwiają zbroje, Goodcastle oznajmił, że

za chwileczkę wróci do sklepu, i ukradkiem wyglądając na ulicę, zniknął na zapleczu.

Chwilę później usiadł za biurkiem, odsunął turecki gobelin i otworzył sekretny panel. Wyciągał dłoń, kiedy poczuł na twarzy chłodny podmuch wiatru i wiedział już, że ktoś otworzył drzwi do biura.

- Nie! - krzyknął, odwracając się i stając twarzą w twarz z mężczyzną, który przed chwilą wszedł do sklepu.

Dżentelmen trzymał w dłoni potężny pistolet Webley.

- Boże wszechmogący! - jęknął Goodcastle, z trudem chwytając powietrze. - Przyszedłeś mnie obrabować!

- Nie, proszę pana, przyszedłem pana aresztować - odparł mężczyzna. - Proszę się nie ruszać. Nie chcę pana skrzywdzić, ale uczynię to, jeśli nie da mi pan wyboru. - Po tych słowach dmuchnął przeraźliwie w policyjny gwizdek.

Chwilę później drzwi za jego plecami stanęły otworem i do pomieszczenia wpadło dwóch inspektorów Scotland Yardu, ubranych po cywilnemu, i dwóch umundurowanych posterunkowych. Kobieta - która tylko udawała żonę pierwszego policjanta - machnięciem ręki skierowała ich we właściwą stronę.

- Sejf jest tam! - zawołała.

- Doskonale! - odparł jeden z inspektorów, chudy, ciemnowłosy mężczyzna, który wcześniej odwiedził sklep, udając klienta. Był w meloniku, jego towarzysz nosił się podobnie, na garnitur miał zarzucony długi płaszcz. Był jednak wyższy, bledszy, z grzywą lnianych włosów. Obaj funkcjonariusze chwycili właściciela sklepu za ramiona i wyprowadzili go do sklepu.

- Co to ma znaczyć? - ryknął Goodcastle.

- Mniemam, że doskonale zna pan odpowiedź - zaśmiał się błady detektyw.

Przeszukali sklepikarza, a kiedy nie znaleźli przy nim żadnej broni, puścili go. Inspektor, który wszedł do sklepu w towarzystwie kobiety, zamienił webleya na notatnik, w którym zaczął spisywać dowody. Funkcjonariusze podziękowali kobiecie, która oznajmiła, że chętnie pojawi się na posterunku, jeśli tylko będą potrzebowali jej pomocy. O co tu chodzi? - zażądał wyjaśnień Goodcastle.

Błady funkcjonariusz zdał się na swego tyczkowanego kolegę - najpewniej prowadzącego śledztwo - który uważnym wzrokiem spojrzął na Goodcastle^.

- A więc to pan jest człowiekiem, który obrabował mieszkanie Roberta Mayhew.

- Kogo? Przysięgam; nie wiem, o czym mówicie.
- Proszę, panie Goodcastle, niech pan nie urąga naszej inteligencji. Już wcześniej widział mnie pan w swoim sklepie, prawda?
- Tak.
- Podczas wizyty pobrałem z kilku przedmiotów próbkę wosku do konserwacji mebli. Jest to ta sama substancja, której śladowe ilości znaleźliśmy w garderobie lorda Mayhew - przy czym musi pan wiedzieć, że ani lord, ani jego służba nigdy nie mieli kontaktu z czymś podobnym. Znaleźliśmy też fragment końskiego włosia, pasujący do tego, który wyciągnąłem z krzesła w pańskim sklepie.
- Nie wiem, jak to wyjaśnić...
- A jak wytłumaczy pan fakt, że ceglany pył sprzed pańskiego sklepu jest tą samą substancją, którą znaleźliśmy na szczeblach drabiny użytej w trakcie włamania? Proszę nie zaprzeczać, że to pan jest złodziejem.
- Oczywiście, że zaprzeczam. To jakiś absurd!
- Idź przeszukać sejf - zwrócił się inspektor do posterunkowego, kiwając głową w stronę biura. Chwilę później wyjaśnił: - Kiedy byłem tu wcześniej, próbowałem ustalić, gdzie chowa pan przedmioty z rabunków. Jednak w sklepie jest zbyt wiele rozmaitych rzeczy; zbyt wiele zakamarków; aby znaleźć to, czego szukamy, potrzebowalibyśmy tygodnia. A zatem ustawiliśmy przed pańskim sklepem tych dwóch detektywów, aby uwierzył pan, że zamierzamy pana aresztować. Tak jak przypuszczaliśmy; próbował pan wywieść ich w pole... Chciał pan, aby śledzili mężczyzn i paczki, które nie stanowiły żadnych dowodów.
- Mówi pan o tych paczkach, które moi współpracownicy wynieśli chwilę temu ze sklepu? - upewnił się Goodcastle. - W jednej z nich znajdowała się pozytywka, którą poleciłem zanieść do domu, bym wieczorem mógł nad nią popracować. Drugą wziął do domu mój pomocnik, również po to, by ją naprawić.
- Tak pan mówi. Przypuszczam jednak, że pan kłamie.
- Nie ma pan podstaw, by tak twierdzić. Ja...
- Pozwoli pan, że skończę. Podczas gdy nasi ludzie szukali wiatru w polu, zorientowaliśmy się, że zamierza pan uciec z kraju, tak więc obecny tu mój kolega i maszynista z dzielnicowego posterunku odwiedzili pański sklep. - Następnie zwrócił się do policjanta, który odgrywał rolę męża: - Tak przy okazji, odwaliliście kawał świetnej roboty.
- Miło mi to słyszeć.
- Chwilę później prowadzący śledztwo policjant zwrócił się znów do Goodcastle'a:
- Dzięki nim udało nam się uspić pańską czujność. Pan z kolei, szy-

kując się do ucieczki, był na tyle uprzejmy, że zaprowadził nas wprost do sejfu.

- Przysięgam, jestem zwykłym handlarzem antykami i rzemieślnikiem.

Błądy detektyw znów się rozeźmiał, a udający męża policjant skrupulatnie notował w notatniku każde słowo.

- Sir - zaczął posterunkowy, wychodząc z biura - mamy problem.

- Czyżby sejf był zamknięty?

- Nie, sir. Drzwi są otwarte. Problem w tym, że w środku nie ma pierścienia.

Pierścienia? - powtórzył Goodcastle.

- A co jest w środku? - spytał tyczkowaty policjant, ignorując podejrzanego.

- Pieniądze, sir. To wszystko. Około pięciuset funtów.

- Jakież gwinee?

- Nie, sir. Różne waluty, ale prawie wszystko w banknotach. Żadnego złota.

- To najlepszy sposób zapłaty, panowie. Większość handlarzy tak robi.

Marszcząc brew, śledczy zajrzał do biura i zaczął coś mówić. Chwilę później drzwi do sklepu stanęły otworem i pojawił się w nich Bill Sloat. Zbir spojrział na posterunkowych i inspektorów i rzucił się do ucieczki. Chwilę później wrócił jednak do sklepu, ciągnięty przez dwóch policjantów.

- No, no... kogóż my tu mamy! Szalony Bill Sloat - rzucił inspektor w meloniku, unosząc znacząco brew. - Tak, tak, wiemy o panu. A więc jesteś w zmowie z Goodcastle'em?

- Nie jestem, parszywy gliniarzu.

- Radziłbym odrobinę więcej szacunku.

- Na królową, sir, pan Sloat nie zrobił nic złego - jęknął Goodcastle. - Zagląda tu czasami, żeby obejrzeć mój towar. Jestem przekonany, że taki właśnie jest cel jego wizyty.

Prowadzący śledztwo policjant spojrział na sprzedawcę.

- Wyczuwam, że coś przed nami ukrywasz, Goodcastle. Powiedz, o co ci chodzi.

- O nic, naprawdę.

- Jeśli nam nie powiesz, będziesz w doku znacznie wcześniej, niż planowałeś.

- Zamknij tę cholerną mordę - mruknął Sloat.

- Cisza - warknął posterunkowy.

- No dalej, Goodcastle; powiedz nam.

Sprzedawca przełknął z trudem ślinę i wyraźnie spanikowany odwrócił się od Sloata.

- Ten mężczyzna jest postrachem Great Portland Street! Wyłudza od nas pieniądze i kosztowności, grożąc, że jeśli nie zapłacimy, naśle na nas swych kundli z Green Man. Przychodzi w każdą sobotę, żądając dziesięć ciny.

- Słyszeliśmy o tym - rzucił Inianowłosy detektyw.

Śledczy spojrzął z uwagą na Goodcastle'a.

- Ale dziś jest poniedziałek, nie sobota. Po co więc przyszedł?

- Ostrzegam cię! - ryknął Sloat do Goodcastle'a.

- Jeszcze słowo i odjedziesz stąd w więziennej suce, Sloat.

Goodcastle wziął głęboki oddech.

- W ubiegły czwartek około ósmej rano Sloat przyszedł do sklepu. Nie otworzyłem jeszcze drzwi, ale byłem na zapleczu, woskując i polerując antyki, nad którymi pracowałem do późnej nocy.

Śledczy pokiwał głową, jak gdyby doskonale rozumiał mężczyznę. Chwilę później zwrócił się do swych towarzyszy:

- To było w dzień włamania. Niedługo przedtem, nim do niego doszło. Proszę mówić dalej, Goodcastle.

- Kazał, bym otworzył drzwi. Zainteresował się pozytywkami i bacznie się im przyglądał. Wybrał jedną z nich; o, tamtą. - Mówiąc to, wskazał dłonią stojące na ladzie palisandrowe pudełko. - Powiedział też, że oprócz dziesięćciny w tym tygodniu weźmie również to. Co więcej, kazał wbudować do skrzyneczki drugie dno. Miało być tak sprytnie pomyślane, żeby pozostawało niewidoczne dla oka tych, którzy spoglądaliby na pozytywkę. - Znów machnął w stronę pudełka, w którym istotnie znajdowała się sekretna przegródka.

- Czy powiedział, co zamierza tu ukryć? - spytał inspektor Scotland Yardu.

- Wspominał coś o biżuterii i złotych monetach.

- To cholerny kłamca i zbój, a kiedy... - ryknął Sloat.

- Zamknij się! - warknął posterunkowy i pchnął mężczyznę na krzesło.

- Powiedział, skąd je ma?

- Nie, proszę pana.

Detektywi wymienili spojrzenia.

- Czyli Sloat przyszedł do sklepu - wziął się do podsumowania starzy śledczy - wybrał pozytywkę, a na jego palcach zostały resztki wosku. Końskie włosie i ceglany pył przywarły do jego ubrania. Zaplano wawszy wszystko w czasie, udał się do mieszkania lorda Mayhew, gdzie zostawił te właśnie dowody.

- Brzmi sensownie - wtrącił trzeci policjant, zerkając znad notatnika.  
- Ty, Goodcastle, nie masz kryminalnej przeszłości? - spytał bladej detektyw. - Nie kłam. Łatwo to sprawdzić.

- Nie, proszę pana. Jestem prostym rzemieślnikiem - moim jedynym błędem było to, że nie zgłosiłem na policję wyłudzeń, jakich dopuszczał się Sloat. Nie uczynił tego nikt z Great Portland Street. Byliśmy zbyt przerażeni... Proszę wybaczyć, panowie, ale to prawda - odesłałem policjantów sprzed sklepu. Nie wiedziałem, czego chcieli, ale wyglądali na detektywów. Musiałem się ich pozbyć. Oczekiwałem przybycia pana Sloata i wiedziałem, że jeśli zauważy w pobliżu stróżów prawa, pomyśli, że to ja ich wezwałem, i pobije mnie. Albo zrobi coś znacznie gorszego.

- Przeszukajcie go - rzucił bladej inspektor, kiwając głową w kierunku gangstera.

Chwilę później posterunkowi wyciągnęli z jego kieszeni kilka monet, cygaro, pałkę i sakiewkę. Bladej detektyw zajął do środka.

- Gwinee! Dokładnie takie, jakie skradziono lordowi Mayhew.

Królewska mennica przestała wybijać złote gwinee, warte funta i szylinga, w 1813 roku. Były one wciąż legalną walutą, jednak należały do rzadkości. Dlatego Goodcastle ukradł lordowi Mayhew zaledwie kilka sztuk; posługiwanie się takimi monetami mogło ściągnąć uwagę innych ludzi.

- To nie moja sakiewka! - ryknął Sloat. - To jego!

- Kłamstwo! - wrzasnął Goodcastle. - Skoro należy do mnie, jak znalazła się w pańskim posiadaniu? Moja jest tutaj. - Mówiąc to, pokazał tani skórzany woreczek, zawierający kilka funtów, koron i pensów.

Posterunkowy, który trzymał sakiewkę, zmarszczył brew.

- Sir, w środku jest coś jeszcze, ukryte w kieszonce na dnie. - Chwilę później wyciągnął z sakiewki dwa przedmioty i pokazał je zgromadzonym.

- Szpilka do krawata, taka sama jak ta, której zaginięcie zgłosił lord Mayhew. Prawdopodobnie to właśnie ona. I skradziona z mieszkania lorda rubinowa brosza!

- Mówię wam. Jestem niewinny. Obecny tu Goodcastle przyszedł do mnie i powiedział, że jeszcze dziś wieczorem chce wyjechać do Francji.

- A jaki był powód tego pośpiechu? - spytał detektyw, wciąż notując coś na kartce.

- Nie mówił.

- Oczywiście - odparł cierpko bladej detektyw. Było oczywiste, że nie wierzy w ani jedno słowo gangstera.

Goodcastle starał się zachować skupioną i pełną powagi minę. W rzeczywistości jednak dręczyły go pewne obawy, gdyż sam nie był pewien, jak

długo jeszcze zdoła pociągnąć tę farsę. By uratować siebie, musiał działać szybko. Tak jak powiedział Sloatowi, zamierzał odpłacić Scotland Yardowi pięknym za nadobne -jednak nie za cenę ucieczki z kraju i życia we Francji, na które nigdy by się nie zdecydował. Nie. Musiał użyć wszelkich dowodów, by zrobić Sloata w kradzież - stąd wymyślona historyjka o pozytywce z sekretną przegródką i dopilnowanie, by zbir wziął sakiewkę z obciążającymi go dowodami.

Ale czy policja uwierzy w taką wersję?

Przez chwilę wydawało się, że tak. Jednak gdy Goodcastle nieco odechnął, główny śledczy zwrócił się do niego:

- Proszę pana. Pańskie dłonie.

- Słucham?

- Chcę zobaczyć pańskie dłonie. To ostatni test w tej jakże zagadkowej sprawie. Nie jestem do końca przekonany, czy faktycznie było tak, jak się może wydawać.

- Ach tak. Oczywiście.

Goodcastle wyciągnął dłonie, próbując zapanować nad ich drżeniem. Detektyw z uwagą obejrzał jego palce. Po chwili podniósł wzrok, marszcząc brew, jeszcze raz obejrzał ręce sklepikarza i powąchał jedną z nich.

- Teraz pan - zwrócił się do Sloata.

- Słuchajcie, gliniarze, nie jesteście, kurwa...

Zanim zdążył dokończyć, posterunkowy pochwycił jego mięsiste dłonie i uniósł je do góry. Inspektor oglądał i wąchał je przez dłuższą chwilę. W końcu pokiwał głową i zwrócił się do Goodcastle'a:

- Widzi pan, westfalski pierścień jest wyjątkowy - został wykonany ze srebra i złota; to dość niezwykle w sztuce jubilerskiej. Złoto -jak pan zapewne wie - nie wymaga polerowania, aby zapobiec matowieniu. Inaczej jest ze srebrem. Mayhew powiedział nam, że pierścień był ostatnio polerowany specjalnym środkiem do czyszczenia srebra, o silnym zapachu lilii. Środek ten jest dość drogi, jednak lord Mayhew nie skąpi na niego pieniędzy. - Odwrócił się do Sloata. - Pańskie dłonie wydzielają delikatny zapach lilii i widać na nich drobinki białawej pasty, która stanowi podstawowy składnik owego środka czyszczącego. Dłonie pana Goodcastle'a są czyste. Nie ma więc żadnych wątpliwości. To pan jest złodziejem.

- Nie, nie! To jakaś pomyłka!

- Będzie pan mógł dowodzić słuszności swoich zaprzeczeń przed sądem - w doku - odparł lnianowłosa policjant.

Kiedy Goodcastle usłyszał o owym unikatowym środku do polerowania srebra, serce zabiło mu jak młotem. Niewiele brakowało, a przeoczył-

by ten szczegół. Pomyślał jednak, że skoro detektywi byli aż tak skrupulatni w szukaniu choćby najdrobniejszych dowodów, które świadczyłyby o winie bądź też niewinności, on, Peter Goodcastle, musiał być równie sumienny. Jeśli włamywacz zostawiał obciążające dowody na miejscu przestępstwa, on również mógł je zdobyć. Pomyślał o pierścieniu i sypialni lorda Mayhew. A także o wyjątkowym zapachu pasty do polerowania srebra firmy Covey, który rozpoznał, zaglądając do wyściełanej aksamitem szkatułki. W drodze do Green Man kupił ów środek i posmarował nim dłoń. Kiedy przypieczętowując umowę, podał rękę Sloatowi, pasta i jej unikatowy zapach pozostały na dłoni rzezimieszka. Przed powrotem do sklepu Goodcastle wyszorował dłonie ługowym mydłem.

- Jeśli będzie pan współpracował, wszystko pójdzie znacznie sprawniej - zwrócił się do Sloata detektyw w meloniku.

- Jestem ofiarą spisku!

- Tak, tak... Myśli pan, że jest pierwszym, który tak mówi? Gdzie jest pierścień?

- Nie wiem nic o żadnym pierścieniu.

- Być może znajdziemy go, kiedy przeszukamy pańskie mieszkanie.

Nie, pomyślał Goodcastle, nie znajdą go. Ale znajdą dziesiątki innych przedmiotów, skradzionych przez niego w czasie rozmaitych włamań, których dopuścił się w ubiegłym roku. Znajdą też niezdarne rysunek, przedstawiający plan mieszkania Roberta Mayhew - naszkicowany ołówkiem Sloata, na jego kartce. Goodcastle podrzucił go do mieszkania dziś po południu, po spotkaniu ze Sloatem w Green Man Pub (tym razem zadbał o to, by nie zostawić żadnych śladów).

- Skujcie go i zabierzcie do więzienia - nakazał błądy inspektor.

Posterunkowi zatrzasnęli kajdanki wokół nadgarstków Sloata i wyprowadzili wyrrywającego się mężczyznę ze sklepu.

Goodcastle potrząsnął głową.

- Czy oni zawsze tak gorliwie zapewniają was o swojej niewinności?

- Zazwyczaj. Dopiero w sądzie okazują skruchę. Szczególnie wówczas, gdy sędzia ma ogłosić wyrok - odparł błądy policjant. Po chwili dodał: - Proszę nam wybaczyć, panie Goodcastle. Wykazał pan wielką cierpliwość. Proszę jednak zrozumieć całe to zamieszanie.

- Naturalnie. Cieszę się, że ten człowiek zniknie w końcu z ulic Londynu. Żałuję tylko, że nie miałem więcej odwagi, by powiadomić was o tym wcześniej.

- Jest pan szanowanym dżentelmenem - odparł detektyw z notatnikiem - nietrudno więc zrozumieć, że obcy jest panu świat przestępców i rzezimieszków.



- Cóż, chciałem podziękować panom i całemu Scotland Yardowi - zwrócił się Goodcastle do inspektora prowadzącego śledztwo.

Słyszając to, mężczyzna roześmiał się i spojrzał na bladego inspektora.

- Och, chyba trwa pan w błędnym przeświadczeniu, panie Goodcastle. Tylko ja jestem ze Scotland Yardu. Moi towarzysze to prywatni detektywi, zaangażowani w sprawę przez sir Roberta Mayhew. Inspektor Gregson - przedstawił się. Po chwili wskazał głową ciemnowłosego, szczupłego mężczyznę, który na pierwszy rzut oka zdawał się dowodzić całą akcją. - A to detektyw Sherlock Holmes.

- Miło mi pana poznać - rzucił Goodcastle. - Chyba gdzieś już o panu słyszałem.

- Z pewnością - odparł Holmes, jak gdyby był przekonany, że Goodcastle faktycznie musiał o nim słyszeć. Przypominał wykładowcę z King's College, błyskotliwego, choć nieustannie pogrążonego w zadumie.

Tymczasem Gregson skinął głową w kierunku mężczyzny, który odgrywał rolę męża kobiety, i przedstawił go jako doktora Watsona. Mężczyźni wymienili serdeczny uścisk dłoni, po czym Watson zadał Goodcastle'owi kilka pytań, zapisując w notatniku odpowiedzi. Chwilę później wyjaśnił, że często sporządza raporty ze spraw, które prowadzi razem z Holmesem.

- Tak, oczywiście. To dlatego o was słyszałem. Raporty są przecież publikowane w gazetach. A więc to panowie! Cóż za zaszczyt.

- Skądże - odparł Holmes, na którego twarzy pojawiły się duma i zaskoczenie.

- Czy o tym również napiszecie? - spytał Goodcastle.

- Niestety, nie - odparł Holmes. Wydawał się urażony, być może dlatego, że choć aresztowano przestępcę, jego umiejętności odczytywania wskazówek zaprowadziły policję do drzwi niewinnego człowieka.

- Ale gdzie podział się pierścień? - spytał Gregson.

- Przypuszczam, że Sloat już się go pozbył - odparł Holmes.

- Skąd te przypuszczenia? - spytał Watson.

- To proste. Miał przy sobie inne przedmioty, pochodzące z kradzieży. Dlaczego więc nie było pierścienia? Sądząc po jego ubraniu, przypuszczam, że mieszka z kobietą; zarówno marynarka, jak i spodnie zostały zacerowane identycznymi szwami - na łokciach i po wewnętrznej stronie nogawki. Oznacza to, że ubrania cerowała ta sama osoba, choć w różnych odstępach czasu. Można więc przypuszczać, że była to żona lub przyjaciółka. Prośba o zamontowanie w pozytywce sekretnej przegródki wskazuje na to, że Sloat nie ufa ludziom, a co za tym idzie, niechętnie zostawiłby pierścień w miejscu, gdzie kręcą się inni; czyli do czasu, aż pozy-

tywka zostanie ukończona, powinien mieć go przy sobie. Ponieważ nie znaleźliśmy niczego, można przypuszczać, że zdążył się go pozbyć. Nie miał też przy sobie znacznej sumy w gotówce, lecz tylko skradzione lordowi Mayhew gwinee; a to oznacza, że uregulował pierścieniem stare długi.

- Jak myślisz, gdzie się go pozbył?

- Niestety, obawiam się, że pierścień jest już w drodze za granicę.

Podczas gdy inni spoglądali na siebie ze zdumieniem, Holmes ciągnął dalej:

- Mniemam, że zauważyliście rybie łuski na mankietach pana Sloata.

- Cóż - rzucił Gregson - ja osobiście nie zauważyłem nic podobnego.

- Ja również - przyznał Watson.

- Były to łuski ryb słonowodnych.

- Wiedziałeś o tym, Holmes? - spytał inspektor Scotland Yardu.

- Informacje, informacje, informacje - odparł z rozdrażnieniem Holmes. - W tej pracy, drogi Gregsonie, musisz kodować w głowie każdy najdrobniejszy szczegół. Oczywiście, łuski mogły sugerować wyłącznie to, że Sloat waleśał się wśród handlarzy rybami. Ale z pewnością zauważyliście smugi smoły na jego butach. - Widząc, że pozostali potrząsają przecząco głowami, Holmes westchnął, a na jego twarzy pojawił się wyraz znużenia. - Ale znacie chyba powiedzenie: „Zapłaci diabłu, gdy ten się o tym dowie”?

- Oczywiście.

- W przenośni oznacza ono, że ktoś poniesie konsekwencje. Jednak większość ludzi nie ma pojęcia o znaczeniu dosłownym. Powiedzenie nie ma nic wspólnego z oddawaniem swych pieniędzy komukolwiek. „Diabeł” to fragment łodzi pomiędzy wewnętrznym i zewnętrznym kadłubem. „Płacenie” to nic innego jak zapuszczanie zewnętrznych łączy gorącą smołą, tak by stały się wodoszczelne. Najwyraźniej wchodzenie pomiędzy kadłuby to nic przyjemnego, bo tak właśnie karano niepokornych żeglarzy. Używana do tego smoła jest wyjątkowa i można ją znaleźć jedynie w okolicach nabrzeża. Widząc rybie łuski i smołę, wiedziałem, że Sloat spędził w dokach ostatnie kilka godzin. Najrozsądniejszym wytłumaczeniem jest fakt, że był winien kapitanowi statku sporą sumę pieniędzy i umorzył swe długi, oddając mu w zamian pierścień. - Holmes potrząsnął głową. - W tej chwili pierścień może być na jednym z dziesiątków statków, z których żaden nie podlega naszej jurysdykcji. Obawiam się, że lord Mayhew będzie musiał pofatygować się do towarzystwa ubezpie-

\* Ang. *There will be the devil to pay when he finds out!*; w jęz. polskim: „Będzie sądny dzień, kiedy się dowie”.

czeniowego Lloyda. Miejmy też nadzieję, że w przyszłości założy w oknach i drzwiach lepsze zamki.

- Niezwykłe wnioski - zachwycił się Gregson.

Faktycznie, uwagi Holmesa robią wrażenie, pomyślał Goodcastle, nawet jeśli całkowicie mijają się z prawdą.

Holmes tymczasem wyciągnął z kieszeni fajkę z drzewa wiśniowego, zapalił ją i ruszył w kierunku drzwi. Nagle przystanął, rozejrzał się dookoła i unosząc brew, spojrzął na Goodcastle'a.

- Sir, może pomoże mi pan w jeszcze jednej sprawie. Ponieważ zajmuję się pan pozytywkami... Szukam pewnej pozytywki, która wzbudziła za interesowanie jednego z moich klientów. To ośmiobok ze złotą podstawą. Urządzenie wygrywa melodię z „Czarodziejskiego fletu” Mozarta i zostało wykonane w 1856 roku przez niejakiego Edwarda Gastwolda. Obudowa jest z palisandru, inkrustowanego kością słoniową.

Goodcastle zastanawiał się chwilę.

- Przykro mi, ale nigdy nie widziałem czegoś tak wyjątkowego. Nie miałem wystarczająco wiele szczęścia, by natknąć się na którekolwiek z dzieł Gastwolda, choć istotnie słyszałem, że są to prawdziwe dzieła sztuki. Naturalnie, mogę poprosić. Skontaktować się z panem, jeśli dowiem się czegoś?

- Proszę. - Holmes wręczył sklepikarzowi wizytówkę. - Mój klient jest gotów zapłacić za owo pudełeczko ogromną sumę pieniędzy; zapłaci też każdemu, kto wskaże jego właściciela.

Goodcastle włożył wizytówkę do stojącego przy kasie niewielkiego pudełka. Cóż za błyskotliwy człowiek z tego Holmesa, pomyślał.

Niewielu wiedziało o pozytywce Gastwolda, która od lat była własnością właściciela potężnego Southland Metalworks w hrabstwie Sussex. Zbierając informacje na temat życia lorda Mayhew, dowiedział się, że to właśnie on jest najpoważniejszym akcjonariuszem Southland.

Holmes zadał proste, z pozoru niewinne pytanie, w nadziei że Goodcastle wyjawia, iż istotnie wie o pozytywce, a nawet zna jej właściciela.

To by znaczyło, że faktycznie interesował się życiem i stanem majątkowym lorda Mayhew.

Nie było żadnego klienta zainteresowanego kupnem palisandrowego cacka. Mimo to Holmes wiedział o istnieniu pozytywki. Najwyraźniej zgromadził niezbędne informacje, na wypadek gdyby okazały się one przydatne - dokładnie tak, jak robił to Goodcastle, przygotowując się do kolejnych kradzieży. („Informacje, informacje, informacje” - powiedział Holmes. Ileż było w tym prawdy!).

- A zatem miłego dnia, panowie - zwrócił się Goodcastle do mężczyzn.

- Miłego dnia. Jeszcze raz prosimy o wybaczenie - odparł życzliwie Watson.

- Nic się nie stało - zapewnił go Goodcastle. - Wolę agresywną policję, która będzie ochraniać nas przed takimi szubrawcami jak Bill Slo-at, niż taką, która zaniedba całą sprawę i pozwoli, byśmy dalej padali ofiarą jemu podobnych łajdaków.

Przed wszystkim jednak odpowiada mi taka policja, która bez ogródek informuje obywateli o tym, w jaki sposób ściga przestępców, dzięki czemu mogę udoskonalić własny warsztat, dodał w duchu.

Kiedy mężczyźni opuścili sklep, Goodcastle podszedł do kredensu i nalał sobie szklaneczkę sherry. Wracając, przystanął przy jednej ze szkatulek i zerknął na misę, w której leżały tanie spinki do mankietów i kołnierzyków. Tuż obok stała tabliczka z napisem „Dwa produkty w cenie 1£”. Upewnił się, że westfalski pierścień spoczywa pomiędzy cynową i miedzianą biżuterią, gdzie pozostanie do jutra, kiedy to Goodcastle spotka się ze swym francuskim klientem.

Tymczasem przeliczył dzienny utarg i - jak co wieczór - posprzątał i odkurzył ladę, by rano powitać kolejnych klientów.

## Obserwacja

Walenie do drzwi nie tylko wyrwało Jake'a Mullera z popołudniowej drzemki, ale natychmiast zdradziło mu, kim jest jego gość.

Nie było to uprzejme, pojedyncze stuknięcie ani przyjazne pukanie w alfabecie Morse'a, lecz powtarzający się łomot mosiężnej kołatki. Trzy razy, cztery, sześć...

Chryste, tylko nie to.

Dźwigając z kanapy swe masywne ciało, Muller znieruchomiał, jak gdyby chciał przeskoczyć na kolejny szczebel świadomości. Była piąta po południu i przez cały dzień pracował w ogrodzie - dopóki godzinę temu holenderskie piwo i ciepłe majowe popołudnie nie ukołysały go do snu. Teraz zapalił lampę i chwiejnym krokiem podszedł do drzwi.

Szczupły mężczyzna w niebieskim garniturze, o gęstych, dobrze przystrzyżonych włosach, przemknął obok Mullera i wpadł do salonu.

Tuż za nim szedł nieco starszy i tęższy człowiek w brązowym twee-dowym ubraniu.

- Detektywie - mruknął Muller do faceta w niebieskim.

Porucznik William Carnegie nie odpowiedział. Chwilę później usiadł na kanapie, jak gdyby właśnie wrócił z łazienki.

- Kim pan jest? - spytał Muller drugiego gościa.

- Sierżant Hager.

- Nie musisz oglądać jego odznaki, prawda, Jake? - odparł Carnegie.

Muller ziewnął. Chciał wrócić na kanapę, gliniarz jednak siedział sztywno na samym jej środku, zamiast tego przycupnął więc na niewygodnym krześle. Hager nie usiadł. Skrzyżował ramiona i rozglądał się po ciemnym pokoju, by ostatecznie skupić wzrok na spłowiałych niebieskich dżinsach Mullera, przybrudzonych białych skarpetkach i koszulce reklamującej lokalną spelunkę, w której serwowano małże. Typowe ubranie do pracy w ogrodzie.

Ziewając i przyglądając niesforne włosy w kolorze piasku, Muller spytał:  
- Nie przyszlście mnie aresztować, prawda? Gdyby tak było, już byście to zrobili. O co więc chodzi?

Szczupła dłoń Carnegiego sięgnęła w głąb marynarki, by chwilę później wyjąć z niej notatnik, w który detektyw spojrział.

- Chcieliśmy tylko cię poinformować, Jake, że dowiedzieliśmy się o twoich kontaktach bankowych w West Coast Federal w Portlandzie.

- Jak to zrobiliście? Macie nakaz sądowy?

- W niektórych sprawach nie potrzeba nakazu.

Opadając z powrotem na krzesło, Muller zastanawiał się, czy przypadkiem nie założyli na jego komputerze jakiegoś podsłuchu - przecież zaledwie tydzień temu otworzył konta. Wiedział już, że wydział przestępczości w Annandale stosuje najnowocześniejsze techniki; on sam od kilku miesięcy był pod obserwacją.

Jak rybka w kulistym akwarium...

Zauważył, że gliniarz w tweedowym garniturze uporczywie gapi się na jego skromne mieszkanie.

- Sierżancie Haver...

- Hager.

- Nie wyglądam na kogoś, kto opływa w luksusy, jeśli jego oznak właśnie pan szuka. Nie wyglądam, bo tak nie jest. Powiedźcie mi, rozpracowaliście już sprawę Anco?

Sierżant nie musiał spoglądać na swego towarzysza, by wiedzieć, że należy po prostu milczeć. Muller ciągnął:

- Ale wiecie przecież, że włamywacz zgarnął pięćset tysięcy z kawałkiem. Jeśli więc, jak przypuszcza detektyw Carnegie, to ja ukradłem te pieniądze, czy nie powinienem teraz mieszkać w odrobinę przyjemniejszym miejscu niż ta nora?

- Nie, jeśli jesteś inteligentny - mruknął sierżant i w końcu zdecydował się usiąść.

- Nie, jeśli jestem inteligentny - powtórzył Muller i roześmiał się.

Detektyw Carnegie rozejrzał się po ciemnym pokoju.

- Przypuszczamy, że to coś w rodzaju przykrywki - oświadczył.  
-Prawdopodobnie masz dużo ładniejsze mieszkanie gdzieś za granicą.

- Chciałbym, żeby tak było.

- Cóż, wszyscy zgadzamy się chyba, że nie jesteś typowym mieszkańcem Annandale.

Jeśli chodziło o standardy panujące w tym zamożnym, południowo-kalifornijskim mieście, Jake Muller istotnie wydawał się dziwakiem. Po-

jawił się nagle jakieś sześć miesięcy temu, by -jak twierdził - nadzorować pewne interesy. Był samotny, dużo podróżował, a jego dotychczasowa działalność przedstawiała się raczej mgliście (wyjaśnił, że prowadził firmy, które wykupywały i sprzedawały inne firmy). Zarabiał spore pieniądze, zamieszkał jednak w skromnym domu, któremu - jak właśnie się okazało - daleko było do luksusowej rezydencji.

Kiedy więc bystry komputer detektywa Williama Carnegiego sporządził listę tych wszystkich, którzy wprowadzili się do miasta przeszło cztery miesiące temu, tuż przed osławionym skokiem na opancerzony samochód Anco Delivery, Muller natychmiast zdobył status podejrzanego. W miarę jak gliniarz coraz baczniej mu się przyglądał, znajdował wciąż więcej dowodów świadczących o jego winie. Facet nie miał alibi na czas, w którym dokonano rabunku. Bieżniki opon samochodu, który wykorzystano w czasie napadu, były zadziwiająco podobne do tych w le-xusie Mullera. Carnegie dowiedział się też, że podejrzany jest inżynierem elektrykiem, a wiadomo, że aby dostać się do sejfu, włamywacz musiał unieszkodliwić skomplikowany system alarmowy.

Jeszcze lepszy - z punktu widzenia Carnegiego - okazał się fakt, że Muller był notowany: jako nieletni został skazany za kradzież samochodu, a dziesięć lat temu aresztowano go za pranie pieniędzy w firmie, z którą prowadził interesy. Mimo iż oskarżenia przeciwko Mullerowi zostały wycofane, Carnegie wierzył, że sprawę oddalono ze względów formalnych. W głębi serca wiedział, że to właśnie Muller stał za sprawą Anco, i nękał biznesmena z tą samą zajadłością i energią, które uczyniły go gwiazdą pośród mieszkańców Annandale. Odkąd dwa lata temu Carnegie został szefem wydziału kryminalnego, skala kradzieży, sprzedaży narkotyków i gangsterskich porachunków spadła o połowę. Annandale miało najniższy wskaźnik przestępczości ze wszystkich pobliskich miast. Carnegie był też lubiany przez prokuratorów - zawsze znajdował niepodważalne dowody przeciwko podejrzanym.

Jednak sprawa Anco sprawiła, że utknął w miejscu. W ubiegłym miesiącu, tuż po tym, jak aresztował Mullera, na policję zgłosił się świadek, utrzymując, że człowiek, który opuszczał tereny Anco zaraz po dokonaniu napadu, w niczym go nie przypominał. Carnegie twierdził, że cwaniak pokroju biznesmena z pewnością użyłby przebrania. Tymczasem prokurator stanowy zdecydował, że nie będzie rozprawy przeciwko Mullerowi, i nakazał go zwolnić.

Ujma na honorze i bałagan w papierach sprawiły, że Carnegie gotował się z wściekłości. Kiedy więc zabrakło innych tropów, zaatakował Mullera ze zdwojoną zajadłością. Jak oszalały grzebał w życiu biznes-

mena i powoli zaczął gromadzić poszlaki. Muller często grywał w golfa na polu golfowym nieopodal głównej siedziby Anco - idealnym miejscu, by obserwować firmę. Był również posiadaczem palnika acetylenowego, którym bez trudu mógł przeciąć drzwi w strefie załadunku. Dzięki tym informacjom detektyw przekonał kapitana, by zezwolił na dalszą obserwację podejrzanego.

Stąd dzisiejsza wizyta, przerwana drzemką i najświeższe wiadomości o kontaktach Mullera.

- No więc co z tymi pieniędzmi w Portlandzie, Jake?

- A co ma być?

- Skąd pochodzą?

- Ukradłem klejnoty koronne. Nie, zaraz. Pochodzą z wielkiego napadu na pociąg Northfield. No dobra, kłamałem. Okradłem kasyno w Vegas.

William Carnegie westchnął i na chwilę opuścił powieki, zakończone koronką idealnych, delikatnych rzęs.

- Co z drugim podejrzanym? - spytał biznesmen. - Tym robotnikiem drogowym? Mielicie go sprawdzić.

Mniej więcej w tym samym czasie, w którym doszło do napadu, widziano mężczyznę w kombinezonie pracownika robót publicznych, który z krzaków obok bramy głównej Anco wyciągał jakąś walizkę. Jego zachowanie wzbudziło podejrzenia przejeżdżającego kierowcy, który spisał numery rejestracyjne ciężarówki i przekazał informację policji drogowej. Ciężarówka, którą tydzień wcześniej skradziono w Bakerfield, została odnaleziona na lotnisku Johna Wayne'a w okręgu Orange.

Adwokat Mullera utrzymywał, że to właśnie ów mężczyzna był złodziejem i że to jego powinien ścigać Carnegie.

- Wciąż nie udało nam się go odnaleźć - odparł detektyw z Annan-dale.

- To znaczy - mruknął Muller - że nie wiecie, gdzie go szukać. Facet zniknął, a wy, zamiast znaleźć prawdziwego złodzieja, wolicie nękać niewinnych ludzi. Do cholery, Carnegie - warknął - jedynym błędem, jaki popełniłem w życiu, był ten, że jako siedemnastolatek posłuchałem kilku koleśków, których nie powinienem był słuchać. Pożyczyliśmy...

- Pożyczyliście?

- ..samochód na dwie godziny i drogo za to zapłaciliśmy. Nie rozumiem tylko, dlaczego tak się na mnie uparliście.

Prawda była jednak taka, że Muller zbyt dobrze znał odpowiedź na to pytanie. W swojej długiej, zróżnicowanej karierze spotkał już kobiety i mężczyzn podobnych do zdyscyplinowanego Williama Carnegiego.



Przypominali maszyny napędzane bezmyślną ambicją, by pograżyć tych, których uważali za przeciwników lub wrogów. Byli inni niż ludzie pokroju Mullera - równie ambitni, choć szukający emocji w samej rozgrywce. Osoby takie jak William Carnegie kierowały się wyłącznie chęcią zwycięstwa; reszta była niczym.

- Możesz udowodnić, że pieniądze pochodzą z legalnego źródła? - spytał oficjalnie sierżant.

Muller zerknął na Carnegiego.

- Co się stało z pana poprzednim asystentem, detektywie? Jak on miał na imię? Carl? Lubiłem go, ale chyba nie wytrzymał zbyt długo.

Odkąd Jake Muller stał się jego obsesją, Carnegie dwukrotnie zmieniał asystentów. Przypuszczał, że choć obywatele i prasa pozostawali pod wrażeniem jego obsesyjno-kompulsywnej natury, on sam unieszczęśliwia tym swoich współpracowników.

- W porządku - rzekł detektyw. - Nie chcesz mówić, twoja sprawa. A, prawie bym zapomniał. Dostaliśmy informację, którą właśnie sprawdzamy. To bardzo ciekawe.

- Czyżby kolejny etap inwigilacji?

- Możliwe.

- A więc co takiego znaleźliście?

- Na razie powiem tylko, że to naprawdę ciekawe.

- Ciekawe - powtórzył Muller. - Już dwa razy użył pan tego słowa. Hej, ma pan ochotę na piwo? A pan, sierżancie?

Carnegie odpowiedział za nich obu:

-Nie.

Muller przyniósł z kuchni heinekena.

- A więc chce pan powiedzieć, że kiedy przejrzyte te ciekawe informacje, będziecie mieli wystarczająco wiele dowodów, by aresztować mnie na dobre. Wszystko jednak pójdzie znacznie szybciej, jeśli się przyznam. Prawda?

- Daj spokój, Jake. W Anco nikomu nic się nie stało. Dostaniesz najwyżej pięć lat. Jesteś młody. Będziesz się czuł jak na pracach społecznie użytecznych.

Muller pokiwał głową i pociągnął solidny łyk piwa. Chwilę później odparł poważnym tonem:

- Ale jeśli się przyznam, będę musiał oddać pieniądze, prawda?

Carnegie znieruchomiał, a na jego twarzy pojawił się czarujący uśmiech.

- Nie spocznię, dopóki cię nie przymknę, Jake. Wiesz o tym. - Na stępnie zwrócił się do sierżanta: - Idziemy. To strata czasu.

- Przynajmniej w tej kwestii jesteśmy zgodni - rzucił Muller i zamknął za nimi drzwi.

Następnego dnia William Carnegie, w idealnie uprasowanym szarym garniturze, białej koszuli i czerwonym krawacie w paski, wpadł do pokoju strażników na komisariacie w Annandale. Tuż za nim szedł Hager.

Detektyw powitał skinieniem głowy ośmiu funkcjonariuszy, siedzących na krzesłach z taniego włókna szklanego. W pomieszczeniu zapadła cisza, w czasie której Carnegie mierzył wzrokiem grupę policjantów.

Ktoś popijał kawę, ktoś stukał ołówkiem w blat biurka, ktoś gryzmo-lił coś na luźnej kartce.

Ktoś podniósł wzrok.

- Zamierzamy pchnąć sprawę do przodu. Wczoraj poszedłem spotkać się z Mullerem. Zasiałem w nim ziarno niepewności i oto rezultat: Ubiegłej nocy monitorowałem jego pocztę. Facet przelał pięćdziesiąt tysięcy z banku w Portlandzie na konto Banku Liońskiego we Francji. Jestem pewien, że szykuje się do ucieczki.

Carnegie uzyskał zgodę na stosowanie wobec Mullera zaawansowanych technik obserwacyjnych. Najnowocześniejsze metody śledcze pozwalały na utworzenie rzeczywistych połączeń z dostawcą usług internetowych i komputerami Mullera, jego kartami kredytowymi, bankami i operatorem telefonii komórkowej. Za każdym razem, kiedy Muller dokonywał zakupów, łączył się z Internetem czy wyciągał gotówkę, funkcjonariusze z grupy zajmującej się sprawą Anco niemal natychmiast o tym wiedzieli.

- Wielki Brat będzie obserwował każdy jego ruch.

- Kto? - spytał jeden z młodszych policjantów.

- „1984” - odparł Carnegie, zdziwiony faktem, że mężczyzna nie słyszał o powieści. - Książka - dodał sarkastycznie. Widząc jednak tępe spojrzenie funkcjonariusza, wyjaśnił: - Wielki Brat symbolizował władzę. Obserwował wszystko, co robili jego obywatele. - Skinął głową w kierunku zakurzonego komputera, po czym zwrócił się do pozostałych funkcjonariuszy: - Wy, ja i Wielki Brat zaciskamy pętlę wokół szyi Mullera. - Słyszając stłumione uśmiechy, pożałował, że nie był mniej dramatyczny. Ale do cholery z tym. Czy oni nie zdają sobie sprawy, że z powodu Anco Annandale stało się pośmiewiskiem wszystkich funkcjonariuszy w południowej Kalifornii? Gliniarze z CHP, LAPD, nawet z pobliskich miasteczek, nie mogli uwierzyć, że policja z Annandale, która dysponuje największym budżetem w okręgu Orange, nie potrafi zgarnąć jednego gościa, zamieszanego w napad.

Carnegie podzielił grupę na trzy drużyny i przydzielił im dyżury przy komputerach, nakazując, by niezwłocznie informowali go o każdym kroku Mullera.

Wracając do gabinetu, gdzie zamierzał po raz kolejny przyjrzeć się przelewowi pieniędzy, usłyszał głos:

- Hej, tato!

Odwrócił się, by spojrzeć na idącego korytarzem syna w typowym dla siedemnastolatka stroju: kolczykach, znoszonej bluzie z logo Tomb Rider i spodniach tak workowatych, że wyglądały, jak gdyby lada moment miały opaść na ziemię. No i te włosy: sterczące i ufarbowane na krzykliwy, żółty kolor. Mimo to Billy wciąż był doskonałym uczniem i w niczym nie przypominał zbuntowanych dzieciaków, z którymi Carnegie użerał się na co dzień.

- Co ty tu robisz? - spytał. Był początek maja. W szkołach powinny odbywać się lekcje.

- Dzisiaj jest wywiadówka, pamiętasz? O dziesiątej ty i mama macie spotkanie z panem Gibsonem. Przyszedłem się upewnić, że przyjedziesz.

Cholera... Carnegie zapomniał o spotkaniu. W dodatku o dziewiątej czterdzieści pięć miał w planach telekonferencję z dwoma oficerami śledczymi z Francji w sprawie transakcji Mullera. Jeśli ją odwoła, sprawa będzie musiała poczekać do jutra z powodu różnicy czasu.

- Pamiętam - odparł z roztargnieniem; coś nie dawało mu spokoju. Co to było? - Po prostu mogę się trochę spóźnić - dodał po chwili.

- Tato, to ważne - upierał się Billy.

- Przyjadę.

Właśnie wtedy natrętna niczym mucha myśl nabrała realnych kształtów.

- Billy, ciągle chodzisz na francuski?

Zaskoczony chłopak zamrugał oczami.

- Tak, podpisywałeś przecież świadectwo. Nie pamiętasz?

- Kto cię uczy tego języka?

- Pani Vandell.

- Jest teraz w szkole?

- Chyba tak. Dlaczego pytasz?

- Chciałbym, żeby mi pomogła podczas telekonferencji. Wracaj teraz do domu. Powiedz mamie, że przyjadę na spotkanie tak szybko, jak będę mógł.

Carnegie zostawił chłopca na korytarzu i pobiegł do biura. Był tak podekscytowany perspektywą współpracy z nauczycielką francuskiego, że nieomal wpadł na robotnika, który przycupnięty za jedną z donic obcinał liście.

- Przepraszam! - zawołał i pognął do gabinetu. Chwilę później już

dzwonił do nauczycielki Billy'ego i - kiedy wyjaśnił jej, o jak ważną sprawę chodzi - kobieta bez entuzjazmu zgodziła się na współpracę. Tele-konferencja zaczęła się zgodnie z planem, a umiejętności pani Vandell okazały się nieocenione; gdyby nie ów genialny pomysł, Carnegie wiedział, że nie byłby w stanie dogadać się z żadnym z funkcjonariuszy. Euforia minęła, gdy Francuzi oznajmili, że nie dopatrzili się żadnych nieprawidłowości w inwestycjach i operacjach finansowych Mullera. Podejrzany płacił rachunki i nigdy nie miał kłopotów z policją.

Carnegie spytał, czy założyli podsłuch w jego telefonie i monitorowali jego konto internetowe i operacje bankowe.

Na chwilę w słuchawce zapadła cisza, którą przerwał jeden z Francuzów. Nauczycielka Billy'ego tłumaczyła:

- Mówią: „Nie dysponujemy tak nowoczesnym sprzętem jak wy. Wo limy chwytać przestępców starymi, sprawdzonymi metodami”.

Zgodzili się jednak zawiadomić celników, by ci przy następnej wizycie Mullera we Francji dokładnie sprawdzili jego bagaż.

Carnegie podziękował śledczym i nauczycielce i rozłączył się.

Wolimy chwytać przestępców starymi, sprawdzonymi metodami...

I dlatego to my go dorwiemy, pomyślał detektyw, obracając się na krześle i po raz kolejny zerkając na monitor.

Jake Muller wyszedł z domu handlowego w centrum Annandale i ruszył za młodym człowiekiem, którego zauważył w sklepie jubilerskim.

Chłopak miał spuszczoną głowę i w pośpiechu opuszczał pasaż.

Kiedy mijali alejkę, Muller puścił się pędem do przodu, chwycił wychudzonego chłopaka za ramię i wciągnął go w zaułek.

- Chryste - szepnął dzieciak.

Muller przyparł go do ściany.

- Nawet nie myśl o ucieczce. - Zerknął wymownie na kieszenie chłopaka. - Niech ci nie przyjdzie do głowy inny pomysł.

- Ja nie... - zaczął dzieciak drżącym głosem. - Nie mam broni ani nic takiego.

- Jak ci na imię?

-Ja...

- Imię? - warknął Muller.

- Sam. Sam Phillips. Po co to panu?

- Dawaj zegarek.

Chłopak westchnął i przewrócił oczami.

- Dawaj. Chyba nie chcesz, żebym ściągnął go siłą. - Było oczywiste, że jest cięższy o jakieś dwadzieścia trzy kilogramy.

Dzieciak sięgnął do kieszeni i wyciągnął zegarek Seiko, który wcześniej ukradł ze sklepu. Muller wziął go.

- Kim jesteś? Ochroniarzem? Gliną?

Muller przyjrzał się chłopakowi i schował zegarek do kieszeni.

- Byłeś beznadziejny. Gdyby ochroniarz nie poszedł się odlać, na pewno by cię złapał.

- Jaki ochroniarz?

- O to właśnie chodzi. Niski facet w znoszonej marynarce i brudnych dzinsach.

- To był ochroniarz?

- Taa.

- Jak go wyczuliłeś?

- Powiedzmy, że miałem do czynienia z takimi ludźmi - odparł ponuro Muller.

Chłopak na chwilę podniósł wzrok, zerknął na mężczyznę, po czym wrócił do oglądania asfaltu.

- A mnie?

- Nie było trudno. Czaiłeś się w sklepie jak ktoś, kogo już kiedyś za-puszkowali.

- Chcesz mnie zrewidować czy co?

Muller ostrożnie rozejrzał się po ulicy.

- Potrzebuję kogoś, kto jutro pomoże mi w pewnej sprawie - odparł w końcu.

- Dlaczego ja? - spytał chłopak.

- Pewni ludzie chcą mnie zrobić.

- Gliny?

- Po prostu... pewni ludzie. - Muller zerknął na zegarek. - A skoro ja złapałam cię na kradzieży, wiem, że dla nikogo nie pracujesz.

- Co miałbym zrobić?

- To proste. Potrzebuję kierowcy. Na jakieś pół godziny. W głosie chłopaka dało się wyczuć lęk, ale i podniecenie.

- Za ile?

- Dam ci pięćset.

Kolejne spojrzenie na okoliczne alejki.

- Za pół godziny? Muller

pokiwał głową.

- Cholera. Pięć stów?

- Tak jest.

- Co będziemy robić? - spytał chłopak ostrożnie. - To znaczy, co do kładnie?

- Muszę... odebrać kilka rzeczy z pewnego miejsca - domu na Tremont. Chcę, żebyś zaparkował w alejce za domem, podczas gdy ja na kilka minut wejdę do środka.

Dzieciak wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Czyli zamierzasz coś podpieprzyć? To ma być skok, prawda?

Muller uciszył go.

- Nawet gdyby tak było, myślisz, że mówiłbym o tym głośno?

- Przepraszam. Nie pomyślałem. - Chłopak zmrużył oczy. - Hej, mam kumpla. Mogę z nim pogadać. On załatwi nam dobry towar. To znaczy, najlepszy. Możemy opchnąć go w ciągu tygodnia. Dajesz mu tysiąc albo dwa, a on załatwia nam większą zniżkę. Możesz podwoić swoją kasę. Zainteresowany?

- Narkotyki?

- Taa.

- Nie chcę mieć z nimi do czynienia. Tobie też nie radzę. Spieprzą ci życie. Pamiętaj... Spotkamy się jutro, dobra?

- Kiedy?

- W południe. Na rogu Siódmej i Mapie. W Starbucks.

- No dobra.

- Żadne „no dobra”. Masz tam być. - Muller skierował się do wyjścia.

- Jeśli to wypali, znajdzie się dla mnie więcej roboty?

- Przez jakiś czas może mnie nie być. Ale tak, możliwe. Jeśli dasz sobie radę.

- Zrobię wszystko jak trzeba, proszę pana. Hej, jak pan się nazywa?

- Nie musisz wiedzieć.

Dzieciak pokiwał głową.

- Fajnie. Jasne... Jeszcze jedno. Co z zegarkiem?

- Pozbędę się go za ciebie.

Kiedy chłopak odszedł, Muller podszedł do wylotu alejki i ostrożnie rozejrzał się po okolicy. Ani śladu ludzi Carnegiego. Robił wszystko, by ich zgubić, agenci jednak mieli zadziwiający dar pojawiania się znikąd, razem ze swymi słuchawkami, nadajnikami i teleobiektywami.

Włożywszy czapkę z logo Oakland i pochyliwszy głowę, wyszedł z alejki i ruszył chodnikiem, jak gdyby satelity namierzały jego pozycję z odległości dziesięciu tysięcy mil.

Następnego ranka William Carnegie przyszedł do biura później niż zwykle.

Jako że poprzedniego dnia nawalił i nie zjawił się na wywiadówce, postanowił zjeść śniadanie z żoną i Billym.

, Kiedy o dziewiątej trzydzieści wszedł na posterunek, sierżant Hager poinformował go:

- Muller robi zakupy, o których chyba powinieneś wiedzieć.

-Co?

- Godzinę temu wyjechał z domu. Nasi chłopcy siedzieli mu na ogonie aż do niewielkiego centrum handlowego. Zgubili go, ale wkrótce dostaliśmy rachunek od operatora kart kredytowych. W Books „N” Java kupił sześć książek. Nie znamy dokładnie tytułów, jednak kod kreskowy wykazał, że były to przewodniki. Po wyjściu z centrum poszedł do Tyler's Gun Shop i wydał trzydzieści osiem dolarów na dwa pudełka dziewięć-milimetrowej amunicji.

- Chryste. Wiedziałem, że ten facet to strzelec. Strażnicy w Anco mieli szczęście, że nie słyszeli, jak się włamywał; facet na bank by ich sprzątnął. Jestem pewien... Grupa obserwacyjna namierzyła go z powrotem?

- Nie. Wrócili pod dom, żeby na niego zaczekać.

- Mamy coś jeszcze! - zawołała stojąca nieopodal młoda policjantka. - Facet wydał czterdzieści cztery dolary na narzędzia w Home Depot.

Carnegie rozmyślał na głos:

- A więc jest uzbrojony i wygląda na to, że planuje kolejny skok. Do piero później opuści stan. - Spoglądając na monitor komputera, spytał z roztargnieniem: - Co tym razem zamierzasz obrobić, Muller? Firmę? Dom?

Zadzwoił telefon Hagera. Sierżant odebrał i w milczeniu słuchał najnowszych wieści.

- To niańka sprzed domu Mullera. Facet już wrócił. Jest jednak coś dziwnego. Wrócił pieszo. Musiał zaparkować gdzieś na początku ulicy. -Znowu słuchał. - Mówią, że na podjeździe stoi furgonetka firmy malarzkiej. Może dlatego.

- Nie. Coś się tutaj kroi. Nie ufam niczemu, co robi ten facet.

- Kolejna wiadomość! - zawołała funkcjonariuszka. - Właśnie wszedł do sieci... - Policja nie miała nakazu sądowego, który pozwalałby im przeglądać to, co Muller ściąga z Internetu, mogli jednak monitorować strony, na które wchodził. - W porządku, jest na stronie Anderson & Cross.

- Firmy instalującej systemy anty włamaniowe? - spytał Carnegie, czując, jak serce wali mu z podniecenia.

-Tak.

Kilka minut później ponownie usłyszał głos policjantki:

- Teraz przegląda stronę Travel-Central.

Serwis umożliwiający dokonanie rezerwacji lotu przez Internet.

- Powiedz grupie obserwacyjnej, że damy im znać, kiedy tylko wyjdzie z sieci. Niech będą gotowi do działania. Coś mi mówi, że to długo nie po trwa.

Mamy cię, pomyślał Carnegie. Następnie roześmiał się i z czułością zerknął na komputery. Wielki Brat czuwa...

Siedzący w swoim samochodzie na fotelu pasażera Jake Muller kiwnął głową w kierunku wysokiego płotu w alejce za Tremont Street.

- Sam, zatrzymaj się tam.

Samochód przyhamował i w końcu stanął.

- To tutaj, tak? - spytał nerwowo chłopak.

Muller kiwnął głową w kierunku białego domu po drugiej stronie płotu.

- Tak. A teraz posłuchaj. Jeśli zobaczysz jakiegoś gliniarza, po prostu powoli odjedź. Jedź dookoła budynku, ale na ulicy skręć w lewo. Rozumiesz? Cokolwiek zrobisz, nie wjeżdżaj w Tremont.

- Myślisz, że ktoś przyjdzie? - spytał zaniepokojony dzieciak.

- Miejmy nadzieję, że nie. - Muller wyjął z bagażnika narzędzia, które rankiem kupił w sklepie, rozejrzał się po ulicy, wszedł przez furtkę i zniknął za rogiem domu.

Dziesięć minut później był już z powrotem. Pośpiesznym krokiem minął furtkę, niosąc ciężkie pudło i niewielką torbę na zakupy. Po chwili znowu zniknął i wrócił z kolejnymi pudłami. Zapakował wszystko na tył samochodu i przetarł dłonią spocone czoło. W końcu opadł na siedzenie pasażera.

- Wyośmy się stąd.

- Gdzie narzędzia?

- Zostawiłem je w domu. Na co czekasz? Ruszaj.

Dzieciak wcisnął pedał gazu i samochód wyjechał na środek uliczki.

Niebawem znaleźli się na autostradzie, skąd Muller wskazał drogę do taniego motelu The Starlight Lodge na obrzeżach miasta. Tam wygramolił się z samochodu, wszedł do holu i zameldował się na dwie noce. Niebawem wrócił do samochodu.

- Pokój sto dwadzieścia dziewięć. Facet powiedział, że to gdzieś na tyłach budynku.

Kiedy znaleźli numer, zaparkowali i wysiedli z samochodu. Muller wręczył chłopakowi klucz od pokoju, po czym wnieśli do środka pudła i torbę.



- Trochę tu kiepsko - zauważył chłopak, rozglądając się dookoła.
- Nie zabawię tutaj długo.

Muller odwrócił się i otworzył torbę. Wyjął pięć studolarówek i wręczył je dzieciakowi. Chwilę później dołożył kolejne dwadzieścia.

- Będziesz musiał wrócić taksówką.
- To wygląda na niezły łup - rzucił chłopak, zerkając na torbę z pieniędzmi.

Muller zbył uwagę milczeniem. Wpakował torbę do walizki, zamknął ją i schował pod łóżkiem.

Chłopak włożył banknoty do kieszeni.

- Jak pana znajdzie? To znaczy, jeśli będzie chciał mnie pan znowu wynająć?

- Zostawię wiadomość w Starbucks.
- Tak. Dobrze.

Muller zerknął na zegarek i wyłożył na komodę zawartość kieszeni.

- Muszę wziąć prysznic i iść na spotkanie.

Mężczyzna i chłopak wymienili uścisk dłoni. Kiedy Sam opuścił pokój, Muller zamknął drzwi.

W łazience odkręcił do oporu kurek z ciepłą wodą. Oparł się o rozchwianą umywalkę i obserwując parę, która kłębiła się we wnętrzu kabiny niczym ciężkie, burzowe chmury, zastanawiał się, dokąd zmierza jego życie.

- Mamy coś dziwnego! - zawołał sierżant Hager.

-Co?

- Jakąś usterkę. - Kiwnął głową w stronę jednego z komputerów. -Muller wciąż jest w sieci, we własnym domu. Widzisz? Tyle że właśnie dostaliśmy wiadomość od operatora kart kredytowych z National Bank. Mniej więcej czterdzieści pięć minut temu ktoś, używając karty Mullera, wynajął pokój w Starlight Lodge na Simpson. Mamy jakiś **błąd. On...**

- O Chryste - jęknął Carnegie. - Nie ma żadnego błędu. Muller zostawił włączony komputer, tak byśmy myśleli, że wciąż jest w domu. To dlatego zaparkował za rogiem. Żeby nasi ludzie nie widzieli, jak wychodzi. Facet wymknął się przez sąsiednie podwórko albo wyszedł tylnymi drzwiami. - Carnegie chwycił za telefon i wścickłym tonem oznajmił grupie obserwacyjnej, że podejrzany opuścił mieszkanie.

Chwilę później zażenowany funkcjonariusz zadzwonił z potwierdzeniem, że jeden z malarzy widział, jak Muller godzinę temu opuścił dom.

Detektyw westchnął.

- Tak więc kiedy my ucinaliśmy sobie drzemkę, facet dokonał kolejnego skoku. Nie wierzę. Po prostu...

- Właśnie dokonał kolejnego zakupu! - zawołał jeden z gliniarzy.  
-Osiemnaście galonów benzyny na Mobil Station na skrzyżowaniu Loren-za i Principale.

- Zatankował do pełna. - Carnegie pokiwał głową, zastanawiając się nad kolejnym krokiem podejrzanego. - Może wybiera się do San Francisco, żeby zdążyć na kolejny lot. Do Arizony albo Las Vegas. - Podchodząc do mapy, wbił szpilki w miejsca, o których mówił Hager. Był teraz spokojniejszy. Muller był bystry, mógł więc podejrzewać, że policja będzie miała na oku jego komputer; nie wiedział jednak, na jak szeroką skalę prowadzono obserwację.

- Załatw nieoznakowany radiowóz, żeby siedział mu na ogonie.

- Detektywie, dostałem właśnie wiadomość o użyciu karty Speed Pass! - zawołał jeden z oficerów, siedzący po przeciwnej stronie pomieszczenia. - Cztery minuty temu Muller skręcił na cztery-zero-osiem, na Stanton Road. Przejechał przez punkt pobierania opłat na północnej autostradzie.

Małeńkie pudełeczko na przedniej szybie, które automatycznie płaciło za przejazd na autostradach, mostach i w tunelach, dokładnie pokazywało, gdzie i kiedy zostało użyte.

Carnegie wbił w mapę kolejną szpilkę.

Hager skierował jadących za Mullerem funkcjonariuszy w stronę rozjazdu.

Piętnaście minut później gliniarz obserwujący kartę Speed Pass zawołał ponownie:

- Właśnie zjechał z płatnej drogi w kierunku Markham Road! To punkt pobierania opłat przy wschodniej autostradzie.

Wschodnia autostrada i okolice Markham? - pomyślał Carnegie. Brzmiało sensownie. Markham było niebezpieczną dzielnicą, pełną wieśniaków i członków gangów motocyklowych, rozpadających się bungalowów i przyczep. Jeśli Muller ma współnika, niewykluczone, że pochodzi on właśnie stamtąd. Na dodatek w okolicy znajdowała się pustynia - tysiące mil kwadratowych piasku - idealne miejsce, by ukryć łup z Anco.

- Wciąż go nie widzą - rzucił Hager, relacjonując słowa grupy pościgowej.

- Cholera. Zgubimy go.

Wówczas usłyszał głos kolejnego funkcjonariusza:

- Właśnie dostałem telefon od operatora sieci komórkowej - włączył telefon i gdzieś dzwoni. Namierzają go... Dobra. Jedzie na północ, w kierunku La Cieny.

Na mapie pojawiła się kolejna szpilka z niebieskim łebkiem. Hager przekazał informacje funkcjonariuszom z policji okręgowej. Przez chwilę nasłuchiwał, a w końcu roześmiał się.

- Mają jego samochód!... Muller kieruje się w stronę kempingu De-sert Rose... Dobra... Parkuje przy jednej z przyczep... Wysiada... Rozmawia z białym mężczyzną po trzydziestce, ogolona głowa, tatuaże... Facet kiwa głową w stronę szopy na tyłach przyczepy... idą tam razem... Wyjmują z szopy jakąś paczkę... Wchodzą do środka.

- To mi wystarczy - oznajmił Carnegie. - Powiedz im, żeby trzymali się z daleka. Będziemy tam za dwadzieścia minut. Informuj, jeśli podejrzany będzie zbierał się do wyjazdu.

Idąc w kierunku drzwi, zmówił cichą modlitwę, dziękując zarówno Bogu, jak i Wielkiemu Bratu za ich pomoc.

Dojazd na miejsce zajął prawie czterdzieści minut, jednak samochód Jake'a Mullera stał zaparkowany przed zardzewiałą, przechyloną przyczepą.

Obecni na miejscu funkcjonariusze poinformowali, że rabuś i jego łysy współnik wciąż są w środku, prawdopodobnie planując ucieczkę.

Cztery policyjne wozy z kwatery głównej stały zaparkowane kilka przyczep dalej, podczas gdy za szopami, krzakami i zardzewiałymi samochodami ukrywało się dziesięciu gliniarzy z Annandale - trzech z nich uzbrojonych w śrutówki. Żaden nie podnosił głowy, pamiętając, że Muller jest uzbrojony.

Carnegie i Hager ostrożnie ruszyli w kierunku przyczepy. Jeśli zaglądną przez drzwi czy okna, nie zobaczą pieniędzy z Anco, lub jeśli Muller nie wyniesie ich z przyczepy, nie będą mieli realnych podstaw, by go aresztować. Okrążyli przyczepę, nie mogli jednak zajrzeć do środka; drzwi były zamknięte, a zasłony szczelnie zaciągnięte.

Do diabła, pomyślał zniechęcony Carnegie. Może uda im się...

Jednak wówczas szczęście uśmiechnęło się do nich.

- Czujesz to? - spytał szeptem Carnegie.

Hager zmarszczył brew.

-Co?

- Dochodzi ze środka.

Sierżant głęboko zaczerpnął powietrza.

- Trawka albo hasz - odparł, kiwając głową.

Realna szansa, by mogli wtargnąć do środka.

- Zróbmy to - szepnął Hager, ruchem ręki przywołując do siebie pozostałych funkcjonariuszy.

Jeden z taktyków spytał, czy ma wyważyć kopniakiem drzwi, ale Carnegie potrząsnął głową. - Nie. Ten jest mój. - Zdjął marynarkę, włożył kamizelkę kuloodporną i wyjął automatyczny pistolet.

Spoglądając w twarze oficerów, spytał bezgłośnie:

- Gotowi?

Odpowiedzieli mu skinieniem głów.

Detektyw uniósł do góry trzy palce i jeden po drugim opuszczał je.

Raz... dwa...

- Ruszamy!

Ramieniem wyważył drzwi i wpadł do przyczepy; tuż za nim wbiegli pozostali oficerowie.

- Stać, stać, policja! - ryknął, rozglądając się dookoła i mrużąc oczy w półmroku.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważył, była stojąca przy drzwiach plastikowa torba marihuany.

Drugą - że gościem wytatuowanego mężczyzny wcale nie był Jake Muller; ale jego własny syn - Billy.

Detektyw i towarzyszący mu sierżant Hager wpadli na posterunek policji w Annandale. Tuż za nimi szedł kolejny funkcjonariusz, prowadząc przed sobą ponurego, skutego kajdankami chłopca.

Właściciel przyczepy - członek gangu motocyklowego, karany wcześniej za nadużywanie narkotyków - został zabrany do biura zajmującego się ściganiem przestępstw narkotykowych; kilogram marihuany zatrzymano jako dowód w sprawie.

Carnegie nakazał Billy'emu opowiedzieć, co się stało, chłopak jednak zamknął się w sobie i odmówił składania zeznań. Rewizja przyczepy i samochodu Mullera nie dostarczyły żadnych dowodów w sprawie An-co. Co więcej, reakcja policjantów z okręgu Orange, którzy ścigali samochód Mullera, była chłodna, zwłaszcza po tym, jak wściekły Carnegie zarzucił im, że pomylili jego syna z biznesmenem. („Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek wysłał nam pan jego zdjęcie, detektywie" - oświadczył jeden z nich).

Carnegie warknął teraz do siedzącego przy komputerze funkcjonariusza:

- Sprowadźcie tu Jake'a Mullera!

- Nie trzeba - odparł policjant. - Jest tam.

Muller siedział naprzeciwko oficera dyżurnego. Chwilę później wstał i ze zdziwieniem spojrzął na Carnegiego i jego syna. Wskazał na chłopca i rzekł kwaśno: - A więc już cię złapali, Sam. Szybko. Złożyłem skargę zaledwie pięć minut temu.

- Sam? - spytał Carnegie.  
- Tak, Sam Phillips - odparł Muller.  
- Ma na imię Billy. To mój syn - mruknął Carnegie. Drugie imię chłopca brzmiało Samuel; Phillips było panieńskim nazwiskiem żony detektywa.  
- Pański syn? - powtórzył z niedowierzaniem Muller. Dopiero wówczas zerknął na to, co wniósł do pokoju jeden z funkcjonariuszy - pudło z dowodami rzeczowymi, znalezionymi w jego samochodzie: aktówką, portfelem, kluczami i komórką. - Odzyskaliście wszystko - stwierdził. - Co z moim samochodem? Rozbił go?  
Hager zamierzał poinformować go, że samochód nie został uszkodzony, ale Carnegie machnięciem ręki uciszył wielkiego gliniarza.  
- Dobra, co się tu, do cholery, dzieje? - spytał Mullera. - Co łączy pana z moim synem?  
- Hej, ten dzieciak mnie okradł - odparł ten wściekłym tonem. - Chciałem wyświadczyć mu przysługę. Nie miałem pojęcia, że to pański syn.  
- Przysługę?  
Biznesmen zmierzył chłopaka wzrokiem od stóp do głów.  
- Wczoraj zauważyłem, jak ukradł zegarek w Maxwell, przy Harrison Street.  
Carnegie spojrział na syna lodowatym wzrokiem, jednak chłopak miał wciąż spuszczoną głowę.  
- Poszedłem za nim i kazałem mu oddać zegarek. Było mi go szkoda. Wyglądał, jakby miał kłopoty. Wynająłem go, żeby mi pomógł przez go dzinę czy dwie. Chciałem mu pokazać, że są na tym świecie ludzie, którzy płacą niezłe pieniądze za legalną pracę.  
- Co pan zrobił z zegarkiem? - spytał Carnegie.  
Muller wyglądał na oburzonego.  
- A jak pan myśli? Że zatrzymałbym skradziony towar?  
Detektyw spojrział na swojego syna i zapytał:  
- Do czego cię wynajął?  
Widząc, że chłopak nie zamierza mówić, Muller wyjaśnił:  
- Zapłaciłem mu, żeby popilnował mojego samochodu, kiedy będę wynosił z domu kilka rzeczy.  
- Pańskiego domu? - spytał chłopak. - Na Tremont?  
Muller zwrócił się jednak do detektywa:  
- Właśnie tak. Przeprowadziłem się na kilka dni do motelu - mału ję dom i nie mogę spać w oparach farby.  
Furgonetka na podjeździe, pomyślał Carnegie.

- Nie mogłem skorzystać z frontowych drzwi - dodał ze złością Muller - ponieważ dość mam pańskich matolów, którzy siedzą mi na ogonie za każdym razem, kiedy opuszczam dom. Wynająłem pańskiego syna, żeby popilnował samochodu w alejce; w strefie ograniczonego parkowania. Człowiek nie może tam zostawić samochodu choćby na pięć minut. Zo stawilem narzędzia, które rano kupilem w sklepie, zabrałem kilka niezbędnych rzeczy i pojechaliśmy do motelu. - Muller potrząsnął głową. - Dałem mu klucze do pokoju, żeby otworzył drzwi, a kiedy wychodził, zapomniałem je odebrać. Dzieciak wrócił, gdy byłem pod prysznicem, i obrobił mnie. Ukradł mój samochód, komórkę, pieniądze, portfel i aktoówkę. - Chwilę później dodał z odrazą: - Cholera, i pomyśleć, że dałem mu tyle kasy. Praktycznie błagałem go, żeby wziął się w garść i trzymał się z daleka od narkotyków.

- Tak ci powiedział? - spytał Billy'ego Carnegie.

Chłopak niechętnie pokiwał głową.

Detektyw westchnął i skinął głową w kierunku aktówki.

- Co tam jest?

Muller wzruszył ramionami, podniósł kluczyki i otworzył teczkę.

Carnegie przypuszczał, że biznesmen nie okaże się chętny do współpracy, jeśli w teczce będą się znajdowały pieniądze z Anco, poczuł zatem ogromną radość na widok, że aktówka pełna jest gotówki.

Podniecenie minęło, gdy zauważył, że to tylko trzysta czy czterysta dolarów, w większości w jedno- i pięciodolarówkach.

- Domowy budżet - wyjaśnił Muller. - Nie chciałem zostawiać pieniędzy w domu; zwłaszcza teraz, kiedy kręcą się tam malarze.

Carnegie z pogardą cisnął teczkę z powrotem do pudła i ze złością zamknął pokrywę.

- Jezu.

- Myślał pan, że to pieniądze z Anco?

Carnegie spojrział na otaczające ich komputery i mrugające na ekranach kursory.

Przeklęty Wielki Brat... To była najlepsza z możliwych obserwacji. I co z tego wyszło?

Kiedy znów się odezwał, jego głos drżał z emocji:

- Śledziłeś mojego syna! Wynająłeś malarzy, żeby móc spokojnie opuścić dom, kupiłeś pociski, narzędzia... I czego, do cholery, szukałeś na stronach reklamujących alarmy antywłamaniowe?

- Porównywałem ceny - odpowiedział spokojnie Muller. - Zamierzam kupić alarm do domu.

- To wszystko pułapka! Ty...

Biznesmen uciszył go, spoglądając na pozostałych funkcjonariuszy, którzy słuchali paranoidalnej tyrady swego szefa z wyraźnym zaniepokojeniem i niesmakiem. Chwilę później kiwnął głową w kierunku gabinetu detektywa.

- Może wejdziemy tam? Porozmawiamy.

Gdy znaleźli się już w gabinecie, Muller zamknął drzwi i odwrócił się, by spojrzeć na wściekłego Carnegiego.

- Oto jak wygląda sytuacja, detektywie. Jestem jedynym świadkiem w sprawie kradzieży dokonanej przez pańskiego syna. To ciężkie przestępstwo i jeśli zdecyduję się wnieść oskarżenie, chłopak zostanie surowo ukarany, zwłaszcza że -jak przypuszczam - w chwili zatrzymania przebywał w dość nieciekawym towarzystwie. Rozumiem też, że ucierpi na tym pańska kariera, szczególnie gdy wiadomość o aresztowaniu pańskiego syna dotrze do gazet.

- Mam wejść z panem w układ?

- Tak, chcę układu. Mam dość twoich cholernych urojeń, Carnegie. Jestem poważnym biznesmenem. Nie ukradłem pieniędzy z Anco. Nie jestem złodziejem i nigdy nim nie byłem.

Spojrzał uważnie na detektywa, wyciągnął z kieszeni świstek papieru i podał go swemu rozmówcy.

- Co to?

- Numer lotu linii lotniczych Coastal Air sprzed sześciu miesięcy; dokładnie rzecz biorąc, z popołudnia, kiedy obrabowano Anco.

- Jak to zdobyłeś?

- Moje firmy prowadzą interesy z liniami lotniczymi. Pociągnąłem za sznurki i dyrektor ochrony z Coastal załatwił mi ten numer. Cztery godziny po napadzie na Anco jeden z pasażerów podróżujących pierwszą klasą zapłacił gotówką za bilet w jedną stronę z John Wayne Air-port do Chicago. Nie oddał do przechowalni żadnych bagaży. Miał tylko bagaż podręczny. Nie podali mi jego nazwiska, ale to chyba nie powinno być trudne; zwłaszcza dla tak oddanego pracy gliniarza jak pan.

Carnegie gapił się na papier.

- Facet z wydziału robót publicznych? Ten, który - według świadka - kręcił się z walizką w pobliżu Anco?

- Może to zwykły zbieg okoliczności, detektywie. Wiem jednak, że nie ukradłem tych pieniędzy. Może on to zrobił.

Kartka zniknęła w kieszeni Carnegiego.

- Czego chcesz?

- Skreśl mnie z listy podejrzanych. Odwołaj obserwację mojej osoby.

Chcę wrócić do normalnego życia. Masz też podpisać list stwierdzający, że wszelkie dowody świadczą o mojej niewinności.

- Dla sądu to i tak bez znaczenia.
- Ale będzie paskudnie wyglądało, jeśli ktoś po raz kolejny zacznie mnie prześladować.

- Paskudnie dla mojej kariery, chcesz powiedzieć.
- Właśnie to chcę powiedzieć.

Chwilę później Carnegie mruknął:

- Jak długo to planowałeś?

Muller nie odpowiedział. Właściwie nie tak długo, uznał. Zaczął obmyślać plan tuż po tym, jak pewnego dnia dwóch gliniarzy przerwało mu popołudniową drzemkę.

Przełał część pieniędzy z funduszu inwestycyjnego na jedno ze swych francuskich kont, by utwierdzić gliniarzy w przekonaniu, że zamierza opuścić kraj (francuskie konta były kompletnie czyste; tylko głupiec ukryłby forszę w Europie).

Następnie - przy użyciu tradycyjnych rozwiązań technicznych - sam przeprowadził niewielkie dochodzenie. Włożył ogrodniczki, okulary, czapkę, po czym, uzbrojony w konewkę i sekator, wśliznął się na posterunek, aby się zająć roślinami, które zauważył na korytarzu w czasie pierwszego aresztowania. Następne pół godziny spędził na kolanach i z pochyloną głową, przycinając je i podlewając. To tam dowiedział się, na jak szeroką skalę zakrojona została elektroniczna inwazja na jego życie. Tam też usłyszał rozmowę Billy'ego Carnegiego z detektywem - klasyczny dialog niezaintereso-wanego ojca i zmartwionego, rozdrażnionego syna.

Muller uśmiechnął się do siebie, mając w pamięci fakt, że Carnegie był wówczas tak zaabsorbowany śledztwem, że nieomal wpadł na niego na korytarzu; gliniarz jednak nigdy nie dowiedział się, kim był ogrodnik.

Przez kolejne kilka godzin śledził, Billy'ego, aż przyłapał go na kradzieży zegarka. Wówczas podstępem namówił go do współpracy. Wynajął malarzy, by dokonali kilku poprawek we wnętrzu domu, dzięki czemu miał powód, by zaparkować gdzie indziej i zameldować się w motelu. Następnie, używając przeciwko gliniarzom ich własnej broni, sprawił, by uwierzyli, że to faktycznie on był rabusiem z Anco, który szykuje się do ostatniego skoku i ucieczki z kraju. Stąd przewodniki, naboje, narzędzia i pomysł z zalogowaniem się na stronach biur podróży i alarmów antywłamaniowych. W motelu, celowo zapominając o kluczu, zachęcił niejako Billy'ego Carnegiego do kradzieży aktówki, kart kredytowych, telefonu i samochodu - wszystkiego, co pozwoliłoby policji wpaść na trop chłopaka i złapać go na gorącym uczynku.



W końcu zwrócił się do Carnegiego:

- Przykro mi, detektywie, ale nie dał mi pan wyboru. Nigdy nie uwierzyłby pan, że jestem niewinny.

- Wykorzystałeś mojego syna.

Muller wzruszył ramionami.

- Nikomu nic się nie stało. Proszę spojrzeć na to z innej strony - to je go pierwsze zatrzymanie, a już trafił na ofiarę, która chce wycofać oskarżenie. Gdyby w grę wchodził ktoś inny, pański dzieciak nie miałby tyle szczęścia.

Carnegie zerknął przez żaluzje na swojego syna, stojącego samotnie przy biurku Hagera.

- Można go uratować, detektywie - ciągnął Muller. - Jeśli chce pan uratować syna... To jak, umowa stoi?

Carnegie westchnął z obrzydzeniem i z taką samą odrazą skinął głową.

Po wyjściu z komisariatu Muller cisnął aktówkę na tylne siedzenie samochodu odholowanego na parking przez furgonetkę policyjną.

Wrócił do domu i wszedł do środka. Robotnicy najwyraźniej skończyli już pracę i wszędzie unosił się silny zapach farby. Mężczyzna przez chwilę chodził po pomieszczeniach parteru, otwierając okna i wpuszczając do mieszkania świeże powietrze.

Potem, przechadzając się po ogrodzie, spojrzął na stertę kompostu, który z powodu jego - przerwanej - drzemki wciąż nie został rozrzucony. Zerknął na zegarek. Musiał wykonać kilka telefonów, zdecydował jednak, że sprawy mogą poczekać do jutra; dziś miał ochotę popracować w ogrodzie. Przebrał się i wyniósł z garażu nową, lśniącą łopatę, którą wraz z innymi narzędziami kupił rankiem w Home Depot. Po chwili zaczął skrupulatnie rozrzucać w ogrodzie czarnobrazowy kompost.

Po godzinie pracy zrobił sobie przerwę na piwo. Siedząc pod klonem i popijając heinekę, spoglądał na pustą ulicę, gdzie przez ostatnie miesiące tkwili ludzie Carnegiego. Chryste, jakie to wspaniałe uczucie, wiedzieć, że nikt cię nie obserwuje.

Jego wzrok spoczął na niewielkiej skałce pomiędzy zagonem kukurydzy i pnączami pomidorów. Trzy stopy pod nią spoczywała torba, a w niej 543 300 dolarów z Anco Security, które zakopał tuż przed tym, nim zrzucił kombinezon robotnika i pojechał skradzionym samochodem na lotnisko okręgu Orange, by pod fałszywym nazwiskiem polecieć do Chicago. Była to zapobiegawcza podróż, na wypadek gdyby musiał naprowadzić śledczych na fałszywy trop, co też istotnie musiał uczynić z powodu maniakalnej obsesji detektywa Carnegiego.

Jake Muller planował wszystkie swoje skoki w najdrobniejszych szczegółach; dlatego właśnie w niemal piętnastoletniej karierze złodzieja nigdy nie został złapany.

Od miesięcy pragnął przesłać gotówkę do swojego komiwojażera w Miami - nie cierpiał, kiedy pieniądze z napadu nie procentowały -jednak w sytuacji, gdy Carnegie bezustannie patrzył mu na ręce, było to niemożliwe.

Przez chwilę się zastanawiał, czy nie powinien wykopać pieniędzy i już teraz wysłać ich na Florydę.

Nie, postanowił; najlepiej będzie, jeśli poczeka do zmroku.

Poza tym w ten ciepły wiosenny dzień, przy tak pięknej pogodzie i bezchmurnym niebie, nie było nic lepszego niż praca w ogrodzie. Muller dopił piwo, sięgnął po łopatę i wrócił do rozrzucania kompostu.

## Zepsuta do szpiku kości

**S** *pij, dziecinko, słodkim snem całą noc...* Słowa kołysanki bezlitośnie zaciskały się wokół jej umysłu, uporczywie niczym tłukący o szyby i dach oregoński deszcz.

Piosenka, którą śpiewała Beth Annę, kiedy dziewczynka miała trzy, cztery lata, na dobre zadomowiła się w jej głowie i powracała niczym echo.

Dwadzieścia pięć lat temu obie: matka i córka, siedziały w kuchni, w rodzinnym domu na przedmieściach Detroit. Liz Polemus, pochylona nad stołem, młoda matka i żona, oszczędna, ciężko pracująca, by odłożyć trochę grosza, śpiewała swej córce, która siedząc po przeciwnej stronie stołu, jak urzeczona wpatrywała się w zwinne dłonie matki.

*Moja miłość będzie z tobą całą noc. Miękki sen  
na paluszkach skrada się. Góry i doliny już  
spowite smacznym snem.*

Liz poczuła skurcz w prawym ramieniu - tym, które nigdy nie zagoiło się jak należy - i uświadomiła sobie, że na wieść o tym, co właśnie usłyszała, wciąż kurczowo ściska słuchawkę. Jej córka była w drodze do domu.

Córka, z którą nie rozmawiała od przeszło trzech lat.

*Ja nad tobą czuwać będę całą noc.*

W końcu Liz odłożyła słuchawkę, a krew gwałtownie napłynęła do ręki, wraz z nieprzyjemnym uczuciem swędzenia i klucia. Usiadła na haftowanej kanapie, która od lat pozostawała w rodzinie, i rozmasowała pulsujące przedramię. Kręciło jej się w głowie i przez chwilę czuła się zdezorientowana, jak gdyby nie miała pewności, czy rozmowa telefoniczna wydarzyła się naprawdę, czy może była mglistym, sennym majakiem.

Tyle tylko, że kobieta nie spała. Nie, Beth Annę była w drodze do domu. Jeszcze tylko pół godziny i pojawi się przed drzwiami.

Na zewnątrz miarowy deszcz rozbijał się o sosny, które porastały podwórko Liz. Mieszkała w tym domu już prawie rok; ot, maleńka przystań z dala od najbliższych przedmieść. Większość ludzi uznałaby go za zbyt mały i zbyt oddalony od cywilizacji. Jednak dla Liz był on oazą. Szczupła wdowa po pięćdziesiątce prowadziła aktywne życie i nie miała czasu, by zajmować się domem. Sprzątanie nie zajmowało wiele czasu, tak więc Liz ze spokojem mogła oddawać się pracy. I choć nie była samotniczką, lubiła las, który niczym strefa buforowa oddzielał ją od sąsiadów. Rozmiary domu zniechęcały też potencjalnych kandydatów, gdyby ci - nie daj Boże - wpadli na szalony pomysł, by z nią zamieszkać. Wystarczyło wówczas spojrzeć na jedyną w domu sypialnię, by stwierdzić, że dwoje ludzi oszalałoby, dzieląc ze sobą tak małą przestrzeń; zresztą po śmierci męża Liz postanowiła, że nigdy więcej nie wyjdzie już za mąż ani nie zamieszka z innym mężczyzną.

Zaczęła myśleć o Jimie. Ich córka opuściła dom i zerwała z rodziną wszelkie kontakty tuż przed jego śmiercią. Bolało Liz, że po śmierci ojca dziewczyna nawet nie zadzwoniła; nie mówiąc już o tym, że nie pojawiła się na jego pogrzebie. Ta bezduszna obojętność wciąż wywoływała gniew Liz, jednak kobieta starała się nad nim panować. Wiedziała, że cokolwiek jest przyczyną wizyty Beth Annę, nie starczy im czasu na analizę wszystkich bolesnych wspomnień, które piętrzyły się między matką a córką niczym szczątki rozbitego samolotu.

Spojrzenie na zegarek. Od rozmowy z Beth Annę upłynęło dziesięć minut.

Zaniepokojona poszła do szwalni. Był to największy pokój w całym domu, a zarazem osobliwe królestwo, w którym niepodzielnie panowały igłowe koronki Liz i jej matki oraz dziesiątki stojaków na szpulki; niektórych tak starych, że pamiętały lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte. W nitkach zakłęto każdy odcień przebogatej, boskiej palety. Były tam także pudła z wykrojami „Vogue” i „Butterick”. Największą atrakcją stanowiła jednak stara elektryczna maszyna Singera. Nie posiadała ona wymyślnych, nowoczesnych krzywek, światełek ani skomplikowanych mierników i pokręteł. Był to niezawodny, czterdziestoczteroletni, czarny model; taki sam, jakiego używała jej matka.

Liz szyła od dwunastego roku życia, a w trudnych chwilach rzemiosło dodawało jej sił. Kochała każdy etap procesu: kupowanie materiału - głuche stuk-stuk-stuk, kiedy sprzedawca obracał płaskie bele materiału, rozwijając przed nią kolejne jardy tkaniny (Liz potrafiła dokładnie

określić moment, w którym na ladzie pojawiała się właściwa długość). Przypinanie do tkaniny wykroju ze świeżo wyprasowanego, przezroczystego pergaminu. Cięcie materiału profilowanymi nożyczkami, które zmieniały krawędzie tkaniny w ostre, smocze kły. Przygotowanie maszyny, nawijanie szpulek, nawlekanie igły...

Było w tym coś absolutnie kojącego: zbieranie surowców - bawełny z ziemi, wełny ze zwierząt - i tworzenie z nich czegoś zupełnie nowego. Najgorszą pozostałością urazu sprzed lat był niedowład prawej ręki, który odsunął ją od singera na trzy koszmarne miesiące.

Szycie działało na Liz niczym terapia, jednak było również częścią jej zawodu i uczyniło z niej kobietę zamożną; w pokoju wisiały suknie znanych projektantów, czekając na jej zręczny dotyk.

Po raz kolejny zerknęła na zegarek. Piętnaście minut. Rosnąca panika niemal pozbawiała ją tchu.

Wróciła pamięcią do tamtego dnia przed dwudziestu pięciu laty - Beth Annę we flanelowej piżamce, siedząca przy kiwającym się kuchennym stole, wpatrzona w roztańczone palce matki, kiedy ta śpiewała.

*Spij, dziecinko, słodkim snem całą noc...*

Wspomnienie pociągnęło za sobą dziesiątki kolejnych obrazów i niepokój wezbrał w sercu Liz niczym poziom wody w opuchniętym od deszczu strumyku. No, powiedziała sobie, nie siedź tak... Zrób coś. Zajmij się czymś. Znalazła w szafie granatową marynarkę, podeszła do stołu krawieckiego i zaczęła przetrząsać koszyk, dopóki nie znalazła odpowiedniej resztki materiału. Postanowiła, że zrobi z niej kieszęń. Chwilę później zabrała się do pracy, wygładzała tkaninę, krawiecką kredą kreśliła wykroj, szukała nożyczek i starannie wycinała obrysowany kawałek. Poświęciła zadaniu całą swą uwagę, jednak to nie wystarczyło, by przestała myśleć o zbliżającej się wizycie - i wspomnieniach z przeszłości.

Na przykład, o kradzieży sklepowej, kiedy dziewczynka miała dwa naście lat.

Liz pamiętała, jak zadzwonił telefon i jak podniosła słuchawkę. Szef ochrony z pobliskiego domu towarowego oznajmił - ku oburzeniu Liz i jej męża Jima - że Beth Annę została przyłapana, kiedy w papierowej torbie próbowała wynieść ze sklepu biżuterię wartości tysiąca dolarów, i wezwał ich do siebie.

Błagali wtedy kierownika, by nie wnosił oskarżenia. Twierdzili, że musiała nastąpić jakaś pomyłka.

- Cóż - odparł sceptycznie szef ochrony - znaleźliśmy pięć zegarków i naszyjnik. Wszystko zapakowane w papierową torbę ze sklepu spożywczego. Moim zdaniem, to nie wygląda na pomyłkę.

W końcu, po wielu zapewnieniach, że był to przypadek, i równie wielu obietnicach, że dziewczyna nigdy więcej nie wejdzie już do sklepu, kierownik zgodził się nie wzywać policji.

- Na Boga, dlaczego to zrobiłaś? - spytała wściekła Liz, kiedy w końcu opuścili sklep.

- A dlaczego nie? - odparła dziewczyna z drwiącym uśmiechem.

- To było głupie.

- Jakby mnie to obchodziło.

- Beth Annę... dlaczego się tak zachowujesz?

- Jak? - spytała dziewczyna z udawanym zdziwieniem.

Idąc za radą psychologów i telewizyjnych porad, Liz próbowała wciągnąć córkę do rozmowy, jednak Beth Annę pozostała znudzona i obojętna. Poprzestała więc na skromnym, pozbawionym znaczenia ostrzeżeniu i dała za wygraną.

Teraz jednak myślała: Szyjąc, człowiek dokłada wszelkich starań, by uzyskać to, czego oczekuje. Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Jednak wysiłek, który wkłada w wychowanie dziecka, jest niepomiaralnie większy, a rezultaty okazują się zupełnie inne niż to, czego się spodziewa i o czym marzy. Jakie to niesprawiedliwe.

Spojrzenie bystrych szarych oczu przez chwilę zatrzymało się na marynarce, jak gdyby kobieta chciała się upewnić, że kieszeń nie odstaje i jest przypięta we właściwym miejscu. Na chwilę znieruchomiła, wypatrując za oknem czarnych czubków sosen, zamiast nich jednak ujrzała kolejne złe wspomnienia z udziałem Beth Annę. Jakaż ona była pyskata! Potrafiła patrzeć człowiekowi prosto w oczy i oznajmiać lodowatym tonem: „Za cholere z wami nie pójdę”. Albo: „Czy wy, kurwa, macie o tym w ogóle jakieś pojęcie?”.

Może, wychowując ją, nie byli wystarczająco surowi? W rodzinie Liz człowiek dostawał lanie za to, że przeklinał, odszczekiwał się dorosłym albo najzwyczajniej w świecie nie robił tego, co polecili rodzice. Ona i Jim nigdy nie uderzyli Beth Annę; może raz czy dwa powinni byli przetrzepać jej skórę.

Pewnego razu któryś z pracowników firmy - magazynu, który odziedziczył Jim - zadzwonił, że jest chory. Kiedy Jim poprosił Beth Annę o pomoc, dziewczyna burknęła tylko:

- Wolałabym umrzeć, niż wrócić z tobą do tej zasranej nory. Ojciec potulnie dał za wygraną, jednak Liz naskoczyła na córkę:

- Nie waż się tak zwracać do ojca!

- Naprawdę? - Głos Beth Annę ociekał sarkazmem. - A jak powin nam się do niego zwracać? Jak posłuszna, mała córeczka, która robi

wszystko, czego tatuś od niej chce? Może właśnie o tym marzył, ale dostał coś zupełnie innego. - Mówiąc to, chwyciła torebkę i ruszyła do drzwi.

- Dokąd idziesz?
- Zobaczyć się z przyjaciółmi.
- Właśnie, że nie. Wracaj tu natychmiast!

Odpowiedzią był huk zatrzaskiwanych drzwi. Jim wybiegł za dziewczyną, ona jednak zniknęła, brnąc w brudnym, dwumiesięcznym śniegu Michigan.

A ci „przyjaciele”?

Trish, Erie i Sean... Dzieciaki z rodzin o zupełnie innych wartościach niż te, które wyznawali Liz i Jim. Próbowali zakazać córce tych spotkań, ale z marnym skutkiem.

- Nie mówcie mi, z kim mam się spotykać - odparła wtedy wściekle dziewczyna. Miała wówczas osiemnaście lat i była równie wysoka jak matka.

Pod gniewnym spojrzeniem córki Liz mimowolnie się cofnęła.

- Co wy w ogóle o nich wiecie? - ciągnęła córka.
- Nie lubią twojego ojca i mnie - już samo to mi wystarcza. Co jest nie tak z dziećmiakami Todda i Joan? Albo Brada? Twój ojciec i ja znamy ich od lat.
- Co jest z nimi nie tak? - mruknęła ironicznie Beth Annę. - To idioci. - Tym razem chwyciła torebkę i paczkę papierosów - niedawno zaczęła palić - i demonstracyjnie wyszła z domu.

Liz nacisnęła prawą stopą pedał singera. Maszyna wydała charakterystyczny zgrzytliwy jęk, a chwilę później pokój wypełnił przyjemny stukot, igła śmigła w górę i w dół, znikając w tkaninie i pozostawiając wokół kieszeni równiutki rząd ściegów.

Stuk-stuk-stuk...

W okresie gimnazjalnym Beth Annę nigdy nie wracała do domu przed siódmą czy ósmą; w liceum jej powroty stały się jeszcze późniejsze. Czasami nie wracała na noc. W weekendy znikwała, jak gdyby nie chciała mieć z rodziną nic wspólnego.

Stuk-stuk-stuk. Rytmiczna praca maszyny uspokoiła nieco Liz, nie była jednak w stanie złagodzić paniki, która wybuchła, gdy kobieta po raz kolejny zerknęła na zegar. Jej córka mogła tu być lada chwila.

Jej dziewczynka, jej małość...

Stuk-stuk-stuk...

Powróciło też pytanie, które od lat dręczyło Liz: Co poszło nie tak? Godzinami wspominała wczesne dzieciństwo Beth Annę; rozpamięty-

wała każdy szczegół, szukając powodu, dla którego córka odwróciła się od niej. Była troskliwą, kochającą matką, konsekwentną i sprawiedliwą, codziennie gotowała, prała i prasowała ubrania córki, spełniała każdą jej zachciankę. Jedyne, co przychodziło jej do głowy, to myśl, że była zbyt bezkompromisowa, zbyt nieustępliwa w kwestii wychowania córki i czasami zbyt surowa.

Ale przecież to żadna zbrodnia. Poza tym Beth Annę równie mocno nienawidziła Jima - łagodniejszego z rodziców. Wyrozumiały, kochający do tego stopnia, że najzwyczajniej w świecie rozpieszczał córkę, Jim był idealnym ojcem. Pomagał Beth Annę i jej przyjaciółom odrabiać prace domowe, kiedy Liz była zajęta pracą, zawoził ich do szkoły, czytał córce bajki na dobranoc i utulał ją do snu. Wymyślał „specjalne zabawy”, tylko dla nich obojga. Był to ten rodzaj ojcowskiej miłości, który pokochałaby większość dzieci.

Jednak Jim również był celem niekontrolowanych ataków złości Beth Annę; dziewczynka robiła wszystko, by spędzać z nim jak najmniej czasu.

Nie, Liz nie przypominała sobie żadnych mrocznych incydentów z przeszłości, żadnych urazów psychicznych ani tragedii, które mogły uczynić z ich córki buntowniczkę. Skłaniała się raczej ku wnioskowi, do którego doszła lata temu: że - jakkolwiek niesprawiedliwie i okrutnie to brzmiało - jej córka urodziła się zupełnie inna od swej matki; jakiś fatalny genetyczny błąd sprawił, że dziewczynka była krnąbrna i niewdzięczna.

Spoglądając na materiał i wygładzając go smukłymi, gładkimi palcami, kobieta pomyślała o czymś jeszcze: Zbuntowana, tak, ale czy to możliwe, by Beth Annę była również niebezpieczna?

Liz musiała przyznać, że niepokój, który czuła tego wieczoru, nie wynikał jedynie z myśli o zbliżającym się spotkaniu z krnąbrną córką; Beth Ann ją przerażała.

Podniosła wzrok znad marynarki i spojrzała na tłukący o szyby deszcz. Bolesne mrowienie w prawej ręce przypomniało tamten straszny dzień sprzed lat - dzień, który zdecydował, że na dobre wyjechała z Detroit, i wciąż powracał do niej w naj mroczniej szych koszmarach. Liz weszła do sklepu jubilerskiego i jęknęła, widząc wymierzony w nią pistolet. Wciąż widziała żółty rozbłysk, kiedy mężczyzna pociągnął za spust; słyszała ogłuszającą eksplozję i czuła paraliżujący szok, kiedy kula utkwiała w jej ramieniu, przewracając ją na podłogę i sprawiając, że wrzasnęła z bólu i zaskoczenia.

Naturalnie jej córka nie miała nic wspólnego z tą tragedią. Liz wiedziała jednak, że Beth Annę byłaby zdolna pociągnąć za spust z taką samą



bezwzględnością jak mężczyzna w sklepie; miała dowody na to, że jej córka jest niebezpieczną kobietą. Kilka lat temu, już po tym, jak Beth Annę opuściła dom, Liz wybrała się na grób Jima. Dzień był wilgotny, mgła strzępiła się niczym kłaczki bawełny, i dopiero niemal przy samym nagrobku zorientowała się, że za kamienną płytą stoi ktoś jeszcze. Ku swojemu przerażeniu rozpoznała Beth Annę. Z dudniącym sercem Liz cofnęła się w bezpieczne objęcia mgły. Przez dłuższą chwilę biła się z myślami, uznała jednak, że nie ma dość odwagi, by spotkać się z córką. Zamiast tego zostawi wiadomość za wycieraczką samochodu.

Kiedy jednak podeszła do chevroleta i przetrząsając torebkę w poszukiwaniu kartki i długopisu, zerknęła do wnętrza samochodu, to, co zobaczyła, sprawiło, że mimowolnie zadrżała: kurtka, stos papierów, zagrzebany między nimi pistolet i wypełnione białym proszkiem plastikowe torebki - narkotyki, pomyślała Liz.

O tak, jej córka, mała Beth Annę Polemus, była zdolna zabijać.

Stopa Liz uniosła się znad pedału i maszyna zamilkła. Kobieta podniosła zacisk i starannie odcięła wiszące nitki. Włożyła marynarkę, wsunęła do kieszeni kilka drobiazgów i przeglądając się w lustrze, z zadowoleniem oceniła rezultat swej pracy.

Chwilę później zerknęła na własne odbicie. „Uciekaj! - szepnął głos w jej głowie. - Ona jest niebezpieczna! Uciekaj, zanim przyjedzie Beth Annę”.

Liz westchnęła. Jednym z powodów, dla których tu zamieszkała, był fakt, że jej córka przeniosła się na północny zachód. Liz nosiła się z zamiarem wytropienia dziewczyny, jednak czuła w sobie wielką niechęć do podjęcia tego zadania. Nie, zostanie tu i spotka się z Beth Annę. Tym razem jednak nie będzie głupia; nie po kradzieży. Powiesiła marynarkę na wieszaku i podeszła do szafy. Ściągnęła pudło z górnej półki, zajrzała do jego wnętrza i utkwiała wzrok w niewielkim pistolecie. „Kobieca broń”, powiedział Jim, kiedy kilka lat temu ofiarował jej ten prezent. Teraz, po tak długim czasie, wyjęła pistolet z pudełka i przyjrzała mu się.

*Śpij, dziecinko... Całą noc...*

Zadrżała z odrazy. Nie, prawdopodobnie nie byłaby w stanie użyć broni przeciwko własnej córce.

Myśl o tym, że mogłaby uśpić ją na wieki, zdawała się niewyobrażalna.

Chociaż... Co, gdyby miała wybierać pomiędzy życiem swoim i jej? Gdyby pęczniejąca w Beth Annę nienawiść doprowadziła ją do ostateczności?

Czy byłaby w stanie zabić własne dziecko, by ocalić swoje życie?

Żadna matka nie powinna stawać przed takim wyborem.

Wahała się przez długą chwilę i już miała odłożyć broń z powrotem do pudelka, gdy nagle dostrzegła błysk światła. Jej dłoń znieruchomiała. Podwórko rozjaśnił blask reflektorów, który kładł się na ścianach szwalni niczym ogromne kocie oczy.

Kobieta raz jeszcze spojrzała na broń, położyła ją na kredensie przy drzwiach i nakryła papierową serwetką. Chwilę później przeszła do salonu i wyjrzała przez okno na stojący na podjeździe, nieruchomy samochód. Światła wciąż były włączone, a oszalałe wycieraczki gnały tam i z powrotem, tam i z powrotem. Beth Annę najwyraźniej nie była pewna, czy powinna wysiąść z samochodu, i Liz przypuszczała, że nie chodzi bynajmniej o fatalną pogodę.

Długo, długo potem światła zgasły.

Myśl pozytywnie, szepnęła w duchu Liz. Może córka się zmieniła. Może przyjechała, by wynagrodzić matce wszystkie okropne zdrady, których dopuściła się w ciągu tych lat? Wówczas mogłyby zacząć wszystko od nowa. Mimo to Liz zerknęła do pokoju krawieckiego, gdzie ukryta pod serwetką leżała broń, i powiedziała sobie: Weź ją. Włóż do kieszeni.

Nie, odłóż ją z powrotem do szafy, zganiała się kobieta po chwili.

Dość tego, pomyślała. Zostawiła broń na komodzie, podeszła do frontowych drzwi i otworzyła je, czując na twarzy zimną mgłę.

Cofnęła się przed majaczącą w mroku sylwetką szczupłej młodej kobiety, patrząc, jak Beth Annę przechodzi przez próg i zatrzymuje się. Chwila ciszy i trzask zamykanych drzwi.

Liz stała pośrodku salonu, nerwowo zaciskając dłonie.

Zsunąwszy kaptur wiatrówki, Beth Annę starła z twarzy krople deszczu. Miała rumianą, ogorzałą twarz bez śladu makijażu. Wyglądała znacznie poważniej niż na swoje dwadzieścia osiem lat. Krótkie włosy odsłaniały maleńkie kolczyki. Z jakiegoś powodu Liz zastanawiała się, czy córka dostała je od kogoś, czy może kupiła je sama.

- Cóż, witaj, kochanie.

- Matko.

Chwila wahania i krótki, pozbawiony humoru śmiech Liz.

- Kiedyś mówiłaś do mnie „mamo”.

- Czyżby?

- Tak. Nie pamiętasz?

Beth Annę pokręciła głową. Liz wiedziała, że kłamie. Pamiętała, jednak nie chciała się do tego przyznać. Uważnie przyjrzała się córce.

Beth Annę rozglądała się po pokoju, aż zatrzymała wzrok na zdjęciu jej i ojca - stali na nabrzeżu, nieopodal rodzinnego domu w Michigan.

- Kiedy dzwoniłaś, mówiłaś, że ktoś powiedział ci, że tu mieszkam.  
Kto?

- Nieważne. Po prostu ktoś. Mieszkasz tu, odkąd... - urwała.

- Od kilku lat. Chcesz drinka?

-Nie.

Liz przypomniała sobie, jak w przeszłości nakryła szesnastoletnią wówczas córkę na podkradaniu piwa, i przez chwilę zastanawiała się, czy dziewczyna nie ma przypadkiem problemu z alkoholem.

- To może herbaty? Kawy?

-Nie.

- Wiedziałaś, że przeprowadziłam się na północny zachód? - spytała Beth Annę.

- Zawsze mówiłaś, że w końcu wyrwiesz się z... że wyrwiesz się z Michigan i przeniesiesz się w te strony. Kiedy się wyprowadziłaś, przyszedł list. Od kogoś z Seattle.

Beth Annę skinęła głową. Czyżby na jej twarzy pojawił się grymas? Jak gdyby była zła na siebie, że przez nieostrożność naprowadziła matkę na swój trop.

- Więc przeprowadziłaś się do Portlandu, żeby być bliżej mnie?

Liz uśmiechnęła się.

- Chyba tak. Zaczęłam cię szukać, ale chyba straciłam zapał. - Liz poczuła wzbierające w oczach łzy; widziała, że Beth Annę w milczeniu rozgląda się po pokoju. Dom był mały, tak, ale meble i wyposażenie - najlepszej jakości. Nagroda za kilka lat ciężkiej pracy.

W tej chwili dwa uczucia rywalizowały w Liz o palmę pierwszeństwa: po części miała nadzieję, że córka - widząc, ile ona ma pieniędzy - odnowi z nią stosunki, po części zaś wstydziła się swego statusu; ubranie i sztuczna biżuteria Beth Annę nie świadczyły o łatwym życiu.

Cisza była niczym ogień. Paliła skórę i serce Liz.

Beth Annę rozwarła zaciśnięte pięści i Liz dostrzegła na palcu lewej dłoni małeńki pierścionek zaręczynowy i prostą złotą obrączkę. Tym razem łzy potoczyły się kobiecie po policzkach.

-Czy ty...?

Podążając za spojrzeniem matki, dziewczyna spojrzała na pierścionek i powoli skinęła głową.

Liz zastanawiała się, jakim człowiekiem jest jej zięć. Czy łagodnym, na podobieństwo Jima, czy też takim, który potrafi ostudzić porywczą naturę jej córki? A może równie surowym i bezwzględny jak Beth Annę?

- Masz dzieci? - spytała.

- Niech cię to nie interesuje.

- Pracujesz?
- Pytasz, czy się zmieniłam, matko?

Liz nie chciała usłyszeć odpowiedzi na to pytanie i najszybciej, jak mogła, postarała się zmienić temat.

- Tak sobie myślałam - ciągnęła pełnym rozpaczycy głosem - że może powinnam się przenieść do Seattle. Mogłybyśmy się spotykać... może nawet razem pracować. Zostać współpracownikami. Byłoby świetnie. Marzyłam...

- Ty i ja, matko? Pracujące razem? - Beth Annę zerknęła do pokoju krawieckiego, ruchem głowy wskazała maszynę i wiszące na wieszakach sukienki. - To nie moje życie. Nigdy nim nie było. I nigdy nie będzie. Po tylu latach wciąż nie potrafisz tego zrozumieć, prawda? - Jej słowa i lodowaty ton potwierdziły tylko obawy Liz: jej córka w ogóle się nie zmieniła.

- Skąd więc ta wizyta? - spytała ostrym głosem. - Po co przyjechałaś?  
- Myślę, że wiesz, prawda?  
- Nie, Beth Annę, nie wiem. To jakaś szalona zemsta?  
- Myślę, że można to tak nazwać. - Dziewczyna po raz kolejny rozejrzała się po pokoju. - Idziemy.

Serce Liz przyśpieszyło.

- Ale dlaczego? Wszystko co robiliśmy, robiliśmy dla ciebie.  
- Cicho bądź. - W dłoni Beth Ann pojawiła się broń, czarna otchłań lufy mierzyła prosto w Liz. - Na dwór - szepnęła dziewczyna.

- Boże! Nie! - Liz zdławiła jęk, mając przed oczami każdy szczegół tego, co kilka lat temu wydarzyło się w sklepie. Ramię znowu zaczęło mrowić, a po policzkach potoczyły się łzy.

Pomyślała o leżącej na komodzie broni. *Spij, dziecinko...*

- Nigdzie nie idę! - odparła, wycierając oczy.
- Właśnie, że idziesz. No już, na dwór.
- Co chcesz zrobić? - spytała przerażona.
- To, co powinnam była zrobić dawno temu.

Liz wsparła się na krzesło. Beth Annę spojrzała na jej lewą dłoń, która spoczywała zaledwie kilka cali od telefonu.

- Nie! - warknęła. - Odsuń się!

Kobieta utkwiała w słuchawce beznadziejne spojrzenie i zrobiła, co jej kazano.

- Chodź ze mną.
- Teraz? W taki deszcz?

Dziewczyna skinęła głową.

- Pozwól mi wziąć kurtkę.
- Wisi przy drzwiach.
- Ta nie jest wystarczająco ciepła.

Beth Annę zawahała się, jak gdyby chciała powiedzieć, że grubość kurtki jest nieistotna wobec tego, co ma się wydarzyć. W końcu jednak skinęła głową.

- Ale nawet nie próbuj telefonować. Będę cię miała na oku.

Znalazłszy się w pokoju krawieckim, Liz sięgnęła po niebieską marynarkę. Powoli włożyła ją i utkwiała wzrok w papierowej chusteczce i ukrytej pod nią broni. Kątem oka zerknęła do salonu. Jej córka spoglądała na zdjęcie, na którym jako jedenasto- czy dwunastolatka stała obok rodziców.

Zwinnym ruchem sięgnęła po pistolet. Mogła się odwrócić i wycelować w córkę. Krzyknąć do niej, żeby rzuciła broń.

*Matko, czuję twą obecność całą noc...*

*Ojczy, wiem, że usłyszysz mnie przez całą noc...*

Lecz co, jeśli Beth Annę nie rzuci broni?

Co, jeśli uniesie lufę, gotowa strzelić?

Co ona wówczas zrobi?

Czy aby ratować życie, będzie w stanie zabić własną córkę?

*Spij, dziecko...*

Stojąca do niej tyłem Beth Annę wciąż wpatrywała się w fotografię. Liz była zdolna to zrobić - odwrócić się i oddać pojedynczy strzał. Poczula zimny dotyk pistoletu; broń zaciążyła w pulsującej bólem dłoni.

Westchnęła.

Odpowiedź brzmiała „nie”. Ogłuszające „nie”. Nigdy nie skrzywdziłyby córki. Cokolwiek miało się wydarzyć tam, w deszczu, nie będzie w stanie jej skrzywdzić.

Odłożywszy pistolet, wróciła do Beth Annę.

- Idziemy - rzuciła dziewczyna i wsuwając broń za pasek spodni, brutalnie chwyciła matkę za ramię i wyprowadziła ją na zewnątrz.

To - dotarło do Liz - jest ich pierwszy fizyczny kontakt od dobrych kilku lat.

Były na ganku, kiedy odwróciła się do córki.

- Jeśli to zrobisz, będziesz żałowała do końca życia.

- Nie - odparła dziewczyna. - Będę żałowała, jeśli tego nie zrobię.

Liz poczuła, jak do płynących po policzkach łez dołączają krople deszczu. Zerknęła na córkę. Twarz dziewczyny była mokra i czerwona, jednak nie od łez; jej oczy nie potrafiły płakać.

- Co zrobiłam, że tak mnie nienawidzisz? - spytała szeptem.

Beth Annę nie odpowiedziała, patrząc na parkujący przed domem pierwszy policyjny radiowóz. W świetle czerwonych, niebieskich i białych świateł tłuste krople deszczu przypominały fajerwerki z okazji Czwartego Lipca. Z samochodu wysiadł trzydziestokilkuletni mężczyzna z przypiętą do ciemnej wiatrówki odznaką i w asyście dwóch policjantów stanowych ruszył w kierunku domu. Chwilę później przywitał Beth Annę skinieniem głowy.

- Dan Heath, policja stanowa Oregonu.

Dziewczyna wymieniła z nim uścisk dłoni.

- Detektyw Beth Annę Polemus, wydział policji w Seattle.

- Witamy w Portlandzie - odparł mężczyzna.

Kobieta wzruszyła ramionami, wzięła kajdanki od funkcjonariusza i skuliła nimi ręce matki.

Zdrętwiała z zimna - i emocji, jakie wywołało spotkanie z matką -Beth Annę słuchała, jak Heath zwraca się do starszej kobiety:

- Elizabeth Polemus, jesteś aresztowana pod zarzutem zabójstwa, usiłowania zabójstwa, napaści, napadu z bronią w rękę i handlu kradzionym towarem.

Policjant odczytał kobiecie jej prawa i wyjaśnił, że zostaje postawiona w stan oskarżenia przez stan Oregon, jednakże podlega nakazowi ekstradycji do Michigan w związku z licznymi dokonanymi tam przestępstwami, w tym morderstwem, za które grozi kara śmierci.

Beth Annę skinęła na młodego funkcjonariusza policji stanu Oregon, który spotkał się z nią na lotnisku. Nie miała czasu na żmudne papierkowe procedury, by uzyskać zezwolenie na posiadanie broni służbowej w innym stanie, więc ją pożyczyła. Teraz zwróciła gliniarzowi pistolet i w milczeniu patrzyła, jak mężczyzna rewiduje jej matkę.

- Skarbie... - zaczęła Liz żalnym, błagalnym tonem.

Beth Annę zignorowała ją, podobnie jak Heath, który dał znak jednemu z funkcjonariuszy, aby odprowadził kobietę do radiowozu.

- Zaczekaj. Przeszukaj ją dokładnie! - krzyknęła Beth Annę.

Policjant zamrugał, mierzając wzrokiem szczupłą, drobną kobietę, która w strugach ulewnego deszczu zdawała się bezbronna niczym dziecko. Zerknął na przelożonego, a gdy ten skinął głową, przywołał policjantkę, która z wdziękiem wirtuoza przeszukała Liz. Gdy jej dłonie dotknęły okolic krzyża zatrzymanej, twarz funkcjonariuszki stężała. Liz utkwiała w córce przesywające spojrzenie, podczas gdy policjantka uniosła rąbek granatowej marynarki z wszytą z tyłu małą kieszonką. W środku znajdował się niewielkich rozmiarów nóż sprężynowy i uniwersalny wytrych do kajdanek.

- Jezu - szepnął funkcjonariusz. Ruchem głowy nakazał policjantce, by jeszcze raz zrewidowała zatrzymaną.

Powtórne przeszukanie nie przyniosło jednak żadnych niespodzianek.

- To sposób, którym pamiętam z dawnych dni - rzuciła Beth Annę. - Wszywała do ubrań dodatkowe kieszenie. Przydawały się podczas kradzieży sklepowych, no i mogła w nich ukryć broń. - Zaśmiała się chłodno. - Szybie i kradzieże. W tym była dobra. - Przestała się uśmiechać. - No i, oczywiście, morderstwa.

- Jak mogłaś to zrobić własnej matce? - warknęła zjadliwie Liz. - Ty Judaszu.

Beth Annę obojętnym wzrokiem patrzyła, jak odprowadzano zatrzymaną do radiowozu.

Chwilę później Heath i Beth Annę weszli do salonu. Podczas gdy funkcjonariuszka po raz kolejny oglądała warte setki tysięcy dolarów skradzione sprzęty, Heath rzucił:

- Dzięki. Wiem, że nie było pani łatwo. Ale robiliśmy wszystko, by tym razem obyło się bez rozlewu krwi.

Schwytanie Liz Polemus istotnie mogło zakończyć się krwawą jatką. Raz już do tego doszło. Kilka lat temu, kiedy matka i jej kochanek, Brad Selbit, próbowali obrobić sklep jubilerski, Liz została zaskoczona przez pracowników ochrony. Jeden z nich postrzelił ją w ramię. To jednak nie powstrzymało kobiety, która chwyciła broń drugą ręką, po czym zastrzeliła strażnika, Bogu ducha winnego klienta i jednego z policjantów. Wówczas udało jej się uciec. Wyjechała z Michigan do Portlandu, gdzie razem z Bradem wróciła do starych przyzwyczajzeń, robiąc to, co umiała najlepiej - rabując sklepy jubilerskie i butiki z markową odzieżą, którą po niewielkich przeróbkach sprzedawała paserom z innych stanów.

Jak poinformował policję stanową Oregonu jeden z informatorów, Liz Polemus była również zamieszana w serię rabunków w Northwest, gdzie mieszkała, ukrywając się pod fałszywym nazwiskiem. Prowadzący sprawę detektywi dowiedzieli się, że córka poszukiwanej jest oficerem wydziału dochodzeniowo-śledczego w Seattle, i helikopterem sprowadzili ją na lotnisko w Portlandzie. Kobieta przyjechała tu sama, licząc na to, że skłoni matkę, by ta dobrowolnie się poddała.

- Była na listach najniebezpieczniejszych przestępców w dwóch stanach. Słyszałem też, że wyrabiała sobie nazwisko w Kalifornii. Pomyśleć tylko, że to twoja matka. - Heath zamilkł, jak gdyby nagle zdał sobie sprawę, że ostatnia uwaga była z jego strony nietaktem.

Jednak Beth Annę nie dbała o to. Mruknęła tylko:

- Tak wyglądało moje dzieciństwo - napad z bronią w rękę, włama nie, pranie brudnych pieniędzy... Mój ojciec miał magazyn, w którym przechowywali łupy. To była ich przykrywka - odziedziczyli go po jego ojcu. Który - prawdę mówiąc - siedział w tym po uszy.

- Twój dziadek?

Kobieta skinęła głową.

- Ten skład... pamiętam go jak dziś. Czuję jego zapach i chłód, jaki w nim panował. Byłam tam tylko raz. Miałam wtedy mniej więcej osiem lat. Pełno tam było kradzionych rzeczy. Ojciec na kilka minut zostawił mnie samą w biurze; kiedy wyjrzałam, zobaczyłam, jak on i jeden z jego ludzi katują jakiegoś faceta. Omal go nie zabili.

- Wygląda na to, że nie próbowali przed tobą niczego ukrywać.

- Ukrywać? Do cholery, robili wszystko, żeby wciągnąć mnie w to bagno. Mój ojciec wymyślał te swoje „specjalne zabawy”, jak je nazywał. Miałam odwiedzać znajomych i węszyć, czy mają w domu coś wartościowego. Albo sprawdzać, jakie kamery i telewizory są w szkole, gdzie się je przechowuje i jakie zamki założono w drzwiach.

Heath z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Ale ty nigdy nie zadarłaś z policją? - spytał po chwili.

Kobieta roześmiała się.

- Właściwie tak - raz zatrzymano mnie za kradzież sklepową.

Policjant pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Ja w wieku czternastu lat ukradłem paczkę papierosów. Do tej pory czuję na tyłku pas ojca, kiedy się o tym dowiedział.

- Nie, nie - odparła Beth Anne. - Zatrzymano mnie, kiedy oddawałam rzeczy skradzione przez moją matkę.

- Co takiego?

- Wzięła mnie do sklepu jako przykrywkę. Wiesz, matka i córka zawsze mniej rzucają się w oczy niż samotna kobieta. Widziałam, jak pakuje do kieszeni zegarki i naszyjnik. Kiedy wróciłyśmy do domu, włożyłam wszystko do torby, żeby odnieść do sklepu. Musiałam jednak wyglądać podejrzanie, bo ochroniarz zatrzymał mnie, zanim zdążyłam odłożyć łupy na miejsce. Zebrałam wtedy cięgi. No wiesz, nie miałam zamiaru zakapować rodziców... Matka była wściekła... Nie mogli pojąć, dlaczego nie chciałam pójść w ich ślady.

- Powinnaś chyba pogadać z kimś takim jak doktor Phil.

- Już to zrobiłam. A właściwie cały czas robię.

Skwitowała kolejne wspomnienia smętnym skinieniem głowy.

- Od dwunastego, trzynastego roku życia starałam się trzymać jak najdalej od domu. Brałam udział we wszystkich zajęciach pozalekcyjnych.



W weekendy pracowałam jako wolontariuszka w szpitalu. Wiele zawdzięczałam przyjaciołom. Byli wspaniali... Chyba wybierałam ich dlatego, że tak bardzo różnili się od moich starych. Trzymałam się ze stypendystami National Merit, brałam udział w grupach dyskusyjnych i udzielałam się w klubie łacińskim. Garnęłam się do każdego, kto wydawał się uczciwy i normalny. Nie byłam zdolna, ale spędzałam tyle czasu w bibliotece i u mądrzejszych znajomych, że dostałam pełne stypendium i sama opłacałam studia.

- Gdzie studiowałaś?

- W Ann Arbor. Sądownictwo karne. Zdałam egzamin państwowy i wylądowałam w wydziale policji Detroit. Pracowałam tam przez jakiś czas. Głównie w wydziale narkotyków. Później przeprowadziłam się tu i podjęłam służbę w Seattle.

- No i masz złotą odznakę. Szybko zostałaś detektywem. - Heath rozejrzał się po domu. - Mieszkała tu sama? A co z twoim ojcem?

- Nie żyje - odparła rzeczowo Beth Annę. - Zamordowała go.

Co?

- Zaczekaj, aż przeczytasz nakaz ekstradycji z Michigan. Oczywiście, wtedy nikt jeszcze o tym nie wiedział. Wstępny raport koronera mówił o wypadku. Jednak kilka miesięcy temu facet w więzieniu w Michigan wyznał, że zrobił to na jej zlecenie. Matka dowiedziała się, że ojciec podbierał pieniądze z napadów i dzielił się nimi z kochanką. Wynajęła tego faceta, żeby go zabił i upozorował śmierć przez utonięcie.

- Przykro mi.

Beth Annę wzruszyła ramionami. Zawsze się zastanawiałam, czy byłabym w stanie im wybaczyć. Pamiętam jeden dzień; pracowałam wtedy jeszcze w wydziale narkotyków w Detroit. Przeprowadziliśmy poważną akcję na Six Mile. Skonfiskowaliśmy kupę hery. Wracalam na posterunek, żeby wciągnąć towar na listę dowodów, kiedy zobaczyłam, że przejeżdżam obok cmentarza, na którym pochowano mojego ojca. Nigdy tam nie byłam. Zatrzymałam się, poszłam na grób i próbowałam mu wybaczyć. Ale nie mogłam. Dotarło do mnie wtedy, że nigdy nie będę w stanie wybaczyć - ani jemu, ani matce. Tego dnia podjęłam decyzję o wyjeździe do Michigan.

- Twoja matka wyszła ponownie za mąż?

- Kilka lat temu związała się z Selbitem, ale nigdy za niego nie wyszła. Macie go już?

- Nie. Wiemy, że jest gdzieś w okolicy, ale zapadł się pod ziemię. Beth Annę wskazała głową telefon.

- Kiedy przyjechałam, matka próbowała gdzieś zadzwonić. Pewnie

chciała przekazać mu wiadomość. Sprawdzę billingi. Może to was do niego doprowadzi.

- Dobry pomysł. Jeszcze dziś wieczorem załatwię nakaz.

Beth Annę wbita wzrok w strugi deszczu i miejsce, w którym kilka minut temu zniknął radiowóz wiozący jej matkę.

- Najdziwniejsze jest to, że naprawdę wierzyła, że robi to dla mojego dobra. Oszustwo leżało w jej naturze; myślała, że tak samo jest ze mną. Ona i ojciec urodzili się źli i zepsuci. Nie mogli więc pojąć, dlaczego ja jestem inna i nie chcę się zmienić.

- Masz rodzinę? - spytał Heath.

- Mąż jest sierżantem w Juvenile. - Uśmiechnęła się. - 1 spodziewamy się dziecka. To nasze pierwsze.

- Hej, to świetnie.

- Zamierzam pracować do czerwca. Później przez kilka lat posiedzę na urlopie i będę prawdziwą matką. Dlatego że dzieci są najważniejsze - dodała pośpiesznie, choć zważywszy na okoliczności, nie uważała, aby trzeba było się nad tym rozwozić.

- Nasi ludzie niebawem zabezpieczą teren - rzucił Heath. - Ale jeśli chcesz się rozejrzeć, nie ma sprawy. Może są tu jakieś zdjęcia; coś, co chciałabyś zabrać. Nikt nie będzie robił problemów, jeśli weźmiesz jakieś rzeczy osobiste.

Beth Annę postukała się w głowę.

- Mam tu więcej wspomnień, niż potrzebuję.

- Zrozumiałem.

Zapięła wiatrówkę, nasunęła kaptur i roześmiała się niewesoło.

Heath uniósł pytająco brwi.

- Wiesz, jakie jest moje pierwsze wspomnienie?

- Jakie?

- Kuchnia w naszym pierwszym domu na przedmieściach Detroit. Siedziałam przy stole. Miałam chyba ze trzy lata. Matka śpiewała mi piosenkę.

- Śpiewała? Jak prawdziwa matka?

Beth Annę zastanowiła się.

- Nie pamiętam piosenki. Pamiętam tylko, że śpiewała, żeby odwrócić moją uwagę. Nie chciała, żebym bawiła się tym, co leżało na stole.

- Co robiła, szyła? - Heath wskazał głową pokój, w którym stała maszyna i wisały wieszaki pełne kradzionych sukienek.

- Nie - odparła policjantka. - Przeładowywała broń.

- Poważnie?

Kobieta skinęła głową.

|||

- Zrozumiałam to, kiedy byłam trochę starsza. Nie przelewało im się wtedy, więc na pokazach strzeleckich kupowali puste mosiężne naboje i la dowali je w domu. Pamiętam tylko, że pociski były lśniące i chciałam się nimi bawić. Matka mówiła, że jeśli nie będę ich dotykać, zaśpiewa mi piosenkę.

Jej opowieść zakończyła rozmowę. Policjanci przez chwilę słuchali tłukącego o dach deszczu. Zepsuci do szpiku kości...

- Dobra. - Beth Annę przerwała milczenie. - Wracam do domu.

Heath odprowadził ją przed dom, gdzie się pożegnali. Beth Annę wsiadła do wypożyczonego samochodu i ruszyła błotnistą, krętą drogą w kierunku autostrady stanowej.

Nagle, w najgłębszych zakamarkach umysłu, usłyszała melodię. Zanuciła na głos kilka nut, nie była jednak w stanie przypomnieć sobie całości. To wytrąciło ją z równowagi. Kobieta włączyła radio i odnalazła stację Jammin 95.5 Portland - nocne pasmo hitów... Podkreśliła głośność i rytmicznie bębniąc palcami w kierownicę, ruszyła na północ w stronę lotniska.

# Przesłuchanie

Jest w ostatnim pomieszczeniu. Idąc dalej długim korytarzem, mężczyzna kiwnął głową do sierżanta; pod stopami chrzęściły mu ziarenka piasku.

Mimo iż ściany zbudowano z żółtych pustaków, korytarz przypominał stare angielskie więzienie -zbudowane z cegły i pokryte sadzą.

Zbliżając się do pokoju, usłyszał delikatny dźwięk dzwonka. Kiedyś bywał tu regularnie, od miesięcy jednak nie odwiedzał tej części budynku. Dźwięk nie brzmiał znajomo, a jego radosne dzwonienie zdawało się dziwnie niepokojące.

Był w połowie korytarza, kiedy usłyszał głos sierżanta:

- Kapitanie?

Odwrócił się.

- Odwalił pan kawał dobrej roboty. Mówię o złapaniu go.

Boyle, który niósł pod pachą opasłe akta, pokiwał głową i ruszył pozbawionym okien korytarzem do pokoju 1-7.

Oto co zobaczył przez kwadratową szybkę w drzwiach: łagodnego mężczyznę około czterdziestki, średniego wzrostu, o gęstych włosach, poprząkanych siwizną. Jego oczy z wyrazem rozbawienia spoglądały na wzniesioną z pustaków ścianę. Odziane w kapcie stopy mężczyzny skute były kajdankami, podobnie jak dłonie. Srebrne ogniwa przewleczono przez zapięty wokół talii łańcuch.

Boyle przekręcił klucz i otworzył drzwi. Mężczyzna uśmiechnął się i wbił w detektywa ciekawskie spojrzenie.

- Witaj, James - rzucił Boyle.

- A więc to pan.

Od dziewiętnastu lat Boyle ścigał i zamykał zabójców. W twarzy Jamesa Kita Phelana dostrzegł to, co zawsze w takiej sytuacji widział w twarzach mężczyzn i kobiet. Bezcelność, złość, dumę i lęk.

Szczupła twarz z jedno- lub dwudniowym zarostem, przyprószona siwizną broda i oczy błękitne niczym holenderska porcelana.

Czegoś jednak brakuje, zauważył Boyle. Tylko czego? Tak... to było to. W oczach większości więźniów kryło się zdumienie. Tego właśnie nie dostrzegął u Jamesa Phelana.

Gliniarz cisnął akta na stół i pobieżnie przerzucił kartki.

- A więc to pan - mruknął znowu Phelan.

- Naprawdę nie zasługuję na takie uznanie, James. Szukało cię mnóstwo ludzi.

- Powiadają jednak, że nic by z tego nie wyszło, gdyby ich pan nie poganiał. Z tego, co słyszałem, pańscy ludzie nie spali ostatnio zbyt dobrze.

Kapitan Boyle, szef wydziału zabójstw, nadzorował pracę pięciu pracujących na pełen etat kobiet i mężczyzn z oddziału specjalnego, zajmującego się sprawą morderstwa w Granville Park, a także dziesiątków innych policjantów, którzy pracowali na pół etatu (choć każdy z nich codziennie spędzał w pracy przynajmniej dziesięć, dwanaście godzin). Mimo to Boyle nie zeznawał w sądzie i do dnia dzisiejszego nie rozmawiał z Phelanem ani nawet go nie widział. Oczekiwał więc, że facet okaże się kimś zupełnie pospolitym. Teraz z rosnącym niepokojem obserwował niebieskie oczy. Było w nich coś nieopisanego. Coś, czego nie znalazł, oglądając nagrania z przesłuchań. Co to było?

Te błękitne, zagadkowe oczy spoglądały teraz na jego sportowe ubranie. Dżinsy, adidasy Nike, koszulkę bordo marki Izod. Phelan miał na sobie pomarańczowy kombinezon.

*W każdym razie zabiłem ją.*

- To weneckie lustro, prawda?

-Tak.

- Kto za nim stoi? - Wbił wzrok w przyciemnioną szybę, ani razu -jak zauważył Boyle - nie patrząc na własne odbicie.

- Czasami przyprowadzamy tu świadków, by przyjrzeni się podejrzanym. Teraz nie ma tam nikogo. Bo i po co, prawda?

Phelan usiadł na niebieskim krześle z włókna szklanego. Przez chwilę obserwował, jak kapitan otwiera notes i wyjmuje długopis marki Bic. Boyle był cięższy od więźnia o czterdzieści funtów, z których większość stanowiły mięśnie. Mimo to położył długopis poza jego zasięgiem.

*W każdym razie...*

- Od miesiąca prosiłem o spotkanie z tobą - zaczął uprzejmie Boyle.

- Nie zgodziłeś się na nie aż do dziś.

Ogłoszenie wyroku zaplanowano na poniedziałek, więc kiedy sędzia ostatecznie zdecyduje się na którąś z opcji - dożywocie lub śmiertelny zastrzyk - James Kit Phelan na dobre pożegna się ze stanową gościnnością.

- Spotkanie - powtórzył Phelan. Zdawał się rozbawiony. - Czy „przesłuchanie” nie byłoby właściwszym słowem? Przecież to właśnie ma pan na myśli, prawda?

- Przyznałeś się, James. Po co miałbym cię przesłuchiwać?

- Nie wiem. W końcu to pan przez ostatnie miesiące wydzwaniał do mojego prawnika, nalegając na spotkanie.

- Chodziło o szczegóły dotyczące sprawy. Nic ważnego.

Boyle z trudem jednak panował nad emocjami. Od miesięcy desperacko zabiegał o to, by móc osobiście porozmawiać z Phelanem, i im dłużej odrzucano jego prośby, tym bardziej się obawiał, że nigdy nie pozna odpowiedzi na nękające go pytania. Była sobota i nie dalej jak godzinę temu szykował się na piknik z rodziną, pakując do koszyka kanapki z indykiem, kiedy zadzwonił adwokat Phelana. Judith i dzieciaki pojechali więc sami, podczas gdy Boyle pognął do aresztu z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę.

*Nic ważnego...*

- Nie chciałem widzieć pana wcześniej - zaczął wolno Phelan - bo myślałem, że będzie pan chciał... no... triumfować.

Boyle dobrodusznie potrząsnął głową. W duchu musiał jednak przyznać, że miał się czym szcycić. Kiedy nie aresztowali nikogo bezpośrednio po zabójstwie, sprawa zaczęła zatruwać mu życie i nabrała osobistego wymiaru. Szef wydziału zabójstw, Boyle, kontra nieuchwytny, nieznany morderca.

Rywalizacja pomiędzy przeciwnikami wywołała prawdziwą burzę na łamach brukowców, w wydziale policji i - przede wszystkim - w umyśle kapitana. Nad jego biurkiem wciąż jeszcze wisiał artykuł z pierwszej strony „The Post”, ze zdjęciem ciemnowłosego, śniadego Boyle'a, gapiącego się w obiektyw z prawej strony kartki, i sporządzonym przez policję, domniemanym portretem zabójcy Anny Devereaux, umieszczonym po lewej stronie. Obie fotografie oddzielono od siebie tłustym, czarnym VS, i trzeba przyznać, że detektyw wyglądał groźniej od swego przeciwnika.

Boyle pamiętał konferencję prasową, zwołaną sześć miesięcy od dnia zabójstwa, kiedy to obiecał mieszkańcom Granville, że mimo iż śledztwo utknęło w martwym punkcie, policja wierzy, że morderca zostanie schwytany. Tamtego dnia zakończył wystąpienie słowami: „Ten człowiek nie umknie przed sprawiedliwością. Istnieje tylko jeden sposób, by zakoń-

czyć tę sprawę. I nie będzie to remis. Ale szach i mat". Obietnica - która kilka miesięcy później boleśnie przypominała o porażce - w końcu doczekała się potwierdzenia. Nagłówki artykułów dotyczących zatrzymania Phelana krzyczały z pierwszych stron gazet: SZACH I MAT!

Były chwile, gdy Boyle, wykorzystując swoją pozycję, kpił z aluzji, jakoby napawał się porażką przeciwnika.

Teraz zaczął się nad tym zastanawiać. Phelan bez wyraźnego powodu zamordował bezbronną kobietę i przez prawie rok wymykał się policji. Była to najtrudniejsza sprawa w karierze Boyle'a i kapitan niejednokrotnie tracił nadzieję na schwytanie przestępcy. Jednak z bożą pomocą udało mu się wygrać. Może więc faktycznie przyszedł tu, by spojrzeć na Phelana jak na trofeum?

*...zabiłem ją... Nie mam nic więcej do powiedzenia.*

- Chciałbym ci zadać kilka pytań - rzekł Boyle. - Masz coś przeciwko temu?

- Przeciwko rozmowie na ten temat? Chyba nie. To trochę nudne. Czy nie taka właśnie jest prawda o przeszłości? Nudna?

- Czasami.

- To żadna odpowiedź. Przeszłość. Jest. Nudna. Strzelał pan kiedyś do kogoś?

Strzelał. Dwukrotnie. I w obu przypadkach zabił.

- Jesteśmy tu, żeby rozmawiać o tobie.

- Ja jestem tu, ponieważ mnie złapaliście. To pan przyszedł, żeby o mnie rozmawiać.

Phelan przygarbił się na krześle, cicho brzęcząc łańcuchami. To przypomniało Boyle'owi dźwięk dzwonka, który usłyszał, idąc korytarzem. Zerknął w akta.

- A więc co chce pan wiedzieć? - spytał Phelan.

- Tylko jedną rzecz - odparł Boyle, otwierając starą manilową teczkę. - Dlaczego ją zabiłeś?

- Dlaczego? - powtórzył powoli Phelan. - Ach tak, wszyscy pytali mnie o motyw. Ale „motyw”... to duże słowo. Warte z dziesięć doliców, jak powiedziałby mój ojciec. A więc „dlaczego”. Oto właściwe pytanie.

- Więc jak brzmi odpowiedź?

- Dlaczego to takie ważne?

Prawda wcale nie była jednak ważna. Przynajmniej nie pod względem prawnym. Należy ustalić motyw, jeśli sprawa trafia do sądu lub jeśli przyznanie się do winy jest niepotwierdzone czy nieoparte dowodami rzeczowymi. Jednak odciski palców, zebrane na miejscu zbrodni,

należały do Phelana, a testy DNA potwierdziły, że tkanka znaleziona pod pięknymi różowymi paznokciami Anny Devereaux była jego skórą. Sędzia uznał przyznanie się do winy, lecz nawet on oczekiwał od więźnia wyjaśnień co do motywu tej potwornej zbrodni. W odpowiedzi Phelan zacisnął usta i z pokorą wysłuchał wyroku skazującego.

- Chcemy tylko uzupełnić raport.

- Uzupełnić raport. Cóż, jeśli to nie tylko jakiś biurokratyczny bełkot, to nie wiem, o co tu chodzi.

Prawdę powiedziawszy, Boyle potrzebował odpowiedzi z prywatnych, nie zawodowych względów. Potrzebował jej, by móc w końcu spokojnie zasnąć. Pytanie, dlaczego włóczęga i drobny przestępca zamordował trzy-dziesięcioletnią żonę i matkę, rosło w jego mózgu niczym guz. Czasami budził się w nocy i rozmyślał o sprawie. Nawet w ubiegłym tygodniu -gdy wyglądało na to, że Phelan trafi do Katonah, więzienia o zaostrowym rygorze, i nigdy nie wyraził zgody na spotkanie - Boyle budził się zlany potem, dręczony tym, co nazywał phelankoszmarami. Sny nie miały nic wspólnego z zabójstwem Anny Devereaux; były to serie koszmarnych obrazów, w których morderca szeptał detektywowi niezrozumiałe słowa.

- W tej chwili to już bez znaczenia, zarówno dla nas, jak i dla ciebie - odparł ze spokojem Boyle. - Po prostu chcemy wiedzieć.

- My? - spytał więzień z fałszywą skromnością i Boyle poczuł się, jak gdyby przyłapano go na kłamstwie. - Myślę, że macie na ten temat swoje teorie - ciągnął Phelan.

- Właściwie nie.

-Nie?

Phelan uderzył łańcuchem o stół i wlepił w kapitana dziwne spojrzenie. Boyle poczuł się niezręcznie. Więźniowie bez przerwy obrzucali go obelgami. Czasami pluli na niego, a byli i tacy, którzy próbowali go atakować. Jednak Phelan znów przybrał ten pełen zaciekawienia wyraz twarzy - co to, do cholery, miało znaczyć? - uśmiechnął się i wbił wzrok w twarz Boyle'a.

- Dziwny dźwięk, prawda, kapitanie? Łańcuch. Lubi pan horrory?

- Niektóre. Nie te bardzo krwawe.

Trzy stuknięcia łańcuchem. Phelan roześmiał się.

- Niezły efekt dźwiękowy do filmu Stephena Kinga, nie sądzi pan? Albo Clive'a Barkera. Podzwaniające nocą łańcuchy.

- Może jednak wrócimy do faktów? Do tego, co się wydarzyło. Odświeżyć ci pamięć?

- Chodzi panu o moje przyznanie się do winy? Czemu nie? Nie słyszałem go od czasu procesu.



- Nie mam nagrania. Może po prostu to przeczytam.
- Zamieniam się w słuch.

- Trzynastego września byłeś w miasteczku Granville. Jechałeś skradzionym motocyklem marki Honda Nighthawk.

- Tak jest.

Boyle pochylił głowę i swym najstaranniejszym barytonem - którym zwykle urzekał ławę przysięgłych - zaczął czytać:

- „Jeździłem bez celu, rozglądając się po okolicy. Słyszałem, że organizowali tam targi, festiwal czy coś takiego, i kiedy zwolniłem, usłyszałem muzykę. Pojechałem więc za nią do tego parku w środku miasteczka.

Mieli tam przejażdżki konne, masę różnego jedzenia, robionych ręcznie przedmiotów i innych rzeczy. Dobra, zaparkowałem więc motor i przez jakiś czas chodziłem po straganach. Sęk w tym, że było tam strasznie nudno, dlatego poszedłem wzdłuż tej małej rzeczki, która prowadzi do lasu. To tam zobaczyłem taki biały albo kolorowy błysk, coś takiego. Nie pamiętam dokładnie. Podeszedłem bliżej i zobaczyłem tę kobietę, jak siedząc na kłodzie, wpatruje się w rzekę. Pamiętałem ją z miasteczka. Pracowała w centrum, w jakimś sklepie z używanymi rzeczami. Wie pan, to jeden z tych sklepów, gdzie ludzie oddają rzeczy, a pieniądze przeznaczają się na szpitale. Zdaje się, że miała na imię Anne, Annie, Anna czy coś w tym rodzaju”.

*Anna Devereaux...*

- „Palila papierosa w ukryciu; jak gdyby obiecała wszystkim, że już nie będzie, ale nie mogła się powstrzymać. Kiedy mnie usłyszała, rzuciła go na ziemię i przygniotła butem. Z początku nawet na mnie nie spojrzała. Dopiero później podniosła wzrok; wyglądała na naprawdę wkurzoną. Mówię do niej: »Hej«. Ale ona pokiwała tylko głową, mruknęła coś i spojrzała na zegarek, jak gdyby się gdzieś śpieszyła. No. Chwilę później zaczęła iść w kierunku miasteczka. I kiedy mnie mijała, z całej siły uderzyłem ją w szyję, tak że upadła. Później usiadłem na niej, złapałem ją za szal i zaciskałem go, aż przestała się ruszać; nawet później nie mogłem przestać. Dobrze było czuć naciągnięty materiał na nadgarstkach. W końcu zszedłem z niej i znalazłem papierosa. Wciąż jeszcze się tlił, niezgaszony do końca. Dopaliłem go i wróciłem na targ. Kupiłem loda o smaku wiśni w rożku. Wsiadłem na motor i odjechałem.

W każdym razie prawda jest taka, że ją zabiłem. Chwyciłem ten ładny, niebieski szal i udusiłem ją. To wszystko, co mam do powiedzenia”.

Boyle słyszał podobne słowa setki razy. Jednak odczytując zeznanie Phelana, poczuł coś, czego nie czuł od lat. Pełznący po plecach, lodowaty chłód.

- A więc to wszystko, James?  
- Tak. To wszystko prawda. Każde słowo.  
- Wziąłem pod lupę twoje przyznanie się do winy, przesłuchałem rozmowy z detektywami, oglądałem wywiad, który przeprowadziła z tobą ta reporterka telewizyjna...

- To był prawdziwy kociak.  
- Ani razu nie wspomniałeś o motywie.

Znowu dzwonięcie. Łańcuch więźnia niczym wahadło obijał się o metalową nogę stołu.

- Dlaczego ją zabiłeś, James? - spytał cicho Boyle.

Phelan potrząsnął głową.

- Dokładnie nie... Wszystko wydaje się takie mętne.

- Przecież musiałeś się nad tym zastanawiać.

Phelan wybuchnął śmiechem.

- Do cholery, myślałem o tym z milion razy. Całymi dniami rozmawiałem na ten temat z moim kumplem.

- Z kim? Z tym motocyklistą?

Phelan wzruszył ramionami.

- Może.

- Przypomnij mi, jak on miał na imię.

Phelan uśmiechnął się.

Nie było tajemnicą, że James - choć uznawany za samotnika - miał kilku niebezpiecznych przyjaciół. Według zeznań świadków, najczęściej widywano Phelana w towarzystwie członka gangu motocyklowego, który ukrywał go po zabójstwie Anny Devereaux. Boyle zamierzał przymknąć tego faceta za współudział w morderstwie, jednak był zbyt pochłonięty sprawą Phelana, by tracić czas na ugania się za współwinnymi.

- No więc on i ja - zaczął przestępca - piliśmy i całymi dniami rozmawialiśmy o tym, co się stało. Widzi pan, ten facet to prawdziwy sukinsyn. Swojego czasu skrzywdził parę osób. Na wszystko miał jednak wytłu maczenie. Albo go wkurzyli, albo chodziło o pieniądze lub coś podobne go. Nie mógł pojąć, jak mogłem tak po prostu zabić tę kobietę.

-I co?

- Nie znaleźliśmy odpowiedzi. Chcę tylko powiedzieć, że naprawdę dużo o tym myślałem.

- A więc lubisz sobie wypić, James?

- Tak. Ale w dniu, kiedy ją zabiłem, byłem zupełnie trzeźwy. Nie piłem nic oprócz lemoniady.

- Jak dobrze ją znałeś? Annę Devereaux?

- Znałem? W ogóle jej nie znałem.

- Zdawało mi się, że mówiłeś coś innego. - Boyle zerknął do akt.  
- Mówiłem, że ją wcześniej widziałem. Tak samo jak raz widziałem w telewizji papieża. W filmach widziałem też Julię Roberts i królową porno Sheri Starr w pełnej krasie. Nie znaczy to jednak, że ich znam.

- Miała męża i dziecko.

- Słyszałem.

Detektyw po raz kolejny usłyszał dzwonięcie. Nie były to jednak łańcuchy. Dźwięk dobiegał gdzieś z zewnątrz. Był to ten sam dzwonek, który usłyszał, idąc korytarzem do pokoju przesłuchań. Boyle ściągnął brwi. Kiedy ponownie spojrzął na Phelana, więzień obserwował go z niepewnym uśmiechem.

- To wózek z kawą, kapitanie. Pojawia się rano i po południu.

- To coś nowego.

- Przyjeżdża tu od miesiąca. Odkąd zamknęli bufet.

Boyle pokiwał głową i spojrzął na pusty notatnik. Chwilę później zwrócił się do Phelana:

- Myśleli o rozwodzie. Anna i jej mąż.

- Jak ma na imię? - spytał Phelan. - Jej mąż? To ten siwy facet, który siedział z tyłu na sali rozpraw?

- Tak, to ten siwy. Ma na imię Bob.

Mąż ofiary znany był wszystkim jako Robert. Boyle miał jednak nadzieję, że Phelan zauważy różnicę imion i przypadkowo wpadnie we własne sidła.

- A więc sądzi pan, że wynajął mnie, abym ją zabił?

- A wynajął?

- Nie, nie wynajął - burknął Phelan.

*Dobrze było czuć naciągnięty materiał na nadgarstkach...*

Robert Devereaux wydał się przesłuchującym go policjantom wzorem pogrążonego w żałobie męża. Dobrowolnie poddał się testowi na wykrywacz kłamstw i było mało prawdopodobne, by zlecił zabójstwo żony dla marnych pięćdziesięciu tysięcy z polisy ubezpieczeniowej. Jakkolwiek jednak kiepski byłby to motyw, Boyle postanowił zbadać każdą ewentualność.

Anna Devereaux. Lat trzydzieści sześć. Lubiana przez mieszkańców miasteczka.

Żona i matka.

Kobieta, która przegrywała wojnę z nałogiem.

*Chwyciłem ten ładny, niebieski szal i udusiłem ją. To wszystko, co mam do powiedzenia.*

Stara blizna na jej szyi była pozostałością po ranie zadanej Annie w wieku siedemnastu lat; często nosiła szalę, by ją ukryć. W ten wrześniowy dzień, kiedy została zamordowana, miała na sobie jedwabny szal od Christiana Diora, którego kolor został opisany w policyjnym raporcie jako akwamarynowy.

- Była atrakcyjną kobietą, prawda? - spytał Boyle.
- Nie pamiętam.

Ostatnie zdjęcia Anny Devereaux, jakie obaj widzieli, zostały zaprezentowane w trakcie procesu. Jej otwarte oczy zasnuwała pośmiertna mgła, a wyciągnięta smukła dłoń z długimi paznokciami zebrała o litość. Jednak nawet te fotografie zdradzały, jak piękną była kobietą.

- Nie zabawiałem się z nią, jeśli o to panu chodzi. Nawet nie miałem na to ochoty.

Profil psychologiczny mordercy wykluczył zabójstwo na tle seksualnym. Poddany testowi Rorschacha i darmowym testom skojarzeń, Phelan wykazywał normalne, heteroseksualne reakcje.

- Po prostu głośno myślałem, James. Szedłeś przez las?
- Tego dnia, kiedy ją zabiłem? Znudziłem się jarmarkiem, zacząłem iść przed siebie i doszedłem do lasu.
- Ona tam była, siedziała, pałac papierosa.
- Aha - odparł cierpliwie Phelan.
- Co ci powiedziała?
- Powiedziałem: „Hej”. A ona bąknęła coś, czego nie byłem w stanie zrozumieć.
- Co jeszcze się stało?
- Nic. To wszystko.
- Może byłeś zły, bo nie spodobało ci się to, że tylko mruknęła coś pod nosem.
- Nie obchodziło mnie to. Czemu miałbym się przejmować?
- Słyszałem, jak mówiłeś kilka razy, że nienawidzisz być znudzony. Phelan zerknęła na pustaki i przez chwilę zdawało się, że chce je polić.
- Tak. Nie lubię, kiedy mi się nudzi...
- Jak bardzo tego nie lubisz? - spytał z uśmiechem Boyle. W skali od jednego do...
- ...ale ludzie nie zabijają z nienawiści. Oczywiście, myślą o zabiciu tych, których nienawidzą, mówią o tym. Ale tak naprawdę zabijają jedynie tych, których się boją, i tych, na których są wściekli. Czego pan nienawidzi, detektywie? Niech pan przez chwilę pomyśli. Założę się, że przy-

dzie panu do głowy mnóstwo rzeczy. Ale nie zabiłby pan nikogo z tego powodu. Prawda?

- Miała na sobie biżuterię.

- To pytanie?

- Okradłeś ją? I zabiłeś, kiedy nie chciała oddać ci obrączki i pierścionka zaręczynowego?

- Jeśli chciała się rozwieść, czemu miałyby mi nie dać pierścionków?

Phelan zadał to retoryczne pytanie, jak gdyby chciał wytknąć Boyle'owi wady jego rozumowania.

Ludzie z wydziału zabójstw od razu wykluczyli morderstwo na tle rabunkowym. Leżący osiem stóp od ciała portfel Anny Devereaux zawierał jedenaście kart kredytowych i 180 dolarów w gotówce.

Boyle wziął do rąk manilową teczkę, przeczytał coś i rzucił plik papierów na stół.

*Dlaczego?...*

Nie było wątpliwości, że najwłaściwszym słowem na podsumowanie życia Jamesa Kita Phelana było pytanie „dlaczego”. Dlaczego zabił An--“ Devereaux? Dlaczego popełnił inne przestępstwa, za które został zatrzymany? Wiele z nich było nieuzasadnionych. Nie były to morderstwa, ale dziesiątki napaści. Pijaństwo i zakłócanie porządku publicznego. Porwanie zakończone czynną napaścią z użyciem broni. I kim właściwie był James Kit Phelan? Niechętnie mówił o swojej przeszłości. Nawet „Current Affairs” zdołało dotrzeć do zaledwie dwóch jego byłych współwięźniów i nakłonić ich do wywiadu na wizji. Nie miał żadnych krewnych, żadnych przyjaciół, byłych żon, żadnych nauczycieli z liceum czy szefów.

- James, ciągle powtarzasz, że nie masz pojęcia, dlaczego ją zabiłeś - zaczął znów Boyle.

Phelan złączył nadgarstki i machnął łańcuchem, który po raz kolejny uderzył w stół.

- Może to coś w mojej głowie - odparł po chwili namysłu.

Poddano go wszystkim standardowym testom, jednak nie znaleziono nic odbiegającego od normy, przy czym psychiatrzy zgodnie orzekli, że „więzień zdradza silne tendencje do uzewnętrzniania tego, co określa się jako klasyczne skłonności społeczne” - diagnoza, którą Boyle skomentował słowami „Wielkie dzięki, akt oskarżenia mówi dokładnie to samo. Tyle że po angielsku”.

- Wie pan - ciągnął wolno Phelan - czasami czuję, jak coś we mnie wymyka się spod kontroli.

Błede powieki opadły na błękitne oczy, Boyle jednak miał wrażenie, że skóra więźnia jest półprzezroczysta, a on sam wciąż obserwuje niewielkie pomieszczenie.

- Co masz na myśli, James? - Poczul, że serce bije mu znacznie szybciej. Zastanawiał się: Czyżbyśmy byli coraz bliżej odkrycia tajemnic największego z miejscowych przestępców ostatnich dziesięciu lat?

- Myślę, że to może mieć coś wspólnego z moją rodziną. Kiedy dorastałem, było w niej mnóstwo syfu.

- Aż tak źle?

- Naprawdę źle. Ojciec odsiadywał wyrok. Kradzieże, awantury rodzinne, pijaństwo i zakłócanie porządku publicznego. Często mnie bił. Na początku on i matka byli cudowną parą. Naprawdę się kochali. Tak słyszałem, ale widziałem coś zupełnie innego. Jest pan żonaty, kapitanie?

Phelan zerknął na lewą dłoń Boyle'a. Nie było na niej obrączki, nie nosił jej; z reguły starał się oddzielać życie zawodowe od prywatnego.

- Tak, jestem.

- Jak długo?

- Dwadzieścia lat.

- Chryste! - Phelan się roześmiał. - Kawał czasu.

- Poznałem Judith, kiedy byłem w akademii.

- Całe życie jest pan gliniarzem. Czytałem o panu. - James znów się zaśmiał. - W tym artykule, który się ukazał, kiedy mnie pan złapał. „Szach i mat”. To było zabawne. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Widać pan, gdy matka odeszła, ojciec nigdy nie związał się z żadną kobietą dłużej niż na rok. Nie mógł też utrzymać żadnej pracy. Bez przerwy się przeprowadzaliśmy. Mieszkaliśmy chyba w ze dwudziestu stanach. W artykule napisali, że większość życia spędził pan tutaj.

Otwiera się, pomyślał podekscytowany Boyle. Niech mówi dalej.

- Od dwudziestu jeden lat mieszkam trzy mile stąd, w Marymount.

- Przejeżdżałem tamtędy. To ładne miejsce. Ja mieszkałem głównie w małych miasteczkach. Nie było łatwo, a najgorzej w szkole. Nowy dzieciak w klasie. Zawsze dostawałem łomot. Hej, to musi być całkiem źle mieć ojca gliniarza. Nikt się ciebie nie czepia.

Boyle odparł:

- Może to i prawda, ale jest inny problem. Ojciec gliniarz ma mnóstwo wrogów. Dlatego bez przerwy przenosimy dzieciaki z jednej szkoły do drugiej. Trzymamy je z daleka od publicznych szkół.

- Posyłacie je do prywatnych?

- Jesteśmy katolikami. Dzieciaki chodzą do prywatnej szkoły parafialnej.

- Tej w Granville? Wygląda jak miasteczko studenckie. Musi was to sporo kosztować, nie ma co.

- Nie, chodzą do Edgemont. Jest mniejsza, ale kosztuje grosze. A ty miałeś dzieci?

Phelan spowaźniał. Zbliżali się do czegoś ważnego, Boyle to wyczuwał.

- Poniekąd.

Zachęć go. Delikatnie. Delikatnie.

- Jak to?

- Mama umarła, kiedy miałem dziesięć lat.

- Przykro mi, James.

- Miałem dwie młodsze siostry. Bliźniaczki. Były o cztery lata młodsze. Musiałem się nimi opiekować. Ojciec lubił iść w tango, tak to nazywałem. Już w wieku dwunastu lat wiedziałem, co to znaczy być ojcem.

Boyle pokiwał głową. Miał trzydzieści sześć lat, kiedy urodził się Jon, i wciąż nie był pewien, czy wie, co to znaczy być ojcem. Kiedy powiedział o tym Phelanowi, ten się roześmiał.

- Ile lat mają pańskie dzieci?

- Jon dziesięć. Alice dziewięć. - Z trudem pohamował chęć pokazania Phelanowi zdjęć, które nosił w portfelu.

Nagle Phelan spochmurniał. Jęknęły łańcuchy.

- Widzi pan, bliźniaczki wciąż czegoś ode mnie chciały. Zabawek, czasu, uwagi, żebym pomagał im w czytaniu, wyjaśniał, co znaczy to, a co tamto... Chryste.

Boyle zauważył gniew na jego twarzy. Mów dalej, ponaglił go w duchu. Nie robił żadnych notatek, w obawie że mógłby przerwać ten wąty strumień świadomości. To, czego był świadkiem, mogło zaprowadzić go do magicznego słowa „dlaczego”.

- Cholera, to doprowadzało mnie do szału. Najgorsze, że musiałem radzić sobie z tym sam. Ojciec był wiecznie na randkach - to znaczy on nazywał to randkami - albo upijał się do nieprzytomności. - Podniósł wzrok. - Do diabła, nie ma pan pojęcia, o czym mówię, prawda?

Chłód w jego głosie kompletnie zaskoczył Boyle'a.

- Jak najbardziej wiem - odparł szczerze. - Judith pracuje. Spędzam z dziećmi mnóstwo czasu. Kocham je, tak jak ty kochałeś swoje siostry, ale Jezu, dzieciaki naprawdę dają popalić.

Phelan zamyślił się przez chwilę. Oczy miał szkliste, przypominały te, które widzieli na zdjęciach Anny Devereaux.

- Pańska żona pracuje, tak? Moja mama też chciała pracować. Tylko że ojciec jej nie pozwalał.

Nazywa czasem matkę „mama”, ale o ojcu wyraża się o wiele bardziej ozięble. Jaki z tego wniosek?

- Ciągłe się o to kłócili. Pewnego razu złamał jej szczękę, kiedy przyłapał ją na tym, jak przeglądała ogłoszenia o pracę.

*/ kiedy mnie mijala, z całej sily uderzyłem ją w szyję, tak że upadła.*

- Czym zajmuje się pańska żona? - spytał Phelan.

- Jest pielęgniarką. W St. Mary's.

- To dobra praca - przyznał Phelan. - Moja matka lubiła ludzi, lubiła im pomagać. Byłaby dobrą pielęgniarką. - Jego twarz znów spo-chmurniała. - Kiedy myślę o tym, jak ojciec ją bił... To dlatego zaczęła brać tabletki i inne świństwa. I nigdy nie przestała. Dopóki nie umarła. - Pochylił się do przodu i szepnął: - Ale wie pan, co było najgorsze? - Mówiąc to, wyraźnie unikał wzroku Boyle'a.

- Co, James? Powiedz mi.

- Widzi pan, czasami mam wrażenie... poniekąd winię za wszystko moją matkę. Gdyby tyle nie jęczała, że chce iść do pracy. Gdyby po prostu była szczęśliwa, siedząc w domu... ze mną i z dziewczynkami, być może tata nie musiałby jej bić.

*Później usiadłem na niej, złapałem ją za szal i zaciskałem go, aż przestała się ruszać; nawet później nie mogłem przestać...*

- No i nie zaczęłaby pić, brać tych tabletek, i może wciąż by żyła. - Był wyraźnie zdenerwowany. - Czasami myślę, że dobrze robił, bijąc ją.

*Dobrze było czuć naciągnięty materiał na nadgarstkach...*

Odetchnął głęboko.

- Wiem, że nie powinienem tak mówić, prawda?

- Czasami życie bywa okrutne, James.

Phelan spojrział na sufit, jak gdyby liczył płyty akustyczne.

- Do diabła, nie wiem nawet, po co to mówię. To tak... jakbym wciąż to widział. Wszystko to siedzi w mojej głowie. - Zaczął mówić coś innego, ale zamilkł, a Boyle nie chciał przerywać tej nagłej gonitwy myśli. Tym razem głos Phelana zdawał się weselszy:

- Robi pan ze swoją rodziną różne rzeczy, razem kapitanie? To chyba było najgorsze. Nigdy nie zrobiliśmy razem żadnej pieprzonej rzeczy. Nigdy nie wyjechaliśmy na wakacje ani nie poszliśmy na żaden mecz.

- Gdybym nie siedział tu teraz z tobą, byłbym z nimi na pikniku.

-Tak?

Przez chwilę Boyle obawiał się, że Phelan pozazdrości mu życia rodzinnego. Jednak oczy więźnia rozbliły się.

- To miło, kapitanie. Zawsze wyobrażałem sobie nas - moją mamę i ojca, kiedy nie pił, i bliźniaczki. Myślałem, że fajnie byłoby gdzieś wyjechać i robić to, o czym pan mówi. Urządzić piknik na placu albo w parku, siedzieć tuż przed muszlą koncertową.

*...kiedy zwolniłem, usłyszałem muzykę. Pojechałem więc za nią do tego parku w środku miasteczka...*



- To właśnie zamierzał pan robić ze swoją rodziną?  
- Cóż, nie jesteśmy zbyt towarzyscy - odparł ze śmiechem Boyle.  
- Trzymamy się z dala od tłumów. Moi rodzice mają niewielki domek na północy stanu.

- Dom rodzinny? - spytał powoli Phelan, jak gdyby chciał wyobrazić sobie to miejsce.

- Nad jeziorem Taconic. Zwykle tam właśnie jeździmy.

Phelan milczał przez chwilę, po czym rzekł:

- Wie pan, kapitanie, mam taki dziwny pomysł. - Jego wzrok przesunął się po kolejnych pustakach. - Mamy w głowach całą tę wiedzę. Wszystko, co ludzie kiedykolwiek wiedzieli. Albo to, czego dowiedzą się w przyszłości. Na przykład to, jak zabić mastodonta, jak zbudować nuklearny statek kosmiczny albo mówić innymi językami. To wszystko jest w naszych umysłach. Wystarczy to znaleźć.

O czym on mówi? - zastanawiał się Boyle. Że niby wiem, dlaczego to zrobił?

- I znajdujemy to, siedząc w ciszy i spokoju. Nagle pojawia się w naszej głowie myśl. Tak po prostu. Łup i już jest. Zdarza się to czasem panu?

Boyle nie wiedział, co powiedzieć. Ale Phelan najwyraźniej nie oczekiwał odpowiedzi.

Na korytarzu rozległy się kroki, które chwilę później ucichły.

*W każdym razie prawda jest taka, że ją zabiłem. Chwyciłem ten ładny, niebieski szal...*

Phelan westchnął.

- To nie to, że chciałem coś przed panem zataić. Po prostu nie mogę dać panu takiej odpowiedzi, jakiej pan oczekuje.

Boyle zamknął notatnik.

- W porządku, James. I tak wiele mi opowiedziałeś. Doceniam to.

*Chwyciłem ten ładny, niebieski szal i... udusiłem ją. To wszystko, co mam do powiedzenia.*

\*

- Mam! - ogłosił do słuchawki Boyle. Stał w ciemnym korytarzu na zewnątrz sądowej stołówki, gdzie zjadł właśnie lunch z innymi gliniarzami, pracującymi nad sprawą Phelana.

- Dobra robota! - zabrzmiał w słuchawce radosny głos prokuratora okręgowego.

Większość starszych prokuratorów wiedziała, że Boyle zamierzał przeprowadzić ostateczne przesłuchanie Jamesa Phelana, licząc, że w końcu

poznają odpowiedź na pytanie, dlaczego mężczyzna zamordował Annę Devereaux. Było to pytanie numer jeden w biurze prokuratora okręgowego. Boyle słyszał nawet plotki o makabrycznych zakładach, w których ludzie obstawiali konkretne odpowiedzi.

- To skomplikowane - ciągnął kapitan. - Myślę, że nie poddaliśmy go wystarczającej liczbie testów psychologicznych. Wszystko ma związek ze śmiercią jego matki.

- Matki Phelana?

- Tak. Facet ma fioła na punkcie rodziny. Jest wściekły, ponieważ matka zmarła, gdy miał dziesięć lat, i musiał się zająć wychowaniem siostr.

-Co?

- Wiem, że to brzmi jak psychologiczny bełkot. Ale wszystko pasuje. Zadzwoń do doktora Hirschorna. Niech...

- Boyle, rodzice Phelana wciąż żyją. Oboje.

Cisza.

- Boyle? Jesteś tam?

Milczenie, a w końcu:

- Mów dalej.

- Facet jest jedynakiem. Nigdy nie miał żadnych siostr.

Boyle w zamyśleniu przycisnął kciuk do chromowanej plakietki z numerem telefonu, zostawiając na chłodnym metalu odciski palców.

- A jego rodzice... wpędzili się w cholerne długi, szukając dla niego lekarzy i adwokatów. To święci ludzie... Kapitanie? Jest pan tam?

Po co Phelan miałby kłamać? Czy to wszystko było po prostu jednym wielkim dowcipem? Boyle odtworzył w pamięci kolejne wydarzenia. Dziesiątki razy prosił o spotkanie. Facet odmawia aż do chwili ogłoszenia wyroku. W końcu się zgadza. Pytanie tylko: dlaczego?

*Dlaczego?...*

Nagle zeszywniał, uderzając ramieniem w osłonę telefoniczną.

Zrozpaczony zakrył usta lewą dłonią i zamknął oczy. Dotarło do niego, że oto podał Phelanowi imiona wszystkich członków swojej rodziny. Poinformował go, gdzie pracuje Judith i do której szkoły chodzą dzieciaki.

Do cholery, opowiedział mu nawet, gdzie są w tej chwili! Sami, nad jeziorem Taconic.

Niewidzącym wzrokiem spoglądał na swoją widoczną w chromowanej plakietce zniekształconą twarz, myśląc o potwornym błędzie, jaki popełnił.

Phelan musiał planować to od miesiący. Dlatego nie mówił nic o motywie, by zwabić Boyle'a, nakłonić go do mówienia, wyciągnąć z niego niezbędne informacje i przekazać wiadomość, że jego rodzina jest w niebezpieczeństwie.

Zaczekaj, uspokój się. Facet jest zamknięty. Nie może nikogo skrzywdzić. Nie wyjdzie...

O nie...

Boyle poczuł w trzewiach lodowaty uścisk.

Przyjaciel Phelana, motocyklista! Zakładając, że mieszka niedaleko, można się spodziewać, że będzie nad jeziorem Taconic w niespełną pół godziny.

- Hej, Boyle, co jest, do cholery?

Pytanie, dlaczego James Phelan zamordował Annę Devereaux, przestało mieć w tej chwili jakiegokolwiek znaczenie. Liczyła się tylko ostatnia broń mordercy - a ten wykorzystał ją przeciwko gliniarzowi, który ścigał go z uporem maniaka.

*Dlaczego, dlaczego, dlaczego...*

Boyle rzucił słuchawkę i pognął korytarzem w kierunku aresztu.

- Gdzie jest Phelan? - wrzasnął.

Zaskoczony strażnik zamrugnął, widząc jego oszalałą twarz.

- Jest tam, kapitanie. W areszcie. Może go pan zobaczyć.

Boyle zerknął przez podwójne szyby na siedzącego na ławce więźnia.

- Co robił, odkąd wyszedłem?

- Czytał. To wszystko. A, jeszcze wykonał kilka telefonów.

Boyle rzucił się w stronę biurka i złapał telefon strażnika.

-Hej!

Wybrał numer domu nad jeziorem. Chwilę później usłyszał sygnał. Trzeci, czwarty...

Wtedy Phelan spojrział na niego, uśmiechnął się i powiedział coś bezgłośnie. Kapitan nie był w stanie usłyszeć jego głosu przez kulooodporne szyby, nie miał jednak wątpliwości, że słowa wypowiedziane przez Phelana brzmiały: „Szach i mat”.

Boyle przycisnął twarz do słuchawki i niczym modlitwę zaczął powtarzać „Odbierz, proszę, odbierz”; jednak sygnał nie milknął.

# Lęk

Dokąd jedziemy? - spytała kobieta, gdy czarne audi ruszyło spod Florence Piazza della Stazione; tutaj jej pociąg przyjechał właśnie z Mediolanu.

Antonio płynnie zmienił bieg i odparł.

- To niespodzianka.

Marissa zapięła pas bezpieczeństwa, a samochód tymczasem wjechał w wąskie, kręte uliczki. Wkrótce nie wiedziała już, gdzie jest. Mieszkając przez trzydzieści cztery lata w Mediolanie, знаła tylko centrum Florencji. Jednak Antonio, rodowity florentyńczyk, z wrodzoną pewnością przecinał splątane kłębowisko uliczek i alejek.

Niespodzianka? - pomyślała. Cóż, w końcu to on chciał wybrać miejsce na ich długi weekend we dwoje, a ona na to przystała. W takim razie, powiedziała sobie, usiądź wygodnie i rozkoszuj się podróżą... Ostatni miesiąc w pracy był naprawdę stresujący, przyszedł więc czas, aby to inni podejmowali ważne decyzje.

Jako dwudziestolatka Marissa Carrefiglio - szczupła blondynka o charakterystycznych północnych rysach - była modelką; później zajęła się projektowaniem ubrań, które pokochała i któremu oddała się bez reszty. Jednak trzy lata temu jej brat porzucił rodzinny interes, tak więc Marissa była zmuszona przejąć obowiązki osoby odpowiedzialnej za dzieła sztuki i antyki. Nie była z tego powodu specjalnie szczęśliwa, jednak surowy ojciec nie należał do ludzi, którym można było odmówić.

Kolejna seria ostrych zakrętów. Marissa roześmiała się nerwowo, odebrała wzrok od uliczek i opowiedziała Antoniowi o podróży z Mediolanu, wieściach od mieszkającego w Ameryce brata i ostatnich zdobyczach rodzinnego sklepu z antykami w Brera.

Dla odmiany Antonio uraczył ją opowieścią o nowym samochodzie, który zamierzał kupić, kłopotach z jednym z lokatorów i gastronomicznym odkryciu, którego dokonał wczoraj: białych truflach. Znalazł je na

jednym ze straganów nieopodal domu i sprzątnął sprzed nosa jakiemuś wrednemu szefowi kuchni.

Kolejny ostry zakręt i szybka zmiana biegu. Jedynie świecące prosto w oczy promienie zachodzącego słońca zdradzały kierunek jazdy.

Znała Antonia od niedawna. Poznali się miesiąc temu we Florencji, w jednej z galerii nieopodal Via Maggio, do której firma Marissy od czasu do czasu wypożyczała dzieła sztuki i antyki. Tego dnia dostarczyła właśnie kilka eksponatów: osiemnastowieczne gobeliny ze słynnej manufaktury we Francji. Kiedy je zawieszono, Marissa stanęła przed średniowiecznym arrasem, tak wielkim, że zajmował całą ścianę. Utkany przez anonimowego artystę, przedstawiał cudowne anioły, które zstąpiwszy z nieba, walczyły z piekielnymi bestiami atakującymi niewinnych ludzi.

Urzeczona wyrazistością i dynamiką przedstawionej sceny, Marissa usłyszała szept:

- To oczywiście piękne, ale widzę tu jeden zasadniczy problem.

Kiedy zaskoczona ocknęła się z zamyślenia, zobaczyła stojącego tuż obok przystojnego mężczyznę. Chwilę później zmarszczyła brwi.

- Problem?

Oczy mężczyzny pozostały utkwione w gobelinie, gdy wyjaśnił:

- Tak. Najpiękniejszy spośród aniołów zstąpił z arrasu. - Odwrócił się i uśmiechnął. - I stanął tuż obok mnie.

Marissa zbyła śmiałą zaczepkę kpiącym uśmiechem. Jednak słowa zostały wypowiedziane z tak powściągliwym wdziękiem, że pierwotna myśl - aby odejść i zostawić mężczyznę samego - zmieniła się w ciekawość. Niebawem oboje pograżyli się w rozmowie na temat sztuki, by pół godziny później popijać prosecco, jeść ser i dyskutować.

Antonio był szczupły i dobrze zbudowany, miał gęste czarne włosy, brązowe oczy i czarujący uśmiech. Zajmował się komputerami i choć Marissa nie do końca rozumiała, co właściwie robi - wspominał coś o sieci - musiało mu się dobrze powodzić. Był zamożny i miał chyba mnóstwo wolnego czasu.

Jak się okazało, mieli ze sobą wiele wspólnego. Oboje studiowali w Piemontie, często podróżowali do Francji i uwielbiali modę (choć ona wolała projektować ubrania, a on kupować je i nosić). Rok młodszy od niej Antonio nigdy nie był żonaty (Marissa była rozwódką) i - podobnie jak ona - miał tylko jedno z rodziców; matka Marissy zmarła dziesięć lat temu, a jego ojciec pięć.

Marissie podobała się ta rozmowa. Tamtej nocy rozwodziła się nad swoim życiem - skarżyła się na dominującego ojca, wylewała żale, że mu-

siała porzucić świat mody dla nudnej pracy, opowiadała też o byłym mężu, któremu od czasu do czasu pożyczala pieniądze, by nigdy więcej ich nie zobaczyć. Kiedy dotarło do niej, jak humorzysta i marudna może się wydawać, zaczerwieniła się i przeprosiła. Antonio jednak nie miał nic przeciwko tym wynurzeniom i -jak przyznał - z przyjemnością słuchał tego, co mówiła. Cóż za miła odmiana; większość mężczyzn, z którymi się spotykała, była zainteresowana wyłącznie jej wyglądem i samymi sobą.

Szli wzdłuż Arno i spacerowali po Ponte Vecchio, na którym młody chłopak próbował sprzedać Antoniowi kwiaty dla „żony”. Zamiast tego dostała pamiątkę turystyczną: zatruty pierścień Lukrecji Borgii. Na jego widok Marissa roześmiała się i pocałowała Antonia w policzek.

W kolejny weekend przyjechał odwiedzić ją w Navigli w Mediolanie; od tego czasu dwukrotnie spotkała się z nim we Florencji. Teraz jednak mieli spędzić wspólny weekend poza miastem. Nie byli jeszcze kochankami, choć Marissa wiedziała, że już wkrótce się to zmieni.

W drodze do tajemniczego miejsca-niespodzianki Antonio znów wziął ostry zakręt, wjeżdżając w mroczną uliczkę. Okolice była obskurna i zaniedbana. Marissę niepokoił fakt, że mężczyzna wybrał właśnie ten skrót; jeszcze większy lęk poczuła, gdy nagle zatrzymał samochód tuż przy krawężniku.

O co tu chodzi? - zastanawiała się.

- Muszę załatwić pewną sprawę. Zaraz wrócę - rzucił Antonio, wysiadając z samochodu. Przez chwilę wahał się, po czym dodał: - Może lepiej zamknij drzwi. - Ruszył w stronę walącego się domu, rozejrzał się dookoła i wszedł bez pukania. Marissa zauważyła, że wziął ze sobą kluczyki, i przez chwilę poczuła się jak w pułapce. Uwielbiała prowadzić -jeździła srebrnym maserati - i nie najlepiej czuła się w roli pasażera. Być może dlatego postanowiła usłuchać rady Antonia i upewnić się, że wszystkie drzwi są zamknięte. Kiedy sprawdzała te od strony kierowcy, mimowolnie zerknęła w okno. Po drugiej stronie ulicy stało nieruchomo dwóch mniej więcej dziesięcioletnich chłopców, bliźniaków. Gapili się na nią bez uśmiechu. Chwilę później jeden szepnął coś do drugiego. Odpowiedzią było ponure skinienie głowy. Ich widok wytrącił Marissę z równowagi i kobieta poczuła pełznący po plecach strach.

Kiedy odwróciła wzrok od okna, jęknęła z przerażenia. Zza szyby spoglądała na nią wychudzona niczym czaszka twarz starej kobiety, która zaglądała do audi od strony pasażera. Kobieta musiała być chora i bliska śmierci.

- Mogę pani jakoś pomóc? - wyjąkała Marissa przez na wpół otwarte okno.

Obleczone w brudne, podarte ubrania, wychudzone ciało kobiety za-kołysało się w przód i w tył. Żółte oczy zerknęły przez ramię, jak gdyby starszka obawiała się, że ktoś ją zobaczy. Chwilę później znów spojrzała na samochód, który wydał jej się znajomy.

- Zna pani Antonia? - spytała Marissa odrobinę spokojniejszym głosem.

- Nazywam się Olga. Jestem królową Via Magdalena. Znam wszystkich. .. - Twarz kobiety spochmurniała. - Przyszłam, aby okazać ci współczucie.

- Dlaczego?

- Jak to dlaczego? Z powodu śmierci twojej siostry.

- Mojej siostry? Ale ja nie mam siostry.

- Nie jesteś siostrą Lucii?

- Nie znam żadnej Lucii.

Kobieta potrząsnęła głową.

- Ale jesteś do niej taka podobna.

Marissa nie mogła znieść widoku wilgotnych, poślizgniętych oczu.

- A więc niepotrzebnie zwracałam ci głowę - odparła Olga. - Wybacz, proszę.

Odwróciła się.

- Zaczekaj! - krzyknęła Marissa. - Kim była Lucia?

Kobieta zatrzymała się. Zbliżyła twarz do okna i szepnęła:

- Artystką. Robiła lalki. I nie mówię tu o zabawkach. To były prawdziwe dzieła sztuki. Z porcelany. Ta kobieta była czarodziejką. Umiała chwycić ludzkie dusze i zamykać je w ciałach lalek.

- I umarła?

- Tak, rok temu.

- Skąd ją znałaś?

Olga po raz kolejny zerknęła na budynek, w którym zniknął Antonio.

- Wybacz, jeśli cię zaniepokoiłam. Pomyliłam się.

Po tych słowach, utykając, odeszła od samochodu.

Chwilę później wrócił Antonio, niosąc w dłoniach małą, szarą, papierową torbę. Niedbale rzucił zawiniątko na tylne siedzenie. Nie wspomniał słowem o tym, dlaczego zatrzymali się w tym przerażającym miejscu, lecz jedynie przeprosił Marissę, że musiała czekać odrobinę dłużej, niż przypuszczał. Kiedy usiadł za kierownicą, Marissa spojrzała ponad jego ramieniem na drugą stronę ulicy. Bliźniacy zniknęli.

Antonio wrzucił bieg i w pośpiechu opuścili wąską uliczkę. Kiedy spytała go o kobietę, zamrugał zaskoczony. Milczał chwilę, po czym roześmiał się.

- Olga... jest szalona. Ma nie po kolei w głowie.
- Znasz Lucię? Antonio  
potrzęsnał głową.
- Powiedziała ci, że ją znałem?
- Nie. Ale... zdaje się, że wspomniała o niej, bo rozpoznała twój samochód.
- Cóż, tak jak powiedziałem. Jest szalona.

Antonio zamilkł i klucząc wąskimi uliczkami, wyjechał z miasta na A7. Chwilę później skręcił na południe, w kierunku SS222, słynnej autostrady Chiantigiana, biegnącej przez winnice pomiędzy Florencją a Sieną.

Marissa przytrzymała się uchwytu nad drzwiami samochodu i niebawem pomknęła autostradą, mijając okazałe Castello di Uzzano, Greve i wjeżdżając w ubogie tereny południowego Panzano. Okolice była tu piękna, choć Marissa musiała przyznać, że jest w niej coś upiornego. Wiedziała, że od późnych lat sześćdziesiątych aż do połowy lat osiemdziesiątych, niedaleko stąd, nieco na północ, morderca zwany Potworem z Florencji zamordował przeszło dwanaście osób. Nie tak dawno, na południe, dwóch innych szaleńców torturowało i zamordowało kilka kobiet. Wprawdzie obaj zostali złapani, skazani i osadzeni w więzieniu, jednak morderstwa były wyjątkowo makabryczne i dokonano ich nieopodal miejsca, które właśnie mijali. Teraz, gdy zaczęła o nich myśleć, nie mogła już przestać.

Miała zamiar poprosić Antonia, by włączył radio, kiedy niespodziewanie, jakieś trzy kilometry od Quercegrossa, samochód skręcił gwałtownie w jednopasmową drogę gruntową. Przejechali kolejny kilometr, kiedy zaniepokojona Marissa spytała w końcu:

- Gdzie jesteśmy, Antonio? Chciałabym, żebyś mi powiedział.

Mężczyzna spojrział na jej zatroskaną twarz i uśmiechnął się.

- Przepraszam. - Maskę tajemniczości i powagi zniknęła z jego twarzy, zastąpiona tak dobrze znanym Marissie wyrazem. - Nie chciałem, abyś poczuła się zaniepokojona. Byłem zbyt dramatyczny. Zabieram cię do mojego rodzinnego domu na wsi. Kiedyś był tam stary młyn. Ojciec i ja odnowiliśmy go. To wyjątkowe miejsce i chciałem podzielić się nim z tobą.

Marissa rozluźniła się i położyła dłoń na jego udzie.

- To ja przepraszam. Nie chciałam cię tak wypytywać... Ostatnie dni w pracy były dość nerwowe... a na dodatek starałam się nakłonić ojca, żeby dał mi kilka dni wolnego - Boże, istny koszmar.

- Zatem teraz możesz się odprężyć. - Zamknął w ręce jej drobną dłoń.



Marissa opuściła szybę i odetchnęła pachnącym powietrzem.

- Jak tu pięknie.

- Tak. Nic tylko cisza i spokój. Żadnych sąsiadów w promieniu kilku kilometrów.

Jechali dalej przez kolejne pięć minut, aż w końcu samochód zatrzymał się. Antonio wziął z tylnego siedzenia szarą torbę, którą przyniósł z walącego się budynku, i wyjął z bagażnika walizki i torbę z zakupami. Kolejne pięćdziesiąt metrów pokonali piechotą, przedzierając się przez zarosnięty gaj oliwny. W końcu Antonio przystanął i wskazał głową przezrzuconą nad rwącym potokiem kładkę.

- To tu.

W dogasającym świetle słonecznych promieni Marissa ujrzała stojący po drugiej stronie dom. Była to okazała budowla, bardziej w duchu gotyckim niż romantycznym - wiekowy, dwupoziomowy młyn z maleńkimi, okratowanymi okienkami.

Przeszli przez kładkę i Antonio postawił walizki przed drzwiami. Kiedy grzebał w kieszeniach, szukając klucza, Marissa odwróciła się i spojrzała w dół. Czarny, rwący potok zdawał się nadzwyczaj głęboki. Od upadku z wysokości dwudziestu stóp dzieliła ją tylko niska balustrada.

Słowa, które Antonio szepnął jej do ucha, sprawiły, że drgnęła z przerażenia.

- Wiem, o czym myślisz. Mężczyzna stał teraz tuż za nią.

- O czym? - spytała, czując, jak serce dudni jej w piersi. W odpowiedzi Antonio oplótł ją ramieniem.

- Myślisz o tej pokusie.

- Pokusie?

- Żeby rzucić się do wody. To samo odczuwają ludzie stojący na tarasach widokowych na krawędzi klifu - dziwna chęć, by postąpić jeden krok dalej. Bez powodu, bez żadnego wytłumaczenia. A mimo to ta pokusa zawsze im towarzyszy. To tak jak... - Zdjął rękę z jej ramienia. - Gdybym cię teraz puścił, nie powstrzymałoby cię przed skokiem. Wiesz, o czym mówię?

Marissa zadrżała - głównie dlatego, że dobrze wiedziała, co miał na myśli. Mimo to nie odezwała się ani słowem. Aby zmienić temat rozmowy, wskazała dłonią odległy brzeg i otoczony kwiatami biały drewniany krzyż.

- Co to?

Antonio zmrużył oczy.

- Znowu? Zostawiają bukiety różni intruzi. Dość często. To irytujące.

- Ale dlaczego je zostawiają?

Odparł po dłuższej chwili namysłu.

- Zginął tu chłopiec. Zanim zostaliśmy właścicielami młyna... Mieszkał gdzieś przy drodze. Nikt dokładnie nie wie, co się wydarzyło, ale wszystko wskazuje na to, że bawił się piłką, która wpadła do wody. Chłopiec spadł, kiedy starał się ją wyciągnąć. Woda jest tu rwąca, sama zresztą widzisz. Wessało go do śluzy, gdzie utknął na dobre.

Marissa cierpiała na klaustrofobię i na samą myśl o tym ogarnął ją paniczny strach.

- Umierał przez pół godziny. Jego krewni przychodzą tu, by zostawić kwiaty. Ale mówią, że tego nie robią. Twierdzą, że krzyże i kwiaty pojawiają się znikąd. To oczywiście, że kłamią.

Marissa mimowolnie utkwiała wzrok w wąskim wlocie śluzy, gdzie zginął chłopiec. Cóż za okropny sposób, by zakończyć życie. Tym razem śmiech Antonia wyrwał ją z zamyślenia.

- Dobrze, dość już tych przerażających historii. Czas coś zjeść!

Marissa z radością weszła do domu i odetchnęła z ulgą, widząc, że wewnątrz jest przyjemne, a nawet przytulne. Starannie pomalowane ściany ozdobiono cennymi obrazami i gobelinami. Antonio zapalił świece i otworzył butelkę prosecco. Wzniesli toast za swój pierwszy wspólny weekend i zaczęli przygotowywać późny obiad. Marissa przyrządziła naprędce półmisek antipasti z marynowanych warzyw i szynki, jednakże to Antonio był tego wieczoru królem kuchni. Na pierwsze danie przygotował makaron - wstążki z masłem i białymi truflami; na drugie pstrąga z ziołami.

Marissa była pod wrażeniem, patrząc, jak jego zręczne dłonie kroją, mieszają, ubijają i łączą poszczególne składniki. Cieszyła się tym widokiem, choć wkrótce zaczęła żałować, że spędzane w sklepie długie godziny pozbawiają ją przyjemności gotowania, zwłaszcza dla przyjaciół.

Nakryła do stołu, podczas gdy Antonio zszedł do piwniczki na wino, skąd wrócił z chianti rocznik 1990, ze słynnej miejscowej winnicy. Będąc miłośniczką wina, Marissa uniosła brew z podziwem i zauważyła, że to doskonały rocznik, trudny do zdobycia; nawet etykiety były rzadkością wśród kolekcjonerów.

- Musisz mieć fantastyczną piwniczkę. Mogę ją zobaczyć?

Kiedy jednak zbliżyła się do drzwi, Antonio zatrzasnął je i mrugnął porozumiewawczo.

- Straszny tam bałagan. Głupio mi. Nie miałem nawet okazji posprzątać. Może później.

- Oczywiście - zgodziła się.

Posiłek spożyli bez pośpiechu, delektując się jedzeniem, ciepłym światłem świec i rozmową. Antonio opowiedział jej o szalonych sąsiadach, wściekłym koczurze, któremu zdawało się, że jest panem na włościach, i problemach ze znalezieniem odpowiednich elementów do odrestaurowania młyna.

Po obiedzie wynieśli naczynia do kuchni i Antonio zaproponował kieliszek grappy w salonie. Marissa weszła do małego, przytulnego pokoju i usiadła na kanapie. Chwilę później usłyszała skrzypienie drzwi do piwniczki i kroki Antonia, który schodził po schodach. Powrócił pięć minut później z dwoma pełnymi kieliszkami. Siedzieli razem, sącząc trunki. Jego smak wydawał się Marissie bardziej gorzki od innych gatunków grappy, jednak biorąc pod uwagę świetny gust Antonia, była pewna, że to jeden z najdroższych alkoholi.

Było jej ciepło, dobrze, a lekki rausz sprawił, że poczuła się odprężona.

Niebawem oparła głowę na silnym ramieniu Antonia, uniosła podbródek i pocałowała go. On odwzajemnił pocałunek, namiętnie wpijając się w jej usta. Chwilę później szepnął:

- Mam dla ciebie prezent. - Wskazał głową drzwi do łazienki.

- Prezent?

- Idź i zobacz.

Marissa dźwignęła się z kanapy i nie oglądając się za siebie, weszła do łazienki. Prezent wisiał na wieszaku. Był to staroświecki jedwabny szlafroczek koloru złota, w maleńkie kwiatuszki, z koronkowym wykończeniem.

- Jest piękny! - zawołała.

Patrząc na delikatny materiał, zaczęła się zastanawiać. Powinnam go włożyć? Jeśli to zrobię, będzie to dla niego oczywisty sygnał... Czy tak naprawdę chcę go wysłać?

Tak, zdecydowała. Chcę.

Zdjęła ubranie, narzuciła cienki szlafroczek i wróciła do salonu. Widząc ją, Antonio uśmiechnął się, ujął dłoń Marissy w swoje ręce i spojrzał jej w oczy.

- Jesteś taka piękna! Wyglądasz jak... anioł.

To samo powiedział, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Jednak w jego słowach było coś niepokojącego; jak gdyby w pierwszym odruchu chciał porównać ją do kogoś innego, ale w porę ugryzł się w język.

Marissa roześmiała się w duchu. Zachowujesz się tak jak wobec swego ojca, zgaśniła się w duchu, analizujesz każde słowo, doszukujesz się ukrytych znaczeń i zawołowanej krytyki. Wyluzuj.

Uspokojona przytuliła się do Antonia, który obdarzył ją namiętnym pocałunkiem. Chwilę później wyjął z włosów Marissy spinkę i pozwolił,

by opadły na ramiona miękkimi falami. Ujął w dłoń jej twarz i w milczeniu spojrzął w oczy. Kolejny pocałunek. Marissa poczuła, że od jego dotyku i grappy kręci jej się w głowie. Kiedy szepnął: „Chodźmy do sypialni”, skinęła tylko głową.

- Trzeba iść tędy. - Wskazał głową kuchenne drzwi. - Obok łóżka powinny być jeszcze jakieś świece. Może je zapalisz. Ja pójde zamknąć drzwi.

Wszedłszy do kuchni, Marissa wzięła zapalki i zauważyła, że drzwi do piwniczki stoją otworem. Zerknęła w dół na strome schody i zajrzała do pomieszczenia. Wbrew temu, co mówił Antonio, wcale nie dostrzegła w nim bałaganu. Prawdę powiedziawszy, piwniczka była nieskazitelnie czysta i panował w niej nienaganny porządek. Słyszając, że Antonio zamyka drzwi lub okna w innej części domu, zeszła do połowy schodów. Chwilę później przystanęła i marszcząc brwi, spojrzała na coś, co leżało pod stołem. Na niemal zupełnie sflaczałą piłkę.

Przypomniała sobie, że taką właśnie piłką bawił się chłopiec, który utonął. Czy należała do niego?

Marissa zeszła kilka kroków niżej i podniosła piłkę. Był to wyjątkowy przedmiot, upamiętniający jedno z największych zeszłorocznych zwycięstw Mediolanu. Widniała na nim data. Piłka nie mogła więc należeć do chłopca - Antonio mówił, że dziecko utonęło, kiedy w młynie mieszkał jeszcze poprzedni właściciel. Ale przecież to on był właścicielem przynajmniej przez ostatnie pięć lat; wtedy też zmarł jego ojciec, który pomagał odrestaurować młyn. Cóż za dziwny zbieg okoliczności.

Ale zaraz... Z tego, co mówił Antonio, wynikało, że nikt nie wiedział, co tak naprawdę stało się z chłopcem. Jeśli to była prawda, skąd wiedział, że dziecko umierało przez pół godziny?

Poczuła narastający lęk. Gdzieś nad głową usłyszała skrzypienie desek, które jęcząc, ugiwały się pod stopami Antonia. Odłożyła piłkę, odwróciła się do wyjścia i zamarła w bezruchu. Na kamiennej ścianie, na prawo od schodów, wisiało zdjęcie. Był na nim Antonio i kobieta z długimi do ramion włosami, która wyglądała jak Marissa. Oboje nosili obrączki - choć Antonio mówił, że nigdy nie był żonaty.

Kobieta była ubrana w ten sam szlafrok, który miała na sobie Marissa.

Nie było wątpliwości, że patrzy na Lucię.

Która zmarła w ubiegłym roku.

Nagle dotarła do niej szokująca prawda: Antonio zamordował swoją żonę. Chłopiec, który bawił się piłką, prawdopodobnie słyszał krzyki, może nawet był świadkiem morderstwa. Antonio zaczął go gonić i wepchnął dzieciaka do potoku, wiedząc, że ciało chłopca zo-

stanie wciągnięte do śluzu. Oszalały mąż na pewno patrzył, jak dziecko tonie.

Z dudniącym sercem Marissa podeszła do stojącego pod zdjęciem kredensu. Znalazła w nim szarą papierową torbę, którą Antonio odebrał we Florencji. Paczuska leżała obok otwartej butelki grappy. Marissa ostrożnie odchyliła papier. W środku znalazła pustą do połowy buteleczkę barbituranów. Zerknęła na blat kredensu i pokrywającą go cieniutką warstwę proszku. Miał taki sam kolor jak tabletki, żółtawy niczym oczy starej kobiety, która podeszła do samochodu.

Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś rozkruszył tabletki na blacie.

I wsypał je do grappy, pomyślała przerażona Marissa.

Poczuła nadchodzącą falę paniki, która niczym wezbrana rzeka rozlewała się w żołądku piekącym bólem. Nigdy wcześniej nie była tak przerażona. Antonio chciał ją odurzyć i... i co później?

Nie mogła tracić czasu na domysły. Musiała uciekać! Już! Natychmiast!

Kierując się do wyjścia, zamarła w bezruchu.

Na szczycie schodów stał Antonio, ściskając w rękę nóż do krojenia mięsa.

- Mówiłem, żebyś nie wchodziła do piwniczki, Lucio.

- Co? - szepnęła Marissa, czując, jak robi jej się słabo ze strachu.

- Po co wróciłaś? - szepnął i wybuchnął przerażającym śmiechem.

- Ach, Lucio, Lucio... wróciłaś z zaświatów. Dlaczego? Zasługiwałaś na śmierć. Rozkochałaś mnie w sobie, zabrałaś moje serce i duszę tylko po to, by odejść i zostawić mnie samego.

- Antonio - jęknęła Marissa łamiącym się głosem. - Nie jestem...

- Myślałaś, że jestem jedną z twoich lalek, prawda? Czymś, co mogłaś stworzyć, sprzedać i porzucić?

Zamknął drzwi i powoli zaczął schodzić po schodach.

- Nie, Antonio. Posłuchaj...

- Jak mogłaś wrócić?

- Nie jestem Lucią! - wrzasnęła.

Wróciła pamięcią do ich pierwszego spotkania. Nie o aniele wówczas myślał, ale o żonie, którą zamordował.

- Lucio! - jęknął mężczyzna.

Wyciągnął rękę i zgasił światło. Piwniczka pograżyła się w ciemnościach.

- Boże, nie! Proszę! - Cofnęła się, czując, jak emanujący z kamiennej posadzki chłód kąsa jej bosc stopy.

Marissa słyszała ciężkie kroki, kiedy szedł po schodach - rozeschnięte deski skrzypiały rozpaczliwie. Kiedy stanął na kamiennej podłodze, straciła go z oczu.

Nie... Pod jej powiekami wezbrały łzy.

- Wróciłaś, żeby uczynić mnie kolejną ze swoich lalek? - zapytał.

Marissa cofnęła się. Boże, gdzie on się podział?

Gdzie?

Czy on...?

Gorący oddech musnął jej policzek niczym skradziony pocałunek. Antonio był nie dalej niż stopę od niej.

- Lucio!

Marissa wrzasnęła i upadła na kolana. Nie mogła pobiec w kierunku schodów - była pewna, że tam właśnie teraz przycisnął się Antonio - pamiętała jednak, że w przeciwległej ścianie znajdują się maleńkie drzwiczki. Może prowadzą na podwórko za domem? Macając w ciemnościach, znalazła wejście, szarpnięciem otworzyła drzwi, wpadła do jakiegoś pomieszczenia i zatrzasnęła drzwiczki za sobą.

Łkając, zapaliła zapalniczkę.

Nie!

Była w maleńkiej celi, wysokiej na cztery i długiej na sześć stóp. Nie było w niej żadnych okien ani innych drzwi.

Walcząc ze łzami, zobaczyła leżący na podłodze przedmiot. Podczoł-gała się bliżej i drżącymi rękami dotknęła porcelanowej lalki, której martwe czarne oczy wpatrywały się w sufit.

Na ścianie zauważyła brązowe smugi. Krew, pomyślała przerażona, ślad zostawiony tu przez jej poprzedniczkę, Lucię, która ostatnie dni swojego życia spędziła w tym ponurym więzieniu, gołymi rękami rozdrapując kamienie.

Zapalniczka zgasła, pograżając wszystko w atramentowej czerni.

Przerażona Marissa skuliła się na podłodze, szlochając spazmatycznie. Jak mogłam być taka głupia, pomyślała.

Umrę tu, umrę tu, umrę...

Wówczas usłyszała dobiegający zza drzwi głos Antonia. Był normalny, taki, jakim go znała.

- W porządku, Marisso! - zawołał. - Nie martw się. Na lewo od drzwi, za obłuzowanym kamieniem, jest kontakt. Zapal światło. Przeczytaj notatkę schowaną we wnętrzu lalki.

Co się tu, do cholery, dzieje? - zastanawiała się Marissa. Otarła łzy wierzchem dłoni, znalazła kontakt i przekręciła go. Mrużąc oczy w jasnym świetle, przykucnęła i wyciągnęła z lalki starannie złożoną kartkę. Zaczęła czytać.

*Marisso...*

*Ściana po lewej to atrapa. Jest zrobiona z plastiku. Pchnij ją, a zobaczysz drzwi i okno. Drzwi są otwarte. Kiedy będziesz gotowa wyjść, po prostu zrób to. Najpierw jednak wyjrzyj przez okno.*

Marissa odsunęła plastik. Istotnie za prowizoryczną ścianą było okno. Wyglądając na zewnątrz, ujrzała kładkę. Zamontowane we młynie reflektory oświetlały dokładnie całą posiadłość. Zobaczyła Antonia, który niosąc walizkę, przechodził przez pomost. Po chwili mężczyzna przystanął - musiał zauważyć światło w oknie i wiedział, że jest obserwowany. Pomachał do niej. Wkrótce zniknął na parkingu i Marissa usłyszała cichnący stopniowo dźwięk silnika.

Co się tu, do cholery, dzieje?

Pchnęła drzwi i wyszła na zewnątrz.

Przy wejściu znalazła walizkę i torebkę. Z obrzydzeniem zrzuciła z siebie szlafrok, drżącymi dłońmi wciągnęła ubranie, wyjęła z torebki komórkę i ścisnęła ją tak, jak przerażone dziecko ścisną pluszowego misia. Dopiero wówczas znów spojrzała na notatkę.

*Jesteś bezpieczna. Zawsze byłaś bezpieczna.*

*W chwili, kiedy to czytasz, jestem w drodze powrotnej do Florencji, daleko od młyna Pragnę tylko, abyś wiedziała, że nie jestem żadnym psychopatycznym mordercą. Nie ma żadnej Lucii. Stara kobieta, która Ci o niej powiedziała, dostała za to 100 euro. Nie było też małego chłopca, który utonął; zanim odebrałem Cię z dworca, sam umieściłem przy potoku kwiaty i krzyż. Piłka, którą znalazłaś w piwnicy, to zwykły rekwizyt. Krew na ścianie-farba. Narkotyki to cukierki (choć grappa była prawdziwa i -jeśli mogę podkreślić - naprawdę przednia). Fotografia moja i mojej „żony” została zrobiona na komputerze.*

*Teraz prawda: Mam na imię Antonio, nigdy nie byłem żonaty, zbilem majątek na komputerach, a to jest mój dom letniskowy.*

*Na pewno się zastanawiasz, o co w tym wszystkim chodzi.*

*Muszę więc wytłumaczyć.*

*Jako dziecko często bywałem samotny i znudzony.*

*Dlatego właśnie zanurzyłem się w książkowym świecie najwybitniejszych mistrzów grozy.*

*Przyznaję, że były to przerażające historie, jednak nie wiadomo dlaczego wprawiały mnie w radosny nastrój. Patrząc na widownię oglądającą horrory, myślałem: Są przerażeni, ale wciąż żyją.*

*Doznania te sprawiły, że zostałem artystą. Jak każdy prawdziwy muzyk czy malarz, pragnę nie tylko tworzyć piękno, ale otwierać ludzkie umysły*

*i zmieniać ich poglądy. Różnica polega na tym, że zamiast nut bądź farby ja posługuję się lękiem. Kiedy widzę ludzi takich jak Ty, którzy - według Dantego - „pogubili się na ścieżkach życia”, czuję, że powinienem pomóc im je odnaleźć. Tej nocy we Florencji, kiedy się poznaliśmy, wybrałem właśnie Ciebie, ponieważ widziałem, że Twoje oczy są martwe. Wkrótce też dowiedziałem się dlaczego - jesteś nieszczęśliwa z powodu swojej pracy, gnębiącego Cię ojca i wiecznie oczekującego pomocy byłego męża. Wiedziałem jednak, że mogę Ci pomóc.*

*To oczywiście, że w tej chwili mnie nienawidzisz; jesteś wściekła. Kto by nie był?*

*Ale, Marisso, zadaj sobie to pytanie, zapytaj sama siebie szczerze: Czy stan absolutnego przerażenia nie sprawił, że poczułam się cudownie żywa?*

*Niżej znajdziesz numery telefonów.*

*Pierwszy to numer do serwisu samochodowego; ktoś stamtąd odwiezie cię na dworzec kolejowy we Florencji.*

*Drugi to numer miejscowego komisariatu.*

*Trzeci to numer mojej komórki.*

*To Ty zdecydujesz, do kogo chcesz zadzwonić. Mam jednak szczerą nadzieję, że wybierzesz ostatni numer. Jeśli będzie inaczej- teraz lub w przyszłości - oczywiście to zrozumiem. W końcu na tym polega sztuka. Czasem artysta posyła swe dzieło w świat i nigdy więcej go nie, ogląda.*

*Twój Antonio*

Wściekła, bliska łez i roztrzęsiona Marissa podeszła do stojącej nad brzegiem wody kamiennej ławki. Po chwili usiadła i odetchnęła głęboko, ściskając w dłoniach notatkę i telefon. Podniosła wzrok, spoglądając na gwiazdy. Nagle zamruła, wyraźnie czymś przerażona. Ogromny nietoperz, niczym mroczny kształt na tle atramentowego nieba, kreślił nad jej głową wyszukane, zawile znaki. Marissa obserwowała go, dopóki stworzenie nie zniknęło między drzewami.

Słyszac naglacy pomruk czarnej wody, spojrzala na potok. Podniosla kartke do swiatla, odczytala jeden z zapisanych numerow i wybrala kolejne cyfry.

Nagle zamarła, po raz kolejny wsłuchiwała się w szum wody i odetchnęła powietrzem przesiąkniętym zapachem gliny, siana i lawendy. Chwilę później wyczyściła wyświetlacz telefonu. I wybrała kolejny numer.



# Podwójne oskarżenie

Nie ma nikogo lepszego ode mnie. -

Aha, aha. Jaki mam wybór?

Paul Lescroix odchylił się w starym dębowym fotelu i spojrzął na podłokietnik, skubiąc płat złuszczonego werniksu w kształcie stanu Illinois.

- Modlisz się? - zabrzmiał w odpowiedzi jego baryton.

Brzęknęły kajdany; Jerry Pilsett podniósł dłonie i musnął palcami brzeg ucha. Lescroix znał młodego człowieka zaledwie od czterech godzin, w czasie których Pilsett skubał ucho niezliczoną ilość razy.

- Nie - odparł wychudzony młodzieniec z krzywymi zębami. - Nie modlę się.

- Cóż, moim zdaniem, powinienes zacząć. I podziękować Bogu, że tu jestem, Jerry. Jesteś na końcu drogi.

- Jest jeszcze pan Goodwin.

Hm. Goodwin, dwudziestodziewięcioletni obrońca z urzędu. Przypadkowy współspiskowiec, który układał się z miejscowymi sędziami, zapewniając swym klientom dwu- lub trzykrotnie dłuższą odsiadkę niż ta, na którą faktycznie zasługiwali. Ćwok pośród ćwoków.

- Jeśli chcesz, możesz zatrzymać Goodwina. - Lescroix postawił stopy w kasztanowobrazowych włoskich butach na betonowej podłodze i odsunął krzesło. - Jakby mnie to obchodziło.

- Niech pan zaczeka. Chodzi o to, że on jest moim prawnikiem, odkąd zostałem aresztowany. - Chwilę później dodał znacząco: - Od pięciu miesięcy.

- Czytałem dokumentację, Jerry - odparł oschle Lescroix. - Wiem, od jak dawna ze sobą sypiacie.

Pilsett zamrugał. Kiedy stało się oczywiste, że nie będzie w stanie zrozumieć żartu Lescroix, spytał:

- Mówi pan, że jest pan lepszy? Tak? - Zamilkł i rozbieganym wzro-

kiem zerknął na swojego rozmówcę, jego idealnie zaczesane siwe włosy, szczupłą figurę i mądrą, choć nalaną twarz.

- Ty chyba naprawdę nie wiesz, kim jestem, prawda? - Lescroix, który normalnie byłby wściekły z powodu takiego uchybienia, nie wydawał się zaskoczony. Koniec końców, znajdował się przecież tu, w Hamilton, gdzie kmiotków i prostaków, którego cała populacja była mniejsza od dzielnicy, w której mieszkał - Upper East Side na Manhattanie.

- Wiem tylko, że dziś rano przychodzi do mnie Harry, strażnik, i każe mi, żebym wyłączył Regis „n” Kathie Lee i ruszył tyłek do sali konferencyjnej. Że tam czeka na mnie jakiś prawnik. A teraz pan mi mówi, że chce pan przejąć moją sprawę i że powinienem zwolnić pana Goodwina. Pana Goodwina, który od samego początku był dla mnie miły i uprzejmy.

- Widzisz, Jerry, z tego, co wiem, pan Goodwin jest miły dla wszystkich. Jest miły dla sędziów, oskarżycieli, a nawet dla ich świadków. Dlatego właśnie jest złym prawnikiem, a ty tkwisz po uszy w gównie.

Pilsett poczuł się przyparty do muru, czyli dokładnie tak, jak zazwyczaj czuli się ludzie, którzy spędzali z Lescroix więcej niż pięć minut. Postanowił więc zaatakować. (Prawdopodobnie, zastanawiał się Lescroix, z powodu tego, co wydarzyło się tamtej czerwcowej nocy).

- Kto właściwie mówi, że jest pan dobry? Proszę odpowiedzieć.

Powinienem przedstawić mu swój życiorys? - pomyślał Lescroix. Wyklepać relację o tym, jaką rolę odegrałem w pierwszym procesie braci Menendez? Opowiedzieć o nowatorskiej linii obrony i ubiegłorocznym uniewinnieniu żony z Sacramento, oskarżonej o umyślne podpalenie i zamordowanie męża? O rozkosznej etykietce „niewinny”, przyznanej Fredowi Johnsonowi, drobnemu złodziejaskowi z Cabrini-Green w Chicago, któremu zrobiono pranie mózgu - tak, panie i panowie, pranie mózgu - a następnie użyto go, by pomógł komórce bojowników - nie żadnemu gangowi, ale rewolucjonistom - zamordować trzech klientów w sklepie, gdzie przyjmowano czeki? O słynnej notce biograficznej z magazynu „Time”? O artykule z „Hard Copy”?

Jednak Lescroix powtórzył tylko:

- Nie ma nikogo lepszego ode mnie, Jerry. -I przypieczętował te słowa piorunującym spojrzeniem.

- Proces zaczyna się jutro. Co pan wie o sprawie? Możemy ją, no wie pan, odroczyć? - Ostatnie trzy sylaby zabrzmiały gładko w ustach Pilset-ta; zbyt gładko. Jak gdyby przez długi czas uczył się znaczenia słowa, a następnie ćwiczył jego poprawną wymowę.

- Nie ma takiej potrzeby. Czytałem akta. Ślęczałem nad nimi przez ostatnie trzy dni.

- Trzy dni. - Chłopak zamrugał i znów nerwowo szarpnął płatek ucha. To było ich pierwsze spotkanie. Po co Lescroix miałby spędzać ostatnie trzy dni, przeglądając akta?

Lescroix jednak nie zamierzał się tłumaczyć. Nigdy niczego nie tłumaczył, zwłaszcza jeśli chodziło o klientów, chyba że był do tego absolutnie zmuszony.

- Ale czy nie mówił pan, że jest pan z Nowego Jorku? Rozprawa musi odbyć się tam?

- Goodwin pozwoli mi przejąć sprawę. Nie ma problemu.

Ponieważ jest miłym facetem.

I tchórzliwym dupkiem.

- Ale on nie bierze ode mnie pieniędzy. Pan też poprowadzi sprawę za darmo?

On naprawdę nic o mnie nie wie. Zadziwiająco.

- Nie, Jerry. Ja nigdy nie pracuję za darmo. Kiedy pracujesz za darmo, ludzie cię nie szanują.

- Ale pan Goodwin...

- Ludzie nie szanują Goodwina.

- Ja go szanuję.

- Twój szacunek się nie liczy, Jerry. Twój wuj Goodwina opłaca.

- Wujek James? Lescroix

pokiwał głową.

- To dobry człowiek. Mam nadzieję, że nie zastawi farmy.

Wcale nie jest dobrym człowiekiem, Jerry, pomyślał Lescroix. Jest głupcem.

Ponieważ sądzi, że istnieje jeszcze dla ciebie nadzieja. A ja mam gdzieś, czy farma będzie miała obciążoną hipotekę, czy też nie. - A więc jak, Jerry?

- No, chyba się zgodzę. Ale jest coś, co powinien pan wiedzieć. - Po chylił się nad stołem, aż zabręczały łańcuchy. Jego młoda, zarośnięta twarz wysunęła się do przodu, a na wąskich ustach pojawił się krzywy uśmiech.

Zanim zdążył się odezwać, Lescroix podniósł palec wskazujący, zakończony wąskim, wypielęgowanym paznokciem.

- Wiem, teraz zdradzisz mi prawdziwy sekret, prawda? Powiesz, że nie zamordowałaś Patricii Cabot. I że jesteś absolutnie niewinny. Że zostałaś wrobiona, a to wszystko jest straszną pomyłką. No i, oczywiście, że przy padkowo znalazłeś się na miejscu zbrodni.

-Ja...

- Cóż, Jerry. To nie jest pomyłka.

Pilsett spojrział na swojego rozmówcę nerwowym wzrokiem; właśnie takim, jaki Lescroix lubił najbardziej. Był potęgą. Był fenomenem. Człowiekiem, którego nie pokonał żaden oskarżyciel i którego żaden klient nigdy nie potraktował z góry.

- Dwa miesiące temu - drugiego czerwca - zostałeś wynajęty przez Charlesa Arnolda Cabota do koszenia trawy i wywiezienia przegniłego drewna opałowego z jego posesji w najelegantszej dzielnicy Hamilton, zwanej Bentana. Wynajmował cię już wcześniej i naprawdę go nie lubiłeś - w końcu to typ faceta, który spędza wolny czas w ekskluzywnych klubach za miastem. Oczywiście, wykonałeś pracę i wziąłeś pięćdziesiąt dolców, które ci obiecał. Problem w tym, że nie dał napiwku. Tamtego wieczoru poszedłeś się upić, a im więcej piłeś, tym bardziej byłeś wściekły, ponieważ uważałeś, że Cabot nigdy nie płacił ci wystarczająco dużo -nawet jeśli wcale się z nim nie targowałeś i byłeś na każde jego wezwanie.

- Chwileczkę...

- Cśś. Następnego dnia, kiedy Cabot i jego żona znajdowali się poza domem, ty byłeś wciąż pijany i wściekły. Włamałeś się do nich i kiedy przecinałeś kable łączące ich wartą dwa tysiące wieżę z głośnikami, Patricia Cabot niespodziewanie wróciła do domu. Cholernie cię wystraszyła, więc uderzyłeś ją młotkiem, którego użyłeś wcześniej, aby wyłamać drzwi prowadzące z garażu do kuchni. Ogłuszyłeś ją. Ale jej nie zabiłeś. Związałeś kobietę, myśląc, że może później ją zgwałcisz. Ale, ale... pozwól, że skończę. Pomyślałeś, że może później ją zgwałcisz. Nie patrz tak na mnie, Jerry. Obaj wiemy, że była trzydziestoczteroletnią piękną i nieprzytomną kobietą. Spójrz tylko na siebie. Masz w ogóle jakąś dziewczynę? Nie sądzę.

Wtedy jednak się wystraszyłeś, bo kobieta odzyskała przytomność i zaczęła wrzeszczeć. Dokończyłeś więc za pomocą młotka swe dzieło i pobiegłeś w kierunku drzwi. Tam zobaczył cię mąż; niosłeś pod pachą zakrwawiony młotek, sprzęt stereo i kolekcję płyt. Facet zadzwonił na policję i tak oto znalazłeś się tutaj. Chyba się nie pomyliłem?

- Nie wziąłem wszystkich płyt. Zostawiłem Michaela Boltona.

- Nawet nie próbuj sobie ze mnie żartować.

Pilsett po raz kolejny skubnął płatek ucha.

- Właściwie tak to wyglądało.

- W porządku, Jerry. Słuchaj mnie uważnie. To mała miścina i ludzie nie należą tu do najbystrzejszych. Jestem najlepszym adwokatem w okręgu, ale trzeba zakończyć tę sprawę. Zabiłeś ją, wszyscy to wiedzą, a do wody świadczą przeciwko tobie. Wprawdzie nie ma tu kary śmierci, ale możesz mi wierzyć, że lokalny wymiar sprawiedliwości jest cholernie

szczodry, jeśli chodzi o dożywocie bez prawa do zwolnienia warunkowego. I **tak** właśnie wyglądać będzie twoja przyszłość.

- Taa. I wie pan, co mi to mówi? Że nie może pan przegrać tej sprawy. - Pilsett wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Może ci wieśniacy wcale nie są tak głupi, jak przypuszczał.

Tymczasem Pilsett kontynuował:

- Przyjeżdża pan tutaj aż z Nowego Jorku. Odwała pan swój kawałek i wyjeżdża. Jeśli wyciągnie mnie pan z tego, zapłacą panu i zaproszą pana do Geraldo albo do Oprah jak bohatera, który wygrał beznadziejną sprawę. Jeśli pan przegra, dostanie pan kasę, ale będą mieli pana w dupie, bo dostaną odsiadkę, na jaką zasługują.

Słyszac to, Lescroix musiał się uśmiechnąć.

- Jerry, Jerry, Jeny. To właśnie uwielbiam w tej pracy. Żadnych tajemnic.

- Jakich tajemnic?

- Nieważne.

- Mam pytanie - rzekł Pilsett nachmurzony.

- Proszę bardzo...

- Powiedzmy, że mnie pan wyciągnie. Czy w takiej sytuacji mogą aresztować mnie jeszcze raz?

- Nie. To by oznaczało, że sądzą cię dwa razy za to samo przestępstwo. Właśnie to jest najlepsze w tym kraju. Kiedy ława przysięgłych raz orzeknie o twojej niewinności, jesteś wolny i prokurator może ci nagwizdać... No już, zatrudnisz mnie i odeślesz Goodwina z powrotem do biblioteki, gdzie jego miejsce?

Pilsett musnął palcami ucho. Jęknęły łańcuchy.

- Chyba tak.

- W takim razie bierzmy się do roboty.

Życiorys Paula Lescroix był pieczołowicie dopieszczony z upływem lat. Paul ukończył studia wieczorowe na wydziale prawa, choć nie o tym marzył, fantazjując o swojej przyszłej karierze. Dlatego po ich ukończeniu natychmiast zapisał się na kurs redaktorski w Cambridge, dostępny dla każdego prawnika, który gotów był zapłacić pięćset dolarów. Dzięki temu stwierdzenie, że „ukończył Harvard”, było jak najbardziej prawdziwe.

Za minimalne wynagrodzenie dostał pracę; przepisywał uzasadnienia decyzji sądu, dotyczące wykroczeń drogowych. Mógł więc powiedzieć, że odbył praktykę jako urzędnik, i wiedział, jak pisać opinie dla sądów karnych.

Otworzył praktykę nad Great Eastern Cantonese - obskurna restauracja, oferująca dania na wynos, w czarnym od sadzy budynku, nieopo-

dal Maiden Lane w centrum Manhattanu. Odtąd stał się „partnerem firmy prawniczej z Wall Street, specjalizującej się w przestępstwach urzędniczych”.

Jednak te drobne skazy na życiorysie Paula Lescroix (no dobrze, naprawdę nazywał się Paul Vito Lacosta), te niewielkie uchybienia nie umniejszały jego największego daru - niezwyklej zdolności do pograżania w sądzie przeciwników. Był to talent, którego nie podrobi nawet najlepszy prawnik; Lescroix potrafił wygrzebać każdy szczegół, dotyczący sprawy, stron, sędziego, prokuratora, przycisnąć ich do muru, przyszipić i urobić jak plastelinę. Istniały, oczywiście, fakty, ale te miały zaskakującą zdolność mutacji; a w dłoniach Lescroix stawały się niczym więcej jak tylko bronią, tarczą, wirusami i kolejnymi maskami.

W noc przed procesem Pilsetta spędził godzinę, wypyując biednego Ala Goodwina o spostrzeżenia dotyczące sprawy, poświęcił dwie godziny na spotkanie z reporterami i dziesięć godzin na analizę dwóch dokumentów: raportu policyjnego i obszernej relacji, przygotowanej przez prywatnego detektywa, którego wynajął trzy dni wcześniej, kiedy wuj Jerry'ego, James Pilsett, przyszedł do niego z pieniędzmi.

Lescroix natychmiast zauważył, że nawet jeśli poszlaki świadczą na niekorzyść Pilsetta, największym zagrożeniem dla sprawy jest Charles Cabot. Naturalnie mieli szczęście, że był on jedynym świadkiem, jednak fatalnie się składało, że również i mężem ofiary. Podważanie wiarygodności świadka jest sprawą ryzykowną, zwłaszcza kiedy sam świadek ucierpiał z powodu przestępstwa.

Jednak wielmożny pan Paul Victor Lescroix dostawał czterysta dolarów za godzinę, co - ponieważ miał w perspektywie pięciocyfrową liczbę - zachęcało go do podjęcia ryzyka.

Uśmiechając się pod nosem, zadzwonił do obsługi hotelowej, prosząc o duży dzbanek kawy, i podczas gdy morderca Jerry Pilsett, miły Al Goodwin i prości mieszkańcy Hamilton śnili swe banalne sny, on szykował się do walki.

Jak zwykle przyjechał na salę rozpraw nieco wcześniej i zasiadł skromnie za ławą obrony, obserwując gromadzących się świadków, gapiów i (tak, tak, dzięki ci, Panie) dziennikarzy. Ostrożnie rozejrzał się w poszukiwaniu kamer i odnalazł wzrokiem prokuratora (absolwenta uniwersytetu stanowego z piętnastoletnim doświadczeniem i czterdziestoma procentami wygranych spraw, znużonego pozbawioną perspektyw karierą, którą powinien był rzucić trzynaście lat temu).

Dopiero wówczas obejrzał się na człowieka siedzącego z tyłu sali. Charlesa Cabota. Mężczyzna był w towarzystwie sześćdziesięcioletniej ko-

biety - matki albo teściowej - i rozglądał się wokół wilgotnymi oczami. Ten widok lekko zaniepokoił Lescroix. Adwokat miał nadzieję zobaczyć nadętego mieszkańca przedmieść, przedstawiciela wyższych warstw klasy średniej; kogoś, kto nie wzbudzi w ławie przysięgłych zbyt wiele współczucia. Ale ten mężczyzna - mimo iż zbliżał się do czterdziestki - wyglądał jak chłopiec. Miał potargane jasne włosy, nosił zmiętą sportową marynarkę, równie wygniecione spodnie i krawat w paski. Miły agent ubezpieczeniowy. Wciąż pocieszał kobietę, sam roniąc od czasu do czasu kilka łez. Był typem wdowca, który bez trudu mógł rozkochać w sobie ławę przysięgłych.

Cóż, Lescroix miał już większe problemy. Prowadził sprawy, w czasie których musiał atakować pogrążone w żałobie matki, owdowiałe żony, a nawet oszołomione dzieci. Należało tylko wy badać grunt i - niczym muzyk wyczuwający reakcję publiczności - ostrożnie dobierać repertuar. Mógł też...

Nagle poczuł na sobie wzrok Cabota. Oczy mężczyzny były niczym zimne łożyska kulkowe. Na ich widok Lescroix zadrżał - co nigdy wcześniej nie zdarzało mu się w sądzie - jednak za wszelką cenę starał się wytrzymać spojrzenie tamtego. Trwało to krótką chwilę, jednak ucieszył go ten milczący pojedynek. Coś w spojrzeniu Cabota uczyniło sprawę bardziej osobistą i pozbawiło Lescroix wszelkich oporów. Wymienili spojrzenia tylko raz, jednak napięcie między nimi było niemal namacalne. Wówczas drzwi do sali rozpraw stanęły otworem, wszyscy wstali, a protokolant oznajmił donośnym głosem:

- Proszę o uwagę, pierwszy okręgowy sąd karny w Hamilton rozpoczyna rozprawę. Rozprawie przewodniczy sędzia Jennings P. Martell.

Chwilę później z aresztu wyprowadzono Pilsetta w idiotycznym brązowym garniturze. Oskarżony uśmiechał się głupawo, a kiedy adwokat kazał mu przestać, kilkakrotnie musnął palcami płatek ucha.

Gdy Lescroix spojrzał na Cabota, ten metalicznym wzrokiem przewiercał plecy człowieka, który zabił jego żonę młotkiem firmy Sears Craft-sman za cztery dolary dziewięćdziesiąt dziewięć centów.

Pierwszy zabrał głos prokurator, który przedstawił zgromadzonym wyniki ekspertyz sądowych. Lescroix przez pół godziny starał się podważyć opinie techników laboratoryjnych i gliniarzy, choć musiał przyznać, że -jak na tak mały posterunek - robota na miejscu zbrodni została wykonana wyjątkowo rzetelnie. Niewielki punkt dla oskarżenia, przyznał w duchu.

Wówczas powołano na świadka Charlesa Cabota.

Na dźwięk swego nazwiska wdowiec poprawił krawat, przytulił siedzącą obok kobietę, po czym zajął miejsce dla świadka.

Odpowiadając na proste pytania prokuratora, beznamiętnym głosem mówił o tym, co zobaczył trzeciego czerwca. Operował też pełnymi smutku monosylabami. Popłynęło kilka łez. Lescroix nie uważał, aby zeznania mężczyzny były istotne, choć łamiący się głos z pewnością przykuł uwagę przysięgłych. To jednak adwokat mógł łatwo przewidzieć; ludzie uwielbiają tragedie w równym stopniu, jak kochają romanse, i prawie tak samo jak seks.

- Wysoki sędzie, nie mam więcej pytań - rzekł w końcu prokurator, zerkając lekceważąco na Lescroix.

Adwokat wstał powoli, rozpiął marynarkę i przeczesał dłonią włosy, delikatnie mierząc. Wolnym krokiem podszedł do świadka i przemówił, zwrócony do ławy przysięgłych:

- Tak bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało, panie Cabot.

Świadek pokiwał głową, jego wzrok jednak wciąż pozostał czujny i nieufny.

Lescroix ciągnął:

- Śmierć młodej kobiety to straszna rzecz. Po prostu okropna. Nie-wybaczalna.

- Tak, cóż. Dziękuję panu.

Przysięgli spoglądali teraz na zatroskaną twarz adwokata. Ten jednak przeniósł wzrok na świadka. Cabot najwyraźniej nie wiedział, co jeszcze powiedzieć. Spodziewał się ataku. Był wyraźnie zaniepokojony. Jego oczy nie były już twarde niczym stal. Były uważne. Dobrze. Ludzie nie cierpią nieufnej prawdomówności dużo bardziej niż pewnych siebie kłamców.

Lescroix odwrócił się do słuchających go dwunastu mężczyzn i kobiet.

Uśmiechnął się, nikt jednak nie odpowiedział tym samym.

W porządku. To była dopiero uwertura.

Podszedł do stolika, podniósł teczkę i wrócił do ławy przysięgłych.

- Panie Cabot, czym się pan zajmuje?

Pytanie najwyraźniej zaskoczyło świadka. Mężczyzna rozejrzał się po sali.

- Cóż, jestem właścicielem firmy. Produkujemy obudowy do komputerów i związanych z nimi urządzeń.

- Dużo pan na tym zarabia?

- Sprzeciw.

- Oddalony. Mam nadzieję, że pytanie ma związek ze sprawą, panie Lescroix?

- Oczywiście, wysoki sędzie. Teraz, panie Cabot, proszę odpowiedzieć.



- W ubiegłym roku osiągnęliśmy sprzedaż rzędu ośmiu milionów.
- Ile pan zarobił?
- Przyniosłem do domu około dwustu tysięcy.
- A pańska żona? Czy ona także pracowała w firmie?
- W niepełnym wymiarze godzin. Była członkiem zarządu. Zajmowała się też konsultingiem.
- Rozumiem. Ile zarobiła?
- Nie wiem dokładnie.
- A w przybliżeniu?
- Myślę, że około stu tysięcy.
- Naprawdę? To ciekawe.

Lescroix zaczął niespiesznie przerzucać kartki, podczas gdy przysięgli zastanawiali się, coż tak ciekawego było w tej informacji. Po chwili adwokat podniósł wzrok.

- Jak pierwotnie była finansowana pana firma?
- Sprzeciw, wysoki sędzie - przerwał siwowłosa prokurator.

Jego młody asystent gorliwie pokiwał głową, jak gdyby każdy jej ruch był cytatem z książki praw, wspierającym przełożonego.

- Czy pytania mają związek ze sprawą, panie Lescroix? Czy tylko ra czy nas pan kolejnym krasomówczym przedstawieniem? - spytał sędzia.

Cudownie. Lescroix nieznacznie podniósł wzrok i ukradkiem zerknął na ławę przysięgłych.

- Widzicie, z czym muszę się borykać? - spytał szeptem.

Jego wysiłek został nagrodzony jednym konspiracyjnym uśmiechem. A chwilę później - Bogu niech będą dzięki - kolejnym.

- Zmierzam do bardzo istotnych faktów, wysoki sędzie. Nawet jeśli na sali są ludzie, którym może to być nie na rękę.

Ta uwaga wywołała wśród zgromadzonych lekkie poruszenie.

- Cóż, zobaczymy - mruknął sędzia. - Oddalam sprzeciw. Proszę odpowiedzieć, panie Cabot.

- Jeśli dobrze pamiętam, sprawy finansowania firmy były dość skomplikowane.

- W takim razie wyjaśnijmy to. Ojciec pańskiej żony jest zamożnym biznesmenem, prawda?

- Nie wiem, co ma pan na myśli, mówiąc „zamożny”. - Cabot nerwowo przełknął ślinę.

- Wydaje mi się, że suma dwunastu milionów mieści się w tej definicji. Prawda?

- Myślę, że tak.

Nieliczni członkowie ławy przysięgłych zaczęli chichotać.

- Czy pański teść kupił dla pana udziały w firmie?
- Spłaciłem wszystko co do grosza...
- Panie Cabot - ciągnął cierpliwie Lescroix - czy pański teść kupił dla pana udziały w firmie, czy też nie?

Cisza, a chwilę później posępne: -Tak.

- Ile udziałów w firmie należało do pańskiej żony?
- Z tego, co pamiętam, były w związku z tym jakieś skomplikowane umowy...

- Kolejne zawilości? - Lescroix westchnął. - Myślę, że powinniśmy je rozwikłać. Proszę po prostu powiedzieć, ile procent udziałów firmy należało do pańskiej żony.

Chwila wahania.

- Czterdzieści dziewięć.
- A do pana?
- Czterdzieści dziewięć.
- Do kogo należy pozostałe dwa procent?
- Do jej ojca.
- Po śmierci pańskiej żony kto przejmuje jej część udziałów?

Moment ciszy.

- Gdybyśmy mieli dzieci...
- Macie państwo dzieci?
- Nie.
- Rozumiem. W takim razie posłuchajmy, co faktycznie się stanie z udziałami pańskiej żony.

- Przypuszczam, że przejdą na mnie. Nie myślałem o tym.

Rozegraj to dobrze. Jak dyrygent. Trzymaj batutę lekką ręką. Nie dodawaj: „A więc to pan najwięcej zyskałby na śmierci żony”. Albo: „Czyli teraz to pan będzie odpowiadał za firmę”. To tępaki, ale nawet oni zaczynają rozumieć, do czego zmierzasz.

Cabot upił łyk wody, rozlał kilka kropel i starł je z marynarki.

- Panie Cabot, wróćmy pamięcią do czerwca, dobrze? Drugiego, czyli dzień przedtem, nim zmarła pańska żona, wynajął pan Jerry'ego Pilsetta, aby wykonał dla pana pewną pracę, tak?

Nie „nim została zamordowana”. Zasada brzmi: „Zawsze trzeba być neutralnym”. -Tak.

- Wcześniej wynajmował go pan kilka razy, czy tak?

-Tak.

- Kiedy dokładnie zaczął pan korzystać z jego usług?

- Nie wiem, może pół roku temu.
  - Od jak dawna wiedział pan, że Jerry mieszkał w Hamilton?  
Myślę, że od pięciu, sześciu lat.
  - To znaczy, że mimo iż znał go pan od sześciu lat, nigdy wcześniej go pan nie zatrudniał?
  - No nie, ale...
  - Mimo iż miał pan ku temu mnóstwo okazji?
  - Nie. Chciałem powiedzieć...
  - Panie Cabot, proszę przypomnieć, jakim dniem tygodnia był drugi czerwca?
- Zerkając na sędziego, Cabot przyznał:
- Nie pamiętam.
  - To był piątek.
  - Skoro pan tak mówi - odparł ironicznie świadek.
  - Nie ja tak mówię, panie Cabot. Tak twierdzi mój kalendarz firmy Hallmark. - Mówiąc to, podniósł do góry kieszonkowy kalendarz, ozdobiony zdjęciem puszystych szczeniaków.
- Na ławie przysięgłych dało się słyszeć stłumione śmiechy.
- O której godzinie Jerry miał wykonać pracę?
  - Nie wiem.
  - Rano?
  - Niezbyt wcześnie.
  - Niezbyt wcześnie - powtórzył powoli Lescroix. - Czy nie było tak, że miał ją wykonać późnym popołudniem lub wieczorem?
  - Całkiem możliwe.
- Marsowa mina, kilka niespokojnych kroków.
- Czy to nie dziwne, że wynajął pan kogoś, żeby przystrzygł trawnik w piątek w nocy?
  - To nie była noc. Był zmierzch i...
  - Proszę odpowiedzieć na pytanie.
  - Nie przyszło mi do głowy, że może być w tym coś dziwnego.
  - Rozumiem. Czy mógłby pan dokładnie opowiedzieć, do czego właściwie wynajął pan Jerry'ego Pilsetta?
- Cabot zmierzył adwokata opryskliwym spojrzeniem.
- Miał przystrzyć trawnik i wywieźć gnijące drewno opałowe.
  - Gnijące?
  - Zżarte przez termyty.
  - Czy całe to drewno było, jak to pan określił, „zżarte przez termyty“?
- Cabot zerknął na prokuratora, na jego strokaną, mlecznobiałą twarz, i na młodego asystenta, który z pewnością byłby równie zatroskany, gdy-

by tylko wiedział, o co właściwie chodzi. Jerry Pilsett szarpnął płatek ucha i wbił posępny wzrok w podłogę.

- No dalej - ponaglił sędzia - proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Nie wiem. Widziałem dziury po termitach. Mam dom o drewnianej konstrukcji i nie chciałem ryzykować, że szkodniki dostaną się do środka.

- A więc widział pan ślady termitów, ale drewno, które kazał pan wywieźć, nie było całkowicie zbutwiałe?

- Nie wiem. Możliwe, że tak. - Cabot roześmiał się nerwowo.

- Czyli było tam trochę - możliwe nawet, że całkiem sporo - dobrego drewna.

- Może. Co to za różnica...?

- Jednak z jakiegoś powodu chciał pan, aby Jerry Pilsett usunął wszystko. I zależało panu, aby zrobił to właśnie w piątkowy wieczór.

- Po co te wszystkie pytania?

- Aby dowiedzieć się prawdy - warknął Lescroix. - Po to właśnie tu jesteśmy, prawda? A teraz proszę nam powiedzieć, czy drewno było czymś przykryte?

Cabot lekko zmarszczył brwi. Cudownie podejrzany wyraz jego twarzy zdradzał, że niepokoi go coś więcej niż tylko pytanie, dlaczego przesłuchujący go człowiek interesuje się takimi szczegółami.

- Tak. Starą plandeką.

- Czy plandeka była przybita kołkami do ziemi?

-Tak.

- I sam pan przykrył nią drewno?

-Tak.

- Kiedy? - zażądał wyjaśnień Lescroix.

- Nie pamiętam.

- Nie? Czy to możliwe, aby przykrył pan drewno zaledwie kilka dni przed wynajęciem Jerry'ego?

- Nie... Cóż, może i tak.

- Czy Jerry mówił coś o plandece?

- Nie przypominam sobie.

Lescroix starał się panować nad głosem.

- Czy Jerry nie mówił panu, że kołki zostały wbite zbyt mocno i będzie musiał je poluzować, żeby dostać się do drewna?

Cabot z niepokojem spojrzał na sędziego. Przełknął ślinę i wyglądało na to, że ma ochotę na łyk wody, nie sięgnął jednak po szklanekę. Może zbyt mocno drżały mu dłonie.

- Czy muszę odpowiadać na te pytania?

- Tak - potwierdził sędzia stanowczym głosem.
- Możliwe.
- Czy powiedział mu pan, że w garażu są narzędzia, których w razie potrzeby może użyć?

Chwila ciszy. Cabot szukał odpowiedzi w szarawym błękitie sufitu.

- Niewykluczone.

- Ach tak. - Twarz Lescroix pojaśniała. Miał już po swojej stronie część ławy przysięgłych, która płynęła w rytm jego muzyki, zastanawiając się, dokąd zaprowadzi ich owa przedziwna melodia. - Czy mógłby pan teraz opowiedzieć ławie przysięgłych, ile narzędzi trzyma pan w garażu?

- Na litość boską, nie mam pojęcia.

Błuznierstwo w obecności sądu. Znakomity nietakt.

- Pozwoli pan, że będę bardziej konkretny - dodał pomocnie Lescroix. - Ile młotków ma pan w garażu?

- Młotków? - Cabot zerknął na narzędzie zbrodni - leżący na stoliku oskarżyciela młotek do gwoździ, pokryty zakrzepłą krwią jego żony. Członkowie ławy przysięgłych również patrzyli w tamtą stronę.

- Tylko jeden. Tamten.

- A zatem - głos Lescroix brzmiał teraz bardziej donośnie - kiedy powiedział pan Jerry'emu, aby wziął z garażu narzędzie do podważania kołków, które wbił pan w ziemię, wiedział pan, że mógł wybrać tylko jedno z nich. Tamten młotek?

- Nie... to znaczy. Nie wiem, czego używał...

- Nie wiedział pan, że do podważania kołków używał tamtego młotka?

- Cóż, wiedziałem. Ale... - Stalowe oczy pociemniały. - Dlaczego mnie pan...?

- Dlaczego pana co?

Cabot odchylił się na krześle.

Lescroix pochylił się w stronę świadka.

- Dlaczego pana oskarżam? Czy to właśnie chciał pan powiedzieć? Po co miałbym oskarżać pana o cokolwiek?

- Nic. Przepraszam.

- Dobrze, panie Lescroix - mruknął sędzia. - Proszę mówić dalej.

- Oczywiście, wysoki sędzie. Ponieważ niejako zachęcił pan Jerry'ego do użycia narzędzia zbrodni, są na nim odciski jego palców. Czy nie o to właśnie chodzi?

Cabot gapił się na pełną obrzydzenia twarz prokuratora.

- Nie wiem.

- Nie wie pan?

Sonata dla świadka i ławy przysięgłych.

- Może to prawda. Ale...

- Przejdźmy dalej. Tamtego dnia, drugiego czerwca, kiedy już Jerry Pilsett skosił trawę i załadował drewno do furgonetki, zaprosił go pan do domu, by mu zapłacić, tak?

- Tak. Chyba tak.

- A konkretnie do salonu. Tak?

- Nie pamiętam.

Lescroix znów przerzucił kolejnych kilka kartek, jak gdyby zawierały szczegółowe dane na temat miejsca zbrodni i zeznań świadków. Przez chwilę gapił się na jedną ze stron, równie pustą jak pozostałe. Następnie zamknął teczkę.

- Nie pamięta pan?

Cabot również wlepił wzrok w teczkę.

- Cóż, chyba rzeczywiście go zaprosiłem.

- Dał mu pan wówczas szklanekę wody.

- Możliwe.

- Tak czy nie, panie Cabot?

-Tak!

- Pokazał mu pan też swój najnowszy nabytek, nowiuteńki sprzęt stereo. Ten sam, który Jerry rzekomo ukradł.

- Rozmawialiśmy o muzyce i pomyślałem, że może go to zainteresuje.

- Rozumiem. - Lescroix zmarszczył brwi. - Proszę wybaczyć, panie Cabot, ale czegoś tu nie rozumiem. To dziwne. Oto mężczyzna, który przez kilka godzin pracował w upale. Jest brudny, spocony, uwalany ziemią i trawą... a pan zaprasza go do domu. Nie do przedpokoju, nie do kuchni, ale do salonu.

- Chciałem być uprzejmy.

- To miło z pana strony. Tyle że prawdziwym powodem pańskiej... uprzejmości był fakt, że chciał pan, aby Jerry Pilsett zostawił na pańskim dywanie odciski butów, odciski palców na sprzęcie stereo, szklance wody, klamkach i Bóg jeden wie gdzie jeszcze.

- O czym pan mówi? - spytał Cabot. Był znacznie bardziej zaskoczony, niż Lescroix mógł się tego spodziewać. Jednak kryły się w nim jakaś podłość i przebiegłość. Przypominał Nixona.

- Proszę odpowiedzieć.

- Myślę, że zostawił ślady stóp i jakieś odciski palców. Ale to nie...

- Dziękuję. Panie Cabot, mógłby pan teraz opowiedzieć ławie przysięgłych, czy poprosił pan, aby Jerry Pilsett przyszedł również nazajutrz?

-Co?

- Czy poprosił pan, aby Jerry Pilsett przyszedł do pańskiego domu na-  
zajutrz? Chodzi o sobotę. Trzeciego czerwca.

- Nie. Nie prosiłem go.

Lescroix teatralnie zmarszczył brwi. Chwilę później otworzył teczkę,  
zerkając na kolejną pustą stronę i udając, że pograża się w lekturze.

- Nie powiedział pan do Jerry'ego Pilsetta, cytując: „Odwaliłeś kawał  
światnej roboty, Jerry. Wpadnij jutro około piątej, to znajdę dla ciebie  
jeszcze jakąś pracę”?

- Nie powiedziałem tego. Nie.

- Twierdzi pan, że to nie pańskie słowa - fuknął Lescroix.

Cabot zawahał się, zerknął na prokuratora i ledwie słyszalnym głosem  
odparł: -Tak.

- Panie Cabot, wysoki sąd przypomina panu, że składanie pod przy-  
sięgą fałszywych zeznań jest krzywoprzysięstwem i poważnym przestęp-  
stwem. A teraz proszę, aby odpowiedział pan na pytanie. Czy poprosił pan  
Jerry'ego Pilsetta, aby przyszedł do pana domu trzeciego czerwca około  
godziny piątej po południu?

- Nie. Nie prosiłem go. Naprawdę. Przysięgam. - Cabot miał głos pi-  
skliwy ze zdenerwowania.

To właśnie uwielbiał Lescroix - chwilę, kiedy nawet najświętszy świa-  
dek zaczynał brzmieć jak najgorszy kłamca, a określenia w stylu „na-  
prawdę” i „przysięgam” zdawały się przydawać słodczy jego łgarstwom.

Ty biedny draniu.

Lescroix odwrócił się w kierunku ławy przysięgłych i ostentacyjnie  
wypuścił powietrze z płuc. Kolejne przychyłne uśmiechy. Niektórzy przy-  
sięgli kiwali znacząco głowami, wyrażając swą irytację z powodu bez-  
czelnie kłamiącego świadka. Zdawało się, że kolejna odsłona przedsta-  
wienia wypadła zaskakująco dobrze.

- W porządku - mruknął sceptycznie prawnik. - Wróćmy do wyda-  
rzeń z trzeciego czerwca.

Cabot złożył dłonie na kolanach. Był to gest obronny i niewątpliwie  
reakcja na stres. Zdarzało się jednak, że ława przysięgłych odczytywała ten  
gest jako coś innego: oznakę winy.

- Mówił pan, że wrócił do domu około piątej po południu. Tak? -Tak.

- Gdzie zatem pan był?

- W biurze.

- W sobotę?

Cabot pokusił się o uśmiech.

- Kiedy jest się właścicielem firmy, człowiek często pracuje w soboty.  
W każdym razie ja tak robię.

- Wrócił pan o piątej i zobaczył Jerry'ego Pilsetta stojącego w drzwiach.

- Tak. W dłoni trzymał młotek.

- Zakrwawiony młotek.

-Tak.

- Młotek był zakrwawiony, prawda?

-Tak.

Kolejna konsultacja z niesławnymi aktami; tym razem jednak kartka rzeczywiście była zapisana.

- Hm. Policja twierdzi, że znalazła pański samochód na parkingu, pięćdziesiąt stóp od drzwi, w których rzekomo zastał pan Jerry'ego. Czy tak właśnie pan twierdził?

- Właśnie tam znajdował się samochód. To prawda.

Lescroix naciskał dalej:

- Dlaczego samochód został zaparkowany tak daleko od domu?

- Ja... cóż, kiedy podjeżdżałem do domu, spanikowałem i przejechałem przez krawężnik. Martwiłem się o żonę.

- Ale przecież nie mógł jej pan zobaczyć, prawda?

Chwila ciszy.

- No... nie. Ale widziałem młotek, krew.

- Pięćdziesiąt stóp to spora odległość. Naprawdę widział pan młotek w dłoni Jerry'ego?

Mów o nim „Jerry”, nie nazywaj go „oskarżonym” czy „Pilsettem”. Uczyni go człowiekiem. Zrób z niego kolegę ławy przysięgłych. Zamień go w ofiarę.

- Oczywiście, że widziałem.

- A krew?

- Również. Ja...

Lescroix nie zamierzał czekać.

- Jest pan pewien. - W jego głosie pobrzmiwał sarkazm. Kiwając głową, zbadał kolejną kartkę. - Nie ma pan najlepszego wzroku, prawda?

-Spojrzał znad teczki. - Właściwie nie powinien prowadzić pan samochodu bez okularów lub soczewek kontaktowych.

- Ja... - Cabot był wyraźnie oszołomiony ilością informacji zgromadzonych przez Lescroix. Mimo to uśmiechnął się. - To prawda. I jadąc do domu, miałem okulary. Tak więc byłem w stanie zobaczyć w jego ręku zakrwawiony młotek.

- Cóż, proszę pana, jeśli faktycznie tak było, dlaczego funkcyjona-



riusz przyniósł je panu do domu? Kiedy prosił, aby przyjrzał się pan nie-  
którym przedmiotom. Znalazł je w pańskim samochodzie. Informacja  
pochodziła z raportu policyjnego.

- Ja nie... Zaraz, musiałem... Prawdopodobnie zdjąłem je, kiedy  
dzwoniłem z samochodu na policję. To okulary do dali. Widocznie zapo-  
mniałem włożyć je z powrotem.

- Rozumiem. A zatem twierdzi pan, że widząc w drzwiach mężczyznę z  
zakrwawionym młotkiem, zdjął pan okulary do jazdy samochodem i  
zadzwoił pan pod dziewięćset jedenaście.

- Tak, tak właśnie było.

Cabot nie zwrócił uwagi na subtelne „twierdzi pan”, na które zawsze  
zwraca uwagę ława przysięgłych.

- Oznacza to, że zadzwonił pan na dziewięćset jedenaście z samo-  
chodu?

- Oczywiście, zadzwoniłem od razu.

- Ale z wnętrza samochodu? Twierdzi pan, że widział w drzwiach  
mężczyznę z zakrwawionym młotkiem, a mimo to zaparkował pan pięć-  
dziesiąt stóp od domu, został pan w samochodzie i zadzwonił po pomoc?  
Dlaczego nie wybiegł pan z samochodu, żeby zobaczyć, co się dzieje? Żeby  
pomóc żonie?

- Wybiegłem.

- Ale dopiero po tym, jak zadzwonił pan pod dziewięćset jedenaście.

- Nie wiem. Ja... Może zadzwoniłem później.

- Ale wówczas pańskich okularów nie byłoby w samochodzie.

Cabot był teraz tak zdezorientowany jak szczupak, który właśnie po-  
łknął haczyk.

- Nie wiem. Spanikowałem. Nie pamiętam, co się stało.

Jego wyznanie było, oczywiście, zgodne z prawdą.

A zatem nie przedstawiało dla Lescroix żadnej wartości.

Adwokat odszedł dziesięć stóp od miejsca dla świadka, zatrzymał się i  
spojrzał na Cabota. Zdawało się, że członkowie ławy przysięgłych pochylili  
się do przodu, czekając na następny ruch.

- O której opuścił pan biuro w sobotę, trzeciego czerwca?

- Nie wiem.

- Cóż, twierdzi pan, że przyjechał do domu około piątej. Dojazd do  
pracy zajmuje około dziesięciu minut. Zatem musiał pan wyjść mniej  
więcej o czwartej trzydzięci. Czy pojechał pan prosto do domu?

- Ja... wydaje mi się, że miałem do załatwienia kilka spraw.

- Jakich spraw? Gdzie?

- Nie pamiętam. Jak mam to pamiętać?

- Cóż, wydaje mi się, że powinien pan pamiętać przynajmniej jedno czy dwa miejsca, które odwiedził pan w czasie dwugodzinnej podróży.

- Dwugodzinnej? - Cabot zmarszczył brew.

- Opuścił pan biuro o trzeciej.

Świadek spojrzął na swego rozmówcę.

- Według taśmy wideo z kamery zainstalowanej w holu pańskiej firmy.

- Dobrze, możliwe, że wyszedłem o trzeciej. A więc zaledwie chwilę wcześniej. To dla mnie bardzo ciężkie. Niełatwo pamiętać...

Zamilkł, podczas gdy Lescroix otworzył raport prywatnego detektywa i wyjął fotokopie wyciągów z konta i anulowanych czeków.

- Kim - spytał znaczącym tonem - jest Mary Henstroth? Czy

Cabota umknęły przed jego wzrokiem.

- Jak się pan dowiedział...?

Odrobiłem cholerną pracę domową, pomyślał Lescroix.

- Kim ona jest?

- Przyjaciółką. Ona...

- Przyjaciółką. Rozumiem. Jak długo ją pan zna?

- Nie wiem. Od kilku lat.

- Gdzie mieszka?

- W Gilroy.

- Gilroy jest oddalone od Hamilton o jakieś piętnaście minut, prawda?

- To zależy.

- Zależy? Od tego, jak bardzo człowiekowi zależy, żeby się tam dostać?

- Sprzeciw.

- Podtrzymany. Proszę, panie Lescroix.

- Przepraszam, wysoki sędzie. Panie Cabot, czy trzeciego czerwca bieżącego roku wystawił pan na nazwisko Henstroth czek na sumę pięciuset dolarów?

Cabot zamknął oczy, zacisnął szczęki i skinął głową.

- Proszę odpowiedzieć, tak aby usłyszał to protokolant. -Tak.

- Czy dostarczył pan ten czek osobiście?

- Nie pamiętam - odparł słabym głosem świadek.

- Po wyjściu z pracy nie pojechał pan do Gilroy i w czasie tej... wizyty nie dał pani Henstroth czeku na pięćset dolarów?

- Możliwe, że tak właśnie było.

- Czy w czasie kilku ostatnich lat wystawiał pan na jej nazwisko inne czeki?

- Tak - szepnął Cabot.
  - Proszę mówić głośniej.
  - Tak.
  - Czy te czeki również dostarczał pan osobiście?
  - Niektóre. Większość.
  - A więc rozsądne byłoby przypuszczać, że tamten czek również dostarczył pan osobiście.
  - Powiedziałem, że nie jest to wykluczone - mruknął świadek.
  - Te czeki, które wystawiał pan na nazwisko swojej „przyjaciółki” przez ostatnie kilka lat, pochodziły z konta firmowego, nie ze wspólnego konta, które dzielił pan z żoną. Mam rację?
  - Tak.
  - Można więc przypuszczać, że pana żona nie otrzymywała wyciągów z konta, które dowodziłyby, że wystawiał pan podobne czeki. Prawda?
  - Tak. - Mężczyzna nieznacznie opuścił ramiona, Lescroix jednak był pewien, że przysięgli to zauważą.
- Z pewnością dostrzegł też, że prokurator zdeglustowany cisnął na stół ołówek, po czym szepnął coś do skołowanego asystenta, który lekko pokiwał głową.
- Na co przeznaczone były te pieniądze?
  - Ja... nie pamiętam.
- Cudownie. Lepiej uzyskać wymijającą odpowiedź, niż drażyć temat, sprawiając, że Cabot wymyśli kolejne nieprawdopodobne kłamstwo.
- Rozumiem. Czy powiedział pan żonie, że tamtego popołudnia zamierza się pan spotkać z panią Henstroth?
  - Nie... nie powiedziałem.
  - Tak też myślałem - mruknął Lescroix, spoglądając na zasłuchane twarze przysięgłych; ach, jakże pokochają kolejną część jego symfonii.
  - Wysoki sędzie - warknął prokurator.
  - Cofam pytanie - przerwał mu Lescroix. Mówiąc to, podniósł do góry zmięty kawałek papieru. Na kartce spisano ręcznie kilka paragrafów, które wyglądały jak list, choć w rzeczywistości były brudnopisem przemówienia, które w ubiegłym roku Lescroix wygłosił w Stowarzyszeniu Amerykańskich Adwokatów. Teraz przebiegł oczyma pierwszy paragraf, w skupieniu kiwając głową. Zdawało się, że nawet prokurator pochylał się do przodu, czekając na dalsze rewelacje. Chwilę później Lescroix odłożył kartkę i spojrzał na świadka. - Czy pański związek z panią Henstroth ma podłoże uczuciowe? - spytał otwarcie.
- Cabot udał oburzenie i parsknął.
- Nie podoba mi się...

- Ależ proszę, panie Cabot. Ma pan czelność oskarżać niewinnego człowieka o morderstwo, a nie podoba się panu fakt, że pytam pana o pańską kochankę?

- Sprzeciw!

- Cofam pytanie, wysoki sędzie.

Lescroix potrząsnął głową i spojrzał na przysięgłych. „Z jakim potworem mamy do czynienia?” - pytał jego wzrok. Otworzył notatnik na ostatniej stronie i krążąc po sali, zagłębił się w lekturze. Chwilę później pokiwał głową i cisnął notatki na swój stół obrońcy.

- Czy to prawda, że przez ostatnie kilka lat miał pan romans z Mary Henstroth?

-Nie!

- Czy to prawda, że obawiał się pan, że w razie rozwodu straci pan kontrolę nad firmą, w której pańska żona i teść mieli pięćdziesiąt jeden procent udziałów?

- To kłamstwo! - ryknął Cabot.

- Czy to prawda, że trzeciego czerwca bieżącego roku wyszedł pan z pracy nieco wcześniej, pojechał pan do mieszkającej w Gilroy Mary Henstroth, uprawiał z nią seks, a następnie wrócił do domu, gdzie czytał pan na żonę z młotkiem w ręku? Tym młotkiem, który oznaczono jako dowód rzeczowy A?

- Nie, nie, nie!

- Później zatłukł ją pan na śmierć. Wrócił pan do samochodu i zszedł na Jerry'ego Pilsetta, który pojawił się o umówionej godzinie. Kiedy przyjechał, zdjął pan okulary, aby spojrzeć na telefon, zadzwonić na policję i oskarżyć go - niewinnego człowieka - o morderstwo?

- Nie, to nieprawda! To niedorzeczne!

- Sprzeciw!

- Czy to prawda - ryknął Lescroix - że z zimną krwią zabił pan swą kochającą żonę Patricię?

-Nie!

- Podtrzymuję! Dość tego, panie Lescroix. Nie pozwolę na tego typu przedstawienia.

Jednak prawnik nie zamierzał odpuścić w obecności jakiegoś wiejskiego sędziego. Nic nie było w stanie zatrzymać potoku słów, napędzanego pomrukami i okrzykami publiczności, a jego oburzony głos przenikał do najodleglejszych zakamarków sali, grzmiąc: „Czy to prawda, czy to prawda, czy to prawda?”.

Przysięgli wychylali się do przodu, jak gdyby chcieli się zerwać z krzeseł i uciąć dyrygenta owacją na stojąco, podczas gdy przerażone oczy

Charlesa Cabota w panice rozglądały się po pomieszczeniu. Odjęło mu mowę, głos uwiązał w jego gardle. Wyglądało to tak, jak gdyby za plecami mężczyzny zmaterializował się nagle duch żony, który zaciskając dłonie na gardle męża, chciał pozbawić go resztek życia, jakie pozostały w przepelnionym winą sercu.

Trzy godziny na uniewinnienie człowieka ze wszystkich zarzutów.

Nie jest to rekord, ale poszło całkiem nieźle, uznał Lescroix, siedząc wieczorem w pokoju hotelowym. Był wściekły, że nie zdążył na dwa ostatnie samoloty z Hamilton, teraz jednak delektował się wyborną whisky, słuchał muzyki z przenośnego odtwarzacza CD, a jego stopy spoczywały na parapecie, otulone we włoskie skarpety, cienkie niczym czarne kobiece pończochy. Upajał się zwycięstwem i rozmyślał, czy powinien wydać część pieniędzy, by zlikwidować w końcu obwisłe policzki.

Ktoś zapukał do drzwi.

Lescroix dźwignął się z fotela i wpuścił do pokoju wuja Jerry'ego Pil-setta. Podczas pierwszego spotkania prawnik nie zwrócił na mężczyznę szczególnej uwagi, teraz jednak zauważył, że spostrzegawcze oczy i doskonale skrojone ubranie absolutnie nie pasują do zwykłego farmera. Ktoś taki musiał mieć układy zjedną z wielkich spółek rolnych. Prawdopodobnie facet wcale nie musiał zastawiać gospodarstwa i Lescroix zaczął żałować, że zażądał od niego tylko siedemdziesięciu pięciu tysięcy; powinien dobić do setki. A zresztą...

Starszy Pilsett przyjął proponowaną mu szklaneczkę whisky i pociągnął solidny łyk.

- O tak. Właśnie tego trzeba mi było po całym tym szalonym dniu.

O tak.

Wyjął z kieszeni kopertę i położył ją na stole.

- Reszta pańskiego honorarium. Muszę przyznać, że nie wierzyłem w pańskie zdolności. Nie oskarżyli go nawet o włamanie - dodał zaskoczony.

- Cóż, właściwie nie mogli tego zrobić, prawda? Albo człowiek jest winien, albo nie.

- Rozumiem.

Lescroix wskazał głową kopertę.

- Niewiele osób zdobyłoby się na coś takiego. Nawet dla kogoś z rodziny.

- Jestem zwolennikiem teorii, że rodzina powinna trzymać się razem.

I robić, co do niej należy.

- To dobre założenie - przytaknął Lescroix.

- Rozumiem, że nie wierzy pan w podobne zasady. Ani w rodzinę.  
- Nie miałem okazji przekonać się ani co do jednego, ani co do drugiego - odparł prawnik. - Moje życie to moja praca.

- Wyciąganie ludzi z pudła?  
- Wolę nazywać to ochroną sprawiedliwości.  
- Sprawiedliwości? - parsknął mężczyzna. - Wie pan, oglądałem proces O.J. Simpsona. Po ogłoszeniu wyroku słuchałem komentatora. Powiedział wówczas, że niezależnie od koloru skóry, jeśli tylko masz pieniądze, możesz kupić sprawiedliwość. Wyśmiałem go. Co miał na myśli, mówiąc „sprawiedliwość”? Jeśli masz pieniądze, możesz kupić wolność. A ta niekoniecznie ma związek ze sprawiedliwością.

Lescroix poklepał kopertę.

- A pan co kupuje?

Pilsett roześmiał się.

- Spokój duszy. Ot co. To lepsze niż sprawiedliwość i wolność, zebrane do kupy. A teraz proszę powiedzieć, jak mój bratanek zniósł tę próbę.

- Jakoś to przeżył.

- Nie ma go w domu. Jest może tu?

Lescroix pokręcił głową.

- Uznał, że przez jakiś czas nie będzie mile widziany w Hamilton. Jest przy Route 32 West. W motelu Skyview. Myślę, że chciałby się z panem zobaczyć. Podziękować osobiście.

- Zadzwonimy do niego razem z żoną i wyskoczymy gdzieś na obiad. - Mężczyzna dopił whisky i odstawił pustą szklanke. - Cóż, ma pan ciężką pracę. Nie zazdrozczę panu. - Mówiąc to, zmierzył Lescroix przenikliwym spojrzeniem. - Przede wszystkim nie zazdrozczę nieprzespanych nocy. Z pańskim sumieniem.

Słyszając to, Lescroix zmarszczył brew, natychmiast jednak się uśmiechnął.

- Sypiam jak niemowlę. Zawsze.

Mężczyźni wymienili uścisk dłoni i podeszli do drzwi. Chwilę później wuj Jerry'ego wyszedł na korytarz, ale zaraz zatrzymał się i odwrócił.

- Ach, jeszcze jedno. Na pańskim miejscu posłuchałbym wiadomości - dodał zagadkowo. - Usłyszysz pan coś, nad czym warto się zastanowić.

Lescroix zamknął drzwi i wrócił do niewygodnego fotela i wybornej whisky.

*Coś, nad czym warto się zastanowić?*

O szóstej wziął pilota, włączył telewizor i znalazł lokalną stację. Przez chwilę spoglądał na młodą prezenterkę i przyciśnięty do jej ust mikrofon.

- Dziś po południu, kiedy prokuratura zapytała oczyszczonego z zarzutów Geralda Pilsetta o rolę, jaką odegrał Charles Cabot w zabójstwie swej żony, Pilsett wyjawiał szokującą prawdę. To samo powtórzył później reporterom.

O mój Boże. Nie. Nie zrobił tego! Lescroix pochylił się do przodu z otwartymi ustami. Chwilę później na ekranie pojawiła się twarz Jerry'ego, jego krzywy uśmiech i palce skubiące płatek ucha.

- Oczywiście, że ją zabiłem. Już na wstępie powiedziałem o tym mojemu prawnikowi. Ale teraz nikt nie może mi nic zrobić. Mój prawnik za pewnił, że nie mogą sądzić mnie powtórnie. To się nazywa podwójne pociągnięcie do odpowiedzialności za to samo przestępstwo. Nie moja wina, że wymiar sprawiedliwości nie działa wystarczająco dobrze, by skazać mnie za pierwszym razem.

Lescroix poczuł na ciele gęsią skórkę.

Na ekran powróciła twarz blond prezenterki.

- Sam prawnik, Paul Lescroix z Nowego Jorku, wywołał w sądzie wielkie zamieszanie, sugerując, że to biznesmen z Hamilton, Charles Cabot, zabił swą żonę, ponieważ miał romans z inną kobietą. Jak donosi policja, kobietą tą okazała się siostra Mary Helen Henstroth, siedemdziesięcioletnia zakonnica, prowadząca ośrodek dla młodzieży w Gilroy. Cabot i jego żona często pracowali w ośrodku jako wolontariusze i offiarowali na placówkę tysiące dolarów.

Policja obaliła też drugą teorię Lescroix, jakoby Cabot zamordował żonę, by przejąć kontrolę nad firmą, której przewodniczył. Mimo iż oskarżony posiadał mniejszość udziałów, dokumentacja spółki ujawniła, że Patricia Cabot i jej ojciec dobrowolnie zgodzili się przekazać Cabotowi sto procent udziałów, gdy tylko spłaci on pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które ojciec zamordowanej pożyczył mu pięć lat temu.

Prokuratura stanowa bada, czy można wnieść oskarżenie przeciwko Paulowi Lescroix za zniesławienie i nadużycie postępowania sądowego.

Rozwścieczony Lescroix cisnął pilota w drugi kąt pokoju. Plastik rozpadł się na dziesiątki drobnych kawałków.

Zadzwoił telefon.

- Panie Lescroix, dzwonię z wiadomości WPIJ. Czy mógłby pan skomentować doniesienia, że świadomie oskarżył pan niewinnego człowieka...

- Nie. - Klik.

Telefon zadzwonił ponownie.

- Halo?

- Jestem reporterem „New York Timesa”...

**Klik.**

- Słucham?

- Ty pieprzony krętaczu. Znajdę cię i... **Klik.**

Lescroix wyłączył telefon z sieci, wstał i zaczął nerwowo krążyć po pokoju. Bez paniki. To nic wielkiego. Za kilka dni nikt nie będzie o tym pamiętał. To nie jego wina. Jego obowiązkiem było reprezentować klienta najlepiej, jak potrafił. Mimo tych pocieszeń Lescroix wciąż myślał o czekającym go śledztwie, dotyczącym etyki zawodowej, o wyjaśnianiu całej sprawy klientom, kolegom z klubu golfowego, dziewczynom...

Pilsett. Ten skończony głupiec. To on...

Lescroix zamarł. Na ekranie telewizora pojawił się pięćdziesięcioletni mężczyzna. Nieogolony. W pomiętej, białej koszuli. Niewidoczny prezydent wypytywał go o reakcję w sprawie Pilsetta. Tym wszakże, co przykuło uwagę Lescroix, był napis widniejący w dole ekranu: James Pilsett, wuj niewinnionego podejrzanego.

To nie był facet, który go wynajął i który godzinę temu przyniósł do pokoju resztę honorarium.

- Noo - mężczyzna przeciągał samogłoski - Jerry zawsze sprawiał kłopoty. Nigdy nie robił tego, co powinien. Nie zasługuje na to, co się stało. Nie powinni go byli wypuszczać... Nic z tego nie rozumiem. I wcale mi się to nie podoba.

Lescroix podbiegł do biurka i otworzył kopertę. W środku znalazł resztę pieniędzy. Nie był to jednak czek, ale - podobnie jak przy wpłacie zaliczki - gotówka. Nie dołączono żadnej notatki ani nazwiska.

Kim, do cholery, był ten facet?

Lescroix włączył telefon i wybrał numer do motelu Skyview.

Telefon dzwonił, i dzwonił, i dzwonił.

W końcu ktoś odebrał.

- Halo?

- Jerry, tu Lescroix. Posłuchaj mnie...

- Przykro mi - odparł głos. - W tej chwili Jerry ma związane ręce.

- Kto mówi?

Chwila ciszy.

- Witam, panie Lescroix.

- Kim pan jest, do cholery? - ryknął prawnik.

Po drugiej stronie słuchawki dał się słyszeć stłumiony chichot.

- Nie poznaje mnie pan? Po tak długiej rozmowie, którą odbyliśmy dziś w sądzie? Jestem naprawdę rozczarowany.



Cabot! To był Charles Cabot!

Jak dostał się do pokoju Jerry'ego? Tylko Lescroix wiedział, gdzie ukrywa się mężczyzna.

- Zaskoczony?

Chwileczkę, pomyślał Lescroix, wcale nie był jedyną osobą, która wiedziała, gdzie zatrzymał się Jerry. Przecież powiedział o Skyview face-towi, który podawał się za jego wuja.

- Kim on był? - szepnął Lescroix. - Kim był mężczyzna, który mi za płacił?

- Nie domyśla się pan?

-Nie.

Wtedy zrozumiał. Usiadł na łóżku i zamknął oczy.

- To pański teść?

Bogaty biznesmen. Ojciec Patricii.

*Jestem zwolennikiem teorii, że rodzina powinna trzymać się razem...*

- To on mnie wynajął?

- Obaj pana wynajęliśmy - odparł Cabot.

- Żebym bronił mordercy pańskiej żony? Dlaczego?

Cabot westchnął.

- A jak pan myśli?

Powoli myśli Lescroix nabierały realnych kształtów - niczym lód na powierzchni stawu November.

- Ponieważ w tym stanie nie ma kary śmierci - odparł.

- Otóż to. Być może Jerry dostałby dożywocie, ale to dla nas za mało.

Jedynym sposobem na to, by Cabot i jego teść mogli dopaść Jerry'ego, było zadbanie o to, aby został on uniewinniony. Dlatego właśnie wynajęli najlepszego w kraju obrońcę w sprawach karnych.

Lescroix roześmiał się nieszczerze. Cabot bawił się nim. Udawał winnego, nie tłumaczył tego, co mógł wytłumaczyć, kulił się niczym dziecko wobec naciąganych insynuacji Lescroix.

Nagle prawnik przypomniał sobie słowa Cabota: „W tej chwili Jerry ma związane ręce...”.

- Mój Boże, zamierzacie go zabić?

Jerry'ego? Po prostu wpadliśmy do niego z wizytą - odparł Cabot. - Jesteśmy tu: Jerry, ja i ojciec Patsy. Ale chyba powinien pan wiedzieć, że Jerry jest naprawdę przygnębiony. Obawiam się, że może zrobić sobie krzywdę. Groził nawet, że się powiesi. Szkoda by było. Ale w końcu to jego decyzja. Kimże ja jestem, aby się wtrącać?

- Zawiadomię policję - ostrzegł Lescroix.

- Czyżby? Myślę, że mógłby pan to zrobić. Kwestia tylko, komu uwie-

rzą - mnie czy panu. Nie muszę chyba przypominać, że po dzisiejszym procesie pana notowania znacznie spadły. Podobnie zresztą jak Jerry'ego.

*A pan co kupuje?*

*Spokój duszy. Ot co.*

- Przepraszam, ale muszę kończyć - ciągnął Cabot. - Wydaje mi się, że słyszę w drugim pokoju jakieś zabawne odgłosy. Tam właśnie jest te raz Jerry. Chyba pójdę zobaczyć, co się dzieje. Jeśli dobrze pamiętam, widziałem tam linę.

W słuchawce dało się słyszeć przeraźliwe, gardłowe zawodzenie.

- Co to było? - ryknął Lescroix.

- Och, wygląda na to, że muszę już lecieć. Do widzenia. Mam nadzieję, że miło spędził pan czas w Hamilton.

- Zaczekaj!

Klik.

# Dziewczyna z Tunelu

Przepraszam, że niepokoję o tak wczesnej porze. Była szósta rano, gdy zaniepokojony Ron Badgett zamrugał powiekami i nieprzytomnym wzrokiem zerknął na stojącego w progu mężczyznę, który wyciągał ku niemu policyjną odznakę.

- Detektyw Larry Perillo.

- Co się stało?

- Czy to pan jest właścicielem budynku przy Humbolt Way siedemdziesiąt siedem?

- Zgadza się. To adres mojej firmy. - Ron Badgett poczuł narastający niepokój. Jeszcze trzy minuty temu był kompletnie skołowany i wykończony. Teraz czuł się w pełni rozbudzony. - Był pożar czy coś takiego? - Brzuchaty mężczyzna w średnim wieku, z rzednącymi włosami, zawiązał mocniej pasek beżowego frotowego szlafroka.

Był chłodny wrześnieowy poranek i mężczyźni stali w drzwiach niszczonego kolonialnego domu na przedmieściach, domu, który wciąż nie odzyskał świetności po tym, jak trójka dzieci poprzednich właścicieli biegała, skakała i łomotała w każdą dostępną powierzchnię. Ron i jego żona spędzali większość wolnego czasu, naprawiając szkody.

- Nie, proszę pana. W pańskim biurze nic się nie stało. Mamy jednak nadzieję, że pomoże nam pan. Chodzi o ten stary budynek za biurem, po drugiej stronie parkingu.

- Ten przeznaczony do rozbiórki?

-Tak.

W drzwiach pojawiła się nachmurzona Sandra, kobieta, która od osiemnastu lat była żoną Rona. Miała na sobie błękitną pikowaną podomkę i kapcie. Jej włosy były w nieładzie i spoglądała na mężczyznę tym sennym, porannym spojrzeniem, które nawet po osiemnastu latach małżeństwa Ron uważał za niezwykle pociągające.

- Co się stało, skarbie?

- Jakież problemy z tym starym budynkiem na tyłach biura. - Ron przedstawił żonę policjantowi.

- Tym, który mają wyburzyć? - Sandra, obecnie pracująca jako wolny strzelec, przez tydzień pomagała Ronowi urządzić biuro. Pewnego dnia, stojąc w strefie załadunku, zauważyła, że sąsiedni budynek wygląda dość niebezpiecznie.

- Tak, proszę pani - odparł Perillo. - Zdaje się, że wczoraj wieczorem jedna ze studentek wybrała drogę na skróty i szła przez podwórze. Pech chciał, że właśnie wtedy zawaliła się część budynku. Dziewczyna jest uwięziona w jednym ze starych tuneli dostawczych, które łączyły okoliczne fabryki i magazyny.

- Mój Boże - szepnęła Sandra.

- Ale żyje? - spytał Ron.

- Jeszcze tak. Słyszymy, jak woła o pomoc, ale chyba jest wyczerpana.

Sandra potrząsnęła głową. Ona i Ron mieli siedemnastoletnią córkę, która obecnie przebywała w szkole w Waszyngtonie, i kobieta niewątpliwie myślała o tym, co by się stało, gdyby to jej dziecko zostało skrzywdzone lub uwięzione. Nikt nie jest tak pełen współczucia jak inni rodzice.

Policjant zerknął na poranną gazetę, która leżała na trawniku w plastikowej torbie. Podniósł ją, rozprostował strony i wskazał palcem nagłówek: CZY URATUJĄ DZIEWCZYNĘ Z TUNELU?

Dołączone do artykułu zdjęcie przedstawiało ratowników nad stertą gruzu. Przed nimi stał policyjny pies, obwąchujący ziejącą w ziemi dziurę. Nieopodal widniała pogrążona w smutku para; zapewne rodzice uwięzionej dziewczyny, Tonyi Gilbert. Ron przejrzał artykuł, szukając informacji na temat dziewczyny. Tonya zaczęła właśnie ostatni rok studiów na uniwersytecie. Latem pracowała jako przewodniczka pieszych wycieczek po parku stanowym na szlaku Appalachów. Studiowała ochronę zdrowia. Jej ojciec był biznesmenem, matka pracowała jako wolontariuszka dla kilku lokalnych organizacji charytatywnych. Tonya była jedynaczką.

Ron wskazał palcem krótki artykuł.

- Hej, spójrzcie na to. - Tytuł brzmiał: RODZICE OFERUJĄ 500 000 DOLARÓW ZA UWOLNIENIE DZIEWCZYNY.

Pół miliona? Po chwili przyszło mu do głowy, że nazwisko dziewczyny brzmi dziwnie znajomo. Jej ojciec to prawdopodobnie ten sam Gilbert, który jest właścicielem wielkiego banku analiz inwestycyjnych i finansowych; ten sam, o którym wzmianka zawsze pojawia się w prasie podczas aukcji charytatywnych i imprez kulturalnych.

- Jak możemy pomóc? - spytała Sandra.  
- Ratownicy próbowali dotrzeć do niej z powierzchni, ale jest to zbyt niebezpieczne. Pozostała część budynku może w każdej chwili runąć. Inżynierowie z urzędu miejskiego chcieliby spróbować dotrzeć do dziewczyny przez piwnicę w państwa biurze.

Sandra potrzęsła głową.

- Ale w czym to pomoże? To zbyt daleko od tego starego budynku.  
- Nasi ludzie przeglądali stare plany budynków, które kiedyś stały w okolicy. Pod parkingiem łączącym państwa biuro z zawalonym domem znajdują się sutereny. Przypuszczamy, że mogły nie zostać zasypane. Mamy nadzieję, że komuś uda się dotrzeć do dziewczyny tymi podziemnymi przejściami.

- Jasne, oczywiście - rzucił Ron. - Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

- Dziękuję bardzo, proszę pana.

- Zaraz zejść i wpuszczę pańskich ludzi. Proszę dać nam kilka minut na przebranie się.

- Może pan jechać za mną. - Detektyw wskazał ręką nieoznakowany granatowy radiowóz.

Ron i Sandra szybko weszli z powrotem do domu. Funkcjonariusz usłyszał jeszcze głos kobiety:

- Biedna dziewczyna... Pośpieszmy się.

W sypialni Ron niedbale cisnął szlafrok i pizamę na podłogę, a Sandra niemal biegiem wpadła do garderoby. Kiedy wciągał dzinsy i sportową bluzę, włączył lokalną stację telewizyjną. Na miejscu zdarzenia była już ekipa wiadomości, a reporter z przejęciem informował prowadzącego, że właśnie zawalił się kolejny fragment budynku, gruz jednak nie zagraża dziewczynie. Tonya wciąż żyje.

Bogu niech będą dzięki, pomyślał Ron, narzucając marynarkę i gapiąc się w ekran. Kamera przesunęła się na dwie młode kobiety, stojące za policyjną taśmą. Jedna ocierała łzy, druga trzymała transparent, który głosił: Kochamy Cię, Dziewczyno z Tunelu.

Studio graficzne RB mieściło się w starym, niewielkim składzie kawy, nieopodal rzeki, po drugiej stronie ulicy, przy której znajdował się gmach uniwersytetu.

Dwa lata temu dziesiątki firm deweloperskich postanowiły przekształcić tę przemysłową część miasta i wygospodarować w niej mieszkania, otworzyć szykowne restauracje, teatry i pretensjonalne pracownie. To samo w ostatnim czasie robiły inne miasta, które podejmowały mniej lub

bardziej udane próby przekształcenia podupadających budynków w standardowe, podmiejskie centra handlowe.

Agencje nieruchomości inwestowały ogromną kasę w renowację i przebudowę blokowiska, a miasto wyraziło zgodę na tymczasowe ulgi podatkowe, które miały zachęcić ludzi i firmy do przeprowadzek. Lokalne władze ustaliły też, że sfinansują zamówienie tanich ulicznych rzeźb i szylków, i opłaciły firmę public relations, która wymyśliła nazwę dla nowo powstałej dzielnicy: NeDo - od New Downtown. Nazwę umieszczono już na drogowskazach i w materiałach promocyjnych, kiedy okazało się, że ludzie nie wymawiają tego „NiuDau”, jak powinni, ale „NiDo”, co brzmiało jak nazwa lakieru do włosów lub napoju bezalkoholowego. Było już jednak za późno. Pomimo fatalnej nazwy i błędów w planowaniu (takich jak przeoczenie faktu, że ludzie wybierający się do ekskluzywnych restauracji, teatrów i choćby do pracy chcieliby gdzieś zaparkować swoje samochody), kampania powiodła się. Na przykład Ron Badgett od początku wiedział, że chciałby przenieść tam swoją firmę, i niemal od razu upatrzył sobie stary skład kawy. Nie potrafił tego wytłumaczyć, ale instynktownie wiedział, że NeDo idealnie pasuje do jego osobowości.

Był także gotów porzucić swe dotychczasowe biuro. Czuł, że w pełni wykorzystał już jego możliwości i choć mieściło się ono w centrum miasta, miał serdecznie dość nudnej okolicy, budynków z lat pięćdziesiątych, dworca autobusowego i zamkniętej niedawno szkoły sekretarek. Nocą dzielnica stawała się kompletnie wymarła. W ciągu ostatnich lat wskaźnik przestępczości skoczył do góry; nawet Sandra nie znosiła wieczorów, gdy sama musiała jechać po Rona do pracy.

Problem polegał na tym, że choć dzielnica NeDo zyskiwała na popularności, przeprowadzka nie wpłynęła korzystnie na sytuację finansową firmy. Znaczna część klientów Rona wolała starą okolicę (oferującą swym mieszkańcom puste ulice, rozległe, wyludnione parki i pretensjonalne, wymarłe restauracje). Ron stracił pół tuzina klientów i choć zyskał kilku nowych, wciąż było mu ciężko; zwłaszcza po przeprowadzce, która okazała się droższa, niż mógł się tego spodziewać.

Pieniądze stanowiły problem, zwłaszcza dla Sandry, ambitniejszej i mającej kosztowniejsze upodobania niż mąż. Sytuacja stała się krytyczna, gdy pół roku temu kobieta straciła pracę jako inżynier w jednej z firm energetycznych. Ron wiedział, że chciała, aby znalazł sobie ciepłą posadkę w dużej agencji reklamowej, takie rozwiązanie jednak nie wchodziło w grę. Ron Badgett był zawsze szczerzy wobec swojej żony i otwarcie mówił o tym, że ma w życiu inne priorytety niż ciułanie pieniędzy.

- Muszę pracować dla siebie. Wiesz, podążać za własnym, twórczym

duchem. Wiem, że brzmi to głupio, ale nic na to nie poradzę. Muszę być wierny sobie.

W końcu -jak wierzył - Sandra zrozumiała jego postawę i zaczęła go wspierać. Poza tym pokochał życie w NeDo i nie miał zamiaru się przeprowadzać.

Kiedy Badgettowie jechali za rozpędzonym policyjnym wozem, Ron nie myślał o okolicy, ich sytuacji finansowej, o tym, jak różne mieli charaktery; myślał wyłącznie o Tonyi Gilbert, Dziewczynie z Tunelu, która leżała pod zawalonym budynkiem.

Przed sobą widzieli normalną w tak dramatycznych sytuacjach krzątanie: grupy ratowników, wozy strażackie, policyjne radiowozy i stojących za żółtą policyjną taśmą gapiów. Była również prasa, pół tuzina furgonetek oznaczonych logo rozmaitych stacji i strzelających w niebo antenami satelitarnymi.

Ron zatrzymał się przed wejściem do biura - tuż pod rzucającym się w oczy znakiem zakazu parkowania - i razem z Sandrą wysiadł z samochodu. Idąc za detektywem, podeszli do frontowych drzwi RB Graphics Design, przy których zgromadzili się posępni policjanci i strażacy. Byli to potężni mężczyźni i dobrze zbudowane kobiety; niektórzy w kombinezonach i pasach, do których przytroczono sprzęt ratunkowy, inni w garniturach i mundurach.

Jeden z nich, siwy mężczyzna w granatowym mundurze, z przypiętymi do piersi baretkami i odznakami, uściśnął im dłonie.

- Komendant straży pożarnej Knoblock. Jesteśmy wdzięczni, że państwo przyjechali. Sytuacja jest dość poważna.

- Mój Boże -jęknęła Sandra, spoglądając ponad sąsiednią alejką na ogromną górę gruzu - ona naprawdę jest gdzieś pod tym wszystkim?

Pozostałe ściany budynku wisiały niepewnie nad ziejącymi w ziemi dziurami. Zdawało się, że w każdej chwili one także mogą runąć. Tuman kurzu unosił się w powietrzu niczym szara mgła.

- Obawiam się, że tak - ciągnął komendant. - Jest jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści metrów pod ziemią, w starym tunelu, używanym w czasach, gdy w budynkach mieściły się jeszcze fabryki i składy. To cud, że w ogóle żyje. - Wysoki mężczyzna o idealnej sylwetce pokiwał głową. - Wszystko przez to, że chciała zaoszczędzić trochę czasu.

- Powinni postawić tutaj tablice ostrzegawcze czy coś - zauważył Ron.

- Prawdopodobnie tu były - odparł komendant. - Pewnie je zlekceważyła. Wiecie, jakie są dzieciaki - dodał tonem człowieka, który widział w życiu niejedną tragedię, spowodowaną młodzieńczą bezmyślnością.

- Co było przyczyną zawalenia? - spytał Ron.  
- Właściwie nie wiemy. Inspektorzy stwierdzili, że belki wzmacniające były przegniłe, ich zdaniem jednak nie groziły zawaleniem, w przeciwnym wypadku teren zostałby ogrodzony.

- Cóż, wejdźmy do środka - rzucił Ron. Otworzył drzwi i poprowadził Knoblocka i jego ludzi do wnętrza budynku i dalej schodami do piwnicy. Firma deweloperska nie poświęciła wiele trudu na renowację tej części budynku, która choć zatechła i słabo oświetlona, była czysta dzięki wysiłkom Sandry.

- Tak sobie myślałem, komendancie... - zaczął Perillo. - Czy dziewczyna miała przy sobie telefon? Wtedy mógłby pan do niej zadzwonić. Dowiedzielibyśmy się, czy jest ranna, i może powiedziała by nam, jak się do niej dostać.

- Wiemy, że ma telefon - odparł Knoblock. - Sprawdziliśmy połączenia. Wczoraj wieczorem, po wyjściu z uczelni, zadzwoniła do kilku osób - chyba tuż przed wypadkiem. Jednak operator sieci poinformował nas, że telefon jest wyłączony. Prawdopodobnie dziewczyna nie może go znaleźć w ciemnościach albo nie jest w stanie dosięgnąć aparatu.

- Może został uszkodzony - dodała Sandra.

- Nie - wyjaśnił komendant. - Operator może to ustalić. Telefony wciąż emitują sygnał, nawet jeśli są wyłączone. Dziewczyna po prostu nie może go dosięgnąć.

Ubrany w kombinezon strażak zszedł po schodach, rozejrzał się po pomieszczeniu i usunął ze starego stołu kreślarskiego sprzęt do projektowania grafiki. Chwilę później rozłożył na blacie mapę okolicy. Dwóch kolejnych włączyło reflektory punktowe -jeden z nich skierowali na mapę, drugi na piwniczną ścianę na tyłach budynku.

Knoblock odebrał telefon.

- Tak, proszę pana... tak. Oczywiście, damy znać.

Po tych słowach rozłączył się. Pokiwał głową i grobowym głosem zwrócił się do Rona i Sandry.

- To był jej ojciec. Biedny facet. Strasznie się martwi. Rozmawiałem z jego żoną i wygląda na to, że między nim a Tonyą nie było ostatnio najlepiej. Latem dziewczyna rozbiła samochód i ojciec nie dał jej pieniędzy na naprawę. Dlatego musiała chodzić na przystanek autobusowy.

- Dlatego - dodała Sandra - ojciec wini siebie za to, co się stało.

- I dlatego, moim zdaniem, wyznaczył tak wysoką nagrodę. Pięćset tysięcy dolarów... w życiu o czymś takim nie słyszałem. Przynajmniej nie w tym mieście.



- Przyjechał Langley! - zawołał ktoś ze szczytu schodów. - Zaraz do was zejdzcie.

- Nasz ekspert od ratowania ludzi - wyjaśnił kapitan.

- Kto to taki? - spytał Ron.

- Numer jeden w kraju, jeśli chodzi o akcje poszukiwawczo-ratowni-cze. Prowadzi firmę w Teksasie. Greg Langley. Słyszeliście o nim?

Sandra potrząsnęła głową, Ron jednak uniósł brwi.

- Chyba tak. Tak. Widziałem go na Discovery Chanel albo w jakimś innym programie.

- Pewnie na A i E - odparł kapitan. - Z tego, co słyszałem, jest naprawdę dobry. Jego ekipa ratuje alpinistów i turystów, uwięzionych w górach albo jaskiniach, robotników na platformach wiertniczych, ludzi zasypanych przez lawiny i tak dalej. Facet ma coś w rodzaju szóstego zmysłu, dzięki czemu wie, jak odnajdować i ratować ludzi.

- On i jego ludzie byli w Ohio - dodał detektyw Perillo. - Jechali stamtąd całą noc.

- Mieliście szczęście, że akurat nie był zajęty - rzucił Ron.

- Właściwie to on zadzwonił do nas, tuż po północy. Nie wiem, w jaki sposób dowiedział się o wypadku. Powiedział jednak, że jego ludzie słuchają wiadomości z całego kraju i jeśli uznają, że to robota dla niego, natychmiast dają mu znać. - Głos Knoblocka przeszedł w szept: - Jak dla mnie, facet za bardzo interesuje się nagrodą. Ale jeśli uda mu się ocalić dziewczynę, słowa nie powiem.

Strażacy skończyli montować linie elektroenergetyczne i włączyli lampy. Oślepiające, białe światło zaalało pomieszczenie dokładnie w tej samej chwili, gdy na schodach rozbrzmiały kolejne kroki. W suterenie pojawiła się grupa trzech mężczyzn i dwóch kobiet, którzy taszczyli liny, kaski, oświetlenie, nadajniki, metalowe zaciski i haki oraz narzędzia, które - zdaniem Rona - wyglądały jak sprzęt do wspinaczki górskiej. Wszyscy mieli na sobie żółte kombinezony z wyszytym na plecach napisem „Langley Services. Houston, TX”.

Jeden z nich przedstawił się jako Greg Langley. Był to szczupły facet po czterdziestce i - jak na swoje metr pięćdziesiąt pięć - zadziwiająco dobrze zbudowany. Miał okrągłą, piegowatą twarz, kręcone rude włosy i oczy emanujące niezwykłą pewnością siebie.

Po krótkim powitaniu Langley zerknął na Rona i Sandrę, ale z nimi się nie przywitał. Ron poczuł się odrobinę urażony, mimo to nie miał zamiaru jawnie okazywać, że bardzo go dotknął ów afront.

- Jak wygląda sytuacja? - spytał Langley.

Knoblock opisał wypadek, wskazując kolejne miejsca na mapie, wyjaśnił, gdzie znajduje się dziewczyna, i poinformował ekipę o piwnicach łączących biuro Rona z zawałoną fabryką.

Langley spytał:

- Czy w tej chwili zagraża jej jakieś bezpośrednie niebezpieczeństwo?

- Prawdopodobnie możemy zaopatrzyć ją w jedzenie i wodę - odparł Knoblock. - Przy takiej pogodzie dziewczyna na pewno nie umrze z zimna. Ale jest słaba i dlatego przypuszczamy, że w trakcie wypadku została poważnie ranna. Niewykluczone, że krwawi albo ma złamane kończyny. Po prostu nie wiemy.

Do rozmowy wtrącił się kolejny strażak:

- Istnieje niebezpieczeństwo, że zawali się kolejna partia budynku.

Cała konstrukcja jest cholernie niestabilna.

- Gdzie schodzimy? - spytał Langley, zerkając na ścianę piwnicy.

Inżynier z urzędu miejskiego przestudiował mapę i poklepał dłonią cegły.

- Po drugiej stronie stał stary budynek; jeśli dobrze pamiętam, został zburzony, a teren splantowano. Jednak większość suterren pozostała nie tknięta. Sądzimy, że mógłby pan nimi dotrzeć do drewnianych drzwi... mniej więcej w tym miejscu. - Dotknął mapy. - Tędy dostaniecie się do tunelu dostawczego. - Przesunął palec, zatrzymując go w innym punkcie.

- Dziewczyna jest w następnym.

W tej samej chwili w piwnicy rozległo się stłumione dudnienie.

- Mój Boże - jęknęła Sandra, chwytając Rona za ramię.

Knoblock podniósł do ust nadajnik.

- Co to było? - krzyknął.

Zakłócenia, po nich jedno lub dwa niezrozumiałe słowa, a w końcu głos:

- Runęła kolejna część budynku, kapitanie.

- Niech to szlag... nic jej nie jest?

- Chwileczkę... Nic nie słyszymy. Chwileczkę. Na

moment w suterrenie zapanowała głucha cisza.

- Proszę - szepnął Ron.

W nadajniku rozległy się głuche trzaski, po których usłyszeli:

- W porządku, słyszymy ją. Nie bardzo rozumiem, co mówi, ale brzmi to, jak: „Proszę, pomóżcie mi”.

- Dobra - mruknął Langley. - Ruszajmy. Chcę, żeby za pięć minut ta ściana była wyburzona.

- Tak jest - odparł Knoblock i podniósł do ust nadajnik.

- Nie - przerwał Langley. - Tym zajmą się moi ludzie. Wszystko

musi być zrobione jak należy. Nie mogę powierzyć roboty takim...  
-Przerwał i Ron zastanawiał się przez chwilę, jakim epitetem zamierzał określić zgromadzonych. Chwilę później Langley zwrócił się do swojej asystentki, młodej kobiety: - Zadzwoń teraz do ojca dziewczyny. Masz tu numer konta i powiedz, że chcę widzieć przelew, gdy tylko będzie bezpieczna.

Kobieta wzięła skrawek papieru i pognąła na górę, żeby wykonać polecenie. Na chwilę w suterenie zapadła cisza, a strażacy i policjanci zerkali na siebie z zażenowaniem. Langley dostrzegł ich zmieszanie, a jego spojrzenie mówiło jasno: „Jestem profesjonalistą. Za swoje starania oczekuję nagrody. Coś wam się nie podoba? Zatrudnijcie, kogoś innego”.

Knoblock, Perillo i pozostali najwyraźniej zrozumieli to przesłanie i wrócili do przerwanej rozmowy. Komendant spytał:

- Chce pan, żeby jeden z naszych ludzi poszedł z wami?
- Nie, pójdę sam - odparł Langley, który zaczynał już szykować sprzęt.
- Mam pytanie - wtrącił Ron, ekspert jednak wyraźnie go zignorował.

Knoblock uniósł brew, on jednak jak gdyby nigdy nie dotknął palcem mapy.

- Co to jest? - Przesunął palcem po czymś, co wyglądało jak szyb, który zaczynał się na pobliskiej ulicy i prowadził do tunelu sąsiadującego z tym, w którym tkwiła uwięziona dziewczyna.

Odpowiedział mu jeden ze strażaków:

- To stara śluza. Zanim wybudowano wały przeciwpowodziowe, wezbrane wody rzeki często zalewały tunele. Trzeba było stworzyć odpowiedni system odwadniający.

- Jak duża jest ta śluza?
- Nie wiem... Myślę, że ma jakieś trzy stopy szerokości.
- Można się nią przecisnąć?

Langley podniósł wzrok i niechętnie zwrócił się do Rona:

- Kim pan jest?
- Jestem właścicielem budynku.

Specjalista od akcji poszukiwawczo-ratowniczych odwrócił się w stronę mapy.

- Tylko idiota poszedłby tą drogą. Nie widzi pan? Przejście biegnie do kładnie pod tą częścią budynku, która grozi zawaleniem. Zresztą i tak pewnie jest już zasypane. A nawet gdyby nie było, uderzy pan w którąś podporę, niewłaściwie odetchnie i wszystko zwali się panu na głowę. Wtedy miałbym do ratowania dwie osoby. Dziewczynę z Tunelu i Dupka z Tunelu.

- Wygląda na to, że już pan to sprawdził - odparł Ron, wyraźnie zirytowany wyniosłością mężczyzny. - Szybki pan jest.

- Siedzę w tym od dawna. Potrafię określić, co stanowi potencjalne zagrożenie, a co nie.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę - mruknął Langley. - Wiem pan, to bardzo złożona akcja. Może pan i pańska żona opuścilibyście budynek? Niebawem wniesiemy tu ciężki sprzęt. Bywa, że w takich sytuacjach ktoś może zostać ranny. - Zerknął na Rona i Sandrę. Widząc, że mężczyzna nie zamierza odejść, dodał: - Komendancie? Jesteśmy po tej samej stronie barykady? - Zapiął żółty kask i przypiął do paska imponujący telefon komórkowy.

- Hm, panie Badgett... - Knoblock, wyraźnie zakłopotany, odwrócił się do Rona i Sandry. - Doceniam państwa pomoc. Ale byłoby lepiej, gdybyście...

- Nie ma sprawy - rzucił zwięźle Ron. - Właśnie wychodziliśmy.

Kiedy opuścili budynek, Ron wszedł do samochodu i skinieniem głowy przywołał Sandrę. Jechał powoli w górę ulicy, oddalając się od zawałonego budynku, wysiłków ekip ratunkowych, świateł i tłumu.

- Nie zostaniemy? - spytała Sandra. - Zobaczylibyśmy, co się stanie.

-Nie.

- O co chodzi? - spytała z niepokojem, patrząc, jak Ron powoli wjeżdża w opustoszałą uliczkę, rozglądając się po alejkach, porośniętych trawą i upstrzonych śmieciami i pustych parkingach - miejscach, które w przyszłości miały stać się częścią NeDo, ale teraz były smętnym obrazem przeszłości.

W końcu Ron zatrzymał samochód i zerknął na jezdnię. Chwilę później wysiadł, a za nim Sandra.

- Co ty...? - Przerwała. - Nie.

Ron spoglądał na wejście do ulicznej studzienki - tej, którą wskazał na mapie.

- Chyba nie... Nie, Ron. Nie wejdiesz tam.

- Pięćset tysięcy dolarów - szepnął. - Gdzie jeszcze możemy zdobyć taką kasę?

- Nie, skarbie. Słyszałeś, co powiedział Greg. To niebezpieczne.

- Pół miliona dolarów. Pomyśl o tym... Wiesz, że interesy idą kiepsko. Przeprowadzka kosztowała więcej, niż się spodziewałem.

- Wszystko się ułoży. Znajdziesz nowych klientów. - Jej twarz była niczym posępna maska. - Nie chcę, żebyś tam szedł. Naprawdę.

Ron stał wpatrzony w kratkę i czającą się pod nią ciemność. - Myślę, że to wcale nie jest niebezpieczne... Nie wydaje ci się, że w tym, co mówił Langley, było coś dziwnego?

- Dziwnego?

- Facet nawet nie sprawdził śluzy. Tylko wciąż powtarzał, jakie to niebezpieczne. Jesteś inżynierem; co o tym myślisz? Czy to nie najlepsza droga, by dostać się do dziewczyny?

Sandra wzruszyła ramionami.

- Nie zajmowałam się akurat tymi sprawami, przecież wiesz.

- Cóż, ale wiem też, że to najlepsze dojsście... Odniosłem wrażenie, jak gdyby Langley chciał wmówić wszystkim, że istnieje tylko jedna droga, którą można dotrzeć do dziewczyny. Jego droga. Nie chciał, żeby ktokolwiek próbował dostać się tam przez studzienkę. - Kiwnął głową w kierunku kratki. - Dzięki temu ma pewność, że właśnie on zgarnie nagrodę.

Sandra zamilkła na moment i pokręciła głową.

- Nie odebrałam tego w ten sposób. Owszem, facet jest chamski i arogancki. Ale nawet jeśli to prawda, co mówisz, wejście tam jest ryzykowne. - Machnęła ręką w kierunku zawalonego budynku. - Trzeba przejść pod tym.

- Pięćset tysięcy, skarbie - szepnął.

- Nie warto dla nich ryzykować życia.

- Zrobię to.

- Proszę, Ron. Nie.

- Muszę.

Kobieta westchnęła i skrzywiła się.

- Zawsze czułam, że są w tobie rzeczy, o których nie mam pojęcia. Tajemnice, o których nie chcesz rozmawiać. Ale żeby udawać księcia w lśniącej zbroi dla ratowania jakiejś dziewczyny? Nigdy nie myślałam o tobie w ten sposób. A może najzwyczajniej w świecie jesteś wściekły na Langleya? W końcu obraził cię i wyrzucił nas z budynku, który, koniec końców, należy do nas.

Ron nic nie odpowiedział.

- Jeśli mam być szczerą, kochanie, sam wiesz, że nie jesteś w najlepszej kondycji.

- Zamierzam się czołgać, a nie brać udział w maratonie. - Roześmiał się, potrząsając głową. - Coś tu jest nie tak. Langley coś knuje i nie pozwolę, żeby uszło mu to na sucho. Zamierzam zdobyć te pieniądze.

- Czyli podjąłeś już decyzję, prawda? - spytała szeptem Sandra.

- To jedna z tych rzeczy, które o mnie wiesz: Kiedy raz podejmę jakąś decyzję, nic nie jest w stanie mnie od niej odwieść.

Ron sięgnął do schowka na rękawiczki i wyjął latarkę. Chwilę później podszedł do bagażnika i zabrał z niego łyżkę do opon.

- Mój sprzęt górniczy - roześmiał się, unosząc w górę metalowy pręt. Dopiero wówczas spojrzął na czającą się za kratką ciemność.

Sandra wyjęła z samochodu telefon komórkowy i ścisnęła go w dłoni.

- Gdyby coś się stało, zadzwoń. Sprowadzę tu kogoś tak szybko, jak tylko się da.

W odpowiedzi Ron obdarzył ją namiętym pocałunkiem, a chwilę później rycerz - odziany nie w lśniąca zbroję, lecz spłowiałe dżinsy i sportową bluzę - ruszył w głąb mrocznego tunelu.

W rzeczywistości wędrówka kanałem była znacznie mniej ryzykowna, niż przedstawiał ją w swojej wizji egocentryk Langley - przynajmniej na początku. Ron pokonał prawie trzysta stóp, czołgając się niespiesznie wśród korzeni, grudek ziemi i odpadów ściekowych, co wprawdzie nie należało do przyjemności, ale nie było też niebezpieczne.

Po drodze natknął się na kilka szczurów, jednak przerażone zwierzęta czmychały w popłochu jak najdalej od intruza. (Ron zastanawiał się, czy pędziły w kierunku, z którego nadchodził specjalista Greg Langley. Musiał przyznać, że cieszy go myśl o tym, że gryzonie mogłyby wystraszyć jego rywala - tak, Sandra miała rację; Langley naprawdę działał mu na nerwy).

Niedaleko budynku tunel stawał się coraz bardziej zapchany. Korzenie, które przedarły się przez betonowe ściany, były splątane niczym ogromne pytony, zastygłe w przerażającym *rigor mortis*. Obolałe plecy i bolesne skurcze w nogach sprawiały, że Ron posuwał się znacznie wolniej. Mimo to wiedział - i nie stanowiło to dla niego żadnego zaskoczenia - że Langley się pomylił. Ściany tunelu były solidne i w żadnym wypadku nie groziły zawaleniem.

*Dupek z Tunelu...*

Powoli brnął do przodu i oceniał postępy, zaglądając w prowadzące do suterenu dziury i stare tunele dostawcze. W końcu dotarł do wąskiego przejścia; ono właśnie - jeśli dobrze pamiętał - prowadziło do drewnianych drzwi, za którymi czekała na pomoc uwięziona Tonya Gilbert. Przyłożył ucho do otworu i zaczął nasłuchiwać.

- Pomocy! - wychrypiał stłumiony głos. - Proszę, pomocy...

Dziewczyna była nie dalej niż trzydzieści stóp od niego.

Przejście do tej części tunelu było wąskie, usunąwszy jednak kilka cegieł za pomocą łyżki do opon, Ron był w stanie się przez nie przecisnąć. Chwilę później wspiął się na grudę wyschniętej ziemi i stając, poświecił do-

okoła latarką. Tak, bez wątpienia był w tunelu sąsiadującym z przejściem, w którym utknęła dziewczyna.

Udało mu się! Pierwszy dotarł do Dziewczyny z Tunelu.

Wtedy usłyszał hałas:

Łup... łup...

Co to było? Czyżby dziewczyna dawała jakieś sygnały?

Nie, dźwięk dochodził z innego kierunku.

Łup...

Nagle dotarło do niego, co to za hałas. Oto na miejsce katastrofy przybył Greg Langley. Wyrąbywał teraz drogę przez kolejne stare drzwi, łączące szyb z sąsiednią, opuszczoną suteroną. Odgłos pękającego drewna powiedział Ronowi, że Langley dotrze na miejsce za mniej więcej trzy, cztery minuty. Wtedy dudnienie ustało, a on usłyszał przytłumiony głos. Zaniepokojony zgasił latarkę. Co, jeśli Langley nie jest sam? Podszedł bliżej drzwi, przez które przedzierał się ratownik, i zaczął nasłuchiwać. „Oddzwonię” - usłyszał.

A więc rozmawiał przez telefon. Pytanie tylko z kim? I co mówił? Czy ktoś już wiedział, że Ron zszedł pod ziemię i liczy, że zgarnie nagrodę?

Łup...

Langley przypuścił kolejny atak na drewniane drzwi, podczas gdy Ron przywarł do ściany, za którą znajdował się specjalista. Chwilę później pod ziemią dał się słyszeć głośny trzask i do tunelu wpadło kilka desek, tworząc w drzwiach niewielką dziurę. Smuga jasnego światła przecięła grafitowy mrok. Ron wtulił się w ścianę; oddychał teraz płytko, uważając, by się nie poruszyć.

W końcu coś wychynęło ze szczeliny. Był to dziwaczny kilof, który bardziej niż narzędzie przypominał niebezpieczną broń. Tuż po nim w tunelu pojawiła się kolejna smuga światła - znacznie jaśniejsza - i chwiejąc się w ciemnościach, zatańczyła na ścianach. Snop promieni minimalnie minął czającego się w mroku Rona. Mężczyzna zmrużył powieki, całym ciałem przywarł do zimnej ściany i potarł powieki, by przyzwycząić oczy do światła.

Nastąpiła chwila ciszy, aż w końcu zza drzwi wychynęła głowa Langleya. Facet zatrzymał się w połowie drogi i po raz kolejny oświetlił korytarz latarką.

W momencie gdy światło niebezpiecznie zbliżało się do nóg Rona, ten zamachnął się łyżką do opon i uderzył Langleya w głowę, celując tuż poniżej kasku. Cios okazał się celny i mężczyzna z jękiem zwałił się na brzuch.

*Kiedy raz podejmę jakąś decyzję, nic nie jest w stanie mnie od niej odwieść. ...*

Najciszej jak się dało, Ron pozbierał z podłogi kawałki skał i cegieł i zaczął nimi zasypywać nieprzytomnego Grega Langleya, tworząc - tak w każdym razie przypuszczał - bardzo realistyczny widok człowieka zaskoczonego przez osuwający się grunt.

Dwa dni później Ron Badgett i jego żona stali nieopodal podium przed gmachem uniwersytetu. Podobnie jak kręcąca się dookoła setka ludzi, oni również czekali na konferencję prasową. Za mównicą zawisł powiększony do ogromnych rozmiarów nagłówek z lokalnej gazety. Przymocowany do marszczącego się na wietrze płótna napis głosił: DZIEWCZYNA Z TUNELU OCALONA!

Sandra trzymała męża pod ramię i Ron rozkoszował się tą bliskością i kwiatowym zapachem jej perfum. Kobieta się uśmiechała, jako że atmosfera w tłumie była świąteczna i przyprawiała zgromadzonych o radosny zawrót głowy. Nie ma lepszego sposobu na doładowanie społecznego ducha niż uratowanie zagrożonych dzieci.

Machając i uśmiechając się, komendant Knoblock, Tonya Gilbert i jej rodzice przecisnęli się przez tłum i weszli na podium. Po owacjach i brawach, którym nie było końca, komendant uciszył zgromadzonych niczym stojący przed publicznością wytrawny dyrygent.

- Panie i panowie, proszę o chwilę uwagi! Dziękuję. Jestem szczęśliwy, mogąc przedstawić państwu Tonyę Gilbert, która dziś rano opuściła Memoriał Hospital. Wiem, że chce państwu powiedzieć kilka słów.

Tłum eksplodował kolejną serią braw i okrzyków.

Do mikrofonu wstydliwie podeszła ładna dziewczyna z czołem przewiązanym bandażem, z niebieskim gipsem wokół kostki i drugim wokół nadgarstka. Czerwieniąc się, zaczęła coś mówić, jednak słowa uwięzły jej w gardle. Chwilę później zaczęła od początku:

- Ja... chciałam tylko powiedzieć, no wiecie, dziękuję wszystkim. Byłam naprawdę przerażona. Więc wiecie... hm, jeszcze raz dzięki.

Jej skąpe przemówienie nie powstrzymało zgromadzonych przed kolejnym wybuchem radości i oklasków.

Następnie komendant przedstawił rodziców dziewczyny. Biznesmen w niebieskiej marynarce i szarych spodniach podszedł do mikrofonu, a jego żona, uśmiechając się, otoczyła córkę ramieniem. Mężczyzna podziękował straży pożarnej i policji za ich heroiczne starania oraz mieszkańcom miasta za wsparcie, jakie okazali jego rodzinie.

- Jednak najgłębsze wyrazy wdzięczności kieruję do człowieka, który ocalił moją małą dziewczynkę. W dowód uznania chciałbym podarować mu to. - Podniósł do góry oprawioną w ramki, długą na trzy stopy



makiętę czeku opiewającego na pół miliona dolarów. - Oto suma, którą poleciłem przelać na jego konto.

Kolejna eksplozja radości. Ogromne sumy pieniędzy - podobnie jak ocalone nastolatki - zawsze spotykają się z przychylnością tłumu.

Tymczasem Gilbert ciągnął:

- Proszę, aby państwo również mu podziękowali... oto Greg Langley.

Z szyją usztywnioną kołnierzem i zabandażowaną dłonią specjalista w dziedzinie akcji poszukiwawczo-ratowniczych, utykając, wszedł na podium. Wydawał się pobudzony, choć Ron przypuszczał, że stan ten nie jest spowodowany bólem, lecz zniecierpliwieniem, jakie wywołała u niego cikliwa ceremonia. Mężczyzna odebrał czek na ogromną sumę i natychmiast przekazał go swemu asystentowi.

Gilbert jednak nie zamierzał kończyć.

- To, co uczynił, wymagało wielkiej odwagi i poświęcenia. Nawet gdy został przysypany walącym się stropem i omal nie zginął, pan Langley dalej czołgał się w kierunku tunelu, gdzie była uwięziona nasza córka. Cała rodzina jest panu dozgonnie wdzięczna.

Tłum oczekiwał kolejnego przemówienia, Langley jednak zdobył się tylko na zniecierpliwione: „Dziękuję bardzo”. Zdawkowo pomachał do zgromadzonych i w pośpiechu opuścił podium, goniąc -jak podejrzewał Ron - za kolejnymi zleceniami i nagrodami. Patrząc na Langleya, zaczął żałować, że symulując osunięcie się stropu, tylko rozwalił mu głowę; facet zdecydowanie zasługiwał na coś poważniejszego - złamany nadgarstek albo szczękę.

W drodze do domu Sandra była wyraźnie zadowolona, że dziewczyna została uratowana, jednak ton, jakim zwróciła się do Rona, sugerował, że szczerze współczuje mężowi:

- Przykro mi, kochanie, że nie zdobyłeś nagrody.

Ron powiedział żonie, że tunel był tak zawałony korzeniami i błotem, że dotarł tylko do połowy drogi.

- Wiem, że jesteś rozczarowany, bo nie dostałeś tego, co chciałeś - do dała. - Ale przynajmniej dziewczyna jest bezpieczna... i ty też. To najważniejsze.

W odpowiedzi Ron ucałował jej włosy, myśląc: Gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo się mylisz, kochanie. Dostałem dokładnie to, co chciałem.

Oczywiście, nie powiedział tego głośno, podobnie jak mnóstwa innych rzeczy. Na przykład, dlaczego od razu upodobał sobie stary skład kawy: ponieważ okna budynku wychodziły na główne wejście gmachu

uniwersytetu, zapewniając doskonały widok na wychodzące z budynku dziewczyny, dzięki czemu łatwiej wybierał ofiary. To właśnie miał na myśli, mówiąc, że to miejsce pasuje do jego osobowości; cała sprawa nie miała nic wspólnego z nowoczesnym biurem w tętniącej życiem dzielnicy. Potrzebował nowego terenu łowieckiego, zwłaszcza gdy w starym miejscu zamknięto szkołę sekretarek, skąd w ubiegłym roku uprowadził dwie studentki; ich powolną śmierć utrwalił na kasecie wideo. (Jak na ironię działalność Rona Badgetta była jednym z powodów, dla których skala przestępczości w starym centrum miasta w ostatnim czasie wzrosła).

Kilka tygodni temu, tuż po przeprowadzce do nowego budynku, Ron zauważył wychodzącą z gmachu uniwersytetu boską Tonyę Gilbert. Od tego czasu nie mógł przestać myśleć o obcisłym różowym bezrękawniku, powiewających na wietrze długich włosach i smukłych nogach - bez końca wyobrażał sobie leżące w piwnicy idealne ciało i moment, w którym zaciśnie garotę wokół długiej alabastrowej szyi.

Postanowiwszy, że Tonya będzie jego pierwszą ofiarą w NeDo, śledził ją przez kilka kolejnych dni, dlatego wiedział, że wychodząc z uniwersytetu, przechodzi na skróty alejką obok jego biura i przez dziedziniec opuszczonego budynku na tyłach firmy. Ron zaplanował uprowadzenie w najdrobniejszych szczegółach. Dowiedział się, że stary tunel przebiega dokładnie pod trasą dziewczyny, po czym zastawił pułapkę. Usunął starą kratkę ściekową, a dziurę zalepił cienką warstwą masy szpachlowej firmy Sheetrock, którą pomalował tak, by przypominała beton. Kiedy ubiegłej nocy dziewczyna postawiła na niej stopę, spadła dwadzieścia stóp w dół, wprost do tunelu. Ron zszedł, upewnił się, że jest nieprzytomna, wyłączył jej komórkę i wrzucił telefon do rury kanalizacyjnej (zaniepokoił się, kiedy komendant Knoblock oznajmił, że telefony wciąż emitują sygnał, nawet gdy są wyłączone; będzie musiał pamiętać o tym w przyszłości).

Zostawiwszy dziewczynę w tunelu, wrócił na powierzchnię i przykrył dziurę sklejką. Kiedy jednak wbijał kratkę na miejsce, musiał uderzyć w spróchniałą belkę. Drewno pękło, a wraz z nim runęła połowa budynku. Nie było mowy, aby mógł wrócić do tunelu tą samą drogą. Co gorsza, zawałiła się jedna ze ścian suterenu, odsłaniając z zewnątrz tunel, w którym została pogrzebana Tonya.

Dziewczyna, wciąż nieprzytomna, nie miała pojęcia, co zrobił Ron, ani nie byłaby w stanie go zidentyfikować. Mężczyzna wiedział jednak, że to tylko kwestia czasu - ratownicy wkrótce natkną się na położoną w sąsiednim tunelu pracownicę; miejsce, w którym przechowywał noże, liny i kamery wideo, a na nich aż roiło się od odcisków jego palców.

W jednej z kamer wciąż jeszcze znajdowała się taśma wideo, która w żadnym wypadku nie mogła trafić w łapy policji. Ron próbował wrócić do kanałów i pozbyć się dowodów, budynek jednak groził zawaleniem. Poszukiwał innej drogi do podziemi, kiedy nadjechały pierwsze wozy strażackie - ktoś musiał usłyszeć łoskot i zadzwonił pod 911, zmuszając go do ucieczki.

Nawet po powrocie do domu rozpaczliwie starał się opracować plan działania, który umożliwiłby mu powrót do tunelu i pozbycie się obciążających dowodów. Kiedy Sandra poszła spać, Ron całą noc siedział, gapiąc się w telewizor, oglądając relacje z miejsca katastrofy i modląc się, żeby ekipy ratunkowe nie zdołały dotrzeć do tunelu przed nim. Modlił się także o to, by dziewczyna przeżyła. Jedyną szansą na powrót do pracowni było udawanie, że osobiście zamierza ją uratować.

Po koszmarnej, nieprzespanej nocy pod drzwiami Rona Badgetta pojawiła się policja (jego niepokój na widok detektywa Perillo nie miał, naturalnie, nic wspólnego z żadnym pożarem w biurze).

Kiedy panika minęła, uznał za prawdziwy łut szczęścia, że policja poprosiła go o pomoc; przecież to dzięki Knoblockowi i miejskim inżynierom dowiedział się, że istnieje inna droga, by dostać się do tunelu i zabrać to, co zostawił po sobie ubiegłej nocy. Kiedy dotarł już na miejsce i ogłuszył Langleya, zabrał sprzęt, starł odciski stóp i palców i bezszelestnie wymknął się z podziemi. W drodze powrotnej do służby pozbył się broni, lin i kamery, wrzucając je w szczeliny przewodów kanalizacyjnych i zalepiając otwory ziemią i błotem. (Naturalnie, zatrzymał kasetę wideo, na której uwiecznił śmierć ostatniej ze swych ofiar; w końcu było to jedno z lepszych nagrań).

Oczywiście, było mu trochę przykro, że to nie on uratował Tonyę, a przy okazji nie zgarnął nagrody. Jednak gdyby to zrobił, dziennikarze zaczęliby interesować się jego życiem i z pewnością odkryliby w nim kilka interesujących faktów - na przykład to, że zawsze mieszkał i pracował w pobliżu szkół, w których przez lata ginęły kolejne uczennice.

Poza tym co do jednej rzeczy był z Sandrą absolutnie szczerzy: miał w życiu inne priorytety niż ciulanie pieniędzy. Nie dbał o nagrodę. Za to Sandra nie myliła się, mówiąc, że istnieje drugie, znacznie ważniejsze oblicze Rona Badgetta.

Muszę, no wiesz, podążać za własnym, twórczym duchem. Muszę być wierny sobie...

Oczywiście, twórczy duch nie miał nic wspólnego z grafiką; błędził wokół lin, noży i pięknych studentek.

- Muszę przyznać - zaczęła Sandra - że nie do końca jestem pewna, czy to wszystko było takie, jak się zdaje.

Ron przyjrzał jej się z uwagą.

- Tak? - Miał nadzieję, że nie mówi o nim; kochał swoją żonę i wołał jej nie zabijać.

- Dziwne, że Langley zadzwonił po wypadku. Wiesz, właściwie zastanawiałam się, czy to nie on stoi za tym wszystkim.

- Żartujesz?

- Nie. Może facet podróżuje po kraju i podkłada bomby w budynkach i na platformach wiertniczych, a potem, kiedy ktoś zostanie uwięziony, dzwoni i zgarnia nagrodę za jego uratowanie. - Zachichotała. -1 wiesz, co jeszcze pomyślałam?

-Co?

- Że może Tonya i Langley oboje są w to zamieszani.

- Razem? - Widząc, że podejrzenia Sandry kierują się w zupełnie inną stronę, roześmiał się.

- Chodzi o to, że w relacjach dziewczyny z ojcem pojawiły się ostatnio problemy - Gilbert nie chciał dać jej pieniędzy na naprawę samochodu, pamiętasz? Możliwe, że w ten sposób pragnęła wyrównać rachunki. A zwróciłeś uwagę, że pracowała jako przewodniczka na szlaku Appalachów? Może poznała Langleya, kiedy ratował w parku jakiegoś turystę? Chodzi o to, że właściwie nic jej się nie stało. Może Tonya i Langley ukartowali to wszystko razem, żeby podzielić się nagrodą?

Ron był zdania, że dla kogoś, kto patrzył na całą sytuację z zewnątrz, takie teorie mogły mieć sens. Teraz, kiedy zaczął o tym myśleć, przyszło mu do głowy, że przeciętny obserwator mógł nawet podejrzewać, że to Sandra działała w zмовie z Langleyem. Jeśli damy na to, poznała go, pracując dla firmy naftowej, i jako inżynier zaprojektowała pułapkę, gdy podczas przeprowadzki zauważyła opuszczony budynek?

Ciekawa koncepcja, skonstatował z rozbawieniem Ron Badgett, jedyny człowiek, który wiedział, co tak naprawdę przydarzyło się dziewczynie.

- Możliwe - odparł. - Ale to już problem Langleya i Gilbert.

Wjechał na podjazd i nie gasząc silnika, wysiadł i otworzył żonę drzwi.

- Wrócę do biura i zobaczę, jak radzą sobie ze ścianą w piwnicy. - W końcu to miasto płaciło za remont suterenu.

Całując go na pożegnanie, Sandra obiecała, że poczeka z obiadem do jego powrotu.

Chwilę później Ron siedział już za kółkiem i jak szalony pędził do NeDo. Prawdę powiedziawszy, w ogóle nie dbał o piwniczną ścianę. Za dwadzieścia minut kończyły się na uniwersytecie ostatnie zajęcia, więc o tej porze musiał siedzieć za biurkiem, tuż przy oknie, obserwując wychodzące z uczelni studentki.

Dziewczyna z Tunelu została ocalona; Ron Badgett potrzebował kolejnej ofiary.

# Zasada Locarda

To delikatna sprawa natury politycznej. - Polityka - mruknął Lincoln Rhyme do przysadzistego, zaniedbanego mężczyzny, który opierał się o komodę w sypialni kryminalistyka na Upper West Side.

- Naprawdę, to ważne.

- I delikatne - uzupełnił Lincoln. W zasadzie nie przepadał za gośćmi; zwłaszcza tymi, którzy odwiedzali go o ósmej trzydzieści rano.

Detektyw Lon Sellitto odepchnął się od komody i pociągnął łyk kawy, którą podał przed chwilą pomocnik Rhyme'a, Thom.

- Niezła.

- Dzięki - odparł Thom.

- Nie - sprzecyzował Sellitto. - Miałem na myśli jego rękę.

Lincoln Rhyme, który od czasu feralnego wypadku w czasie oględzin miejsca zbrodni był tetraplegikiem, został poddany specjalnej terapii; dzięki niej częściowo odzyskał władzę w prawej ręce. Był z tego niesamowicie dumny, nie lubił się jednak przechwalać, przynajmniej jeśli chodzi o własne osiągnięcia. Zignorował więc uwagę Sellitta i powrócił do ugniatania miękkiej gumowej piłeczki. Tak, czucie w dłoni faktycznie wróciło, jednak doznania z tym związane były najzupełniej dziwaczne. Lincoln czuł faktury i temperaturę, które wcale nie odpowiadały właściwościom piankowej gumy.

Kolejne chrząknięcie. Nacisnął piłkę palcem wskazującym.

- Nie przepadam za odwiedzinami, Lon.

- Mamy problem, Linc.

Jasne, delikatny problem natury politycznej, pomyślał Rhyme. Po chwili jednak dodał:

- Sam wiesz, że Amelia i ja prowadzimy w tej chwili kilka innych spraw. - Pociągnął przez słomkę solidny łyk mocnej kawy. Szklanka tkwiła w uchwycie po prawej stronie wezłowania. Po lewej zainstalowano mi-

krofon podłączony do systemu rozpoznawania głosu, a to urządzenie - dla odmiany - podpięto do układu sterującego otoczeniem, czyli centralnego układu nerwowego sypialni.

- Jak już mówiłem, mamy problem.
- Hm. - Kolejny łyk kawy.

Rhyme z uwagą przyjrzał się Łonowi Sellitto - detektywowi z wydziału zabójstw, z którym często współpracował, gdy sam jeszcze dowodził jednostką analizującą wszelkie ślady na miejscu zbrodni, należąca do nowojorskiej policji. Mężczyzna zdawał się zmęczony i Rhyme pomyślał, że niezależnie od tego, jak wcześniej sam się obudził, Sellitto od dawna już był na nogach i odpowiadał na wezwanie 10-29.

Sellitto wyjaśnił, że przedsiębiorca i działacz charytatywny Ronald Larkin, lat pięćdziesiąt pięć, został właśnie zastrzelony w sypialni swojego domu na Upper East Side. Ci, którzy dotarli na miejsce zbrodni pierwsi, znaleźli ciało biznesmena, jego ranną, szlochającą żonę, garstkę dowodów i - do tej pory - żadnego podejrzanego.

Zarówno federalni, jak i decydenci z NYPD - nowojorskiego wydziału policji - chcieli, aby to Rhyme i jego partnerka Amelia Sachs zbadali miejsce zbrodni; dochodzenie miał poprowadzić Sellitto. Rhyme'a często angażowano do ważnych spraw, ponieważ - mimo natury samotnika - był znaną osobistością, a jego obecność oznaczała, że zarówno burmistrzowi, jak i policyjnym szychom zależy na schwytaniu przestępcy.

- Znasz Larkina?
  - Odśwież mi pamięć. - Jeśli fakty nie dotyczyły jego pracy, to znaczny konsultacji ze specjalistami w dziedzinie medycyny sądowej lub kryminalistykami, Rhyme nie przywiązywał zbytniej uwagi do drobiazgów.
  - Daj spokój Linc, Ronald Larkin. Wszyscy go znają.
  - Lon, im prędzej mi powiesz, tym prędzej będę mógł odmówić.
  - Ma taki nastrój - wtrącił Thom, zwracając się do Łona.
  - Taa, od jakichś dwudziestu lat.
  - I jest coraz lepiej - odparł Rhyme z pogodnym zniecierpliwieniem, pociągając przez słomkę kolejny łyk kawy.
  - Ronald Larkin wzbogacił się na energetyce. Rurociąkowej, elektrycznej, wodnej, geotermicznej.
  - Był porządnym facetem - uzupełnił Thom, karmiąc Rhyme'a śniadaniem złożonym z jajecznicy i bajgla. - Wyczulonym na problemy środowiska.
  - Cóż za szczęśliwy dzień - odparł kwaśno Rhyme.
- Sellitto również poczęstował się bajgłem.
- W zeszłym roku przeszedł na emeryturę, przekazał firmę komus

innemu i wspólnie z bratem założył fundację. Od tej pory zrobił wiele dobrego w Afryce, Azji i Ameryce Łacińskiej. Mieszkał w Los Angeles, ale miał też dom w Nowym Jorku. Przyleciał do miasta z żoną wczoraj wieczorem. Wczesnym rankiem byli jeszcze w łóżku, kiedy ktoś zaczął strzelać przez okno i sprzątnął gościa.

- Włamanie?

-Nie.

Naprawdę? Rhyme był coraz bardziej zaintrygowany. Odwrócił głowę od kolejnego kęsa bajgla niczym dziecko grymaszące przy tartej marchewce.

- Lincoln - upomniał go Thom.

- Zjem później. Co z żoną?

- Oberwała, ale stoczyła się na podłogę, chwyciła telefon i zadzwoniła pod dziewięćset jedenaście. Zabójca nie czekał, by skończyć robotę.

- Co widziała?

- Chyba niewiele. Jest w szpitalu. Nie miałem okazji zamienić z nią więcej niż kilka słów. Histeryzuje. Pobrali się zaledwie miesiąc temu.

- No proszę, młoda żonka... Nawet jeśli została ranna, nie oznacza to, że nie wynajęła kogoś, żeby sprzątnął mężulka i trochę ją poharatał.

- Wiesz, Linc, już to przerabiałem... sprawdziłem ją. Brak motywu. Kobieta ma mnóstwo pieniędzy po ojcu. Poza tym podpisała umowę przedmażeńską. W razie śmierci Larkina dostałaby tylko sto tysięcy i zatrzymała pierścionełk zaręczynowy. Według mnie, gra niewarta świeczki.

- Taką umowę podpisał z żoną? Nic dziwnego, że facet był bogaty. Mówiłeś, że to delikatna sprawa natury politycznej?

- Facet był jednym z najbogatszych ludzi w Stanach, angażował się w sprawy krajów Trzeciego Świata i został sprzątnięty na naszym podwórku. Wierz mi, burmistrz nie jest szczęśliwy. Góra też.

- A to oznacza, że jesteś małym, smutnym szczeniakiem.

- Chcą ciebie i Amelii, Linc. Daj spokój, to interesująca sprawa. Lubisz wyzwania.

Po feralnym wypadku na stacji metra, który doprowadził go do kalectwa, życie Lincolna Rhyme'a uległo diametralnej zmianie. Wcześniej kryminalistyk bezustannie krążył po placu zabaw, zwanym Nowym Jorkiem, obserwując ludzi, dowiadując się, gdzie mieszkają, czym się zajmują, zbierając próbki ziemi, materiałów budowlanych, roślin, owadów, śmieci, skał... wszystkiego, co mogłoby pomóc w rozwiązaniu sprawy. Myśl, że nie może już tego robić, była potwornie irytująca, a zawsze niezależny Lincoln Rhyme nie znoślił świadomości, że oto musi polegać na innych.



Lincoln Rhyme zawsze był intelektualistą. Przed wypadkiem za najgorszego wroga uważał nudę. To się nie zmieniło. A Sellitto - oczywiście celowo - użył dwóch słów, które zawsze przykuwały jego uwagę.

„Interesująca”... „wyzwanie”...

- A więc jak, Linc?

Chwila ciszy, w czasie której Rhyme zerknął na zjedzony do połowy bajgiel. I tak stracił już apetyt.

- Chodźmy na dół. Zobaczymy, czy dowiemy się czegoś więcej o śmierci pana Larkina.

- Dobra - odparł z ulgą Thom. To on najczęściej odczuwał skutki humorów Rhyme'a, zwłaszcza wtedy, gdy kryminalistyk był zaangażowany w nieinteresujące, niestanowiące wyzwania sprawy, tak jak miało to miejsce ostatnio.

Przystojny blondyn, dużo silniejszy, niż wskazywałaby na to jego szczupła sylwetka, ubrał Rhyme'a w dres i przeniósł go z bogato wyposażonego łóżka na równie bogato wyposażony wózek inwalidzki Storm Arrow w kolorze sportowej czerwieni. Używając serdecznego palca - jedynego sprawnego palca lewej ręki, Rhyme wjechał wózkiem do maleńkiej windy, która zabrała go na parter miejskiej rezydencji przy Central Park West.

Chwilę później skierował wózek do saloniku, który na dobre pożegnał się z czasami, gdy był stylowym pokojem gościnnym w stylu wiktoriańskim. Pomieszczenie przekształcono w laboratorium kryminalistyczne, które mogło swobodnie konkurować z podobnymi pracowniami w średniej wielkości miastach Ameryki. Komputery, mikroskopy, substancje chemiczne, probówki, zlewki, pipety, półki pełne książek i wszelakiego zapleczenia. Sprzęt zajmował tu każdy milimetr powierzchni - z wyjątkiem masywnych, prostych stołów. Sploty kabli zalegały podłogę niczym uśpione węże.

Sellitto zszedł po schodach, kończąc bajgla - swojego albo Rhyme'a.

- Chyba skontaktuję się z Amelią - rzucił Rhyme. - Dam jej znać, że mamy do zbadania kolejne miejsce zbrodni.

- Właśnie, zapomniałem ci powiedzieć - odparł, przeżuując, Sellitto. - Już do niej dzwoniłem. Prawdopodobnie jest teraz na miejscu wydarzenia.

Amelia Sachs nigdy nie przeszła na drugą stronę ponurej kurtyny, która zwykle odgradza miejsce zabójstwa.

Wierzyła, że tak właśnie należy robić. Smutek i wściekłość, wywołane śmiercią, pozwalały jej lepiej wykonywać obowiązki.

Stojąc przed trzypiętrową, miejską rezydencją na Upper East Side na Manhattanie, rudowłosa detektyw miała świadomość wiszącego nad budynkiem niewidzialnego całunu i być może wyczuwała go silniej niż zwykle, wiedząc, że śmierć Rona Larkina mogła dotknąć wielu, wielu potrzebujących ludzi na całym świecie. Co po jego odejściu stanie się z fundacją?

- Sachs? Gdzie jesteśmy? - W słuchawce rozległ się zniecierpliwiony głos Rhyme'a. Policjantka skręciła regulator głośności.

- Właśnie przyjechałam - odparła, skubiąc paznokcie. Miała tendencje do zadawania sobie bólu na mnóstwo małych sposobów - zwłaszcza wtedy, gdy czekały ją oględziny miejsca zbrodni, w którym wydarzyła się tragedia taka jak ta. Czowała przymus, aby jak najlepiej wykonać robotę. Mieć pewność, że zabójca zostanie zidentyfikowany i zapuszkowany.

Była w ubraniu roboczym: nie w ciemnym kostiumie, który preferowała jako detektyw, lecz w białym kombinezonie z kapturem, jakie noszą technicy, by nie skazić miejsca zbrodni włosami, złuszczonym naskórkiem ani żadnym z tysięcy dowodów, które nieustannie nosimy ze sobą.

- Nic nie widzę, Sachs. Co jest?

- Już. Teraz lepiej? - Wcisnęła przycisk przy zestawie słuchawkowym.

- No, cudownie. Hm. Czy to było geranium?

Sachs patrzyła na stojącą przy drzwiach donicę z wyschniętą, skarłałą rośliną.

- Rozmawiasz z niewłaściwą dziewczyną, Rhyme. Ja kupuję kwiaty, sadzę je i powoli zabijam.

- Słyszałem, że czasami potrzebują trochę wody.

Rhyme był w swoim domu, półtorej mili od Central Parku, w tej chwili jednak widział dokładnie to co Sachs dzięki urządzeniu o dużej rozdzielczości, które przekazywało obraz z przypiętej do słuchawek kamery wprost do wozu szybkiego reagowania jednostki CSU. Stamtąd obraz kontynuował swą bezprzewodową podróż, by w końcu pojawić się na płaskoekranowym monitorze, stojącym w odległości dwóch stóp od twarzy kryminalistyka. Pracowali razem od lat, Rhyme w laboratorium lub sypialni, Sachs w terenie, przekazując mu swoje spostrzeżenia za pomocą nadajnika. W przeszłości próbowali już kamery, lecz obraz nie był wystarczająco wyraźny, by pomóc w śledztwie. Rhyme bezustannie molestował NYPD, by ten zainwestował grube pieniądze w zestaw o wysokiej rozdzielczości.

Testowali go już wcześniej, teraz jednak po raz pierwszy był wykorzystywany w sprawie.

Niosąc walizkę z podstawowym sprzętem kryminalistycznym, Sachs ruszyła w stronę budynku. Zerknęła na leżącą przed drzwiami wycieraczkę z napisem LES - Larkin Energy Services - i widoczną nad nim błyskawicą.

- Jego logo?
  - Chyba tak - odparła. - Czytałeś artykuł na temat Larkina?
  - Musiałem go przeoczyć.
  - Był jednym z najbardziej lubianych szefów w kraju.
  - Wystarczy jeden niezadowolony pracownik - mruknął Rhyme.
- Zawsze zastanawiałem się nad tym słowem. Czy szczęśliwy pracownik to „zadowolony” pracownik? Gdzie miejsce zbrodni?

Sachs weszła do wnętrza domu.

Na parterze stał umundurowany funkcjonariusz. Na jej widok mężczyzna podniósł wzrok i skinął głową.

- Gdzie jego żona? - spytała Sachs. Najwyraźniej chciała ustalić chronologię wydarzeń.

Kobieta jednak, wyjaśnił funkcjonariusz, była wciąż w szpitalu, gdzie opatrywano jej ranę. Niebawem miała zostać wypisana. Towarzyszyło jej dwóch funkcjonariuszy z wydziału zabójstw.

- Będę chciała z nią porozmawiać, Rhyme.
- Kiedy wyjdzie ze szpitala, Ron przywiezie ją do mnie. Gdzie sypialnia? Nie widzę jej. - Sądząc po tonie głosu, Rhyme starał się zachować cierpliwość.

Czasami Sachs miała wrażenie, że jego gburowatość jest sposobem na odcięcie się od emocjonalnych pułapek pracy w policji. Były jednak chwile, kiedy wierzyła, że szorstkość po prostu leży w jego naturze.

- Sypialnia?

- Na górze, pani detektyw. - Policjant kiwnął głową w stronę schodów.

Sachs pokonała dwie kondygnacje stromych, wąskich stopni.

Miejsce zbrodni okazało się dużą sypialnią, urządzonej w stylu francuskiej prowincji. Meble i wystrój były niewątpliwie kosztowne, nadmierna wszakże ilość ozdóbek, zawijasów i udrapowanych materiałów - w kolorach krzykliwej żółci, zieleni i złota - działały Sachs na nerwy. Był to pokój architekta wewnątrz, nie właściciela domu.

Nieopodal odległego okna stało łóżko, nad którym -jak na ironię - wisiał obraz przedstawiający leżące na kuchennym stole, ustrzelone ptaki. Pościel wałała się na podłodze, zrzuciona zapewne przez ratowników, którzy starali się uratować Ronalda Larkina. Na prześcieradle i poduszkach widniały wielkie brązowe plamy krwi.

Sachs podeszła bliżej i przez chwilę się zastanawiała, czy znajdzie w pomieszczeniu jakies...

- Jakież ślady po kulach? - spytał Rhyme.

Uśmiechnęła się. Właśnie o tym myślała. Zapomniała, że Rhyme widzi teraz dokładnie to co ona.

- Chyba nie. - Nie zauważyła żadnych śladów po stronie łóżka, na której spał Larkin. - Będziemy musieli porozmawiać z lekarzem sądowym.

- Coś mi mówi, że zabójca mógł użyć pocisków rozpryskowych.

Profesjonalni zabójcy czasami kupują lub robią pociski, które rozrywają się w ciele na kawałki - sieją one większe spustoszenie i znacznie częściej zadają śmiertelne rany. Wystrzelony z tak małej odległości - około sześciu stóp - pocisk powinien przebić czaszkę na wylot.

- Co to? - spytał Rhyme. - Po lewej?

- No proszę. - Sachs spoglądała na połączany nocny stolik i dziurę po kuli, z której sterczały kawałki włókna. Chwilę później podniosła poduszkę. Pociski przeszły ją na wylot. Znalazła kolejną dziurę - tym razem w ścianie. A na podłodze niewielką plamę krwi - prawdopodobnie żony zamordowanego. Tam też wałały się odłamki zmatowiałego ołowiu. - Taa. Rozpryski.

Potrząsnęła głową.

- Co robisz, Sachs? Kręci mi się w głowie.

- Cholera. Zapomniałam, że jesteśmy połączeni. Właśnie myślałam o nabojach. O bólu.

Pociski rozpryskowe powodują mniejsze drętwienie niż zwykłe kule, ale znacznie większy ból, kiedy odłamki rozpryskują się w ciele ofiary.

- Tak, cóż... - Nawet Rhyme zdawał się oszczędny w słowach.

Później przyjdzie czas na zebranie próbek i zrobienie zdjęć. Najpierw jednak Sachs zamierzała ustalić, w jaki sposób działał morderca. Aby to zrobić, wyszła na mały balkon, gdzie znalazła trzy uschnięte rośliny doniczkowe. Było oczywiste, w którym miejscu stał zabójca, mierząc przez okno. Niewykluczone, że pierwotnie zamierzał włamać się do środka i strzelać z mniejszej odległości, jednak powstrzymały go zamknięte okna i drzwi balkonowe. Zamiast więc budzić ofiarę, wyważając zamki, postanowił stłuc szybę i strzelać do biznesmena i jego żony przez rozbite szkło.

- Jak się tam dostał? Z dachu? - spytał Rhyme. - Ależ nie, już widzę. Co, do diabła, jest na tym haku?

Sachs również się zastanawiała. Jak urzeczona wpatrywała się w bosak i przyczepioną do niego linę, której koniec nikał w ogródku na tyłach domu. Detektyw przyjrzała się bosakowi.

- Materiał, Rhyme. Flanela. Wygląda na to, że facet podarł koszulę.

- Żeby nikt nie słyszał, jak zarzuca hak. Spryciarz. Przypuszczam, że na linie są węzły.

- Tak, skąd wiedziałeś? - Wyrzała przez balkon, mierząc wzrokiem długą na trzydzieści stóp czarną linę. Węzły pojawiały się w regularnych, dwustopowych odstępach.

- Nawet najlepsi sportowcy nie potrafią wspinać się po linie cieńszej niż jeden cal. Można schodzić po niej w dół, ale nie wspinać się. Tak przy okazji, to grawitacja -jedno z czterech uniwersalnych praw fizyki. Wprawdzie jest najslabsza, ale działa cholernie dobrze. Ciężko z nią walczyć. W porządku, Sachs, przejdź się po siatce, weź, co masz zabrać, i wracaj do domu.

- Odbyłem ciekawą dyskusję z jednym koleśm. Siedzimy sobie w przytulnym BK\*. No, no, uśmiechnij się, kiedy do ciebie mówię.

Fred Dellray, którego głos rozbrzmiewał po drugiej stronie słuchawki, był najwyraźniej w Brooklynie. Rhyme wyobrażał go sobie w towarzystwie jednego z kapusiów. Wysoki, tyczkowaty agent FBI, o przenikliwych oczach, równie czarnych jak jego skóra, zarządzał siatką poufnych informatorów -jak kulturalnie określano donosicieli. Dellray, który aktualnie zajmował się walką z terroryzmem, nawiązał wiele międzynarodowych kontaktów.

Najwyraźniej jeden z nich postanowił podzielić się z nim plotkami dotyczącymi zabójstwa Ronalda Larkina. (Prawda była taka, że informatorzy nigdy nie wdawali się w dyskusje z agentami. Albo mówili, co mieli do powiedzenia, albo nie - a „nie” oznaczało, że policja może liczyć wyłącznie na łut szczęścia).

- Chodzą słuchy, Linc, że facet jest poważnym profesjonalistą, wiesz, co chcę powiedzieć. Na wypadek gdybyś nie wiedział, powiem tylko, że chodzi o pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze. I nie mówię tu o byle jakich, gównianych kilku dolcach, ale o naprawdę wielkim zleceniu.

- Jakież szczegóły na temat zabójcy? Rysopis?

- Wiem tylko tyle, że to obywatel Stanów Zjednoczonych, ale może posiadać inne paszporty. Sporo czasu spędził za granicą; chodzą plotki, że szkolił się w Europie. Ostatnio miał powiązania z Afryką i Bliskim Wschodem. Tyle że przecież to samo robią wszyscy niegrzeczni chłopcy.

- Najemnik?

- Najprawdopodobniej.

Rhyme brał udział w kilku sprawach dotyczących najemników, w jednej z nich całkiem niedawno. Chodziło o import broni w Brooklynie. W swojej karierze miał do czynienia z różnymi przestępcami, wie-

\* Skrót oznaczający Brooklyn.

dział jednak, że najemnicy są znacznie bardziej niebezpieczni od pospolitych ulicznych zbirów, nawet tych, którzy mają konszachty z mafią. Często znajdują dla aktów przemocy moralne usprawiedliwienie, są niebywale przebiegli i dysponują międzynarodową siatką kontaktów. W przeciwnieństwie do śmieci z drużyny Tony'ego Soprano, wiedzą, w jaki sposób przekraczać granice i przepadać jak kamień w wodę.

- Wiadomo, kto go wynajął?
- Niestety, nie mam pojęcia.
- Współpracował z kimś?
- Nie wiem, ale wielu z nich ma pomocników.
- Dlaczego zabito Larkina? - spytał Rhyme.

- To kolejna niewiadoma... - Dellray zasłonił słuchawkę dłonią i powiedział coś do informatora, który odrzekł coś szybko gorliwym, służalczym tonem, choć Rhyme nie był w stanie rozróżnić poszczególnych słów. Chwilę później ponownie usłyszał głos agenta: - Przykro mi, Lincoln. Mój przyjaciel nie słyszał o żadnych konkretnych powodach. A jestem pewien, że na pewno by mi o nich opowiedział. Widzisz, to człowiek, który zasługuje na miano prawdziwego przyjaciela. Żałuję, że nie mam nic więcej, Lincoln. Jeszcze popytam.

- Byłbym wdzięczny, Fred. - Rozmowa dobiegła końca.

Lincoln Rhyme odwrócił się do mężczyzny, który siedział obok niego na stołku, i skinął głową na powitanie.

Mel Cooper przyjechał w trakcie rozmowy Rhyme'a z Fredem Dell-rayem. Był drobnej budowy, łysiejącym mężczyzną po trzydziestce, poruszającym się z kocią gracją (wygrał kilka konkursów tańca towarzyskiego). Pracował jako technik w laboratorium kryminalistycznym, w wydziale wsparcia dochodzeniowego z siedzibą w Queens. Rhyme, który osobiście przyjął Coopera do NYPD, od czasu do czasu angażował go do kolejnych spraw, nad którymi pracowali w domu kryminalistyka. Teraz Mel włożył okulary o grubych szklach. Przez chwilę rozmawiali o najemniku, choć Rhyme widział, że wiadomość nie zrobiła na techniku szczególnego wrażenia. Cooper - podobnie jak Rhyme - wolał informacje dostarczane przez mikroskopy, urządzenia do pomiaru gradientu gęstości i komputery od tych, które zwykle dostarczali ludzie.

Kilka minut później kryminalistyk usłyszał odgłos otwieranych drzwi i rozbrzmiewający na marmurowej posadzce pewny krok Amelii Sachs. Tuż po nim nastąpiła cisza - znak, że policjantka weszła na dywan - i kolejne kroki, tym razem na drewnianej podłodze.

Sachs weszła do pokoju, niosąc ze sobą dwa pudła dowodów.

Powitała Mela Coopera promiennym uśmiechem, pocałowała Rhyme<sup>^</sup> i postawiła kartony na stole.

Cooper i Sachs włożyli lateksowe rękawice bez talku. I zabrali się do pracy.

- Najpierw broń - rzucił Rhyme.

Składając kawałek po kawałku odłamki kul, ustalili, że był to kaliber .32, prawdopodobnie wystrzelony z broni automatycznej - Sachs znalazła pochodzące z tłumika drobinki ognioodpornego włókna. Tłumików nie stosuje się w wypadku rewolwerów, lecz broni samopowtarzalnej i jednostrzałowej. Rhyme po raz kolejny pomyślał o profesjonalizmie najemnika, o którym wspomniał Dellray. Zabójca użył broni automatycznej, która wyrzuca zużyty mosiądz.

Niestety, kule były zbyt potrzaskane, by na ich podstawie udało się określić pochodzenie i typ broni. W czasie autopsji lekarz sądowy teoretycznie mógł znaleźć w ciele ofiary nietknięte pociski, Rhyme jednak szczerze w to wątpił; w zetknięciu z kością coś równie delikatnego musiało ulec uszkodzeniu.

- Odciski palców?

- Nic. Odciski lateksowych rękawiczek na oknie. Wygląda na to, że przetaił szybę, żeby mieć lepszy widok.

- Odciski butów? - mruknął poirytowany Rhyme.

- Nie na balkonie. A w ogrodzie, w okolicach liny? Zanim się wyniósł, zatarł wszystkie ślady.

Haki bosaka firmy CMI pokryto żywicą epoksydową. Zabójca obwiązał je pasami szaroniebieskiej flaneli, która - jak słusznie przypuszczała Sachs - pochodziła ze starej koszuli. Oczywiście, nie znaleźli żadnej metki.

*Profesjonalista...*

Lina okazała się linką spadochronową Mil-Spec 550, czarną, z nylonową powłoką, pokrywającą siedem wewnętrznych sznurków.

Cooper, który przeczesywał Internet w poszukiwaniu kolejnych informacji, podniósł wzrok znad komputera.

- Sprzedają ją na terenie całego kraju. Jest tania, więc facet na pewno zapłacił gotówką.

Znacznie lepiej było posiadać drogie dowody, coś, za co płacono łatwymi do namierzenia kartami kredytowymi.

Sachs wręczyła Cooperowi niewielką plastikową kopertę.

- Leżało obok bosaka.

- Co to? - spytał, spoglądając na zamkniętą w środku drobinę.

- Kłaczek. Możliwe, że z kieszeni zabójcy. Przypuszczam, że wyciągnął broń, kiedy tylko przeszedł przez balustradę.

- Spalę próbkę - odparł Cooper, odwracając się do stojącej w kącie wielkiej maszyny i uruchamiając ją.

- Co ze śladami? - spytał Rhyme.

- W ogrodzie nic. To samo na murze, na który musiał się wdrapać, żeby wejść do ogrodu. Kilka próbek pochodzi z balkonu. Mamy piasek i trochę ziemi, która nie pasuje do tego, co znalazłam w ogrodzie i doniczkach. Kawałek gumy - możliwe, że z podeszwy buta. Dwa włosy - czarne i kręcone. Niestety, bez cebulek.

To oznaczało, że analiza DNA nie ma sensu: aby ją przeprowadzić, potrzebne są cebulki. Mimo to włosy najprawdopodobniej należały do zabójcy. Ron Larkin był zupełnie siwy, a jego żona ruda.

Mel Cooper podniósł wzrok znad monitora chromatografu gazowego ze spektrometrem masy, w którym przeprowadzał analizę znalezionej na miejscu zbrodni włókna.

- Moim zdaniem, facet jest kulturystą. Dianabol. Steryd stosowany przez sportowców.

- Z jakich dyscyplin? - spytał Rhyme.

- Pytasz niewłaściwą osobę, Lincoln. Żeby zatańczyć fokstrotą czy walca, nie potrzebuję dopingu. Ale jeśli ślady dianabolu są obecne we włóknach kieszeni, można śmiało powiedzieć, że facet lubi sobie pouży-wać.

- Jest jeszcze to... - Sachs podniosła kolejną plastikową torebkę, która na pierwszy rzut oka zdawała się pusta, jednak kiedy Mel Cooper zerknął na nią przez szkło powiększające, okazało się, że znajduje się w niej fragment brązowego włókna.

Technik wyciągnął je i pokazał Rhyme'owi.

- Doskonale, Sachs - odparł kryminalistyk, pochylając głowę w kierunku znaleziska. - Nic nie umknie twojej uwadze. Co to?

Cooper umieścił włókno pod mikroskopem stereoskopowym i zajrzał w podwójny okular. Chwilę później wrócił do komputera, a jego zręczne palce zatańczyły na klawiaturze.

- Myślę... - ponownie zerknął na mikroskop - że to włókno kokosowe.

- To znaczy?

- Właśnie sprawdzam. - Przez chwilę czytał coś na monitorze, po czym oznajmił: - Przede wszystkim wykorzystywane do produkcji lin, dywanów, chodników, tac i bibelotów.

- Ale nie użyto go do produkcji naszej liny? - spytał Rhyme.

- Nie. Tamto to czysty nylon. Tu mamy coś innego. Włókno kokosowe pochodzi z kokosów. Największymi producentami są Maleszja, Indonezja i Afryka.



- To chyba nie zaprowadzi nas do drzwi mordercy, prawda? Co jeszcze mamy?

- To wszystko.

- Przeprowadźcie chromatografem analizę piasku i ziemi.

Wyniki analizy wykazały wysoki poziom oleju napędowego i wody morskiej.

- To wyjątkowy rodzaj oleju napędowego - ciągnął Cooper, odczytując informacje na monitorze komputera. - Zawiera mikrobiocydy. Obecność słonej wody oznacza, że prawdopodobnie jest to paliwo okrętowe. Olej napędowy na statkach często zostaje skażony mikroorganizmami. Aby temu zapobiec, producenci stosują rozmaite dodatki.

- Wygląda więc na to, że facet ma łódź - wtrąciła Sachs. - Albo mieszka w pobliżu doków.

- Albo przyplłynął łodzią - dodał Rhyme. Łodzie wciąż były jednym z najlepszych sposobów, by niezauważalnie dostać się na Wschodnie Wybrzeże, uniknąć blokad drogowych i obserwacji, zwłaszcza gdy ktoś chciał się pokręcić w okolicach Nowego Jorku.

- Spiszmy to wszystko na tablicy. Thom! Gdybyś... Thom?

- Tak? - Pomocnik wszedł do pokoju. Podobnie jak Sachs i Cooper miał na rękach gumowe rękawiczki. Różnica polegała na tym, że jego były żółte, z krzykliwym logo Playteksu.

- Mógłbyś zanotować nasze spostrzeżenia? - Rhyme kiwnął głową w kierunku białej tablicy. Thom ściągnął rękawiczki i zaczął pisać.

### ZABÓJSTWO RONALDA LARKINA

- Włókno kokosowe.
  - Ziemia z ogrodu pod balkonem.
  - Ciemne kręcone włosy. Brak cebulek.
  - Kawałek gumy, czarnej, prawdopodobnie z podeszwy buta.
  - Brak odcisków palców, odcisków stóp, śladów narzędzi.
  - Włókno zawierające ślady diana-**bolu**. Sportowiec?
  - Broń automatyczna, kaliber .32, tłumik, pociski rozpryskowe.
  - Bosak CMI, owinięty pasami starej flanelowej koszuli.
  - Lina Mil-Spec 550, z węzłami, czarna.
- Podejrzany:
- Obywatel USA, inne paszporty?
  - Szkolony w Europie.
  - Najemnik z kontaktami w Afryce i na Bliskim Wschodzie.
  - Brak motywu.
  - Wysoka zapłata.
  - Zleceniodawca nieznan.

Rhyme spojrział na listę, zatrzymując wzrok na jednym z punktów spisu.

- Lina - rzekł.

- Cóż... - Sachs zerknęła na Coopera. - Myślałam...

- Wiem, że to nylon. I że nie da się ustalić, skąd pochodzi. Jest w niej jednak coś interesującego.

Sachs potrząsnęła głową.

- Poddaję się.

- Węzły. Odkąd je zawiązał, zacisnęły się.

- Wciąż nie rozumiem, Linc - przyznał Cooper.

Kryminalistyk uśmiechnął się.

- Spójrzcie na nie jak na małe pudełka z dowodami. Zastanawiam się, co jest w środku, a wy? Otwórzmy je.

- Chciałeś powiedzieć: „Otwórz je, Mel”, prawda? - rzucił Cooper.

- Chciałbym ci pomóc, Mel, ale... - Uśmiechnął się rozbrajająco.

Technik ostrożnie wziął linę i zaczął rozwiązywać supeł.

- Jak żelazo.

- A więc tym lepiej dla nas. Cokolwiek znajdziemy w środku, możemy mieć pewność, że dostało się tam, zanim zawiązał węzły.

- Jeśli w ogóle coś znajdziemy - odparł Cooper. - To może być kompletna strata czasu.

- To mi się podoba, Mel. Brzmi jak najkrótsza recenzja oględzin miejsca zbrodni, czyż nie?

W czasach gdy Rhyme mieszkał sam, frontowy salon jego miejskiej rezydencji - oddzielony od laboratorium niewielkim korytarzem - odgrywał rolę przechowalni. Teraz jednak, kiedy Sachs spędzała tu większość czasu, ona i Thom przeprowadzili w pomieszczeniu generalny remont, przekształcając je w wygodny pokój dzienny.

Były tu współczesne obrazy artystów z Azji, jedwabne parawany z NoHo i East Village, wielki portret Houdiniego (prezent od kobiety, która pomagała im w śledztwie kilka lat temu), grafika z Blue Dog, dwie efektowne kompozycje kwiatowe i wygodne meble, sprowadzone aż z New Jersey.

Na kominku stała fotografia rodziców Sachs, na której nastoletnia Amelia wyglądała spod maski dodge'a chargera rocznik '68, nad którym pracowała z ojcem przez długie miesiące, zanim oboje doszli do wniosku, że pacjent jest nieuleczalnie chory.

Jednak nie tylko Sachs miała tu swoją galerię.

Po niekończących się bataliach Amelii udało się wysłać Thoma do piwnicy, skąd wrócił z oprawnymi w ramki zdjęciami i dyplomami,

pochodzącymi z czasów, gdy Rhyme pracował w nowojorskim wydziale policji. Wśród nich były również prywatne fotografie kryminalistyka. Kilka z nich przedstawiało Rhyme'a z okresu dzieciństwa w Illinois, z rodzicami i różnymi krewnymi. Na jednej chłopiec i jego rodzice stali przed domem, obok wielkiego niebieskiego sedana. Rodzice uśmiechali się do obiektywu. Lincoln także, choć w jego uśmiechu było coś innego - ciekawość - a oczy chłopca spoglądały w bok od aparatu.

Kolejne zdjęcie przedstawiało szczupłego, wysokiego nastolatka w sportowym dresie z logo szkoły.

Thom otworzył frontowe drzwi i wprowadził do pokoju trzy osoby: Łona Sellitto, korpulentnego mężczyznę po sześćdziesiątce, w szarym garniturze i koloratce, oraz ściskającą jego ramię bladą kobietę, o oczach równie czerwonych, jak jej włosy. Kobieta w ogóle nie zwróciła uwagi na wózek inwalidzki.

- Pani Larkin - zaczął kryminalistyk. - Nazywam się Lincoln Rhyme. To jest Amelia Sachs.

- Proszę, mówcie do mnie Kitty. - Kobieta powitała zgromadzonych skinieniem głowy.

- John Markel. - Wielebny uściśnął dłoń Sachs, witając Rhyme'a przygaszonym uśmiechem.

Wyjaśnił, że jego diecezja na Manhattan Upper East Side prowadzi działalność charytatywną na terenie Sudanu i Liberii, a także szkołę w Kongu. - Ron i ja pracowaliśmy razem od lat. Mieliliśmy zjeść dzisiaj razem lunch i porozmawiać o pracy. - Westchnął, potrząsając głową. - Wtedy usłyszałem wiadomość.

Duchowny natychmiast pojechał do szpitala, do Kitty, i postanowił, że będzie towarzyszył kobiecie w czasie wizyty u Rhyme'a.

- Nie musisz zostawać, John - szepnęła wdowa. - Ale dziękuję, że przyszedłeś.

- Edith i ja chcemy, żebyś została u nas na noc. Nie powinnaś być teraz sama - odparł mężczyzna.

- Dziękuję, John, ale powinnam zostać z bratem Rona i jego rodziną. No i, oczywiście, z jego synem.

- Rozumiem. Ale gdybyś czegoś potrzebowała, natychmiast dzwoń.

Kobieta skinęła głową i uściśnęła wielebnego.

Zanim mężczyzna opuścił dom, Sachs spytała go, czy podejrzewa, kto mógł być mordercą. Pytanie najwyraźniej zbiło duchownego z tropu.

- Zabić kogoś takiego jak Ron Larkin? To niewytłumaczalne. Nie mam pojęcia, kto mógł chcieć jego śmierci.

Podczas gdy Thom odprowadzał wielebnego do drzwi, Kitty przypnęła na kanapie. Chwilę później pomocnik kryminalistyka wszedł do pokoju, niosąc tacę z kawą. Kobieta wzięła filiżankę, jednak nie wypła ani łyka. Trzymała naczynie w zaciśniętych dłoniach.

Sachs wskazała głową widoczny na przedramieniu Kitty bandaż.

- Nic pani nie jest?

- Nie - odparła kobieta tak cicho, jak gdyby mówienie sprawiało jej ból. Chwilę później zerknęła na ramię. - Lekarz mówi, że to odłamek kuli. - Podniosła wzrok. - Może nawet tej samej, która zabiła Rona. Nie wiem, co o tym myśleć.

W rozmowie z Kitty Rhyme postanowił zdać się na Sachs, która znacznie lepiej radziła sobie w kontaktach z ludźmi.

Kitty i jej mąż podróżowali po kraju, organizując spotkania z właścicielami firm i organizacji charytatywnych. Ubiegłej nocy wrócili z Atlanty, gdzie spotkali się z jednym z producentów modyfikowanego mleka w proszku. Wsiadli do limuzyny na LaGuardia, a około północy byli już w domu.

- Samochód podwiózł nas pod same drzwi. Weszliśmy do środka i od razu się położyliśmy - było późno i byliśmy wykończeni. Później, wczesnym rankiem, coś usłyszałam. Obudził mnie jakiś dźwięk. Brzmiał jak odgłos szurania. Albo skrobania. Byłam jednak wciąż tak zmęczona, że nie ruszyłam się z łóżka. Po prostu leżałam z otwartymi oczami.

Prawdopodobnie to uratowało jej życie, pomyślał Rhyme. Gdyby przewróciła się na drugi bok albo wstała, zabójca zastrzeliłby ją pierwszą.

Później zobaczyła na balkonie sylwetkę mężczyzny.

- Z początku pomyślałam, że to facet od mycia okien. To znaczy, wiedziałam, że to nie może być on, ale byłam półprzytomna i wydawało mi się, że trzyma w dłoni gumową wycieraczkę do okien. Ale to nie była wycieraczka.

Tylko .32.

Kobieta usłyszała brzęk tłuczonego szkła, wystrzały, a chwilę później jej mąż zaczął charczeć.

- Wrzasnęłam i sturlałam się z łóżka. Zadzwoiłam pod dziewięćset jedenaście. Nie wiedziałam nawet, że sama jestem ranna, dopóki nie zobaczyłam, że krwawię.

Sachs delikatnie wyciągała z kobiety kolejne informacje. Zabójca był białym mężczyzną o ciemnych, kręconych włosach. Miał na sobie ciemne ubranie. I - co zauważyła kobieta - szerokie ramiona.

Sterydy...

Światło było zbyt słabe, by mogła zobaczyć jego twarz. Przypominając sobie to, co zobaczył w czasie oględzin miejsca zbrodni, Rhyme spytał:

- Czy po powrocie do domu wychodziliście na balkon? Może zauważyliście w domu coś niepokojącego? Poprzesuwane meble?

- Nie, poszliśmy prosto do łóżka. Tym razem to Sachs zadała pytanie:

- Skąd morderca wiedział, że będziecie w domu?

- Pisano o tym w prasie. Przyjechaliśmy spotkać się z osobami pozyskującymi sponsorów i szefami innych fundacji. Jeśli dobrze pamiętam, w „Timesie”.

- Podejrzewa pani, z jakich powodów zabito pani męża? - spytał Sellitto.

Kobieta splotła dłonie i Rhyme pomyślał, że za chwilę się załamie. Kitty jednak wzięła głęboki oddech i odparła:

- Wiem, że Ron miał wrogów. Kiedy był w Afryce czy na Dalekim Wschodzie, zawsze otaczali go ochroniarze. Ale tu... nie wiem. To wszystko było dla mnie takie nowe. Może chcecie porozmawiać z jego bratem? Kontaktowałam się z nim dziś rano. W tej chwili wracają z żoną z Kenii. Będą tu dziś wieczorem. Jeśli chcecie porozmawiać z kimś teraz, możecie zadzwonić do Boba Kelseya. Był prawą ręką Rona. Jest wstrząśnięty tym wszystkim, ale na pewno chętnie pomoże.

Tu głos odmówił jej posłuszeństwa. Kobieta zakrzuszyła się i zaczęła szlochać.

Sachs zerknęła na Rhyme'a, który łagodnie skinął głową.

- To wszystko, Kitty - powiedziała. - Nie chcemy cię zatrzymywać.

W końcu kobieta opanowała łzy.

Thom, który wszedł do pokoju, podał jej chusteczki higieniczne. Wdowa podziękowała i otarła twarz.

- Teraz - zaczął Lon Sellitto - znajdziemy kogoś, kto się panią zajmie.

Kitty pokręciła głową i roześmiała się smutno.

- Wiem, że wydaję się trochę roztrzęsiona, ale nic mi nie jest. Ja tylko... to wszystko mnie przytłoczyło. Zatrzymam się u brata Rona. Mam też rodzinę w okolicy. Ach, zupełnie zapomniałam. Syn Rona i jego żona wracają już z Chin. - Głęboki oddech. - To była najtrudniejsza rozmowa. Z jego synem.

- Cóż, pani Larkin, mam na myśli ochroniarza.

- Ochroniarza? Po co mi ochroniarz?

- Jest pani kluczowym świadkiem - wyjaśniła Sachs. - Zabójca próbował panią zabić. Istnieje szansa, że spróbuje ponownie.

- Ale ja naprawdę nie mam o niczym pojęcia.
  - On o tym nie wie - zauważył Rhyme.
  - Rola głównego świadka nie polega wyłącznie na zidentyfikowaniu przestępcy - wtrąciła Sachs. - Mogłaby pani złożyć zeznania dotyczące czasu zabójstwa, odgłosów strzałów, miejsca, w którym stał zabójca, i tego, w jaki sposób trzymał broń. Wszystkie te informacje mogą pomóc w skazaniu go.
  - Mamy w firmie ochroniarzy.
  - Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli zaopiekuje się panią któryś z funkcjonariuszy - rzekł Sellitto.
  - Chyba tak... racja. Po prostu nie wyobrażam sobie, że ktokolwiek mógłby chcieć mnie skrzywdzić.
- Rhyme zauważył, że Sellitto stara się uspokoić kobietę.
- Oczywiście - rzucił potargany gliniarz - szanse, że coś się stanie, są jak jeden do tysiąca. Ale dlaczego nie mielibyśmy stanąć po bezpiecznej stronie?

Przysadzisty mężczyzna stał przy kuchennym oknie w swoim domu w New Jersey. Odwrócony plecami do widoku - nie najgorszego: linii dachów Manhattanu - spoglądał na stojący w salonie mały, płaskoekra-nowy telewizor.

- Właśnie oglądam, kapitanie.

Minęło sporo lat, odkąd Carter był żołnierzem - obecnie pracował jako „konsultant do spraw bezpieczeństwa” i uważał, że tytuł ten jest równie dobry jak każdy inny -jednak po latach spędzonych w wojsku wolał zwracać się do ludzi według ich stopnia. On sam był po prostu Carterem. Dla ludzi, którzy go wynajmowali, i dla tych, z którymi pracował. Carter.

Komentator telewizyjny napomknął właśnie, że żona Ronalda Larki-na przeżyła atak i będzie kluczowym świadkiem w śledztwie.

- Hm - mruknął Carter.

Podczas misji zagranicznych często polegał na informacjach podawanych przez dziennikarzy. Był zdumiony, jak wiele istotnych szczegółów potrafili zdradzić w zamian za wysrane z palca historyjki, którymi ich karmił. Na ekranie pojawił się kolejny prezenter, rozwodząc się nad wszelkim dobrem, uczynionym przez Larkin Foundation, i pieniędzmi, jakie biznesmen przeznaczył na cele charytatywne.

Carter miał do czynienia z wieloma bogatymi ludźmi. Tylko kilku szejków na Bliskim Wschodzie miało tyle pieniędzy co Ronald Larkin.

- No i ten francuski biznesmen...

Ale on - podobnie jak Larkin - nie był już bogaty. Był martwy.

Larkin przyjechał do miasta na spotkanie z szefami innych organizacji charytatywnych. Podczas spotkania mieli rozmawiać o zespoleniu swych sił i stworzeniu potężnej organizacji charytatywnej, której celem byłaby pomoc Afryce dotkniętej głodem i nękaną chorobami.

*Połączmy się teraz z naszym wysłannikiem w Darfurze, w zachodniej części Sudanu...*

Ple, ple, ple. Carter wyłączył telewizję, ściskając pilota w potężnej dłoni.

Z uwagą wysłuchał kapitana, który był czymś wyraźnie zmartwiony.

Po chwili milczenia Carter odparł:

- Zajmę się tym, kapitanie. Dopilnuję, żeby wszystko poszło zgodnie z planem.

Kiedy rozmowa dobiegła końca, poszedł do sypialni i przeglądając szafę, znalazł garnitur. Zaczął naciągać granatowe spodnie, ale rozmyślił się. Odwiesił ubranie z powrotem do szafy i wybrał inne, w rozmiarze 48. Ukryta broń znacznie mniej rzuca się w oczy, kiedy człowiek ma na sobie garnitur większy o jeden rozmiar.

Dziesięć minut później Carter siedział za kółkiem zielonego jeepa cherokee, mknąc w stronę Manhattanu.

Robert Kelsey, łysiejący, wysportowany biznesmen, był w Larkin Foundation kierownikiem do spraw transakcji finansowych, co oznaczało, że rocznie rozdawał około trzech miliardów dolarów.

- To nie takie łatwe, jak się zdaje.

Rhyme przyznał mu rację, zwłaszcza gdy mężczyzna przedstawił pokrótce zasady funkcjonowania obowiązujących przepisów, prawa podatkowego, polityki Waszyngtonu, polityki krajów Trzeciego Świata i chyba zniechęcających najbardziej ze wszystkiego próśb od osób prywatnych i innych organizacji, które zgłaszały się do fundacji z rozdzierającymi serca problemami - ludzi, których trzeba było odesłać z pustymi rękami.

Mężczyzna siedział na tej samej kanapie, na której godzinę temu ulokowała się Kitty Larkin. On również roztaczał wokół siebie przedziwną atmosferę zatroskania i rozkojarzenia, charakterystyczną dla ludzi, którzy obudzili się, otrzymali tragiczne wieści i wciąż nie mogą się z nimi oswoić.

- Mamy kilka dowodów, kilka tropów - zwrócił się do mężczyzny Lon Sellitto - ale wciąż brakuje motywu. Wie pan, kto chciałby jego śmierci? Pani Larkin nie potrafiła nam pomóc.

Lincoln Rhyme rzadko interesował się motywami podejrzanych - uważał je za najslabszy punkt w sprawie. (Naturalnie, najmocniejszym

punktem były dla niego dowody). Mimo to oczywiste motywy mogły prowadzić do niezbitych dowodów, dzięki którym sąd ogłosi wyrok skazujący.

- Kto chciał jego śmierci? - powtórzył Kelsey z ponurym uśmiechem. - Jak na człowieka, który rozdawał miliardy głodującym dzieciom, bylibyście zaskoczeni liczbą jego wrogów. Przez ostatnie kilka lat nasze największe transporty przewoziły jedzenie i lekarstwa na HIV do Afryki oraz środki finansowe na szkolnictwo w Azji i Ameryce Łacińskiej. Najtrudniej pracowało się w Afryce. Darfur, Rwanda, Kongo, Somalia... Ron odmawiał przekazywania pieniędzy bezpośrednio do agend rządowych, zwykle bowiem znikały wówczas w kieszeniach urzędników. Dlatego kupowaliśmy jedzenie tu albo w Europie i przewoziliśmy je tam, gdzie było potrzebne. To samo z lekarstwami. Nie, żeby zapobiegało to korupcji. Z chwilą gdy statek wpływa do portu, uzbrojeni ludzie niemal natychmiast rzucają się na twój ryż czy zboże. Modyfikowane mleko w proszku jest rozkradane i albo się je sprzedaje, albo miesza z narkotykami. Lekarstwa na HIV zostają przepakowane do nowych butelek i sprzedawane ludziom, którzy kupują je za aktualną stawkę. Ci, dla których były przeznaczone, dostają rozcieńczone wodą popłuczyny albo samą wodę.

- Jest aż tak źle? - spytał Sellitto. - Chryste.

- O tak. Rocznie z powodu kradzieży i rabunków tracimy piętnaście, dwadzieścia procent naszych afrykańskich datków. I proszę mi wierzyć, że mamy więcej szczęścia od innych organizacji charytatywnych... Dlatego właśnie Ron był tak niepopularny. Upierał się, że głównie tam powinniśmy kontrolować dystrybucję jedzenia i lekarstw. Podpisaliśmy umowy z najlepszymi lokalnymi organizacjami, które miały się tym zająć. Czasami jednak takie grupy jak Liberian Relief sprzymierzają się z opozycyjnymi partiami politycznymi. Oznacza to, że stanowią zagrożenie dla aktualnego rządu.

Są też regiony, w których rządy mają naprawdę czyste ręce, i to one pomagają nam w dystrybucji, co z kolei sprawia, że stają się zagrożeniem dla opozycji. No i są jeszcze gubernatorzy wojskowi. I islamscy fundamentaliści, którzy w ogóle nie chcą pomocy z Zachodu. Armie i policje, które celowo głodzą ludzi, bo dla nich głód jest narzędziem walki... Ech, to prawdziwy koszmar.

Kelsey roześmiał się gorzko.

- Nie możemy też zapomnieć o wszystkich krajach, które prowadzą politykę antyamerykańską: bloku arabskim, Iranie i Pakistanie, Indonezji i Malezji na Dalekim Wschodzie... Oczywiście, to prywatna fun-



dacja, w tamtych regionach jednak jesteśmy traktowani jak piekielna odnoga Waszyngtonu. I chyba po części nią jesteśmy. A to tylko zagranica. Teraz porozmawiajmy o Ameryce.

- Tutaj? - spytała Sachs. - Miał wrogów w kraju?

- Oczywiście. Uważa pani, że działalność charytatywna jest domeną świętych? Proszę zgadnąć. Zajmowałem się rachunkowością spółek i proszę mi wierzyć, że najbardziej bezwzględni i drapieżni inwestorzy byli niczym w porównaniu z dyrektorami naczelnymi organizacji charytatywnych. Ron kupował jedzenie od mniej więcej sześciu dostawców ze Stanów i Europy. Nie jestem w stanie powiedzieć, ile ton zgniłego ryżu i kukurydzy próbowali nam wcisnąć. Większość z nich Ron zgłosił do Urzędu Kontroli Leków i Żywności.

W dodatku niektórzy dyrektorzy zdają się hołdować zasadzie, że pokrewieństwo przede wszystkim. Jedna z organizacji chciała z nami współpracować, ale Ron dowiedział się, że jej właściciel zarabia pięćset tysięcy rocznie i lata po kraju opłacanym z dofinansowania prywatnym odrzutowcem.

Ron odrzucił więc propozycję, zadzwonił do „Timesa” i opowiedział całą historię. Następnego dnia facet został wylany.

Kelsey zdał sobie sprawę, że za bardzo się denerwuje.

- Przepraszam. W dzisiejszych czasach trudno jest robić coś dobrego. A teraz, kiedy nie ma już Rona, będzie jeszcze trudniej.

- Co z życiem osobistym Larkina?

- Jego pierwsza żona zmarła dziesięć lat temu - odparł Kelsey. - Dorosły syn Rona zajmuje się spółkami typu joint venture w Chinach. Byli w bardzo dobrych stosunkach. Chłopak będzie zdruzgotany wiadomością.

- A obecna żona Larkina?

- Ach, Kitty? Była dla niego dobra i bardzo go kochała. Widzicie, ona ma własne pieniądze - jej ojciec prowadził firmę włókienniczą czy coś w tym stylu. Ron spotykał się z wieloma kobietami, które interesowały się wyłącznie jego pieniędzmi. Ale Kitty była inna.

- A jego brat? - spytał Sellitto.

- Peter? Co z nim...? Myślicie, że może być zamieszany w morderstwo? - Roześmiał się. - Nie, nie, to niemożliwe. Byli ze sobą bardzo blisko. Jemu także się powiodło. Ma własną firmę. Nie jest tak bogaty jak Ron, ale mówię tu o trzydziestu miliardach zamiast stu. Peter nie potrzebował pieniędzy. Poza tym wyznawali te same zasady i wkładali w fundację mnóstwo pracy. Dla Rona była to praca na pełny etat, ale Peter

spędzał dwadzieścia, trzydzieści godzin tygodniowo, pracując jako dyrektor naczelny we własnej firmie.

Sellitto poprosił o szczegółową listę nazwisk ludzi, którzy mogli żywić urazę do Rona Larkina.

Kelsey przez jakiś czas spisywał na kartce kolejne nazwiska, po czym wręczył detektywowi listę, mówiąc, że jeszcze nad tym pomyśli. Chwilę później, wyraźnie oszołomiony, pożegnał się i wyszedł.

Tuż po jego wyjściu do pokoju wszedł, poruszając zdrętwiałymi dłońmi, Mel Cooper.

- Jak tam misja? - spytał Rhyme.
- Masz pojęcie, ile było tych węzłów?
- Dwadzieścia cztery - odparł Lincoln. - A skoro użyłeś czasu przeszłego, musiałeś już skończyć rozplątywanie?
- Chyba mam zespół cieśni nadgarstka. Ale udało się.
- Znalazłeś wizytówkę?
- Możliwe, że coś w tym rodzaju. Łuskę. Bardzo małą łuskę.
- Czego?
- Ryżu.

Rhyme pokiwał głową i zacisnął usta. Chwilę później Sachs wypowiedziała na głos dokładnie to, o czym myślał:

- Z transportu, który fundacja miała wysłać do Afryki? To znaczy, że właśnie tam mogli zwerbować zabójcę.
- Albo wynajął go właściciel farmy. Ktoś, kto sprzedaje ryż. Możliwe, że to ta sama osoba, która sprzedała zgniłe zboże.
- I olej napędowy ze statku - dodał Cooper, kiwając głową w stronę tablicy. - Statki towarowe.

Sachs zapisała na tablicy kolejny punkt.

- Przejrzyjmy listę, którą dał nam Kelsey.

Mówiąc to, przypięła kartkę do tablicy.

- Lista podejrzanych? - parsknął Rhyme. - Ilu ich bywa w przypadku zwykłego zabójstwa? Góra pięciu, sześciu. - Wskazał głową listę. - Tu mamy większość obywateli Trzeciego Świata, połowę Bliskiego Wschodu i Europy, no i znaczną część korporacji Fortune Five Hundred.

- I pomyśleć tylko - wtrąciła Sachs - że jedyną rzeczą, jaką robił, było rozdawanie pieniędzy tym, którzy ich potrzebowali.

- Nie znasz powiedzenia - mruknął Sellitto - że żaden dobry uczynek nie ujdzie człowiekowi bezkarnie?

## ZABÓJSTWO RONALDA LARKINA

- Włókno kokosowe.
- Ziemia z ogrodu pod balkonem.
- Ciemne kręcone włosy. Brak cebulek.
- Kawalek gumy, czarnej, prawdopodobnie z podeszwy buta.
- Brak odcisków palców, odcisków stóp, śladów narzędzi.
- Włókno zawierające ślady diana-bolu. Sportowiec?
- Broń automatyczna, kaliber .32, tłumik, pociski rozpryskowe.
- Bosak CMI, owinięty pasami starej flanelowej koszuli.
- Lina Mil-Spec 550, z węzłami, czarna.
- Łuska ryżu, znaleziona w węźle.

### Podejrzany:

- Obywatel USA, inne paszporty?
- Szkolony w Europie.
- Najemnik z kontaktami w Afryce i na Bliskim Wschodzie.
- Brak motywu.
- Wysoka zapłata.
- Zleceniodawca nieznan.

Młody funkcjonariusz czuł się nieswojo.

Dopiero co zdobył stopień detektywa i wciąż czekał na oficjalny awans, a już przydzielono mu niewdzięczne zadanie eskortowania nieszczęsnej wdowy, którą najpierw miał odwiedzić do domu, skąd chciała zabrać trochę ubrań, a następnie przekazać ochroniarzowi.

Nie, żeby przesadnie wylewała swe żale. Nie, było wręcz odwrotnie. Kobieta zdawała się tak nieobecna, przygnębiona i płacziwa, że nie wiedział, co jej powiedzieć ani jak się zachować. Żałował, że nie ma z nim jego żony; na pewno uspokoiłaby tamtą w mgnieniu oka. Ale on? Nie, to było ponad jego siły. Naturalnie współczuł kobiecie, ale nie wiedział, jak to wyrazić. Dopiero pięć lat pracował w policji - głównie w patrolu -tak więc nieczęsto spotykał pogrążonych w smutku krewnych ofiar. Kiedyś śmieciarka uderzyła w bok stojącego na parkingu suwa, zabijając siedzącą za kierownicą kobietę. Musiał poinformować o wypadku jej męża, a widok przerażenia i smutku na twarzy mężczyzny prześladował go tygodniami.

Teraz pracował jako detektyw w wydziale narkotyków. Rzadko jakieś zwłoki, rzadko wdowy. Jednak żadna z nich nie przypominała tej kobiety. Większość w ogóle nie interesowała się faktem, że ich mężowie nie żyją.

Obserwował Kitty Larkin stojącą w drzwiach domu, sparaliżowaną strachem.

- Coś nie tak? - spytał i natychmiast skarcił się w duchu.

Cholera...

Naturalnie chodziło mu o to, czy może zauważyła coś dziwnego w domu; coś, czemu powinien się przyjrzeć, o czym powinien poinformować Lona Sellitto. Jego dłoń powędrowała w kierunku glocka, którego w ciągu swej kariery wyjmował kilkakrotnie, nigdy jednak nie miał okazji użyć.

Kitty potrząsnęła głową.

- Nie - szepnęła, jak gdyby nagle uświadomiła sobie, że przystanąła.

Przepraszam. - Przekroczyła próg. - Zaraz wrócę. Spakuję tylko torbę.

Detektyw, krążąc od drzwi wejściowych na tyły domu i z powrotem, zobaczył parkującego na ulicy czarnego sedana.

Z samochodu wysiadła czarnoskóra kobieta. Podeszła do detektywa i machnęła mu przed nosem policyjną odznaką.

Amerykański Departament Stanu.

- Przejmuję ochronę nad panią Larkin - rzuciła z lekkim akcentem, którego mężczyzna nie był w stanie rozpoznać.

- Pani...

- Przejmuję ochronę nad panią Larkin - powtórzyła wolno kobieta.

Dobrze, pomyślał zadowolony, że nie będzie musiał siedzieć i gapić się na zapłakaną wdowę. Po chwili jednak pomyślał: Chwileczkę.

- Sekunda.

- Co to znaczy?

Gliniarz wyciągnął telefon i zadzwonił do kapitana Sellitto.

- Taa? - usłyszał w słuchawce szorstki głos.

- Detektywie, chciałem powiadomić, że po panią Larkin przyjechał ochroniarz. Kobieta z Departamentu Stanu, nie od nas.

- Że co?

- Departament Stanu.

- Taa? Jak się nazywa?

Detektyw poprosił kobietę, by jeszcze raz pokazała swą odznakę.

- Norma Sedgwick.

- Zaczekaj chwilę.

- Muszą sprawdzić - wyjaśnił młody gliniarz.

Kobieta nie była zła, jednak malujące się na jej twarzy zniecierpliwienie mówiło samo za siebie i nowicjusz odebrał je jak upokarzającą uwagę. Dobra, ty federalna suko, pomyślał, nigdy nie oberwałaś od na-ćpanego osiemnastolatka, uzbrojonego w sig-sauera i nóż? To mu się właśnie przydarzyło w zeszły poniedziałek wieczorem.

Uśmiechnął się do niej.

Po drugiej stronie Lon Sellitto przesłonił aparat dłonią i najwyraźniej z kimś rozmawiał. Detektyw zastanawiał się, czy tym kimś jest sławny Lin-

coln Rhyme. Wiedział, że Sellitto pracuje z nim od czasu do czasu. Sam nigdy nie poznał Rhyme'a. Krążyły nawet plotki, że facet w ogóle nie istnieje.

Po kilku minutach, które zdawały się wiecznością, w słuchawce rozległ się głos kapitana.

- Dobra, w porządku.

Dziękuję, pomyślał detektyw. Teraz spokojnie mógł zostawić panią Larkin razem z jej troskami i uciec tam, gdzie czuł się najlepiej - do narkotykowego światka we wschodniej części Nowego Jorku i w południowym Bronksie.

- Dokąd jedziemy, Normo? - zwróciła się do krągłej, atrakcyjnej agentki siedząca na tylnym siedzeniu lincolna town car Kitty.

- Do hotelu niedaleko naszego biura w Midtown. Właściwie zajmujemy jedno z górnych pięter, więc może być pani pewna, że bez pani zgody nikt tam nie wejdzie. Będzie tam pani jedyną osobą. Ja zajmę pokój po przeciwnej stronie korytarza. W nocy dojdzie jeszcze jeden agent. Nie jest to najlepszy hotel na świecie i pewnie wolałaby pani coś bardziej luksusowego, ale nie będzie tak źle. W każdym razie to bezpieczniejsze, niż gdyby miała pani zostać we własnym domu.

- Może - odparła szeptem wdowa. - Ale chcę tam wrócić tak szybko, jak tylko to będzie możliwe. - Podniosła wzrok i zerkając w lusterko wsteczne, zobaczyła wpatrzoną w siebie twarz agentki. - Miejmy nadzieję, że wszystko się wkrótce wyjaśni.

Kolejne minuty upłynęły w milczeniu.

- Jak tam ramię? - postanowiła przerwać ciszę Norma.

- To drobiazg, naprawdę. - Kobieta dotknęła bandaża. Rana wciąż bolała, jednak Kitty przestała brać środki przeciwbólowe, które zapisał jej lekarz.

- Dlaczego interesuje się mną Departament Stanu? Nie rozumiem.

- Cóż, pani mąż pracował za granicą.

- To znaczy?

- To dość delikatna sprawa. Sama pani rozumie.

Kiedy stało się jasne, że agentka nic już nie powie, Kitty pomyślała: To śmieszne. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, była ochrona. Postara się, aby po przyjeździe Petera Larkina i jego żony odesłano kobietę do biura.

Kitty myślała o Peterze i jego rodzinie, kiedy dotarło do niej, że Norma Sedgwick zeszywniała. Opuściła ramiona i wciąż zerkając w lusterko.

- Pani Larkin, obawiam się, że mamy towarzystwo.

- Co? - Kitty zerknęła za siebie. - To niemożliwe.  
- Nie, jestem pewna. Kilka razy próbowałam go zgubić, ale facet wciąż siedzi nam na ogonie.

- Chodzi o tego zielonego jeepa?
- Dokładnie tak.
- Kto prowadzi?
- Chyba mężczyzna. Biały. Zdaje się, że jest sam.

Kitty odwróciła głowę, nie mogła jednak nic dojrzeć. Samochód miał przyciemniane szyby.

Norma chwyciła za telefon i szybko wybrała numer. To szaleństwo, pomyślała Kitty. Bez sensu...

- Uwóżaj! - wrzasnęła agentka.

Rozpędzony cherokee przyspieszył i mknąc w ich kierunku, zepchnął kobiety z drogi, zmuszając je, by przejechały przez krawężnik i wjechały do parku.

- Co on wyprawia? - warknęła Norma.
- Nie wiem!

Chwilę później jęknęła do telefonu.

- Tu Sedgwick. Mamy towarzystwo! Na Madison i Dwudziestej Trzeciej. Park. Facet...

Jeep wycofał i nabierając prędkości, ruszył w ich stronę.

Kitty wrzasnęła, pochyliła głowę i z przerażeniem czekała na uderzenie.

Norma jednak wcisnęła pedał gazu i wjechała w głąb parku, zatrzymując się tuż przed siatką ogradzającą plac budowy. Jeep przejechał przez krawężnik i zatrzymał się nieopodal lincolna.

- Wysiadaaj, wysiadaaj, do cholery! - wrzasnęła agentka. - Szybciej! - Wyskoczyła z samochodu i trzymając w ręku broń, szarpnięciem otworzyła drzwi pasażera.

Przyciskając torebkę do piersi, Kitty niezgrabnie wysliznęła się z lincolna. W tej samej chwili Norma chwyciła ją za ramię i praktycznie zaciągnęła w kierunku pobliskich krzaków, płosząc spacerowiczów i bywalców parku. Jeep zatrzymał się. Drzwi kierowcy otworzyły się i Kitty mogłaby przysiąc, że widziała wymykającego się zza nich kierowcę.

- Nic ci nie jest? - Norma, ściskając broń w ręku, spojrzała na kobietę.
- Nie, nie! - krzyknęła Kitty. - Wszystko w porządku. Uwóżaj! Wysiadł z samochodu.

Napastnik, potężny biały mężczyzna w ciemnym garniturze i białej koszuli, szybkim krokiem ruszył w kierunku krzaków i zniknął za stosem materiałów budowlanych.

- Gdzie on jest? Gdzie?

Przerażona Kitty spojrzała na broń agentki. Sedgwick ścisnęła ją pewną ręką i najwyraźniej wiedziała, co robi. Były jednak w ślepych zaułku, bez możliwości ucieczki. Kitty zerknęła w kierunku samochodu. Nic.

Chwilę później coś poruszyło się nad ich głowami.

Norma stłumiła okrzyk, a gdy Kitty podniosła głowę, ujrzała wspinającego się po siatce uzbrojonego mężczyznę.

Nie był to jednak zabójca. Obie kobiety patrzyły na umundurowanego funkcjonariusza nowojorskiej policji. Mężczyzna najwyraźniej zauważył odznakę Normy, nie zamierzał jednak ryzykować. Wymierzył broń prosto w agentkę.

- Opuść broń i wylegitymuj się!

- Jestem z Departamentu Stanu. Ochraniam ją.

- Opuść broń i pokaż identyfikator.

- Chryste - warknęła Kitty. - Ona mnie chroni. Ktoś nas ściga.

Norma opuściła broń i wolną ręką wyciągnęła identyfikator. Mężczyzna zerknął na plastik i pokiwał głową.

- Powinna pani to zgłosić.

- Nie miałam czasu. Uważaj, tam! Biały mężczyzna, wielki. Zepchnął nas z drogi. Prawdopodobnie jest uzbrojony.

- O co mu chodzi?

- Ona jest świadkiem w sprawie zabójstwa.

Funkcjonariusz zmarszczył brew.

- To on? - Patrzył teraz na samochód Normy. Kitty zauważyła przykucniętego za nim człowieka.

- Tak - rzuciła agentka. - Padnij! - warknęła do Kitty, popychając ją na asfaltowe przejście.

Kitty była wściekła. Trzeba było się uprzeć i zostać w domu.

- Zaczekajcie tu! - zawołał policjant i ruszył w stronę samochodu. - Policja! Nie ruszaj się!

Zabójca jednak wiedział już, że nie poradzi sobie z dwójką funkcjonariuszy, i jak oszalały pognął w kierunku swego wozu. Na wstecznym biegu przejechał przez krawężnik i wpadł na Madison, pozostawiając za sobą smuzkę błękitnego dymu.

Dzięki systemowi wideo o dużej rozdzielczości siedzący w laboratorium Lincoln Rhyme obserwował wnętrze czarnego lincolna i rozmawiającą z Sachs i Lonem Sellitto Kitty Larkin. Roztrzęsiona kobieta łamiącym się głosem relacjonowała detektywom ostatnie wydarzenia.

To cacko to prawdziwy wynalazek, pomyślał Rhyme. Patrząc w ekran, miał wrażenie, jak gdyby cała trójka siedziała naprzeciw niego.

- Nie wiem dokładnie, co się stało - ciągnęła Kitty. - Wszystko roze grało się tak szybko. Nawet dokładnie go nie widziałam.

To samo mówiła Norma Sedgwick. Zeznania kobiet różniły się co do barwy jeepa, wzrostu napastnika i koloru jego koszuli.

Świadkowie... Rhyme nigdy nie ufał ich zeznaniom. Nawet najbardziej rzetelni potrafili się pogubić. Pomijali szczegóły. Błędnie interpretowali to, co widzieli.

Zaczynał się niecierpliwić.

- Sachs.

Zobaczył, jak obraz drgnął, kiedy usłyszała jego głos.

- Przepraszam - zwróciła się Amelia do Kitty i Łona. Obraz zawirował; Sachs wysiadła z samochodu i odeszła kawałek dalej.

- O co chodzi, Rhyme?

- Nie musimy się martwić tym, co widziały albo czego nie widziały. Chcę, żebyś przeszukała miejsce. Cał po calu.

- W porządku, Rhyme. Zabieram się do roboty.

Sachs szła po siatce - dla Rhyme'a był to najbardziej szczegółowy, dla innych najbardziej męczący sposób badania miejsca zbrodni - z charakterystycznym dla niej skupieniem. Obecny na miejscu technik z Queens umieszczał kolejne dowody na tyłach wozu szybkiego reagowania. Jak się okazało, jedynymi rzeczami, związanymi z zabójstwem Larkina, były kolejne dwa włókna kokosowe. Jedno z nich przywarło do maleńkiej czarnej drobinki, która mogła pochodzić ze starej, oprawnej w skórę książki; Rhyme pamiętał, że kilka lat temu natknął się na podobny dowód.

- Nic więcej? - spytał poirytowany.

-Nic.

Westchnął.

W kryminalistyce istnieje słynna zasada, zwana zasadą Locarda. Francuz Edmond Locard -jeden z pionierów medycyny sądowej - stworzył regułę przeniesienia, zakładającą, że w trakcie zbrodni zawsze dochodzi do wymiany dowodów (Locard nazywał je drobinkami) pomiędzy sprawcą a miejscem zbrodni lub samą ofiarą.

Rhyme ufał tej zasadzie. Była ona siłą napędową w jego życiu, dzięki której bezustannie mobilizował swoich współpracowników i samego siebie. Jeśli udałoby się udowodnić tę skądinąd wątpliwą zależność, istniała szansa, że uda się schwytać mordercę, rozwiązać zagadkę i zapobiec kolejnym zbrodniom.



Odnalezienie tego ogniwa wymaga jednak, by śledczy najpierw zlokalizował, zidentyfikował i ocenił znaczenie dowodów. Jeśli chodzi o zabójstwo Larkina, Rhyme nie był pewien, czy się to uda zrobić. W grę wchodziły rozmaite okoliczności - środowisko, osoby trzecie, zrządzenia losu. Poza tym zabójca mógł być zbyt przebiegły i skrupulatny. Zbyt profesjonalny, jak zauważył Fred Dellray.

Sachs brała sobie do serca każdą porażkę.

- Przykro mi, Rhyme. Wiem, że to ważne.

Powiedział kilka słów pocieszenia. Żeby się nie przejmowała, że skupią się na dowodach, które już są w laboratorium, że może sekcja zwłok wykaze coś interesującego...

Przypuszczał jednak, że w jej uszach zabrzmiało to sztucznie, fałszywie.

Z pewnością tak właśnie brzmiało dla niego.

- Nic ci nie jest? - spytała Norma.

- Od upadku bolą mnie kolana.

- Przepraszam za tamto - bąknęła agentka, spoglądając na Kitty w lusterku. Norma miała wysokie kości policzkowe i egzotyczne oczy Egipcjanki.

- Nie wyglupiaj się. Uratowałaś mi życie - odparła Kitty, choć w jej głosie wciąż jeszcze pobrzmiwała złość. Po tych słowach zamilkła.

Jechały przez kolejne dwadzieścia minut. Kitty uświadomiła sobie, że kręcą się w kółko i często zawracają. Raz spojrzała za siebie i zauważyła, że wciąż ktoś je śledzi - tyle że teraz był to nieoznakowany policyjny samochód, prowadzony przez tę wysoką funkcjonariuszkę o włosach ognistych jak jej własne, Amelię Sachs.

Zadzwonił telefon Normy. Agentka odebrała, rozmawiała z kimś przez chwilę, po czym rozłączyła się.

- To była ona, ta policjantka, która jedzie za nami. Mówi, że nigdzie nie widzi jeepa.

Kitty pokiwała głową.

- I nikt nie zauważył tablic rejestracyjnych?

- Nie. Ale prawdopodobnie i tak były kradzione.

Jechały dalej, skręcając w przypadkowe uliczki. Od czasu do czasu Sachs zniknęła, skręcała w jedną ulicę, wyjeżdżała z innej, najwyraźniej wciąż szukając zielonego jeepa.

- Myślę, że... - zaczęła agentka.

Zadzwonił telefon.

- Agentka Sedgwick... Co?

Zaniepokojona Kitty zerknęła w lusterko. O co tym razem chodzi? Miała już dość tej sytuacji.

- To Amelia - wyjaśniła Norma. - Mówi, że zauważyła jeepa. Jest gdzieś niedaleko.

- Gdzie?

- Jakieś dwie przecznice dalej. Jechał równoległe do nas. Wiedział, że nie może siedzieć nam na ogonie.

Przyłożyła telefon do ucha i po chwili zwróciła się do Kitty:

- Amelia jedzie za nim. Wezwała posiłki. Facet kieruje się w stronę FDR. - Wróciła do rozmowy z Amelią: - Jak nas namierzył...? Myślisz? Zaczekaj.

- Tam, na Madison Square Park, facet krył się za naszym samochodem, prawda? - zwróciła się do Kitty.

- Tak.

To samo powtórzyła rudowłosej policjantce. Chwila ciszy.

- Dobra, możliwe. Sprawdzimy to.

Rozłączyła się.

- Ona myśli, że może wcale nie chciał cię skrzywdzić. Zamierzał wykurzyć nas z samochodu i zamontować w nim pluskwę.

Pluskwę?

- To coś jak GPS, urządzenie samonaprowadzające. Zamierzam to sprawdzić. - Zatrzymała samochód i zwróciła się do Kitty: - Ty sprawdź tylne siedzenie. I swoje torby. Może ukrył urządzenie w środku. Chodzi o małe plastikowe albo metalowe pudełko.

Boże, co za koszmar, pomyślała wściekła Kitty. Kim, do cholery, był ten facet? Kto go wynajął?

Nerwowym szarpnięciem otworzyła bagaże, wyrzuciła na siedzenie całą ich zawartość i dokładnie wszystko przejrzała.

Nic.

- Hej, zobacz! - usłyszała.

Spojrzała przez okno na agentkę Departamentu Stanu i niewielki biały przedmiot o średnicy trzech cali, który spoczywał na chusteczce, by - jak przypuszczała - nie zniszczyć odcisków palców.

- Namagnesował pluskwę i przyczepił do felgi. Całkiem spora. Praw dopodobnie ma jakieś pięć mil zasięgu. Cholera, to był niezły pomysł. - Sedgwick położyła urządzenie przy krawężniku, przykucnęła i przez chusteczkę wyłączyła nadajnik.

Po chwili znów zadzwonił jej telefon. Agentka w milczeniu słuchała swej rozmówczyni, po czym oznajmiła ponurym głosem:

- Straciła go. Facet zniknął na Lower East Side.

Kitty z obrzydzeniem potarła twarz.

Norma poinformowała policjantkę o znalezisku, dodając, że razem z Kitty jadą do hotelu.

- Zaczekaj - wtrąciła wdowa, która z powrotem pakowała walizki. - Skąd wiesz, że zostawił tylko jeden nadajnik?

Agentka zamrugała oczyma i pokiwała głową. Chwilę później rzuciła do telefonu:

- Agentko Sachs, mogłaby nas pani podrzucić?

Amelia Sachs zjawiała się piętnaście minut później. Norma wręczyła jej nadajnik, który natychmiast trafił do plastikowej torebki.

Agentka niemal wpełzła Kitty do swego samochodu i trzy kobiety ruszyły w kierunku hotelu. Po drodze Sedgwick zadzwoniła do innego ochroniarza z Departamentu Stanu, by odebrał porzucony samochód i wziął go na szczególną kontrolę. Istniały podejrzenia, że zabójca mógł umieścić w samochodzie ładunek wybuchowy, więc na wszelki wypadek wezwano też brygadę antyterrorystyczną.

Sachs podrzuciła kobiety pod sam hotel, tłumacząc, że musi zawieźć nadajnik do laboratorium tego gliniarza na wózku, konsultanta, czy kimkolwiek był ten cały Lincoln Rhyme. Odjechała z piskiem opon.

Hotel okazał się obskurnym, nieprzyjemnym miejscem i Kitty pomyślała, że głównych świadków i dbających o ich bezpieczeństwo agentów powinno się umieszczać w bardziej komfortowych warunkach.

Agentka zamieniła kilka słów z siedzącym za biurkiem mężczyzną, wręczyła mu kopertę i wróciła do Kitty.

- Muszę się meldować?
- Nie, zadbaliśmy o wszystko.

Wjechały na czternaste piętro. Norma zaprowadziła Kitty do jej pokoju, sprawdziła, czy wszystko jest w porządku, i wręczyła kobiecie klucz.

- Możesz wzywać obsługę, kiedy zechcesz.
- Chcę tylko zadzwonić do rodziny, Petera i trochę odpocząć.
- Jasne, jak sobie życzysz. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, jestem w pokoju naprzeciwko.

Kitty umieściła na kłance wywieszkę „Nie przeszkadzać” i weszła do pokoju. Pomieszczenie okazało się równie tandetne jak główny hol i zalatywało tu stęchlizną. Kobieta opadła na łóżko i westchnęła. Zauważyła, że rolety nie zostały opuszczone. Karygodne niedopatrzenie jak na hotel, w którym ukrywano świadków. Podniosła się, zaciągnęła rolety i zapaliła światło.

Wybrała numer biura Petera Larkina i przedstawiła się. W milczeniu wysłuchiwała słów współczucia, którymi powitała ją sekretarka, i spytała,

kiedy Peter i jego żona wrócą do miasta. Około dziewiątej wieczorem. Poprosiła, by zadzwonili do niej, gdy tylko dotrą na miejsce.

Chwilę później zrzuciła buty, położyła się na łóżku, zamknęła oczy i zapadła w niespokojny sen.

Rhyme oparł głowę o zagłówek wózka. Poczul, jak dłoń Sachs delikatnie owija się wokół jego karku i zaczyna go masować. Przez moment czuł jej miękki dotyk, chwilę później jednak - mimo iż wiedział, że ręka wciąż tam jest - uczucie zniknęło, gdy palce Amelii przekroczyły magiczną granicę czwartego kręgu; miejsca odpowiedzialnego za jego kalectwo.

W innych okolicznościach takie zachowanie mogło skłaniać do przemyśleń - albo nad jego stanem, albo nad tym, co faktycznie łączy go z Amelią Sachs. Teraz jednak nie był świadom niczego poza tym, że musi jak najszybciej odnaleźć zabójcę Rona Larkina, człowieka, który rozdawał miliardy.

- Jak nam idzie, Mel?
- Daj mi minutę.
- Miałeś ich całe mnóstwo. Co jest?

Uczucie masowania ustało, ale nie dlatego, że Sachs przesunęła dłoń, lecz dlatego, że odeszła od fotela i pomagała teraz Cooperowi przygotować próbkę mikroskopową.

Rhyme po raz setny zerknął na zaktualizowaną tablicę, na której spisali dowody.

Odpowiedź była tam. Musiała tam być. Nie istniała inna możliwość. Brakowało świadków, brakowało oczywistego motywu, a nawet konkretnych podejrzanych.

Dowody, maleńkie fragmenty śladów. To w nich tkwiła odpowiedź.

Zasada Locarda...

Rhyme spojrział na zegar.

-Mel?

- Jeszcze chwileczkę - odparł cierpliwie technik, nie podnosząc wzroku znad mikroskopu Bausch & Lomb.

Jednak każda kolejna minuta oznaczała, że morderca jest sześćdziesiąt sekund bliżej ucieczki.

Albo - i tego najbardziej obawiał się Rhyme - sześćdziesiąt sekund bliżej popełnienia kolejnej zbrodni.

Carter siedział w zielonym jeepie, spoglądając na Brooklyn z miejsca nieopodal Port South Street.

Popijał kawę i podziwiał widok. Kliper z wysokim, smukłym masztem, mosty i zacumowane w porcie łodzie.

Carter nie miał szefa poza ludźmi, którzy go wynajmowali, i to on dysponował swoim czasem. Czasami wstawał wcześniej - o czwartej rano - i kiedy targ rybny w Fulton był jeszcze otwarty, jechał tam. Wałęsał się pośród straganów, gapiąc się na tuńczyki, kałamarnice, płastugi i kraby, rozmyślając o zamorskich portach, które widział w swym życiu.

Żałował, kiedy zamknięto targ. Przypuszczał, że doszło do tego z powodu problemów finansowych. Albo tak postanowiły związki.

Swego czasu Carter rozwiązał wiele takich problemów.

Zadzwoił telefon i mężczyzna zerknął na identyfikację numeru.

- Kapitanie - odezwał się pełnym szacunku głosem.

Słuchał uważnie, po czym odparł:

- Oczywiście. Mogę to zrobić. - Po tych słowach rozłączył się i wybrał zagraniczne połączenie.

Był zadowolony, że przez kolejne kilka minut nie musi nigdzie iść. Płynący po East River niewielki statek towarowy nabierał prędkości i przyjemnie było na niego patrzeć.

- *OuV*. - rozległ się głos gdzieś po drugiej stronie świata.

Carter zaczął rozmowę, nieświadom tego, że automatycznie przeszedł na francuski.

Dźwięk telefonu obudził Kitty.

Odebrała połączenie.

- Halo?

- Kitty? Jak się czujesz? - usłyszała w słuchawce głos Petera Larkina.

Widziała mnóstwo zdjęć tego mężczyzny, spotkała go jednak tylko raz, na własnym ślubie. Mimo to dobrze go pamiętała: wysoki, szczupły, z rzednącymi włosami. Braterskie podobieństwo ograniczało się jedynie do finansów.

- Och, Peter, to takie straszne.

- Radzisz sobie jakoś?

- Chyba tak. - Odchrząknęła. - Właśnie spałam i śnił mi się. Przebudziłam się i przez chwilę wszystko było dobrze. Później przypomniałam sobie, co się stało. To straszne. A jak ty się czujesz?

- Nawet nie pytaj. Nie spaliśmy w samolocie...

Przez kolejne minuty wymieniali wyrazy współczucia i Peter wyjaśnił, że oboje z żoną są jeszcze na lotnisku i właśnie przyjechały ich bagaże. Za godzinę czy dwie będą w domu. Jego córka, studentka Yale, już tam jest.

Kitty zerknęła na zegarek, który dostała od Rona. Był prosty, elegancki i prawdopodobnie kosztował dziesięć tysięcy dolarów.

- Powinniście dziś odpocząć. Przyjadę do was jutro rano.
- Oczywiście. Masz adres?
- Gdzieś tu jest. Ale... ale nie wiem gdzie. Po prostu nie potrafię logicznie myśleć.

Peter po raz kolejny podał adres swego domu.

- Miło będzie cię zobaczyć, Kitty.
- W takich chwilach rodzina musi trzymać się razem.

Kitty poszła do łazienki i umyła twarz lodowatą wodą, splukując z powiek resztki snu.

Chwilę później wróciła do pokoju, spojrzała na swe odbicie w lustrze, myśląc, jak bardzo różni się ono od kobiety, którą była naprawdę. Nie od Kitty Larkin, ale od kogoś nazwiskiem Priscilla Endicott, ztraconym gdzieś pośród długiej listy fałszywych nazwisk.

Kiedy jest się zawodowym zabójcą, człowiek nie może pozwolić sobie na to, by być sobą.

Jako lewicowy radykał w Stanach, zwolenniczka - a od czasu do czasu również egzekutor - przemocy politycznej, Priscilla wyjechała za granicę zaraz po ukończeniu college'u. Przez jakiś czas obracała się w środowiskach podziemnych organizacji, aż wreszcie skończyła, pomagając politycznym terrorystom w Irlandii i we Włoszech. Jednakże przed trzydziestką uznała, że nie wyżyje z polityki - przynajmniej nie z tej naiwnej, socjalistycznej - i postanowiła zaoferować swoje usługi tym, którzy chcieli za nie płacić: specjalistom od spraw bezpieczeństwa w Europie Wschodniej, na Bliskim Wschodzie i w Afryce. Kiedy i to nie zdało egzaminu, po raz kolejny zmieniła branżę, stając się „osobą przydatną” w najszerszym znaczeniu tego słowa.

Cztery miesiące temu, kiedy opalała się przy basenie w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, dostała telefon od zaufanego pośrednika. Po krótkich negocjacjach została wynajęta za pięć milionów dolarów do zabicia Rona Larkina, jego brata oraz żony, czyli trzech osób nadzorujących fundację Larkina.

Priscilla zmieniła wygląd: przybrała na wadze, ufarbowała włosy, nosiła kolorowe szkła kontaktowe i poddała się serii zastrzyków kolagenowych. Stała się Catherine „Kitty” Biddle Simpson, stworzyła sobie wiarygodną biografię i dzięki instytucjom charytatywnym w Los Angeles zbliżyła się do Larkina. Spędziła w Afryce wystarczająco wiele czasu, by wypowiedać się o niej ze swobodą i pewnością siebie. Wiedziała wiele

o dramatycznej sytuacji tamtejszych dzieci; w końcu niektóre z nich osobiście uczyniła sierotami.

Kitty wierzyła w swój urok (a także kilka innych walorów), więc kiedy zaczęli się spotykać, szukała sposobności, by jak najszybciej zakończyć kontrakt. Nie było to jednak łatwe. Naturalnie, mogła zabić Larkina w każdej chwili, jednak morderstwo osoby publicznej, tak znanej jak Ronald Larkin - nie wspominając już o jego bracie i szwagierce - okazało się trudniejsze, niż przypuszczała.

Wówczas Ron Larkin osobiście znalazł rozwiązanie i ku rozbawieniu Kitty oświadczył się jej.

Jako żona Priscilla Endicott miała nieograniczony dostęp do jego życia. Pozbyła się natrętnych ochroniarzy, a brat i szwagierka Larkina w sposób naturalny obdarzyli ją zaufaniem.

Pierwsze słowa, jakie wówczas padły z jej ust w odpowiedzi na propozycję, brzmiały:

- Tak, skarbie, ale nie chcę od ciebie żadnych pieniędzy.

- Cóż...

- Nie. Mam przecież fundusz powierniczy, który założył mój ojciec - wyjaśniła. - Poza tym, kochanie, nie pieniądze w tobie kocham, ale to, co robisz dla ludzi. Aha, no i jak na staruszka, masz jeszcze całkiem niezłe ciało - zażartowała.

Któż mógłby w takich okolicznościach ją podejrzewać?

Po krótkim okresie małżeńskiej sielanki (czyli sporadycznym seksie i wielu kosztownych obiadach z niezliczoną rzeszą nudnych biznesmenów) przyszedł czas na działanie.

We wtorkową noc przylecieli na LaGuardia (prywatnym odrzutowcem, więc Kitty mogła wziąć ze sobą broń oraz resztę ekwipunku), pojechali do miejskiej rezydencji i zaraz położyli się spać. Rankiem, o wpół do piątej, Priscilla ubrała się, włożyła lateksowe rękawiczki, przykręciła tłumik do swojego ulubionego automatu kaliber .32 i wyszła na balkon, czując w powietrzu chłodny, elektryzujący zapach Nowego Jorku. Podrzuciła dowody, dzięki którym zamierzała naprowadzić policję na fałszywy trop, przyczepiła bosak do balustrady i przerzuciła linę. Dopiero wówczas stłukła szybę i strzeliła, trafiając Rona trzy razy i wpakowując dwie kolejne kulki we własną poduszkę.

Następnie zadzwoniła pod 911 i rozhisteryzowanym głosem zgłosiła napad. Potem odkręciła tylną ściankę telewizora, ukryła w nim broń, tłumik, rękawiczki i amunicję; cążkami do skórek rozcięła sobie ramię i wetknęła w ranę odłamek pocisku. Chwiejnym krokiem zeszła na dół, by poczekać na policję. Wiedziała, że brat i szwagierka Rona wrócą do

miasta tak szybko, jak to będzie możliwe. Wówczas ich także zabije i uporzkuje wszystko tak, aby policja pomyślała, że za kolejnymi morderstwami stoi ten sam człowiek.

Perfekcyjny plan...

Należało jednak pamiętać, że choćby plany były naprawdę idealne, ich realizacja - jeśli można tak powiedzieć - nigdy nie jest łatwa.

Mój Boże, prawdziwy płatny zabójca - facet w jeepie - pojawił się, by ją sprzątnąć.

Jedynę wytłumaczenie, jakie przychodziło jej do głowy, to to, że mimo zmiany wyglądu i usilnych starań, by nie fotografowano jej w miejscach publicznych, któryś z jej wrogów - a tych w ciągu lat narobiła sobie wielu - rozpoznał w wiadomościach telewizyjnych jej twarz.

A może cała ta sprawa nie miała nic wspólnego z Priscillą Endicott; może zabójca chciał zamordować panią Kitty Larkin. Niewykluczone, że wynajęła go była żona Rona. Albo któraś z porzuconych kochanek.

Roześmiała się gorzko. Cóż, policja i agenci Departamentu Stanu chronili ją przed zabójcą - nie wiedzieli tylko, kogo faktycznie chronią.

Priscillą wzięła komórkę i wybrała numer (nie ufała hotelowym połączeniom).

- Halo? - usłyszała męski głos.
  - To ja.
  - Mój Boże, co się, u diabła, dzieje? Oglądam wiadomości - ktoś chce cię sprzątnąć?
  - Wyluzuj.
  - Kim, do cholery, jest ten facet?
  - Nie jestem pewna. W ubiegłym roku pracowałam w Kongu i komuś udało się zbiec. Może to on.
  - A więc facet nie ma z nami nic wspólnego?
  - Absolutnie nie.
  - Ale co z nim zrobimy?
  - Panikujesz! - fuknęła Priscillą.
  - Oczywiście, że panikuję. Co...
  - Weź głęboki oddech.
  - Co zrobimy? - powtórzył mężczyzna, w którego głosie czuło się coraz większe przerażenie.
  - Będziemy mieć z tego niezły ubaw.
- Cisza. Może pomyślał, że ona również traci głowę.
- Co masz na myśli? - spytał po chwili.
  - Zawsze mieliśmy problem ze znalezieniem innego podejrzanego, innego niż ty i ja, czyż nie?



-Tak.

- Wygląda na to, że właśnie go znaleźliśmy. Peter i jego żona będą w domu za jakąś godzinę. Wymknę się stąd, zabiję ich i wrócę, zanim glny zorientują się, że zniknęłam. Pomyślą, że zrobił to ten koleś z jeepa. Facet nie jest głupi. Kiedy usłyszy, że szukają go pod zarzutem morderstwa, prawdopodobnie zniknie. Ja będę bezpieczna, ty będziesz bezpieczny.

Przez chwilę mężczyzna milczał. W końcu się roześmiał.

- To się może udać - przyznał.

- Na pewno się uda. Co z resztą pieniędzy?

- Są już na twoim koncie.

- W porządku. Nie będę więcej dzwoniła. Oglądaj wiadomości. A, jeszcze jedno. Nie wiem, czy to cię zainteresuje... Ale zdaje się, że córka Petera przyjechała właśnie z college'u. Będzie tam, kiedy przyjdę z wizytą.

- W czym problem? - zapytał mężczyzna bez wahania.

- To chyba oznacza - odparła Priscilla - że nie ma problemu.

Dwie godziny później kobieta wysliznęła się z hotelu bocznymi drzwiami, niezauważona przez oficera dyżurnego. Wzięła taksówkę, z której wysiadła cztery przecznice przed domem Petera i Sandry Larkinów, resztę drogi pokonując piechotą.

Wystawny tryb życia tych ludzi i ich prywatne rezydencje na Manhattanie zdecydowanie działały na jej korzyść. Dostanie się do dużego budynku, w którym dyżuruje portier, i umknięcie jego uwagi potrafiło być prawdziwą zmurą.

Priscilla zatrzymała się przed domem i zajrzała do torebki, sprawdzając broń, którą wyjęła z odbiornika telewizyjnego w domu Ronalda Larkina, kiedy wróciła tam, by spakować walizki.

Ostrożnie weszła po schodach, rozglądając się po ulicy. Dookoła nie było żywej duszy. Włożyła lateksowe rękawiczki i nacisnęła dzwonek.

Po chwili usłyszała głos:

-Tak?

- Peter, to ja, Kitty. Muszę się z tobą zobaczyć.

- Och, Kitty - odparł mężczyzna. - Myśleliśmy, że przyjedziesz jutro. Dobrze, że jesteś. Wejź. Siedzimy w salonie na piętrze. Drzwi są otwarte. Zapraszam.

Pośród mglistej nocy rozległ się brzęk otwieranych drzwi.

Priscilla pchnęła drzwi i weszła do środka.

Myślała teraz o tym, w jakiej kolejności zabije Petera i jego rodzinę. Jeśli siedzą tam razem, musi szybko załatwić tych, którzy stanowią największe zagrożenie: w tym wypadku ochroniarzy (jeśli w ogóle jacyś bę-

dą). Później chłopaka córki, oczywiście, jeśli on także przyjechał. Następnie Petera Larkina. Peter był potężnym mężczyzną i mógł stanowić zagrożenie. Dla niego szybki strzał w głowę. Dalej córka, młoda i z pewnością dosyć wysportowana. Na samym końcu żona.

Po wszystkim zostawi w domu kolejne dowody, które połączą zbrodnie z zabójstwem Petera Larkina: sterydy, ciemne kręcone włosy (skradzione ze śmietnika za salonem fryzjerskim), kolejny kawałek gumy, zeszkrobany ze sportowego buta, który od dawna już gnął na wysypisku, oraz drobinki piasku i ziemi, zebrane na przystani w Los Angeles.

Priscilla powtarzała w myślach wyliczankę: Zlokalizować cel, poszukać ochroniarzy, sprawdzić pomieszczenia, znaleźć systemy zabezpieczające, zwłaszcza kamery. Namierzyć cel, nacisnąć spust, policzyć kule.

Wchodząc po schodach, czuła dokoła zatechłą woń nieużywanych od dawna pomieszczeń, choć musiała jednak przyznać, że miejsce robi wrażenie. Zarówno Peter, jak i Ron byli nieprzyzwoicie bogaci. Ich majątki szły w miliardy dolarów. Myśl, że tych dwóch dysponowało takim mnóstwem pieniędzy, na nowo obudziła w niej skrywane od dawna radykalne poglądy. Głosiły one, że pomimo wszelkich starań ze strony takich właśnie ludzi społeczeństwo wciąż cierpi niedostatek, a bogacą się wyłącznie najbogatsi. Sama Priscilla nie mogła jednak przyjąć postawy prawdziwie moralizatorskiej; ona także była bogatą kobietą i zawdzięczała to wyłącznie sztuce zabijania.

Sięgnęła do torebki, wyjęła i odbezpieczyła broń.

Szybkim krokiem weszła do salonu, ukrywając pistolet za plecami.

- Halo?

Zatrzymała się i rozejrzała po pustym pokoju.

Czyżby weszła nie tam, gdzie trzeba?

Telewizor był włączony. Wieża też. W salonie jednak nie było żywej duszy.

O nie...

Zawróciła, szykując się do ucieczki.

W tej samej chwili grupa taktyczna - pięciu ludzi - wypadła zza dwuskrzydłowych drzwi, mierząc w nią, wrzeszcząc, krzycząc i rozbrajając ją. W ciągu sekundy trzydziestkadwójka zniknęła z dłoni Priscilli Endicott, a ona sama leżała na podłodze z rękami skutymi na plecach.

Rhyme oceniał rezydencję z perspektywy chodnika.

- Całkiem tu ładnie - rzuciła Amelia Sachs.

- Wydaje się w porządku. - Architektura nie była jego mocną stroną.

Lon Sellitto również spoglądał na smukły budynek.

- Chryste. Wiedziałem, że są bogaci, ale coś takiego... - Stał w towarzystwie kapitana służb ratowniczych, który nadzorował operację.

Chwilę później drzwi otwarły się i stanęła w nich kobieta, którą wynajęto, by zamordowała Rona Larkina, jego brata i szwagierkę. Zważywszy na jej bezwzględność i pomysłowość, Rhyme i Sellitto nakazali, by nogi Priscilli Endicott również zostały skute.

Towarzyszący jej policjanci zatrzymali się, podczas gdy Rhyme zmierzył kobietę chłodnym wzrokiem.

- Czy została poinformowana o swoich...? - spytał jednego z gliniarzy.

Mężczyzna skinął głową.

Zabójczynie jednak nie troszczyła się o obecność swego prawnika. Nachyliła się w kierunku Rhyme'a i szepnęła:

- Jak? Jak, do cholery, to zrobiłeś?

Zasada Locarda, pomyślał kryminalistyk. Na głos jednak powiedział:

- Włókno. Włókno kokosowe od samego początku wydało mi się podejrzanym.

Kobieta pokręciła głową.

- Amelia znalazła je na balkonie. Pamiętałem leżącą przed domem wycieraczkę z logo Larkin Energy, którą zobaczyłem, kiedy przyszła na oględziny miejsca zbrodni. Przypomniałem sobie, że włókna kokosowe są używane do wyrobu dywaników i mat. Sprawdziła to później i okazało się, że włókno pochodzi z tej właśnie wycieraczki.

Pozostawało pytanie, jak trafiło z wycieraczki na balkon.

Nie mogło się tam dostać, kiedy ty i Ron ubiegłej nocy wróciliście do domu. Mówiłaś, że nie wychodziliście na balkon. Najwyraźniej nie byliście tam od dłuższego czasu - inaczej rośliny byłyby podlane. Tajemniczy zabójca? Czy ktoś taki wycierałby buty na ruchliwej ulicy, po to, by wejść na tyły domu i po linie wdrapać się na balkon? Nie, to nie miało sensu. Tak więc - powtórzył dramatycznym tonem - jakim sposobem włókno dostało się na balkon?

Powiem ci, Kitty: To ty wniosłaś je do domu, kiedy wróciliście z lotniska. I to ty zostawiłaś je rankiem na balkonie, kiedy wyszłaś tam, żeby zabić Rona.

Kobieta potrząsnęła głową, jak gdyby chciała zaprzeczyć, sądząc jednak po jej minie, Rhyme raczej nie minął się z prawdą. Pomyślała prawie o wszystkim. Jednak, jak powiedziałby Locard: „Prawie to za mało, jeśli chodzi o dowody”.

- Co do reszty wskazówek, które zostawiłaś na balkonie: sterydów, gu my, kłaczków, piasku, ziemi ze śladami oleju napędowego i włosów. Przy puszczałem, że podrzuciłaś je tam, by potwierdzić historię o atletycz-

nym zabójcy. Jednak udowodnienie tego to całkiem inna bajka. Tak więc...

W tym momencie Kitty, czy jakkolwiek brzmiało jej imię, zeszywniała.

- Boże, nie. To on! Zaraz...

Rhyme obrócił się na wózku i spojrzał na parkującego tuż obok zielonego jeepa cherokee. Z samochodu wysiadł krótko ostrzyżony, dobrze zbudowany mężczyzna, w klasycznym, ciemnym garniturze. Niedbale zatrzaskał kłapkę telefonu i skierował się ku nim.

- Nie! - wrzasnęła Kitty.

- Kapitanie - rzekł mężczyzna, kłaniając się Rhyme'owi. Kryminalistyk był wyraźnie rozbawiony, słysząc, że Jed Carter wciąż tytułuje go tak jak wówczas, gdy Rhyme pracował w nowojorskiej policji.

Carter był niezależnym doradcą do spraw bezpieczeństwa, współpracującym z firmami, które prowadziły interesy w Afryce i na Bliskim Wschodzie. Rhyme poznał go kilka miesięcy temu, pracując nad sprawą nielegalnego handlu bronią w Brooklynie, kiedy to były najemnik pomagał FBI i NYPD namierzać przemytnika. Carter był pozbawionym humoru sztywniakiem z przeszłością, o której Rhyme wolał nie wiedzieć zbyt wiele. Mimo to jego pomoc w ujęciu przestępcy okazała się nieoceniona. (Sam Carter chciał chyba odkupić grzechy, których dopuścił się, przebywając z misjami w krajach Trzeciego Świata).

Mężczyzna uściśnął dłoń Lona Sellitto i oficera taktycznego. Amelię Sachs powitał pełnym szacunku skinieniem głowy.

- Co to ma być? -jęknęła Kitty.

- Jak powiedział Lincoln, podejrzewaliśmy panią; sprawdziliśmy odciski palców, nie figurowała pani jednak w bazie danych - odparła Amelia.

- Ale to się wkrótce zmieni - zauważył radośnie Sellitto.

- Nie mieliśmy wystarczającej liczby dowodów, by otrzymać nakaz rewizji. Nie udało się na podstawie jednego włókienka. Dlatego poprosiłem o pomoc obecnego tu pana Cartera i agentkę Sedgwick.

Norma z Departamentu Stanu współpracowała z Fredem Dellrayem. To on skontaktował się z nią, tłumacząc, że potrzebują kogoś, kto odegrałby rolę ochroniarza i pomógł przeprowadzić zainscenizowany atak. Kobieta się zgodziła. Niebawem zaaranżowali fałszywy napad nieopodal Madison Square Park, z nadzieją, że znajdą więcej dowodów, które -według Rhyme'a - zostały podrzuczone. Gdyby tak się stało, mieliby pewność, że to Kitty podzuciła je na balkon, i zyskaliby podstawy do otrzymania nakazu.

Plan jednak się nie powiódł. Sachs przeszukała miejsce przy Madison Square Park, gdzie Kitty i Norma ukrywały się przed zabójcą, sprawdziła także lincolna, którym jechały do hotelu, ale nie znalazła żadnych dowodów ani śladów łączących kobietę z bronią, z której zabito biznesmena.

Spróbowali więc kolejnej sztuczki. Rhyme zdecydował, że muszą przeszukać walizki Kitty. Sachs zadzwoniła do Normy, informując ją o rzekomym nadajniku, umieszczonym w samochodzie przez zabójcę. Podczas gdy Norma udawała, że pod samochodem faktycznie znalazła to urządzenie, w istocie pokazała Kitty słoiczek po kremie Olay. Ta, zgodnie z poleceniem agentki, wysypała na tylne siedzenie całą zawartość swoich walizek.

Kiedy już Sachs podrzuciła obie kobiety do hotelu, natychmiast wróciła do sedana i cał po calu przeszukała jego wnętrze. Znalazła ślady sterydów, odrobinę piasku i ziemi z niewielką zawartością oleju napędowego oraz ziarno ryżu. Jak na ironię okazało się, że łuska ryżu zaplątana w linie i znalezione w sedanie ziarno nie pochodzą z transportu jedzenia do Afryki. Najwyraźniej wypadły z koronkowego woreczka, przewiązanego srebrną wstążeczką - pamiątki ze ślubu Kitty i Rona.

- Detektyw Sellitto udał się do sądu, zdobył nakaz i urządzenie podsłuchowe - dodał Rhyme.

- Urządzenie podsłuchowe? - szepnęła Kitty.

- Dokładnie. Do telefonu komórkowego.

- Cholera. - Kobieta zamknęła oczy, a na jej twarzy pojawił się grymas goryczy.

- No właśnie - mruknął Sellitto. - Mamy dupka, który panią wynajął.

Zleceniodawcą nie był gubernator wojskowy, mściwy pracownik, dyktator z kraju Trzeciego Świata czy skorumpowany dyrektor naczelny, który życzył Ronowi i jego bratu szybkiej śmierci. Nie był to nim również wielbny John Markel, choć z powodu znalezionej na Madison Square fragmentu skóry, mogącego pochodzić z okładki Biblii, na chwilę stał się głównym podejrzanym.

Nie. Był nim Robert Kelsey - kierownik do spraw transakcji finansowych w fundacji, do którego Kitty dzwoniła niespełna godzinę temu. Kiedy się dowiedział, że Ron Larkin zamierza połączyć swe siły z innymi organizacjami, był pewien, że wkrótce w fundacji zostanie przeprowadzony generalny audyt, który ujawni, że brał on pieniądze od gubernatorów wojskowych i wysokich urzędników państwowych za cenne informacje o tym, do którego portu zawiną statki z ładunkiem żywności i leków.

*O tak. Rocznie z powodu kradzieży i rabunków tracimy piętnaście, dwadzieścia procent naszych afrykańskich datków. Dziesiątki milionów...*

Musiał Larkinów zabić, aby zapobiec fuzji z innymi organizacjami.

Kelsey przyznał się do stawianych mu zarzutów w zamian za obietnicę, że prokurator nie będzie żądał dla niego kary śmierci. Przysięgał też, że nie znał prawdziwej tożsamości Kitty Larkin. Sachs i Sellitto wierzyli mu; kobieta nie była głupia i z pewnością posługiwała się fałszywym nazwiskiem.

Dlatego właśnie Rhyme zadzwonił do Cartera, aby zapytać, czy były najemnik mógłby dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

- Rozmawiałem ze znajomymi w Marsylii, Bahrajnie i Cape Town - oświadczył mężczyzna. - Właśnie ją sprawdzają. Według nich, ustalenie tożsamości nie zajmie wiele czasu. Chodzi o to, że nie jest typową najemniczką.

Amen, zakończył w myślach Rhyme.

- To cholerny błąd - warknęła Kitty do Rhyme'a. Nie wiadomo jednak, czy miała na myśli to, że nie ona zabiła Larkina, czy też fakt, że za trzymanie jej jest ryzykownym i niebezpiecznym przedsięwzięciem.

Cokolwiek to znaczyło, opinia kobiety Lincolna nie interesowała.

Lon Sellitto odprowadził Kitty do radiowozu i zasiadł za kółkiem własnej crown victorii. Chwilę później konwój ruszył w kierunku komisarjatu.

Spod domu odjeżdżali kolejni funkcjonariusze z grupy taktycznej. Jed Carter obiecał, że zadzwoni, kiedy tylko jego znajomi z zagranicy znajdą dane kogoś odpowiadającego rysopisowi Kitty.

- Do widzenia, kapitanie. Do widzenia pani. - Niespiesznie ruszył w kierunku zielonego jeepa.

Rhyme i Sachs zostali sami na ulicy.

- Dobra - rzucił kryminalistyk, co oznaczało „wracajmy do domu”. Miał ochotę na whisky Glenmorangie, której Thom odmówił mu przed planowaną akcją. („Nie zamierzam walczyć z kimkolwiek wręcz” - oświadczył Thom. Mimo to - jak zwykle - zwyciężył).

Lincoln poprosił Amelię, aby zadzwoniła do pomocnika, który siedząc w wykonanym na zamówienie vanie, czekał na nich przy wylocie ulicy. Sachs jednak zmarszczyła brwi.

- Ależ nie możemy teraz odjechać!

- Niby czemu?

- Są tu ludzie, którzy chcieliby cię poznać. Rodzina Rona Larkina. - Na czas wizyty Kitty Peter Larkin wraz z rodziną zostali przeniesieni do sypialni na trzecim piętrze budynku, gdzie pozostawali pod opieką uzbro-

jonych funkcjonariuszy. Sachs spojrziała teraz w jedno z okien i pomachała stojącej w nim parze.

- To konieczne?
- Ocaliłeś im życie, Rhyme.
- To nie wystarczy? Muszę jeszcze z nimi pogadać?

Roześmiała się.

- Pięć minut. To dla nich bardzo wiele.  
- Bardzo bym chciał - odparł z nieszczerym uśmiechem. - Ale ciężko będzie tam wejść. - Mówiąc to, zerknął na schody, a potem na wózek inwalidzki.

- Och, nie przejmuj się, Rhyme. - Sachs pocieszająco poklepała go po ramieniu. - Założę się, że zejda do nas.

# Danie na zimno

Mamy powody przypuszczać, że ktoś chce pana skrzywdzić. Stojący na rozprężonym chodniku, tuż przed budynkiem, w którym mieściło się jego biuro, krępy, muskularny Stephen York zakołysał się w przód i w tył na piętach butów Bally.

*Chce pana skrzywdzić.*

Co to ma, do cholery, znaczyć?

York odstawił sportową torbę. Pięćdziesięcioletni bankier inwestycyjny przeniósł wzrok ze starszego detektywa z wydziału policji w Scottsdale, który przyniósł wiadomość, na jego młodszego partnera. Gliniarzy łatwo było odróżnić. Starszy, blondyn Bill Lampert, miał mlecz-nobiałą cerę, jak gdyby przyjechał do Scottsdale z Minnesoty, co - wiedział York - zdarzało się nader często. Drugi gliniarz, Juan Alvarado, niewątpliwie pochodził stąd.

- Kto? - spytał York.

- Nazywa się Raymond Trotter.

York zastanawiał się chwilę, po czym potrząsnął głową.

- W życiu o nim nie słyszałem. - Spojrzał uważnie na zdjęcie, które gliniarz wyciągnął ku niemu. Prawdopodobnie pochodziło z prawa jazdy. - Nie wygląda znajomo. Kto to?

- Mieszka w mieście. Prowadzi firmę zajmującą się projektowaniem terenów zielonych.

- Zaraz, zaraz, znam to miejsce. Przy autostradzie między stanowej? - York pomyślał, że właśnie tam Carole robi zakupy.

- Tak, chodzi o ten duży budynek. - Lampert przetarł czoło.

- Ma coś do mnie? O co mu chodzi? - Włożył okulary przeciwsłoneczne od Armaniego. O trzeciej po południu słońce w Arizonie było niczym lampa lutownicza.

- Nie wiemy.

- Tak? A co wiecie?



Tym razem głos zabrał Alvarado:

- Niedawno aresztowaliśmy za narkotyki robotnika pracującego na dniówkę. Okazało się, że pracuje nielegalnie. Nazywa się Hector Diaz. Facet chciał wytargować łagodniejszy wyrok i powiedział, że ma informacje na temat planowanej zbrodni. Zdaje się, że od czasu do czasu pracował u tego Trottera. Kilka dni temu Trotter przyszedł do niego i proponował mu tysiąc dolarów za to, żeby się pokręcił przy pańskim domu i zorientował się, czy nie poszukuje pan kogoś do pracy w ogrodzie. Diaz miał też sprawdzić zainstalowany u pana system alarmowy.

- Żartuje pan.

-Nie.

O co tu chodzi? Pomimo czterdziestostopniowego upału York poczuł niepokojący chłód.

- Alarm? Po co?

- Trotter powiedział Diazowi tylko tyle, że chce się zemścić na panu za coś, co mu pan zrobił.

- Zemścić? - Mężczyzna pokręcił głową. - Jezu, przychodźcie tu i opowiadacie bzdury o tym, że jakiś facet, cytuję, „chce mnie skrzywdzić”, a nie wiecie nawet, o co w tym wszystkim chodzi?

- Nie, proszę pana. Mielśmy nadzieję, że pan nam powie.

- Cóż, najwyraźniej się pomyliliście.

- Dobra, sprawdzimy tego Trottera. Radzilibyśmy jednak, aby poinformował nas pan, gdyby wydarzyło się coś dziwnego.

- Nie możecie go aresztować?

- Jak dotąd nie popełnił żadnego przestępstwa - odparł Lampert.

-Obawiam się, że bez dowodów jawnych działań z jego strony nie możemy nic zrobić.

*Skrzywdzić...*

*Dowody jawnych działań...*

Może gdyby przestali gadać jak profesorowie socjologii, zajęliby się w końcu pieprzoną policyjną robotą. York zamierzał to powiedzieć, uznał jednak, że malująca się na jego twarzy odraza mówi sama za siebie.

Starając się wyrzucić z pamięci spotkanie z gliniarzami, York pojechał na siłownię. Chryste, potrzebował trochę wycisku. Chwilę temu przeszedł piekło negocjacji z dwoma mężczyznami, właścicielami niewielkiej firmy, którą chciał wykupić. Staruszkowie byli dużo bardziej cwani, niż można by się spodziewać. Stawiali duże wymagania, które będą go drogo kosztować. York przejrzał pobieżnie dokumenty i jak burza wypadł z gabinetu prawnika. Potrzyzyma staruszków w niepewności przez dzień lub

dwa. Pewnie i tak przystanie na ich warunki, ale niech wiedzą, że nie pozwoli się sterroryzować.

Zaparkował przy klubie fitness, wysiadł z samochodu i w palącym słońcu podszedł do drzwi wejściowych.

- Witam, panie York. Wcześniej pan dziś przyjechał. Powitał kierownika rannej zmiany, Gavina, skinieniem głowy.

- Taa, wymknąłem się, kiedy nikt nie patrzył.

Przebrał się i poszedł do pustej o tak wczesnej porze sali aerobowej. Klapnął na maty i zaczął się rozciągać. Po dziesięciu minutach dźwignął się z podłogi i przeniósł na urządzenia treningowe, dając z siebie wszystko: robiąc -jak zwykle - dwadzieścia powtórzeń na każdym z nich i kończąc na brzuskach. Stanowisko jednego z trzech partnerów w poważnej firmie inwestycyjnej typu venture capital w Scottsdale wymagało od niego ciągłych spotkań z klientami i długich godzin, spędzanych za biurkiem, co ostatnimi czasy odbijało się na jego brzuchu.

York nie lubił, kiedy ten był zwiotczały. Podobnie jak nie lubił tego kobiety, bez względu na to, co mówiły. Platynowa karta Amex pozwalała przymknąć oko na wiele rzeczy, w sypialni jednak laleczki lubiły umięśnione brzuchy.

Po serii brzuszków przeniósł się na bieżnię.

Mila pierwsza, druga, trzecia...

Przez chwilę starał się nie myśleć o feralnej transakcji - niech to szlag, o co chodziło tym zniechęconym pierdołom? Jak mogli być aż tak cwani? Już dawno powinni trafić do domu starców.

Biec, biec...

Mila piąta...

I o co chodziło z tym Raymondem Trotterem?

Zemsta...

Po raz kolejny pogrzebał w pamięci, nazwisko faceta jednak nic mu nie mówiło.

Skupił się na monotonnym dudnieniu stóp. Przy siódmej mili zwolnił i przeszedł do chodu, ochłonął i wyłączył bieżnię. Zrzucił na szyję ręcznik i ignorując kokieteryjne spojrzenia kobiety, która - choć ładna - lata młodości miała już za sobą, wrócił do szatni. Tam zrzucił ubranie, wziął czysty ręcznik i skierował się do sauny.

York lubił tę część klubu, ponieważ znajdowała się na uboczu i o tej porze dnia nie spotykało się tu prawie nikogo. Teraz była zupełnie pusta. Niespiesznym krokiem szedł w głąb wyłożonego płytkami korytarza, kiedy usłyszał dobiegający zza rogu hałas. Brzęk i - choć nie był do końca pewien - czyjeś kroki. Czy ktoś tu jest? Podszedł do miejsca, skąd dobie-

gały te odgłosy, i rozejrzał się. Nie, korytarz był pusty. Stał, nasłuchując. Coś jednak wydawało się nie tak. Ale co? Nagle dotarło do niego, że jest dziwnie ciemno. Podniósł wzrok i zerknął na oświetlenie. Brakowało kilku żarówek. Rocznie wydawał na członkostwo cztery tysiące dolców, a oni nie kwapili się nawet z wymianą żarówek? Chryste, wygarnie za to Gavinowi. Panujący na korytarzu mrok - w połączeniu z cichym, węzowym posykiwaniem wentylacji - sprawiał, że miejsce wydało mu się upiorne.

Mimo to York podszedł do drzwi zbudowanej z drewna sekwojowe-go sauny, powiesił ręcznik na wieszaku i podkręcił regulator temperatury. Zamierzał właśnie wejść do środka, kiedy poczuł w stopie eksplozję przeszywającego bólu.

- Do diabła! - wrzasnął i skacząc na jednej nodze, cofnął się. Z palu cha sterczała spora drewniana drzazga. York wyciągnął ją i przycisnął dłoń do krwawiącej ranki. Mrużąc oczy, zerknął na podłogę, gdzie dostrzegł kolejne drzazgi.

Och, dostanie się dziś Gavinowi. Złość minęła jednak, kiedy spuściwszy wzrok, dostrzegł to, co -jak przypuszczał - było źródłem całego zamieszania: dwie wąskie, drewniane podkładki, leżące na podłodze nieopodal drzwi. Ręcznie rzeźbione kawałki drewna przypominały odboje drzwiowe, ale jedyne drzwi - prowadzące do sauny - znajdowały się na wysokości dwóch drewnianych schodków. Nie można więc ich było zaklinować tak, by się nie zamykały.

Podkładki można było jednak wsunąć między drzwi, tak by się nie otwierały. Pasowały idealnie. Szaleństwem byłoby jednak zrobić coś takiego. Ktoś zamknięty w środku nie mógłby wówczas skrócić temperatury i na próżno wzywałby pomocy; wewnątrz sauny nie było żadnego panelu kontrolnego. Panujący tam upał mógł zabić; York i jego żona niedawno oglądali program telewizyjny o kobiecie z Phoenix, która umarła w saunie; poprzednio raz w niej zemdląca.

Trzymając w dłoni podkładki, York wpatrywał się w nie jak urzeczony. Chwilę później w pobliżu rozległ się trzask. Przerażony mężczyzna podskoczył jak oparzony, odwrócił się i dostrzegł na ścianie nieruchomy cień, który niemal natychmiast zniknął.

- Halo? - zawołał.

Cisza.

Wyjrzał na korytarz. Nic. Zerknął na wyjście awaryjne, jak gdyby liczył, że będzie otwarte. Odwracając się, dostrzegł coś na brzegu drzwi. Ktoś zakleił zasuwkę, tak by móc dostać się do środka, nie będąc widzianym przez nikogo z holu.

*Skrzywdzić...*

Pięć minut później, nie wzięwszy nawet prysznic, York wybiegł z klubu, kompletnie zapominając o reprimendzie, jaką zamierzał uczęstować Gavina. Biznesmen trzymał w dłoniach podkładki i zerwany z drzwi fragment taśmy izolacyjnej, a całość owinał w papierowy ręcznik. Był ostrożny. Jak każdy, kto oglądał telewizję, wiedział wszystko o skomplikowanej sztuce zabezpieczania odcisków palców.

- Oto i one.

Stephen York wręczył zawiniątko blademu detektywowi, Billowi Lampertowi.

- Nie dotykałem ich, użyłem chusteczek - objaśnił.

- Znalazł je pan w klubie fitness, tak? - spytał detektyw, spoglądając na podkładki i taśmę.

- Dokładnie. - York z wyraźną satysfakcją podał nazwę ekskluzywnego miejsca.

Ku jego rozczarowaniu nie wywarła ona na Lampercie żadnego wrażenia. Gliniarz podszedł do drzwi i przekazał dowody Juanowi Alvarado.

- Odciski palców, ślady narzędzi, statystyki. - Młody funkcjonariusz zniknął za drzwiami.

- Ale nikt nie próbował zatrzymać pana w saunie? - zwrócił się Lampert do Yorka.

Zatrzymać? - pomyślał cierpko York. Chciałeś chyba powiedzieć: „Zamknąć mnie w środku i żywcem usmażyć”.

- Nie. - Wyjął cygaro. - Mogę?

- W budynku obowiązuje zakaz palenia - poinformował Lampert.

- W zasadzie nie palę, ale...

- W budynku obowiązuje zakaz palenia.

York odłożył cygaro.

- Moim zdaniem, Trotter wie, co robię w ciągu dnia. Dostał się do klubu i zakleił drzwi, żeby nie widział go nikt z siedzących w holu.

- Jak miałby to zrobić? Należy do klubu?

- Nie wiem.

Lampert uniósł palec. Zadzwoił do klubu i odbył krótką, rzeczową rozmowę.

- Nie ma go na liście członków i przez ostatni miesiąc nie był w klubie - oznajmił.

- W takim razie musiał podać fałszywe dane, żeby wejść jako gość.

- Fałszywe dane? To trochę... skomplikowane, prawda?

- Cóż, jakimś cudem ten dupek dostał się do środka. Zamierzał za trzasnąć mnie w saunie, ale zaskoczyłem go, więc facet porzucił podkładki i zwiął.

Do gabinetu wszedł Alvarado.

- Żadnych odcisków. Ślady po narzędziach nie są charakterystyczne, ale gdybyśmy mieli hebel albo dłuto, moglibyśmy je porównać.

York roześmiał się.

- Nie ma odcisków palców? To chyba o czymś świadczy, prawda?

Lampert zignorował go. Wziął z biurka jakąś kartkę i spojrzął na nią.

- Cóż, sprawdzaliśmy tego Trottera. Wygląda na normalnego faceta. Nie był notowany, z wyjątkiem kilku mandatów. Coś jednak znalazłem. Rozmawiałem z Urzędem do spraw Kombatantów w Phoenix. Wygląda na to, że mają jego akta. W czasie pierwszej wojny w Zatoce Trotter był w Kuwejcie. Jego jednostka dostała mocno w tyłek. Połowa ludzi zginęła, a on sam został ciężko ranny. Kiedy został zwolniony, przeprowadził się tu i przez rok korzystał z pomocy psychologa. W aktach mają jego notatki. Niestety, są objęte tajemnicą zawodową, wiecie, lekarz - pacjent, ale mam w urzędzie znajomego, który powiedział mi z grubsza, o co chodzi. Najwyraźniej po rozstaniu z armią Trotter zaczął zadawać się z podejrzanymi typami, tu i w Albuquerque. Szantażował ludzi, był brutalny. Działał na zlecenie. To było jakiś czas temu i nigdy nie został aresztowany, ale...

- Chryste... Więc może ktoś go wynajął?

- Kogo wkurzył pan do tego stopnia, że zadał sobie tyle trudu, by wyrównać rachunki?

- Nie wiem. Musiałbym się zastanowić.

- Zna pan powiedzenie: „Zemsta to danie, które najlepiej smakuje na zimno”? - spytał Alvarado.

- Tak, chyba gdzieś to słyszałem.

- To może być ktoś z pańskiej przeszłości. Proszę pomyśleć.

*Danie, które najlepiej smakuje na zimno...*

- Dobra. Ale co możemy zrobić już teraz? - spytał York, wycierając o nogawki spocone dłonie.

- Porozmawiajmy z nim. Zobaczmy, co ma do powiedzenia. - Detektyw podniósł słuchawkę i wybrał numer.

- Z panem Trotterem poproszę... Rozumiem. Mogę wiedzieć kiedy?... Dzięki. Nie, proszę nic nie przekazywać. - Rozłączył się. - Właśnie wyjechał do Tucson. Wróci jutro rano.

- Nie zamierzacie go zatrzymać?

- Po co?

- Może próbuje uciec, wyjechać do Meksyku.

Lampert wzruszył ramionami i otworzył pliki kolejnej sprawy.

- W takim razie będzie pan miał wreszcie święty spokój.

Parkując przed wartą pięć milionów dolarów, niewielką rezydencją na skraju pustyni, York wysiadł z mercedesa, zamknął drzwi i rozejrzał się dokoła, czy nikt go nie śledzi. Nie zauważył jednak nic podejrzanego. Mimo to, kiedy wszedł do domu, zamknął drzwi na podwójny zamek.

- Cześć, skarbie. - Stojąca w przedpokoju Carole miała na sobie strój treningowy. Jego trzecia żona była piękną blondynką o włosach przyprószonych delikatną siwizną. („Świetnie do siebie pasujecie” - zauważył kiedyś jeden z jego współpracowników). Byli razem od trzech lat. Dawna sekretarka stała się jego osobistym trenerem. Carole, jak to określał York, „miała łeb na karku” i „nie dawała się”. Znaczyło to, że potrafiła prowadzić rozmowę i nie zachowywać się żenująco lub milczeć, kiedy wymagała tego sytuacja. Poza tym nie zadawała wielu pytań na temat tego, gdzie był, kiedy wracał późno do domu albo w ostatniej chwili wyjeżdżał w delegację.

Teraz Carole zerkała na drzwi.

- O co chodzi? - Nigdy nie używali zasuwki.

Musiał być ostrożny. Carole rozumiała, co mówił, tylko wówczas, kiedy używał prostego języka, a jeśli nie rozumiała, zaczynała świrować. Jej napady hysterii bywały paskudne. Głupi ludzie tracą kontrolę nad sobą, kiedy czegoś nie rozumieją.

Dlatego więc skłamał.

- Wczoraj przy naszej ulicy było włamanie.

- Nic o tym nie słyszałam.

- No cóż, włamali się.

- Do kogo?

- Nie pamiętam.

Zachichotała. Był to jeden z jej nawyków, który - w zależności od humoru - uważał za irytujący lub seksowny.

- Nie wiesz, do kogo się włamali? To dziwne. Dziś

był to irytujący chichot.

- Ktoś mi mówił. Zapomniałem. Mam dużo na głowie.

- Możemy iść na obiad do klubu?

- Jestem zmęczony, dziecinko. Wieczorem urządzę grilla. Co ty na to?

- Dobra, jasne.

Była wyraźnie rozczarowana, York jednak wiedział, jak ratować tonący statek; w mgnieniu oka przyrządził podwójne drinki i zaprowadził ją nad basen, gdzie włączył dobrze wybraną płytę. W ciągu dwudziestu

minut alkohol i muzyka uśmierzyły rozczarowanie i Carole zaczęła paplać o tym, że za parę tygodni chciałyby odwiedzić rodzinę w Los Angeles.

- Jak chcesz. - Odczekał minutę i siłą się na swobodę, oznajmił: - Myślałem o tym, żeby zamówić do biura kilka roślin.
  - Chcesz, żebym ci pomogła?
  - Nie, Marge się tym zajmie. Kupowałaś coś od tego projektanta ogrodów przy autostradzie? Trottera?
  - Nie wiem. Chyba tak. Jakiś czas temu.
  - Dostarczali to do domu?
  - Nie, wzięłam kilka roślin i przywiozłam je do domu sama. Dlaczego pytasz?
  - Zastanawiam się, czy mają dobrą obsługę.
  - Teraz raptem zacząłeś interesować się domem. To jakieś szaleństwo!
- Zachichotała.

York burknął coś, poszedł do kuchni i otworzył lodówkę.

Pałac macanudo i popijając wódkę z tonikiem, rzucił na ruszt kilka stejków i przygotował sałatkę. Jedli w milczeniu. Kiedy Carole zmyła naczy-  
nia, przenieśli się do pokoju i przez chwilę oglądali telewizję. Niebawem zebrało się jej na pieszczoty. Normalnie oznaczało to, że przyszła pora na gorącą kąpiel lub łóżko (czasami też podłogę), jednak nie tym razem.

- Idź na górę, laleczko. Ja muszę jeszcze przejrzeć papiery.
- Nie. - Carole zrobiła nadąsaną minę.
- Niedługo przyjdę.
- No dobrze - westchnęła, wzięła książkę i weszła na schody.

Kiedy usłyszał odgłos zamykanych drzwi, udał się do gabinetu, zgasił światło i spojrzał na skapaną w blasku księżycy pustynię. Cienie, skały, kaktusy, gwiazdy... Kochał ten widok, który ulegał nieustannym zmianom. Został w pokoju jeszcze pięć minut, po czym wrócił do salonu, nalał sobie szkockiej, zrzucił buty i wyciągnął się na kanapie.

Pociągnął łyk pachnącej dymem whisky. Tuż po nim następny.

*Zemsta...*

Tak oto Stephen York zaczął podróż do przeszłości, szukając powodu, dla którego Trotter czy ktokolwiek inny mógłby chcieć jego śmierci.

Myśląc o słodkiej naiwności Carole, wrócił pamięcią do innych kobiet w jego życiu. Do byłych żon. W obu przypadkach to on zakończył małżeństwo. Jego pierwsza żona Vicky zupełnie straciła panowanie nad sobą, kiedy powiedział jej, że odchodzi. Płakała i błagała go, by został, choć dobrze wiedziała, że ma romans z sekretarką. York był jednak niewzruszony i tuż po rozwodzie zerwał z nią wszelkie kontakty, z wyjątkiem kwestii finansowych, dotyczących ich syna, Randy'ego.

Czy jednak Vicky wynajęłaby zabójcę, by wyrównać rachunki?

Z pewnością nie. W trakcie rozwodu zachowywała się jak ofiara, a nie jak pałająca żądzą zemsty porzucona żona. Poza tym York zachowywał się wobec niej jak należy. Płacił alimenty,łożył na wychowanie dzieciaka, a kilka lat później nie zakwestionował nawet wyroku, który odbierał mu prawo widywania się z synem.

Drugie małżeństwo Yorka trwało zaledwie dwa lata. Susan okazała się zbyt oschła, zbyt liberalna i zbyt republikańska. To rozstanie przypominało pojedynek Holyfield - Tyson. Susan, energiczna pracownica agencji handlu nieruchomościami, odeszła z kupą szmalu, znacznie większą niż ta, która wystarczyłaby, by uleczyć jej zranioną dumę (York zostawił ją dla kobiety młodszej o szesnaście lat i lżejszej o dziesięć kilogramów). Ona również była zbyt pochłonięta karierą, by ryzykować posadę z powodu ryzykownych knozań przeciwko byłemu mężowi. Poza tym wyszła za mąż za doradcę wojskowego i byłego pułkownika, którego poznała, prowadząc negocjacje pomiędzy jakąś agendą rządową a jednym z klientów. York mógł więc być pewien, że jego postać na dobre zniknęła z jej radaru.

Byłe dziewczyny? To na nie zwykle padały podejrzania... Tylko od czego tu zacząć? Tyle ich było. Z niektórymi zerwał naprawdę w fatalnym stylu, niektóre wykorzystał, a jeszcze inne okłamał. Oczywiście, on sam także bywał wykorzystywany i okłamywany. W ostatecznym rozrachunku bilans wychodził na zero. Sprawa wyglądała tak: Nikt przy zdrowych zmysłach nie wynajmuje płatnego zabójcy, żeby zabił kochanka, tylko dlatego, że ten puścił cię kantem.

Kto jeszcze?

Najprawdopodobniej chodziło o kogoś, z kim robił interesy.

Jednak w tym morzu było równie wiele ryb. Do głowy przychodziły mu dziesiątki nazwisk. Kiedy pracował jako przedstawiciel w pewnej firmie farmaceutycznej, doniósł na jednego z kolegów, który dokonywał przekrętów z funduszem reprezentacyjnym. (Wsypał go nie dlatego, że był lojalny wobec firmy, ale po to, by przejąć jego działkę). Facet został wylany i poprzysiągł zemstę.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat York przejął kontrolę nad kilkudziesięcioma firmami, w rezultacie czego setki ludzi straciły pracę. Jednego z nich pamiętał wyjątkowo dobrze - sprzedawcę, który przyszedł do niego we łzach, błagając o drugą szansę. York był jednak nieugięty - głównie dlatego, że skomlenie mężczyzny działało mu na nerwy. Tydzień później facet popełnił samobójstwo. W liście, który napisał przed śmiercią, tłumaczył, że zawiódł jako człowiek, ponieważ nie był w stanie zaopiekować się żoną i dziećmi. Naturalnie, York nie mógł brać na siebie odpowie-



działności za tak niezrównoważone zachowanie, kto wie jednak, co się działo w głowach rodziny tego człowieka. Być może Trotter był jego bratem, najlepszym przyjacielem albo najzwyczajniej w świecie został przez krewnych tamtego wynajęty.

Przypomniał sobie kolejną historię. Prywatny detektyw sprawdzał dla niego jednego z inwestorów, dostarczających kapitał wysokiego ryzyka, i odkrył, że facet jest gejem. W czasie jakiejś kolacji York delikatnie dał gościowi do zrozumienia, że ma na niego haka, a następnego dnia miał w kieszeni cesję. Może to pedał wynajął Trottera?

Czy miał na sumieniu inne grzeszki?

Jasne, że tak, pomyślał, z odrazą wracając pamięcią do zamierzchłej przeszłości.

*Danie, które najlepiej smakuje na zimno...*

Pomyślał o incydencie w college'u. Chodziło o żart, który okazał się tragiczny w skutkach - podczas otrzęsin w bractwie pijany fuks zadźgał na śmierć policjanta. Dzieciaka wyrzucono z uczelni i niedługo potem słuch po nim zaginął. York nie pamiętał jego nazwiska. Niewykluczone, że był to Trotter.

Kolejne zdarzenia pojawiały się w jego umyśle - dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści; wspominał twarze ludzi, których ignorował i obrażał, kłamstwa, którymi karmił innych, oszukanych współpracowników... Pamięć wypływała nie tylko poważne wykroczenia, ale także drobne incydenty: nieuprzejmość wobec urzędników, okantowanie starszej kobiety, która sprzedała mu samochód, śmiech na widok tupeciku, który silny wiatr zerwał z głowy mężczyzny...

Rozmyślanie o tym wszystkim było wyczerpujące.

Kolejny łyk szkockiej... po nim następny.

Następną rzeczą, jaką zarejestrował, były sączące się do pokoju promienie słońca. York zmrużył oczy i półprzytomnym wzrokiem zerknął na zegarek. Do diabła, już dziewiąta... Dlaczego Carole go nie obudziła? Wiedziała przecież, że rano ma dwa spotkania. Czasami odnosił wrażenie, że żona nie ma o niczym cholernego pojęcia.

Powlókł się do kuchni, gdzie Carole rozmawiała przez telefon. Widząc go, podniosła wzrok znad słuchawki i uśmiechnęła się.

- Śniadanie gotowe.

- Nie obudziłaś mnie.

Powiedziała przyjaciółce, że oddzwoni, i rozłączyła się.

- Pomyślałam, że jesteś zmęczony. Poza tym wyglądałeś tak słodko. Słodko. Chryste Panie... York skrzywił się z bólu. Szyję miał zeszytyniałą od spania w niewygodnej pozycji.

- Nie mam czasu na śniadanie - warknął.
  - Moja matka zawsze mówiła, że śniadanie to...
  - ...najważniejszy posiłek w ciągu dnia. Mówiłaś to już. Setki razy.
- Carole zamilkła. Chwilę później wstała, wzięła kawę i telefon i wyszła z kuchni.

- Skarbie, nie chciałem...

Westchnął. Czasami miał wrażenie, jak gdyby chodził po skorupkach jajek... Zrezygnowany wszedł do sypialni. Przetrzasał szafkę z lekarstwami w poszukiwaniu aspiryny, kiedy zadzwonił telefon.

- Do ciebie - oznajmiła chłodno żona.

Dzwonił detektyw Bill Lampert.

- Trotter wrócił do miasta. Pojedźmy się przywitać. Wpadniemy po pana za dwadzieścia minut.

- Słucham, w czym mogę pomóc?

- Raymond Trotter?

-Tak.

Stojąc przed Trotter Landscaping and Nursery, rozproszonym kompleksem niskich budynków, szklarni i komórek, Bill Lampert i Juan Alva-rado spoglądali na mężczyznę w średnim wieku. Lampert zauważył, że Trotter jest w świetnej formie: szczupły, o szerokich ramionach. Brązowe włosy, gdzieś przyprószone siwizną, były krótko przystrzyżone. Twarz o kwadratowej szczęce zdawała się nienagannie ogolona, a niebieski strój do joggingu nieskazitelnie czysty. No i te pewne siebie oczy. Detektyw zastanawiał się, czy zdradzą zaskoczenie na widok policyjnych odznak i stojącego za plecami gliniarzy Stephena Yorka. Trotter odstawił kaktusa, którego trzymał w dłoniach.

- Proszę pana, dowiedzieliśmy się, że szukał pan dość poufnych informacji na temat obecnego tu pana Yorka.

- Kogo?

Niezła kwestia, pomyślał Lampert. Wskazał głową stojącego za jego plecami mężczyznę.

- Tego oto pana. Trotter zmarszczył brwi.

- Obawiam się, że to pomyłka. Nie znam tego człowieka.

- Jest pan pewien?

-Tak.

- A zna pan mężczyznę nazwiskiem Hector Diaz? Meksykanin, lat trzydzieści pięć, dobrze zbudowany. Pracował u pana na dniówkę.

- Zatrudniam setki takich osób. Nie znam nazwisk połowy z nich. Czy

chodzi o kontrolę dowodów tożsamości? Moi ludzie mają nakaz sprawdzania dokumentów.

- Nie, proszę pana. Nie chodzi o to. Ten Diaz twierdzi, że wypytywał go pan o zabezpieczenia w domu pana Yorka.

- Co takiego? - Trotter zmrugał oczy. - Kiedy wam to powiedział? Czy przypadkiem nie został aresztowany?

-Tak.

- A więc wymyślił jakąś bajkę na temat byłego pracodawcy, żeby do stać krótszy wyrok. Czy nie tak właśnie to wygląda?

Lampert i Alvarado wymienili spojrzenia. Cokolwiek można było powiedzieć o Trotterze, nie był głupi.

- Czasami istotnie tak bywa.

- Cóż, nie zrobiłem tego, co wam powiedział. - Mężczyzna utkwił w Yorku przesywające spojrzenie.

Tym razem przyszła kolej na Juana Alvarado:

- Czy był pan wczoraj w Scottsdale Health and Racquet Club?

- Tym... zaraz... mówi pan o tym ekskluzywnym klubie? Nie, nie tak wydają swoje pieniądze. Poza tym byłem w Tucson.

- Zanim pojechał pan do Tucson.

- Nie. Nie mam pojęcia, do czego zmierzacie, ale nie znam tego Yorka. I w ogóle nie interesują mnie jego systemy alarmowe.

Lampert poczuł na ramieniu dłoń Juana. Młodszy detektyw wskazywał na stertę drewnianych płyt, których długość i szerokość odpowiadały rozmiarom podkładek.

- Czy możemy wziąć kilka?

- Proszę bardzo... kiedy tylko pokażecie mi nakaz.

- Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciał pan z nami współpracować.

- A ja byłbym wdzięczny, gdybyście wrócili tu z nakazem.

- Niepokoi pana to, co możemy znaleźć? - wtrącił Alvarado.

- W ogóle się nie martwię. Chodzi o to, że mamy w Ameryce coś, co się nazywa konstytucją. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - To ona sprawia, że ten kraj jest tak cudowny. Ja gram zgodnie z zasadami i przypuszczam, że wy też powinniście.

York westchnął głośno, ściągając na siebie chłodne spojrzenie Trottera.

- Jeśli nie ma pan nic do ukrycia, nie powinno być problemu - zauważył Alvarado.

- Jeśli wy macie problem, nie będzie problemu z załatwieniem nakazu.

- Twierdzi pan zatem, że nie chce w żaden sposób zagrozić panu Yorkowi.

Trotter roześmiał się.

- To zabawne. - Chwilę później jego twarz stężała. - To, o czym mówicie, to naprawdę poważna sprawa. Jeśli zaczniecie rozsiewać plotki, postawicie mnie w kłopotliwym położeniu. Mnie... i siebie. Mam nadzieję, że jesteście tego świadomi.

- Kradzież z włamaniem to bardzo poważne wykroczenie - odparł Alvarado.

Trotter podniósł roślinę. Była imponująca, a jej dzikie kolce zdawały się naprawdę niebezpieczne.

- Jeśli to wszystko...

- Nie, jest jeszcze coś. Dziękujemy za pański czas. - Lampert kiwnął głową do swego partnera i razem z Yorkiem ruszyli w kierunku samochodów.

Kiedy dotarli na parking, Lampert zauważył:

- Ten facet coś knuje.

York pokiwał głową.

- Wiem, co ma pan na myśli - to, jak na mnie patrzył. Zupełnie jakby chciał powiedzieć: „I tak cię dorwę, przysięgam”.

- Jak patrzył? Nie, nie o tym mówię. Nie słyszał pan, co powiedział? Powiedział, że nie interesują go pana systemy alarmowe. Przecież nie mówiłem mu, co dokładnie powiedział Diaz. Wspomniałem tylko o „zabezpieczeniach”. To może coś znaczyć. Zaczynam wierzyć, że Diaz mówił prawdę.

York był pod wrażeniem.

- Nie zwróciłem na to uwagi. Nieźle. Co teraz robimy?

- Ma pan listę osób, o którą prosiłem? Nazwiska ludzi, którzy mogliby panu źle życzyć.

York wręczył policjantowi kartkę.

- Co jeszcze powinienem zrobić?

Zerkając na listę, Lampert odparł:

- Jest jedna rzecz. Powinien pan pomyśleć o ochroniarzu.

Stan Eberhart przypominał trochę Lamperta - dobrze zbudowany, starannie uczesany, bez poczucia humoru, ostry niczym terier - tyle że opalony. Potężny mężczyzna stał teraz w drzwiach domu Yorka, który niecierpliwym ruchem dłoni zaprosił go do środka.

- Witam pana. - Lekko przeciągał samogłoski i był uosobieniem spokoju. Pracował jako szef ochrony w York-McMilan-Winston Investments - firmie Yorka. Po spotkaniu z gliniarzami i Trotterem York zaprosił mężczyznę do gabinetu i przedstawił mu sytuację. Eberhart zgodził się „przygotować szczegółowy PO, w którym weźmie pod uwagę wszelkie

ewentualności, mogące wyniknąć w zaistniałej sytuacji". On też gadał jak gliniarze ze Scottsdale (nic dziwnego: Eberhart był detektywem w Phoenix).

Jak się okazało, skrót PO oznaczał plan ochrony i York przypuszczał, że będzie naprawdę dobry; Eberhart wydawał się twardym zawodnikiem. W Phoenix pracował w wydziale zabójstw, był też swego czasu agentem federalnym w wydziale narkotyków i prywatnym detektywem. Miał czarny, czerwony albo jakiś inny pas w karate, latał helikopterami i posiadał ze sto egzemplarzy broni. Ochroniarze - dowiedział się York - robili wszystkie te bzdury, które pokazywano na Outdoor Line Net-work. Twardziele. York nie potrafił tego zrozumieć. Jeśli w grę nie wchodziły pieniądze, golf, martini i kobiety, po co było się wysilać?

Obaj mężczyźni - Carole była na lekcji tenisa - wyszli na dużą przeszkloną werandę, której widok wywołał na twarzy Eberharta wyraźną dezaprobatę.

Dlaczego? Czyżby, jego zdaniem, była zbyt odsłonięta? Martwił się cholernymi snajperami? York roześmiał się w duchu.

Eberhart zaproponował, by przeszli do kuchni, z dala od okien.

Gospodarz wzruszył ramionami, jednak posłusznie opuścił taras. Chwilę później siedzieli w części kuchennej domu. Mężczyzna rozpiął marynarkę - niezależnie od temperatury, zawsze nosił garnitur i krawat.

- Po pierwsze, pozwoli pan, że przedstawię, czego się dowiedziałem na temat Trottera. Urodził się w New Hampshire, studiował inżynierię w Bostonie. Ożenił się i odbył służbę wojskową. Po jej zakończeniu przyjechał tu. Cokolwiek stało się później - chodzi o dokumenty z Urzędu do spraw Kombatantów - facet diametralnie zmienił swe życie. Założył firmę projektującą ogrody. Później zmarła jego żona.

- Zmarła? Może o to chodzi - obwinia mnie za jej śmierć. Co się stało?

Eberhart potrząsnął głową.

- Miała raka. A pan, pańska firma i klienci nie macie przecież nic wspólnego z lekarzami, którzy ją leczyli, ani szpitalem, w którym przebywała.

- Sprawdzał to pan?

- PO jest tak dobry jak umysł, który nad nim pracuje - rzekł mężczyzna.

- Teraz trochę informacji na temat jego rodziny. Facet ma trójkę dzieci: Philipa, lat czternaście, Celeste, siedemnaście, i Cindy, osiemnaście. Wszystkie chodzą do szkół publicznych. To dobre dzieciaki, nigdy nie miały problemów z prawem. - Pokazał nieupozowane zdjęcia, najprawdopodobniej wzięte ze szkolnych ksiąg pamiątkowych: szczupły, przy-

stojny chłopak i dwie dziewczyny: jedna krągła i ładna, druga szczupła i wysportowana.

- Nie miał pan żadnych kontaktów z nieletnimi?

Boże, nie. - York był oburzony. W końcu trzymał się przecież jakichś zasad.

Eberhart nie pytał nawet, czy jego szef kiedykolwiek przystawiał się do chłopaka. Gdyby to zrobił, York natychmiast by go wylał.

- Przez jakiś czas Trotter był wdowcem, w ubiegłym roku jednak ponownie się ożenił. Z Nancy Stockard - pośredniczką w handlu nieruchościami, lat trzydzieści dziewięć. Rozwiedziona pięć lat temu, ma dziesięcioletniego syna.

Przed oczami Yorka pojawiła się kolejna fotografia.

- Poznaje ją pan?

York zerknął na zdjęcie. No, to była kobieta, na którą mógłby polecieć. Ładna, o urodzie dziewczyny z sąsiedztwa. Doskonała na jedną noc. No, może na dwie.

Z tego, co pamiętał, nie miał aż tyle szczęścia. Coś takiego na pewno utkwiłoby mu w pamięci.

- Trotter wydaje się porządnym facetem - ciągnął Eberhart. - Kocha dzieciaki, wozi je na mecze, basen i na dodatkowe zajęcia. Wzorowy rodzic, wzorowy mąż. W ubiegłym roku zarobił mnóstwo pieniędzy. Płaci podatki, czasem nawet chodzi do kościoła. Teraz pokażę panu, jaki jest plan.

Plan przewidywał dwie grupy ochroniarzy. Zadaniem jednej z nich miała być obserwacja Trottera, drugiej - ochrona Yorka. Pomysł był dość kosztowny, zatrudnianie gliniarzy nie należy do najtańszych przyjemności.

- Prawdę mówiąc, nie sądzę, aby trwało to zbyt długo - ciągnął Eberhart. Wyjaśnił, że cała siódemka pracowała wcześniej w policji i wie, jak badać miejsca zbrodni i przesłuchiwać świadków. - Kiedy zajmiemy się całą sprawą, facet na długo straci ochotę, by kogokolwiek nękać. Mamy więcej ludzi i środków niż wydział zabójstw w Scottsdale.

Jasne, pomyślał York, a wasze honorarium będzie wynosiło tyle co ich roczny budżet.

York opowiedział mężczyźnie o tym, co on i Carole robią zwykle w ciągu dnia, o sklepach, do których jeździli na zakupy, restauracjach i barach, w których jadają. Dodał też, że chciałby, aby ochroniarze zachowali odpowiedni dystans; Carole wciąż przecież o niczym nie wie.

- Nie powiedział jej pan?

- Nie. Prawdopodobnie nie zniosłaby tego najlepiej. Wie pan... kobiety.

Eberhart chyba jednak nie do końca wiedział, co ma na myśli jego szef. Mimo to odparł:

- Zrobimy, co w naszej mocy, proszę pana.

York podziękował mu i odprowadził mężczyznę do drzwi. Przed wyjściem Eberhart pokazał mu pierwszą grupę operacyjną, siedzącą w zaparkowanym dwa domy dalej, jasnobrązowym fordzie. York nie zauważył ich, kiedy otwierał drzwi. Najwyraźniej ochroniarze naprawdę znali się na swej pracy.

Kiedy Eberhart odjechał, York ponownie zerknął w okno na pustynny krajobraz. Jeszcze chwilę temu myśl o snajperach wydała mu się śmieszna i niedorzeczna.

Teraz nie było w niej nic zabawnego. Chwilę później wrócił do domu i zasłonił wszystkie okna, wychodzące na pustynię.

W ciągu kolejnych dni nie wydarzyło się nic niepokojącego i York trochę się uspokoił. Kręcący się wokół domu ochroniarze pozostawali niezauważeni, tak więc Carole wciąż nie zdawała sobie sprawy, że ktoś bez przerwy ma ją na oku - w drodze do manikiurzystki, fryzjera, klubu, a nawet do sklepu.

Ludzie Eberharta obserwowali Trottera, który nie miał pojęcia o inwigilacji i żył jak zawsze. Kilkakrotnie stracili go z oczu, jednak na krótko, i wydawało się, że nie było to z jego strony celowe zagranie. Kiedy zniknął, grupa chroniąca Yorka i Carole wzmagała czujność, mimo to nie doszło do żadnych incydentów.

W tym czasie Lampert i Alvarado sprawdzali ludzi, których nazwiska York spisał na kartce jako potencjalnych podejrzanych. Niektórzy z nich faktycznie mogli chcieć jego śmierci, w wypadku niektórych zdawało się to nieprawdopodobne, jednak żaden trop nie wydawał się tym właściwym.

York zamierzał spędzić długi weekend w Santa Fe, grając w golfa i robiąc zakupy. Na ten czas zrezygnował z ochrony, która -jak uważał - z pewnością nie umknęłaby uwagi Carole. Eberhart nie miał nic przeciwko temu. Zdecydował, że w tym czasie jego ludzie skupią się na obserwacji Trottera, a gdyby ten postanowił opuścić Scottsdale, natychmiast polecą do Santa Fe.

Wyjechali wczesnym rankiem. Jeden z ludzi Eberharta poinstruował Yorka, aby przed wyjazdem pokluczył trochę po mieście i upewnił się, że nikt go nie śledzi. Miał się w tym celu zatrzymać na wschodnich obrzeżach Scottsdale, co biznesmen faktycznie uczynił. Droga była czysta.

Wyjechawszy z miasta, York ruszył w stronę wschodzącego słońca; odchylił się na skórzanym siedzeniu mercedesa cabrio, pozwalając, by wlewający się do wnętrza samochodu pęd powietrza nieustannie mierzwił jego włosy.

- Włącz jakąś muzykę, laleczko! - zawołał do Carole.
- Jasne. Co?
- Coś głośniego!

Chwilę później z głośników ryknął zespół Led Zeppelin. York wyłączył ogranicznik prędkości i wcisnął w podłogę pedał gazu.

Siedzący w białym wozie operacyjnym, nieopodal zbudowanego z suszonej cegły, różowego domu Trottera, Stan Eberhart odebrał wibrujący telefon.

-Tak?  
- Stan, mamy problem - poinformował Julio, jeden z wynajętych gli-niarzy.

- Mów.
- Wyjechał już?
- York? Tak, jakąś godzinę temu.

-Hm.

- Co jest?
- Jestem u dealera NAPA niedaleko firmy.

Eberhart wysłał ludzi do okolicznych sklepów i firm. Uzbrojeni w zdjęcia agenci wypytywali sprzedawców o zakupy, jakie mógł ostatnio poczynić Trotter. Naturalnie, nie pracowali już w ochronie porządku publicznego, Eberhart jednak wiedział, że dwudziestodolarowe banknoty otwierają tyle samo drzwi co policyjne odznaki. Może nawet więcej.

-I co?

- Dwa dni temu facet, który wyglądał jak Trotter, zamówił kopię instrukcji obsługi dla sportowych mercedesów. Książka przyszła wczoraj i już ją odebrał. Poza tym kupił zestaw metrycznych kluczy francuskich i kwas akumulatorowy. Stan, to była książka o hamulcach, a wszystko wydarzyło się wtedy, gdy na kilka godzin zgubiliśmy Trottera.

- Myślisz, że facet grzebał w mercedesie Yorka?
- Mało prawdopodobne, ale nie możemy tego wykluczyć. Myślę, że powinniśmy przyjąć również taką wersję.
- Oddzwonię do ciebie. - Eberhart rozłączył się i natychmiast zadzwonił do Yorka.

Chwilę później usłyszał strapiiony głos:

- Cześć.



- Panie York, tu...  
- W tej chwili nie mogę rozmawiać. Proszę, zostaw wiadomość, a od-dzwonię tak szybko, jak to będzie możliwe.  
Eberhart rozłączył się i po raz kolejny wybrał numer. Dzwonił pięć razy, lecz wciąż słyszał ten sam stroskany głos poczty głosowej.

York rozpędził mercedesa do setki.  
- Ale czad, nie? - zawołał ze śmiechem. - Dalej!  
- Że co? - odkrzyknęła Carole. Ryk powietrza i wysoki głos Roberta Planta skutecznie zagłuszały wszelkie słowa.  
- Jest świetnie!  
Jednak Carole nie odpowiedziała. Patrzyła przed siebie, marszcząc brwi.  
- Tam jest zakręt. - Dodała coś jeszcze, czego nie był w stanie usłyszeć.

-Co?  
- Może lepiej zwolnij.  
- To cacko zawraca niemal w miejscu. Nic nam się nie stanie.  
- Kochanie, proszę! Zwolnij!  
- Potrafię prowadzić.  
Jechali prostą trasą, która opadała w dół stromego zbocza. U podnóża droga skręcała ostro i przechodziła w biegnący nad głębokim potokiem most.

- Zwolnij! Kochanie, proszę! Spójrz na ten zakręt!  
Chryste, czasami nie warto było się z nią kłócić.  
- Dobra.  
Zdjął nogę z gazu.  
I wtedy się zaczęło.

Nie miał pojęcia, co tak naprawdę się stało. Nagle wokół nich pojawił się ogromny, wirujący tuman piasku, jak gdyby samochód znalazł się w samym środku trąby powietrznej. Niebo zniknęło, a Carole, krzycząc, chwyciła za deskę rozdzielczą. Ściskając kurczowo kierownicę, York próbował wrócić na drogę. Wszystkim jednak, co widział, był wirujący piach, który boleśnie smagał twarz.

- Umrzemy, umrzemy! - zawodziła Carole.  
Nagle, gdzieś nad ich głowami, rozległ się schrypnięty, brzękliwy głos:  
- York, natychmiast zatrzymaj samochód. Zatrzymaj samochód!  
Spoglądając w górę, Stephen York dostrzegł wiszący dwadzieścia stóp nad jego głową policyjny helikopter; jego śmigła wzbijały do góry tumany piachu i kurzu.

- Kto to?! - wrzasnęła Carole. - Kto to?

Głos jednak wciąż nalegał:

- Nawalą ci hamulce! Nie zjeżdżaj w dół zbocza!
- Sukinsyn! - ryknął York. - Majstrował przy hamulcach.
- Kto, Stephen? Co się dzieje?

Helikopter skręcił w kierunku mostu i wylądował tuż przed nim -prawdopodobnie po to, by ludzie z brygady ratunkowej zdążyli z pomocą w razie wypadku lub gdyby samochód spadł z klifu.

*Zdążyli z pomocą lub odnaleźli ciała.*

Na szczycie wzgórza prędkość samochodu wynosiła dziewięćdziesiąt. Chwilę później przód mercedesa opadł w dół i maszyna zaczęła przyspieszać.

York wcisnął pedał hamulca. Zaciskacze zdawały się działać.

Gdyby jednak hamulce nagle odmówiły posłuszeństwa, York nie miał innego wyjścia, niż zderzyć się ze skałą lub spaść z klifu; nie mogli wejść w zakręt z prędkością większą niż trzydzieści pięć mil na godzinę. Dobrze, że chociaż na poboczu był piasek.

York chwycił kurczowo kierownicę i wziął głęboki oddech.

- Trzymaj się!
- Co chcesz zrobić...?

Gwałtownie zjechał z drogi.

Z tylnego siedzenia posypały się walizki, butelki wody mineralnej i piwa, Carole wrzasnęła, podczas gdy on bezskutecznie starał się zapanować nad samochodem. Skręcone opony ślizgały się na piasku. Chwilę później ominęli potężny głaz i wjechali na pustynię.

Na maskę posypał się grad skał i żwiru, zdołując przednią szybę pajęczyną drobnych pęknięć i bombardując błotnik niczym pociski. Samochód podskoczył i zakołysał się, jak gdyby zaraz miał się przewrócić.

Jechali teraz znacznie wolniej, jednak prędkość czterdziestu mil na godzinę nieubłaganie zbliżała ich do ogromnego głazu... Piasek był tu tak głęboki, że York kompletnie stracił panowanie nad kierownicą.

- Jezu, Jezu, Jezu... - szlochała Carole, zakrywając twarz rękami.

York wcisnął lewą stopę w hamulec, wrzucił wsteczny, a prawą stopą nacisnął pedał gazu. Silnik zaryczał, spod kół zaś strzeliły w niebo tumany kurzu i piachu.

Samochód zatrzymał się pięć stóp przed skalną ścianą.

Złany potem York oparł głowę o kierownicę; serce waliło mu jak młotem. Był wściekły. Dlaczego nie zadzwonili? Co się stało z rutynowymi procedurami rodem z „Helikoptera w ogniu”?

Dopiero wówczas zerknął na telefon. Siedem nieodebranych połączeń, pięć pilnych wiadomości.

Nie słyszał dzwonka. Wiatr, ryk silnika i... ta przekłeta muzyka. Szlochając i otrzepując z piasku biały spodniem, Carole warknęła wściekle:

- Co się dzieje? Chcę wiedzieć. Natychmiast.

Podczas gdy Eberhart i Lampert nadchodzili ku nim od strony helikoptera, opowiedział jej wszystko.

- Żadnego wyjazdu na weekend - oznajmiła Carole. - Mogłeś chociaż o tym wspomnieć. Choć raz dla odmiany okazać, że masz charakter.

- Nie chciałem cię martwić.

- Chyba masz na myśli to, że nie chciałeś, żebym pytała, co takiego zrobiłeś człowiekowi, który chce teraz wyrównać rachunki.

- Ja...

- Zabierz mnie do domu. Natychmiast.

Wrócili do Scottsdale w milczeniu, jadąc wypożyczonym samochodem; mercedes został odholowany przez policję, która zamierzała sprawdzić, czy nikt w nim nie grzebał i nie wymieniał żadnych części. Godzinę po powrocie do domu Carole stanęła w drzwiach z walizką, oznajmiając, że wyjeżdża do Los Angeles nieco wcześniej, niż planowała.

W głębi duszy York cieszył się z jej decyzji. Nie byłby w stanie poradzić sobie z Trotterem i chwiejnymi nastrojami żony. Sprawdził dokładnie drzwi i okna i spędził resztę wieczoru, oglądając HBO i popijając whisky.

Dwa dni później, około piątej po południu, trenował w sypialni, którą na czas śledztwa przekształcił w prowizoryczną siłownię - od czasu wypadku unikał klubu i śmiercionośnej sauny. W pewnej chwili usłyszał dzwonek do drzwi. Podniósł leżącą w korytarzu broń i wyjrzał na zewnątrz. Przed drzwiami stał Eberhart. Trzy zamki i zasuwę później York zaprosił mężczyznę do środka.

- Mam coś, o czym powinien pan wiedzieć. Wczoraj dwie grupy obserwowały Trottera. Facet poszedł do kina na seans popołudniowy.

-Tak...?

- Jest pewna zasada: jeśli obserwowany idzie sam do kina... wygląda to podejrzanie. Moi ludzie porównali notatki. Wygląda na to, że piętnaście minut po jego wejściu z kina wyszedł facet w ogrodniczkach, niosący worki ze śmieciami. Mniej więcej pół godziny później przed kinem pojawił się dostawca z wielkim pudłem. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że moi ludzie rozmawiali z kierownikiem. Pierwsze par-

tie śmieci są zwykle wynoszone do kublów między piątą a szóstą wieczorem. Poza tym na ten dzień nie zamawiano żadnych dostaw. York skrzywił się.

- To znaczy, że na godzinę straciliście go z oczu. W tym czasie mógł pójść dosłownie wszędzie.

- Nie wziął samochodu. Pilnowaliśmy go. Sprawdziliśmy też korporacje taksówkarskie. Nikt z tego obszaru nie zamawiał taksówki.

- Czyli poszedł gdzieś pieszo?

- Na to wygląda. Chyba nawet wiemy gdzie. Dziesięć minut spacerkiem od multipleksu znajdują się zakłady Southern States Chemicals. I wie pan, co jest ciekawe? - Zerknął w notatki. - Produkuje tam akrylonitryl, metakrylan metylu i adyponitryl.

- Co to jest, do cholery?

- Chemikalia wykorzystywane w przemyśle. Każda substancja z osobna nie jest niczym wyjątkowym. Ważne jest to, że można z nich zrobić cyjanek wodoru.

- Chryste. Tę truciznę?

- Właśnie! Jeden z moich ludzi sprawdził Southern States. Nie mają tam żadnych zabezpieczeń. Puszki z chemikaliami stoją pod gołym niebem nieopodal strefy ładunku. Trotter mógł wejść na teren zakładu, zabrać to, co potrzebne do zrobienia trucizny, i nikt by go nie zobaczył. Nie muszę chyba mówić, kto projektował tereny wokół zakładu?

- Trotter.

- Dlatego wiedział o chemikaliach i znał miejsce, gdzie je przetrzymywano.

- Czy ktoś mógłby to zrobić? Cyjanek?

- Najwyraźniej nie jest to takie trudne. Poza tym musimy pamiętać, że Trotter od lat zajmuje się projektowaniem zieleni, tak więc zna się na substancjach chemicznych i nawozach. No i był w wojsku; pierwsza wojna w Zatoce. W tamtym czasie wielu żołnierzy miało do czynienia z bronią chemiczną.

Biznesmen walnął dłonią w blat stołu.

- Niech to szlag. To znaczy, że ma truciznę, a ja nawet nie wiem, czy nie dodał mi jej do jedzenia. Chryste.

- Cóż, nie do końca jest tak, jak pan myśli - zmitygował go rozsądnie Eberhart. - W domu nic panu nie zagraża. Jeśli będzie pan kupował paczkowaną żywność i uważał na to, co je w restauracjach, może pan kontrolować ryzyko.

*Kontrolować ryzyko...*

York ze wstrętem wrócił na korytarz, chwycił przesyłkę firmy kurierskiej FedEx, w której rankiem dostarczono jego ulubione cygara, i rozerwał kopertę. Chwilę później wpadł do kuchni, odpieczętowując jedno z nich.

- Nie mogę nawet wyjść, żeby kupić cygara. Jestem więźniem we własnym domu. Oto kim się stałem. - Przez chwilę grzebał w szufladzie, szukając obcinacza, po czym wprawnym ruchem zgilotynował końcówkę macanudo. Chwilę żuł nerwowo koniec cygara, po czym zapalił zapalniczkę i podniósł ją na wysokość twarzy.

W tej samej chwili usłyszał oszalały głos:

-Nie!

Zaskoczony sięgnął po broń. Zanim jednak zdążył ją pochwycić, ktoś rzucił się na niego od tyłu, przewrócił go na podłogę i pozbawił tchu.

Dysząc ciężko, biznesmen przeczołgał się z kuchni w głąb korytarza; przerażony rozejrzał się dookoła i nie zobaczył nikogo ani niczego, co mogłoby zagrażać jego życiu.

- Co pan wyprawia? - wrzasnął do ochroniarza.

Z trudem chwytając powietrze, Eberhart dźwignął się na nogi i pomógł mężczyźnie wstać.

- Przepraszam... musiałem pana powstrzymać... Cygaro.

- Co takiego?

- Cygaro. Proszę go nie dotykać.

Mówiąc to, wziął kilka foliowych torebek. Do jednej z nich włożył cygara. Do kolejnej kopertę FedEksu.

- Kiedy przygotowując plan działania, pytałem pana o sklepy, do których pan chodzi, powiedział pan, że kupuje cygara w Phoenix, prawda?

- Prawda. I co z tego?

Eberhart podniósł przyklepioną do koperty etykietkę.

- Te wysłano ze sklepu Postal Plus w centrum handlowym Sonora Hills.

York zastanawiał się przez chwilę.

- To niedaleko od...

- Trzy minuty drogi od firmy Trottera. Mógł zadzwonić do sklepu i dowiedzieć się, kiedy zamawiał pan cygara. Następnie kupił je i nafasze-rował trucizną. Zaraz przeprowadzę szybki test. Zobaczymy, jakie będą wyniki.

- Czy nie musiałbym... to znaczy, czy nie musiałbym połknąć cyjanku, żeby zginąć?

- Aha. - Ochroniarz ostrożnie powąchał torebkę. - Cyjanek pachnie

jak migdały. - Potrząsnął głową. - Trudno powiedzieć. Może zapach tytoniu zabija zapach cyjanku.

- Migdały - szepnął York. - Migdały... - Powąchał palce i jak oszalały zaczął szorować dłonie.

Nastąpiła długa cisza.

Wycierając ręce papierowymi ręcznikami, York zerknął na pogrążonego w myślach Eberharta.

- Nad czym pan tak дума? - warknął.

- Myślę, że nadszedł czas na zmianę planów.

Nazajutrz Stephen York zaparkował wynajętego mercedesa na rozgrzanym, zakurczonym parkingu przy komisariacie policji w Scottsdale. Rozejrzał się dokoła, wypatrując samochodu Trottera - granatowego le-xusa sedana. Teren był jednak czysty.

Mężczyzna wygramolił się z samochodu, niosąc plastikowe torebki z kopertą FedEksu, cygarami i zabranym z domu jedzeniem. Chwilę później wniósł je do budynku, który nadgorliwa klimatyzacja zmieniła w prawdziwą oazę chłodu.

W sali konferencyjnej na parterze siedzieli czterej mężczyźni: detektyw Lampert i jego koleś Alvarado, Stan Eberhart i człowiek postury Yorka, ubrany identycznie jak on. Mężczyzna przedstawił się jako Peter Billings, tajny agent.

- Skoro przez jakiś czas mam pana udawać, zastanawiałem się, czy mogę skorzystać z pańskiego basenu oraz wziąć w łazience gorącą kąpiel?

- Z mojego...

- Żartowałem - odparł Billings.

- Jasne - mruknął niewesoło York i zwrócił się do Lamperta: - Oto i one.

Detektyw wziął torebki i niedbale rzucił je na puste krzesło. Według wstępnego testu, przeprowadzonego przez Eberharta w domu biznesmena, ani cygara, ani jedzenie nie zawierały trucizny. Jednak przywiezienie ich tu - pod czujnym okiem pałającego żądzą zemsty Trottera - było istotną częścią planu. Musieli sprawić, by przez kolejną godzinę wierzył, że dali się złapać na bajeczkę o planowanym otruciu Yorka.

Kiedy testy dały wynik negatywny, Eberhart uznał, że Trotter sfingował całą historię z cyjankiem w tym celu, by policja uwierzyła, że faktycznie zamierza otruć Yorka. Tylko po co? Oczywiście po to, by odwrócić uwagę funkcjonariuszy. Jeżeli gliniarze zyskają pewność, jakiego ataku należy się spodziewać, nie będą przygotowani na prawdziwy cios. Pytanie tylko, co tak naprawdę planuje Trotter? W jaki sposób zamierza dopaść Yorka?

By się tego dowiedzieć, Eberhart przedsięwziął ekstremalne kroki: włamał się do domu Trottera. Podczas nieobecności architekta zieleni, jego żony i dzieci były gliniarz rozbroił alarm, kamery monitorujące i dokładnie przeszukał biuro Trottera. W szufladzie biurka znalazł książki na temat sabotażu i inwigilacji. Przyklejone do dwóch stron karteczki samoprzylepne zaznaczały rozdziały dotyczące butli gazowych i zawierające instrukcje, jak zrobić z nich bomby i jak wykonać detonator odległościowy. Eberhart znalazł jeszcze jedną wskazówkę: karteczkę, na której zapisano: Rodriguez Garden Supplies.

To właśnie tam Stephen York jeździł w sobotnie popołudnia, by wymienić butle do grilla. Według Eberharta, Trotter zainscenizował wątek z trucizną, podczas gdy jego prawdziwym celem było doprowadzenie do „przypadkowej” eksplozji, kiedy tylko York odbierze nową butlę. Ochro- niarz nie mógł jednak poinformować o tym policji - byłoby to równo- znaczne z przyznaniem się do włamania - tak więc powiedział Billy'emu Lampertowi, że doszły go słuchy, iż Trotter wypytywał o butle z gazem i miejsca, w których York robi zakupy. Nie mając szans na uzyskanie nakazu rewizji, detektyw przystał na plan Eberharta, by złapać Trottera na gorącym uczynku. Po pierwsze, Trotter musiał uwierzyć, że policja złapała haczyk i uwierzyła, że ma on zamiar otruć Yorka. Ponieważ prawdopodobnie wiedział, że w każdą sobotę w porze lunchu biznesmen jedzie do punktu wymiany butli, więc ten przywiezie cygara i próbki żywności na policję, gdzie przeprowadzenie szczegółowej analizy zajmie gliniarzom trochę czasu. Tymczasem Trotter będzie śledził Yorka, który załatwi po drodze kilka spraw i odbierze nową butlę. Tyle tylko, że mężczyzną w samochodzie nie będzie Stephen York, lecz jego sobowtór, detektyw Peter Billings. Billings odbierze od Rodrigueza butlę - która na wszelki wypadek będzie pusta - i schowa ją w samochodzie. Następnie wróci do sklepu, podczas gdy Lampert i jego ludzie będą obserwować Trottera.

- No i gdzie jest teraz nasz chłopak? - zwrócił się Lampert do swego partnera.

Alvarado wyjaśnił, że Trotter opuścił dom mniej więcej w tym samym czasie co York i pojechał w tym samym kierunku. Na jakiś czas stracili go z oczu, niebawem jednak pojawił się przy Whole Foods, niedaleko od Rodrigueza. Jeden z funkcjonariuszy widział, jak facet wchodzi do środka.

- Zaczyna się - oznajmił Lampert pozostałym funkcjonariuszom. Udający Yorka Billings opuścił budynek, wsiadł do samochodu i włą- czył się do ruchu. Eberhart i York wskoczyli do jednego z wozów pości-

gowych i ruszyli za nim. Jechali w bezpiecznej odległości, tak by Trotter -jeśli istotnie zamierzał śledzić Billingsa - nie zwrócił na nich uwagi.

Dwadzieścia minut później agent zaparkował przed Rodriguez Garden Supplies, podczas gdy Eberhart i York zatrzymali się przecznicę dalej, na niewielkim parkingu. Lampert i jego ludzie zajęli stanowiska nieopodal sklepu.

- Dobra - rzucił Billings do ukrytego mikrofonu. - Idę po butlę.

York i Eberhart wychylili się, by lepiej widzieć całą sytuację, jednak je dyne, co zobaczyli, to zaparkowany przy ulicy mercedes Yorka.

- Widzicie Trottera? - zawołał przez radio Lampert.

- Nie wyszedł jeszcze z Whole Foods - usłyszeli przez przymocowaną do deski rozdzielczej krótkofalówkę.

Chwilę później Billings wyszedł z budynku.

- Do wszystkich jednostek. Umieściłem w samochodzie pustą butlę. Jest na tylnym siedzeniu. Wracam do środka.

Piętnaście minut później York usłyszał zdenerwowany głos jednego z gliniarzy:

- Mam coś... facet w czapeczce i okularach przeciwsłonecznych - możliwe, że to Trotter - podchodzi do mercedesa od wschodu. W jednej ręce niesie torbę z zakupami, w drugiej coś innego. Wygląda to jak mały komputer. Może to detonator. Albo bomba.

Eberhart skinął głową do siedzącego obok Yorka.

- Zaczyna się.

- Widzę go - odparł kolejny gliniarz.

- Rozgląda się... - ciągnął jeden z ochroniarzy - Chwileczkę... Dobra, podejrzany minął właśnie samochód Yorka. Nie jestem pewien, ale chyba się zatrzymał. Myślę, że mógł tam coś podrzucić. Przechodzi przez ulicę... Idzie do Miguela.

W nadajniku rozległ się głos Lamperta:

- To tam zdetonuje ładunek... Dobra, zamknijmy ulicę i wyślijmy za nim tajniaka.

Eberhart uniósł brew i uśmiechnął się do Yorka.

- O to chodziło.

- Mam nadzieję - odparł z niepokojem biznesmen.

Policjanci powoli ruszyli w stronę budynku, trzymając się blisko ścian i otaczając Miguel Bar and Grill, w którym Trotter czekał, aż fałszywy York wróci do samochodu, by wtedy zdetonować ładunek i żywcem usmażyć biznesmena.

Chwilę później usłyszeli kolejny głos:

- Jestem w Miguel Bar - szepnął drugi tajny agent. - Widzę podejrze-



nego. Siedzi przy oknie i wygląda na zewnątrz. Nie widzę żadnej broni. Facet otworzył właśnie niewielki komputer albo coś podobnego. W każdym razie urządzenie ma nadajnik. Wpisał coś. Przypuszczam, że uzbroidł ładunek.

- Roger - usłyszeli głos Lamperta. - Zajęliśmy pozycje, trzech na tyłach budynku, dwóch z przodu. Zamknęliśmy ulicę; Rodriguez jest czy sty. Wypuściliśmy wszystkich tylnym wyjściem. Możemy go zdejmować.

Siedzący w samochodzie Eberhart nerwowo bębnił palcami w kierownicę.

York zignorował irytujący dźwięk i pograżył się w myślach. Czy Trot-ter będzie stawiał opór? Może spanikuje i...

Podskoczył, gdy silna ręka Eberharta chwyciła go za ramię. Ochroniarz wbijał wzrok w lusterko wsteczne, z niepokojem marszcząc brwi.

- O co chodzi?

York odwrócił się. Na bagażniku stała niewielka torba na zakupy. Podczas gdy oni obserwowali mercedesa, ktoś najwyraźniej ją podrzucił.

- Tu Eberhart. Do wszystkich jednostek, bądźcie w pogotowiu.

- Co się dzieje, Stan? - spytał Lampert.

- Wyrolował nas! - odparł zdyszczym głosem Eberhart. - Nie umieścił żadnego ładunku pod mercedesem. A jeśli to zrobił, zostawił drugi na naszym wozie. To niewielka torba z Whole Foods. Wysiadamy!

- Nie, nie! - ryknął przez radio kolejny głos. - Tu Grimes z brygady antyterrorystycznej. Możliwe, że detonator reaguje na ciśnienie albo ruch. Jeśli tak, ładunek może eksplodować w każdej chwili. Zostańcie w samochodzie, wyślemy tam kogoś.

- To już drugi pozorowany atak - mruknął Eberhart. - Najpierw fałszywy trop z trucizną, a teraz fikcyjna bomba pod mercedesem. Facet od samego początku patrzył nam na ręce i udało mu się nas tu zwabić... Chryste.

Z nadajnika dobiegł głos Lamperta:

- Do wszystkich jednostek, wchodzimy do Miguela. Nie pozwólcie mu zdetonować ładunku.

Eberhart zasłonił twarz marynarką.

Stephen York nie był pewien, czy coś takiego zapewni wystarczającą ochronę przed eksplodującą butlą z gazem. Mimo to jednak postąpił dokładnie tak samo.

- Gotowi? - szepnął Lampert do Alvarada i pozostałych gliniarzy, przyczajonych za drzwiami baru.

Odpowiedzieli mu, kiwając głowami.

- W takim razie do roboty!

Wpadli przez tylne wejście, mierząc z pistoletów i karabinów maszynowych, podczas gdy pozostali funkcjonariusze wbiegli do lokalu frontowymi drzwiami. Lampert natychmiast wymierzył broń w głowę Trot-tera, gotów oddać strzał, gdyby mężczyzna sięgnął w kierunku detonatora.

Podejrzany jednak odwrócił się tylko i podobnie jak inni klienci ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Ręce do góry! Ty, Trotter, nie ruszaj się, nie ruszaj się!

Mężczyzna chwiejnym krokiem odsunął się od krzesła i wlepił w gliniarzy oszołomione spojrzenie. Chwilę później posłusznie podniósł ręce.

Jeden z antyterrorystów stanął pomiędzy nim a detonatorem i spojrzał na urządzenie, podczas gdy ludzie z grupy operacyjnej rzucili Trot-tera na podłogę i skuli go.

- Nic nie zrobiłem! O co chodzi?

W odpowiedzi usłyszał, jak detektyw mówi do mikrofonu:

- Mamy go. Jednostki antyterrorystyczne jeden i dwa, możecie rozpocząć akcję.

W samochodzie zapadła kompletna cisza. Eberhart i York robili, co mogli, by się nie poruszyć, York jednak miał wrażenie, że oszalałe dudnienie jego serca lada chwila zdetonuje ładunek.

Wiedzieli już, że Trotter jest pilnie strzeżony i nie może zdetonować bomby. Mimo to wciąż nie wiedzieli, czy ładunek nie zareaguje na najmniejszy choćby ruch. Przez ostatnie pięć minut Eberhart uświadamiał Yorka, jak wrażliwe potrafią być niektóre detonatory - w końcu biznesmen kazał mu się zamknąć.

Otulony marynarką York obserwował w bocznym lusterku gliniarza w charakterystycznym zielonym kombinezonie, powoli podchodzącego do samochodu. Chwilę później w niewielkim głośniku usłyszeli jego głos:

- Eberhart, York, nie ruszajcie się.

- Jasne - odparł gardłowym szeptem ochroniarz, ledwie poruszając ustami.

York widział, jak policjant podchodzi do samochodu i zagląda do torby. Chwilę później gliniarz wyciągnął latarkę i ponownie przyjrzał się zawartości torby. Drewnianym zgłębnikiem, podobnym do chińskiej paleczki, ostrożnie przeszukał znalezisko.

W głośniku rozległ się dźwięk podobny do westchnienia.

York skulił się w sobie.

Jednak nie było to westchnienie.

Gliniarz roześmiał się i po chwili oznajmił:

- Śmieci.
- Co takiego?

Mężczyzna zdjął kaptur i podszedł do okna pasażera. York drżącą ręką opuścił szybę.

- Śmieci - powtórzył gliniarz. - Czyjś lunch. Sushi, pringles i yoo-hoo. Czekoladowe. Osobiście nie wybrałbym czegoś takiego.

- Śmieci? - rozległ się w głośniku głos Lamperta.
- Tak jest.

Wezwana do zbadania mercedesa pierwsza jednostka antyterrorystyczna nie znalazła nic oprócz zmiętego kubka po wodzie mineralnej, który Trotter - lub ktoś inny - wrzucił pod samochód.

York wytarł twarz, wygramolił się z samochodu i oparł o maskę, żeby dojść do siebie.

- Niech to szlag, facet prowadzi nas jak psa na łańcuchu. Chodźmy porozmawiać z tym skurwysynem.

Widząc, jak wściekli Eberhart i York wchodzą do Miguela, Lampert podniósł wzrok. Klienci wrócili już do jedzenia, najwyraźniej podekscytowani faktem, że jeszcze chwilę temu brali udział w przedstawieniu rodem z „Prawa i porządku”.

Detektyw odwrócił się do mundurowego, który skończył rewidować Trottera.

- Portfel, klucze, pieniądze. Nic poza tym.

Kolejny detektyw z oddziału antyterrorystycznego uważnie zbadał „detonator”, oznajmiając, że byli w błędzie; urządzenie okazało się niewielkim laptopem. Podczas gdy York rozważał kolejne szczegóły, w drzwiach pojawił się jeden z tajnych agentów.

- Przeszukaliśmy samochód Trottera. Żadnych ładunków wybuchowych.

- Ładunków wybuchowych? - powtórzył Trotter, marszcząc brew.

- Nie zgrywaj niewiniątka - warknął Lampert.

- Ale znaleźliśmy pustą butlę - dodał gliniarz. - Od Rodrigueza.

- Miałem ją napęlić - wyjaśnił Trotter. - Zawsze tam jeżdżę. Wybrałem się tam po lunchu. - Wskazał głową menu. - Jedliście kiedyś tutejsze tamale? Najlepsze w mieście.

- Niech cię szlag, nieźle się z nami zabawiłeś - mruknął York. - Myśleliśmy, że twoje śmieci to bomba.

Na twarzy architekta zieleni pojawił się chłodny uśmiech.

- Skąd w ogóle przyszedł wam do głowy tak idiotyczny pomysł?

Na chwilę zapadła cisza. Lampert spojrzał na Eberharta, który wyraźnie unikał jego wzroku.

Trotter wskazał głową komputer.

- Proszę wcisnąć „play”.

- Co takiego? - spytał detektyw.

- Klawisz „play”.

Lampert zawahał się i spojrzał na urządzenie.

- To nie bomba. A nawet gdyby tak było, myśli pan, że chciałbym wysadzić się w powietrze?

- Jezu Chryste - mruknął Eberhart, gdy na niewielkim ekranie pojawił się obraz.

To był on, grasujący w gabinecie Trottera.

- Stan? To ty? - spytał Lampert.

- Ja...

- Tak, to on - odparł Trotter. - W moim domu.

- Powiedziałeś, że jeden z twoich informatorów przekazał, że Trotter wypytuje o butle i o to, gdzie York robi zakupy.

Ochroniarz milczał.

- Po lunchu zamierzałem wpaść na komisariat i podzucić wam płytę z nagraniem. Ale skoro już tu jesteście... proszę, jest wasza.

Policjanci w milczeniu obserwowali, jak Eberhart przetrząsa biurko Trottera.

- A więc co teraz? - spytał mężczyzna. - Kradzież z włamaniem, a do tego wtargnięcie na teren prywatny. A, jeszcze jedno - gdyby was to interesowało - zamierzam wnieść oskarżenie. Jak wy to mówicie? Zaatakuję na całej linii.

- Aleja... - Eberhart potykał się o własne słowa.

- No co? - przerwał mu Trotter. - Wyłączyłeś prąd? I zasilanie? Problem w tym, że ostatnio dzięki obecnemu tu panu Yorkowi zachowuję się jak paranoik. Dlatego kupiłem dwa zestawy do podtrzymania baterijnego.

Włamałeś się do jego domu? - Stephen York był wyraźnie poruszony.

- Nic mi o tym nie mówiłeś.

- Ty przekłety Judaszu! - wybuchnął Eberhart. - Wiedziałeś dokładnie, co robiłem! Zgodziłeś się na to! To ty chciałeś, żebym tam poszedł!

- Przysięgam - odparł York. - Nie miałem o niczym pojęcia.

Lampert potrząsnął głową.

- Stan, dlaczego to zrobiłeś? Mógłbym przymknąć oko na pewne rzeczy, ale kradzież z włamaniem? To głupota.

- Wiem, wiem - przyznał Eberhart, spuszczaając wzrok. - Ale robili-

śmy wszystko, żeby go dorwać. Ten facet jest niebezpieczny. Ma książki na temat sabotażu i obserwacji... Proszę, Bill, odpuść sobie.

- Przykro mi, Stan. - Mówiąc to, Lampert skinął głową do mundurowego, który bez słowa skuł ochroniarza. - Zabierzcie go na posterunek.

- Co do książek! - zawołał za nimi Trotter. - Kupiłem je do badań. Próbuję swoich sił jako autor kryminałów. Dziś wszyscy tak robią. Mam w komputerze kilka rozdziałów. Proszę sprawdzić, jeśli mi nie wierzycie.

- Kłamiesz! - ryknął York, zwracając się do Lamperta. - Pan dokładnie wie, dlaczego on to robi, prawda? To część jego planu.

- Panie York, proszę...

- Nie, nie, niech pan pomyśli. Facet zastawia pułapkę, żeby pozbyć się moich ochroniarzy i zostawić mnie bez ochrony. I jeszcze cały ten cyrk z fałszywą bombą; wszystko po to, by dowiedzieć się jak najwięcej o metodach działania policji, o brygadzie antyterrorystycznej, liczbie funkcjonariuszy, tożsamości tajnych agentów.

- Czy zostawił pan na samochodzie pana Eberharta torbę z Whole Foods? - spytał Alvarado.

Trotter odpowiedział bez wahania.

- Nie, jeśli mi nie wierzycie, sprawdźcie odciski palców.

York wskazał dłonią kieszenie mężczyzny.

- Patrzcie, rękawiczki! Nie będzie żadnych odcisków palców! Po co facet nosi rękawiczki w takim upale?

- Jestem architektem krajobrazu. Zazwyczaj w pracy noszę rękawiczki. Większość z nas tak robi... Muszę przyznać, że cała ta sytuacja zaczyna mnie już męczyć. Z powodu tego, co powiedział jakiś robotnik, ubzduraliście sobie, że jestem zabójcą czy jakimś innym świrem. Mam dość tego, że ktoś włamuje się do mojego domu, i tego, że ktoś bez przerwy patrzy mi na ręce. Najwyższa pora skontaktować się z prawnikiem.

York jednak nie dawał za wygraną i jak oszalały rzucił się ku mężczyźnie.

- Kłamiesz! Powiedz, dlaczego to robisz? Powiedz mi, do cholery! Przeanalizowałem każdy zły uczynek, który popełniłem w swoim życiu. Każdy!

Myślałem o bezdomnym, któremu kazałem iść do pracy, kiedy poprosił mnie o dwudziestopięciocentówkę, o sprzedawczyni, którą nazwałem głupią świnią, tylko dlatego, że pomyliła zamówienia, parkingowym, któremu nie dałem napiwku, ponieważ nie mówił po angielsku...

Wróciłem pamięcią do każdego pieprzonego drobiazgu! Obejrzałem swoje życie pod mikroskopem. Nie wiem, co takiego ci zrobiłem. Powiedz mi, powiedz! - Na jego czerwonej twarzy nabrzmiały żyły. Zrezygnowany opuścił dłonie i zacisnął je w pięści.

- Nie wiem, o czym pan mówi. - Trotter uniósł ręce, dzwoniąc kajdan-  
kami.

- Rozkujcie go - zdecydował Lampert.

Jeden z funkcjonariuszy natychmiast spełnił jego żądanie.

Pocąc się, York krzyknął do detektywa.

- Nie! To wszystko jest częścią jego planu!

- Myślę, że facet mówi prawdę. Diaz wymyślił całą tę historyjkę.

- Ale sauna... - zaczął York.

- Proszę się zastanowić. Przecież nic się nie stało. Hamulce w pańskim  
mercedesie też były w porządku. Właśnie otrzymaliśmy raport.

- Ale instrukcja obsługi! Przecież ją kupił - warknął York.

- Hamulce? - spytał Trotter.

- Kupiłeś książkę o układzie hamulcowym w mercedesie - odparł York.

- Nie wypieraj się!

- Dlaczego miałbym się wypierać? Zadzwońcie do wydziału komuni-  
kacji. Tydzień temu kupiłem starego mercedesa sedana. Trzeba wymienić  
w nim hamulce i chciałem zrobić to sam. Przykro mi, York, ale myślę, że  
potrzebujesz pomocy specjalisty.

- Nie, ten samochód to przykrywka - ryknął wściekły York. - Po-  
patrzcie na niego! Spójrzcie na jego oczy! Tylko czeka, żeby mnie zabić!

- Kupił samochód, żeby mieć przykrywkę? - powtórzył Alvarado,  
spoglądając na swojego szefa.

Lampert westchnął.

- Panie York, jeśli ma pan pewność, że coś panu zagraża, proponuję,  
aby wynajął pan kogoś do ochrony. Szczerze mówiąc, nie mam czasu na  
podobne gierki. - Po tych słowach odwrócił się do swoich ludzi. - Dobra,  
wynosimy się stąd. Mamy na głowie ważniejsze rzeczy.

Detektyw zauważył kręcącego się w pobliżu barmana, który najwy-  
raźniej chciał podać Trotterowi zamówione tamale. Lampert przyzwalająco  
skinął głową i mężczyzna podszedł do architekta zieleni, który wrócił do  
stolika, rozłożył chusteczkę i położył ją na kolanach.

- Dobre, co? - spytał Trottera.

- Najlepsze. Lampert

pokiwał głową.

- Przepraszamy za całe to zamieszanie.

Trotter wzruszył ramionami i wydawało się, że jest w doskonałym na-  
stroju. Uśmiechnął się i spojrzał na Yorka, który kierował się do wyjścia.

- Hej! - krzyknął.

Biznesmen zatrzymał się i odwrócił głowę.

- Powodzenia - rzucił Trotter i zabrał się do jedzenia.

O dziesiątej wieczorem Ray Trotter zrobił obchód domu, jak zwykle życząc dobrej nocy swym dzieciom i pasierbowi. („Niepoprawny dobra-nocnik” - ze śmiechem mówiła o nim młodsza córka).

Następnie wziął prysznic i położył się, czekając na Nancy, która kończyła myć naczynia. Chwilę później światła w kuchni zgasły i zobaczył w drzwiach jej sylwetkę. Kobieta uśmiechnęła się i weszła do łazienki.

Trotter lubił plusk lejącej się wody. Owszem, mieszkał na pustyni, wciąż jednak miał słabość do wilgoci północnego wschodu.

Leżąc pośród grubych poduszek, myślał o wydarzeniach minionego dnia, a zwłaszcza o incydencie u Miguela.

Oczywiście zobaczył czerwoną twarz Stephena Yorka i jego przerażone oczy. Facet przestał nad sobą panować. Zachowywał się jak szaleniec.

Oczywiście, miał przy tym stuprocentową rację. Ray Trotter zrobił wszystko, o co oskarżał go York - począwszy od rozmowy z Diazem na temat alarmu, a skończywszy na torbie ze śmieciami, którą położył na samochodzie Eberharta.

Tak, Ray Trotter zrobił każdą z tych rzeczy.

Nie miał jednak zamiaru skrzywdzić Yorka; nie pozwoliłby, aby z jego wyczesanej, odżywionej preparatem Rogained głowy spadł choćby jeden włos.

Istotnie wypytywał Diaza o system alarmowy w domu biznesmena, następnego dnia jednak doniósł na niego policji (Ray widział, jak Diaz sprzedaje trawkę innym pracownikom firmy), z nadzieją, że ten zacznie sypać. Kupił książki na temat sabotażu i układu hamulcowego w mercedesach, do głowy mu wszakże nie przyszło, by konstruować bombę czy majstrować przy samochodzie Yorka. Nie miał też zamiaru używać podkładek, które biznesmen znalazł w saunie. Podobnie jak nie zamierzał otruć nikogo cyjankiem. Złożył zamówienie na cygara - drogie i absolutnie niegroźne. Nawet raporty psychologa w Urzędzie do spraw Kombatantów były jego dziełem. Ray Trotter wybrał się tam, poprosił o akta i udając, że czegoś w nich szuka, podrzucił kilka stron, pochodzących z „burzliwego okresu”, gdy po odbyciu służby szukał porady psychologa. Raport zawierał jednak fikcyjne informacje.

Tak, w głębi serca Ray Trotter pragnął zemsty na Stephenie A. Yorku. Nie chodziło jednak o zemstę fizyczną; lecz o to, by biznesmen naprawdę uwierzył, że Trotter zamierza go zabić - zemstę, która gwarantowała, że York na długi czas pogrąży się w paranoi i depresji, czekając na kolejny omen: eksplodujący samochód, przeciekający bak, strzał, który rozwali w drobny mak okno w jego sypialni.

Czy to skurcz żołądka - czy pierwszy objaw zatrucia arszenikiem?

Cóż takiego zmieniło Raya w anioła zemsty?

*Nie wiem, co takiego ci zrobiłem. Powiedz mi, powiedz mi, powiedz...*

Ku zdumieniu Raya York sam odpowiedział sobie na pytanie, tam u Miguela.

Teraz Trotter wrócił pamięcią do tamtego jesiennego dnia sprzed dwóch lat.

Jego córka Celeste wróciła wówczas do domu wyraźnie czymś przygnębiona.

- Co się stało? - spytał.

Szesnastolatka nie odpowiedziała, poszła prosto do swego pokoju i zamknęła drzwi. Było to krótko po śmierci jej matki, więc sporadyczne napady przygnębienia nie należały do rzadkości. Mimo to Trotter nalegał i tamtej nocy poznał przyczynę nieszczęścia: incydent, do którego doszło na zmianie jego córki w McDonalddie.

Celeste przyznała się, że przez przypadek pomyliła zamówienia i zamiast Big Maca wydała klientowi kanapkę z kurczakiem. Mężczyzna opuścił lokal, ale pięć minut później wrócił do restauracji i stanął przy bufecie. Zmierzył dziewczynę pogardliwym spojrzeniem i warknął:

- A więc jesteś nie tylko gruba, ale i głupia. Chcę rozmawiać z kierownikiem. Natychmiast!

Celeste starała się zachować spokój, gdy jednak opowiadała o tym ojcu, po jej policzku potoczyła się samotna Iza. Jej widok rozdarł mu serce. Nazajutrz po rozmowie z kierownikiem wiedział już, że mężczyzna nazywa się Stephen York.

Samotna Iza...

Dla niektórych niegodna uwagi. Wszakże ponieważ była to Iza jego córki, Ray Trotter zdecydował, że oto przyszedł czas na zemstę.

Woda w łazience przestała szumieć, a zza uchylonych drzwi unosił się słodkawy zapach perfum. Nancy przysła do łóżka i oparta głowę na jego piersi.

- Wyglądasz na szczęśliwego - zauważyła.

- Naprawdę?

- Kiedy szłam do łazienki, zauważyłam, że patrzyłeś w sufit i byłeś taki... jak by to powiedzieć. Zadowolony.

Zastanowił się nad tym, co powiedziała.

- Chyba tak właśnie się czuję. - Mówiąc to, zgasił światło, objął żonę i przyciągnął ją do siebie.

- Cieszę się, że jesteś w moim życiu - szepnęła.

- Ja też - odparł.



Przeciągając się, Ray Trotter pomyślał o planach na przyszłość. Prawdopodobnie da Yorkowi miesiąc lub dwa spokoju. Później, kiedy czujność biznesmena zostanie uspiona, zacznie od nowa swą grę.

Co zrobi tym razem? Może zostawi przy samochodzie puste opakowanie po tabletkach, a na kłamce znikomą ilość nieszkodliwego botok-su. Pomysł wydawał się ciekawy. Musiał tylko sprawdzić, czy ten środek daje pozytywny wynik na obecność bakterii jadu kielbasianego.

Teraz, kiedy policja wierzyła, że Trotter jest niewinny, a York cierpiał na paranoję, biznesmen mógł sobie wzywać gliny tak często, jak zechce. Gliniarze i tak nie będą zwracali na niego uwagi.

On miał teraz nieograniczone pole do popisu...

Być może wciągnie na listę żonę Yorka. Wiedział, że kobieta byłaby doskonałym sojusznikiem. W trakcie obserwacji Trotter widział, że mąż traktuje ją podle. Raz był nawet świadkiem, jak York stracił nad sobą panowanie, tylko dlatego, że kobieta chciała wrócić do college'u i ukończyć studia. Wrzeszczał na nią, jak gdyby miał do czynienia z nastolatką. Carole nie było teraz w mieście - prawdopodobnie spędzała miłe chwile z profesorem angielskiego, którego poznała na uniwersytecie stanowym Arizony, gdzie naprawdę chodziła w czasie rzekomych lekcji gry w tenisa. Mężczyzna przeniósł się na Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles, mimo to wciąż spotykali się w LA lub Palm Springs. Ray kilkakrotnie widział, jak kobieta jedzie na spotkanie ze swoim prawnikiem, przypuszczał więc, że zamierza rozstać się z Yorkiem.

Może po rozwodzie podzieli się z nim cennymi informacjami, które mógłby wykorzystać w przyszłości.

W jego głowie zrodził się kolejny pomysł. Mógłby wysłać Yorkowi anonimowy list z zaszyfrowaną wiadomością. Zapisane w nim słowa nie miałyby znaczenia. Ważniejszy był zapach; Trotter delikatnie spryskałby papier ekstraktem z migdałów, których woń tak bardzo przypomina zapach cyjanku. W końcu nikt przecież nie wiedział, że nie przygotował trucizny.

Ach, miał teraz nieograniczone możliwości...

Ray Trotter przewrócił się na bok, szepnął żonie, że ją kocha, i zasnął spokojnym snem.

# Naśladowca

Detektyw Quentin Altman odchylił się w fotelu, który wydał z siebie charakterystyczny, skrzekliwy jęk starzejącego się biurowego mebla. Mężczyzna spojrział na szczupłego, roztrzęsionego człowieka, siedzącego po drugiej stronie biurka.

- Proszę mówić - zachęcił.

- A więc wypożyczyłem tę książkę z biblioteki. Tak dla zabawy. Właściwie nigdy tego nie robię, nie czytam książek dla zabawy. Naprawdę, nigdy. Sam pan rozumie, nie mam zbyt wiele wolnego czasu.

Altman nie zaprzął sobie tym głowy, ale z pewnością mógł się tego domyślać. Wallace Gordon był jedynym dziennikarzem śledczym w „Green-ville Tribune” i - sądząc po liczbie artykułów, które każdego dnia pojawiały się pod jego nazwiskiem - jak nic spędzał tygodniowo sześćdziesiąt, siedemdziesiąt godzin przy pisaniu, zasypując redakcję tekstami.

- Czytam ją i...

- Co takiego pan czyta?

- Powieść kryminalną. Dojdę do tego... A więc czytam ją i wkurzam się - ciągnął mężczyzna - bo jakiś palant zakreślił niektóre fragmenty. W książce z biblioteki.

Altman chrząknął znacząco. Był szefem wydziału zabójstw w mieście o małomiasteczkowej nazwie, ale o wskaźniku przestępczości godnym wielkiej aglomeracji. Pięćdziesięciokilkuletni Altman był nieustannie zabiegany i nie miał czasu dla reporterów i ich szurniętych teorii. Na jego biurku leżały akta dwudziestu dwóch bieżących spraw, a ten tu Wallace wyskakiwał nagle z mętłą opowieścią o zniszczonych książkach.

- Wie pan, na początku w ogóle nie zwracałem na nie uwagi, ale wróciłem do nich i przeczytałem jeden z zaznaczonych fragmentów. To odświeżyło mi pamięć. W każdym razie sprawdziłem kostnicę...

- Kostnicę? - Altman zmarszczył brwi, przeczesując dłonią szorstkie rude włosy, pośród których próżno było szukać choćby pasma siwizny.

- Naszą kostnicę, nie waszą. W redakcji. Wszystkie stare materiały.
- Rozumiem. Ale może przeszedłby pan do rzeczy.
- Znalazłem artykuły na temat morderstwa Kimberly Banning. Quentin Altman zaczął słuchać. Dwudziestoosmioletnia Kimberly

została uduszona osiem miesięcy temu. Morderstwo wydarzyło się zaledwie dwa tygodnie po tym, jak w okolicy w podobny sposób zamordowano młodą studentkę. W obu przypadkach sprawcą był prawdopodobnie ten sam człowiek, policja jednak nie miała ani realnych dowodów, ani motywu. I choć sprawą zajęła się grupa do zadań specjalnych, podejrzani zostali oczyszczeni z zarzutów, a śledztwo utknęło w martwym punkcie.

Wallace Gordon, wysoki, chuderlawy reporter, którego ścięgni i żyły dosłownie przebijały cienką jak papier, kredowobiałą skórę, starał się - zwykle bez rezultatu - ukryć tę przerażającą budowę ciała pod brązowymi tweedowymi marynarkami, sztruksowymi spodniami i pastelowymi koszulami.

- Pamięta pan, jak po śmierci pierwszej dziewczyny całe miasto po padło w paranoję? - spytał. - Jak ludzie ryglowali drzwi i nie wpuszczali do domu nikogo obcego?

Altman skinął głową.

- Wobec tego niech pan spojrzy na to. - Wyjął z kieszeni lateksowe rękawiczki i zwinnym ruchem wsunął je na dłonie.

- Po co te rękawiczki, Wallace?

Mężczyzna zignorował pytanie i sięgając po zniszczoną teczkę, wydobyl z niej książkę. „Dwa morderstwa w małym miasteczku”. Altman nigdy o niej nie słyszał.

- Wydano ją pół roku przed zabójstwem pierwszej dziewczyny. - Wallace otworzył książkę na stronie zaznaczonej żółtą samoprzylepną karteczką i podsunął ją pod nos detektywa.

- Proszę przeczytać te fragmenty.

Altman włożył na nos kupione w drogerii okulary CVS i pochylił się do przodu.

*Łowca wiedział, że teraz, kiedy już zabił, całe miasteczko zostanie postawione w stan pogotowia. Jego dusza nabierze nowych, ostrych kształtów, a nerwy będą tak napięte, jak sprężyny w wykonanych z błękitnej stali siłkach. Kobiety nie wyjdą same na ulicę, a te, które to zrobią, bezustannie będą się oglądały za siebie. Tylko głupiec wpuści do domu nieznanego, a Łowca nie czerpał przyjemności z zabijania głupców.*

*Tak więc w czwartkowy wieczór czekał do jedenastej wieczór, aż mieszkańcy położą się spać. Wówczas wśliznął się na Mapie Street. Tam oblał ben-*

zyną zaparkowany na chodniku kabriolet i podpalił go ciepłym, bursztynowym ogieńkiem. Usłyszał szaleńczy ryk płomieni... Ukrył się za krzakami i zahipnotyzowany widokiem ognia i hebanowym dymem, który niczym dusza umierającego samochodu ulatywał w niebo, czekał. Dziesięć minut później na ulicę wjechały olbrzymie wozy strażackie, których przeciągłe zawrodozenie wyciągnęło z domów ciekawskich ludzi.

Pośród tych, którzy stali na chodniku, była młoda, skromna blondynka o uroczej twarzyczce w kształcie serca, Clara Steading. To dla niej tu przyjechał i to ją musiał osiąść - osiąść na wyłączność. Była uosobieniem miłości, Aniołem, Pięknem, Namietnością... I nie miała pojęcia o tym, jak obsesyjnie jej pożądał. Jej otulone szlafrokiem ciało zdrżało, kiedy tak stała na chodniku pośród zbitej w gromadkę grupki plotkujących sąsiadów, którzy z makabryczną fascynacją spoglądali na umierające płomienie i ofiarowali słowa otuchy mieszkającemu kilka domów dalej, przerażonemu właścicielowi samochodu.

W końcu gapie znudziło się i mając dość gorzkiego zapachu palonej gumy i plastiku, wrócili do łóżek, wieczornych przekąsek albo oglupiającej telewizji. Pożar nie uspił jednak ich czujności i z chwilą gdy weszli do domów, pozamykali drzwi i okna, by się upewnić, że dusiciel nie wylądował na nich swej bestialskiej furii.

Jednakże w przypadku Clary Steading ostrożność obróciła się w coś zupełnie innego; zamykając drzwi i okna, kobieta zamknęła w swym domu także Łowcę.

- Chryste - mruknął Altman. - Właśnie tak morderca dostał się do domu Kimberly Banning; podpalając samochód.

- Kabriolet - dodał Wallace. - Wtedy zacząłem czytać kolejne zaznaczone fragmenty. Jeden z nich opowiadał o tym, jak morderca śledził ofiarę, udając, że jest pracownikiem służb miejskich; przycinał rośliny w parku naprzeciwko jej domu.

W ten sam sposób postąpiono wobec pierwszej ofiary Dusiciela z Greenville, ładnej studentki.

Wallace wskazał dalsze, oznaczone gwiazdkami fragmenty i spisane na marginesie uwagi. Jedna z nich brzmiała: „Sprawdzić to. Ważne”. Kolejne zapiski głosiły: „Wykorzystać chwilę nieuwagi”. I: „Pozbywanie się ciała. Godne uwagi”.

- A więc morderca jest naśladowcą - mruknął Altman. - Posłużył się książką, aby zebrać wskazówki.

A to oznaczało, że w książce mogą znajdować się dowody, które doprowadzą gliniarzy wprost do drzwi zabójcy: odciski palców, atrament, piśmo. Stąd rękawiczki na dłoniach reportera.

Altman gapił się na pełną dramatyzmu obwolutę - cień mężczyzny zagląającego przez okno do wnętrza domu. Chwilę później wciągnął lateksowe rękawiczki, włożył książkę do plastikowej torby na dowody i skinąwszy głową, zwrócił się do dziennikarza:

- Dzięki. Od ośmiu miesięcy nie mieliśmy w tej sprawie żadnego tropu.

Wszedł do sąsiedniego biura - w którym urzędował jego asystent, młody, krótkowłosy detektyw, Josh Randall - i polecił pomocnikowi zanieść książkę do laboratorium. Kiedy wrócił do gabinetu, Wallace wciąż siedział na niewygodnym krześle naprzeciw biurka. Altman nie był zaskoczony jego obecnością.

- Co z zapłatą? - spytał detektyw. - Za pański dobry uczynek?

- Chcę artykułu na prawach wyłączności.

- Domyśliłem się.

W zasadzie Altmanowi to nie przeszkadzało; sprawy, które utknęły w miejscu, źle wpływały na wizerunek wydziału, ich rozwiązanie natomiast miało zbawienny wpływ na karierę gliniarzy. Nie wspominając już o tym, że morderca wciąż był na wolności. Altman nigdy nie lubił Wallace'a, który na swój drażniący, upiorny sposób zawsze wymykał się spod kontroli i był równie irytujący jak większość dziennikarzy.

- Dobra, ma pan prawo wyłączności - rzucił Altman. - Będę pana informował na bieżąco. - Dźwignął się z krzesła, czekając, aż Wallace opuści gabinet.

- Ależ nigdzie nie idę, przyjacielu.

- To oficjalne śledztwo...

- I nie byłoby takie, gdyby nie ja. Chcę znać materiał do artykułu do podszewki. Opowiedzieć czytelnikom, jak ono przebiega, z pańskiego punktu widzenia.

Quentin Altman zamierzał protestować, czując jednak, że nie ma wyboru, odpuścił sobie.

- W porządku. Ale proszę nie wchodzić mi w drogę. Jeśli pan to zrobi, wyleci pan stąd.

- Nawet o tym nie pomyślałem. - Wallace zmarszczył brwi, przez co jego wydłużona twarz stała się jeszcze bardziej upiorna. - Właściwie mógłbym nawet pomóc. - Jeśli to miał być żart, nie było w nim nic śmiesznego. Chwilę później mężczyzna spojrział na detektywa. - To od czego zaczynamy?

- Zaczniemy od tego, że pan ochłonie, a ja przejrzę akta sprawy.

- Ale...

- Wyluzuj, Wallace. Śledztwa wymagają czasu. Posiedź tu, zdejmij marynarkę. Skosztuj naszej wybornej kawy.

Wallace zerknął na szafę, która pełniła funkcję policyjnej kantyny. Przewrócił oczami i odparł ze śmiechem:

- Zabawne. Nie wiedziałem, że wciąż jeszcze robią rozpuszczalną.

Słyszac to, Altman figlarnie puścił do dziennikarza oko i czujac ból w kościach, ruszył w głąb korytarza.

Quentin Altman nie prowadził sprawy Dusiciela z Greenville.

Fakt, pracował nad nią - podobnie jak reszta funkcjonariuszy -jednak osobą odpowiedzialną za śledztwo był Bob Fletcher, sierżant, który całe życie poświęcił służbie w policji. Fletcher, bezdzietny rozwodnik, po odejściu żony nigdy nie związał się z żadną kobietą, lecz bez reszty oddał się pracy, ciężko jednak przeżył sprawę Dusiciela; w końcu wyszczekany gliniarz porzucił stanowisko w wydziale zabójstw i przeniósł się do wydziału włamań. Przez wzgląd na niego Altman czuł teraz ogromną ulgę, wiedząc, że istnieje szansa na schwytanie człowieka, który przez taki długi czas wymykał się Fletcherowi.

Detektyw zszedł na dół do wydziału włamań, by podzielić się radosną nowiną o przełomie w śledztwie i zapytać Fletchera, czy wiedział coś na temat książki. Okazało się jednak, że sierżant jest w terenie, Altman zatem zostawił wiadomość i udał się do zagraconego i dusznego archiwum. Bez problemu odnalazł akta sprawy Dusiciela; grzbiet akt oznaczono czerwonymi paskami, boleśnie przypominającymi o tym, że choć sprawa utknęła w martwym punkcie, wciąż pozostaje otwarta.

Wróciwszy do gabinetu, usiadł w fotelu, pociągnął łyk obrzydliwej, lu-rowatej kawy i zjrzał do akt. Starał się ignorować bezustanne stukanie Wallace'a w maszynę do pisania, które odbijało się od ścian irytującym echem. Obie zbrodnie były doskonale udokumentowane. Morderca włamał się do mieszkań ofiar i udusił je. Nie zgwałcił kobiet, nie molestował ich seksualnie ani nie okaleczył po śmierci ciał. Żadna z ofiar nie była prześladowana czy nękana przez byłych chłopaków i choć Kimberly kupiła paczkę prezerwatyw, żaden z jej przyjaciół nie wiedział, z kim się spotykała. Rodzina drugiej ofiary, Becky Winthrop, twierdziła, że dziewczyna nie widywała się z nikim od przeszło roku.

Fletcher prowadził śledztwo z książkową dokładnością, wiadomo jednak, że większość podobnych spraw - bez świadków, motywu i istotnych dowodów - zwykle pozostaje nierozwiązana. Przynajmniej do czasu, gdy nie znajdzie się informator - często przyjaciel lub znajomy przestępcy. Mimo pojawiających się w mediach wiadomości i telewizyjnych wystąpień Fletchera i samego burmistrza, na policję nie zgłosił się nikt, kto mógłby pomóc w ustaleniu tożsamości podejrzanego.

Godzinę później, chwilę po tym, jak Altman zamknął bezużyteczne akta, zadzwonił telefon. Ludzie z wydziału dokumentacji powiększyli znalezione w książce pismo i byli gotowi porównać je z innymi próbkami; analiza musiała jednak poczekać, dopóki nie zostaną znalezione materiały porównawcze.

Technicy, którzy szukali w książce dowodów śladowych - by sprawdzić, czy zabójca nie robił notatek na przykład na kartkach samoprzylepnych - również niczego nie znaleźli.

Test ninhydrynowy przeprowadzony na kartkach, na których morderca zaznaczył fragmenty, wykazał obecność około dwustu odcisków i kolejnych osiemdziesięciu na obwolucie. Niestety, wiele z nich było starych i niekompletnych. Technicy znaleźli jednak kilka śladów, które były wystarczająco czytelne, by można je było zidentyfikować. Wprowadzili je do zintegrowanego automatycznego systemu identyfikacji daktyloskopijnej w Wirginii Zachodniej, wyniki jednak były negatywne.

Na celofanowej, bibliotecznej okładce książki znaleziono prawie czterysta odcisków, z których większość była rozmazana lub fragmentaryczna. W tym wypadku IAFIS również dał wynik negatywny.

Sfrustrowany Altman podziękował technikom i rozłączył się.

- O co chodziło? - spytał Wallace, spoglądając chciwie na leżący przed detektywem kawałek papieru, na którym obok notatek Altmana widniały pozbawione sensu bohomyzy.

Detektyw opowiedział mu o wynikach ekspertyzy.

- Czyli wciąż nie mamy żadnych śladów - podsumował sprawę dziennikarz i ku zdziwieniu Altmana zapisał to na kartce.

W głowie detektywa nagle pojawiła się pewna myśl. Mężczyzna zerwał się z fotela.

- Idziemy.

- Dokąd?

- Na pańskie miejsce zbrodni.

- Moje? - spytał Wallace, biegnąc za detektywem, który wyszedł już z gabinetu.

Biblioteka nieopodal mieszkania Gordona Wallace'a, w której dziennikarz wypożyczył „Dwa morderstwa w małym miasteczku”, była filią pobliskiej biblioteki w Three Pines\*. Miejscinę nazwano tak, ponieważ legenda głosiła, że tylko trzy drzewa cudem przetrwały pożar, który w tysiąc osiemset dwudziestym dziewiątym roku doszczętnie zniszczył miasteczko-

\* *Pine* w języku ang. znaczy „sosna”.

ko. Była to ładna okolica, zamieszkiwana głównie przez biznesmenów, wszelkiej maści specjalistów i wykładowców z pobliskiego college'u (tego samego, do którego uczęszczała pierwsza ofiara Dusiciela).

Altman wszedł do budynku za Wallace'em, który niemal natychmiast odszukał kierowniczkę biblioteki i przedstawił ją detektywowi. Pani McGiver była ubrana na szaro, szczupłą kobietą i bardziej niż bibliotekarkę przypominała kierowniczkę nowoczesnej firmy.

Detektyw opowiedział kobiecie o swoich podejrzeniach i o tym, w jaki sposób morderca mógł wzorować się na książce. Kiedy skończył, bibliotekarka spojrzała na niego z niemym przerażeniem, jak gdyby właśnie dotarło do niej, że Dusiciem był ktoś, kto odwiedził bibliotekę. Może nawet ktoś, kogo znała.

- Chciałbym dostać listę wszystkich osób, które wypożyczały książkę. - Altman wziął również pod uwagę fakt, że morderca wcale nie musiał wypożyczać powieści, lecz tylko przeglądał ją w bibliotece, to jednak znaczyłoby, że zaznaczał wybrane fragmenty na miejscu, a więc mógł ściągnąć na siebie uwagę pracowników. Uznał więc, że jedynym bezpiecznym miejscem, w którym przestępca mógłby to zrobić, był jego własny dom.

- Zobaczę, co uda mi się znaleźć - odparła kobieta.

Altman obawiał się, że zgromadzenie takiej liczby informacji może potrwać kilka dni, pani McGiver jednak wróciła kilka minut później. Widząc w jej ręku stos papierów, detektyw poczuł przypływ adrenaliny, podobny do radosnego podniecenia, które towarzyszyło chwilom, kiedy wpadali na trop mordercy.

Entuzjazm prysł, gdy detektyw zaczął przerzucać kartki. Każda z około trzydziestu osób, które wypożyczyły „Dwa morderstwa w małym miasteczku”, zrobiła to ostatnio, w ciągu zaledwie sześciu miesięcy. On jednak potrzebował nazwisk ludzi, którzy wypożyczyli powieść przed popełnieniem morderstw, czyli przeszło osiem miesięcy temu. Natychmiast poinformował o tym panią McGiver.

- Przykro mi, ale nie mamy katalogów z tamtego okresu. W normalnych okolicznościach nie byłoby z tym problemu, pół roku temu jednak ktoś uszkodził nasz komputer.

- Uszkodził?

Kobieta nachmurzyła się i pokiwała głową.

- Tak, zalał twarde dyski kwasem akumulatorowym lub innym świństwem. Zniszczył je, podobnie jak wszystkie dane i kopie zapasowe. Sprawą zajmował się ktoś z waszego wydziału, ale nie pamiętam nazwiska.

- Nic o tym nie słyszałem - wtrącił Wallace.



- Nigdy nie ustalono, kto to zrobił. Mieliśmy przez to sporo kłopotów.

Altman pochwycił spojrzenie Wallace'a.

- No to jesteśmy w ślepym zaułku - mruknął wściekle. - Co z na-  
zwiskami tych, którzy w tamtym okresie mieli karty biblioteczne? - spy-  
tał kobietę. - Czy ich nazwiska również były w komputerze?

Bibliotekarka skinęła głową.

- Straciliśmy wszystko, co pochodziło sprzed sześciu miesięcy. Przy-  
kro mi.

Altman obdarzył kobietę wymuszonym uśmiechem, podziękował jej i  
ruszył w kierunku wyjścia. Nagle zatrzymał się tak gwałtownie, że idący za  
nim Wallace niemal na niego wpadł.

- Co tym razem? - spytał dziennikarz.

Detektyw zignorował pytanie i pędząc w kierunku biurka, zawołał:

- Pani McGiver! Proszę zaczekać! Chciałbym, żeby się pani czegoś do-  
wiedziała.

Obecni w bibliotece ludzie zmierzli detektywa ciekawskim spojrze-  
niem, a kilka osób pokusiło się nawet o pełne oburzenia „ćśś”.

Autor „Dwóch morderstw w małym miasteczku”, Andrew M. Carter,  
mieszkał w Hampton Station, nieopodal Albany, dwie godziny drogi od  
Greenville.

W udostępnionym przez panią McGiver „Kto jest kim we współczesnej  
literaturze grozy” nie podano adresów ani numerów telefonów, Altman  
jednak skontaktował się z DMV\* i niebawem miał już istotne informacje.

Oto myśl, która narodziła się w głowie detektywa, kiedy wychodził z  
biblioteki: że Carter mógł dostać od swego czytelnika pełen uwielbienia list.  
Może Dusiciel chciał wyrazić swój podziw, a może dowiedzieć się, w jaki  
sposób autor zbierał materiały do powieści. Jeśli Carter istotnie otrzymał  
taki list, biegli z zakresu grafologii mogliby porównać próbki notatek z  
charakterem pisma fana, który -jeśli będą mieli odrobinę szczęścia - podał  
swoje imię i adres.

Modląc się w duchu, by tym razem los uśmiechnął się do niego, Altman  
zadzwoił do pisarza.

- Halo? - usłyszał.

- Tu detektyw Altman z wydziału policji w Greenville. Chciałbym  
rozmawiać z Andrew Carterem.

- Jestem jego żoną- odparła kobieta. - W tej chwili nie ma go w do-

\* DMV (Department of Motor Vehicles) - Wydział Ruchu Drogowego.

mu. - Jej obojętny głos sugerował, że jest to automatyczna odpowiedź na tego typu telefonu.

- Kiedy będę mógł go zastać?
- Chodzi o te morderstwa, prawda?
- Tak, proszę pani.

Chwila wahania.

- Widzi pan... - Zniżyła głos i Altmanowi przyszło na myśl, że nieobecny mąż jest pewnie w sąsiednim pokoju. - On nie czuje się dobrze.

- Przykro mi - odparł detektyw. - Czy to coś poważnego?

- Jeszcze jak - odparła ze złością. - Kiedy rozeszła się wiadomość, że książka Andy'ego, wie pan, zainspirowała jakiegoś szaleńca do zamordowania tych dwóch dziewcząt, mąż wpadł w depresję. Odciął się od świata. Przestał pisać. - Zawahała się. - W ogóle przestał cokolwiek robić. Po prostu się poddał.

- Musi być państwu naprawdę ciężko - odparł ze współczuciem Altman, odnotowując w pamięci fakt, że Wallace nie jest pierwszą osobą, która dostrzegła związek pomiędzy książką a zabójstwami.

- Nawet pan nie wie, jak bardzo. Przekonywałam męża, że to zwykły zbieg okoliczności, no wie pan, że zabito te kobiety tak, jak to opisał w książce. No, może dziwny zbieg okoliczności. Ale ci dziennikarze i cała reszta, przyjaciele, sąsiedzi... Powtarzali w kółko, że to wina Andy'ego.

Altman przypuszczał, że kobiecie nie spodoba się przypuszczenie policji, iż książka jej męża prawdopodobnie stała się inspiracją dla Dusiciela.

Tymczasem ona ciągnęła dalej:

- Ostatnio czuje się trochę lepiej. Ale obawiam się, że jakakolwiek wzmianka na temat książki może spowodować nawrót depresji.

- Oczywiście, rozumiem to, jednak proszę postawić się w mojej sytuacji. Stoimy przed szansą schwytania mordercy, a pani mąż może nam w tym pomóc...

Głos po drugiej stronie słuchawki stał się stłumiony i Altman usłyszał, jak kobieta z kimś rozmawia.

Nie był więc zaskoczony, kiedy chwilę później usłyszał:

- Mąż właśnie wrócił. Przełączę pana.

- Halo? - rozległ się w słuchawce cichy, niespokojny głos. - Mówi Andy Carter.

Altman przedstawił się.

- Czy to z panem rozmawiałem jakiś czas temu?

- Ze mną? Nie. Może chodzi o detektywa prowadzącego sprawę. Sierżanta Boba Fletchera.

- Właśnie. Tak się nazywał.

A zatem Fletcher rozmawiał z pisarzem. Jeśli Altman dobrze pamiętał, nie było o tym wzmianki w aktach. Chyba że przeoczył tę informację. Chwilę później powtórzył Carterowi to, co powiedział jego żonie.

- Nie mogę panu pomóc - odparł pisarz. - I szczerze mówiąc, nie chciałbym tego robić... To najgorszy okres w moim życiu.

- Rozumiem pana, ale morderca wciąż jest na wolności. I...

- Aleja nic nie wiem. To znaczy, mógłbym tylko powiedzieć...

- Możliwe, że jesteśmy w posiadaniu próbki pisma mordercy. W egzemplarzu pańskiej książki znaleźliśmy notatki i przypuszczamy, że zrobił je zabójca. Chcielibyśmy porównać te próbki z listami, które mógł pan otrzymać od swoich wielbicieli.

W słuchawce zapadła cisza, a po niej nastąpił szept:

- A więc jednak wzorował się na mojej książce.

- Na to wygląda, panie Carter - przytaknął uprzejmie Altman. - Podkreślone fragmenty pasują do *modus operandi* mordercy. Obawiam się, że są identyczne.

Altman czekał na odpowiedź, a kiedy ta nie nastąpiła, spytał:

- Wszystko w porządku, proszę pana?

Pisarz odchrząknął.

- Przykro mi. Nie mogę panu pomóc. Ja... to byłoby ponad moje siły.

Quentin Altman często powtarzał młodym funkcjonariuszom, że najważniejszą cechą detektywa jest upór. Dlatego powtórzył spokojnym tonem:

- Jest pan jedyną osobą, która może nam pomóc w schwytaniu mordercy. Przestępca zniszczył komputery w bibliotece, więc nie mamy na zwisk ludzi, którzy wypożyczyli pańską książkę. Analiza daktyloskopijna też nic nie dała... Naprawdę chcę złapać tego człowieka. Podejrzewam, że panu również na tym zależy, panie Carter, prawda?

Znowu chwila ciszy, a w końcu cichy szept:

- Wie pan, że obcy ludzie przysyłają mi wycinki z gazet? Kompletnie obcy ludzie. Setki. Winią za wszystko mnie. Nazwali moją książkę „pod ręcznikiem zbrodni”. Spędziłem miesiąc w szpitalu, bo nie mogłem po godzić się z myślą, że... to ja doprowadziłem do tych morderstw! Nie rozumie pan?

Altman zerknął na Wallace'a i potrząsnął głową. Dziennikarz gestem poprosił o telefon. Czemu nie? - pomyślał detektyw.

- Panie Carter, jest tu ktoś, kto zaraz podejdzie do telefonu. Chciałbym, żeby pan z nim porozmawiał.

-Kto?

Gliniarz wręczył słuchawkę Wallace'owi i usiadł, przysłuchując się jednostronnej rozmowie.

- Witam, panie Carter. - Wychudzone ciało dziennikarza pochyliło się nad telefonem, a jego zadziwiająco długie, silne palce owinięły się wokół słuchawki. - Nie zna mnie pan. Nazywam się Wallace Gordon. Kłania się wielbiciel pańskiej książki - uważam, że to świetna rzecz. Jestem dziennikarzem z „Tribune”, tu, w Greenville... ma się rozumieć. Wyobrażam sobie, jak może się pan czuć. Moi koledzy przekraczają wiele granic, ale ja tak nie postępuję. Wiem również, że nie chce się pan angażować w tę sprawę. Rozumiem, że ostatnio było panu naprawdę ciężko, proszę mnie jednak wysłuchać. Nie jestem utalentowanym powiesciopisarzem jak pan - raczej przeciętnym pismakiem - ale to również rodzaj pisarstwa i jeśli mam w coś wierzyć, to przede wszystkim w to, że należy pisać o wszystkim, co nas porusza. Dlatego... Nie, proszę, panie Carter; niech pan pozwoli mi skończyć. Słyszałem, że po tych morderstwach przestał pan pisać... Cóż, pan i pański talent padliście ofiarą tego szaleńca, podobnie jak zamordowane kobiety. Wykorzystał pan boskie prawo do wyrażania samego siebie i zdarzył się straszny wypadek. Właśnie tak postrzegam tego szaleńca: jako dzieło Boga. Nie może pan pomóc tym kobietom, ale może pan pomóc sobie i swojej rodzinie... Jest jeszcze coś. To od pana zależy, czy ten facet nikogo już nie skrzywdzi.

Altman uniósł brew, widząc, jak sprytnie Wallace podchodzi pisarza. Mężczyzna przez chwilę trzymał słuchawkę przy uchu, najwyraźniej słuchając swego rozmówcy. W końcu pokiwał głową i zerknął na Altmana.

- Chce z panem rozmawiać.

Altman wziął słuchawkę. -Tak?

- Co konkretnie miałbym zrobić? - usłyszał nieśmiały głos.

- Tylko pozwolić nam przejrzeć listy, które otrzymał pan od swych wielbicieli.

Gorzki śmiech.

- Chciał pan chyba powiedzieć: przeciwników książki.

- To nieistotne, interesuje nas przede wszystkim charakter pisma, tak byśmy mogli porównać próbki. Chcielibyśmy też zobaczyć pańskie e-maile.

Cisza. Czyżby facet się rozmyślił?

- Potrzebuję na to dwóch dni. Ostatnio przestałem... powiedzmy, że ostatnio nie miałem głowy do zajmowania się papierami.

- Oczywiście. - Altman wytłumaczył pisarzowi, jak dojechać na posterunek. Poprosił też, by przeglądając listy, miał na rękach kuchenne rękawiczki, a kartki z odręcznie pisaną korespondencją trzymał za rogi, tak by nie zniszczyć ewentualnych odcisków palców.

- Dobrze - odparł urażonym tonem Carter.

Altman zastanawiał się, czy mężczyzna rzeczywiście przyjedzie na posterunek. Zaczął dziękować autorowi za pomoc, po chwili jednak dotarło do niego, że mężczyzna się rozłączył, a jego słowa trafiają w pustkę.

Andy Carter faktycznie pofatygował się do Greenville.

Jak się okazało, nie był ani ponurym artystą, ani nadętym gwiazdorem, lecz tylko jednym z setek białych mężczyzn po pięćdziesiątce, którzy zamieszkują północny wschód. Gęste siwiejące włosy miał starannie przystrzyżone, a niewielki brzusek był znacznie mniejszy od tego, którym -dzięki zamięłowaniu do zapiekaneek żony - mógł się pochwalić Altman. Carter nie był w połatanej, sportowej marynarce ani w innych autorskich ciuchach, lecz w wiatrówce firmy L.L. Bean, koszulce polo i sztruksowych spodniach.

Od rozmowy telefonicznej upłynęły zaledwie dwa dni i lekko podniecony mężczyzna stał teraz w biurze Altmana, przyjmując kawę z rąk detektywa Josha Randalla i witając się z gliniarzami oraz Gordonem Wal-lace'em. Po chwili zdjął wiatrówkę i rzucił ją na stojące puste krzesło. Jedyną chwilą, kiedy poczuł się niezręcznie, był moment, kiedy zerknąwszy na biurko Altmana, zauważył akta z napisem „Banning, Kimberly -Zabójstwo #13-04”. Na jego twarzy pojawił się wówczas niepokój i detektyw Quentin Altman dziękował Bogu, że przezornie ukrył zdjęcia ofiar na spodzie akt.

Przez minutę lub dwie mężczyźni prowadzili lekką, towarzyską rozmowę, w końcu jednak Altman wskazał głową kopertę, którą pisarz wciąż trzymał w dłoni.

- Znalazł pan jakieś listy, które mogą się nam przydać?

- Przydać? - spytał Carter, trąc czerwone oczy. - Nie wiem. To wy musicie zdecydować. - Wręczył detektywowi kopertę.

Altman otworzył ją i włożywszy lateksowe rękawiczki, wyjął z niej około dwustustronicowy plik kartek.

Następnie zaprowadził mężczyzn do sali konferencyjnej i rozłożył listy na jednym ze stołów. Chwilę później dołączył do nich Randall.

Niektóre listy zostały napisane lub wydrukowane na komputerze -jednak odręczne podpisy dawały skromne próbki charakteru pisma. Niektó-

re napisano kursywą, inne drukowanymi literami. Użyto rozmaitych gatunków papieru, pisano ołówkami, atramentem. Nawet kredkami.

Mężczyźni ślęczeli nad stertą papierów przez dobrą godzinę. Altman doskonale teraz rozumiał obawy pisarza. Znaczna część korespondencji wyrażała wściekłość. W końcu podzielił listy na kilka kategorii. Pierwszą stanowiły e-maile, z których żaden prawdopodobnie nie został napisany przez zabójcę. Drugą były napisane odręcznie listy, wyrażające typowe opinie czytelników. Żaden z nadawców nie pytał o szczegóły na temat zbierania informacji do książki ani nie obwinał Cartera o śmierć kobiet, choć niektórzy zdawali się wściekli, a sposób, w jaki zwracali się do Cartera, był niepokojąco osobisty („Jeśli będziesz w mieście, wpadnij i odwiedź nas w Sioux City, a żona i ja zaserwujemy ci masaż ciała za przyczepą”).

- Fuj! - oburzył się Randall.

- Ostatnia kategoria - wyjaśnił Altman - zawiera listy napisane sensownie, ze spokojem i rozważą... dokładnie tak, jak działał Dusiciel. Widzicie, to wysoce zorganizowany przestępca. Nie zdradzi się byle słowami. Jeśli ma jakiegokolwiek pytania, zadaje uprzejmie i ostrożnie - będzie chciał poznać szczegóły, jednak niezbyt wiele; to by wzbudziło podejrzenia. - Altman podniósł trzeci stosik - około dziesięciu listów - włożył kartki do plastikowej torby i wręczył ją Randallowi. - Do laboratorium okręgowego.

W drzwiach pojawiła się głowa detektywa Boba Fletchera. Chwilę później sierżant przedstawił się Carterowi.

- Nie mieliśmy okazji się spotkać, ale prowadząc sprawę, rozmawiałem z panem przez telefon.

- Pamiętam.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

Fletcher powitał Altmana skinieniem głowy i uśmiechnął się z żalem.

- Jest lepszym gliniarzem ode mnie. Nigdy nie wpadłem na to, że morderca mógł do pana napisać - zwrócił się do Cartera.

Jak się okazało, sierżant kontaktował się z pisarzem nie w sprawie listów, ale po to, by spytać, czy książka została oparta na prawdziwych wydarzeniach; zbrodnie w jakiś sposób mogły być powiązane z morderstwami popełnionymi przez Dusiciela. Rozumowanie było logiczne, Carter jednak wyjaśnił, że „Dwa morderstwa w małym miasteczku” to tylko wytwór jego wyobraźni.

Wzrok sierżanta spoczął teraz na kupkach listów.

- Macie coś? - spytał.

- Trzeba poczekać na wyniki z laboratorium. - Altman wskazał ruchem głowy pisarza. - Muszę jednak powiedzieć, że pan Carter bardzo nam pomógł. Gdyby nie on, byłibyśmy w kropce.

Fletcher z uwagą przyjrzał się Carterowi, po czym rzekł:

- Przyznam, że nie miałem okazji przeczytać pańskiej książki, ale za wsze chciałem pana poznać. Prawdziwego pisarza. Chyba nigdy nie ści skałem ręki komuś takiemu.

Carter roześmiał się. Był wyraźnie zakłopotany.

- Biorąc pod uwagę wyniki sprzedaży, wcale nie jestem aż tak sławny.

- Cóż, wiem tyle, że moja dziewczyna czytała pańską książkę i mówiła, że to najlepszy thriller, jaki miała w ręku od lat.

- Miło mi to słyszeć - odparł Carter. - Pańska dziewczyna jest w mie-ście? Mógłbym podpisać jej egzemplarz.

- Och - zawahał się Fletcher -jużzesobanie jesteście. Wyjechała. Ale dzięki za propozycję. - Skinął głową i wrócił do wydziału włamań.

Nie pozostało im nic innego jak czekać na wyniki ekspertyzy, tak więc Wallace zaproponował krótki wypad do Starbucks. Kiedy siedzieli przy stoliku, popijając kawę, Wallace wypytywał Cartera o tajniki sztuki literackiej, Altman zaś rozkoszował się tańczącymi na jego twarzy promieniami słońca.

Przerwa dobiegła końca, gdy piętnaście minut później zadzwonił telefon detektywa.

- Szefie - rozległ się w słuchawce podniecony głos młodego asystenta Josha Randalla - mamy wyniki! Pismo na jednym z listów pasuje do notatek na marginesie książki. Tusz też.

- Powiedz, że na liście jest imię i adres! - rzucił błagalnym tonem Altman.

- Jasne, że tak. Nazywa się Howard Desmond. Mieszka w Warwick. - Mała miejscina dwadzieścia minut drogi od miejsc, w których popełniono zbrodnie.

Detektyw polecił Randallowi zebrać wszystkie możliwe informacje na temat Desmonda. Zatrzasnął kłapkę telefonu i oznajmił z uśmiechem:

- Mamy go. Mamy naszego naśladowcę.

Jak się jednak okazało, wcale go nie mieli.

Przynajmniej nie w sensie fizycznym.

Samotny, czterdziestodwuletni Howard Desmond, technik weterynarii, sześć miesięcy temu opuścił miasteczko w wielkim pośpiechu. Pewnego dnia zadzwonił do właściciela mieszkania, oznajmiając, że się wyprowadza. Wyniósł się praktycznie z dnia na dzień, zostawiając w mieszkaniu wszystko oprócz wartościowych przedmiotów. Nie zostawił adresu do korespondencji. Altman miał nadzieję przejrzeć jego rzeczy, właściciel mieszkania jednak oznajmił, że sprzedał wszystko, aby wynagrodzić so-

bie straty za niezapłacony czynsz. To, czego nie sprzedał, najzwyczajniej w świecie wyrzucił. Detektyw zadzwonił więc do stanowego biura państwowych archiwów notarialnych, by sprawdzić, czy nie mają tam informacji na temat Desmond.

Altman rozmawiał też z weterynarzem, w którego klinice pracował Desmond, ale lekarz powiedział dokładnie to samo, co właściciel mieszkania. W kwietniu Desmond zadzwonił i oznajmił, że rezygnuje z posady i wyjeżdża do Oregonu, by zaopiekować się schorowaną babcią. Wbrew temu, co obiecywał, nigdy nie podał adresu do korespondencji, na który weterynarz miał przesłać ostatni czek.

Lekarz opisał Desmonda jako człowieka spokojnego, który z oddaniem troszczył się o zwierzęta, ale nie miał cierpliwości do ludzi.

Altman skontaktował się z władzami w Oregonie, jednak w DMV ani urzędzie podatkowym nie znalazł żadnych informacji na temat Desmond. Niebawem odkrył, że dziadkowie mężczyzny - podobnie jak jego rodzice - zmarli dawno temu; tak więc historia z przeprowadzką do Oregonu była jednym wielkim kłamstwem.

Nieliczni krewni, do których udało mu się dotrzeć, zgodnie przyznali, że mężczyzna po prostu zniknął, i nie wiedzieli, gdzie może się podziwać. Oni również opisywali go jako człowieka inteligentnego i samotnika, który uwielbiał literaturę i często zatracił się w świecie fikcji; jednym słowem, kogoś, kto do morderstwa mógł czerpać inspirację z książek.

- Co napisał w liście do Andy'ego? - spytał Wallace.

Randall, widząc, że Altman przyzwalająco kiwa głową, wręczył dziennikarzowi list, który streścił w kilku zdaniach.

- Pyta, w jaki sposób pan Carter gromadził materiały do książki. Z jakich źródeł korzystał. Skąd wiedział, jak najskuteczniej morderca mógłby zabić swe ofiary. Interesuje go też psychika zabójcy. Dlaczego niektórzy mordują innych z taką łatwością, podczas gdy inni w życiu nikogo by nie skrzywdzili.

Altman pokiwał głową.

- Facet zapadł się pod ziemię. Podamy jego dane do NCIC i VICAP, ale, do cholery, gość może być wszędzie. W Ameryce Południowej, Europie, Singapurze...

Jako że Bob Fletcher zajmował się sprawą zniszczenia komputerów w Three Pines - za którą, jak wiedzieli, stał Desmond - Altman wysłał Randalla, by zapytał sierżanta, czy w trakcie śledztwa natrafił na jakieś istotne informacje.

W tym czasie on i Wallace w milczeniu gapili się na list Desmond, jak gdyby zamiast kartki papieru mieli przed sobą kolejne zwłoki.



Ciszę przerwał dźwięk telefonu detektywa. Dzwonił urzędnik, który poinformował Altmana, że Desmond był właścicielem niewielkiego domu letniskowego, sześćdziesiąt mil od Greemdlle. Dom znajduje się nad porośniętym sosnami rozlewiskiem, nad brzegiem jeziora Muskegon.

- Myśli pan, że tam się ukrywa? - spytał Wallace.

- Pojedziemy i sprawdzimy. Nawet jeśli facet opuścił stan, niewykluczone, że znajdziemy tam coś, co podpowie nam, dokąd prysnął. Pokwitowanie z linii lotniczych, notatki, nagrane na automatyczną sekretarkę wiadomości.

Wallace chwycił marynarkę i notebooka.

- Chodźmy.

- Nie, nie, nie - powstrzymał go stanowczym tonem Quentin Altman. - Pan ma prawo wyłączności na swój artykuł i nie idzie pan na linię ognia.

- To miłe, że się pan o mnie troszczy - rzucił kwaśno dziennikarz.

- Prawdę powiedziawszy, nie chcę, żeby pańska gazeta pozwała mnie do sądu, jeśli Desmond postanowi użyć pana w charakterze tarczy.

Dziennikarz nachmurzył się i opadł na fotel detektywa.

Chwilę później w gabinecie pojawił się Josh Randall, twierdząc, że sierżant Bob Fletcher nie ma żadnych istotnych informacji, związanych ze sprawą uszkodzenia komputerów.

- Nieważne - rzucił Altman. - Mamy coś lepszego. Zbieraj się, Josh.

- Dokąd jedziemy?

- Na wieś. Co innego można robić w tak piękny jesienny dzień?

Jezioro Muskegon jest dużym, lecz płytkim akwenem, otoczonym wierzbami, wysoką trawą i paskudnymi sosnami. Altman nie znał zbyt dobrze tego miejsca. Kilka razy przyjeżdżał tu z rodziną na piknik, a raz dał się wyciągnąć Fletcherowi na ryby, jednak wspomnienia z tej wyprawy zachował dość mgliste: szarość, dżdżysta pogoda, a u schyłku dnia niemal pusty kosz.

Mijając coraz bardziej pustynny krajobraz, powiedział do Randalla:

- Jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewien, że Desmonda tam nie ma. Najpierw jednak sprawdzimy dom - szafka po szafce. Ty staniesz na czatach, a ja rozejrzę się za dowodami. Dobra?

- Jasne, szefie.

Minęli zarośnięty podjazd, zjechali z drogi i zatrzymali się przy krzewie forsycji.

Chwilę później ruszyli zarośniętym zielskim podjazdem w stronę „domku letniskowego”, który okazał się maleńką, nędzną chatką po-

śródm wysokiej na trzy stopy trawy i gęstych krzewów. Udeptana ścieżka świadczyła o tym, że ktoś ostatnimi czasy odwiedzał to miejsce - choć niekoniecznie musiał to być Desmond; Altman sam kiedyś był nastolatkiem i wiedział, że nic tak nie kręci młodzieży jak opuszczone domy.

Wyciągnęli broń i Altman zapukał do drzwi, wołając:

- Otwierać! Policja!

Cisza.

Przez moment zawahał się i ściskając nerwowo broń, kopniakiem wyważył drzwi.

Chata zdawała się opuszczona, pełna tanich, zakurzonych mebli i brzęczących głośno, otępiałych much. Policjanci sprawdzili ostrożnie cztery niewielkie pomieszczenia, jednak nie znaleźli ani śladu Desmonda. Wychodząc, zajrzeli w okno garażu, lecz ten okazał się pusty. Chwilę później Altman wysłał Randalla przed dom, nakazując, by schowany w krzakach młodszy detektyw natychmiast zgłosił, jeśli ktoś pojawi się w okolicy.

On sam wrócił do domu i rozpoczął poszukiwania, zastanawiając się, jakich to rewelacyjnych odkryć uda mu się dokonać.

Dwieście jardów od podjazdu prowadzącego do chaty Desmonda dziesięcioletnia toyota zjechała na pobocze drogi numer 207 i niezauważona przez innych kierowców powoli wtoczyła się do lasu.

Chwilę później wysiadł z niej mężczyzna i wyraźnie zadowolony, mrużąc oczy, rozejrzał się po okolicy. Spoglądając w lewo, widział brązową linię jeziora, a nieopodal niej ukryty między drzewami dom. Szacował, że przedzierając się przez gęste zarośla, dotrze na miejsce w niespełna piętnaście minut.

Czas naglił. Mężczyzna musiał jak najszybciej dostać się do domu i poruszać się najciszej, jak to możliwe.

Ruszył w kierunku swego celu, zatrzymał się jednak i poklepał po kieszeni. Tak bardzo było mu spieszo, że nie pamiętał, czy wyjął ze schowka najważniejszą rzecz. Ale tak, miał ją przy sobie.

Skulony i stąpający ostrożnie, by nie nadeptać na suche gałęzie, Gordon Wallace zmierzał w kierunku chaty, gdzie -jak przypuszczał - pochłonięty policyjną robotą detektyw Altman nie zauważy jego przybycia.

Przeszukanie domu nie przyniosło odpowiedzi na pytania, czy Desmond był w nim ostatnio i gdzie aktualnie się podziewa. Quentin Altman znalazł rachunki i anulowane czek, widniał jednak na nich adres Desmonda w Warwick.

Detektyw postanowił sprawdzić garaż, mając nadzieję, że być może tam natrafi na coś, co zabójca w roztargnieniu wyrzucił z samochodu -kartkę z planem podróży, mapę lub rachunek.

Ale w garażu Altman odkrył coś znacznie bardziej interesującego niż tego rodzaju dowody rzeczowe; znalazł Howarda Desmonda we własnej osobie.

To znaczy, jego ciało.

Z chwilą gdy detektyw otworzył stare, podwójne drzwi, poczuł odór gnijących zwłok. Instynktownie wiedział, skąd pochodzi fetor: ze stojącej na tyłach pomieszczenia potężnej skrzyni na węgiel. Chwilę później, przygotowując się na najgorsze, podniósł ciężką pokrywę.

W środku znajdowały się zwłoki, a właściwie niemal szkielet, wysokiego, mniej więcej czterdziestoletniego mężczyzny, w ubraniu. Mężczyzna nie żył od około sześciu miesięcy - czyli, jak obliczył Altman, od czasu zniknięcia Desmonda.

Testy DNA potwierdzą, czy faktycznie był to technik weterynarii, choć detektyw znalazł w kieszeni portfel, a schowane w nim prawo jazdy należało do Desmonda. DNA lub badania uzębienia dadzą stuprocentową pewność.

Mężczyzna miał strzaskaną czaszkę, tak więc przyczyną śmierci był najprawdopodobniej uraz głowy, spowodowany tępym narzędziem. W skrzyni nie było żadnej broni, wszakże po uważnym przeszukaniu garażu Altman znalazł ciężki drewniany młotek, zawinięty w szmaty i ukryty na dnie wypełnionej śmieciami beczki na olej. Przyklejone do niego włosy pasowały do włosów Desmonda. Altman odłożył narzędzie na stół warsztatowy, zastanawiając się, co, do cholery, się tu wydarzyło.

Ktoś zamordował Dusiciela. Ale kto? I dlaczego? Z zemsty?

Wówczas detektyw zrobił jedną z rzeczy, w których nie miał sobie równych - pozwolił swoim myślom swobodnie wybiec do przodu. Zbyt wielu detektywów ogranicza się do jednej tylko koncepcji, przez co nie potrafią dostrzec niczego poza pierwotnymi wnioskami. Altman zawsze walczył z podobnym podejściem i dlatego pytał teraz sam siebie: Co, jeśli to nie Desmond był Dusicielem?

Nie było wątpliwości, że to on zaznaczył fragmenty w „Dwóch morderstwach w małym miasteczku”. Co jednak, jeśli zrobił to, gdy już dokonano morderstwa? Na liście, który Desmond napisał do Cartera, nie było daty. Może - podobnie jak dziennikarz Gordon Wallace - przeczytał książkę i odnalazł w niej podobieństwa do rzeczywistych zbrodni. Zaczął prowadzić śledztwo na własną rękę, a Dusiciel dowiedział się o tym i zamordował go.

Ale kim, do cholery, był zabójca?

*Podobnie jak dziennikarz Gordon Wallace...*

Altman poczuł w mózgu delikatne szarpnięcie, jak gdyby kolejne fakty ustawiały się tam w kolejce, czekając, aż weźmie je pod uwagę - fakty, które miały związek z dziennikarzem. Dla przykładu: Wallace miał niesamowity wygląd, był zgryźliwy i chimeryczny. Czasami potrafił być groźny, wręcz przerażający. Miał obsesję na punkcie zbrodni i znał procedury policyjne lepiej niż niejeden gliniarz, dzięki czemu potrafił przewidzieć kolejne posunięcia śledczych. Wallace był też posiadaczem policyjnej motoroli, więc mógł słuchać policyjnych wezwań i informacji o ofiarach. Jego mieszkanie znajdowało się w odległości zaledwie kilku przecznic od college'u, gdzie zamordowano pierwszą ofiarę.

Powiedzmy, że Desmond przeczytał książkę, zaczął coś podejrzewać i zaznaczył niektóre fragmenty, a następnie wykonał kilka telefonów, by dowiedzieć się czegoś więcej o sprawie. Mógł zadzwonić do Wallace'a, który jako dziennikarz śledczy w „The Tribune” był doskonałym źródłem informacji.

Desmond spotkał się z dziennikarzem, który go zamordował, a ciało ukrył w garażu.

Niemożliwe... Po co, na przykład, Gordon miałby przynosić książkę na posterunek?

Aby uprzedzić podejrzenia?

Altman wrócił do odrażającej, prowizorycznej krypty, starając się znaleźć odpowiedzi na dręczące go pytania.

Gordon Wallace zauważył kręcącego się po garażu Altmana.

Dziennikarz najpierw zatrzymał się w odległości trzydziestu stóp od domu i ukrył się za krzakiem. Detektyw najwyraźniej nie zwracał uwagi na to, co dzieje się na zewnątrz, ufając, że Josh Randall zawiadomi go, gdyby w pobliżu zauważył coś niepokojącego. Młody detektyw jednak czaił się u wylotu podjazdu, przeszło dwieście stóp dalej, odwrócony plecami do garażu.

Oddychając ciężko w jesiennym upale, dziennikarz przykucnął i zaczął się przedzierać przez wysoką trawę. Zatrzymał się obok budynku i zerkając w okno, zauważył, że Altman pochyla się nad potężną skrzynią na węgiel. Detektyw trzymał coś w dłoni.

Świetnie, pomyślał Wallace i sięgając do kieszeni, pchnął drzwi, tak by nic nie przesłaniało mu celu.

Detektyw spoglądał na znaleziony w kieszeni Desmonda przedmiot - wizytówkę - kiedy usłyszał za plecami trzask łamanej gałęzi. Zaniepokojony odwrócił się.

W drzwiach do garażu majaczyła sylwetka mężczyzny. Nieznajomy trzymał dłonie na wysokości klatki piersiowej.

Oślepiony nagłym rozbłyskiem światła, Altman jęknął tylko:

Kim...

Garaż wypełnił oślepiający błysk i detektyw zatoczył się do tyłu, sięgając po broń.

- Niech to szlag - usłyszał znajomy głos.

Altman zmrużył oczy.

- Wallace! Ty przeklęty sukinsynu! Co tu, do cholery, robisz?

Dziennikarz zmarszczył brwi i z niezadowoloną miną spojrzał na trzymany w dłoni aparat.

- Chciałem panu zrobić nieupozowane zdjęcia. Ale odwrócił się pan i wszystko zepsuł.

- Zepsułem? Chyba mówiłem panu, że ma pan tu nie przyjeżdżać. Nie może pan...

- Zgodnie z Pierwszą Poprawką mam prawo tu być - warknął mężczyzna. - To się nazywa wolność prasy.

- A ja mam prawo pana zapuszkować. To miejsce zbrodni.

- Właśnie dlatego chcę zrobić zdjęcia - wyjaśnił z rozdrażnieniem Wallace. Chwilę później nachmurzył się. - Co to za smród? - Opuścił aparat, a jego oddech stał się płytki. Wyglądał, jakby miał zwymiotować.

- To Desmond. Ktoś go zamordował. Jest w skrzyni na węgiel.

- Zamordował? A więc to nie on był mordercą? Altman

podniósł do ust nadajnik i warknął do Randalla:

- Mamy gości.

-Co?

- Jesteśmy w garażu.

Chwilę później asystent wpadł do garażu.

- Skąd, do diabła, pan się tu wziął? - jęknął, mierząc Wallace'a pogardliwym wzrokiem.

- Należałoby chyba spytać, jak go przepuściłeś? - sprostował Altman.

- To nie jego wina - odparł dziennikarz, dygocząc z obrzydzenia.

-Zaparkowałem przy drodze. Może wyjdziemy na świeże powietrze?

Rozwścieczony Altman z radością obserwował reakcję dziennikarza.

- Powinienem wsadzić pana do pudła.

Wallace wstrzymał oddech i unosząc aparat, skierował się ku skrzyni.

- Nawet o tym nie myśl - burknął Altman, odciągając dziennikarza na bok.

- Kto to zrobił? - spytał Randall, wskazując głową ciała.

Altman nie przyznał się, że przez chwilę podejrzewał Gordona Wallace'a. Tuż zanim dziennikarz pojawił się w garażu, detektyw znalazł szokujący dowód na to, kto prawdopodobnie zamordował Desmonda i kobiety.

- Znalazłem to przy ciele - odparł, podnosząc wizytówkę.

Napis na kartoniku głosił: „Detektyw sierżant Robert Fletcher, Wydział Policji w Greenville”.

- Bob? - wydusił zszokowany Randall.

- Nawet nie chcę o tym myśleć - mruknął Altman - ale wtedy w biurze nie przyznał się do tego, że znał Desmonda, nie mówiąc już o tym, że spotkał się z nim osobiście.

- Fakt.

- Poza tym - wskazał głową młotek - Bob zajmuje się metaloplastyką, to jego hobby, pamiętasz? To może należeć do niego.

Randall zerknął z niepokojem na narzędzie zbrodni.

Na samą myśl o zdradzie Altmanowi serce waliło jak młotem. Mimo to detektyw zaczął snuć domysły na temat tego, co mogło się wydarzyć. Fletcher celowo spartaczył sprawę - ponieważ to on był mordercą i jedyne, czego pragnął, to zniszczyć wszelkie dowody, świadczące o jego winie. Samotnik z długą listą krótkich, burzliwych związków, zafascynowany przemocą, historią armii, bronią i polowaniami... Okłamał ich, mówiąc, że nie czytał „Dwóch morderstw w małym miasteczku”, i wzorował swe zbrodnie na książce. Później - po zabójstwach - książka wpadła w ręce Desmonda, który podkreślił niektóre fragmenty i jako wzorowy obywatel skontaktował się z prowadzącym śledztwo Fletcherem, który sam był zabójcą. Sierżant zamordował go, podrzucił ciało do garażu i zniszczył komputer w bibliotece. Naturalnie nigdy nie zadał sobie trudu, by pchnąć sprawę do przodu. Chwilę później Altmanowi przyszła do głowy kolejna myśl.

- Gdzie był Fletcher, kiedy wychodziłeś z biura? Widziałeś go na posterunku? - Sięgnął po broń i zerknął w kierunku wysokich traw, jak gdyby obawiał się, że Fletcher pojechał za nimi i ma zamiar ich zabić. Sierżant był wyborowym strzelcem.

- W sali konferencyjnej z Andym Carterem - odparł Randall.

Nie! Altman uświadomił sobie, że nie tylko oni są w niebezpieczeństwie; pisarz również był świadkiem w sprawie, a co za tym szło - potencjalną ofiarą Fletchera. Detektyw chwycił za komórkę i zadzwonił do dyspozytorki, prosząc, by połączyła go z Carterem.

- Niestety, nie ma go tu - odparła kobieta.

-Co?

- Robiło się późno, więc postanowił poszukać na noc hotelu.
- Gdzie się zatrzymał?
- Chyba w Sutton Inn.
- Ma pani numer?
- Oczywiście. Ale w tej chwili nie ma go w pokoju.
- Gdzie jest?
- Poszedł na kolację. Nie wiem dokładnie gdzie, jeśli jednak chce go pan złapać, proszę zadzwonić do Boba Fletchera. Wybierali się razem.

Wrócili do miasta dwadzieścia minut później, dwukrotnie przekraczając dozwoloną prędkość.

Altman po raz kolejny spróbował połączyć się z Bobem Fletcherem, lecz sierżant nie odbierał. Poza próbami przekonania sierżanta, by się poddał, i targowaniem się o życie Cartera, niewiele mogli zrobić. W tej chwili jednak Altman modlił się, by nie było już za późno.

Po raz kolejny wybrał numer Fletchera, ten wszakże milczał jak zakłęty.

Gwałtownie wyminął wóz patrolowy na skrzyżowaniu 202, niemal uderzając bokiem we wszechobecne w tej części miasta cysterny z mlekiem.

- Dobra, to było fascynujące przeżycie - szepnął Randall, zdejmując spoconą dłoń z deski rozdzielczej i wsłuchując się w ryk klaksonu.

Altman zamierzał po raz kolejny zadzwonić do Fletchera, kiedy w policyjnym radiu rozległ się brzęczący głos:

- Do wszystkich jednostek. Zgłoszono strzelaninę na jeden-dwadzieścia-osiem, na zachód od sklepu spożywczego Ralphs. Powtarzam, słyszano strzały. Wszystkie jednostki, proszę udać się na miejsce.

- Myślisz, że to oni?

- To jakieś trzy minuty drogi stąd. Zaraz się dowiemy. - Altman podał pozycję, wcisnął w podłogę pedał gazu i mając na prędkościomierzu trzycyfrową liczbę, ruszył w kierunku zgłoszenia.

Po krótkiej, szaleńczej jeździe radiowóz wjechał na wzgórze.

- Patrz! - zawołał zdyszonym głosem Randall.

Altman widział przed sobą policyjny wóz Boba Fletchera, który częściowo stał na drodze, częściowo na poboczu. Detektyw zatrzymał się nieopodal i razem z Randallem wyskoczyli z samochodu. Wóz Walla-ce'a, który pędził za jadącym na sygnale Altmanem, zatrzymał się pięćdziesiąt stóp dalej. Dziennikarz również wyskoczył z auta, puszczając mimo uszu ostrzeżenie Altmana, by trzymał się z daleka.

Altman poczuł, jak dłoń Randalla zaciska się na jego ramieniu. Młody detektyw wskazywał pobocze, około pięćdziesięciu stóp dalej. W ską-

pym świetle dostrzegli tam leżącego twarzą do zakrwawionej ziemi An-drew Cartera.

Niech to szlag! Nie zdążyli na czas i sierżant dodał pisarza do swojej listy ofiar.

Kucając za samochodem, Altman szepnął do Randalla:

- Idź tam, ale nie podnoś głowy. Uważaj na Fletchera. Jest gdzieś niedaleko.

Spoglądając na pobliskie krzaki, Randall schylił się i pognął biegiem w kierunku pisarza. Kuląc się przy jego ciele, przypadkiem spojrzął w lewo i jęknął. Na ziemi leżał Bob Fietcher, trzymając w dłoni śrutówkę z biura szeryfa.

- Uważaj! - krzyknął do Randalla Altman i przypadł do ziemi. Kiedy jednak wymierzył broń we Fletchera, zauważył, że sierżant się nie rusza. Detektyw skierował na niego światło latarki. Oczy Fletchera były szkliste, a na jego piersi widniała duża plama krwi.

Chwilę później Altman usłyszał głos Wallace'a, który pochylał się nad ciałem Cartera.

- On żyje! - jęknął dziennikarz.

Detektyw dźwignął się z ziemi, wyjął śrutówkę z martwej dłoni Fletchera i podbiegł do Cartera. Najwyraźniej Fietcher go postrzelił i pisarz był nieprzytomny.

- Andy, zostań z nami! - jęknął Altman, przyciskając dłoń do krwawiącej rany na brzuchu pisarza. Na szczycie wzgórza pojawiły się migające światła, a ciszę wypełnił nasilający się z każdą sekundą ryk syren. Detektyw pochylił się nad ciałem mężczyzny i szepnął: - Trzymaj się! Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze, będzie dobrze...

- Książka ocaliła mi życie - wyjaśnił autor z uśmiechem, który zmienił się w grymas bólu.

Był ranek następnego dnia i Quentin Altman wraz z żoną Cartera - przystojną blondynką w średnim wieku - stali przy łóżku pisarza w Green-ville Hospital. Kula Fletchera ominęła organy wewnętrzne, uszkodziła jednak żebro, przez co Carter cierpiał pomimo podawanych mu środków przeciwbólowych.

Mężczyzna opowiedział im, co naprawdę wydarzyło się ubiegłego wieczoru.

- Fietcher zaproponował: „Chodźmy na kolację”. Podobno znał najlepszy w okręgu lokal z grillem. Jechaliśmy tą opuszczoną drogą, a ja opowiadałem mu o książce i o tym, że droga przypomina mi scenę, w której Łowca zaczyna śledzić swą pierwszą ofiarę, po tym jak zauważył ją



w McDonalddie. Wtedy Fletcher powiedział, że wyobrażał sobie, że droga biegnie między polami kukurydzy, a nie pośród lasów.

- Ale przecież mówił, że nie czytał książki - wtrącił Altman.

- No właśnie. Wtedy zdał sobie sprawę, że się wygadał. Przez chwilę milczał, a ja pomyślałem, że coś tu jest nie tak. Chciałem nawet wyskoczyć z samochodu, ale facet wyciągnął broń i strzelił. Udało mi się nacisnąć nogą hamulec. Zjechaliśmy z drogi i Fletcher uderzył głową w okno. Chwyciłem broń i wytoczyłem się z samochodu. Zacząłem biec w kierunku krzaków, ale widzę, że facet wyciąga z bagażnika śrutówkę. Kiedy ruszył w moją stronę, strzeliłem. - Carter potrząsnął głową. - Chryste, gdyby nie książka i to, co powiedział, nigdy bym się nie zorientował, co tak naprawdę chodziło mu po głowie.

Jako że Altman był uwikłany w całą sprawę, przekazano ją innemu detektywowi, który oznajmił, że śledczy potwierdzili wersję Cartera. Na dłoni Fletchera znaleziono osad prochowy, co znaczyło, że mężczyzna istotnie użył broni, a kula z krwią Cartera utkwiała w drzwiach pasażera. Dowody wskazywały na to, że Fletcher faktycznie był Dusiciem z Green-ville. Na młotku znaleziono odciski palców sierżanta, a przeszukujący jego dom policjanci natrafili na zabrane z mieszkań ofiar pończochy i bieliznę. Zamordowanie Howarda Desmonda i próba zabójstwa Andy'ego Cartera - cóż, w ten sposób Fletcher chciał ukryć przed światem swe zbrodnie. Ale czym się kierował, mordując kobiety? Niewykluczone, że chciał odreagować wściekłość po tym, jak zostawiła go żona. Lub też miał romans z jedną z ofiar, a kiedy ich stosunki zaczęły się psuć, postanowił zabić kobietę. Może kiedyś poznają odpowiedzi na wszystkie pytania.

A może, zastanawiał się Altman, inaczej niż w powieściach kryminalnych, nigdy nie dowiedzą się, co pchnęło Fletchera w stronę mrocznego świata przestępców, których sam niegdyś tropił.

Właśnie wtedy w szpitalu pojawił się Wallace Gordon i zaglądając przez drzwi, oznajmił:

- Prosto z drukarni. - Mówiąc to, wręczył Carterowi najświeższy numer „The Tribune”. Na pierwszej stronie umieszczono jego artykuł o rozwiązaniu zagadki Dusiciela z Greenville.

- Zatrzymaj go - rzucił Wallace. - Na pamiątkę.

Dziękując mu, żona Cartera złożyła gazetę i odsunęła ją na bok, jak ktoś, kto nie przywiązuje wagi do pamiątek, zwłaszcza jeśli przypominają o trudnym okresie czyjegoś życia.

Quentin Altman ruszył do drzwi, zatrzymał się jednak i spojrzał na pi-sarza.

- Jeszcze jedno, Andy - jak kończy się twoja książka? Czy policja kiedykolwiek złapała Łowcę?

Carter zawahał się, a chwilę później na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Widzi pan, detektywie, jeśli chce się pan dowiedzieć, obawiam się, że będzie pan musiał kupić książkę.

Kilka dni później Andrew Carter wysliznął się z łóżka, w którym leżał przez ostatnie trzy godziny, nie śpiąc. Była druga nad ranem.

Mężczyzna zerknął na pogrążoną we śnie, nieruchomą postać żony i wspierając się na lasce, pokuszył się do szafy, skąd wyciągnął parę spłó-wiałych starych dżinsów i bluzę z logo Boston University - zestaw pi-sarski, którego nie wkładał od ponad roku.

Obolały po postrzale, minął korytarz, wszedł do gabinetu i zaśwycił światło. Chwilę później usiadł przy biurku, włączył komputer i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w monitor.

Nagle zaczął pisać. Z początku palce niezgrabnie tańczyły po klawia-turze, wciskając jednocześnie dwa klawisze lub wybierając inne niż te, które powinny. Mimo to z upływem godzin nabrały dawnej wprawy i wy-lewające się z umysłu pisarza słowa niemal natychmiast pojawiały się na monitorze.

Zanim niebo rozgorzało pierwszymi, różowoszarymi płomieniami poranka, a w rosnącym za oknem ostrokrzewie odezwały się ptaki, Carter ukończył opowieść - trzydzieści dziewięć stron z podwójnym odstępem.

Przesunął kursor na górę dokumentu, przez chwilę zastanawiał się nad odpowiednim tytułem, po czym wpisał: Naśladowca.

Dopiero wówczas odchylił się w swym wygodnym fotelu i uważnie przeczytał całą historię.

Opowiadanie rozpoczynało się w chwili, gdy dziennikarz odnajduje powieść z kilkoma zaznaczonymi fragmentami, które do złudzenia przypominają sprawy dwóch rzeczywistych morderstw. Dziennikarz idzie z książką do detektywa, ten zaś stwierdza, że fragmenty musiał zaznaczyć morderca-naśladowca, który wzorował zabójstwa na fikcji literackiej.

Wznowiwszy śledztwo, detektyw werbuje do pomocy autora powieści, a on ochoczo zgadza się na współpracę i przynosi na posterunek ko-respondencję od fanów; jeden z listów naprowadza gliniarzy na trop domniemanego zabójcy.

Kiedy jednak policja, tropiąc mordercę, udaje się do jego domku let-niskowego, odkrywa, że on także został zamordowany. Mężczyzna praw-dopodobnie wcale nie był zabójcą, lecz tylko zakreślił fragmenty, bo - po-

dobnie jak dziennikarza - zastanowiło go podobieństwo pomiędzy fabułą książki a morderstwami, które wydarzyły się w rzeczywistości.

Wówczas detektyw dokonuje szokującego odkrycia - przy zwłokach znajduje dowody na to, że prawdziwym zabójcą jest sierżant miejscowej policji. Pisarz, który akurat przebywa w towarzystwie mordercy, nieomal traci życie, udaje mu się jednak wyrwać broń i w obronie własnej zabija gliniarza.

Sprawa zamknięta.

Albo też tak się tylko wydaje...

Jednak Andy Carter nie zakończył na tym swej opowieści. Dodał do niej kolejny zaskakujący zwrot akcji. Na samym końcu czytelnicy dowiedzą się, że sierżant był niewinny. Został wrobiony i stał się kozłem ofiarnym prawdziwego Dusiciela.

Którym - jak się okazało - był nie kto inny, ale pisarz we własnej osobie.

Dręczony niemocą twórczą po ukazaniu się pierwszej książki, popadł w szaleństwo. Zdesperowany i bliski obłądzenia zaczął wierzyć, że być może wskrzesi swój kunszt, odtwarzając w rzeczywistości fragmenty powieści i mordując kobiety dokładnie w taki sposób, w jaki uczynił to jego bohater.

Jednakże morderstwa nie wróciły życia jego pisarstwu, a mężczyzna wpadł w głęboką depresję. Co gorsza, właśnie wtedy otrzymał list od wielbiciela swej twórczości, którego zaniepokoiło podobieństwo pomiędzy fikcją literacką a prawdziwymi zbrodniami. Pisarz nie miał wyboru: spotkał się z mężczyzną w chacie nad jeziorem i zatłukł go na śmierć. Ciało ukrył w garażu i podszywając się pod ofiarę, zadzwonił do jej szefa i właściciela mieszkania, informując ich o swym nagłym wyjeździe.

Wierzył, że jest bezpieczny. Spokój jednak nie trwał długo. Nagle pojawił się reporter, który odnalazł podkreślone fragmenty, i śledztwo zostało wznowione, do autora zaś zadzwoniła policja, prosząc go, by udostępnił jej listy od czytelników. Mężczyzna wiedział, że jedynym sposobem, aby mógł znowu czuć się bezpiecznie, jest znalezienie kozła ofiarnego. Zgodził się więc na spotkanie z gliniarzami - choć tak naprawdę przyjechał do miasta dzień wcześniej. Włamał się do domu sierżanta, podrzucił obciążające dowody, które wyniósł z mieszkań zamordowanych kobiet, ukradł jeden z młotków gliniarza i jego wizytówkę. Następnie udał się do domu letniskowego, gdzie wcześniej zamordował swego fana, rozbił młotkiem jego gnijącą czaszkę, a narzędzie zbrodni ukrył w beczce na olej. Wizytówkę sierżanta włożył do portfela mężczyzny. Nazajutrz pojawił się na policji wraz z listem, który zaprowadził gliniarzy do chaty nad jeziorem - a także do sierżanta.

Pisarz, który zaprosił nic niepodważającego gliniarza na kolację, wyrwał mu broń, kazał zatrzymać samochód i wysiąść. Następnie zastrzelił go, włożył broń w rękę sierżanta i oddał strzał, tak aby na palcach mężczyzny pozostał osad prochowy (pisarze kryminalistów mają wiedzę z zakresu medycyny sądowej równie dużą jak większość gliniarzy). Potem wyjął z bagażnika śrutówkę, podrzucił ją w pobliżu ciała, a sam wrócił do radiowozu, gdzie postrzelił się w brzuch - tak powierzchownie, jak to było możliwe.

Następnie wyczołgał się z wozu, zamierzając poczekać na pomoc przejeżdżających samochodów.

Policja kupiła bajeczkę.

W końcowej scenie pisarz powrócił do domu, by odzyskać swoją literacką formę.

Carter skończył czytać opowiadanie, czując, jak serce łomocze mu z dumy i podniecenia. Co prawda, musiał podszlifować jeszcze parę fragmentów, jednak zważywszy na to, że od ponad roku nie napisał ani słowa, było to niewiarygodne osiągnięcie.

Problem polegał na tym, że nigdy nie opublikuje swego dzieła ani nikomu go nie pokaże.

Dlaczego? Historia nie stanowiła fikcji literackiej; każde słowo zawierało najprawdziwszą prawdę. Andy Carter był pisarzem-zabójcą.

Mimo to, uznał autor, usuwając plik z komputera, nie ma co się przejmować publikacją. Najważniejsze było to, że pisząc „Naśladowcę”, pokonał swą literacką niemoc równie bezwzględnie i skutecznie, jak zamordował Boba Fletchera, Howarda Desmonda i dwie kobiety z Greenville. Co więcej, znalazł sposób na to, by nigdy więcej nie wypalić się jako pisarz. Od tej chwili porzuci fikcję literacką i zacznie pisać o tym, do czego został stworzony: o prawdziwych zabójstwach.

Cóż za idealne rozwiązanie! Nie będzie już narzekał na brak pomysłów; telewizja, magazyny i gazety codziennie oferują przecież dziesiątki takich historii.

Poza tym, pomyślał, idąc powoli do kuchni, by zaparzyć dzbanek kawy, gdyby się okazało, że nie ma żadnych interesujących zbrodni... cóż, wiedział już, że potrafi wziąć sprawy w swoje ręce i zadbać o to, by nie zabrakło mu inspiracji.

# Podglądacz

Naturalnie nie miał u niej szans. Nie była dziewczyną dla niego.

Mimo to Rodney Pullman, czterdziestoczworoletk, z rozmiarem czterdzieści cztery również w pasie, nie mógł zapanować nad żądzą, która zawładnęła nim na widok lokatorki spod 10B, kiedy ta pół roku temu wprowadziła się do jego apartamentowca w Santa Monica. W końcu kto zabroni człowiekowi marzyć?

Stawiając sobie jasne cele i cierpiąc na chroniczny brak energii, by je zrealizować, dwa lata temu przeprowadził się z Des Moines do Los Angeles, by zostać producentem filmowym. Przez całe miesiące zasypywał hollywoodzką fabrykę snów kolejnymi kopiami swojego życiorysu, lecz rezultaty były zerowe, tak więc w końcu postanowił, że sprzedaż samochodów marki Saturn i klimatyzatorów przemysłowych otworzy przed nim drzwi do firm, w których niepodzielnie królują produkty TomKat, George'a Clooneya i J-Lo.

Jednak - pomimo ciągłych rozczarowań - Pullman napisał do rodziców, że popadł w typową kalifornijską rutynę. Może ludzie rzeczywistości byli tu bardziej powierzchowni niż w stanie Iowa i czasami człowiek miał wrażenie, że wpada w depresję. Ale cóż to było za miejsce! Ziemia obiecana - szerokie autostrady, jedwabista mgła na plażach, miękki piasek pod stopami, gigantyczne kompleksy kinowe, otwarte całą noc restauracje i styczniowy niż, równie ciepły, jak typowy maj w Des Moines.

Pullman zlekceważył porażkę w przemyśle filmowym, przyjął posadę kierownika w sieci księgarni w Westwood i rozpoczął spokojne życie.

Był zadowolony.

No... prawie zadowolony. Gdyby nie jego sytuacja w życiu uczuciowym...

No właśnie.

Dziesięć lat temu się rozwiódł. Po rozwodzie spotykał się z innymi kobietami, stwierdził jednak, że związkom tym trudno było osiągnąć pewien poważny pułap. Żadna z dziewczyn, z którymi się umawiał - głównie na randki w ciemno - nie interesowała się filmem, jego największą pasją. (Och, to niesamowite, Rod! Ja też uwielbiam klasykę. Na przykład „Titanica” oglądałam chyba ze sto razy. To znaczy, mam go nawet w domu... Ale, ale, opowiedz mi o tym facecie Orbisonie Wellesie, o którym wspomniałeś). Zazwyczaj rozmowy sprowadzały się do nudnych peanów na cześć dzieci lub tyrad o tym, jak podle traktowali kobiety byli mężowie. Nawet lokale, w których się spotykali, nie należały do wytwornych - Gap, L.L. Bean - i były -jak by to ująć? - pozbawionymi określonego kształtu bryłami w typowym dla środkowego zachodu stylu.

Naturalnie spotkał na swej drodze kilka naprawdę atrakcyjnych kobiet - na przykład Sally Vaughn, zdobywczynię drugiego miejsca w konkursie Miss Iowa 2002; ich związek jednak utknął w martwym punkcie i Pullman zaczął tęsknić za czymś nowym.

Takie właśnie było LA. Olbrzymi magazyn najcudowniejszych istot świata. Istot nie tylko pięknych. Nie. Te dziewczyny miały też wnętrza. Podśluchiwał ich rozmowy w barze kawowym w księgarni, kiedy pochylone nad cafe latte ożywionymi głosami rozmawiały o polityce; to było naprawdę cudowne i zabawne. Nie dalej jak wczoraj słuchał pary dwudzie-stoparolatek w obcisłych strojach treningowych, które spierały się o dziwnie brzmiący instrument w ścieżce dźwiękowej do „Trzeciego człowieka”. Cymbały, nie, to był akordeon, nie, to była...

Cytra! - miał ochotę krzyknąć Pullman, wyczuł jednak, że wtrącanie się nie byłoby mile widziane (wyczuwał też, że ta, która nie miała racji, poczułaby się solidnie wkurzona i na pewno dołożyłaby wszelkich starań, aby nie spotkał się ani z nią, ani z jej koleżanką).

Dziewczyny z LA nie mają w swoich kolekcjach DVD typowych wyci-skaczy łez. Mają za to „Złodziei rowerów”, „Człowieka, który wiedział za dużo”, „Pancernika Potiomkina”, „Niebo nad Berlinem” i „Kandydata”.

Ale jak taką poznać... W tym tkwił cały problem. Ach, jakże nie cierpiał tego sztucznego „Cześć-Mam-Na-Imię-Rod-A-Ty?”. Pulchny, niezdamy i nieśmiały, zawsze chwycił się tej formułki.

Miał nadzieję, że praca w księgarni zbliży go do wytwornych hollywoodzkich kobiet. Postawi go w sytuacji, w której będzie miał realny powód, by z nimi porozmawiać - w końcu jest sprzedawcą, a to powinno sprawić, że same zaczną do niego podchodzić; wówczas on oczaruje najcudowniejszą z nich. Jednak prawda okazała się brutalna: kiedy tylko odpowiedział na ich pytanie, kobiety przestawały się nim interesować. Co do

koleżanek z pracy, to albo miał do czynienia z pięćdziesięcioletnimi ofiarami losu, albo obsesyjnie zaprzątniętymi robieniem kariery gówniarami (które za wszelką cenę chciały - no, zgadnijcie - pisać, grać lub kręcić filmy).

Wyczerpany tą sytuacją Pullman najzwyczajniej w świecie odpuścił sobie romanse.

Ale wtedy pojawiła się lokatorka z 10B.

Tammy Hudson - następnego dnia zapytał dozorcę o jej imię - była odrobinę starsza od tych oszałamiająco pięknych istot, które człowiek widuje w Ivy albo na tyłach baru Beverly Wilshire. Pullman przypuszczał, że miała trzydzieści trzy, trzydzieści cztery lata, co oznaczało, że różnica wieku między nimi jest do zaakceptowania. Była boska. Czarne włosy; czarne niczym skrzydła kruka, często związane w zawadiacki kucyk lub upięte w wytworny kok. Była wysoka i - jak dowodził obciśły, żółto-czarny, spandeksowy strój do joggingu - szczupła i umięśniona. Biegała codziennie, a czasami, kiedy szedł otworzyć księgarnię, widział ją na tyłach apartamentowca, jak stojąc w chłodnym, mglistym powietrzu, ćwiczyła jakiś rodzaj sztuk walki.

Lubił w niej jeszcze jedną rzecz: Tammy czerpała radość z życia. Często podróżowała i - z tego, co słyszał - miała domek w Baja albo знаła jego właściciela, więc często spędzała tam weekendy. Jeździła jaskrawo-czerwonym skuterem Vespa, dzięki czemu tak bardzo przypominała Au-drey Hepburn w „Rzymskich wakacjach”. Poza tym miała starego mg, którego prowadziła z zawrotną prędkością.

Pullman nie był zaskoczony, kiedy się dowiedział, że prawie codziennie opuszcza mieszkanie ze swoim portfolio; to oczywiste, że działa w branży filmowej. Przy tak pełnej ekspresji twarzy byłaby świetną aktorką charakterystyczną. Czy widział ją kiedyś w jakimś filmie? Zastanawiał się. Niewiele było filmów, których Rodney Pullman nie widział.

Po dłuższym zastanowieniu uznał, że mogliby wyskoczyć gdzieś razem i niewykluczone, że coś mogłoby między nimi zaiskrzyć. Nie wyglądał przecież źle. Fakt, miał niewielki brzuszeczek, ale było to przecież charakterystyczne dla wszystkich biznesmenów i nie przeszkadzało kobietom, jeśli tylko facet umiał je oczarować. Miał też gęste brązowe włosy bez śladu siwizny i zdecydowanie zarysowaną szczękę, która skutecznie ukrywała podwójny podbródek. Nie palił i pił wyłącznie wino, w dodatku w niewielkich ilościach. Poza tym zawsze płacił za kolację.

Mimo to -jak zawsze - wątpliwości kłębiły się w jego głowie niczym rozwścieczone osy. Jak ktoś tak nieśmiały mógłby po prostu podejść i przedstawić się? Poza tym wiedział, że jeśli zaprzepaści pierwszą szansę, drugiej już nie dostanie. Nie u tak pięknej kobiety jak Tammy.

Tak więc miesiącami wielbił ją na odległość, bijąc się z myślami i rozważając, jak przełamać lody i nie zrobić z siebie głupka.

Wtedy, w chłodny, kwietniowy wieczór, coś się wydarzyło.

Okolo siódmej Pullman stał w oknie, spoglądając na podwórze, kiedy zauważył dziwny ruch w krzakach naprzeciwko sypialni Tammy. Chwilę później krzaki znów się poruszyły, tym razem jednak dostrzegł delikatny promień latarki, jak gdyby jego blask odbijał się od szyby.

Pullman zgasił światło i opuścił żaluzje. Klękając przy oknie, wyjrzał na zewnątrz i zauważył chowającego się w zaroślach mężczyznę. Facet najwyraźniej gapił się w okna Tammy. Miał na sobie szary kombinezon roboczy. Widząc to, Pullman dźwignął się z podłogi i pobiegł do sypialni, skąd rozpościerał się znacznie lepszy widok na całe podwórze. Tak, nie było wątpliwości. Ten młody chudzielec podglądał Tammy. Miał nawet niewielką lornetkę. Przekląty zboczeniec.

Pullman chwycił telefon i zamierzał zadzwonić pod 911.

Wybrał nawet pierwszą cyfrę, zawahał się jednak i pomyślał... zaraz, zaraz, może mógłby jakoś wykorzystać tę sytuację. Chwilę później odłożył aparat.

Zasłony w oknach Tammy były zaciągnięte. Pullman skupił się więc na podglądacz i poczuł dreszcz, gdy rozczarowany mężczyzna opuścił ramiona - zupełnie jakby miał nadzieję, że zobaczy, jak kobieta rozbiera się i idzie pod prysznic. Mimo to nie ruszył się z miejsca, czekając tylko na dogodną okazję, by ponownie zajrzeć w okna. Wówczas jednak drzwi do mieszkania Tammy otworzyły się i kobieta wyszła na zewnątrz. Miała na sobie różowy top i obcisłe kwieciste spodnie. Niebieską skórzaną torebkę marki Coach przewiesiła przez ramię, a okulary przeciwsłoneczne podsunęła wysoko na czoło, wplątując je w rozpuszczone włosy.

Podglądacz skulił się w krzakach, na chwilę znikając z pola widzenia.

Tammy zamknęła drzwi i ruszyła chodnikiem w stronę parkingu. Gdzie podział się ten konserwator zieleni? - zastanawiał się Pullman. Czyżby poszedł za kobietą? Zaniepokojony znów sięgnął po telefon. Jednak kiedy wybierał cyfrę dziewięć, dostrzegł, że mężczyzna wyłania się z krzaków. Facet nie zamierzał uciekać; zbierał tylko swoje rzeczy. Podnosząc je, odwrócił się od kobiety i zaczął iść w drugą stronę, kierując się na tyły budynku.

Tammy zniknęła na parkingu i chwilę później Pullman usłyszał szum silnika i jęk hamulców, kiedy mały zielony samochód wyjechał na ulicę.

Tamtego wieczoru został w domu, zamówił pizzę i nieprzerwanie gapił się na podwórze. Mijały godziny, jednak ani Tammy, ani podglądacz nie wrócili. W pewnym momencie Pullman prawie zasnął, ale zaparzył kawę,



wrócił do okna i trzymając w dłoniach gorącą filiżankę, ponowił obserwację. Przez chwilę myślał z podnieceniem, że cała sytuacja przypomina Hitch-cockowski thriller „Okno na podwórze”, w którym przykuty do wózka inwalidzkiego Jimmy Steward spędza całe dnie, gapiąc się w okna swoich sąsiadów. Był to ulubiony film Pullmana i przez chwilę zastanawiał się, czy Tammy też go widziała. Miał jednak przeczucie, że tak właśnie było.

O dziewiątej, znużony czekaniem na Tammy i chudego podglądacza, Pullman zszedł na dół, na tyły budynku, gdzie siedział dozorca.

- Kim jest ten młody konserwator zieleni? - spytał. - Ten blondyn?

- Blondyn? - powtórzył krępy dozorca, odgarniając z czoła kosmyk tłustych włosów. Facet śmierdział piwem.

- Tak, ten niski.

- Powiedział pan „blondyn”.

- Właśnie, ten z blond włosami. - Poirytowany Pullman zmarszczył brwi. - Wie pan, o kim mówię? - Dozorca był biały, więc nie wchodziła w grę bariera językowa. Cóż, może facet jest po prostu głupi.

- Myślałem, że powiedział pan „blondyn”, tak się mówi o kobietach. Na przykład: „Spójrz na tę blondynkę”. Nikt tak nie mówi o facecie. Nie nazywa się facetów blondynami.

- Taa? Cóż, nie wiedziałem. Ale ten akurat jest blondynem. Niskim. Przycinał dziś żywopłot i grabił trawniki. Wie pan, o kim mówię?

- Tak, tak. O tamtym.

- Jak się nazywa?

- Nie wiem. Nie ja go zatrudniałem. Nie zajmuję się pracami przygotowawczymi. Zarząd go zatrudnił.

- Co pan o nim wie?

- Co wiem? Facet zamiata, grabi, strzyże trawę. Tyle o nim wiem.

Dlaczego pan pyta?

- Jest z jakiejś firmy?

- Taa, chyba z firmy.

- Firma jest ubezpieczona? - spytał Pullman.

- Ta, w której pracuje?

-Tak.

- Chyba tak. Powiedziałem przecież, że zatrudnił go...

- Zarząd. Tak. A więc nic pan o nim nie wie?

- Czemu pan pyta?

- Z ciekawości.

Dozorca podreptał z powrotem do mieszkania, naburmuszony, jak gdyby ktoś go niesłusznie oskarżył. Tymczasem Pullman pognał na górę.

Tammy wróciła o pierwszej w nocy. Wyglądała równie radośnie i seksownie jak wówczas, gdy opuszczała mieszkanie. Podeszła do drzwi i otworzyła je. Chwilę później obejrzała się przez ramię, weszła do środka i zatrzasnęła drzwi.

Stojąc w progu, wydawała się zaniepokojona, pomyślał Pullman; zupełnie jak gdyby zobaczyła lub usłyszała intruza. Sięgnął po lornetkę i przyjrzał się krzewom. Nie widział podglądacza, nie zamierzał jednak ryzykować. Wyszedł na korytarz i zbiegł schodami w dół. Niebawem stał już w cieniu nieopodal krzaków, w których podglądacz prowadził swą chorą grę.

Dookoła słychać było brzęczenie much, przez krzaki przeświecały uliczne światła, a gdzieś w oddali, na wzgórzach prowadzących do Ma-libu, rozległ się skowyt kojotów. Poza tym okolica była cicha i spokojna.

Kiedy w końcu mieszkanie Tammy pograżyło się w ciemnościach, Pullman odczekał kolejne pół godziny, ale nie zauważył nic poza błąkającym się po okolicy wielkim kocurem. Zniechęcony czekaniem wrócił do siebie. Sytuacja mogła okazać się prawdziwą kopalnią złota w jego życiu uczuciowym; myślał o tym, jak najlepiej ją wykorzystać.

Po pierwsze, musiał wiedzieć, czy facet stanowi poważne zagrożenie. Słyszał, że podglądacze są jak ludzie owładnięci obsesją stóp albo ekshibicjoniści. Generalnie nie bywają niebezpieczni. Zastępują normalne zbliżenie odległym - a przez to bezpieczniejszym - aktem podglądania mężczyzn i kobiet, fantazjując na ich temat.

Prawdą było, że gwałciciele czasami śledzili swoje ofiary, aby - zanim przystąpią do ataku - poznać ich rozkład dnia i zwyczaje, jednakże większości podglądaczy nawet nie przyszłoby do głowy, by porozmawiać z ofiarami, a tym bardziej skrzywdzić je. Wszystko wskazywało na to, że facet jest nieszkodliwy. Poza tym wydawał się chuderlawym, potulnym, małym śmieciem. Ćwicząc karate, Tammy mogła powalić go jednym ciosem. Nie, zdecydował Pullman, nawet jeśli na niego nie doniesie, kobiecie nic nie grozi.

Padł na łóżko i zamknął oczy, ale nie mógł zasnąć; przegrzany mózg zmagał się z myślą, jak wykorzystać sytuację, by umówić się z Tammy. Przez jakiś czas Pullman przewracał się z boku na bok, aż w końcu nastawił budzik, tak by zadzwonił za pół godziny. Kiedy o siódmej usłyszał jego dźwięk, wygramolił się z łóżka i rozejrzał po okolicy. Światła w mieszkaniu Tammy były zapalone. Pullman wyobraził sobie, że kobieta ćwiczy albo je na śniadanie jogurt lub jagody i nieświadoma obecności podglądacza popija ziołową herbatę.

Co do mężczyzny, nigdzie go nie widział.

Pullman był wyraźnie zaniepokojony. Czyżby kompleks apartamentowców był dla tamtego zaledwie jednodniowym kaprysem? Co, jeśli nie wróci? Wtedy wszystkie jego plany wezmą w łeb.

Długo stał przy oknie w nadziei, że zobaczy w końcu konserwatora. Jednak o ósmej nie mógł już dłużej czekać; za piętnaście minut musiał być w pracy.

Wziął szybki prysznic i staniając się na nogach, wyszedł na parking. Z braku snu rozboleła go głowa, a promienie słońca boleśnie wdzierały się pod powieki. Zamierzał właśnie wsiąść do zniszczonego saturna, kiedy na parking wjechała furgonetka Pacific Landscaping Services.

Pullman wstrzymał oddech.

Tak, to był prześladowca Tammy! Mężczyzna wysiadł z samochodu, zebrał narzędzia i popijając jakiś napój, ruszył w stronę podwórza. Pullman przykucnął, kryjąc się za furgonetką. Chwilę później podglądacz wszedł między krzewy i zaczął przycinać doskonale przystrzyżony żywopłot. Jego głodne oczy nawet nie spojrzały na sekator; były utkwione w oknie sypialni Tammy.

- Dziękuję - szepnął Pullman, zwracając się do Boga, w którego obecność kazało mu wierzyć środkowozachodnie wychowanie, po czym jak szalony pognął do mieszkania. Powinien otworzyć księgarnię, nie mógł jednak przegapić takiej okazji. Wyjął telefon, zadzwonił do kierowniczkę działu personalnego i schrypniętym głosem oznajmił, że jest chory i nie przyjdzie do pracy.

- Och - odparła obojętnie, a Pullman przypomniał sobie, że drugi zastępca dyrektora zaczynał dziś urlop, co oznaczało, że kobieta będzie miała mnóstwo czasu, by znaleźć kogoś, kto otworzy księgarnię.

Zakasłał, rozmówczyni jednak nie zamierzała silić się na współczucie.

- Daj znać, czy będziesz jutro - odparła chłodno. - I następnym razem powiadom mnie wcześniej.

- Ja...

Klik.

Pullman wzruszył ramionami. Miał na głowie ważniejsze rzeczy. Zaczął znów snuć plany, które obmyślał wcześniej, leżąc w łóżku.

*Cześć, nie znasz mnie, ale mieszkam naprzeciwko. Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć...*

*Albo: Cześć, jestem twoim sąsiadem. Chyba nie mieliśmy okazji się poznać. Nie chcę cię straszyć, ale w tamtych krzakach siedzi facet, który od dwóch dni gapi się w twoje okna.*

Nie, nie powinien mówić „od dwóch dni”. Zaczęłyby się zastanawiać, dlaczego nie powiedział nic wcześniej.

*Posłuchaj, panienko, nie znasz mnie, ale nie rozglądaj się. W krzakach po drugiej stronie chodnika siedzi facet, który przez lornetkę obserwuje twoje mieszkanie. To chyba jakiś zboczeniec albo inny świr.*

Po dłuższym namyśle Pullman zdecydował, że nie podoba mu się żaden z tych wstępów. Na każdy z nich mogła po prostu odrzec: „Okay, dzięki”. Później zamknęłyby drzwi i wezwała gliniarzy.

Koniec Rodneya Pullmana.

Nie, musiał rozegrać to bardziej dramatycznie - powiedzieć coś, czymś zaimponuje tak pięknej, chłodnej i niewzruszonej kobiecie jak Tammy Hudson.

Patrząc na podwórze przez przymrużone powieki, Pullman zauważył, że podglądacz jest teraz znacznie bliżej budynku, a jego wzrok obsesyjnie błądzi po oknie sypialni. Promienie słońca odbijały się od sekatora, który - niczym nóż - ciął ciszę złowieszczym ciach, ciach. Narzędzie było długie i -jak zauważył Pullman - doskonale naostrzone. Przez chwilę zastanawiał się, czy się nie myli. Ale nie, facet naprawdę może być niebezpieczny.

To zrodziło w jego głowie kolejny pomysł, jak najlepiej zaaranżować spotkanie z piękną lokatorką spod 1 OB.

Pullman podszedł do szafy i po chwili wyciągnął z niej stary kij baseballowy. Nigdy nie przepadał za sportem, kupił jednak kij i rękawicę, kiedy dowiedział się, że pracownicy księgarni mają własną drużynę. Myślał, że dzięki temu pozna lepiej dziewczyny z pracy. Jak się okazało, graczami byli wyłącznie mężczyźni, tak więc szybko zrezygnował z członkostwa.

Zerknął za okno - ani śladu Tammy, choć podglądacz wciąż był na posterunku i z zapalem strzygł żywopłot.

*Ciach, ciach...*

Chwyciwszy kij, Pullman opuścił mieszkanie, zszedł na dół do znajdującego się na parterze przejścia i skrył się w cieniu za plecami intruza.

Zamierzał poczekać tam aż do chwili, gdy Tammy -jak co rano - wyjdzie na przesłuchanie. Kiedy tylko minie podglądacza, Pullman podbiegnie do mężczyzny i wywijając kijem, wyjawi kobiecie prawdę i każe jej wezwać policję.

Facet będzie leżał na brzuchu aż do przyjazdu gliniarzy, a więc on i Tammy będą mieli dobre dziesięć minut na rozmowę.

*Nie, nie, to naprawdę nic... Tak przy okazji, nazywam się Rod Pullman. A ty...? Miło cię poznać, Tammy... Nie, naprawdę, po prostu zrobiłem to, co na moim miejscu zrobiłby każdy normalny człowiek... Cóż, dobrze, jeśli naprawdę chcesz się odwdziżyć, pozwól, że zaproszę cię na kolację.*

Wytarł o spodnie spocone dłonie i ścisnął owinięty taśmą uchwyt kija.  
*Jasne, sobota mi pasuje. Może...*

Odgłos otwieranych drzwi wyrwał go z zamyślenia.

Kobieta wyszła z domu i włożyła drogie okulary przeciwsłoneczne. Dziś miała we włosach jaskrawoczerwoną opaskę, w takim samym nasyconym kolorze jak paznokcie u rąk i nóg. Błękitną torebkę przewiesiła przez ramię, a pod pachą trzymała portfolio. Chwilę później ruszyła chodnikiem.

Podglądacz znieruchomiał. Odgłosy cięcia sekatorem ustały.

Dłoń Pullmana jeszcze mocniej zacisnęła się na kiju. Wziął głęboki oddech i w myślach powtórzył swoją kwestię.

Był gotów do działania...

Wówczas jednak podglądacz cofnął się. Opuścił sekator i sięgnął dłonią do ogrodniczek.

Co jest...?

Jezu Chryste, facet majstrował przy rozporku i wkładał rękę do spodni.

Zgwałci ją!

- Nie! - wrzasnął Pullman i wywijając kijem, rzucił się na mężczyznę.

- Hej! - Przeżony gwałcielem zamrugał oczami i zrobił niepewny krok w tył, potykając się o niski płotek, za którym składowano ściółkę. Runął na plecy i pozbawiony tchu ryknął z bólu.

Tammy zatrzymała się i marszcząc brew, zerknęła w kierunku zamieszania.

- Dzwon po policję! - wrzasnął Pullman. - Ten facet cię obserwuje. To gwałcielem! - Machnął kijem i odwrócił się do mężczyzny. - Nie ruszaj się! Bo...

Kolejne słowa utonęły w dobiegającej z za jego pleców ogłuszającej eksplozji wystrzałów.

Przeżony Pullman wrzasnął i runął na kolana, podczas gdy kolejne kule rozrywały głowę i szyję podglądacza, tworząc dookoła krwawą mgiełkę. Mężczyzna zadygotał i znieruchomiał.

- Chryste! - szepnął Pullman i powoli dźwignął się z ziemi. Odwrócił się w stronę Tammy i przeżonym wzrokiem spojrzał na potężny czarny pistolet, który kobieta wyjęła z torebki.

A więc nie trenowała karate wyłącznie dla samoobrony; miała również zezwolenie na posiadanie broni. Cóż, wiele kobiet w LA miało broń. Z drugiej strony, Pullman nie był pewien, czy można tak po prostu strzelać do leżącego na ziemi, bezbronno człowieka, który nikogo nie atakował.

- Hej, ty! - zawołała Tammy, podchodząc do Pullmana.

Mężczyzna odwrócił się. Spojrzał w piękne błękitne oczy, mieniające się w słońcu, diamentowe kolczyki i poczuł zmysłową woń kwiatowych perfum, zmieszaną z gryzącym zapachem prochu.

- Ja? - spytał.
- Tak, podejdź. - Wręczyła mu portfolio.
- To dla mnie?

Kobieta nie odpowiedziała, tylko odwróciła się i ruszyła biegiem do wąskiej alejki na tyłach kompleksu, zostawiając po sobie ulotną feerię barw.

Zmieszany Pullman gapił się na teczkę, kiedy usłyszał dobiegający zza pleców tupot stóp. Chwilę później pochwyciły go czyjeś silne ręce, a na twarzy poczuł wilgotny dotyk idealnie skoszonej trawy.

Tammy Hudson - jak dowiedział się Rodney Pullman od swego adwokata - była jednym z najlepszych i najbardziej nieuchwytnych dealerów narkotykowych w południowej Kalifornii.

Prawdopodobnie w samym tylko ubiegłym roku wwiozła do kraju tysiące funtów wysokiej jakości kokainy z Meksyku. (Stąd jej częste wyjazdy za południową granicę). Jeździła starym, zdezelowanym sportowym samochodem i mieszkała w tak żałosnym miejscu jak Pacific Arms Apartments tylko po to, by zniknąć z oczu glinom i ludziom z DEA -Rządowej Agencji do Walki z Narkotykami - którzy woleli ścigać opływających w luksusy narkotykowych bossów z Beverly Hills i Palm Springs.

Siedzący naprzeciw Pullmana prawnik oznajmił, że prokurator okręgowy nie ma zamiaru wycofać oskarżenia.

- Aleja przecież nic nie zrobiłem -jęknął Pullman.

Prawnik, opalony czterdziestolatek o kręconych włosach, zachichotał, jak gdyby tysiące razy słyszał podobne bzdury. Chwilę później wyjaśnił, że prokurator jest żądny krwi, i to zjednego prostego powodu: zginął gliniarz; blondyn, który od kilku dni obserwował mieszkanie Tammy, był tajnym agentem wydziału policji Los Angeles, udającym konserwatora zieleni. Jego zadaniem było informowanie pozostałych, kiedy Tammy opuszcza mieszkanie. Wówczas obserwację przejmowali inni funkcjonariusze lub agenci DEA, którzy śledzili kobietę z nieoznakowanych radiowozów lub furgonetek. (Kiedy mężczyzna majstrował przy spodniach, wcale nie szykował się do gwałtu, tylko chciał wyjąć z kieszeni nadajnik, by poinformować pozostałe jednostki, że kobieta właśnie opuściła mieszkanie).

- Ale...
- Pozwoli pan, że skończę. - Prawnik dodał, że gliniarze są równie

wściekli jak prokurator, ponieważ dzięki Pullmanowi Tammy udało się uciec. Kobieta najwyczałniej w świecie zapadła się pod ziemię, a według FBI i DEA, udało jej się zbiec poza granice kraju.

- Ale nie wierzą chyba, że z nią współpracowałem! Czy tak właśnie myślą?

- Krótko mówiąc, tak - odparł adwokat, wyjaśniając Pullmanowi, że jego zeznania z ostatnich dni są raczej nieprzekonujące. - Delikatnie rzecz ujmując. Policję na przykład interesuje fakt, dlaczego nie poinformował pan kobiety o rzekomym podglądaczu, choć zauważył go pan już dzień wcześniej. Skoro, jak pan twierdzi, obawiał się pan o jej bezpieczeństwo, należało natychmiast ją o tym powiadomić.

Kiedy zawstydzony Pullman wyznał prawnikowi, że pragnął wykorzystać sytuację, by zbliżyć się do Tammy, w oczach obrońcy pojawiło się coś, co można by odczytać jako niedowierzanie bądź współczucie dla żalosego klienta. Mimo to mężczyzna zapisał w notatniku kilka słów.

Dlaczego okłamał pracodawcę, mówiąc, że jest chory?

Według policji, jedynym powodem był fakt, że pracował jako czujka Tammy. Na dziś zaplanowano wielki narkotykowy transfer, tak więc gliniarze przypuszczali, że Pullman został w domu, by upewnić się, że Tammy bez problemu dostarczy towar. Domyślając się, że konserwator jest policyjnym tajniakiem, Pullman zaatakował go, by kobieta mogła uciec.

Oczywiście, były jeszcze dowody rzeczowe: na portfolio - które nie zawierało ani zdjęć, ani taśm z castingów, lecz kilogram czyściuteńkiej kokainy - znaleziono zarówno odciski Tammy, jak i Pullmana.

- Dała mi je - wyznał Pullman słabym głosem. - Po to, żeby odwrócić moją uwagę i uciec.

Prawnik nie zadał sobie nawet trudu, by zanotować te słowa. Najbardziej obciążające było jednak twierdzenie Pullmana, że w ogóle nie znał kobiety.

- Widzi pan - ciągnął prawnik - gdyby naprawdę jej pan nie znał i nie miał z nią żadnych powiązań, moglibyśmy przekonać przysięgłych, że wszystko, co pan mówi, jest prawdą.

- Ale ja jej nie znam. Przysięgam.

Na twarzy obrońcy pojawił się lekki grymas.

- Widzisz, Rodney - rzekł poufale - w tym właśnie cały problem.

- Mówiłem już, że wolę, kiedy mówi się do mnie Rod.

- Problem.

- Co? - Pullman podrapał się w głowę, smętnie podzwaniając kajdankami.

- Przeszukali twoje mieszkanie.  
- Nie. Naprawdę? Mieli prawo to zrobić?  
Śmiech.  
- Zostałeś aresztowany pod zarzutem zabójstwa, napaści i pośrednictwa w handlu narkotykami. Tak, Rod, mieli prawo to zrobić.

Och.

- I wiesz, co znaleźli?

Rodney Pullman wiedział doskonale. Odchylił się na krześle, wbił wzrok w podłogę i w zamyśleniu bawił się kajdankami, podczas gdy prawnik odczytywał z kartki spis:

- Stare pojemniki Yoplait z odciskami palców Tammy, dwie butelki wina, pudełko ziołowej herbaty i puste pojemniki po truskawkach. Adresowane na jej nazwisko magazyny. Rachunek z należącej do Tammy karty płatniczej stałego klienta, z Beverly Center. Kubeczek ze Starbucks, na którego krawędzi znaleziono jej szminkę i DNA.

- DNA? Sprawdzili to, prawda?

- Tym właśnie zajmują się gliniarze.

- Przysięgam, że nigdy nie była w moim mieszkaniu. Wszystkie te rzeczy... ja po prostu... ja, no... znalazłem je w jej śmieciach.

- Jej śmieciach?

- Widziałem, jak wystawia worki ze śmieciami. Nie przypuszczałem, że wyjdzie z tego taka afera.

- Na komodzie miałeś ponad dwadzieścia jej zdjęć.

- Zrobiłem jej kilka nieupozowanych zdjęć. Nie patrzyła w obiektyw - może pan zwrócić na to uwagę gliniarzom. Gdybym ją znał, patrzyłaby w obiektyw, prawda?

Rod.

- Niech pan posłucha! Gdybyśmy byli gdzieś razem, patrzyłaby na mnie, w obiektyw. - Głos Pullmana załamał się. - Jak przy „Uśmiech, proszę”, rozumiesz? Ale nie patrzyła. To znaczy, że nie byliśmy razem. To logiczne. Zupełnie sensowne. - Zamilkł, lecz po chwili dodał: - Chciałem tylko ją poznać. Ale nie miałem pojęcia jak.

- Znaleźli też lornetkę. Przypuszczają, że używałeś jej, by obserwować drzwi mieszkania i ostrzegać Tammy, na wypadek gdyby ktoś chciał się tam dostać.

- Miałem ją tylko po to... tylko po to, żeby móc na nią patrzeć. To naprawdę piękna kobieta. - Pullman wzruszył ramionami i wbił wzrok w podłogę.

- Myślę, że jedyne, co możemy zrobić, to iść na ugodę z prokuratorem okręgowym i postarać się o łagodniejszy wymiar kary. Wierz mi, lepiej,



żeby nie było w tej sprawie procesu. Być może uda mi się wytargować piętnaście, dwadzieścia lat...

- Dwadzieścia lat?

- Porozmawiam z nimi. Zobaczą, co powiedzą.

Prawnik podszedł do drzwi pokoju przesłuchań i stuknięciem przywołał strażnika. Chwilę później drzwi się otwarły.

- Jeszcze jedno - rzucił Pullman.

Adwokat odwrócił się i unióśł brew.

- Sally Vaughn.

-Kto?

- Zdobyła drugie miejsce w konkursie Miss Iowa. Kilka lat temu.

- I co z tego?

- Sprzedałem jej samochód i raz się umówiliśmy, ale nie chciała się więcej spotkać.

- No więc?

- Zupełnie jak z Tammy. Chyba obserwowałem ją bardziej, niż było to konieczne.

- Podglądałeś?

Pullman zamierzał zaprzeczyć, ale w końcu pokiwał tylko głową.

- Aresztowali mnie. Dlatego się przeprowadziłem. Chciałem zacząć wszystko od nowa. Naprawdę kogoś poznać.

- Jaki dostałeś wyrok?

- Sześć miesięcy w zawieszeniu i roczną pomoc psychologa.

- Nie potrzebowałeś pomocy.

- Nie, nie potrzebowałem.

- Zdobędę akta. Możliwe, że prokurator to kupi. Ale przez ciebie straci głównego podejrzanego, a to znaczy, że na pewno będzie czegoś chciał. Może skończy się na prześladowaniu i zakłócaniu prywatności. Wtedy miałbyś do odsiadki rok, góra osiemnaście miesięcy.

- To lepsze niż dwadzieścia lat.

Zobaczą, co się da zrobić. - Prawnik już miał wyjść z pomieszczenia.

- Jeszcze jedno pytanie - rzucił Pullman, podnosząc wzrok.

-Tak?

- Czy policja wykorzysta wszystkie znalezione przedmioty? Jako do wody?

- Mówisz o tym, co znaleźli w mieszkaniu?

-Tak.

- Prawdopodobnie nie. Z reguły wybierają to, co najlepsze.

- Czy w takim razie mógłbym dostać kilka zdjęć Tammy? Przymocowałbym je do ściany. Cella jest bez okna. Nie mam na co patrzeć.

Prawnik zawahał się, jak gdyby sądził, że Pullman żartuje. Kiedy stało się oczywiste, że mówi serio, odparł:

- Wiesz, Rodney, to chyba nie jest najlepszy pomysł.
- Wolałem spytać.

Prawnik opuścił pokój przesłuchań, zastąpiony przez potężnie zbudowanego strażnika. Mężczyzna chwycił Rodneya Pullmana za ramię i korytarzem zaprowadził go do celi.

# Lekcja pokera

Poker to gra, w której każdy człowiek działa na własną rękę. Przy-  
stępując do niej, nie oczekuj zrozumienia od innych graczy.

John Scarne

Chcę przystąpić do gry - oznajmił chłopiec. Pochylony nad hamburgerem w Angela's Diner Keller spojrzął na jasnowłosego dzieciaka. Chłopak mimo zawadiacko wysuniętego biodra i skrzyżowanych ramion wciąż wyglądał jak zwierzę, które niezdarnie usiłuje się utrzymać na dwóch nogach. Był przystojny, choć durnowate okulary w czarnych oprawkach, błada cera i tyczkowata postura trochę rujnowały całokształt.

Keller zdecydował, że nie zaprosi dzieciaka do stołu.

- Jakiej gry? - Ugryzł kęs hamburgera i zerknął na zegarek.

Dzieciak najwyraźniej zauważył ten ruch.

- Na przykład tej, która zaczyna się dziś o ósmej.

Keller stłumił śmiech.

Słyszał stukot pociągów towarowych, które przecinały okolice północnej części miasta. Jak przez mgłę przypomniał sobie brzęk barowych szklanek, kiedy sześć miesięcy temu wyłożył kolor, by zgarnąć pulę wysokości 56 320 dolarów od biznesmenów z południa Francji. Wygrał kasę dwadzieścia minut po pierwszym wejściu. Mężczyźni patrzyli na niego wilkiem, jednak tamtej deszczowej nocy przegrali kolejne siedemdziesiąt tysięcy.

- Jak się nazywasz?

- Tony Stigler.

- Ile masz lat?

- Osiemnaście.

- Nawet gdyby była jakaś gra, której nie ma, nie mógłbyś grać. Jesteś dzieciakiem. Nie wpuściliby cię do baru.

- Nie gracie w barze, tylko na zapleczu u Sala.  
- Skąd wiesz? - mruknął Keller. Nawet teraz, kiedy nieubłaganie zbliżał się do pięćdziesiątki, był równie silny i dobrze zbudowany jak dwadzieścia lat temu. Gdy zadawał pytania tym tonem, ludzie aż się palili, by udzielić poprawnych odpowiedzi.

- Mój kumpel pracuje w Marconi Pizza. Słyszysz różne rzeczy.  
- Cóż, w takim razie twój kumpel powinien uważać na to, co słyszy. A jeszcze bardziej powinien uważać na to, komu powtarza to, co słyszy. - Keller wrócił do lunchu.

- Patrz. - Dzieciak pogrzebał w kieszeni i wyjął pomięty plik banknotów. Głównie studolarówek.

Keller był młodszy od chłopaka, kiedy zaczął grać na pieniądze, wiedział więc, na co patrzy. Chłopak trzymał w dłoni blisko pięć tysięcy.

- Mówię poważnie. Chcę z wami zagrać.

- Skąd to masz?

Wzruszenie ramion.

- Dostałem.

- Nie wciskaj mi tu gówna rodem z „Rodziny Soprano”. Chcesz grać w pokera, to graj według zasad. A jedna z tych zasad mówi, że należy grać wyłącznie własnymi pieniędzmi. Jeśli więc je ukradłeś, możesz już w tej chwili zabierać stąd swój tyłek.

- Nie ukradłem ich - warknął dzieciak, zniżając głos. - Wygrałem.

- W karty? - spytał cierpko Keller. - Czy na loterii?

- W zamkniętego i otwartego pokera.

Keller ugryzł potężny kęs hamburgera i przyjrzał się chłopakowi z uwagą.

- Dlaczego akurat moja gra? Masz do wyboru dziesiątki innych.

Podupadłe, dwustutysięczne miasto Ellridge rozciągało się na terytorium hut stali nad płaską i szarą Indiana River. Brak jakiegokolwiek klasy nadrabiało się tu grzechem. Dookoła aż się roiło od dziwek i striptizerek. Jednak największe pieniądze topiono w hazardzie - z bardzo praktycznego powodu: Atlantic City i Nevada były zdecydowanie za daleko, a w kilku okolicznych kasynach z licencjonowanymi stołami do pokera i nędznymi stawkami grali wyłącznie amatorzy.

- Dlaczego ty? - odparł Tony. - Bo jesteś najlepszym graczem w mieście, a ja chcę grać tylko z najlepszymi.

- Co to, jakaś pieprzona paplanina w stylu Johna Wayne'a?

- Kto to jest John Wayne?

- Chryste, chłopcze... zupełnie się nie nadajesz.

- Tam, skąd to mam, jest tego więcej. - Chłopak zerknął na plik. - Znacznie więcej.

Keller machnął ręką i rozejrzał się dookoła.

- Schowaj to.

Chłopak zrobił, co mu kazano.

Tymczasem Keller dalej wgrzyzał się w hamburgera, wracając pamięcią do czasów, kiedy będąc w wieku tego dzieciaka, wrzaskiem i kłamstwami wkręcał się między kolejnych graczy. Jedynym sposobem, by nauczyć się grać w pokera, jest sama gra - na pieniądze - przeciwko najlepszym graczom. Dzień za dniem, i tak w nieskończoność.

- Jak długo grasz?

- Odkąd skończyłem dwanaście lat.

- Co na to twoi rodzice?

- Nie żyją - odparł chłopak obojętnie. - Mieszkam z wujem. To znaczy, kiedy się pojawi w domu. Co nie zdarza się zbyt często.

- Przykro mi.

Tony wzruszył ramionami.

- Cóż, nie wejdiesz do gry, jeśli ktoś za ciebie nie poręczy. Więc...

- Grałem kilka partyjek z Jimmym Loganem. Znasz go, prawda?

Logan mieszkał w Michigan i był szanowanym graczem. Choć stawki nie należały do najwyższych, Keller rozegrał z nim kilka naprawdę dobrych partii.

- Idź, kup sobie jakiś napój czy coś innego i wróć tu za dwadzieścia minut - rzucił Keller.

- Daj spokój, człowieku, nie chcę...

- Idź po napój - warknął mężczyzna. - A jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie „człowiekiem”, połamię ci palce.

- Ale...

- Idź! - parsknął szorstko.

A więc tak to jest, kiedy ma się dzieci, pomyślał Keller, od trzydziestu lat profesjonalny hazardzista, w którego życiu nie było miejsca na żonę i potomstwo.

- Będę tam. - Tony wskazał ruchem głowy zieloną markizę Starbucks po drugiej stronie ulicy.

Keller wyciągnął telefon i zadzwonił do Logana. Musiał uważać, kogo wpuszcza do gry. Parę miesięcy temu kilku nawiedzonych dziennikarzy znudziło się pisaniem o korupcji miejscowych władz i rozpoczęło krucjatę przeciwko hazardzistom. (**MIEJSCOWA PLAGA** - krzyczały nagłówki). Pod naciskiem burmistrza policja zamknęła kilka większych lokali, tak więc Keller musiał mieć się na baczności. Jimmy Logan po-

twierdził, że mniej więcej miesiąc temu faktycznie sprawdził chłopaka. Dzieciak wszedł do gry z poważną sumą pieniędzy. Wprawdzie przegrał, ale miał jaja, żeby wrócić do stolika następnego dnia. Odkuł się i grał dalej, wygrywając wszystko, co było do wygrania. Logan dowiedział się też, że rodzice Tony'ego zostawili mu prawie trzysta tysięcy dolarów. Pieniądze były ulokowane na funduszu powierniczym, od kiedy jednak chłopak ukończył osiemnaście lat, miał do nich pełny dostęp.

To wystarczyło, by Keller zainteresował się chłopakiem.

Po rozmowie z Loganem dokończył lunch. Tony przezornie odczekał pół godziny i arogancki jak zwykle, wolnym krokiem wszedł do lokalu.

- Dobra - rzucił Keller. - Wieczorem możesz na kilka godzin wejść do gry. Potem wycofujesz się, zanim stawki pójną w górę.

Drwiący wyraz twarzy.

- Ale...

- Taki jest warunek. Albo się zgadzasz, albo nie mamy o czym mówić.

- Chyba nie mam wyboru.

- Przynies przynajmniej dziesięć tysięcy... I postaraj się nie przegrać wszystkiego w ciągu pierwszych pięciu minut, dobra?

Chwile przed rozpoczęciem gry są magiczne.

Jasne, każdy tylko czeka, żeby zapalić cierpkie w smaku kubańskie cygaro, pokłócić się o The Steelers, The Pistons albo The Knicks i usłyszeć dowcipy, które mężczyźni opowiadają wyłącznie w męskim gronie.

Jednak oczekiwanie na owe drobne przyjemności jest niczym w porównaniu z myślą: Czy dziś wygram?

Zapomnijcie gadki o zamięłowaniu do gry i dreszczyku emocji, które wywołuje ona wśród graczy... choć naturalnie one też są prawdziwe. Jednak rzeczą, która odróżnia prawdziwych hazardzistów od zwykłych dyletantów, jest chęć odejścia od stołu z większą ilością gotówki niż ta, z którą do niego usiedli. Każdy, kto twierdzi inaczej, jest zwykłym kłamcą.

Właśnie to uczucie towarzyszyło teraz Kellerowi siedzącemu w zatęchłym, mrocznym pomieszczeniu na tyłach Sal's Tavern, pośród pudełek z chusteczkami, zapalek i kawy, kartonów po piwie z wyblakłym napisem Pabst Blue Ribbon, ton pustych butelek i połamanych barowych stołków. Dziś wieczór gra zacznie się od niskich stawek (Keller uważał, że to nic w porównaniu z dziesięciokrotnie wyższymi stawkami, które pozwalały graczom usiąść przy stole), jednak pójną one w górę, gdy pojawią się dwaj gracze z Chicago. Dopiero wówczas gruba forsa zacznie zmieniać właścicieli. Jednak to elektryzujące oczekiwanie na wyższe stawki ni-

czym nie różniło się od tego, co czuł teraz, ani nawet od tego, co czułby, wiedząc, że gra idzie o kieszonkowe. Gdy tak siedział przy drewnianym stole, na którym leżały zamknięte talie czerwono-niebieskich kart Bicycle, jedna myśl nie dawała mu spokoju: Czy wygram?

Zjeżdżali się kolejni gracze. Keller skinieniem głowy powitał Franka Wendalla, głównego księgowego z Great Lakes Metal Works. Korpulentny, nerwowy i wiecznie spocony Wendall był mądrą w kręgu graczy. W trakcie rozmowy rzucał uwagi typu. „Wicie, w talii pięćdziesięciu dwóch kart możliwych jest pięć tysięcy sto osiem kolorów, ale tylko siedemdziesiąt osiem par. Dziwne, ale ma sens, kiedy spojrzysz na liczby”. Chwilę później zaczynał wykład na temat liczb, który trwał, dopóki ktoś nie kazał mu się zamknąć.

Przysadzisty i głośny Quentin Lasky, nałogowy palacz i właściciel sieci warsztatów blacharskich, był najmniej wyedukowanym, ale najbardziej dzianym gościem w pomieszczeniu. Ludzie w Ellridge musieli być wyjątkowo złymi kierowcami, ponieważ jego warsztaty zawsze były pełne. Lasky grał bezwzględnie - i brawurowo - dlatego wygrywał i przegrywał naprawdę dużo szmalu.

Ostatni gracz był zupełnym przeciwieństwem Lasky'ego. Dobiegający siedemdziesiątki, szczupły, siwowłosy Larry Stanton wychował się w Ellridge i pracował tutaj do emerytury. Spędzał w Ellridge pół roku; zimą wyjeżdżał na Florydę. Był wdowcem, miał stały dochód, grał tradycyjnie i ostrożnie i nigdy nie wygrywał ani nie przegrywał pokaźnych sum. Keller traktował go jak swoistą klubową maskotkę.

W końcu przyjechał najmłodszy z graczy. Starając się zachować spokój, jednak wyraźnie podniecony perspektywą poważnej rozgrywki, Tony wszedł do pomieszczenia. Miał na sobie workowate spodnie, podkoszulek i wełnianą czapkę. W rękę trzymał kubek kawy ze Starbucks. Cholerny szczeniak, roześmiał się w duchu Keller.

Mężczyźni zostali sobie przedstawieni, ale Stanton wydawał się pode-nerwowany.

- W porządku. Sprawdziłem go - rzucił Keller.
- Chodzi o to, że dzieciak jest trochę za młody. Nie sądzisz?
- Może to ty jesteś trochę za stary? - wtrącił się Tony. Mówiąc to, uśmiechnął się życzliwie i Stanton powoli się uspokoił.

On właśnie był bankierem: przyjmował pieniądze i rozdawał żetony. Białe miały wartość jednego dolara, czerwone pięciu, niebieskie dziesięciu, a żółte dwudziestu pięciu.

- Dobra, Tony, słuchaj uważnie. Będę cię informował o zasadach w trakcie gry. Najpierw... - zaczął Keller.

- Znam zasady - przerwał dzieciak. - Wszystko według Hoyle'a.  
- Nie, wszystko według mnie - odparł ze śmiechem Keller. - Zapomnij o Hoyle'u. Facet nawet nie słyszał o pokerze.  
- Jak to? Przecież opracował zasady do wszystkich gier - wtrącił Lasky.  
- Bzdura - odparł Keller. - Tak myślą ludzie. Tyle że Hoyle był jakimś pieprzonym angielskim prawnikiem w siedemnastym wieku. Napisał tę małą książeczkę o trzech głównianych grach: wiście, kadrylu i pikiecie. Nic więcej, żadnego kankakee, paplaniny o pasowaniu, wykładaniu i zbieraniu, pokerze otwartym, niskiej czy wysokiej ręce. Spróbujcie wejść do MGM Grand i spytać o wista... Wyśmieją was.  
- Ale książki Hoyle'a są wszędzie - odparował Wendall.  
- Niektórzy wydawcy podtrzymywali tę legendę i dodawali po drodze pokera i inne współczesne gry.  
- Nie wiedziałem - odparł nieprzytomnie Tony. Podsunął swoje kretyńskie okulary wyżej na nos i próbował udawać zainteresowanie.  
Tymczasem głos znów zabrał Keller:  
- Wybacz, jeśli cię zanudzamy, chłopcze, ale prawda jest taka: Znajomość gry - w najdrobniejszych, głównianych szczegółach - odróżnia prawdziwych pokerzystów od chłopców. - Po tych słowach zerknął na To-ny'ego. - Jeśli będziesz słuchał, może się czegoś nauczysz.  
- Jak, do cholery, ten dzieciak ma cokolwiek słyszeć, nawet jeśli ma otwarte uszy? - mruknął Lasky, gapiąc się na wełnianą czapkę Tony'ego. - Kim ty jesteś, pieprzonym raperem? Zdejmij to. Okaż trochę szacunku.  
Tony niespiesznie ściągnął czapkę i cisnął ją na bar. Chwilę później zdjął pokrywkę z papierowego kubka i pociągnął łyk kawy. Keller zerknął na leżące przed chłopakiem rozrzucone żetony.  
- Dobra, nieważne, co mówił o grze w pokera Jimmy Logan, i to, co wiesz z Hoyle'a. Zapomnij o tym. Tu obowiązują zasady dużych chłopców, a zasada numer jeden brzmi: Gramy fair. Uporządkowane żetony leżą przed graczem, tak by inni widzieli, ile masz. Rozumiesz?  
- Jasne. - Dzieciak zaczął układać żetony w równe kupki.  
- I - dodał Wendall - załóżmy, że zdarzy się cud i zaczniesz wygrywać naprawdę wielką kasę, ale ktoś nie będzie wiedział, ile tego jest. Jeśli cię spyta, powiesz mu. Co do ostatniego dolara. Kapujesz?  
- Powiedziałem już, że tak. - Chłopak pokiwał głową.  
Wylosowali rozdającego i chwilę później Wendall zaczął tasować karty tłustymi palcami.  
Keller z przyjemnością spoglądał na śmigające w dłoni mężczyzny kartoniki, myśląc: Nie ma nic lepszego od partyjki pokera. Nic na świecie nie może się z nią równać.



Gra narodziła się dwieście lat temu. Początkowo grali w nią oszuści pływający statkami rzecznyymi po Missisipi. Poker zastąpił popularne w owym czasie monte, które - o czym szybko dowiedzieli się nawet najbardziej naiwni cwaniacy - miało na celu jedną rzecz, okantować wszystkich z pieniędzy. Początkowo gracze otrzymywali pięć kart, cała talia zaś liczyła tylko dwadzieścia, co - jak się mogło zdawać - dawało więcej okazji do bijatyk. Jednak do bijatyk nie dochodziło, przynajmniej nie wtedy, gdy do gry zasiadały prawdziwe rekiny (niewtajemniczeni mogliby mieć opory przed przystąpieniem do gry, gdyby wiedzieli, że jej nazwa prawdopodobnie pochodziła od dziewiętnastowiecznego słowa „poke” - portfel, o którego opróżnienie przecież chodziło).

- Stawiamy - ogłosił Wendall. - Gracze dostają pięć kart.

Istnieją dziesiątki odmian pokera. Jednak w pokerze pięciokartowym Kellera - oficjalnie nazywanym „pokerem zamkniętym” albo „jack-potem” - wygrywał ten, kto miał wysoką rękę. Przez lata Keller grał we wszystkie znane ludzkości odmiany pokera, poczynając od California Lowball Draw (najbardziej popularnej odmiany na zachód od Gór Skalistych), poprzez tradycyjnego pokera otwartego, aż po Texas Hold'em. Wszystkie były na swój sposób interesujące i ekscytujące, Keller jednak najbardziej lubił jackpota, w którym próżno było szukać nieuczciwych sztuczek i tajemnych zasad; tu grało się przeciwko kartom i innym graczom, jak w walce na gołe pięści. Człowiek przeciwko człowiekowi.

W jackpocie gracze otrzymują pięć kart. Aby poprawić swoje szanse, mogą wymienić trzy z nich. Dobrzy gracze, jak Keller, już dawno rozgryźli szanse wyciągnięcia niektórych kombinacji. Powiedzmy, że człowiek dostawał parę trójek, waleta, siódemkę i dwójkę. Gdyby zachował trójki i waleta, wymieniając dwie pozostałe karty, szanse, że wyciągnie kolejne walety, były jak jeden do pięciu. Jeśli by chciał wyciągnąć pozostałe trójki - a tym samym mieć cztery karty tej samej wartości - szanse spadały na jeden do 1060. Jednak gdyby zdecydował się pozostawić parę i wymienić trzy pozostałe karty, szanse na cztery karty tej samej wartości wynosiły już jeden do 359. To właśnie znajomość tych liczb i dziesiątków innych odróżniała amatorów od zawodowych graczy; a Keller był zawodowcem, z tego żył.

Rzucili monetą i Wendall zaczął rozdawać karty.

Keller skupił się na strategii Tony'ego. Oczekiwał od niego brawury, chłopak jednak był skupiony i uważnie obserwował stół i siedzących przy nim graczy. Większość nastolatków zachowywałaby się głośno i skandalicznie, ale nie Tony. Nie, ten dzieciak po prostu siedział cicho i grał w karty.

Co nie znaczyło, że nie potrzebował porady.

- Tony, nie baw się żetonami. Wyglądasz, jakbyś się denerwował.

- Nie bawię się. Ja...

- Kolejna zasada - nigdy nie kłóć się z facetami, którzy mówią o zasadach. Jesteś dobry. Masz w sobie potencjał na świetnego gracza, ale musisz się zamknąć i słuchać ekspertów.

- Słuchaj go, dzieciaku - burknął Lasky. - Jest najlepszy. Za pieniądze, które tu przegrałem, kupił sobie pieprzonego mercedesa. I myślisz, że przyjeżdża do mnie z pieprzonymi zadrapaniami? Nie... cholera. - Popchnął do przodu żetony.

- Nie mam żadnych zadrapań ani wgnieceń, Lasky. Jestem dobrym kierowcą. Jeżdżę tak dobrze, jak dobrze gram w pokera... Przywitaj się z paniami. - Mówiąc to, Keller wyłożył na stół trzy damy i zgarnął dziewięćset dolarów.

- Ja pierdolę - warknął wściekle Lasky.

- Kolejna zasada - ciągnął Keller, wskazując głową blacharza. - Nigdy nie zdradzaj emocji - nieważne, czy wygrywasz, czy przegrywasz. To daje przeciwnikom informacje, które mogą wykorzystać przeciwko tobie.

- Przepraszam za złamanie zasad - mruknął Lasky. - Chciałem powiedzieć „pierdol się”.

Dwadzieścia minut później Tony zaliczył szereg przegranych. Przy kolejnym rozdaniu spojrzął na karty i - kiedy Stanton postawił dziesięć dolarów - potrząsnął głową. Rzucił karty, kończąc udział w rozdaniu, i z ponurą miną zaczął się bawić papierową pokrywką kubka Starbucks.

Keller zerknął na niego, marszcząc brwi.

- Czemu to zrobiłeś?

- Zła passa.

- Nie ma czegoś takiego jak zła passa - mruknął Keller. Wendall pokiwał głową i pchnął karty w kierunku chłopaka.

- Zapamiętaj sobie. Każde rozdanie zaczyna się tasowaniem kart, czyli inaczej niż w blackjacku - tu poszczególne rozdania nie mają ze sobą nic wspólnego. Liczy się wyłącznie zasada prawdopodobieństwa.

Chłopak przytaknął i idąc za radą Stantona, zgarnął osiemset pięćdziesiąt dolarów.

- Widzisz - rzucił Keller. - Dobrze ci idzie.

- To jak? Chodzisz do szkoły? - spytał Lasky po kilku kolejnych rozdaniach.

- Dwie karty - odparł chłopak, obstawiając. - Od roku studiuje informatykę na dwuletnim studium. Cholerne nudy. Zamierzam to rzucić.

- Komputery? - spytał Wendall z szyderczym uśmiechem. - Nowoczesny sprzęt? Kiedyś zagram w kości albo w ruletkę. Przynajmniej człowiek wie, jakie ma szanse.

- A co chcesz robić w życiu? - spytał Keller.

- Grać zawodowo w karty.

- Trzy karty - mruknął do Kellera Lasky. Chwilę później roześmiał się.

- Chcesz zarabiać na życie, grając w karty? Nikt tak nie robi. Oprócz Kellera. Nie znam nikogo więcej. - Zerknął na Stantona. - A ty, dziadku? Próbowalesz wyżyć z kart?

- Mam na imię Larry. Dwie karty.

- Bez urazy, Larry.

- I dwie karty dla rozdającego - rzucił Keller.

Staruszek ułożył karty.

- Nie. Nawet o tym nie myślałem. - Kiwnął głową w kierunku leżącego przed nim stosu żetonów; jak do tej pory wychodził na zero. - Do bra, gram, ale szanse są wciąż przeciwko tobie. Co robię z pieniędzmi? Upewniam się, że szanse są po mojej stronie.

Lasky zbył uwagę szyderczym uśmiechem.

- Do cholery, właśnie dlatego jesteśmy facetami. Mamy jaja, więc gramy nawet wtedy, kiedy wszystko sprzysięga się przeciwko nam. - Zerknął na Tony'ego. - Chyba masz jaja, co?

- Ty mi to powiedz - odparł chłopak i wyłożył dwie pary, zgarniając tysiąc sto dolarów.

Lasky pokiwał głową i warknął:

- Ty też się pierdol.

- To chyba znaczy „tak” - wyjaśnił Keller.

Wszyscy - z wyjątkiem Lasky'ego - roześmiali się.

Gra toczyła się dalej, stawki rosły, a Lasky i Tony zgarniali coraz większe sumy. W końcu Wendall dał za wygraną.

- Dobra, dość tego. Wynoszę się. Panowie... miło się z wami grało. - Jak zwykle włożył czapkę baseballową i wymknął się tylnym wejściem, szczęśliwy, że i tym razem uniknął aresztowania.

Zadzwoił telefon Kellera.

- Tak...? W porządku. Wiecie gdzie, nie...? W takim razie do zobaczenia. - Po skończonej rozmowie zapalił cygaro, odchylił się na krześle i zerknął na żetony Tony'ego. - Nieźle dziś grałeś, ale czas zamienić to na gotówkę.

- Co? Dopiero się rozkręcam. Jeszcze nie ma dziesiątej.

Keller wskazał głową telefon.

- Za dwadzieścia minut przyjadą prawdziwe szychy. Skończyłeś na dziś.

- O co ci chodzi? Chcę grać dalej.
  - To zapaleni gracze. Faceci z Chicago.
  - Świetnie mi idzie. Sam mówiłeś.
  - Nie rozumiesz, Tony - wtrącił Stanton, wskazując głową żetony. - Za dwadzieścia minut białe będą miały wartość dziesięciu dolców. Żółte dwudziestu pięciu. Nie możesz grać o takie stawki.
  - Mam... - chłopak zerknął na żetony - ...prawie czterdzieści tysięcy.
  - Które możesz stracić w trzech, czterech rozdaniach.
  - Nie przegram.
  - Chryste - wtrącił Lasky, przewracając oczami. - Głos młodości.
  - W grze o wysokie stawki każdy zaczyna od stu tysięcy kawałków
- wyjaśnił Keller.
- Zdobędę forszę.
  - O tej porze?
  - Kilka lat temu odziedziczyłem trochę pieniędzy. Część z nich trzymam w gotówce i to za nie gram. Mam je w domu - to tylko parę mil stąd.
  - Nie - odparł Stanton. - To nie dla ciebie. Tu gra się zupełnie inaczej, a stawki są oszałamiające.
  - Do cholery, wszyscy traktują mnie jak dzieciaka. Widzieliście, jak gram. Jestem naprawdę dobry.

Keller zamilkł. Po chwili pochwycił wyzywające spojrzenie Tony'ego i rzekł:

- Wracasz tu za pół godziny z setką tysięcy. Rozumiesz?
- Po wyjściu chłopaka Keller ogłosił przerwę do czasu przyjazdu ludzi z Chicago. Lasky poszedł po kanapkę, a Stanton i Keller weszli do baru na kilka piw.

Stanton popijał swoje newcastle.

Dzieciak jest niezły.

- Ma potencjał - odparł Keller.
  - Na ile zamierzasz go orznać? Całą stawkę? Przeszło sto tysięcy?
  - O co ci chodzi?
  - Zasada numer jeden mówi, że gramy fair - szepnął ironicznie Stanton.
- O co tu, do cholery, chodzi? Pomagasz mu. Poświęciłeś większość gry - i połowę swoich pieniędzy - patrząc, jak łapie karty.

Keller uśmiechnął się i zadartszy głowę, wypuścił kłęb dymu. Staruszek miał rację. Keller przegrywał kolejne rozdania tylko po to, by obserwować, jak Tony dobiera karty. Rekonesans okazał się niezwykle pouczający. Chłopak miał swoje mocne strony, jednak nie miał pojęcia o szansach. Dobierał w ciemno. Keller nie był wybitny z matematyki, lecz przez lata ciężko pracował, by poznać matematyczne tajniki gry. To-

ny mógł sobie być komputerowym geniuszem, ale nie miał pojęcia, jakie były jego szanse na wyciągnięcie koloru, fula, a nawet drugiej pary. W połączeniu z wręcz fatalnym brakiem umiejętności blefowania stanowił łatwy cel.

- Ociągałeś się - ciągnął zdeglustowany Stanton.

Kolejny punkt dla starszka. Zauważył, że Keller pasował i celowo odkładał karty - aby wzbudzić zaufanie Tony'ego i sprawić, żeby chłopak uwierzył, jak fatalnie blefuje.

- Szykujesz go do wielkiej rozgrywki.

Keller wzruszył ramionami.

- Próbowałem mu wytłumaczyć, że powinien iść do domu.

- Gówno prawda - rzucił Stanton. - Powiesz pierwszemu lepszemu gnojtkowi, że ma sobie iść, i jaka będzie jego reakcja? Uprze się, żeby zostać... Daj spokój, Keller, dzieciak nie ma takiej kasy.

- Odziedziczył kupę szmalu.

- A ty, wiedząc o tym, zaprosiłeś go do gry.

- Nie, właściwie to on do mnie przyszedł... Jesteś wkurzony, bo dzieciak traktuje cię jak relikw.

- Wykorzystujesz go.

- Oto moja zasada numer jeden w pokerze - wybuchnął rozdrażniony Keller. - Dopóki nie oszukasz, możesz kiwać swoich przeciwników na wszelkie możliwe sposoby.

- Powiesz o niej temu dzieciakowi? - spytał Stanton.

- Zrobię coś lepszego - osobiście pokażę mu, jak to działa. Chce się nauczyć grać w pokera? To będzie najlepsza lekcja, jaką dostanie w życiu.

- Myślisz, że oskubanie go z czesnego uczyni go lepszym graczem?

-Stanton nie dawał za wygraną.

- Właśnie tak uważam. Chłopak i tak nie chce już chodzić do szkoły.

- Nie o to chodzi. Chodzi o to, że ty jesteś ekspertem, a on dzieciakiem.

- Twierdzi, że jest mężczyzną. A bycie mężczyzną znaczy, że kiedy dostajesz w dupę, wyciągasz z tego wnioski.

- Jasne, przy minimalnych stawkach wejściowych. Ale nie w takim wypadku.

- Masz z tym problem, starszku? - Keller zmierzył mężczyznę wściekłym wzrokiem.

Stanton umknął spojrzeniem i pojednawczo uniósł dłonie.

- Rób, co chcesz. To twoja gra. Ja jestem tylko głosem sumienia.

- Grając według zasad, zawsze masz czyste sumienie.

W drzwiach ukazała się głowa Lasky'ego.

- Przyjechali.

Keller poklepał Stantona po kościstym ramieniu.

- Chodźmy wygrać trochę szmalu.

Pomieszczenie na zapleczu było teraz jeszcze bardziej zadymione. Pówd? Z Wietrznego Miasta przyjechali biznesmeni Elliott Rothstein i Harry Piemonte. Keller grał z nimi wcześniej, mało jednak o nich wiedział; ci dwaj mówili o swoim życiu osobistym tak niewiele, jak niewiele wyrażały ich twarze w czasie gry. Mogli być członkami rodziny mafijnej lub kierownikami instytucji charytatywnej, zajmującej się sierotami. Keller wiedział jedynie, że są solidnymi graczami, przegrywają z godnością i nie chępią się wygranymi.

Obaj mężczyźni mieli na sobie ciemne, drogie garnitury i szyte na miarę białe koszule. Rothstein nosił na małym palcu diamentowy pierścionek, Piemonte pobrzękiwał ciężką złotą bransoletą. Na serdecznych palcach lewych dłoni nosili obrączki. Mężczyźni zdjęli marynarki i siedząc przy stole, rozmawiali ze Stantonem i Laskym, kiedy w pomieszczeniu pojawił się Tony. Chłopak zajął miejsce i kłaniając się przybyłym, otworzył kolejny kubek kawy Starbucks.

Zaskoczeni mężczyźni zerknęli na Kellera.

- Kto to? - mruknął Rothstein.

- Dzieciak jest w porządku.

Piemonte zmarszczył brew.

- Mamy zasadę, że nie gramy z dzieciakami. Tony

roześmiał się i poprawił idiotyczne okulary.

- Wy i wasze zasady! - Z tymi słowy otworzył kopertę i wysypał na stół gotówkę. Odliczył znaczną część, resztę chowając do kieszeni. - Rów na setka - zwrócił się do Stantona, który z wściekłością zerknął na Kellera i bez słowa zaczął odliczać żetony.

Rothstein i Piemonte wymienili spojrzenia i w milczeniu zgodzili się odstąpić od reguły dotyczącej nieletnich.

- Dobra, gramy w pokera pięciokartowego, dobieranego - zaczął Keller. - Minimalna stawka pięćdziesiąt, wejście dwadzieścia pięć.

Piemonte przełożył karty i rozpoczęli partię.

W ciągu pierwszej godziny gra była wyrównana, później Keller powoli zaczął zyskiwać przewagę. Tony utrzymywał się na powierzchni - wyłącznie dlatego, że pozostali gracze mieli fatalne rozdania; chłopak wciąż nie potrafił przewidzieć swych szans przy dobieraniu kart. W wielu przypadkach wymieniał jedną kartę i pasował - co oznaczało, że liczył na

strita albo kolor, gdzie prawdopodobieństwo wynosiło jeden do dwudziestu. W takiej sytuacji powinien wymienić trzy karty, co dawało niezłą szansę na poprawę ręki, albo wymienić jedną z kart, blefować i zgarniać kolejne pule.

Mając pewność, że rozgryzł jego technikę, Keller zaczął celowo przegrywać, za każdym razem, kiedy dzieciakowi szło rozdanie - by podnieść jego pewność siebie. Wkrótce Tony podwoił swoje pieniądze i miał teraz prawie dwieście tysięcy.

Larry Stanton nie pochwalał planu Kellera, by oskubać dzieciaka z pieniędzy, nie powiedział jednak ani słowa, grając ostrożnie i przegrywając kolejne sumy.

*Głos sumienia...*

Była późna noc, gdy Lasky w końcu wycofał się z gry, przegrawszy blisko osiemdziesiąt tysięcy.

- Kurwa, muszę podnieść cenę za klepanie samochodów - zażartował, kierując się do drzwi. Przed wyjściem zerknął jeszcze na duet z Chicago. - Panowie, kiedy będziecie wyjeżdżać na drogę ekspresową, moglibyście uszkodzić kilka samochodów? - Po tych słowach wskazał na Kellera: - Nie obraziłbym się, gdybyście zechcieli wyrznąć w przód jego mercedesa.

Słyszając to, Piemonte uśmiechnął się; Rothstein zerknął na blacharza, jak gdyby ten mówił po japońsku albo w języku suahili. Chwilę później wlepił wzrok w karty, licząc na to, że wyczaruje z nich jakąś magiczną rękę.

Kolejnym, który wycofał się z gry, był dziadek. Stanton wciąż miał przed sobą okazałą liczbę żetonów, jednak kolejna zasada w pokerze mówi, że gracz może odejść od stołu w każdej chwili. Stanton spieniężył więc żetony, odsunął krzesło i popijając kawę, przyglądał się pozostałym mężczyznom.

Dziesięć minut później, po długim i pełnym napięcia podbijaniu stawek, Rothstein przegrał resztę pieniędzy do Tony'ego.

- Cholera - warknął. - Dość. Nigdy przedtem nie przegrałem z dzieckiem - nie w ten sposób.

Tony starał się zachować kamienną twarz, w jego spojrzeniu jednak było coś znajomego, coś, co mówiło: „Tym razem też nie przegrałeś - nie jestem dzieckiem”.

Gra toczyła się przez kolejne pół godziny, zmieniały się pule i rozdania.

Zazwyczaj gra w pokera nie kończy się dramatycznymi rozdaniem. Zwykle graczom kończy się gotówka lub rezygnują jak Stanton i odchodzą z podkulonym ogonem.

Czasami zdarzają się jednak naprawdę niezwykle chwile.

To była jedna z nich.

Tony potasował karty i wyciągnął je w stronę Kellera, który podzielił talię na trzy części. Chłopak zebrał karty i zaczął rozdawać.

Piemonte podniósł karty, ale -jak przystało na wytrawnego gracza -nie ruszał ich (układanie kart może zdradzić wiele istotnych informacji na temat rozdania).

Keller zrobił to samo i z ulgą zauważył, że miał dobrą rękę: dwie pary -damy i szóstki. Przy takich stawkach praktycznie gwarantowały wygraną.

Tony jako ostatni zebrał karty i nie zdradzając żadnych emocji, spojrział na rozdanie.

- Stawiamy? - spytał, pasując, Piemonte.

Aby zacząć podbijanie stawek w pokerze dobieranym, gracz musi mieć parę waletów lub coś mocniejszego. Pasowanie oznaczało, że albo Piemonte nie miał mocnej ręki, albo grał wolno, unikając podbijania stawki, tak by inni uwierzyli, że dostał słabe karty.

Keller postanowił zaryzykować. Mimo iż trafiły mu się dwie pary i mógł podbić, on również spasował, chcąc, aby Tony uwierzył, że i on miał kiepskie rozdanie.

Nastąpiła chwila wyczekiwania. Gdyby Tony nie podbił stawki, musieliby odłożyć karty i zacząć od nowa; Keller straciłby naprawdę dobre rozdanie.

Jednak dzieciak zerknął na karty i podbił do dziesięciu tysięcy.

Keller zdawał się zatroskany, choć w głębi serca czuł prawdziwą euforię. Chłopak najwyraźniej połknął haczyk.

- Zegnam - rzucił Piemonte, odsuwając żetony na środek stołu.

A więc, pomyślał Keller, on także gra wolno.

Chwilę później sam także pchnął na środek stołu dziesięć tysięcy, potem kolejny stos żetonów.

- Twoje dziesięć i podbijam do dwudziestu pięciu.

Tony zerknął na stół i po raz kolejny podbił stawkę. Piemonte zawahał się, w końcu jednak dorzucił stos żetonów. Jako rozdający Tony odkrył kartę leżącą na wierzchu talii i odłożył ją na bok. Chwilę później zwrócił się do mężczyzny:

-Ile?

- Dwie.

Chłopak podał mu dwie kolejne karty z wierzchu talii.

Umysł Kellera zaczął automatyczną kalkulację. Szanse na to, że już w pierwszym rozdaniu dostanie trójkę, były niezwykle niskie, podobnie jak marne były szanse na to, by Piemonte dostał kickera, najwyższą kar-



tę spoza układu, prawdopodobnie króla, królową lub waleta różnych kolorów. Prawdopodobieństwo, że dwie dobierane karty utworzą fula, było jak jeden do stu dziewiętnastu. Lecz gdyby -jakimś cudem - udało mu się zdobyć trójkę, szanse na to, że zdobędzie parę i stworzy fula, wynosiły jeden do piętnastu.

Pamiętając o tym, Keller poprosił o jedną kartę, co miało zasignalizować jego przeciwnikom, że albo liczy na fula, strita lub kolor, albo najwyczejniej w świecie blefuje. Po chwili podniósł kartę i włożył ją między pozostałe. Choć jego twarz pozostała niewzruszona, serce zabiło mu mocniej, gdy zobaczył, że ma na ręce fula - i to dobrego, trzy damy.

Sam Tony wymienił trzy karty.

Dobra, stwierdził Keller, zobaczymy, co tam mamy. Biorąc trzy karty, Tony sygnalizował, że ma tylko jedną parę. Aby przebić Kellera, musiałby mieć małego pokera, czwórkę lub fula króli bądź asów. Umysł wytrawnego gracza niczym komputer analizował wszystkie możliwe kombinacje.

Prawdopodobnie to on miał najlepsze rozdanie. Teraz musiał już tylko podbić stawkę.

Chłopak poprawił okulary i zerknął na Piemonte'a.

- Stawka.

Mężczyzna jęknął i ociągając się, wysunął na środek stołu kolejny stos zetonów.

- Dwadzieścia tysięcy.

Keller brał udział w największych rozgrywkach na terenie kraju -jako gracz i obserwator - i godzinami studiował zachowanie blefiarzy. Drobne, na pozór nieistotne rzeczy - dziwne nawyki, spojrzenia, chwile wahania i wybuchy wściekłości, to, co mówili, i jak się śmiali. Teraz powrócił myślami do wszystkich tych chwil i zaczął zachowywać się tak, by siedzący przy stole mężczyźni uwierzyli, że ma fatalne rozdanie albo blefuje. A co za tym szło, że zacznie grać o naprawdę duże stawki.

Po dwóch kolejkach - mimo całkiem przyzwoitego rozdania - Piemonte niechętnie wycofał się z gry, pozostawiając na stole blisko sześćdziesiąt tysięcy. Był przekonany, że Keller lub Tony mają naprawdę mocne karty, i nie zamierzał niepotrzebnie narażać się na dalsze straty.

Nadeszła pora, by Keller podbił stawkę.

- Twoje dwadzieścia - zwrócił się do Tony'ego. -1 jeszcze dwadzieścia.

- Chryste - mruknął Stanton i zamilkł pod ponurym spojrzeniem Kellera.

Tony westchnął i po raz kolejny zerknął w karty, jak gdyby oczekiwał, że powiedzą mu, co robić. One jednak milczały. Grając w pokera, odpowiedzi należy szukać wyłącznie we własnym sercu i umyśle.

Chłopak miał już tylko piętnaście tysięcy. Spojrzał na nie, sięgnął do kieszeni i wyciągnął kopertę. Zawahał się, wyłożył jednak na stół resztę pieniędzy. Policzył je. Trzydzieści osiem tysięcy. Znieruchomiał i jak urzezczone wpatrywał się w gotówkę.

No dalej, modlił się w duchu Keller. Proszę...

- Żetony - mruknął Tony, wlepiając wzrok w Kellera, który zdawał się pewny siebie, choć zdenerwowany - jak blefiarz, który ma świadomość, że zaraz zostanie zdemaskowany.

Stanton zawahał się.

- Żetony - powtórzył stanowczo chłopak. Staruszek spełnił jego prośbę z wyraźnym ociąganiem. Tony wziął głęboki oddech i pchnął żetony na środek stołu.

- Twoje dwadzieścia. Podbijam o dziesięć.

Keller pchnął przed siebie kolejne dziesięć tysięcy - zbyt dramatycznie, pomyślał - i rzekł:

- Twoje dziesięć. - Zerknął na pozostałą część pieniędzy. - Podbijam o piętnaście. - Mówiąc to, pchnął na środek stołu resztę żetonów.

- Boże - jęknął Piemonte.

Nawet gburowaty Rothstein był przygnębiony i nie mógł oderwać oczu od stosu plastikowych krążków wartości czterystu pięćdziesięciu tysięcy.

Przez moment Keller miał poczucie winy. Psychologicznie wybadał przeciwnika, obliczył szanse co do ostatniego miejsca po przecinku - słowem, zrobił wszystko, czego nie umiał robić chłopak. Mimo to Tony wciąż chciał, by traktowano go jak mężczyznę. Sam był sobie winien.

- Sprawdzam - szepnął dzieciak, wykładając na stół większość żetonów. Stanton spoglądał w bok, jak ludzie, którzy unikają widoku wypadku samochodowego.

- Ful damy - rzucił Keller, wyrzucając karty na stół.

- Spójrzcie na to - szepnął Piemonte.

Stanton westchnął z niesmakiem.

- Przykro mi, chłopcze - dodał Keller, sięgając po pulę. - Wygląda na to, że...

Nie dokończył. W tej samej chwili Tony rzucił na stół swoje karty, fula - trzy króle i parę szóstek.

- Wygląda na to, że wygrałem - odparł spokojnie, zgarniając żetony.

- Chryste. Co za rozdanie! - jęknął Piemonte. - Dobrze, że się w porę wycofałem.

Stanton wybuchnął nerwowym, szczekliwym śmiechem, a Rothstein zwrócił się do Tony'ego:

- To była naprawdę niezła partyjka.
- Łut szczęścia - odparł chłopak.

Jak to możliwe, do cholery? - zastanawiał się Keller, rozpaczliwie analizując każdy moment rozdania. Oczywiście, czasami - niezależnie od tego, co mówią procenty - przeznaczenie potrafi niemile zaskoczyć człowieka. Ale przecież zaplanował wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

- Czas kończyć, panowie - oznajmił Piemonte. Po tych słowach wręczył Stantonowi resztę żetonów i dodał żartobliwie: - Skoro przegrałem większość pieprzonej gotówki na rzecz nastolatka... - Spojrzał na Rothsteina. - Od dziś trzymamy się zasady dotyczącej dzieciaków, dobra?

Keller usiadł na krześle, gapiąc się, jak Tony układa żetony na kupki. Ale przecież szanse, myślał... Obliczył wszystko tak skrupulatnie. Przynajmniej sto do jednego. Poker to matematyka i instynkt -jak to możliwe, by obie te rzeczy tak bardzo go zawiodły?

Tony pchnął żetony w kierunku Stantona.

Pomieszczenie wypełnił gwizd pociągu. Keller westchnął, jak gdyby dotarło do niego, że tym razem dźwięk ogłasza przegraną - zupełnie inaczej niż wtedy, gdy grał z Francuzami.

Zawodzenie nadjeżdżającego pociągu rosło w siłę. Tyle tylko, że... tym razem brzmiało dziwnie inaczej. Keller podniósł wzrok, zerkając na staruszka i graczy z Chicago.

Wszyscy marszczyli brwi i w osłupieniu gapili się na siebie.

Co? Coś było nie tak?

Tony zamarł, opierając dłonie na stosach żetonów.

Cholera, pomyślał Keller. To nie był gwizd pociągu, alejek policyjnych syren.

Mężczyzna poderwał się od stołu w tej samej chwili, gdy potężny cios wyważył frontowe i tylne drzwi, zasypując pomieszczenie drzazgami. Do środka wpadło dwóch umundurowanych i uzbrojonych policjantów.

- Na podłogę, już, już, już!

- Nie - mruknął Tony, dźwigając się z krzesła i stając twarzą w twarz z najbliższym gliniarzem.

- Dzieciaku - szepnął posępnie Keller, który powoli unosił obie ręce. - Nie rób głupstw. Rób, co ci każą.

Chłopak zawahał się, zerknął na czarne lufy pistoletów i posłusznie położył się na podłodze.

Stanton powoli opadł na kolana.

- Ruszaj się, staruszku - mruknął jeden z gliniarzy.

- Staram się, jak mogę.

W końcu leżący na brzuchach i skuci kajdankami hazardziści zostali podniesieni przez gliniarzy do pozycji siedzącej.

- Co my tu mamy? - usłyszeli dobiegający z alejki głos, a chwilę później do pomieszczenia wszedł łysiejący, dobiegający sześćdziesiątki facet w szarym garniturze.

Detektyw Fanelli, zauważył Keller. Cholera, akurat on! Gliniarz był gorliwym katolikiem, wierzył w Najświętszą Panią i świętego Józefa i od lat pragnął oczyścić grzeszne miasto Ellridge. Skutecznie zastraszał amatorów, a raz do roku przymykał jedną lub dwie grube ryby. Wyglądało na to, że tym razem to Keller będzie hitem tygodnia.

Stanton westchnął z rezygnacją; widać było, że staruszek jest równie zaskoczony jak gracze z Chicago. Tony był przerażony. Keller wiedział, że nie chodzi o aresztowanie, lecz o stanowy nakaz konfiskaty dóbr pochodzących z gier hazardowych.

Fanelli zmrugał oczy, zerkając na prawa jazdy Rothsteina i Piemontem.

- Przejechaliście z Chicago taki szmat drogi tylko po to, żeby mnie aresztować. Cholera, to musi boleć, co chłopaki?

- Ja tylko patrzyłem - zaprotestował Rothstein. Wskazał głową miejsce przy stole, przy którym do niedawna siedział. - Nie ma żetonów, nie ma pieniędzy.

- To znaczy, że kiepski z ciebie gracz. - Mówiąc to, detektyw zerknął na Piemonte'a.

- Chcę rozmawiać z adwokatem - rzekł ugodowo mężczyzna.

- A ja jestem pewien, że adwokat chce porozmawiać z tobą. Zważywszy na to, ile kasy dostanie za ratowanie twojego tyłka. Co i tak mu się nie uda... Ach, Keller. - Mężczyzna pokiwał głową. - Cudownie. Uganiałem się za tobą od dłuższego czasu. Naprawdę powinieneś przenieść się do Vegas. Nie wiem, czy oglądasz wiadomości, ale słyszałem, że hazard jest tam zupełnie legalny... A to kto? - Tu zerknął na Stantona. Chwilę później wyjął z dłoni gliniarza dowód staruszka i spojrzał na prawa jazdy. - Co, do cholery, robisz w Ellridge, kiedy powinieneś siedzieć w Tampie i grać w madżonga z kobietami?

- Nie stać mnie na tamtejsze stawki.

- No, no, nasz staruszek to przemądrzały dupek - mruknął do gliniarza chudy detektyw. Następnie spojrzał na Tony'ego. - A kim ty jesteś?

- Nie muszę nic mówić.

- Właśnie, że musisz. To nie wojsko. Ile masz lat?

- Osiemnaście. I też chcę rozmawiać z prawnikiem.

- Cóż, panie Też Chcę Rozmawiać z Prawnikiem - zakpił Fanelli - do-

staniesz prawnika, kiedy postawię ci zarzuty. A na razie jeszcze tego nie zrobiłem.

- Kto mnie wsypał? - spytał Keller.

- Nieładnie byłoby podawać jego nazwisko - odparł Fanelli. - Ale powiedzmy, że w ubiegłym roku oskubałeś niewłaściwego faceta. Gość nie był z tego powodu zbyt szczęśliwy i zadzwonił do mnie.

Keller wykrzywił twarz. Oskubany w zeszłym roku niewłaściwy facet... Cóż, na krótkiej liście widniało około stu nazwisk.

Spoglądając na kupki żetonów, piętrzące się niedawno przed Tonym, Fanelli rzekł:

- Ładne kolory, czerwone, niebieskie, zielone. Ile są warte?

- Białe mają wartość dziesięciu zapalek - rzucił Rothstein. - Niebieskie...

- Stul pysk - warknął detektyw, rozglądając się po pomieszczeniu. - Gdzie jest bank?

Mężczyźni milczeli.

- W porządku, i tak wiecie, że go znajdziemy. I wcale nie zaczniemy od tego miejsca. Zacznę od frontu i rozwalę bar Sala na pieprzone kawałki. Później zrobimy to samo z jego biurem. Rozpieprzymy każdy cholerny mebel. Przetrzęsniemy każdą szufladę... No, dalej, chłopcy. Sał nie zasługuje przecież na takie traktowanie.

Keller westchnął i skinął głową do Stanton, który wskazał wiszącą nad automatem do kawy szafkę. Chwilę później jeden z gliniarzy wyjął z niej dwa pudełka po cygarach.

- Chryste Panie - jęknął Fanelli, przeglądając ich zawartość. - Tu musi być z pół miliona dolców.

Zerknął na stół.

- To twoje żetony, co? - zwrócił się do Tony'ego; chłopak nie odpowiedział, jednak detektyw wcale tego nie oczekiwał. Roześmiał się tylko i spojrzął na graczy. - Nazywacie siebie mężczyznami, a pozwalacie, by dokopał wam jakiś gówniarz?

- Nie jestem gówniarzem.

- Tak, tak. - Detektyw jeszcze raz zajrzał do pudełek. Chwilę później podszedł do pozostałych gliniarzy i przez chwilę szeptał coś między sobą. W końcu mundurowi pokiwali głowami i wyszli z pomieszczenia.

- Moi chłopcy muszą sprawdzić kilka rzeczy - oznajmił Fanelli. - Muszą potwierdzić zeznania czy coś takiego. To wielkie słowo, nie? Potwierdzić. - Roześmiał się. - Uwielbiam je. - Przeszedł przez pomieszczenie, zatrzymał się przy dzbanku z kawą i nalał sobie filiżankę. - Cholera, dlaczego grając o wysokie stawki, nigdy nie pijecie gorzały? Boicie się, że pomylicie damę z waletem?

- Właściwie tak - odparł Keller.  
Gliniarz upił łyk kawy i oznajmił grobowym głosem.  
- Słuchajcie, dupki. Zwłaszcza ty, szczyłu. - Mówiąc to, wymierzył w Tony'ego długi, chudy palec i zaczął krążyć po pomieszczeniu. - Wpa dliście... jak by to powiedzieć... w dość trudnym dla mnie okresie. Mamy na głowie serię poważnych przestępstw w innej dzielnicy miasta. Poważne przestępstwa, pomyślał Keller. Gliniarze nie mówią w ten sposób. O co tu, do cholery, chodzi? Fanelli uśmiechnął się.  
- Oto umowa. Nie mam zamiaru tracić cennego czasu na spisywanie waszych nazwisk. To oderwałoby mnie od naprawdę poważnych spraw. Tak czy inaczej, straciliście te pieniądze. Jeśli was spiszę i aresztuję, forsa zostanie zatrzymana jako dowód w przestępstwie. Jeśli was skażą - a na pewno tak będzie - pieniądze przejdą na własność stanu. Ale jeśli... powtórzę, jeśli nie byłoby dowodów, cóż... skończyłoby się na upomnieniu. Mnie osobiście odpowiadałby taki układ. Mógłbym wrócić do innych spraw. Ważnych spraw.  
- Tych, które właśnie potwierdzacie? - spytał Tony.  
- Stul pysk, śmieciu - warknął detektyw.  
- A więc jak? Mężczyźni spojrzeli po sobie.  
- Wszystko zależy od was - ciągnął gliniarz. - No to jak będzie? Keller spojrział na twarze pozostałych mężczyzn. Zatrzymał wzrok na Tony'm, który wykrzywił się z pogardą skinął głową.  
- Z przyjemnością ci pomożemy, Fanelli. Zrobimy, co trzeba, żebyś mógł rozwiązać choć część tych - jak ty to nazywasz? Ważnych spraw?  
- W końcu musimy dbać, by Ellridge było atrakcyjnym miejscem - bąknął Stanton.  
- Mieszkańcy na pewno docenią wasze starania - odparł Fanelli, pakując pieniądze do kieszeni marynarki.  
Chwilę później rozkuł graczy, wrzucił kajdanki do kieszeni i bez słowa wyszedł z pomieszczenia.  
Mężczyźni spojrzeli na siebie z wyraźną ulgą - wszyscy z wyjątkiem Tony'ego, na którego twarzy malowało się przerażenie i niedowierzanie. Koniec końców, to on był w tej sytuacji największym przegranym.  
Keller uściśnął jego dłoń.  
- Świetnie dziś grałeś, mały. Przykro mi.  
Chłopak pokiwał głową i machnąwszy ręką na pożegnanie, wyszedł tylnymi drzwiami.  
Graczy z Chicago przez kilka minut szeptali coś nerwowo, po czym pożegnali obecnych skinieniem głów i opuścili zadymione pomieszczenie.

Stanton spytał Kellera, czy ma ochotę na kolejne piwo, mężczyzna jednak pokręcił głową przecząco, pozwalając, by staruszek sam poszedł do baru. Potem usiadł przy stoliku, w zamyśleniu podniósł talię kart, potasował je i zaczął układać pasjansa. Szok po porażce minął; niepokoiła go jednak myśl, jak to się stało, że przegrał z Tonym - dobrym, choć nie najlepszym graczem.

Po kilku minutach przekładania kart odzyskał dobry humor i przypomniał sobie kolejną zasadę Kellera: W ostatecznej rozgrywce szczęście zawsze miewa przewagę nad sprytem.

Cóż, tym razem uśmiechnęło się ono do chłopaka. Ale będą inne gry, inne okazje, by wykorzystać swą wiedzę i uwolnić Tony'ego i jemu podobnych od nadmiaru gotówki.

Dookoła roi się od aroganckich dzieciaków, które aż się proszą, by puścić je z torbami, pomyślał Keller, kładąc dziesiątkę pik na walecie kier.

Stojąc na estakadzie i patrząc na znikający w mroku pociąg, Tony Stigler starał się nie myśleć o pieniądzach, które wygrał chwilę temu, a które zostały mu skradzione.

Prawie pół miliona.

Pęd powietrza wzbijał do góry tumany kurzu i samotnych kartek. Tony patrzył na nie nieobecny wzrokiem, myśląc o tym, co powiedział mu Keller: Znajomość gry - w najdrobniejszych, gównianych szczegółach - odróżnia prawdziwych pokerzystów od smarkaczy.

Nieprawda, pomyślał Tony. Należy wiedzieć jedną jedyną rzecz. Niezależnie od tego, jak dobrym jest się graczem, poker to gra hazardowa.

To bardziej niż pewne.

Chłopak rozejrzył się dookoła, upewniając się, że jest sam, i wyjął z kieszeni pokrywkę kubka kawy Starbucks. Chwilę później oderwał przyklejony od spodu plastikowy dysk i wyłączył miniaturowy przełącznik. Następnie schował go do koperty z pęcherzykowego plastiku i wrzucił do kieszeni. Urządzenie było jego własnym wynalazkiem. Umieszczona w wieczku miniaturowa kamera skanowała każdą kartę za każdym razem, gdy Tony był rozdającym, a maleńki procesor przysyłał informacje o kolorze i figurze do zainstalowanego w samochodzie Tony'ego komputera. Jedyne, co musiał zrobić, to umieścić wieczko w odpowiednim miejscu, tak by komputer wiedział, ile osób bierze udział w grze, a program, który Tony napisał, informował urządzenie o poszczególnych rozdaniach. Komputer określał też, ile kart chłopak powinien dobrać, czy ma podbijać stawkę, czy też pasować. No i przysyłał wiadomości do maleńkiej słuchawki w oprawce okularów, która wibrowała zgodnie z opracowanym kodem.

Oszust dla Idiotów - tak Tony nazwał program.

Perfekcyjny plan, perfekcyjnie przeprowadzony -jedyne, o czym nie pomyślał, to pieprzona policja, która ukradła wygraną.

Tony zerknął na zegarek. Dochodziła pierwsza w nocy. Nie musiał się śpieszyć; wuj był poza miastem, w kolejnej delegacji. Co robić? Zastanawiał się. Marconi Pizza wciąż była otwarta; postanowił więc, że wpadnie tam i spotka się z kumplem, który dał mu cynk o Kellerze. Może zje kawałek pizzy i napije się coli.

Gdzieś za plecami usłyszał chrzęst żwiru. Odwrócił się i zobaczył Lar-ry'ego Stantona, który niespiesznym krokiem szedł w kierunku przystanku autobusowego.

- Hej - rzucił staruszek, podchodząc do Tony'ego. - Lizesz rany? Czy chcesz rzucić się pod pociąg? - Wskazał głową tory.

Tony roześmiał się gorzko.

- Dasz wiare? Pieprzony pech.

- Ach, naloty są częścią gry, jeśli grasz nielegalnie - odparł Stan ton. - Wliczamy je w ryzyko.

- Ryzyko warte pół miliona dolców? - mruknął Tony.

- Faktycznie, to boli - przyznał Stanton, kiwając głową. - Ale jest lepsze niż więzienie.

- Chyba tak.

Staruszek ziewnął.

- Chyba pójde do domu i spakuję rzeczy. Jutro wracam na Florydę. Kto chciałby spędzać zimę w Ellridge?

- Zostało ci coś? - spytał Tony.

- Chodzi o pieniądze...? Troszkę. - Wykrzywił twarz. - Ale dzięki tobie i Kellerowi jest tego dużo mniej.

- Zaczekaj. - Chłopak wyciągnął portfel i wręczył mężczyźnie sto dolarów.

- Nie biorę jałmużny.

- Nazwijmy to pożyczką.

Stanton wahał się przez chwilę. W końcu, wyraźnie zawstydzony, wziął banknot i schował go do kieszeni.

- Dzięki... Lepiej już pójde. Niedługo odjeżdża ostatni autobus. Cóż, miło się z tobą grało, synu. Masz potencjał. Daleko zajdziesz.

Taa, pomyślał Tony. Zajde daleko jak cholera. Bystrzy, młodzi nowicjusze prędzej czy później zawsze pokonają kogoś takiego jak ty i Keller. Tak już jest na tym świecie. Rozmyślając tak, obserwował, jak przegnębiony staruszek, utykając, znika w mroku. Żalotne, pomyślał. Zastrzelcie mnie, zanim stanę się taki jak on.



Chwilę później włożył wełnianą czapkę, odsunął się od barierki i ruszył w kierunku samochodu, zastanawiając się, na kim tym razem postawi krzyżyk.

Dwadzieścia minut później miejski autobus zatrzymał się przy krawężniku, a ze środka wysiadł Larry Stanton.

Mężczyzna szedł ulicą aż do ciemnego skrzyżowania, gdzie migające żółte światło ostrzegało kierowców jadących główną ulicą, a równie migotliwe czerwone dawało znak pojazdom na skrzyżowaniu. Przed Lanym stał granatowy ford crown victoria. Napis na bagażniku głosił: Radiowóz policyjny.

O ten właśnie bagażnik opierał się nie kto inny jak szczapowaty detektyw George Fanelli.

Gliniarz odepchnął się od samochodu i podszedł do Stantona. Nieopodal stali dwaj gliniarze, którzy brali udział w nalocie. Fanelli i Stanton rozejrzeli się dookoła i wymienili uścisk dłoni. Chwilę później detektyw wyjął z kieszeni kopertę i wręczył ją starszuskowi.

- Twoja działka - dwieście dwadzieścia dwa tysiące.

Stanton nie zadał sobie trudu, by przeliczyć pieniądze. Najzwyczajniej w świecie schował kopertę.

- To było niezłe - rzucił gliniarz.

- Żebyś wiedział - odparł starszusek.

Raz do roku, kiedy Stanton wracał z Florydy, on i gliniarz urządzali obławę na jakiś skład tych małomiasteczkowych hazardzistów. Starszusek zyskiwał zaufanie graczy, przegrywał pieniądze w kilku prywatnych rozgrywkach, a kiedy gra szła o wielkie stawki, dawał cynk gliniarzom. Fanelli zwał winę na anonimowego informatora, zabierał kasę i wypuszczał wszystkich; pokerzysci byli tak szczęśliwi, iż uniknęli więzienia i mogą grać dalej, że do głowy by im nie przyszło, żeby narzekać.

Co do Stantona, przekręty takie jak ten były mu bliższe niż hazard.

Dobra, gram, ale szanse są wciąż przeciwko tobie. Co robię z pieniędzmi? Upewniam się, że szanse są po mojej stronie.

- Hej, Larry! - zawołał do Stantona jeden z policjantów. - Nie chciałem być dupkiem, kiedy zakładałem ci kajdanki. Po prostu chciałem, żeby wszystko wyglądało, no wiesz, bardziej autentycznie.

- Świetnie to rozegrałeś, Moscawitz. Jesteś urodzonym aktorem.

Stanton i detektyw minęli nieoznakowany radiowóz i ruszyli brudnym chodnikiem. Znali się od lat, odkąd Stanton został szefem ochrony w Midwest Metal Products.

- Wszystko w porządku? - Fanelli zerknął na utykającego staruszka.

- Ściąłem kogoś na skuterze wodnym nad jeziorem Geneva. Uderzyłem w kilwater. Nic takiego.

- Kiedy wracasz do Tampy?

- Jutro.

- Lecisz?

- Nie. Jadę samochodem. - Wyciągnął z kieszeni kluczyki i otworzył drzwi nowego sportowego bmw.

Fanelli z podziwem spojrzął na samochód.

- Sprzedałeś lexusa?

- Postanowiłem, że kupię ten wóz. - Wskazał głową lśniące srebrne felgi. - Miałem ochotę na coś bardziej seksownego. Wiesz, kobiety w klubie golfowym uwielbiają facetów w sportowych samochodach. Nawet jeśli ci mają guzowate kolana.

Fanelli potrząsnął głową.

- Szkoda mi tego dzieciaka. Skąd wziął pieniądze, żeby grać o tak wysokie stawki?

- Odziedziczył je po starych. Miały być na chesne czy inne gównno.

- Chcesz powiedzieć, że oskubaliśmy sierotę? Będę się z tego spowia-  
dał przez cały miesiąc.

- Ta sierota oskubała właśnie Kellera i pozostałych.

-Co?

Stanton roześmiał się.

- Potrzebowałem chwili, żeby go rozgryźć. W końcu załapałem. Dzieciak musiał mieć w kubku z kawą jakiś elektroniczny gadżet, kamerę albo inne cholerstwo. Przez cały czas bawił się tym przeklętym kubkiem; kiedy rozdawał, przysuwał go bliżej kart - jedyny raz, kiedy wygrał naprawdę duże pieniądze, to on był rozdającym. Po nalocie sprawdziłem jego samochód - był w nim komputer i umieszczona na tylnym siedzeniu antena.

- Cholera - rzucił Fanelli. - To było głupie. Mogli go za to zabić. Dziwne, że Keller niczego nie zauważył.

- Keller był zbyt zajęty własnym przekrętem. - Stanton opowiedział o pułapce, jaką pokerzysta zastawił na Tony'ego.

Detektyw roześmiał się.

- Keller chciał wykiwać chłopaka, dzieciak chciał wykiwać wszystkich naokoło, a okazało się, że to my, starzy faceci, wykiwaliśmy ich obu. Jest w tym jakaś nauczka.

Mężczyźni wymienili pożegnalny uścisk dłoni.

- Do zobaczenia wiosną, przyjacielu. Spróbujemy w Green-point. Słyszałem, że tam też grają o wysokie stawki - dodał jeszcze Fanelli.

- Załatwione. - Stanton pokiwał głową i odpalił silnik. Chwilę później wjechał na skrzyżowanie, zerknął na światła i skręcił w główną ulicę z dojazdem do autostrady.

## 36,6

Przewiesiwszy marynarkę przez ramię, mężczyzna ruszył niespiesznie w stronę bungalowu. Obolałe płuca z trudem chwytaly rozgrzane powietrze, które nawet po zachodzie słońca nie pochłodziło.

Kiedy przystanął na chodniku, by odetchnąć, zdawało mu się, że słyszy dobiegające z wnętrza domu strapione głosy. Mimo to nie mógł zrobić nic innego niż wejść do środka. Był to jedyny dom, który widział, idąc autostradą.

Chwilę później wszedł po schodach na pogrążony w mroku, obskurny ganek i zadzwonił do drzwi.

Głosy natychmiast ucichły.

Coś zaszurało. Ktoś wypowiedział dwa czy trzy słowa.

Mężczyzna po raz kolejny nacisnął dzwonek i drzwi się otworzyły.

Sloan zauważył, że oczy wpatrzonych w niego trzech osób zdradzały różne emocje.

Twarz siedzącej na kanapie pięćdziesięciokilkuletniej kobiety w spranej sukience bez rękawów wyrażała bezbrzeżną ulgę. Siedzący obok niej okrągły, łysiejący mężczyzna, też po pięćdziesiątce, zdawał się pełen ostrożnej rezerwy.

Ten zaś, który otworzył drzwi i stał najbliżej Sloana, szczyrzył zęby w nie-szczerym uśmiechu, który on odczytał jako pytanie: Czego tu chcesz, do cholery? Facet był mniej więcej w wieku Sloana - dobiegał czterdziestki - a jego wytatuowane ramiona zdawały się nieproporcjonalnie długie. Przytrzymał krawędź drzwi masywną dłonią. Ubrany był na szaro: w poplamione ogrodniczki i podartą, roboczą koszulę. Jego ogolona głowa lśniła od potu.

- W czym mogę pomóc? - spytał.

- Przepraszam, że przeszkadzam - zaczął Sloan. - Zepsuł mi się samochód - przegrzał się. Muszę zadzwonić na AAA\*. Czy mógłbym skorzystać z państwa telefonu?

\* American Automobile Association - Amerykański Związek Motorowy.

- Słyszałem, że firmy telekomunikacyjne mają problemy - odparł wytatuowany mężczyzna, wskazując głową nocne niebo. - To wszystko przez upały - te nakazy ograniczenia zużycia energii i przerwy w dostawie energii elektrycznej.

Mimo to nie ruszył się od drzwi.

- Ależ, proszę, niech pan wejdzie - odparła pośpiesznie kobieta. W jej głosie dało się wyczuć podniecenie. - Chwilę temu dzwonił telefon. Jestem pewna, że działa jak należy.

- Zapraszam - powtórzył starszy mężczyzna, który trzymał ją za rękę.

Wytatuowany facet zmierzył Sloana uważnym spojrzeniem, jak większość ludzi, którzy spotykali go po raz pierwszy. Z natury poważny, Sloan był potężnym, dobrze zbudowanym mężczyzną - ćwiczył codziennie przez ostatnie trzy lata - jednak w tej chwili wyglądał żałośnie. Aby dotrzeć do tego domu, przedzierał się przez rozmaite krzaki i zarośla. I jak każdy, kto choć na chwilę wyszedł z domu w tę upalną, parną noc, był od stóp do głów zlany potem.

W końcu wytatuowany mężczyzna ruchem ręki zaprosił go do środka. Sloan zauważył paskudną bliznę na wierzchu jego dłoni. Była dość świeża, a ranę z pewnością zadano nożem.

W domu, zbyt jasnym, panował bolesny upał. Miniaturowy klimatyzator jęczał i wyl, jednak nie robił nic, by ochłodzić powietrze. Sloan zerknął na ściany i wiszące na nich fotografie tych, którzy przeżyli swe życie tu, na końcu świata. Ktoś najwyraźniej pracował w Allstate Insurance, szkolnej bibliotece; ktoś inny należał do klubu Rotary, organizacji przykościelnych i komitetu rodzicielskiego. Biznesowe wypady na ryby do Saginaw albo Minnesoty. Wakacje w Chicago, utrwalone na żółknących, oprawnych w ramki zdjęciach.

- David Sloan - przedstawił się.

Agnes i Bill Willisowie byli parą. Sloan od razu zauważył, że łączą ich te same zachowania i reakcje; można je zaobserwować u ludzi po wielu latach małżeństwa. Wytatuowany mężczyzna milczał. Majstrował coś przy klimatyzatorze, kręcąc pokrętłem kompresora.

- Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem w kolacji.

Na chwilę w pokoju zapadła cisza. Była ósma wieczorem i Sloan nie zauważył żadnych brudnych naczyń.

- Nie - odparła cicho Agnes.

- Nie, nie ma nic do jedzenia - burknął zagadkowo wytatuowany mężczyzna. Wściekłym wzrokiem zerknął na klimatyzator, jak gdyby chciał wyrzucić go przez okno, opanował się jednak i wrócił na miejsce - lśniący od potu, wyściełany fotel Naugahyde.

- Telefon tam jest - poinformował Bill.

Sloan podziękował i wszedł do kuchni. Kiedy wrócił do pokoju, rozmawiający ściszymi głosami Bill i jego młodszy towarzysz zamilkli. Sloan zerknął na starszego mężczyznę.

- Odholują go do Hatfield. Laweta powinna tu być za jakieś dwadzieścia minut. Mogę poczekać na zewnątrz.

- Nie - zaprotestowała Agnes. Kiedy dotarło do niej, że zareagowała zbyt spontanicznie, spojrzała na wytatuowanego mężczyznę spod przy-mrużonych powiek, jak gdyby się obawiała, że ją uderzy.

- Jest zbyt gorąco - wyjaśnił Bill.

- Nie ciepłej niż tu - dodał zjadliwie młody mężczyzna.

Sloan rozejrzał się po pokoju i zauważył, że jedynym wolnym meblem była niewygodna kanapa, obita różowo-zielonym, kwiecistym per-kalem. Jarmarczny wzór, połączony z nieznośnym upałem i nerwowym zachowaniem wytatuowanego mężczyzny, sprawiał, że Sloan czuł się niezręcznie.

- Może coś panu przynieść? - spytała kobieta.

- Odrobinę wody, jeśli to nie kłopot. - Sloan wytarł twarz wierzchem dłoni.

Kobieta wstała z kanapy.

- Niech pan zauważy - wtrącił chłodno wytatuowany mężczyzna - że w ogóle mnie nie przedstawili.

- Cóż, nie chciałem... - zaczął Bill.

- Nazywam się Greg. - Wytatuowany zawahał się. - Jestem ich bratankiem. Wpadłem z wizytą. No co, Bill? Prawda, że świetnie się bawimy?

Bill pokiwał głową, wbijając wzrok w postrzępiony dywan.

- Jasne, świetnie się bawimy.

Nagle coś przykuło uwagę Sloana - dziwny hałas. Odgłosy drapania. Delikatne stuknięcie. Nikt z pozostałych nie zwrócił na nie uwagi. Sloan podniósł wzrok, gdy do pokoju wróciła Agnes. Wręczyła mu szklanke wody, a on łapczywie wypił połowę.

- Pomyślałam, że może rzucilibyście okiem na samochód pana Sloana, Bill - zwróciła się do męża. - Może ty i Greg potrafilibyście go naprawić?

- Dave - wtrącił Sloan. - Proszę mówić mi Dave.

- Może Dave zaoszczędziłby trochę grosza.

- Jasne - zaczął Bill.

- Nie, nie mamy ochoty - odparł Greg. - Jest za gorąco. Poza tym Dave wygląda na kogoś, kogo stać na mechanika. Wygląda, jakby spał na kasie. Co ty na to, Dave? Czym się zajmujesz?

- Jestem sprzedawcą.
  - Co sprzedajesz?
  - Komputery. Sprzęt komputerowy i oprogramowanie.
  - Nie ufam komputerom. Założę się, że jestem jedyną osobą w kraju, która nie ma poczty elektronicznej.
  - Wcale nie. Słyszałem, że ponad osiem milionów ludzi nie ma poczty elektronicznej - odparł Dave.
  - Na przykład dzieciaki - wtrącił Bill.
  - Takie jak ja, co? Ja i dzieciaki? To chciałeś powiedzieć?
  - Ależ nie - odparł pośpiesznie Bill. - Tak tylko mówiłem. Nie chciałem nikogo urazić.
  - A ty, Greg? - spytał Sloan. - Czym się zajmujesz?
- Mężczyzna zastanawiał się chwilę.
- Pracuję rękami... Chcesz wiedzieć, czym zajmuje się Bill? Bill przelotnie zmierzył mężczyznę gniewnym spojrzeniem.
  - Pracowałem w ubezpieczeniach. Mam zamiar zmienić pracę.
  - Ale już niedługo znów będzie pracował, prawda, Bill?
  - Mam nadzieję.
  - Oczywiście, że tak - dodała Agnes.
  - Wszyscy jesteśmy tego pewni. Hej, Sloan, myślisz, że Bill mógłby sprzedawać komputery?
  - Nie wiem. Wiem tylko, że lubię to, co robię.
  - Jesteś w tym dobry?
  - Nawet bardzo dobry.
  - Dlaczego komputery?
  - Bo w tej chwili jest rynek zbytu na to, co produkuje moja firma. Ale to nieistotne. Mogę sprzedawać wszystko. Może w przyszłym roku przerwę się na kaloryfery albo nowy typ laserów medycznych. Sprzedaję to, na czym mogę zarobić.
  - Może opowiesz nam o swoich komputerach? - spytał Greg.
- Sloan lekceważąco wzruszył ramionami.
- To głównie techniczne sprawy. Nie chcę was zanudzać.
  - My też nie chcemy nikogo zanudzać, zwłaszcza taki dzieciak jak ja. Nie w tak miłym towarzystwie, kiedy cała rodzina jest razem... Rodzina. - Greg uderzył potężnymi dłońmi w podłokietniki fotela. - Nie uważasz, że rodzina jest ważna? Ja tak. Masz rodzinę, Dave?
  - Nie żyją. To znaczy moja najbliższa rodzina.
  - Wszyscy? - spytał zaciekawiony Greg.
  - Moi rodzice i siostra.
  - Jak zginęli?

Bezpośredniość Grega najwyraźniej zawstydziła Agnes, Sloan jednak nie był zbyt poruszony pytaniem.

- W wypadku.

- W wypadku? - Greg pokiwał głową. - Moi rodzice też zginęli - dodał obojętnie.

Co oznaczało, że skoro jest bratankiem Billa i Agnes, również któreś z nich straciło krewnego. Greg jednak nie podzielał ich smutku.

Dźwięk klimatyzatora ucichł, a w maleńkim, dusznym pokoju zapadła krepująca cisza. Wtedy Sloan usłyszał delikatne dudnienie. Zdawało się, że dźwięk dobiega zza zamkniętych drzwi korytarza. Pozostała trójka zachowywała się, jak gdyby nic nie słyszała. Odgłos rozległ się po raz kolejny, po czym ucichł.

Greg wstał z fotela i podszedł do wiszącego na ścianie termometru. Przewleczony przez dziurkę srebrny drut łagodnie opadał w dół, przechodząc przez ościeżnicę. Mężczyzna stuknął paznokciem w cienki słupek rtęci.

- Zepsuty - ogłosił, odwracając się do pozostałej trójki. - Słuchałem wiadomości. Wcześniej. Mówili, że o zachodzie słońca temperatura wynosiła trzydzieści sześć stopni. Prezenter powiedział, że w tych okolicach to prawdziwy rekord. Pomyślałem sobie, trzydzieści sześć i sześć to temperatura ludzkiego ciała. I wiecie, co mi przyszło do głowy?

Sloan spojrzął w pełne grozy i zarazem rozbawienia oczy mężczyzny.

Milczał. Podobnie jak Bill i Agnes. Tymczasem Greg ciągnął dalej:

- Pomyślałem, że nie ma różnicy pomiędzy życiem a śmiercią. Żadnej. Co wy na to?

- Nie ma różnicy? Nie rozumiem. - Sloan potrząsnął głową.

- Weźmy dla przykładu kogoś naprawdę złego. No, kogo, Bill? Może kogoś, kto nie spłaca długów? Co ty na to? Dobra, chodzi o to, że nie jego ciało, ale dusza jest podła. Kiedy facet umiera, co po nim zostaje? Podła dusza. Tak samo jest w wypadku dobrego człowieka. Kiedy dobre ciało umiera, na świecie zostaje dobra dusza. Albo morderca. Kiedy wykonają na nim karę śmierci, na świecie pozostaje dusza mordercy.

- To ciekawa teoria, Greg.

- Tak to widzę - odparł mężczyzna. - Ciało to tylko dusza rozgrzana do temperatury trzydziestu sześciu i sześciu dziesiątych stopnia.

- Będę musiał się nad tym zastanowić.

- Dobra, nasi najbliżsi nie żyją; twoi i moi - ciągnął Greg.

- Tak - odparł Sloan.

- Ale nawet jeśli odeszli - ciągnął filozoficznie mężczyzna - wciąż możesz mieć przez nich kłopoty, prawda? - Usiadł w lepkim od potu,



poplamionym fotelu i skrzyżował nogi. Nie nosił skarpetek i Sloan zauważył kolejny tatuaż, który zaczynał się na kostce i biegł w górę łydki. Sloan wiedział, że tatuaże robione w tym miejscu należały do najbardziej bolesnych, ponieważ igła dotykała kości. Taki tatuaż był czymś więcej niż tylko ozdobą na ciele; ostrzegał innych, że dla jego właściciela ból jest niczym.

- Kłopoty?

- Po śmierci twoi rodzice mogą przysporzyć wielkiego smutku i bólu.

Każdy psychiatra powiedziałby to samo, pomyślał Sloan, ale przezornie ugryzł się w język.

Młody mężczyzna przeczesał spoconymi dłońmi krótko przystrzyżone włosy. Blizna na jego ręce była naprawdę imponująca. Sloan zauważył jeszcze jedną, na drugim ramieniu mężczyzny.

- Kilka lat temu wydarzyła się pewna rzecz.

- Jaka rzecz? - spytał Bill.

Chusteczka, którą Agnes trzymała w dłoniach, zmieniła się w poszarpane strzępy.

- Cóż, nie mogę rozmawiać o szczegółach z nieznanymi - odparł poirytowany Greg.

- Przepraszam - bąknął Bill.

- Chodzi o to, że ktoś, kto umarł jakiś czas temu, wciąż sprawiał mi kłopoty. To było oczywiste. Była suką za życia i pozostała nią po śmierci. Bóg obdarzył ją naprawdę wredną duszą. Wierzysz w Boga, Sloan?

-Nie.

Agnes wzdrygnęła się i dopiero teraz Sloan zauważył wiszące na ścianie trzy krzyże.

- Wierzę w sprzedaż. To wszystko.

- Czyli tak właśnie wygląda twoja dusza. Rozgrzana do temperatury trzydziestu sześciu i sześciu dziesiątych stopnia. - Greg uśmiechnął się. - To znaczy, póki jeszcze żyjesz.

- A jaka jest twoja dusza, Greg? Dobra? Zła?

- Cóż, nie jestem podły - odparł z fałszywą skromnością. - Reszty będziesz musiał się domyślić. Nie lubię mówić o sobie tak dużo jak ty.

Światła przygasły. Kolejny spadek napięcia.

- Popatrz na to - ciągnął Greg. - Może kręcą się tu dusze jakiejś rodziny i to one bawią się światłem. Co ty na to, Bill?

- Nie wiem. Może.

- Rodzina, która zmarła w tym domu... - zastanawiał się głośno Greg. - Zmarł tu ktoś, kogo znałeś, Bill?

Agnes z trudem przełknęła ślinę. Bill pociągnął łyk czegoś, co wyglądało jak zwietrzały napój gazowany. Ręce mu drżały.

Światła zajaśniały pełną mocą i Greg rozejrzał się po pokoju.

- Jak myślisz, Sloan, ile wart jest ten dom?
- Nie wiem - odparł spokojnie, coraz bardziej poirytowany kolejnymi pytaniami. - Pamiętasz? Sprzedaję komputery. Nie domy.
- Myślę, że jakieś dwieście tysięcy.

Zza drzwi znów dobiegł ten sam dźwięk. Tym razem był jednak głośniejszy i bez trudu przedarł się przez wycie klimatyzatora. Skrobanie, łomot.

Wszyscy zerknęli w kierunku drzwi. Na twarzach Agnes i Billa pojawił się niepokój. Mimo to wciąż milczeli.

- Gdzie dziś sprzedawałeś komputery? - spytał Greg.
- W Durrant. Teraz jadę na wschód.
- Tutaj nie dzieje się najlepiej. Ludzie nie mają pracy, prawda, Bill?
- To prawda, nastąpiły ciężkie czasy.
- Jak wszędzie. - Greg wydawał się pijany, Sloan jednak nie czuł alkoholu, a jedynymi widocznymi butelkami były stojące za wypackaną szybą kredensu zakorkowane porto New York State i tania brandy. - Założę się, że to także ciężkie czasy dla sprzedawców. Nawet takich jak ty, którzy potrafią sprzedać dosłownie wszystko.
- Masz coś do mnie, Greg? - spytał ze spokojem Sloan.
- Nie. Dlaczego? - Jednak stalowoszare oczy mężczyzny mówiły coś innego. - Skąd ten pomysł?

- To przez upał - wtrąciła pojednawczo Agnes. - Oglądałam program na CNN. O tym, co upał robi z człowiekiem. Zamieszki w Detroit, podpalenia lasów w okolicach Saginaw. Ludzie od tego szaleją.

- Szaleją? - spytał Greg. - Szaleją?
- Nie miałam na myśli ciebie - odparła pośpiesznie.

Greg odwrócił się jednak do Sloana:

- Zapytajmy tego tu Pana Sprzedawcę, czy faktycznie jestem szalony.

Sloan przypuszczał, że w ciągu czterech, pięciu minut byłby w stanie rzucić mężczyznę na podłogę i trzymać go w morderczym uścisku, niszcząc przy tym stojące w pokoju tandetne sprzęty i bibeloty. Przyjazd policji oznaczałby jedynie początek kłopotów.

- No więc?
- Nie, moim zdaniem, nie jesteś szalony.
- Mówisz tak, bo nie chcesz kłopotów. Może wcale nie masz duszy sprzedawcy. Może masz duszę kłamcy... - Greg potarł twarz dłońmi. - Cholera, wypociłem chyba cały galon.

Sloan czuł, że mężczyzna traci panowanie nad sobą. Kątem oka zerknął na wiszący na ścianie stojak na broń. Wisiały na nim dwie strzelby. Przez chwilę zastanawiał się, jak szybko mógłby chwycić jedną z nich. Czy Bill był wystarczająco głupi, by wieszać na ścianie odbezpieczoną, załadowaną broń? Możliwe.

- Pozwól, że coś ci powiem... - zaczął złowrogo Greg, bębniąc palcami w lśniące od potu podłokietniki.

Dzwonek do drzwi.

Przez krótką chwilę nikt z obecnych w pokoju nie ruszył się z miejsca. W końcu Greg poderwał się z fotela i podszedł do drzwi. Na ganku stał krzepki mężczyzna z długimi włosami.

- Ktoś dzwonił po lawetę?

- To ja. - Sloan wstał z kanapy. - Dzięki, że mogłem skorzystać z telefonu - zwrócił się do Agnes i Billa.

- Nie ma problemu.

- Jesteś pewien, że nie zostaniesz? Mogłabym zrobić kolację. Proszę. - Biedna kobieta wyglądała teraz na naprawdę zdesperowaną.

- Nie. Muszę lecieć.

- Taa - dodał Greg. - Dave musi już lecieć.

- Do diabła - wtrącił długowłosey. - Ciepłej tu niż na zewnątrz.

Nawet nie wiesz, jak bardzo, pomyślał Sloan i ruszył w stronę lawety.

Mężczyzna wciągnął chevroleta na platformę, przypiął go łańcuchami i zajął miejsce za kierownicą lawety. Chwilę później wyjechali na autostradę, kierując się na wschód. Klimatyzacja w kabinie kierowcy ryczała niemiłosiernie, jednak chłodne powietrze było dla Sloana prawdziwym błogosławieństwem.

Radio rzeziło i trzeszczało. Sloan niewiele słyszał przez ogłuszający ryk klimatyzatora, ale kierowca pochylił się do przodu, jak gdyby oczekiwał na istotną informację. Kiedy transmisja dobiegła końca, zerknął na Sloana.

- Ciągle go jeszcze nie złapali.

- Kogo? - spytał Sloan.

- Zabójcy. Faceta, który uciekł z więzienia, jakieś dwadzieścia, trzydzieści mil na wschód stąd.

- Nie słyszałem o tym.

- Mam nadzieję, że pokażą to w American's Most Wanted. Ogląda pan?

- Nie. Rzadko oglądam telewizję - odparł Sloan.

- Ja tam lubię - rzucił mężczyzna. - Człowiek może się wiele nauczyć.  
- Kim jest ten facet?  
- To jakiś psychol. Wie pan, jak w „Milczeniu owiec”. A filmy? Lubi pan filmy?

- Taa - odparł Sloan. - Ten był naprawdę świetny.  
- Facet był w więzieniu stanowym, około dwudziestu mil na zachód stąd.

- Jak uciekł? Przecież to więzienie o zastrzonym rygorze, nie?  
- No tak. Mój brat... hm, mój brat miał znajomego, który odsiadywał tam wyrok za kradzieże samochodów. W wiadomościach mówili, że morderca był na dziedzińcu, kiedy z powodu upałów nastąpiła awaria prądu. Przypuszczam, że wysiadł też generator i szlag trafił światła i ogrodzenie pod napięciem; nie działały przez prawie godzinę. Kiedy wszystko wróciło do normy, faceta już nie było.

Sloan zadygotał, kiedy zimne powietrze schłodziło jego przepocone ubranie.

- Zna pan tę rodzinę, u której na pana czekałem? Willisów?  
- Nie, proszę pana. Nieczęsto bywam w tych stronach.

Jechali przez kolejne dwadzieścia minut, kiedy w oddali zamajaczyły migające światła.

- Blokada drogi - rzucił długowłosy. - Prawdopodobnie szukają zbiega.

Sloan dostrzegł dwa policyjne radiowozy. Dwóch mundurowych zmuszało nadjeżdżające samochody do zjechania na pobocze.

- Kiedy tam dojedziemy, proszę się zatrzymać - poprosił sprzedawca. - Chciałbym porozmawiać z gliniarzami.

- Nie ma sprawy.

Kiedy dotarli na miejsce, Sloan wygramolił się z samochodu.

- Będę za chwilę. - Odetchnął głęboko, jednak zdawało mu się, że do płuc nie dotarła ani odrobina powietrza. Piers ponownie zaczęła pulsować tęnym bólem.

Poczuł na sobie wzrok jednego z gliniarzy. Chwilę później potężny mężczyzna w jasnobrązowej przepoconej koszuli ruszył w jego stronę.

- Proszę stać spokojnie. O co chodzi? - Szedł teraz ku Sloanowi, trzy mając przed sobą latarkę.

Sprzedawca przedstawił się, wręczył gliniarzowi wizytówkę i zerknął na odznakę. Szeryf Mills. Funkcjonariusz obejrzał wizytówkę i spojrzął na garnitur Sloana, najwyraźniej zadowolony z faktu, że nie jest on poszukiwanym przestępcą.

- W czym mogę pomóc?  
- Chodzi o gościa, który uciekł z więzienia? - spyta! Sloan, wskazując głową radiowozy.

- Tak, proszę pana. Może widział pan coś, co mogłoby nam pomóc?

- Cóż, może to nic wielkiego. Ale pomyślałem, że powinniście wiedzieć.

- Proszę mówić.

- Jak wygląda ten zbieg?

- Uciekł zaledwie dwie godziny temu. Nie mamy jeszcze pełnego rysopisu. W każdym razie jest po trzydziestce i ma brodę. Około sześć stóp wzrostu, dobrze zbudowany. Mniej więcej tak jak pan.

- Ogolona głowa?

- Nie. Ale gdybym był na jego miejscu, pewnie zaraz bym ją ogolił.

Brodę też.

- Tatuaze?

- Nie wiem. Możliwe.

Sloan opowiedział o awarii samochodu i wizycie w domu Willisów.

- Myśli pan, że mógł pójść tamtędy?

- Tak, jeśli zachował trzeźwość umysłu. Uciekając na zachód, musiałby iść pięćdziesiąt mil przez las. Tutaj może ukraść samochód albo dotrzeć stopem do autostrady międzystanowej.

- Czyli musiałby przechodzić obok domu Willisów?

- Tak. Jeśli uciekał drogą numer dwieście dwa. Do czego pan zmierza, panie Sloan?

- Myślę, że zabójca może być w domu Willisów.

-Co?

- Nie wie pan, czy mają jakiegoś bratanka?

- Nigdy o żadnym nie wspominali.

- Cóż, w ich domu jest teraz mężczyzna, który, moim zdaniem, pasuje do opisu, jaki pan podał. Twierdził, że jest bratankiem Billy'ego, który wpadł do nich z wizytą. Mam jednak pewne podejrzenia. Po pierwsze, przyszedłem tam w porze kolacji, ale nikt nic nie jadł, nie gotował, a w kuchni nie było brudnych naczyń. Poza tym Willisowie robili wszystko, co im kazał. Jak gdyby obawiali się, że wpadnie w szal.

Szeryf znalazł w kieszeni kawałek papierowego ręcznika i przetarł nim twarz.

- Coś jeszcze?

- Facet mówił dziwne rzeczy. Gadał o śmierci i różnych wydarzeniach, które sprawiły, że zaczął widzieć śmierć w zupełnie innym świetle. Jak gdyby nie była niczym złym... Przeraził mnie. A, jeszcze jedno. Powie-

dział, że nie chce o czymś mówić w obecności obcych. Może miał na myśli mnie, ale po co w takim razie mówiłby o „obcych”? Zupełnie jakby miał na myśli mnie, Billa i Agnes.

- Dobre spostrzeżenie.

- Miał też paskudne blizny. Jak gdyby brał udział w bójce na noże. Wspomniawszy też o kimś, kto zmarł - o kobiecie, która nękała go nawet po śmierci. Pomyślałem, że chodzi mu o problemy z wymiarem sprawiedliwości, po tym jak ją zabił.

- Co mówiła ich córka?

- Córka?

- Willisowie mają córkę. Sandy. Nie widział jej pan? O tej porze wraca do domu z college'u. Pracuje na pierwszą zmianę w Taco Bell. Powinna już być w domu.

- Chryste - jęknął Sloan. - Nie widziałem jej... Ale jest coś jeszcze. Drzwi do jednej z sypialni były zamknięte, a ze środka dobiegał dziwny hałas. Miałem wrażenie, że wszyscy są nim wyraźnie zdenerwowani. Chyba nie myśli pan, że ona była... sam już nie wiem, związana i zamknięta?

- Jezus - rzucił szeryf, wycierając twarz. - Ten zbieg... został aresztowany za zgwałcenie i zamordowanie dziewczyn. Dziewczyn z college'u. - Wyciągnął nadajnik. - Do wszystkich jednostek policji z Hatfield. Mówi Mills. Prawdopodobnie mam informacje na temat zbiega. Facet może ukrywać się w domu Billa Willisa przy drodze numer dwieście dwa. Zostawcie na blokadach po jednym radiowozie, reszta ma natychmiast odpowiedzieć na zgłoszenie. Podjeżdżamy powoli, z wyłączonymi światłami. Zatrzymujecie się przy drodze nieopodal podjazdu, ale nie wchodzić do środka. Czekacie na mnie.

Nadeszły odpowiedzi.

- Być może będziemy potrzebowali pana w charakterze świadka - zwrócił się szeryf do Sloana.

- Oczywiście, jeśli tylko będę mógł pomóc.

- Niech kierowca zawiezie pana na posterunek przy Elm Street. Jest tam moja dziewczyna, Clara. Proszę powiedzieć jej to wszystko, co powiedział pan mnie. Zadzwoń do niej i powiem, żeby przyjechała pańskie zeznanie.

- Z przyjemnością, szeryfie.

Szeryf pobiegł do samochodu i usiadł za kierownicą. Jego zastępca zajął fotel pasażera i mężczyźni z piskiem opon ruszyli do domu Willisów.

Sloan przez chwilę spoglądał na oddalający się radiowóz, po czym wrócił do samochodu.

- W życiu nie przypuszczałem, że tak się to skończy.

- To najbardziej niesamowite wezwanie, jakie kiedykolwiek przyjąłem  
- odparł kierowca. - Mówię panu.

Długowłosa wyjechał na autostradę i laweta leniwie potoczyła się po asfalcie w kierunku bladej linii światła umęczonego upałam Hatfield w stanie Michigan.

- Nie widzę nikogo poza Willisami - szepnął zastępca szeryfa.

Dokonał szybkiego rozpoznania, zaglądając do domu przez boczne okienko.

- Po prostu siedzą i gadają. Bill i Agnes.

Trzech mężczyzn i dwie kobiety - pięć spośród ośmiu osób pracujących na posterunku w Hatfield - okrążyło teraz bungalow.

- Może facet jest w kiblu. Wchodźmy.

- Pukamy?

- Nie - warknął szeryf. - Nie pukamy.

Wpadli przez frontowe drzwi z takim impetem, że Agnes wypuściła z dłoni szklanekę, a Bill zerwał się z kanapy i rzucił się ku ścianie, na której wisiały strzelby, zanim rozpoznał w intruzach szeryfa i jego zastępców.

- Boże miłosierny, ale nas przestraszyłeś, Hal.

- Myślałam, że umrę ze strachu - mruknęła Agnes. - Nie bluźnij, Bill.

- Nic się wam nie stało?

- Oczywiście, że nic się nie stało. Czemu pytasz?

- A wasza córka?

- Wyszła z przyjaciółmi. To o nią chodzi? Nic jej nie jest?

- Nie, nie chodzi o nią. - Mills opuścił broń. - Gdzie on jest, Bill? -Kto?

- Facet, który był w waszym domu.

- Ten, któremu zepsuł się samochód? - spytała Agnes. - Odjechał z lawetą.

- Nie, nie ten. Ten, który kazał mówić na siebie Greg.

- Greg? - powtórzyła Agnes. - On też już wyszedł. O co chodzi?

- Kim on jest? - spytał szeryf.

- To syn mojego młodszego brata - odparł Bill.

- Naprawdę jest twoim bratankiem?

- Przykro mi to mówić, ale tak.

Szeryf odłożył broń.

- Ten Sloan, facet, który dzwonił z waszego telefonu po pomoc drogą, powiedział, że być może Greg jest zbiegiem. Myśleliśmy, że trzy ma was jako zakładników.

- Jakim znów zbiegiem?  
- Zabójcą, który uciekł z więzienia na zachód stąd. Psychopatą. Zbiegł stamtąd kilka godzin temu.

- Nie! -jęknęła Agnes. - W ogóle nie oglądaliśmy wieczornych wiadomości.

Szeryf powtórzył słowa Sloana na temat dziwnego zachowania Gre-ga i faktu, że Willisowie najwyraźniej chcieli pozbyć się mężczyzny, a nawet obawiali się go.

Wysłuchawszy szeryfa, Agnes pokiwała głową.

- Widzi pan, my...

Głos uwiązał jej w gardle i kobieta zerknęła pytająco na męża.

- W porządku, kochanie - odparł Bill. - Możesz im powiedzieć.

- Kiedy Bill w ubiegłym roku stracił pracę, nie wiedzieliśmy, co robić. Mieliśmy niewiele oszczędności, a moja praca w bibliotece, cóż... nie były to kokosy. Musieliśmy pożyczyć trochę grosza. Ludzie w banku nie chcieli nawet z nami rozmawiać, więc zadzwoniliśmy do Grega.

Wyraźnie zawstydzony Bill pokiwał smętnie głową.

- To najbogatszy człowiek w rodzinie.

-On?

- Tak - odparła Agnes. - Jest hydraulikiem... nie, przepraszam, „wykonawcą usług wodno-kanalizacyjnych”. Dorabia się w szybkim tempie. Ma osiem ciężarówek. Odziedziczył interes po śmierci brata Billa.

Tym razem głos zabrał Bill:

- Pożyczył mi pieniądze, jednak domagał się drugiej hipoteki na dom. I udziałów. Chciał więcej niż ci w banku. Zachowywał się naprawdę podle, zwłaszcza że przed śmiercią jego ojca nie widywaliśmy się zbyt często

- mój brat i ja nie byliśmy w najlepszych stosunkach. Mimo to wypisał nam czek. Myślałem, że do tej pory znajdę już jakąś pracę, ale myliłem się. W dodatku skończył mi się zasilek. Kiedy nie mogłem spłacać rat, przestałem odbierać telefony. Było mi strasznie głupio. W końcu przyjechał wieczorem i wpadł z nieoczekiwaną wizytą. Dał nam popalić. Straszyl, że zajmie mieszkanie i wyrzuci nas na bruk.

- Wtedy przyjechał pan Sloan. Liczyliśmy, że zostanie. Mieliśmy już dość siedzenia tu i wysłuchiwania tyrad Grega.

- Sloan powiedział, że facet miał blizny. Jakby ktoś pociął go nożem.

- Wypadki przy pracy - odparł Bill.

- Co miał na myśli, mówiąc o kobiecie, która zmarła kilka lat temu?

Bill pokiwał głową.

- Nie powiedział dokładnie, o co mu chodziło. - Zerknął na Agnes.

- Przypuszczam, że mówił o swojej dziewczynie. Zginęła w wypadku sa-



mochodowym i Greg przez kilka miesięcy opiekował się jej synem. To był koszmar. Widzi pan, Greg nie jest najlepszym ojcem. W końcu chłopaka przygarnęła jej siostra.

Szeryf przypomniał sobie coś jeszcze.

- Sloan mówił, że słyszał coś w drugim pokoju. Jakies podejrzane odgłosy.

- To była Sandy - odparta, rumieniąc się, Agnes.

- Wasza córka?

Kobieta pokiwała głową. Najwyraźniej trudno jej było o tym mówić, więc to Bill wyjaśnił pokrótce całą sprawę:

- Wróciła do domu z chłopakiem. Poszli do jej pokoju, żeby mogła się przebrać przed wyjściem. Potem... wie pan, to znaczy, może się pan do myślić... Mówiłem jej, żeby okazywała nam trochę szacunku. Żeby nie robiła z nim nic takiego, kiedy jesteśmy w domu, ale ona nas nie słucha.

A więc to wszystko jest tylko jakimś nieporozumieniem, pomyślał Mills.

Bill roześmiał się cicho.

- A wy myśleliście, że Greg jest mordercą. To szaleństwo.

- Nic dziwnego - odparł szeryf. - Pomyśl tylko. Facet zbiegł dziś o piętej. Mniej więcej tyle czasu potrzebowałby, żeby ukraść samochód i wczesnym wieczorem dotrzeć tu z Durrant.

- Chyba masz rację.

Szeryf odwrócił się do drzwi i nacisnął klamkę.

- Chwileczkę, Hal - przerwał Bill. - Powiedziałeś: Durrant?

- Tak. To z tamtejszego więzienia zwiął zabójca.

Bill spojrzał na Agnes.

- Czy ten facet, Sloan, nie mówił, że właśnie wraca z Durrant?

- Tak. Jestem tego pewna.

- Poważnie? - spytał szeryf. Odwrócił się od drzwi i podszedł do Wil-lisów. - Co jeszcze mówił?

- Niewiele. Tylko tyle, że sprzedaje komputery.

- Komputery? - Szeryf zmarszczył brwi. - Tutaj?

- Tak właśnie powiedział.

Dziwne; Hatfield nie należało do miejsc, które entuzjastycznie szły z duchem czasu. Najbliższy sklep komputerowy znajdował się piętnaście mil na południe.

- Coś jeszcze?

- Teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że facet unikał odpowiedzi. Nie był zbyt rozmowny. Powiedział tylko, że jego rodzice nie żyją.

- I wcale nie wydawał się tym faktem przygnębiony - dodała Agnes.

W umyśle szeryfa pojawiła się kolejna myśl: Sloan był mniej więcej w tym samym wieku co zbiegły morderca. I nawet podobnie zbudowany. Miał też ciemne włosy.

Niech to szlag, pomyślał, nawet nie sprawdziłem jego prawa jazdy, zerknąłem tylko na wizytówkę. Może facet zabił prawdziwego Sloana i ukradł jego auto?

- A, jeszcze jedno. Powiedział, że przegrzał mu się samochód - dodał **Bill**. - Czy sprzedawca nie powinien jeździć nowym wozem? Poza tym komu w dzisiejszych czasach przegrzewają się samochody? Rzadko słyszy się o czymś takim. Na dodatek niemal w nocy.

- Matko Chrystusowa -jęknęła Agnes i chcąc znaleźć usprawiedliwienie dla użycia imienia boskiego nadaremno, przeżegnała się. - Był tutaj, w naszym domu.

Jednak myśli szeryfa gnały teraz w zupełnie innym, niepokojącym kierunku. Sloan wiedział, że będą blokady dróg. Dlatego zepsuł samochód, zadzwonił po pomoc drogową i bez trudu przejechał przez blokadę. Cholera, facet miał jaja. Sam podszedł do mnie i sprzedał mi historyjkę o Gregu - po to tylko, by odwrócić naszą uwagę.

A my pozwoliliśmy mu uciec. Przecież mógł być...

Nie!

Mills poczuł bolesny ucisk w trzewiach. Rany boskie, wysłał Sloana na posterunek, gdzie jedyną osobą była Clara! Dwadzieścia jeden lat. Prawdziwa piękność.

Clara, którą nazywał „swoją dziewczyną” nie dlatego, że był męskim szowinistą, lecz dlatego, że była jego córką i w czasie wakacji pracowała na posterunku.

Chwycił telefon Willisów i zadzwonił na posterunek. Cisza.

Szeryf Mills jak oszalały wybiegł z domu i pognał do samochodu.

- Boże, proszę, nie...

Biegący za nim zastępca również zmówił cichą modlitwę. Jednak szeryf jej nie słyszał. Siadał już za kierownicą, zatraskując drzwi radiowozu.

Dziesięć sekund później ford crown victoria pędził sześćdziesiąt mil na godzinę, rozcinając gęste i gorące niczym zupa powietrze, upstrzone małeńkimi światełkami tysięcy świetlików.

Tym razem nie było czasu na rozpoznanie.

W centrum miasteczka, na Elm Street, szeryf wpadł w poślizg, uderzając w kulebki na śmieci i zasypując ulicę pustymi butelkami i opakowaniami po lodach Good Humor.

Siedzący na fotelu pasażera zastępca załadował i odbezpieczył krótką śrutówkę.

- Co robimy? - spytał.

- To - warknął szeryf i pchnął ramieniem drzwi wejściowe. Z uniesioną bronią wpadł na posterunek.

Chwilę później obaj mężczyźni stanęli jak wryci, wlepiając wzrok w dwoje ludzi, którzy w spokoju popijali mrożoną herbatę Arizona. Dave Sloan i córka szeryfa w osłupieniu patrzyli na intruzów.

Gliniarze opuścili broń.

- Tato!

- Co się stało, szeryfie? - spytał Sloan.

- Ja... - bąknął Mills. - Panie Sloan, czy może mi pan pokazać jakiś dokument?

Sloan wyjął prawo jazdy. Nie było wątpliwości, że to on jest facetem na zdjęciu. Zawstydzony Mills pokrótce opowiedział o podejrzeniach, których nabrał po rozmowie z Willisami.

Jednak Sloan przyjął rewelacje szeryfa z dobrotliwą wyrozumiałością.

- No cóż, chyba powinien mnie pan być najpierw poprosić o dokumenty, szeryfie.

- Ma pan rację; faktycznie powinienem to zrobić. Chodzi o to, że wszystko wydawało się takie podejrzane. Na przykład to, że powiedział im pan, że wraca z Durrant...

- Moja firma zajmuje się instalacją i serwisowaniem więziennych komputerów. To jedno z naszych większych zleceń. - Przez chwilę grzebał w kieszeni, po czym wyciągnął pisemne zlecenie. - Te awarie prądu są dla komputerów zabójcze. Jeśli nie wyłączy się ich w odpowiedni sposób, mogą być problemy.

- Przykro mi, ale musi pan zrozumieć...

- .. że macie zbiega na wolności. - Sloan roześmiał się. - A zatem Willisowie myśleli, że to ja jestem mordercą... Cóż, nie mogę mieć do nich pretensji, w końcu sam podejrzewałem Grega.

Dzwoniłem wcześniej - zwrócił się szeryf do córki - ale nikt nie odbierał. Gdzie byliście?

- Ach, padła klimatyzacja. Pan Sloan i ja poszliśmy zobaczyć, czy da się coś zrobić.

W tym momencie stojący w pomieszczeniu faks zaczął niespiesznie wypływać kartkę papieru. Było na niej zdjęcie młodego mężczyzny z brodą i krótko przystrzyżonymi, ciemnymi włosami: pochodząca z policyjnej kartoteki fotografia zbiega.

Szeryf pokazał ją Sloanowi i Clarze.

- Nazywa się Tony Windham. Bogaty dzieciak z Ann Arbor. Zamożni rodzice, fundusze powiernicze, prywatna szkoła średnia. Ukończył ją z wyróżnieniem. Coś mu się jednak pomieszało. Zabił sześć kobiet, a podczas procesu nie okazał cienia skruchy. Cóż, ten facet na pewno nie wyjedzie z Hatfield. Jedynymi drogami, prowadzącymi do autostrady międzystanowej, są dwieście dwa i siedemnaście, a nasi ludzie zatrzymują i sprawdzają każdy samochód. Właśnie, powinniśmy odesłać ludzi z powrotem na blokady - zwrócił się do zastępcy.

Kiedy opuścili posterunek, Mills wskazał Sloanowi warsztat, w którym naprawiano chevroleta. Chwilę później szeryf i jego zastępca wrócili do radiowozu. Ojciec Clary przetarł czoło wilgotnym papierowym ręcznikiem i pożegnał sprzedawcę słowami:

- Szerokiej drogi.

Sloan roześmiał się.

- Dzięki. Dobranoc, szeryfie.

W Earl's Automotive Sloan podszedł do spoconego i umazanego smarem mechanika.

- Dobra, zrobione - oznajmił długowłoso.

- Co to było?

- Spadła nakrętka z chłodnicy i wylał się płyn. Aż mi głupio, że muszę policzyć sobie za coś takiego.

- Ale i tak pan to robi.

Mężczyzna zdjął przepoconą czapkę, przetarł nią czoło i włożył ją z powrotem.

- Gdyby nie pański wóz, brałbym teraz zimny prysznic.

- To chyba dobry powód.

- Wezmę dwadzieścia, plus holowanie.

W każdej innej sytuacji Sloan targowałby się z mechanikiem, teraz jednak chciał jak najszybciej ruszyć w drogę. Zapłacił więc, wsiadł do wozu, zapalił silnik i włączył klimatyzację. Chwilę później był już na drodze wyjazdowej z miasteczka.

Dziesięć mil na wschód od Hatfield, w okolicach autostrady między-stanowej, skręcił na parking przy dworcu autobusowym w Greyhound. Zaparkował w odludnym miejscu, wysiadł z samochodu i otworzył bagażnik.

Zajrzawszy do środka, skinął głową do młodego mężczyzny w więziennym kombinezonie. Mężczyzna zmrużył oczy w oślepiającym świetle latarni i, wciąż leżąc w pozycji embrionalnej, niemal zachłysnął się świeżym powietrzem.

- Jak tam? - spytał Sloan.
- Chryste - jęknął Tony Windham, poruszywszy głową. - Upał, zawroty, skurcze.
- Wsiądź powoli.

Sloan pomógł mężczyźnie wygramolić się z bagażnika. Nawet z brodą i mokrymi od potu włosami Tony Windham bardziej przypominał eleganckiego bankiera niż seryjnego zabójcę, choć - jak przypuszczał Sloan - te dwie profesje nie musiały się wzajemnie wykluczać.

- Przepraszam - zaczął. - Czekałem na lawetę dłużej, niż się tego spodziewałem. Później utknąłem w biurze szeryfa, czekając na jego przyjazd.

- Wypiłem dwie kwarty wody - wtrącił Windham - i wciąż nie chce mi się sikać.

Sloan rozejrzał się po pustym parkingu.

- O pełnej godzinie odjeżdża autobus do Cleveland. Tu masz bilet i fałszywe prawo jazdy. - Mówiąc to, podał mężczyźnie sportową torbę z przyborami kosmetycznymi i ubraniami na zmianę. Zabójca skrył się w cieniu za kubłem na śmieci i tam przebrał się w dżinsy i koszulkę z napisem „Rock and Roli Hall of Fame”. Więzienny kombinezon upchnął w pojemniku. Chwilę później przykucnął i używając wody mineralnej Evian i żelu Edge, zgolił brodę, dotykając palcami twarzy w poszukiwaniu pojedynczych włosków. Kiedy skończył, włożył na głowę czapkę baseballową.

- Jak wyglądam?
- Jak zupełnie inny człowiek.
- Cholera! - rzucił chłopak. - Zrobiłeś to, Sloan. Dobry jesteś.

Sprzedawca spotkał Tony'ego Windhama w więziennej bibliotece, kiedy instalował w komputerach nowe oprogramowanie. Chłopak wydał mu się uroczy, bystry i wrażliwy - czyli miał wszystkie cechy, które czyniły Sloana doskonałym sprzedawcą. Wkrótce między mężczyznami zawiązała się przyjaźń, którą Windham przypieczętował, prosząc Sloana o jedną rzecz, którą ten mógł mu sprzedać: wolność. Nie było negocjacji. Sloan wycenił usługę na trzy miliony dolarów, które Windham zgodził się przelać na jedno z zagranicznych kont sprzedawcy.

Zaplanowali akcję na najgorętszy dzień w roku. Wówczas Sloan miał upozorować krótkotrwałą awarię prądu i przy użyciu komputerów wyłączyć zasilanie i systemy bezpieczeństwa. To dawało Windhamowi chwilę, by wydostać się za ogrodzenie. Sloan miał wywieźć zabójcę w bagażniku zaopatrzonym w wodę i specjalne drobne otworki, ułatwiające oddychanie.

Jako że jechali od strony więzienia, Sloan spodziewał się blokad drogowych. Dlatego zatrzymał samochód nieopodal domu przy trasie 202 i zdjął nakrętkę z chłodnicy, licząc, że samochód się przegrzeje. Mieszkańców poprosił o możliwość skorzystania z telefonu. Zamierzał dowiedzieć się o nich czegoś więcej, tak by móc przedstawić gliniarzom wiarygodną bajeczkę o rozgrywających się w domu podejrzanych wypadkach i uniknąć przeszukania samochodu. Nie przypuszczał jednak, że spotka tam kogoś tak nawiedzzonego jak szalony hydraulik, Greg.

*Pomyślałem, że nie ma różnicy pomiędzy życiem a śmiercią. Żadnej. Co wy na to?*

Sloan wręczył Tony'emu Windhamowi pięćset dolarów w gotówce.

Zabójca uściśnął jego dłoń i sposepniał.

- Pewnie się zastanawiasz, czy teraz, kiedy jestem już wolny, zacznę nowe życie. Czy też będę robił to co dawniej. To znaczy, z dziewczynami.

Sloan uniósł dłoń, by mu przerwać.

- Pozwól, że powiem ci coś o swoim zawodzie, Tony. Z chwilą gdy zostaje spisana umowa, dobry sprzedawca przestaje interesować się tym, co klient zrobi z produktem.

Chłopak pokiwał głową i przewiesiwszy torbę przez ramię, ruszył w kierunku dworca.

Tymczasem Sloan wrócił do firmowego wozu i uruchomił silnik. Otworzył dyplomatkę i spojrział na jutrzejszy grafik. Wygląda nieźle, pomyślał. Chwilę później włączył klimatyzację, wyjechał z parkingu i ruszył na wschód, szukając miejsca, w którym mógłby zatrzymać się na noc.

*Wierzysz w Boga, Sloan?*

*Nie. Wierzę w sprzedaż. To wszystko.*

*Czyli tak właśnie wygląda twoja dusza.*

Z pewnością, pomyślał Sloan.

Rozgrzana do temperatury trzydziestu sześciu i sześciu dziesiątych stopnia.

## Mile miejsce

Kiedy jest się urodzonym kanciarzem, kombinatorem czy graczem, człowiek odkrywa w sobie szósty zmysł, który pozwala zwęszyć okazję. To właśnie robił Ricky Kelleher, patrząc na dwóch gości, którzy siedzieli w zadymionym barze, przy zapaćkanym oknie z pięcioletnią dziurą po kuli.

O czymkolwiek rozmawiali, nie wyglądali na szczęśliwych. Ricky obserwował. Jednego z nich widział u Hanny'ego kilka razy. Facet był w garniturze i krawacie, przez co rzucał się w oczy i pasował do spelunki jak wół do karety. Drugi nosił skórzaną kurtkę i obcisłe dżinsy, miał ogolone włosy ludzi z niższych klas; Ricky nazwał go kiepską kopia Gambina. Albo Soprana - taa, był to typ skurwiela, który zastawiłby własną żonę za wielkoekranowy telewizor. Facet zdawał się wyraźnie wkurzony i na wszystko, co mówił mu Pan Garnitur, reagował nerwowym kiwaniem głową. W pewnym momencie walnął pięścią w bar, aż zadzwoniły szklanki. Mimo to nikt nic nie zauważył. Tak właśnie było u Hanny'ego.

Ricky siedział z tyłu, przy krótkim barze w kształcie litery L, jego tronie. Barman, brudny staruszek, może czarny, może biały, trudno powiedzieć, od czasu do czasu z niepokojem zerkał na klócących się mężczyzn.

- W porządku - zapewnił go Ricky. - Mam na nich oko.

W pewnym momencie Pan Garnitur otworzył dyplomatkę. W środku znajdowały się papiery. Większość interesów w tym zatęchłym, ciemnym barze w Hell's Kitchen, na zachód od Midtown, polegała na wymianie toreb pełnych siekanego zielska i walizek johnniego walkera, które spadły z ciężarówki. Transakcje finalizowano w męskiej toalecie lub ciemnej alejce na zapleczu baru. Tym razem chodziło o coś innego. Szczapowaty Ricky nie miał pojęcia, co dokładnie jest na rzeczy, jednak to magiczne przeczucie, oko gracza, mówiło mu, że powinien mieć się na baczności.

- Pieprzyć to - powiedział Gambino do Garnituru.  
- Przykro mi. - Wzruszenie ramion.  
- Taa, już to mówiłeś. - Gambino podniósł się z krzesła. - Ale nie gadasz jak ktoś, komu jest naprawdę cholernie przykro. Wiesz dlaczego? Ponieważ to ja zostałem bez kasy.

- Gówno prawda. To ja tracę cały pieprzony interes.  
Ricky wiedział, że ludzie, którzy tracą pieniądze, zwykle nie interesują się tym, że traci je również ktoś inny. Tak to już jest. Gambino był coraz bardziej wkurzony.

- Posłuchaj uważnie, przyjacielu. Zadzwoń w kilka miejsc i ściągnę tu paru znajomych. Uwierz mi, nie chciałbyś zadzierać z tymi gośćmi.

Pan Garnitur postukał palcem w coś, co wyglądało jak artykuł z gazety.

- I co mi zrobią? - Zniżył głos i szepnął coś, co sprawiło, że twarz Gambina wykrzywiła się z odrazą. - A teraz idź do domu, nie wychylaj się i miej się na baczności. Módl się, żeby nie... - Po raz kolejny zniżył głos i Ricky nie usłyszał, o co Gambino miał się modlić.

Zamiast tego zobaczył, że po raz kolejny walnął pięścią w blat.

- To ci nie ujdzie na sucho, dupku. A teraz...

- Hej, panowie! - zawołał Ricky. - Może by tak ciszej, dobra?

- Kim ty, kurwa, jesteś, mały człowieczku? - warknął Gambino.

Pan Garnitur dotknął jego ramienia, ale facet szarpnął się i wbił w Ricky'ego nienawistne spojrzenie.

Ricky zaczesał do tyłu tłuste jasne włosy. Zszedł ze stołka i ruszył w kierunku okna, stukając obcasami po wytartej podłodze. Facet był o piętnaście centymetrów wyższy i trzydzieści funtów cięższy, jednak dawno temu Ricky nauczył się, że szaleństwo przeraża ludzi dużo bardziej niż wzrost, waga czy mięśnie. Dlatego zrobił to co zawsze, gdy stawał z kimś twarzą w twarz - na jego obliczu pojawił się obłęd, a oszalałe oczy patrzyły wprost na Gambina. Chwilę później ryknął:

- Kim jestem? Jestem facetem, który zaciągnie twój tyłek do alejki i je śli natychmiast się stąd nie wyniesiesz, dopierdoli ci tak, że nie będziesz pamiętał, jak się nazywałeś.

Facet cofnął się i zamrugnął zdziwiony.

- Pieprz się, popaprańcu - syknął, jakby tylko tyle potrafił powiedzieć.

Ricky jednak nie ruszył się z miejsca i - wciąż z tym samym upiornym uśmiechem na twarzy - pozwolił, by facet wyobraził sobie, co się stanie, jeśli jeszcze raz otworzy gębę.

Mijały sekundy.



W końcu Gambino drżącą ręką wychylił resztkę piwa i starając się zachować ostatki godności, skierował się do drzwi, śmiejąc się i mamrocząc: „Kutas”, jak gdyby to Ricky dał za wygraną.

- Przepraszam za to zajście - rzucił Pan Garnitur, wstając od stolika i kładąc na blacie gotówkę.

- Nie, ty zostajesz - warknął Ricky. -Ja?

- Tak, ty.

Facet zawahał się, ale posłusznie został na miejscu. Ricky zerknął na otwartą dyplomatkę i zobaczył zdjęcia eleganckich łodzi.

- Tu nie można się wychylać, rozumiesz? Trzeba zachować ciszę.

Garnitur powoli rozejrzał się dookoła, omiatając wzrokiem wycięte z kartonu, spłowiałe butelki piwa, informujące o promocjach, poplamione plakaty sportowe i pajęczyny.

- Jesteś właścicielem?

Ponieważ barman stał zbyt daleko, by cokolwiek usłyszeć, Ricky odparł:

- Mniej więcej.

- Jersey. - Pan Garnitur wskazał głową drzwi, którymi chwilę wcześniej wyszedł Gambino. Jak gdyby to tłumaczyło wszystko.

Siostra Ricky'ego mieszkała w Jersey i przez chwilę się zastanawiał, czy nie powinien potraktować tej odzywki jak osobistej zniewagi. Był przecież lojalnym facetem. W końcu zdecydował, że lojalność nie ma nic wspólnego ze stanami, miastami czy innym gównem.

- Czyli facet stracił pieniądze?

- Nieudana transakcja handlowa.

- Aha. Ile?

- Nie wiem.

- Jeszcze jedno piwo dla tego pana! - zawołał do barmana Ricky, po czym zwrócił się do mężczyzny: - Robisz z nim interesy i nie wiesz, ile stracił?

- Nie wiem tylko - odparł Pan Garnitur, wlepiając w Ricky'ego spojrzenie ciemnych oczu - po co, kurwa, miałbym ci o tym mówić.

To była chwila, w której sprawy mogły przybrać niemiły obrót. Moment kłępującej ciszy. Wtedy Ricky wybuchnął śmiechem.

- Bez obaw.

Na stole pojawiły się dwie szklanki z piwem.

- Ricky Kelleher. - Stuknął szklanką w szklankę mężczyzny.

- Bob Gardino.

- Widziałem cię tu wcześniej. Mieszkasz w okolicy?
- Głównie na Florydzie. Od czasu do czasu wpadam tutaj w interesach. Do Delaware. Baltimore. Jersey Shore, Marylandu.
- Naprawdę? Mam tam domek letniskowy, do którego często jeżdżę.
- Gdzie?
- W Ocean City. Cztery sypialnie na wodzie. - Ricky nie wspomniał, że dom należy do T.G.
- Super. - Mężczyzna pokiwał głową z uznaniem.
- Nie jest źle. Ale rozglądam się już za czymś innym.
- Nieruchomości nigdy za wiele. To lepsze niż giełda.
- Nieźle sobie radzę na Wall Street - odparł Ricky. - Trzeba tylko wiedzieć, czego szukać. Nie można kupować akcji jedynie dlatego, że są... no wiesz... seksowne. Słyszałem to w jakimś programie telewizyjnym.
- Święta prawda. - Tym razem to Gardino stuknął szklanką w szklankę Ricky'ego.
- Kurewsko ładne te łodzie. - Ricky wskazał głową teczkę. - Tym się zajmujesz?
- Między innymi. A co ty robisz, Ricky?
- Zajmuję się różnymi rzeczami. Prowadzę wiele interesów. W okolicy i innych miejscach. Na przykład w Marylandzie. Ktoś, kto ma sokoli wzrok, od razu spostrzegłby, że tu idzie o dużą kasę.
- A ty masz sokoli wzrok, Ricky?
- Chyba tak. I wiesz, co on teraz widzi?
- Kto, twój sokoli wzrok?
- Taa.
- Co takiego?
- Kanciarza.
- Ka...?
- Wytrawnego oszusta.
- Wiem, kto to jest kanciarz - odparł Gardino. - Nie wiem tylko, dlaczego myślisz, że ja nim jestem.
- Cóż, na przykład nie przychodzisz do Hanny'ego...
- Do Hanny'ego?
- No tak. Tutaj.
- A.
- ...żeby sprzedawać łódki jakimś skończonym dupkom. O co więc na prawdę chodzi?
- Gardino zachichotał, ale nic nie powiedział.
- Posłuchaj - szepnął Ricky. - Jestem w porządku. Możesz popytać na ulicy.

- Nie ma nic do opowiadania. Transakcję szlag trafił. Zdarza się.
- Nie jestem gliniarzem, jeśli tak myślisz. - Ricky rozejrzał się dookoła, sięgnął do kieszeni i wyjął torebkę haszu, którą trzymał dla T.G.
- Uważasz, że gdybym był gliną, miałbym przy sobie coś takiego?
- Wcale nie myślę, że jesteś gliną. Wyglądasz na porządnego faceta. Ale nie muszę wywnętrzać się przed każdym porządnym facetem, którego spotkam na swojej drodze.
- Już to słyszałem. Tyle że... zastanawiałem się, czy moglibyśmy wspólnie ubić jakiś interes.
- Gardino pociągnął łyk piwa.
- Znowu? Po co?
- Powiedz mi tylko, na czym miał polegać przekręt.
- To nie żaden przekręt. Zamierzałem sprzedać facetowi łódź. Nie wyszło. Koniec tematu.
- Cóż... widzisz, tak sobie myślę - podjął Ricky głosem wytrawnego gracza. - Widziałem ludzi, którzy wkurzali się, bo nie dostali samochodu, który chcieli, domu albo jakiejś cipki. Ale tamten dupek wkurzył się, bo nie dostał łódki. Ani zwrotu pieniędzy. Pytam więc, jak to się stało, że ich nie dostał?
- Gardino wzruszył ramionami.
- Widząc to, Ricky przypuścił kolejny atak:
- Co powiesz na małą grę, tylko ty i ja? Zapytam cię o coś, a ty powiesz mi, czy mam rację, czy nie. No jak?
- Dwadzieścia pytań?
- Może być. Dobra, spróbujmy. Pożyczasz - mówiąc to, uniósł ręce i palcami nakreślił w powietrzu cudzysłów - łódź, sprzedajesz ją jakiemuś biednemu dupkowi, ale okazuje się, że w drodze do niego łódka tonie... - kolejny cudzysłów - .. i nic nie możesz na to poradzić. Facet traci zaliczkę. Jest wkurwiony. Szkoda, bo kto za to beknie? W końcu to kradziony towar.
- Gardino utkwił wzrok w szklance z piwem. Sukinsyn, wciąż nie puszczał pary z gęby. Ricky dodał więc:
- Tyle że nigdy nie było żadnej łódki. Nigdy nie ukradłeś żadnej pieprzonej rzeczy. Pokazałeś facetowi zdjęcia, które zrobiłeś w porcie, i fałszywy policyjny raport albo inne gówno.
- Facet roześmiał się, ale wciąż milczał.
- Ryzykujesz tylko tyle, że jakiś pieprzony dupek spuści ci łomot, kiedy się okaże, że stracił pieniądze. Niezły przekręt.
- Sprzedaję łodzie - odparł ze spokojem Gardino. - To wszystko.

- Dobra, sprzedajesz łodzie. - Ricky wlepił w niego uważne spojrzenie. Musiał spróbować z innej beczki. - A to znaczy, że szukasz klientów. Co powiesz, jeśli znajdę chętnego?

- Znasz kogoś, kto byłby zainteresowany łodzią?
- Jest jeden facet. Możliwe, że byłby zainteresowany.

Gardino zastanawiał się chwilę.

- Facet, o którym mówimy, to twój przyjaciel?
- Nie wrobiłbym go, gdyby był przyjacielem.

Przez wiszące nad Eight Avenue chmury przedarło się słońce. Jego promienie padały teraz na szklanę Gardina, kładąc się na stole chorobliwą żółcią. W końcu mężczyzna zwrócił się do Ricky'ego:

- Podciągnij koszulę.
- Co...?
- Koszulę. Podciągnij ją i odwróć się.
- Myślisz, że mam podstęp?
- Albo wypijemy piwo, pogadamy o Knicksach i grzecznie się rozsta niemy. Wybieraj.

Wstydzając się swej chuderławej budowy, Ricky zawahał się na moment. W końcu wstał z krzesła, podniósł skórzaną kurtkę, podwinął brudną koszulkę i okręcił się dookoła.

- Dobra, teraz ty.

Gardino roześmiał się. Ricky pomyślał, że bardziej niż z całej sytuacji śmieje się z niego, zapanował jednak nad gniewem.

Oszust podniósł marynarkę i koszulę. Zaniepokojony barman zerknął wprawdzie w ich stronę, ale wyglądał na faceta, który widział już w życiu prawie wszystko. Koniec końców, pracował przecież u Hanny'ego.

Facet usiadł z powrotem i Ricky zamówił kolejne piwo.

Dopiero wówczas Gardino szepnął:

- Dobra. Powiem ci, o co mi chodzi. Ale słuchaj uważnie. Zanim przyjdzie ci do głowy, że mógłbyś na mnie donieść, musisz wiedzieć dwie rzeczy: Po pierwsze, to, co robię, nie do końca jest legalne. Nie chodzi o to, że kantuję byle kogo albo sprzedaję dzieciakom crack. Rozumiesz? Więc nawet jeśli piśniesz o czymś gliniarzom, w najgorszym wypadku oskarżą mnie o jakieś gówniane wprowadzanie w błąd i wyśmieją cię na poste runku.

- Nie, człowieku, poważnie...

Gardino podniósł palec.

- Po drugie, jeśli mnie zakupujesz, pamiętaj, że mam na Florydzie kilku znajomych, którzy znajdą cię i sprawią, że będziesz wykrwawiał się przez kilka dni. - Uśmiechnął się złowieszczo. - Rozumiemy się?

Rozumieli się, cokolwiek facet miał na myśli.

- Bez obaw - odparł Ricky. - Chcę tylko zarobić trochę szmalu.

- Dobra, tak to działa. Pieprzyć opłaty. Klienci płacą za wszystko z góry. Sto, sto pięćdziesiąt tysięcy.

- Bez jaj.

- Mówię im, że znam miejsce, gdzie przetrzymywane są skonfiskowane łodzie. To akurat się zgadza. Rządowa Agencja do Walki z Narkotykami holuje je za narkotyki, a jeśli właściciel żegluje po pijaku, zajmuje się nimi straż przybrzeżna albo policja. Później łodzie wystawiane są na aukcję. Problem w tym, że na Florydzie jest tak dużo łodzi, że aby je zalogować, potrzeba czasu. Mówię klientom, że moi wspólnicy włamią się na policyjny parking około trzeciej nad ranem i odholują łódź, zanim gliny sporządzą raport. Towar przetrzucimy do Delaware albo do Jersey, wybijemy nowe numery i po sprawie; za sto tysięcy otrzymujesz sprzęt wart pół miliona dolarów.

Później, kiedy dostanę już pieniądze, informuję klienta o niezwykle przykrym zajściu. To właśnie o tym rozmawiałem ze swoim przyjacielem z Jersey. - Wyjął z teczki artykuł z gazety. Nagłówek głosił:

#### TRZY OSOBY ARESZTOWANE ZA KRADZIEŻ NA PARKINGU STRAŻY PRZYBRZEŻNEJ

Artykuł opisywał kradzież skonfiskowanych łodzi z federalnego parkingu straży przybrzeżnej. W dalszej części informowano, że w związku z tym wzmociono ochronę, a FBI i miejscowa policja próbowały ustalić, kto mógł kupić pół tuzina kradzionych łodzi. Aresztowano szefów i odzyskano prawie milion dolarów w gotówce od nabywców ze Wschodniego Wybrzeża.

Ricky zerknął na artykuł.

- Co zrobiłeś? Sam to wydrukowałeś?

- Procesor tekstów. Podarłem trochę brzegi, żeby wyglądało jak kserokopia artykułu wyrwanego z gazety.

- Cholera, a więc straszysz tych ludzi, wmawiając im, że być może gliny wpadną na ich trop albo ustalą, do kogo należały pieniądze.

*A teraz idź do domu, nie wychylaj się i miej się na baczności.*

- Niektórzy przez kilka dni robią aferę, ale większość najzwyczajniej w świecie zapada się pod ziemię.

To wymagało kolejnego stuknięcia się szklankami.

- Genialne, kurwa.

- Dzięki.

- Dobra, załóżmy, że znajdę ci klienta. Ile będę z tego miał?
- Gardino myślał chwilę.
- Dwadzieścia pięć procent.
  - Pięćdziesiąt. - Ricky zmierzył go słynnym wzrokiem oszalałego Kellehera, ale Gardino wytrzymał spojrzenie, czym niewątpliwie zasłużył sobie na szacunek.
  - Dam ci dwadzieścia pięć procent, jeśli nabywca zapłaci sto tysięcy albo mniej. Trzydzieści, jeśli cena będzie wyższa.
  - Powyżej stu pięćdziesięciu chcę dostać połowę - nie dawał za wygraną Ricky.
- Przez chwilę Gardino kalkulował. W końcu oznajmił:
- Umowa stoi. Naprawdę znasz kogoś, kto dysponuje taką go tówką?
- Ricky dopił piwo i nie płacąc, ruszył w kierunku wyjścia.
- Właśnie tym mam zamiar się zająć.

Ricky wszedł do Macka.

Bar przypominał spelunkę Hanny'ego, cztery dzielnice dalej; był jednak bardziej zatłoczony. Miało to związek z pobliskim centrum kongresowym; setki kierowców ciężarówek, elektryków i stolarzy spędzało w lokalu piętnastominutowe przerwy, które z reguły trwały dwie godziny. Mack znajdował się także w lepszej okolicy: przebudowane domy, drogie jak jasna cholera, nowe budynki, a nawet Starbucks. Wszystko tu było cholernie inne od ponurej strefy walki, jaką od lat siedemdziesiątych było Hell's Kitchen.

T.G, gruby Irlandczyk po trzydziestce, siedział z trzema czy czterema kolesiami przy stoliku w kącie.

- Proszę, proszę, Limę Ricky! - krzyknął. Nie był ani pijany, ani trzeźwy - czyli taki, jak zwykle. T.G. miał w zwyczaju wymyślać ludziom ksywy. Uważał, że to zabawne, ale najwyraźniej nie miał pojęcia, jak bardzo wkurzał tym ludzi. Nawet nie tyle samymi ksywami, ile sposobem, w jaki je wypowiadał. Na przykład, Ricky nie wiedział, kim (albo czym) jest Limę Ricky; drinkiem czy innym dziadostwem; jednak szyderstwo w głosie T.G. było wręcz upokarzające. Mimo wszystko człowiek musiał mieć jaja, żeby postawić się wielkiemu, stukniętemu Irlandczykowi.

- Hej - rzucił Ricky, podchodząc do stolika, który T.G. traktował jak własne biuro.

- Gdzieś ty się, kurwa, podziewał? - spytał Irlandczyk. Rzucił papierosa na podłogę i przygniótł go butem.

- U Hanny'ego.

- Coś ty tam robił, Limę Ricky? - Irlandczyk przeciągał kolejne sylaby.  
- Polerowałem fiuta - odparł Ricky z udawanym irlandzkim akcentem. Często mówił w ten sposób, jak gdyby płaszczył się przed T.G. i jego kolesiami. Nie chciał tego i nie lubił. To się po prostu działo. I za każdym razem zastanawiał się dlaczego.

- Chciałeś chyba powiedzieć, że polerowałeś fiuta jakiemuś ministrowi - zagrział T.G.

Trzeźwiejsza część jego świty ryknęła śmiechem.

Ricky zamówił guinnessa. Nie lubił go, ale T.G. powiedział kiedyś, że prawdziwi mężczyźni piją wyłącznie guinnessa i whiskey. Ponieważ był to porter\*, Ricky wierzył, że pijąc go, nabierze masy. Całe życie próbował przybrać na wadze. Bez rezultatu.

Chwilę później usiadł przy brudnym stoliku, którego blat szpeciły głębokie blizny po ostrzach noży i niedopałkach. Skinął głową ludziom T.G. - sześciu nieudacznikom, którzy po części zajmowali się handlem, po części pracowali w hurtowniach, a prawdę powiedziawszy, całymi dniami po prostu się objali. Jeden z nich był tak zalany, że w ogóle Ri-cky'ego nie zauważył. Facet najwyraźniej usiłował opowiedzieć jakiś dowcip, jednak w połowie zapomniał, o co chodziło. Ricky miał tylko nadzieję, że gość zdąży do kibla i nie zrzyga się na podłogę tak jak wczoraj.

T.G. jak zwykle gadał bez opamiętania, ochoczo obrażając siedzących obok kolesiów i grożąc tym, których nie było.

Ricky siedział przy stole, zjadał orzeszki, popijał portera o smaku lukrecji i z pokorą przyjmował kolejne obelgi. Myślał o Gardinie i jego łodziach.

W pewnym momencie T.G. podrapał się po okrągłej, pobrużdżonej twarzy i kręconych, rudobrazowych włosach.

- I niech mnie szlag, pieprzony czarnuch zwiął - wysapał.

Ricky zastanawiał się, o jakiego czarnucha chodziło. Zdawało mu się, że słuchał uważnie, jednak czasami myśli TG. biegły własną, niezależną drogą, zostawiając pozostałych daleko w tyle.

Widział jednak, że T.G. jest wściekły, i dlatego bąknął pełne współczucia: „To dupek”.

- Jak spotkam kutasa, zabiję go. - Irlandczyk klasnął w dłoń z taką siłą, że niektórzy z obecnych zamrugali zaskoczeni.

Pijany dźwignął się od stołu i chwiejnym krokiem powłókł się w kierunku toalety. Wyglądało na to, że tym razem dotrze na czas.

\* Ang. *stout* oznacza również „tęgi”, „korpulentny”.

- Facet jest stąd? - spytał Ricky.  
- Kisi swoją czarną dupę w Buffalo - warknął Ricky. - Przed chwilą wam mówiłem. Czemu, kurwa, pytasz, czy facet jest tutaj?  
- Nie, nie o to mi chodziło - wyjaśnił pośpiesznie Ricky. - Pytałem, czy gościu jest z okolic.  
- No dobra - odparł T.G., kiwając głową, jakby nagle załapał. - Jasne. Ale to mu nie pomoże. Jak go zobaczę, czarnuch już nie żyje.  
- Buffalo - rzucił Ricky, potrząsając głową. - Chryste. - Próbował słuchać uważniej, ale w głowie miał przede wszystkim numer z łodziami. Taa, Gardino nieźle to sobie wymyślił. Zarobić sto tysięcy na jednym przekręcie (on i T.G. w życiu nie widzieli takiej gotówki).  
Znowu pokiwał głową.  
- Zastanawiam się, czy nie pojechać do Buffalo i nie skopać facetowi jego czarnej dupy.  
- Ty, Limę Ricky? Ty, pieprzony człowieku? - mruknął T.G. i wrócił do swoich wywodów.

Kiwając głową i patrząc w ni to trzeźwe, ni to pijane oczy tamtego, Ricky myślał: He kasy potrzeba, by wyrwać się z pieprzonego Hell's Kitchen? Uciec od psiozących byłych żon, rozwyrzonych bachorów, T.G. i innych dupków? Może prysnąć na Florydę, skąd pochodzi Gardino? Może tam byłoby mu dobrze? Ze wszystkich przekrętów, które zrobili razem z TG, miał około trzydziestu tysięcy w gotówce. Nic wielkiego, ale gdyby na interesie z łodziami wyrolował dwóch, trzech gości, miałby pięć razy tyle.

Nie urządziłyby się na stałe, ale taka kasa wystarczyła na dobry początek. Do cholery, na Florydzie aż roiło się od bogatych staruchów, głupich i gotowych oddać kasę pierwszemu lepszemu kanciarzowi, który sprzeda im niezły kit.

Cios w ramię wyrwał go z zamyślenia. Zaskoczony Ricky ugryzł się w policzek i skrzywił z bólu. Widząc jego wściekłe spojrzenie, T.G. wybuchnął śmiechem.

- To jak, Limę Ricky, idziesz w sobotę do Leona?  
- Nie wiem.

W tej samej chwili drzwi lokalu stanęły otworem i pojawił się w nich jakiś przyjezdny. Starszy facet po pięćdziesiątce, w jasnobrażowych spodniach bez paska, białej koszuli i niebieskiej marynarce. Na zawieszonym wokół szyi sznurku dyndał konferencyjny identyfikator AOFM.

Ambasador... Ricky zmrugał oczy. Ambasador Oślizgłych Fiutów Męskich.

Ricky zaśmiał się z własnego dowcipu. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Chwilę później zerknął na turystę. Tacy jak on nigdy nie pojawiali się



w okolicznych barach. Ale czemu tu się dziwić; przecież centrum kongresowe znajdowało się zaledwie cztery przecznice stąd, a Time Square już dawno straciło jaja i zmieniło się w drugi Disneyland. Hell's Kitchen stało się kolejnym White Plains i Paramus, gdzie niepodzielnie rządzą pieprzeni yuppies i turyści.

Mężczyzna zamrugał, jak gdyby chciał przyzwycząić wzrok do półmroku. Zamówił wino („Wino? W takim miejscu?” - zarechotał T.G.) i niemal od razu wypił pół kieliszka. Facet musiał mieć kasę. Miał roleksa i cholerne markowe ciuchy. Powoli rozejrzał się dokoła i Ricky'emu przyszło do głowy, że patrzy na nich jak ktoś, kto ogląda zwierzęta w zoo. Wkurzył się i przez moment rozkoszował się fantazją o tym, jak wywleka faceta na zewnątrz i leje go dotąd, dopóki gość nie odda zegarka i portfela.

Oczywiście nie zrobiłby tego. Nie. On i T.G. nie postępowali w ten sposób; byli dalecy od rozbijania ludziom głów. No dobra, kilka razy spuścili komuś łomot - wpięprzyli dzieciakowi z college'u, który podczas przekreśtu zamierzył się na TG., a Ricky obił mordę jakiemuś Latynosowi, kiedy ten próbował ukraść z ich kasy tysiąc dolców. Reguły jednak mówiły, że kiedy tylko można, należy unikać rozlewu krwi. Gdy jeleń tracił wyłącznie kasę, zwykle siedział cicho, nie szedł na policję i nie robił z siebie pieprzonego idioty. Ale jeśli sam oberwał, najczęściej zgłaszał sprawę glinom.

- Jesteś tu, Lime Ricky? - warknął T.G. - Czy masz własny, pieprzony świat?

- Zamyśliłem się.

- A, zamyśliłeś. Dobrze. Facet myśli. O kim? O swoim kościelnym kochasiu?

Ricky poruszył ręką, naśladując masturbację, i po raz kolejny poczuł, że się poniża. Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego właściwie to robi. Spojrzał na turystę. Mężczyzna szeptał coś do barmana, który zauważył wzrok Ricky'ego i podniósł głowę. Ricky wstał od stołu i podszedł do baru, stukając butami po drewnianej podłodze.

-Co jest?

- Ten facet jest spoza miasta.

Turysta zerknął na Ricky'ego i wbił wzrok w podłogę.

- Bez jaj. - Mówiąc to, Ricky przewrócił oczami.

- Z Iowy.

Gdzie, do kurwy nędzy, było Iowa? Ricky prawie ukończył szkołę średnią i nieźle radził sobie z niektórymi przedmiotami, geografię uważał jednak za szczyt nudziarstwa i nigdy nie uważał na lekcjach.

- Mówi, że przyjechał do miasta na konferencję poświęconą Javits - ciągnął barman.

*On i jego męskie fiuty...*

- I... - Barman zniżył głos, zerkając na turystę. - Może sam mu pan powie?

Mężczyzna pociągnął łyk wina. Ricky spojrzął na jego dłoń. Facet nie tylko miał roleksa, ale i złoty sygnet z wielkim, lśniącym brylantem.

- Taa, może sam mi powiesz?

I facet powiedział, szepcząc niezdecydowanie. Ricky uważnie wysłuchał jego słów, a kiedy staruszek skończył, uśmiechnął się i rzekł:

- To pański szczęśliwy dzień.

Mój również, pomyślał.

Pół godziny później Ricky i turysta z Iowa stali w brudnym holu na Bradford Arms, niedaleko magazynu przy Jedenastej Alei i Piątej Ulicy.

- To jest Daria - oznajmił Ricky.

- Witaj, Daria.

Złoty ząb rozblęsnął w ustach Darli niczym gwiazda.

- Jak się masz, kotku? Jak ci na imię?

- Hm, Jack.

Ricky wyczuł, że facet chciał powiedzieć „John”\*, co zważywszy na okoliczności, byłoby dość zabawne.

- Miło cię poznać, Jack. - Daria, której prawdziwe imię brzmiało Sha'quette Greeley, miała metr osiemdziesiąt dwa wzrostu, była piękna i chlubiła się kształtami modelki. Tak się składało, że jeszcze trzy lata temu była facetem. Turysta z Iowa albo niczego nie zauważył, albo za uważał i nakręcił się jeszcze bardziej. W każdym razie jego spojrzenie błędziło po ciele Darli niczym język.

Jack wynajął pokój, płacąc za trzy godziny z góry. Trzy godziny? - pomyślał Ricky. Taki staruch? Niech go Bóg ma w swojej opiece.

- Teraz się zabawicie - rzucił z południowym akcentem. Uznał, że Iowa prawdopodobnie znajduje się gdzieś na południu.

Detektyw Robert Schaeffer mógł być gospodarzem jednego z policyjnych show, jakie widuje się na Fox czy A&E. Był wysoki, siwy i naprawdę przystojny - no, miał może zbyt pociągłą twarz. Od prawie dwudziestu lat pracował jako detektyw w NYPD.

Schaeffer i jego partner szli obskurnym korytarzem, cuchnącym potem i lizolem. W końcu partner wskazał na drzwi, szepcząc:

\* Wjęz. ang. „John”- „frajer”, „mężczyzna korzystający z usług prostytutki”.



- To tu.

Następnie wyciągnął coś, co przypominało elektroniczny stetoskop, i przyłożył czujnik do łuszczącego się drewna.

- Słyszysz coś? - spytał szeptem Schaeffer.

Joey Bernbaum -jego partner - powoli pokiwał głową i uniół palec, każąc mu zaczekać.

Chwilę później skinął głową.

- Wchodzimy.

Schaeffer wyciągnął z kieszeni klucz uniwersalny i sięgając po broń, otworzył drzwi i runął do środka.

- Policja! Niech nikt się nie rusza!

Tuż za nim do pokoju wpadł Bernbaum, ściskając w dłoni swój automatyczny pistolet.

Twarze obecnych w pokoju dwojga ludzi wyrażały bezbrzeżne zdumienie, jednak już na pierwszy rzut oka widać było, że pulchny biały mężczyzna po pięćdziesiątce, siedzący bez koszuli na skraju łóżka, jest znacznie bardziej przerażony i zaniepokojony. Na tłustym przedramieniu miał tatuaż Marine Corps i z pewnością był kiedyś prawdziwym twardzielem, ale teraz jego wąskie, blade ramiona opadły i zdawało się, że gość zaraz się rozpłacze.

- Nie, nie, nie...

- O kurwa! - jęknęła Daria.

- Zostań tam, gdzie jesteś, skarbie. I bądź cicho.

- Jak, do cholery, mnie znaleźliście? Ten mały kutas przy biurku na dole, to on na mnie doniósł? Wiem o tym. Następnym razem, jak go zobaczę, naleję na niego. Zrobię...

- Nie zrobisz niczego poza tym, że w końcu się zamkniesz - warknął Bernbaum. - Rozumiesz, panienko? - dodał sarkastycznie z typowym akcentem, jaki słyszało się w gettach.

- O Boże. - Daria próbowała zmiękczyć go rozpaczkliwym spojrzeniem, ale mężczyzna tylko się roześmiał i skuł ją.

Schaeffer odłożył broń i zwrócił się do mężczyzny:

- Poproszę dokumenty.

- Ależ proszę, panie władzo. Niech pan posłucha, ja nie chciałem...

- Dokumenty - powtórzył Schaeffer. Jak zwykle był uprzejmy. Kiedy człowiek ma w kieszeni policyjną odznakę, a na biodrze wielki pieprzony pistolet, można pozwolić sobie na odrobinę uprzejmości.

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni spodni gruby portfel i wręczył go gliniarzowi, który zerknął na prawo jazdy.

- Panie Shelby, czy to pański aktualny adres? W Des Moines?

- Tak jest - odparł Shelby drżącym głosem.

- Dobrze więc, jest pan aresztowany za kradzież. - Mówiąc to, odpiął od pasa kajdanki.

- Nie zrobiłem nic nielegalnego, naprawdę. Chciałem tylko... to była tylko randka.

- Naprawdę? W takim razie co to jest? - Detektyw podniósł plik banknotów, leżący na kulawym stoliku nocnym. Czteryście dolców.

- Ja... ja myślałem...

Było widać, że umysł gościa pracuje na pełnych obrotach. Schaeffer zastanawiał się, jaką wymówkę usłyszy tym razem. Było ich tak wiele.

- Chciałem kupić coś do jedzenia i picia.

Tego jeszcze nie słyszał; mimo to starał się nie wybuchnąć śmiechem. Jeśli w tej okolicy człowiek był gotów wydać czteryście dolców na żarcie i wódę, równie dobrze było go stać na imprezę dla pięćdziesięciu Darli.

- Zapłacił ci za seks? - zwrócił się Schaeffer do kobiety.

Daria skrzywiła twarz.

- Jeśli skłamiesz, skarbie, wiesz, co cię czeka. Lepiej bądź szczerą, a szepnę słówko komu trzeba.

- Jesteś takim samym kutasem - warknęła po chwili. - Dobra, zapłacił mi za full service.

- Nie... - zaprzeczył Shelby, jednak po chwili jego ramiona opadły jeszcze niżej. - Chryste, co ja teraz zrobię? To zabije moją żonę... i dzieciaki... - Mówiąc to, zerknął na gliniarzy spanikowanym wzrokiem. - Pójdę za to siedzieć?

- To zależy od prokuratora i sędziego.

- Po co w ogóle to zrobiłem? - jęknął. Schaeffer zmierzył mężczyznę uważnym wzrokiem.

- Zabierz ją na dół - rzucił po chwili do partnera.

- Ty cholerny popaprańcu, zabieraj ode mnie swoje pieprzone łap ska - warknęła Daria.

Bernbaum roześmiał się.

- To znaczy, że już nie jesteś moją dziewczyną? - Mówiąc to, chwycił kobietę za ramię i wyprowadził na zewnątrz. Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

- Niech pan posłucha, detektywie, nikogo nie okradłem. To była nieszkodliwa zabawa. Wie pan, żadnych ofiar.

- Ale to wciąż przestępstwo. Nie słyszał pan o AIDS i zapaleniu wątroby?

Shelby spuścił wzrok i pokiwał głową.

- Tak, proszę pana - szepnął.  
Schaeffer, który wciąż ścisnął w dłoniach kajdanki, zerknął na niego z politowaniem. Chwilę później usiadł na skrzypiącym krześle.

- Jak często przyjeżdża pan do miasta?  
- Do Nowego Jorku?  
- Taa.  
- Raz do roku, na konferencję albo spotkanie służbowe. Lubię to miasto. Wie pan, co mówią ludzie: „To takie miłe miejsce”. - Zamilkł, być może myśląc, że druga część powiedzonka - „ale nie warto w nim mieszkać” - obraziłaby gliniarza.

- A więc przyjechał pan na konferencję? - spytał Schaeffer. Wyciągnął z kieszeni mężczyzny identyfikator.

- Tak, to doroczny zjazd handlowców. W Javits. Producentów mebli ogrodowych.

- Tym się pan zajmuje?  
- Prowadzę hurtownię w stanie Iowa.  
- Tak? Jak panu idzie?  
- Jestem numerem jeden w całym stanie. Właściwie to w całym regionie. - Powiedział to ze smutkiem, bez cienia dumy; prawdopodobnie zastanawiając się, ilu klientów straci, jeśli zostanie aresztowany.

Schaeffer powoli pokiwał głową. W końcu odłożył kajdanki. Widząc to, Shelby zmrużył oczy.

- Zrobił pan już kiedyś coś takiego?  
Chwila wahania. Tym razem mężczyzna zdobył się na szczerość.

-Tak.  
- Ale mam przeczucie, że więcej pan tego nie robi.  
- Nigdy. Obiecuję. Dostałem nauczkę.  
Nastąpiła długa cisza.

- Proszę wstać.

Shelby zamrugał, jednak zrobił, co mu kazano. Chwilę później zmarszczył brwi, kiedy gliniarz obszukał jego spodnie i marynarkę. Widząc faceta bez koszuli, Schaeffer był na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewny, że jest on czysty, mimo to musiał mieć absolutną pewność, że gość nie ma podsłuchu.

Detektyw wskazał głową krzesło i Shelby posłusznie usiadł. Oczy biznesmena zdradzały, że facet wie już, co się święci.

- Mam dla pana propozycję - zaczął Schaeffer.  
- Propozycję? Gliniarz pokiwał głową.

- Dobra. Jestem pewien, że więcej już pan tego nie zrobi.
- Nigdy.
- Mógłbym udzielić panu ostrzeżenia i puścić pana wolno. Problem w tym, że dostaliśmy zgłoszenie.
- Zgłoszenie?
- Jeden z gliniarzy widział, jak wchodzi pan do hotelu w towarzystwie Darli - wiemy o niej wszystko. Zgłosił to i wysłali mnie na miejsce. Trzeba wypełnić papiery.
- Będzie tam moje nazwisko?
- Nie, w tym wypadku wpisujemy kogokolwiek. Ale jest jeszcze raport. Mógłbym tę sprawę jakoś załatwić, tyle że to wymaga czasu i jest dość ryzykowne.

Shelby westchnął, krzywiąc twarz, pokiwał głową i rozpoczął licytację.

Nie była to aukcja. Shelby podawał kolejne sumy, podczas gdy Schaeffer wciąż podnosił kciuk; raz za razem... W końcu, kiedy roztrzęsiony mężczyzna dobił do stu pięćdziesięciu tysięcy, Schaeffer pokiwał głową.

- Chryste.

Kiedy T.G. i Ricky Kelleher zadzwonili z wiadomością, że trafił się turysta, którego można oskubać, Ricky oznajmił, że stawka może sięgnąć sześciu cyfr. Suma była tak niewyobrażalna dla głupich Irlandczyków, że Schaeffer wybuchnął śmiechem. Ale -jak zwykle - musiał docenić fakt, że po raz kolejny wybrali gościa z naprawdę grubym portfelem.

- Mogę wystawić czek? - spytał Shelby przygnębionym głosem.

Schaeffer tylko się roześmiał.

- Dobra, dobra... ale na zebranie gotówki będę potrzebował kilku godzin - wyjąkał biznesmen.

- Wieczorem. O ósmej.

Ustalili miejsce spotkania.

- Zatrzymam pańskie prawo jazdy. I dowód rzeczowy. - Schaeffer sięgnął po leżące na stoliku pieniądze. - Jeśli spróbuje pan uciec, wydam nakaz aresztowania i wyślę go do Des Moines. Tamtejsza policja dokona ekstradycji, a wówczas zostanie pan oskarżony. Odsiedzi pan swoje.

- Nie, nie. Zdobędę pieniądze. Wszystko, co do grosza. - Shelby ubrał się w pośpiechu.

- Proszę wyjść drzwiami dla personelu na tyłach hotelu. Nie wiem, gdzie podziewa się gliniarz, który na pana doniósł.

Turysta pokiwał głową i wymknął się z pokoju.

W holu, nieopodal windy, Bernbaum i Daria palili papierosy.

- Gdzie moja forsa? - spytała dziwka.

Schaeffer wręczył jej dwie stówki ze skonfiskowanej chwili temu gotówki. On i Bernbaum podzielili się resztą, sto pięćdziesiąt dla Schaeffera, pięćdziesiąt dla jego partnera.

- Zrobisz sobie wolne popołudnie, laluniu? - spytał Bernbaum Darię.

- Ja? Gdzie tam, wracam do pracy. - Zerknęła na pieniądze. - Przynajmniej do czasu, aż zaczniecie płacić tyle, ile zarabiam na pieprzeniu się.

Niespodziewane pojawienie się Schaeffera sprawiło, że przynajmniej połowa siedzących w Maćku ludzi natychmiast zmieniła temat rozmów. Dobra, był gliniarzem zamieszonym w szemrane interesy, ale wciąż gliniarzem. Nic więc dziwnego, że szeptane rozmowy na temat interesów, narkotyków i przekrętów niemal natychmiast zeszyły na sport, kobiety i pracę. Schaeffer roześmiał się i przeszedł przez salę. Chwilę później opadł na puste krzesło i mruknął do T.G.:

- Przynieś mi piwo. - Był jedynym facetem na świecie, który w ten sposób zwracał się do Irlandczyka.

Kiedy szklanka pojawiła się na stole, pochylił ją w kierunku Ricky'ego.

- Znalazłeś naprawdę niezłego kolesia. Zgodził się na sto pięćdziesiąt.

- Bez jaj - odparł T.G, unosząc brew (umowa była taka, że Schaeffer bierze połowę kasy, a Ricky i T.G. dzielą między siebie pozostałą część na pół).

- Skąd on wy trzaśnie taką forszę? - spytał T.G.

- Nie wiem. To jego problem.

Ricky zmrużył oczy.

- Chwileczkę. Chcę też zegarek.

- Zegarek?

- Zegarek starego. Miał roleksa. Chcę go mieć.

W domu Schaeffer miał mnóstwo roleksów, które od lat zabierał po-dejrzany i frajerom. Nie potrzebował kolejnego.

- Skoro chcesz zegarek, dostaniesz go. Jedyne, czym martwi się ten facet, to to, żeby jego żona i klienci nie dowiedzieli się o całej sytuacji.

- Jacy klienci? - spytał Ricky.

- Zaczekaj - warknął T.G. - Jeśli ktokolwiek dostanie zegarek, to ja.

- Nie ma mowy. Pierwszy go zobaczyłem. Ja wybrałem tego kolesia.

- Zegarek mój - przerwał opasły Irlandczyk. - Może facet ma jakiś klips do pieniędzy albo coś, co mógłbyś sobie wziąć. W każdym razie ja biorę pieprzonego roleksa.

- Nikt nie nosi klipsów do pieniędzy - warknął Ricky. - Nawet nie chcę pieprzonego klipsa do pieniędzy.

- Posłuchaj, Limę Ricky - mruknął T.G. - Zegarek jest mój. Słuchaj uważnie.

- Chryste, jesteście jak dzieci - przerwał Schaeffer, popijając piwo. -Facet spotka się z nami po drugiej stronie ulicy w Pier Forty Six o ósmej wieczorem.

Wszyscy trzej robili tego rodzaju przekręty od lat, jednak wciąż nie mieli do siebie nawzajem zaufania. Umowa była taka, że po odbiór zapłaty szli zawsze razem.

Schaeffer dopił piwo.

- Do zobaczenia na miejscu.

Kiedy wyszedł, mężczyźni przez kilka minut przyglądali się grze, a T.G. zmuszał ludzi do zakładów, mimo iż trwała już czwarta kwarta i nie było szans, by Chicago mogli się odkuć. W końcu Ricky oznajmił:

- Wychodzę na chwilę.

- Co to, zostałem twoją pieprzoną niańką? Chcesz iść, to idź - warknął TG., choć było jasne, że uważa Ricky'ego za idiotę, który wychodzi z baru na osiem minut przed końcem meczu. - Hej, Ricky, mój rolex! Jest złoty? - ryknął, kiedy Ricky zbliżał się do drzwi.

Co za kutas.

W młodości Bob Schaeffer patrolował niejedną rewir. Prowadził śledztwa w sprawie setek ciężkich przestępstw i ścigał po Manhattanie i Brooklynie tysiące szumowin. Dzięki temu doskonale wiedział, jak przetrwać na ulicy.

Teraz wyczuwał zagrożenie.

Zamierzał zdobyć trochę koki od dzieciaka, który pracował przy stoisku z gazetami na skrzyżowaniu Dziewiątej i Pięćdziesiątej Piątej, kiedy dotarło do niego, że od pięciu, sześciu minut słyszy za plecami te same kroki. Dziwaczne szuranie. Nie było wątpliwości, ktoś siedział mu na ogonie. Schaeffer przystanął w drzwiach, by zapalić papierosa, i w sklepowej witrynie spoglądał na kolejnych przechodniów. No i proszę, mniej więcej trzydzieści stóp dalej zauważył faceta w tanim szarym garniturze i rękawiczkach. Mężczyzna zatrzymał się na moment, udając, że ogląda jedną z wystaw.

Schaeffer nie znał kolesia. Przez lata narobił sobie wielu wrogów. Fakt, że był gliniarzem, dawał mu pewną ochronę - strzelanie do funkcjonariuszy, nawet tych skorumpowanych, to wciąż ryzykowny biznes -ale w okolicy aż roiło się od rozmaitych czubków.

Ruszył więc dalej. Powłóczący nogami typek niebawem zrobił to samo. Przelotne spojrzenie w lusterko zaparkowanego przy ulicy samo-



chodu powiedziało Schaefferowi, że facet zaczyna się zbliżać, mimo iż ręce wciąż trzymał wzdłuż ciała; znak, że nie miał zamiaru sięgać po broń. Schaeffer wyjął komórkę i zwolniwszy kroku, tak by nie budzić niczyich podejrzeń, udawał, że rozmawia. Drugą ręką sięgnął do kieszeni, ściskając chromowaną rękojeść automatycznego sig-sauera 9 mm.

Tym razem facet nie przystanął.

Schaeffer powoli zaczął wyjmować dłoń z kieszeni, kiedy...

- Detektywie, czy mógłby pan przerwać rozmowę?

Schaeffer odwrócił się i zaskoczony zamrugał oczami. Facet, który jeszcze chwilę temu siedział mu na ogonie, wyciągnął złotą policyjną odznakę NYPD.

O co tu, kurwa, chodzi? - pomyślał Schaeffer. Widząc odznakę, uspokoił się, ale nie do końca. Chwilę później zatrzasnął klapkę telefonu i schował go do kieszeni. Zwolnił też uścisk na broni.

- Kim pan jest?

Mężczyzna zmierzył go chłodnym spojrzeniem, pozwalając, by Schaeffer spojrział na identyfikator.

Niech to szlag, pomyślał detektyw. Facet był z wewnętrznego. Ten wydział zajmował się korupcją wśród gliniarzy.

Mimo to postanowił być chamski.

— Dlaczego pan siedzi mi na karku?

- Chciałbym zadać kilka pytań.

- O co chodzi?

- O prowadzone przez nas śledztwo.

- Halo - odparł sarkastycznie Schaeffer - akurat tego się domyśliłem.

Pytałem o pieprzone szczegóły.

- Interesują nas pańskie kontakty z pewnymi osobami.

- Z „pewnymi osobami”. Wie pan, nie wszyscy gliniarze muszą gadać jak gliniarze.

Cisza.

Schaeffer wzruszył ramionami.

- Mam „kontakty” z wieloma ludźmi. Może chodzi panu o moich informatorów? Często bywam w ich towarzystwie. Przekazują mi naprawdę istotne informacje.

- Taa, cóż, podejrzewamy, że przekazują panu też inne ciekawe rzeczy. Dość cenne rzeczy. - Mówiąc to, zerknął na biodro Schaeffera. - Muszę poprosić, aby oddał mi pan broń.

- Pieprz się.

- Próbuję nie nadawać tej sprawie rozgłosu. Ale pan nie pali się do

współpracy. Wystarczy jeden telefon i zgarniemy pana do centrum. Tam wszystko stanie się jasne.

W końcu Schaeffer zrozumiał. Chodziło o wymuszenie - tyle że tym razem to on był ofiarą. Co gorsza, okantowali go ci z wewnętrznego. Prawie bawiła go myśl, że oni także biorą łapówki.

Chwilę później oddał broń.

- Porozmawiajmy gdzieś na osobności.

He mnie to będzie kosztowało? - zastanawiał się.

Gliniarz z wewnętrznego skinął głową w kierunku rzeki Hudson.

- Tędy.

- Proszę mówić - rzucił Schaeffer. - Mam prawo wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Jeśli ktoś powiedział wam, że biore, to gówno prawda. Ktokolwiek nagadał wam tych bzdur, ma w tym jakiś interes. - Schaeffer nie był jednak tak rozgorączkowany, jak się wydawało; wszystko to było częścią negocjacji.

- Proszę iść dalej - rzucił gliniarz z wewnętrznego. - Tam. - Wyjął i zapalił papierosa. Chwilę później wyciągnął paczkę w kierunku Schaeffera. Detektyw poczęstował się i skorzystał z ognia.

Wówczas zamarł. Mrugając z niedowierzaniem, zerknął na pudełko zapalek. Widoczny na nim napis głosił: McDougall's Tavern. Oficjalna nazwa Macka - ulubionej speluny T.G. Schaeffer spojrzał w oczy mężczyzny, który najwyraźniej zdał sobie sprawę z własnego błędu. Chryste, facet wcale nie był gliną. Identyfikator i odznaka to fałszywki. Schaeffer miał do czynienia z płatnym zabójcą, pracującym dla T.G, który zamierzał go sprzątnąć i zgarnąć od turysty okrągłe sto pięćdziesiąt kawałków.

- Kurwa - mruknął zabójca, wyciągając z kieszeni rewolwer i wpychając Schaeffera w pobliską alejkę.

- Posłuchaj, koleś - szepnął gliniarz. - Mam sporo gotówki. Nieważne, ile ci zapłacił...

- Stul mordę. - Nie zdejmując rękawiczek, mężczyzna wymienił własną broń na pistolet Schaeffera i przyłożył chromowaną lufę do jego szyi. Chwilę później wyjął z kieszeni skrawek papieru, wetknął go do marynarki detektywa, pochylił się i szepnął: - Oto wiadomość, dupku. Przez dwa lata T.G. organizował wszystko, odwał całą robotę, a ty brałeś połowę kasy. Zadarłeś z niewłaściwym człowiekiem, koleś.

- Gówno prawda - jęknął zdesperowany Schaeffer. - On mnie potrzebuje! Bez pomocy gliniarza nie dałby rady! Proszę...

- Do zobaczenia... - Zabójca przyłożył lufę do skroni Schaeffera.

- Nie rób tego, człowieku. Proszę, nie!

U wylotu alejki dał się słyszeć wrzask.

- O mój Boże! - Stojąca dwadzieścia stóp dalej kobieta wlepiła wzrok w uzbrojonego mężczyznę. - Niech ktoś wezwie policję! - krzyknęła, przykładając dłonie do ust.

Teraz, kiedy uwaga zabójcy skupiła się na kobiecie, Schaeffer pchnął mężczyznę na ceglana ścianę. Zanim morderca odzyskał jasność umysłu i strzelił, detektyw gnał już w dół alejki.

- Niech to szlag! - ryknął morderca i pognał za detektywem.

Jednak Heffs Kitchen od lat było terenem łowieckim Boba Schaeffera i pięć minut później - pędząc przez dziesiątki alejek i bocznych uliczek - detektyw zgubił zabójcę. Wróciwszy na ulicę, zatrzymał się; z zapiętej wokół kostki kabury wyciągnął zapasową broń i schował ją do kieszeni. Poczul pod palcami zmięty papier. Przeczytał pożegnalny list samobójcy, w którym wyznawał, że od lat jest skorumpowany i nie potrafi dłużej z tym żyć. Musi położyć temu kres.

Cóż, pomyślał, istotnie trochę w tym prawdy. Zdecydowanie musiał położyć kres jednej pieprzonej rzeczy.

Ukryty w cieniu alejki Schaeffer palił papierosa. Minęło piętnaście minut, zanim T.G. Reilly opuścił Macka. Był sam i patrząc na niego, Schaeffer pomyślał, że zwalisty mężczyzna porusza się jak ospały niedźwiedź. Irlandczyk rozejrzał się dokoła i nie zauważywszy gliniarza, skierował się na zachód.

Schaeffer ruszył za nim, kiedy mężczyzna był już w połowie przecznicy.

Starał się zachować bezpieczną odległość, jednak na bardziej wyludnionym odcinku ulicy włożył rękawiczki i sięgnął po broń, którą niedawno wziął z biurka. Kupił ją na ulicy kilka lat temu - zimna broń bez numeru seryjnego. Ściskając pistolet, ruszył za Irlandczykiem.

Błąd, który popełniają ludzie mający nacisnąć spust, to uleganie naglej chęci rozmowy z ofiarą. Schaeffer pamiętał stary western, gdzie dzieciak tropił rewolwerowca, który zabił jego ojca. W końcowej scenie chłopiec mierzy do faceta i wyjaśnia mu, dlaczego zaraz zginie: „Zabiłeś mojego ojca, ple, ple, ple”. W tym czasie rewolwerowiec spogląda na dzieciaka znudzonym wzrokiem, wyciąga ukrytą broń i zabija go. Chwilę później spogląda na ciało i mówi: „Chcesz gadać, to gadaj. Masz zamiar strzelać, to strzelaj”.

I właśnie to zrobił teraz Robert Schaeffer.

T.G. musiał coś usłyszeć. Zaczął się powoli odwracać, zanim jednak to zrobił, detektyw wpakował mu w tył głowy dwie kulki. Zwalisty Irlandczyk runął na ziemię jak worek z piaskiem. Schaeffer cisnął broń na

chodnik - nigdy nie dotykał jej gołymi rękami - opuściwszy głowę, minął ciało T.G. i idąc Dziesiątą Aleją, skierował się na północ.

*Masz zamiar strzelać, to strzelaj.*

Amen.

Wystarczyło jedno spojrzenie.

Patrząc w oczy Ricky'ego Kellehera, Schaeffer wiedział, że to nie on stał za planowanym zamachem.

Niski, głupkowaty koleś z brudnymi włosami i miną chojraka podszedł do miejsca, w którym Schaeffer opierał się o ścianę, ściskając w kieszeni nową, automatyczną broń. Jego widok najwyraźniej nie zaskoczył Ri-cky'ego. Detektyw od lat przesłuchiwał podejrzanych, wyczuwał więc, że dupek nie miał pojęcia o planach T.G.

- Hej! - Ricky skinął głową na powitanie. Rozejrzał się dookoła. -Gdzie T.G? Mówił, że będzie wcześniej.

- Nie słyszałeś? - spytał Schaeffer, marszcząc brwi.

- O czym?

- Cholera, czyli faktycznie nie słyszałeś. Ktoś go załatwił.

- TG?

-Tak.

Ricky wlepił wzrok w detektywa i potrząsnął głową.

- Nie ma, kurwa, mowy. Nic o tym nie słyszałem.

- Stało się.

- Chryste wszechmogący - szepnął Ricky. - Kto to zrobił?

- Jeszcze nie wiedzą.

- Może ten czarnuch?

-Kto?

- Czarnuch z Buffalo. Albo z Albany. Nie pamiętam. - Chwilę później szepnął: - Nie żyje. Nie mogę w to uwierzyć. Ktoś jeszcze zginął?

- Chyba tylko on.

Schaeffer spojrział na wychudzone ciało Ricky'ego. Cóż, koleś faktycznie wyglądał, jakby nie mógł w to uwierzyć. Nie wyglądał jednak na przesadnie zmartwionego. Nic dziwnego. T.G. trudno by nazwać kolegą Ricky'ego; był po prostu zapijaczonym, życiowym nieudacznikiem, który znajdował przyjemność w zastraszaniu innych.

Poza tym Hell's Kitchen było specyficznym miejscem, w którym żywi zapominali o umarłych, zanim ich ciała zdążyły ostygnąć.

Jak gdyby na potwierdzenie tej teorii Ricky spytał:

- Jak to wpłynie na naszą, no wiesz, transakcję?

- Nijak, jeśli chcesz znać moje zdanie.

- Teraz należy mi się więcej.  
- Możesz dostać jedną trzecią.  
- Pieprzyć jedną trzecią, chcę połowę.  
- Zgoda. I tak sporo ryzykuję.  
- Ryzykujesz? Dlaczego?  
- Będzie śledztwo. Mogą znaleźć coś, co połączy śmierć T.G. z moim nazwiskiem. Będę musiał dać w łapę kilku osobom. - Schaeffer wzruszył ramionami. - Albo poszukasz do współpracy innego gliniarza.

Jak gdyby w branzowym wykazie firm była rubryka „Skorumpowani gliniarze”.

- Poczekajmy kilka miesięcy, aż sprawy ucichną. Może moje notowania znowu podskoczą - dodał.

- Mogę dostać roleksa? - spytał Ricky.

- Mówisz o zegarku tego faceta?

-Tak.

- Naprawdę chcesz go mieć? -Tak.

- Dobra, jest twój.

Ricky spojrział w dal, za rzekę, i Schaeffer mógłby przysiąc, że na jego twarzy pojawił się przelotny uśmiech.

Przez kilka minut stali w absolutnej ciszy, po czym - punktualnie o czasie - pojawił się Shelby. Wyglądał na przerażonego, skrzywdzonego i wściekłego; kurewsko podstępna mieszanka uczuć.

- Mam - szepnął. Dłonie miał puste - żadnej teczki czy torby - Schaeffer jednak od tak dawna przyjmował łapówki, że doskonale wiedział, jak wielkie kwoty mieszczą się w zwykłej kopercie.

Taką właśnie kopertę wyciągnął teraz z kieszeni Shelby. Z ponurą miną wręczył ją Schaefferowi, który dokładnie przeliczył banknoty.

- Zegarek też - rzucił Ricky, wskazując dłonią nadgarstek biznesmena.

- Mój zegarek? - Shelby zawahał się, po czym - skrzywiony - oddał roleksa chudzielcowi.

Schaeffer zwrócił turyście prawo jazdy. Mężczyzna schował je do kieszeni i bez słowa skierował się na wschód, prawdopodobnie, by złapać taksówkę, która zawiezie go wprost na lotnisko.

Detektyw roześmiał się w duchu. Może Nowy Jork wcale nie jest aż tak miłym miejscem.

Mężczyźni podzielili pieniądze. Ricky wsunął na rękę roleksa, jednak bransoleta była zbyt luźna i całość komicznie dyndała wokół chudego nadgarstka.

- Dopasują mi go - mruknął Ricky, wkładając zegarek do kieszeni.  
- No wiesz, skróć bransoletkę. To żaden problem.

Po wszystkim postanowili oblać sprawę i Ricky zaproponował, by wybrali się do Hanny'ego, gdzie miał się z kimś spotkać.

Szli alejką skąpaną w niebieskoszarym świetle zmierzchu, kiedy Ricky zerknął na spokojną rzekę Hudson.

- Patrz tylko.

Po atramentowoczarnych wodach sunął na południe ogromny jacht.

- Piękny - mruknął Schaeffer, patrząc z podziwem na łódź.

- To dlaczego nie wszedłeś w ten interes? - spytał Ricky.

- Jaki interes?

- Ten z łodzią.

-Co?

- Ten, o którym mówił ci TG. Powiedział, że wymiękłeś.

- O czym ty, kurwa, gadasz?

- O interesie z łodzią, który ubijam z facetem z Florydy.

- Nic o tym nie wspominał.

- To kutas. - Ricky pokiwał głową. - To było kilka dni temu. Pamiętasz, facet pojawił się u Hanny'ego. Właśnie z nim mam się tam spotkać. Ma jakieś kontakty na Florydzie. Jego ludzie kradną łodzie odholowane na policyjny parking, zanim gliny sporządzą raport.

-DEA?

- Tak. I straż przybrzeżna.

Schaeffer pokiwał z uznaniem głową.

- To znaczy, że łodzie znikają, zanim zostaną wciągnięte do rejestru. Sprytnie.

- Zastanawiam się nad kupnem jednej z nich. Facet powiedział, że za dwadzieścia kawałków załatwi mi łódź wartą trzy razy tyle. Pomyślałem, że możesz być zainteresowany.

- Bo jestem. - Bob Schaeffer miał kilka mniejszych łodzi, jednak zawsze marzył o prawdziwym cacku. - Ten facet. Ma coś większego? - spytał po chwili.

- Chyba właśnie opchnął jedną długości pięćdziesięciu stóp. Widziałem ją w Battery Park. Cudo.

- Pięćdziesiąt stóp? Przecież coś takiego kosztuje z milion dolarów.

- Powiedział, że klient zapłacił koło dwustu tysięcy.

- Jezu. Ten duppek, TG., nic mi o tym nie powiedział. - Pocieszał się myślą, że od tej chwili irlandzki śmieć nikomu nie piśnie już ani słowa.

Weszli do Hanny'ego. Jak zwykle w speluncie było pustawo. Ricky rozejrzał się dookoła, ale facet od łodzi najwyraźniej jeszcze się nie pojawił.

Zamówili dwa boilermakery, stuknęli się szklankami i *zaczęli* pić. Ricky opowiadał staremu barmanowi o tym, jak skończył T.G., kiedy zadzwonił telefon Schaeffera.

- Schaeffer.

- Mówi Malone z wydziału zabójstw. Słyszałeś o zabójstwie T.G. Reilly'ego?

- Tak. Co z nim? Macie coś? - Serce waliło mu jak młotem.

- Niewiele. Ale słyszeliśmy coś i mamy nadzieję, że nam pomożesz.

Znasz te okolice, nie?

- Dość dobrze.

- Wygląda na to, że jeden z chłopaków T.G. prowadził lewe interesy. Chodziło o grubą kasę. Sześć cyfr. Nie mamy pojęcia, czy ma to jakiś związek z zabójstwem, ale chcielibyśmy porozmawiać z kolesiem. Nazywa się Ricky Kelleher. Znasz go?

Schaeffer zerknął na stojącego pięć stóp dalej Ricky'ego. Chwilę później mruknął do telefonu:

- Nie jestem pewien. O jakie interesy chodzi?

- Ten Kelleher ma układ z jakimś gościem z Florydy. Sprzedają nawiśniakom skonfiskowane łodzie, tyle tylko, że nie ma żadnych łodzi. To wszystko pułapka. Kiedy nadchodzi termin dostawy, informują biednych dupków, że federalni przejęli towar. Kazał zapomnieć o pieniądzach, trzymać mordę na kłódkę i zniknąć.

Mały, pieprzony kutas... Głowa Schaeffera zaczęła się trząść z wściekłości, kiedy spoglądał na stojącego przy barze Ricky'ego.

- Nie widziałem gościa od jakiegoś czasu - rzucił do słuchawki. - Ale popytam w okolicy.

- Dzięki.

Rozłączył się i podszedł do Ricky'ego, który popijał kolejne piwo.

- Wiesz, kiedy dokładnie ma się tu pojawić? - spytał od niechcenia. - Ten facet od łodzi?

- Powinien zaraz być - rzucił Ricky.

Schaeffer kiwnął głową i pociągnął łyk piwa. Chwilę później szepnął:

- Chodzi o ten telefon. Nie wiem, czy będziesz zainteresowany, ale dzwonił *mój* dostawca. Właśnie przyjechał towar z Meksyku. Za kilka minut mam się z nim spotkać w alejce. Podobno chodzi o naprawdę dobre gówno. Facet opchnie je nam po okazyjnej cenie. Wchodzisz w to?

- Jasne, kurwa.

Mężczyźni wyszli tylnym wejściem w alejkę. Puszczając Ricky'ego przodem, Schaeffer pomyślał, że kiedy udusi gnojka, musi zabrać pozostałą część łapówki.

No i zegarek. Roleksy były jak pieniądze - człowiek nigdy nie miał ich za wiele.

Detektyw Robert Schaeffer delectował się kawą mokka w ogródku Starbucks na Dziewiątej Alei. Siedząc na niezbyt wygodnym, metalowym krześle, zastanawiał się, czy takie właśnie meble sprzedawał swoim prostackim kumplom król Shelby.

- Witam - usłyszał męski głos.

Schaeffer zerknął na siedzącego przy sąsiednim stoliku mężczyznę. Wyglądał dziwnie znajomo i choć gliniarz nie od razu go rozpoznał, uśmiechnął się w odpowiedzi.

Pamięć wróciła niczym wylane na głowę wiadro zimnej wody i detektyw jęknął. Facet był detektywem z wydziału spraw wewnętrznych, tym samym, którego wynajęli T.G. i Ricky.

Chryste!

Prawa ręka mężczyzny spoczywała w papierowej torbie, gdzie oczywiście chował broń.

Schaeffer zastygł w bezruchu.

- Wyluzuj - rzucił mężczyzna, widząc malujące się na jego twarzy przerażenie. - Wszystko w porządku. - Wyciągnął rękę z torby. Nie miał broni. Zamiast niej trzymał w dłoni babeczkę z rodzynkami. Ugryzł kawałek. - Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz.

- Czyli kim, kurwa, jesteś?

- Nie musisz mnie znać. Jestem prywatnym detektywem. To powinno wystarczyć. A teraz posłuchaj. Mamy dla ciebie propozycję. - Mężczyzna podniósł wzrok i pomachał ręką. - Chciałbym ci kogoś przedstawić - zwrócił się do Schaeffera.

Ze Starbucks wyszła para po pięćdziesiątce; oboje w dłoniach trzymali kubki z kawą. Przerażony Schaeffer rozpoznał w mężczyźnie Shelby'ego -turyście, którego okantował kilka dni temu. Towarzysząca mu kobieta również wyglądała znajomo, choć jej twarz nijak nie pasowała do układanki.

- Detektywie. - Shelby przywitał go chłodnym uśmiechem. Spojrzenie kobiety było równie lodowate, jednak na jej twarzy próżno by szukać uśmiechu.

- Czego chcecie? - warknął gliniarz do detektywa.

- Niech oni panu wyjaśnią. - Mężczyzna zatopił zęby w babeczkę.

Oczy Shelby'ego patrzyły na twarz Schaeffera z arogancką pewnością siebie; tak różną od nieśmiałego, przygnębionego spojrzenia, którym spoglądał na detektywa w hotelowym pokoju, gdy przyłapano go z transseksualną dziwką, Darią.



- Detektywie, oto umowa: Kilka miesięcy temu mój syn był tu na wakacjach z przyjaciółmi z college'u. Tańczył w klubie nieopodal Broadwayu, kiedy pańscy wspólnicy T.G. Reilly i Ricky Kelleher wrzucili mu do kieszeni narkotyki. Chwilę później pojawił się pan i aresztował go za posiadanie środków odurzających. Zupełnie jak ze mną; zrobił go pan, mówiąc, że zapomni o całej sprawie, jeśli panu zapłaci. Tyle że Michael nie chciał pójść na ten układ. Postawił się panu i zamierzał zadzwonić pod dziewięćset jedenaście. Wtedy pan i T.G. Reilly zawlekliście go do alejki i pobiliście tak dotkliwie, że chłopak ma trwałe uszkodzenie mózgu i będzie musiał latami chodzić na terapię.

Tak, Schaeffer doskonale pamiętał tego dzieciaka. Spuścili mu niezły łomot. Mimo to zwrócił się do Shelby'ego:

- Nie wiem, o czym pan...

- Ćśś - przerwał prywatny detektyw. - Państwo Shelby wynajęli mnie, żebym dowiedział się, co tak naprawdę stało się z ich dzieckiem. Spędziłem w Hell's Kitchen dwa miesiące, zbierając informacje na temat pana i tych dwóch kutasów, z którymi pan pracował. - Skinął głową w kierunku turystów ze słowami: - Proszę mówić - po czym wrócił do jedzenia babeczki.

- Postanowiliśmy, że zapłaci pan za to, co zrobił. Tyle tylko, że nie mogliśmy iść na policję - kto wie, ilu gliniarzy pracuje dla pana? Tak więc razem z żoną i naszym drugim synem, bratem Michaela, obmyśliliśmy pewien plan. Postanowiliśmy, że to wy odwalicie za nas całą robotę i sami się wzajemnie wystawicie.

- To jakieś brednie. Wy...

- Zamknij się i słuchaj - warknęła kobieta. Chwilę później wyjaśniła: - Zorganizowaliśmy u Hanny'ego małą prowokację. Detektyw udawał kanciarza z Florydy, który handluje kradzionymi łodziami, a nasz drugi syn podszył się pod faceta z Jersey, który stracił na tym interesie niezłą sumę. To przykuło uwagę Ricky'ego, który niemal natychmiast zaczął rozmowę z oszustem. Wiedzieliśmy, że lubi pan łodzie, i oczywiste było, że Ricky zechce pana zrobić - zwróciła się do Schaeffera.

Tym razem odezwał się Shelby:

- Tyle że potrzebowaliśmy sporej sumy, czegoś naprawdę spektakularnego. Odpowiedniej motywacji, byście się wzajemnie wystawili.

A więc dlatego Shelby poszedł do speluny T.G. i rozpytywał o dziwkę; wiedział, że dla trójki kołesów będzie to kolejna okazja do wymuszenia. Teraz zachichotał.

- Miałem nadzieję, że szantażując mnie, będzie pan podbijał cenę. Zależało mi na tym, byśmy dobili do sześciu cyfr.

T.G. był ich pierwszym celem. Tego popołudnia detektyw udawał wynajętego przez Irlandczyka płatnego zabójcę, by utwierdzić Schaeffera w przekonaniu, że ten zamierza zgarnąć całą sumę.

- Ty! - szepnął gliniarz, patrząc na kobietę. - To ty wtedy krzyknęłaś.

Głos ponownie zabrał Shelby:

- Chcieliśmy dać panu okazję do ucieczki. Wiedzieliśmy, że pójdzie pan wprost do T.G. i wyrówna rachunki.

Chryste. Zabójca, fałszywy gliniarz z wewnętrznego... wszystko to była pułapka.

- Później Ricky zabrał pana do Hanny'ego, gdzie zamierzał się spotkać z kanciarzem z Florydy.

Prywatny detektyw otarł usta i pochylił się do przodu.

- Halo - rzucił, zniżając głos. - Tu Malone z wydziału zabójstw.

- O kurwa - jęknął Schaeffer. - To wy daliście mi cynk, że Ricky chce mnie zrobić. Czyli... - Zamilkł.

- Nim też się pan zajął - dodał szeptem detektyw. Na

twarzy Shelby'ego pojawił się lodowaty uśmiezek.

- Dwóch oprychów mniej. Teraz został już tylko jeden. Pan.

- Co chcecie zrobić? - wydukał gliniarz.

Głos zabrała pani Shelby:

- Nasz syn musi odbyć dwuletnią terapię. Ale i tak nigdy nie wróci już do zdrowia.

Schaeffer potrząsnął głową.

- Macie dowody, prawda?

- Naturalnie. Nasz starszy syn czekał na zewnątrz Macka, kiedy poszedł pan tam, by rozprawić się z T.G. Mamy naprawdę świetny materiał filmowy, na którym widać, jak strzela pan do niego. Dwie kulki w głowę. Paskudna sprawa.

- I sequel - dodał detektyw. - Nakręcony w alejce za lokalem Hanny'ego, gdzie udusił pan Ricky'ego. - Po chwili dodał: - No i mamy numery wywrotki, która zgarnęła ciało Ricky'ego z kubła na śmieci. Jechaliśmy za nią aż do Jersey. Możemy zaangażować w całą sprawę naprawdę nieprzyjemnych ludzi, którzy nie będą zadowoleni, kiedy dowiedzą się, że to pan ich zakapował.

- Gdyby pan jeszcze nie wiedział - dodał Shelby - zrobiliśmy trzy kopie taśmy, które umieściliśmy w sejfach trzech różnych prawników. Jeśli któremuś z nas cokolwiek się stanie, prześlemy nagrania na policję.

- Jesteście tak dobrzy jak zawodowi mordercy - mruknął Schaeffer. - Wykorzystaliście mnie, bym zabił dwie osoby.

Shelby roześmiał się.

- Semper Fi\*... Służyłem w korpusie piechoty morskiej i brałem udział w dwóch wojnach. Zabijanie takiego robactwa jak pan nie robi na mnie wrażenia.

- W porządku - mruknął gliniarz. - Czego chcecie?

- Ma pan domek letniskowy na Fire Island, dwie łodzie zacumowane w Oyster Bay i...

- Nie potrzebuję pieprzonej inwentaryzacji. Chcę usłyszeć konkretną sumę.

- W zasadzie wszystko, co pan ma. Osiemset sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Plus moje sto pięćdziesiąt... Chcę je dostać w przyszłym tygodniu. Rachunek za jego usługi też pan zapłaci. - Shelby wskazał głową prywatnego detektywa.

- Jestem dobry - odparł tamten. - Ale cholernie drogi. - Dokończył babeczkę i strzepnął okruszki na chodnik.

Shelby pochylił się do przodu.

- Jeszcze jedno; mój zegarek.

Schaeffer zdjął roleksa i wręczył go mężczyźnie.

Para wstała od stolika.

- Do zobaczenia, detektywie - rzucił Shelby.

- Z przyjemnością zostałabym i pogawędziła - dodała pani Shelby - ale zamierzamy trochę pozwiedzać. Przed obiadem chcemy przejechać się dorożką po Central Parku. - Przerwała i zerknęła na gliniarza. - Uwielbiam to miasto. Wie pan, to prawda, co mówią. Nowy Jork to takie miłe miejsce.

\* Semper Fi - Zawsze Wiemi.

# Posłowie do „Lęku”

Pozwólcie, że na chwilę włożę tweedową marynarkę wykładowcy i powitam was w Lęku 101\*, czyli Szybkiej Lekcji Tego, Jak Śmiertelnie Przerazić Czytelnika. Zamierzam pokrótce wyjaśnić wam, w jaki sposób wplątałem do swych opowieści odrobinę lęku i grozy.

Jestem pisarzem; nie filozofem czy psychiatrą. Lęk interesuje mnie wyłącznie w odniesieniu do opowiadań. Napisałem „Lęk”, by zilustrować pięć podstawowych obaw, które pojawiają się w moich opowiadaniach. Pragnę również przedstawić wam kilka zasad, które wzmagają w czytelnikach uczucie grozy.

Pierwszym z pięciu lęków jest lęk przed nieznanym. W opowiadaniu „Lęk” Marissa nigdy do końca nie wie, co tak naprawdę się wydarzy (podobnie jak czytelnicy). Na początku Antonio mówi: „To niespodzianka”, podczas gdy ja podtrzymuję ową niepewność tak długo, jak to możliwe. Marissa nie wie, dokąd jadą, co miała na myśli stara kobieta, kim naprawdę była Lucia, co Antonio robił w domu we Florencji i co znajdzie w piwniczce na wino... Właściwie uświadamia sobie - niestety, zbyt późno - że w ogóle nie znała Antonia.

Kolejny lęk to ten, którego doświadczamy wówczas, gdy ktoś przejmuje kontrolę nad naszym życiem - jest to strach przed bezradnością. Marissa to bystra bizneswoman, inteligentna i silna; mimo to pozbawiłem ją wszystkich tych atutów. W „Lęku” Antonio jest kierowcą, a Marissa wyłącznie pasażerem; dosłownie i w przenośni. Na końcu opowiadania znajduje się niemal naga, w samotnym wiejskim domu, z dala od ludzi, bez telefonu czy broni, uwięziona w zamkniętym pomieszczeniu, zdana na łaskę szaleńca z nożem. Czy można być bardziej bezsilnym?

\* Aluzja do słynnego „Pokoju 101” z Orwella, w którym każdego oczekuje to, czego się najbardziej lęka.

Trzeci lęk to obawa przed innymi, kiedy tracą nad sobą kontrolę. Nie boimy się ludzi, kiedy postępują zgodnie z zasadami obowiązującymi w społeczeństwie. Strach rodzi się wówczas, gdy zaczynają je łamać. Psychopaci - jak Antonio - nie kontrolują swych zachowań; nie możemy przemówić im do rozsądku, ponieważ nie kierują się oni zasadami etyki ani ogólnie przyjętymi normami zachowań. Lęk osiąga apogeum, gdy ktoś z naszego otoczenia traci nad sobą kontrolę. Strach przed przypadkowym zabójcą czy innym przestępcą jest z pewnością ogromny, jednak gdy bliska nam osoba, ktoś, z kim utrzymujemy intymne kontakty, zaczyna zachowywać się dziwnie i irracjonalnie, lęk przeradza się w panikę. Dlatego właśnie bohaterowie opowiadania są kochankami.

Czwartym lękiem, do którego odwołuję się w trakcie pisania, jest lęk przed utratą panowania nad samym sobą. Nie bez powodu wspomniałem niewytłumaczalną chęć rzucenia się z klifu czy też z mostu - pragnienie, którego wszyscy doświadczamy w takiej bądź innej sytuacji. Marissa boi się, że ulegnie owej niepohamowanej pokusie, jednak w opowiadaniu impuls ten jest wyłącznie metaforą bardziej złożonego lęku: lęku przed tym, że będąc z Antoniem, utraci panowanie nad sobą. Stąd też symboliczne znaczenie narkotyków, które mają pozbawić kobietę resztek kontroli.

Piąty lęk należy do dość szerokiej kategorii. Mam tu na myśli ikony strachu. Są to obrazy (często wyświechtane), które budzą w nas strach, ponieważ wywarły piętno na naszych umysłach bądź też dlatego, że wpojono nam, iż powinniśmy się ich obawiać. Oto niektóre z nich, pojawiające się w opowiadaniu:

- Zwiastun zła (we Florencji zwiastunami zła są: stara kobieta z pozółkłymi oczami oraz bracia bliźniacy).
- Motywy religijne i metafory okrucieństwa, przedstawione na gobelinie, który ogląda Marissa.
- Pierścień z trucizną, który Antonio kupuje dla Marissy.
- Złe wspomnienia, wiążące się z konkretnym miejscem (Potwór z Florencji, który był prawdziwym mordercą, oraz fikcyjne tortury i zabójstwa na drodze między Florencją a Sieną).
- Martwe ciało.
- Lalki (proszę o wybaczenie, madame Alexander, ale potrafią one być naprawdę upiorne).
- Pełna grozy, gotycka sceneria, w której umieściłem stary dom.
- Pozbawione okien pomieszczenie.
- Krew.
- Różne fobie (na przykład klaustrofobia Marissy).

- Ciemność.
- Symbole okultystyczne (pozostawione przy strumieniu kwiaty i krzyż).

To tylko kilka spośród setek innych ikon strachu, dzięki którym można przerazić czytelnika.

Na zakończenie chciałbym wspomnieć o dwóch elementarnych zasadach, o których zawsze pamiętam, tworząc atmosferę grozy.

Po pierwsze, potęguję ją, upewniając się, że moi bohaterowie (jak również czytelnicy) stoją w obliczu utraty czegoś ważnego. Oznacza to, że wykreowane przeze mnie postaci - zarówno dobre, jak i złe - muszą być dojrzałe, a co za tym idzie, muszą obawiać się utraty życia, a także cierpienia, które się wiąże z utratą czegoś ważnego. Marissa nie byłaby przerażona, gdyby nie zależało jej na życiu, a czytelnik nie dbałby o nią, gdyby nie interesowała go jako bohaterka fikcji literackiej.

Po drugie, zawsze pamiętam, że moim zadaniem jako pisarza jest sprawianie, by czytelnik czuł lęk, jednak nigdy obrzydzenie czy wstręt, jak w przypadku krwawych obrazów przemocy wobec - powiedzmy - dzieci lub zwierząt. W fikcji literackiej emocje zrodzone z lęku powinny oczyszczać i porywać czytelnika. Tak, sprawcie, by pociły mu się dłonie, by nocą bał się zgasić światło - ale pamiętajcie, by z tej szaleńczej jazdy zawsze wychodził bez szwanku.

# Spis rzeczy

Wstęp .....	7
Rozdział i wers .....	9
Zabójca z South Shore .....	25
Westfalski pierścień .....	39
Obserwacja .....	62
Zepsuta do szpiku kości .....	84
Przesłuchanie .....	101
Lęk .....	117
Podwójne oskarżenie.....	130
Dziewczyna z Tunelu.....	156
Zasada Locarda .....	175
Danie na zimno .....	217
Naśladowca .....	251
Podglądacz .....	278
Lekcja pokera .....	292
36,6 .....	317
Miłe miejsce.....	336
Posłowie do „Lęku” .....	365

- wielokrotnie nagradzany autor ponad dwudziestu thrillerów psychologicznych. Z wykształcenia dziennikarz i prawnik. Przez kilka lat współpracował z dziennikami „New York Times” i „Wall Street Journal”. Zaliczany jest do grona najbardziej poczytnych pisarzy amerykańskich, jego powieści były tłumaczone na kilkadziesiąt języków, dwie z nich zostały zekranizowane. Światową sławę przyniósł mu *Kolekcjoner Kości*.

Strony internetowe autora:  
[www.jefferydeaver.com](http://www.jefferydeaver.com)  
[www.jefferydeaver.pl](http://www.jefferydeaver.pl)